

Ripley Alexandra

Ze złotych pól

Rodzina Richardsonów od lat uprawiała tytoń. Młody, ambitny Nate postanawia rozpocząć produkcję papierosów. W tym celu jedzie, by spotkać się z konstruktorem maszyny Augustusem Standishem. Jednak konstruktor prototyp i prawa patentowe godzi się oddać tylko wraz z ręką wnuczki, Chess.

Jak wychowana w dobrobycie młoda dama, choć zubożała po wojnie secesyjnej, poradzi sobie w dość prymitywnych warunkach, wśród ludzi prostych? Czy Nate odniesie sukces?

24 sierpnia 1875

Rozdział 1

Wóz był zrobiony z drewna, które ze starości pokryło się szarymi plamami. Miał wysokie siedzenia, koziół zbity z desek oraz cztery koła z zardzewiałymi obręczami i szprychami, na których pozostały resztki czerwonej farby. Był to porządny wiejski wóz, solidny, nie mający żadnych pretensji do urody, wyjąwszy ślady farby, świadczące, że w przeszłości właściciel patrzył na świat z optymizmem.

Wyglądał jak inne wozy w Piedmoncie, środkowej części Karoliny Północnej.

To samo można by powiedzieć o zaprzężonym do niego kępym, krótkonogim koniu: silnym, dobrze utrzymanym i nieładnym.

Trzymający lejce chłopak musiał być tym człowiekiem, który pomalował na czerwono szprychy wozu. Jego opalona, piegowata twarz promieniowała energią i pogodą ducha. Oczy miał niezwykle, przypominające kolorem błękitne niebo w słoneczny letni dzień. Odnosiło się wrażenie, że potrafi patrzeć światu prosto w twarz i podoba mu się to, co tam widzi.

Nazywał się Nathaniel Richardson, ale większość ludzi zwracała się do niego po prostu Nate. Miał osiemnaście lat, lecz było widać, że pomimo młodego wieku jest głową podróżującej wozem rodziny. Obok niego na koźle siedziała matka, a miejsce po jej drugiej stronie zajmował brat.

Mary Richardson wyglądała na więcej niż swoje czterdzieści lat, podobnie jak większość pracujących na farmach kobiet. Wszystkie one wiodły ciężkie życie, na które składało się wczesne zamążpójście, rodzenie dzieci i nigdy nie kończąca się praca. Mary była drobna, co jeszcze bardziej podkreślały zgarbione plecy, a jej twarz miała gniewny wyraz. Tego letniego dnia jednak kobieta wyglądała raczej na pełną nadziei niż rozzłoszczoną. Miała na sobie swą najlepszą suknię z praktycznej, czarnej gabardyny, z białym koronkowym kołnierzykiem oraz lśniącoczarne, słomkowy odświeżony kapelusz, ozdobiony szeroką, jedwabną wstążką, otaczającą rondo i zawiązaną pod brodą. Od czasu do czasu poklepywała spracowaną dłonią kolano siedzącego obok niej młodego mężczyzny, ubranego w ciemny strój — starszego syna, Gideona, największej dumy i radości jej życia.

Gideon nie czuł pieśczośliwych gestów matki. Był całkowicie zatopiony we własnych myślach.

Nawet radosna paplanina dzieci za jego plecami nie mogła go od nich oderwać.

Z tyłu wozu, razem z licznymi pudłami, koszami i beczkami, jechali pozostali członkowie rodziny Richardsonów. Wuj Nate'a i Gideona, Joshua, był surowym, szczupłym mężczyzną, z długą, ciemną brodą, przetykaną już siwizną. Jedną nogę zastępował mu drewniany kikut. Jego żona, Alva, liczyła sobie dwadzieścia pięć lat i o tyle samo była młodsza od Josha. To właśnie piski ich dzieci dochodziły teraz z tyłu wozu. Micah miał lat osiem, Susan zaś cztery. Oboje byli jasnowłosi jak matka i błękitnooccy jak ojciec.

Josh popatrzył groźnie na dzieci, które natychmiast umilkły.

— Kiedy pokonamy to wzniesienie, będziemy już cały czas jechać doliną! — zawołał przez ramię Nate. — Jesteśmy prawie na miejscu.

— Nie poganiaj tego biednego, starego konia, skoro i tak jedziemy z górki, Nate — upomniała go matka. — Nie chcesz chyba rozbić wozu w drzazgi.

— Nie martw się, mamó — roześmiał się chłopak. — Natchez wcale nie ma ochoty galopować. Powinniśmy się raczej obawiać, że za chwilę stanie na środku drogi i zaśnie. Podobnie jak Gideon — dodał, prostując się i zerkając na brata ponad głową matki.

— Nie przeszkadzaj. Twój brat rozmyśla nad kazaniem, które ma wygłosić — uciszyła go matka. Nate zagryzł wargi, żeby ukryć uśmiech. Znał już na pamięć przygotowaną przez brata przemowę, ponieważ Gideon od tygodnia ćwiczył ją za węglem stajni.

Na szczycie pagórka Nate ściągnął lejce i zatrzymał konia. Lekki, orzeźwiający wietrzyk przyniósł ze sobą odległe dźwięki muzyki i chłopak zaczął bezwiednie wybijać nogą jej rytm.

— Rusz się, Natchez — powiedział, ponownie potrząsając lejcami. — Rodzina Richardsonów przybywa na Camp Meeting.

Rozładowywaniem wozu kierował wuj Josh. Do pomocy zgłosiło się tak wielu chętnych, że Nate z radością pozostawił ten obowiązek innym. Miał nadzieję spotkać się w tym czasie z przyjaciółmi, których nie widział już od roku.

Wśród tłoczących się przy ogrodzeniu ludzi szybko odnalazł trzech braci Martinów.

— Hej, Billy, Jim, Matt... Jak miło was znowu zobaczyć! — zawołał, ale tylko jeden z chłopców odwrócił się ku niemu.

— Jak się masz, Nate? — mruknął i odwrócił głowę.

W cóż się oni tak wpatrują? — zastanawiał się Nathaniel, podchodząc bliżej i z ciekawością zerkając ponad ramionami Jima i Matta.

Na ławce obok ogrodzenia ujrzał najpiękniejszą dziewczynę na świecie.

Nate miał osiemnaście lat, był energiczny, zdrowy i... spragniony kobiety. Jego ciało natychmiast zareagowało

na widok siedzącego na ławce bóstwa, a wyobraźnia podsunęła mu obrazy, o jakich nie śmiałyby nikomu opowiedzieć. Odwrócił się i pobiegł ku pobliskiemu sosnowemu zagajnikowi, który miłosiernie skrył go w swym cieniu. Modlił się, by nikt nie zwrócił uwagi na pokaźne wybrzuszenie z przodu jego spodni. Nie mógł znieść tej męczarni, a jego członek żył jak gdyby własnym życiem. Muszę przestać o niej myśleć — upominał samego siebie. Łatwiej jednak było powziąć takie postanowienie niż je wykonać. Mimo usilnych prób nie potrafił wyrzucić z pamięci pszenicznózłotych loków opadających na smukłe ramiona, błękitnych jak bławatki olbrzymich oczu i pełnych, wysoko osadzonych piersi, skrytych pod sztywną, zapiętą aż pod szyję, białą bluzką. Dziewczyna miała tak cienką talię, że bez trudu zdołałby objąć ją dłońmi. A gdyby już objął, powoli przesunąłby dłonie w górę i...

Jęknął głośno.

Rozkosz, jakiej mogło dostarczyć kobiece ciało, nie była dlań czymś nieznanym. Miał już w życiu niejedną kobietę i wszystkie one dały mu tyle samo szczęścia i zadowolenia, ile on dał im. Czemu więc widok tej dziewczyny tak nań podziałał? Było to wbrew jego podstawowej życiowej zasadzie: trzymać się z dala od dziewcząt. Wszystkie chciały jak najprędzej wydać się za męża, a co gorsza, ich ojcom także bardzo na tym zależało. Od pierwszej zaś chwili odgadł, że ta dziewczyna jest jeszcze panną: robiła wrażenie, że na coś czeka, ale sama jeszcze nie wie, na co. Och, jakże chętnie uświadomiłby jej, cóż to takiego!

O nie, mój przyjacielu. To pułapka...

Ze wszystkich sił starał się skierować myśli ku innym kobietom, jakie znał. Przypomniawszy sobie Julie ze sklepu w Haw River Bridge. Była taka piękna... Albo Millie z kawiarni przy skrzyżowaniu dróg w Mebane. Czy też inna Millie, spotkana w drodze do Burlington. I wiele, wiele innych...

Podobnie jak większość przybyłych tu rodzin Richard

sonowie zajmowali się uprawą tytoniu. Nate poszedł jednak dalej niż inni hodowcy. Nie przywoził tytoniowych liści na targ, jak to robili wszyscy farmerzy. Czemu miałby sprzedawać swój plon koncernowi, który dzielił go na małe porcje, pakował i sprzedawał po takiej cenie, jaką płacono za dwadzieścia funtów liści tytoniu?

Jego matka i ciotka Alva kruszyły wyschnięty tytoń i przesiewały go przez sito, a następnie pakowały w małe, zawiązywane sznureczkiem woreczki, które Nate sprzedawał. Podobnie jak duże przedsiębiorstwa Richardso-nowie także mieli swe własne, małe, papierowe etykiety na opakowania. Napis na nich głosił: „Doskonały tytoń Richardsonów z Karoliny Północnej. Najbogatszy smak”. Nate cieszył się, że od czasu wprowadzenia tej innowacji ich tytoń zaczął się doskonale sprzedawać w okolicznych sklepach.

Rok temu, mając duszę na ramieniu, ruszył po raz pierwszy w drogę z torbami pełnymi paczuszek tytoniu. Okazało się jednak, że wcale nie trudno było namówić właścicieli małych wiejskich sklepików, by kupili na próbę kilka woreczków. Każdy z nich oferował klientom po kilka gatunków tytoniu do palenia, do żucia oraz tabaki. Czemu nie mieliby wypróbować jeszcze jednego? Zwłaszcza że kupowali go od miłego, młodego chłopaka, który sam ów tytoń wyhodował, nie zaś od jednego z tych zarozumiałych komiwojażerów, zatrudnionych przez wielkie koncerny, takie jak Bull Durham czy Liggett & Myers. Wielokrotnie sklepikarze zapraszali go, by zatrzymał się u nich na noc, napił się czegoś, zjadł posiłek lub po prostu wspólnie pożył tytoń. Nate nigdy nie odmawiał poczęstunku, pomimo iż nie lubił smaku tytoniowych liści — miał dość po tych wszystkich godzinach spędzonych na polu — a także choć czekała go od matki bura, jeśli poczułaby od niego alkohol. Najważniejsze było nawiązywanie przyjaźni.

A przyjaciół pozyskiwał sobie łatwiej, niż się tego początkowo spodziewał. Nie upłynęło wiele czasu i nauczył

się też odczytywać subtelne znaki dawane mu przez żony właścicieli sklepów, zwykle znacznie młodsze od swoich mężów. Mężczyźni musieli przed ślubem zdobyć trochę doświadczenia, postarać się o dom i stałe zajęcie, kobiety natomiast już w wieku piętnastu lat były całkowicie przygotowane do zamążpójścia i zanim kończyły osiemnaście, miały już kilkoro dzieci. Zaczynały wtedy tęsknić za jakąś odmianą w życiu wypełnionym sprzątaniami, gotowaniem, szyciem oraz karmieniem kurcząt i niemowląt. Pół godziny radosnego figlowania, podczas gdy mąż zajęty był w sklepie, nie wyrządzało nikomu krzywdy, a jedynie uprzyjemniało nieco wszystkim życie. No bo któryż mężczyzna — myślał Nate — nie woli mieć żony radosnej i zadowolonej, a nie zmęczonej i narzekającej na domowe zajęcia?

Jeśli chodziło o niego samego, to podczas owych podróży chętnie się uśmiechał, często też śpiewał na cały głos. Gorące słońce, zimny wiatr i deszcz, wypełniający usta pył i oblepiające buty błoto — wszystko to stanowiło część przygody, ponieważ droga mogła go zaprowadzić — jeśli tylko miał na to ochotę — do miejsca, w którym nigdy jeszcze nie był albo tam, gdzie zostanie powitany z radością. Dokądkolwiek zmierzał, zawsze śmiało szedł przed siebie. Tak właśnie sobie postanowił. Nie miał zamiaru przez całe życie być farmerem — co to, to nie. Chciał czegoś w życiu dokonać. Czegoś wielkiego.

Nie mógł wobec tego wpaść w sidła żadnej dziewczyny, choćby nawet była najpiękniejsza ze wszystkich, jakie widział i jakie jeszcze zobaczy.

Nate wyprostował plecy. Podjął już decyzję. Postanowił omijać najbardziej uczęszczane drogi, szczególnie zaś nie chodzić tam, gdzie tłumnie zbierali się mężczyźni. W ten sposób najprawdopodobniej już więcej jej nie zobaczy. Camp Meeting trwa tylko trzy dni, a przez ten czas będzie miał dość roboty, by nie myśleć o dziewczynie. W tym roku po raz pierwszy przybył do nich naprawdę sławny pastor. Dan Gaskins miał opinię kaznodziei, którego słowa spra-

wiały, że niemal się czuło liżące po piętach płomienie piekielnego ognia. Może nawet moją duszę przeniknie Duch Święty — pomyślał Nate — może zostaną zbawiony. To by mamę najbardziej uszczęśliwiło. Mnie także. Ale nawet jeśli i tym razem mi się nie uda, matka wcale się nie załamie. Gideon ma wygłosić kazanie podczas nabożeństwa i jestem pewien, że wypadnie doskonale. Starszy brat Nate'a przez pięć lat przebywał z dala od domu i dopiero miesiąc temu powrócił na farmę. Był jednym z najlepszych studentów Trinity College, jeśli zaś chodzi o zajęcia dotyczące stanu duchownego, przewodził całej klasie. Kiedy skończył szkołę, zaproponowano mu objęcie plebanii przy jednym z kościołów w hrabstwie Randolph, w pobliżu college'u. Kilka razy nawet odprawiał tam nabożeństwo. Był wschodzącą gwiazdą Kościoła metodystów, co jego matka powtarzała każdemu, kto tylko chciał jej słuchać. Miał prawdziwe powołanie. To wielkie marzenie matki z łaski Pana się spełniło. Nate czuł się niemal równie dumny z Gideona co matka. Starszy brat zawsze uchodził w jego oczach za niedościgły wzór. Nathaniel pragnął być w przyszłości tak samo przystojny i pewny tego, co chce w życiu robić.

Na razie, sprzedając swój tytoń, czuł, że zmierza ku czemuś wielkiemu. Nie kroczył wprawdzie tak wspaniałą drogą jak Gideon, ale trudno: Chrystus nie wszystkich powołuje do swojej służby. Prócz tego Nate lubił swoje życie takie, jakie było.

Lubił również śpiewać. To właśnie robił, kręcąc się pośród drzew aż do chwili, gdy do jego uszu dobiegła melodia grana podczas popołudniowego nabożeństwa. Wówczas zaczął biec, śpiewając na całe gardło:

„Skało wieków, rozstap się dla mnie...”

Pastor ściszył nagle głos i w wypełnionym setkami ludzi wielkim namiocie zaległo milczenie.

— Moi bracia i siostry — zaczął łagodnie Gaskins. — Przeżyłem niegdyś pewną błogosławioną chwilę, o której pragnę opowiedzieć, ufając, że wasze gorące serca ubarwią moje słowa. Zdarzyło się zatem, że moja ukochana żona leżała złożona cierpieniem, które wy, matki, dobrze znacie. Wiecie o wiele więcej ode mnie o tym pełnym chwały i męki bólu, z jakim nierozzerwalnie wiąże się cud wydawania na świat nowego życia, sprowadzania na ziemię kolejnej bożej duszyczki. Po narodzinach dziecka wezwała mnie do swego łóża i wtedy spostrzegłem, że jej kruche ciało nie zdołało przetrzymać tych strasznych męczarni. Ale Duch Święty był razem z nią. Jej twarz jaśniała szczęściem, mimo iż z każdą chwilą uchodziło z niej ziemskie życie. Płakałem, błagając, żeby nie umierała, chociaż wiedziałem, że wolą Boga jest, bym ją utracił, i choć miałem pewność, iż odchodzi do doskonalszego, wolnego od cierpienia życia wiecznego.

Wówczas moja ukochana żona uniosła dłoń, polecając, bym umilkł. Mimo iż serce pękało mi z żalu, spełniłem jej rozkaz. Zapadła cisza, wśród której usłyszałem jakiś dźwięk — tak słaby i niewyraźny, że w pierwszej chwili sądziłem, iż to złudzenie. A potem moja najdroższa małżonka wypowiedziała swe ostatnie słowa: „Dar niebios”. I wtedy na własne oczy ujrzałem cud — cud życia, który pośród śmierci wołał do mnie ustami mej maleńkiej córeczki. Nadałem jej imię Lily, ponieważ urodziła się w niedzielę wielkanocną, gdy wszędzie wokoło kwitły piękne, białe lilie.

Poprosiłem ją, by dzisiaj was pozdrowiła, tak aby każdy z obecnych mógł doznać cudownej łaski miłości Boga do człowieka. Pan jest tutaj. Czeka, by obdarować was najwyższym szczęściem.

Musicie tylko umieć otworzyć serca na jego przyjęcie.

Dan Gaskins odsunął się na bok i z cienia za jego plecami wysunęło się uosobienie miłości. Przez tłum przebiegło zdumione westchnienie i mokre jeszcze przed chwilą od łez twarze rozjaśnił uśmiech.

Dziewczyna miała na sobie prostą białą suknię z długimi

rękawami, pozbawioną wszelkich ozdób, chyba że za takowe uznałoby się złote loki lub piękno owalnej twarzy o jasnej cerze i szafirowych oczach.

— Wygląda jak anioł — szepnął do ucha brata Gideon.

— Tak.

Była to jedyna odpowiedź, na jaką Nate się zdobył. Czuł, że serce zamiera mu w piersiach i ogarnia go niezwykle podniecenie. Nie mógł przed tym uciec. Nie potrafił myśleć rozsądnie. Po prostu zakochał się po uszy.

Lily wyciągnęła przed siebie ramiona, jak gdyby chciała objąć nimi wszystkich zgromadzonych.

Zaczęła śpiewać. Jej głos był równie czysty i piękny jak twarz.

Uwielbiam opowiadać tę historię

O niewidzialnych rzeczach na wysokości

O Jezusie i jego chwale

O Jezusie i jego miłości Uwielbiam opowiadać tę historię To koi tęsknotę mą srogą

Chcę mówić o znanej mi prawdzie Gdy nic więcej uczynić nie mogę

Uwielbiam opowiadać tę historię Wspanialszą, niż sądzicie Piękniejszą od złotych fantazji Od tego, o czym marzycie Uwielbiam opowiadać tę historię Tak wielkie ma dla mnie znaczenie

I tylko z tego powodu

Mym wzruszeniem z wami się dzielę!

Nate skulił się na ławce. Kimże był, że ośmielał się choćby myśleć o rozmowie z tym aniołem? Czuł jednak, że musi się z nią spotkać, dotknąć jej, by się przekonać, czy istnieje naprawdę. Dziś jest piątek, ma zatem dwa dni na to, by znaleźć jakiś sposób.

W sobotę dołączył do tuzinów młodych mężczyzn, którzy natychmiast się gromadzili tam, gdzie pojawiała się Lily. Dziewczyna odnosiła się do wszystkich uprzejmie i, uśmiechając się nieśmiało, z uwagą wysłuchiwała każdego, kto chciał zamienić z nią kilka słów. Jej lekko rozchylone, pełne, różane usta, odsłaniające od czasu do czasu białe zęby i koniuszek języka, niemal doprowadzały Nate'a do szaleństwa.

Nie chciał jednak robić z siebie głupca, tak jak — jego zdaniem — czynili to inni, przynoszący jej lemoniadę lub odprowadzający ją na śpiewanie hymnów, wspólną modlitwę albo cokolwiek, co akurat miało mieć miejsce.

To prawda, że Lily przyjmowała lemoniadę i pozwalała sobie towarzyszyć, ale dokądkolwiek się udawała, wszędzie ciągnął za nią tłum wielbicieli — nawet jeśli szła pod rękę tylko z jednym z nich. Nate zaś chciał spotkać się z nią sam na sam, porozmawiać w cztery oczy. Włóczył się wraz z gromadą otaczających ją mężczyzn, niezdolny trzymać się z daleka, był jednak zbyt dumny, żeby zachowywać się tak jak inni. Miał nadzieję, że na jego twarzy nie maluje się ten sam co u pozostałych wyraz otepienia — jakby ktoś zdzielił ich kijem między oczy.

Choć w głębi duszy oczywiście obawiał się, że i z nim rzecz wygląda podobnie.

— Spóźniłeś się — ofuknęła go matka, kiedy sobotniego popołudnia usiadł na ławce obok niej. — Przecież to jest nabożeństwo, podczas którego twój brat wygłosi kazanie. Gdzie się włóczyłeś? Przez cały dzień cię nie widziałam.

— Przepraszam, mamó — wymamrotał Nate, starając się nie patrzeć w jej pociemniałe z gniewu oczy. Utkwił wzrok w podium, zastanawiając się, czy Lily zaśpiewa jeszcze raz.

Próbował skupić się na tym, co mówił wielebny Gaskins, ale nie rozumiał ani słowa. Pamiętał, że poprzedniego dnia Lily śpiewała swój hymn prawie na początku nabożeństwa.

Ale nie dziś wieczór. Zamiast niej spośród zgromadzonych wystąpił Gideon. Do tradycji ich kościoła należało, że po czytaniu tekstu z Biblii głos zabierał miejscowy parafianin, który objaśniał podobnym sobie ludziom święte słowa w taki sposób, w jaki wędrowny kaznodzieja — nie będąc jednym z nich — nigdy nie zdołałby tego uczynić.

Mary Richardson nie potrafiła ukryć dumy ze swego wysokiego, przystojnego syna. Gideon był ubrany w nowy, ciemny garnitur, nieskazitelnie białą koszulę oraz nienagannie zawiązany błękitny krawat. Matka osobiście przystrzygła mu tego ranka włosy i sprawdziła, czy dobrze przyciął sobie brodę. Gideon wyglądał więc teraz wspaniale — jak przystało na uczonego i człowieka powołanego do służenia Bogu. Mary wyprostowała się: oto nadeszła największa chwila w jej życiu.

Czuła dotyk ramienia siedzącego obok niej młodszego syna, ale nie spojrzała na niego. Wiedziała, co zobaczy. Włosy Nate'a miały bury kolor i zawsze pozostawały rozczochrane — nawet ona nie potrafiła ich ujarzmić swymi nożyczkami. Chłopak był piegowaty jak indycze jajo, ale mimo to z uporem odmawiał zapuszczenia przyzwoitej brody, która ukryłaby przynajmniej część piegów. Wiedziała, że nigdy nie będzie tak wysoki, tak przystojny ani tak utalentowany jak Gideon. Jedyną pozytywną rzeczą, jaką matka mogła powiedzieć o młodszym synu, było to, że nie unikał ciężkiej pracy i dbał o czystość. Zawsze pachniał mydłem. Ale, oczywiście, największą jego zaletą była pobożność.

Kiedy Gideon zaczął mówić, serce Mary zamarło z panicznego lęku. Nic nie słyszała. Jednak już po kilku pierwszych zdaniach okazało się, że syn przemawia pewnie i spokojnie, a w jego słowach jest tyle mocy, że ludzie siedzą zasłuchani i skupieni. Uszczęśliwiona odetchnęła z ulgą.

Na Nacie kazanie także zrobiło wielkie wrażenie. Nie sądził, że głos Gideona może brzmieć w ten sposób. Słowa nie miały znaczenia — znał je przecież na pamięć. Powiódł spojrzeniem po zgromadzonych ludziach i zatrzymał wzrok

na Lily, zwróconej w stronę mówiącego. Pewnie nawet nie wiedziała, że Gideon jest jego bratem. Może zrobił na niej wrażenie, a może ona, córka pastora, interesowała się wyłącznie kaznodziejami, a nie ich braćmi? Nate czuł się tak, jakby czyjaś pięść ugodziła go w serce.

Nie, zazdrość o własnego brata nie miała sensu. Gideon liczył już sobie dwadzieścia pięć lat i jedyną rzeczą, jaka go interesowała, było służenie Bogu. Nie zwracał uwagi na dziewczęta — nigdy, nawet zanim jeszcze udał się do Trinity. Nie kręcił się także koło Lily. Nate mógłby po imieniu wymienić wszystkich, którzy za nią łązili, a także powtórzyć dokładnie, o czym rozmawiali...

Kiedy po skończonym nabożeństwie składał Gideonowi gratulacje, jego pochwały były szczere. Potem zrobił miejsce matce, która objęta ramieniem Gideona z dumą słuchała pochwał, jakie wypowiadano pod jego adresem.

Nate rozejrzał się za Lily, ale nie dostrzegł jej nigdzie w pobliżu, wobec czego poszedł się położyć. Nie miał ochoty spotkać dawnych przyjaciół. Wszyscy byli wszak teraz jego rywalami i nie mógł wprost znieść ich widoku.

W niedzielę rano był tak zdenerwowany, że zaciął się przy goleniu.

Jego ciotka, Alva, roześmiała się łagodnie na jego widok, kiedy przyszedł na śniadanie.

— Chodź tutaj. Obmyję ci podbródek. Masz na nim świeżą krew. Biedny Nate! W życiu nie widziałam jeszcze takiego cierpienia, nawet kiedy rodziłam dzieci. Czemu po prostu nie poderżniesz sobie od razu gardła, by mieć święty spokój?

— Czy to wygląda aż tak źle? — zaniepokoił się chłopak.

— Obawiam się, że tak, kotku — odrzekła ze współczuciem.

Dotyk jej rąk, kiedy myła mu twarz, był równie miękki jak jej głos. Nate miał ochotę pocałować ją z wdzięczności. Alva była najmiłszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał. Bar-

dzo ją lubił. To właśnie Alva pierwsza pokazała mu, w jaki sposób mężczyzna i kobieta łączą się ze sobą, to ona też nauczyła go, jak sprawiając przyjemność samemu sobie, dawać rozkosz ukochanej. Była jego pierwszą miłością, kiedy miał ledwie trzynaście lat i nie bardzo wiedział, co mówi mu jego ciało i co ma z nim zrobić.

Alva tłumaczyła mu łagodnie, że owa gorączkowa miłość, jaką do niej żywi, nie jest takim uczuciem, za jakie je uważa.

— Zabiję Josha za to, jak cię traktuje — przysięgał, ilekroć widział sińce na jej twarzy. — A wtedy wyjdiesz za mnie i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Nie, nie byliby szczęśliwi — zapewniła go wówczas Alva i wyjaśniła, dlaczego. Czy mu się to podoba, czy nie, wciąż jest małym chłopcem, powinien zatem poczekać i zasmakować życia, zanim zwiąże się na zawsze z jakąś kobietą. Wkrótce też odkryje, że radość, jaką dają sobie dwa ciała, to jeszcze nie wszystko. Tłumaczyła, że ta sfera życia jest dlań czymś nowym, ale ostrzegła, iż fascynacja nowością szybko zniknie.

— To bardzo miłe, Nate, i zawsze będę ogromnie uradowana, ilekroć zechcesz spędzić noc w moim łóżku. Szczególnie że to właśnie ja nauczyłam cię robić rzeczy, które sprawiają mi taką przyjemność. Ale to, że coś jest miłe, nie znaczy jeszcze, że jest najlepsze. Potrafisz nauczyć się znacznie więcej. Nie marnuj szansy. Nie wolno ci! Jesteś mężczyzną, a świat stwarza mężczyźnie możliwości, jakich nigdy nie będzie miała kobieta.

Nate spierał się z nią, przysięgając, że nigdy nie pomyśli o innej kobiecie ani nawet na żadną nie spojrzy, później okazało się jednak, że Alva miała rację. Była odeń tylko sześć lat starsza — liczyła sobie dziewiętnaście lat — ale dysponowała już swego rodzaju kobiecą mądrością. W miarę upływu czasu Nate coraz bardziej przekonywał się, jak wiele prawdy kryło się w jej słowach.

Krótko po nawiązaniu przez Nathaniela romansu z Alwą

jego ojciec opuścił dom. Gdy tylko Gideon udał się do Trinity College, Ezekiel Richardson oświadczył swojej rodzinie, że odchodzi.

— Chcę zaznać jeszcze trochę wolności, zanim umrę — powiedział. — Teraz ty, Nate, jesteś panem tego domu. Gideon nigdy nie dałby rady, ale ty — tak.

Od tej chwili Nate miał niewiele czasu na spotkania z ciotką. Był tak zajęty, że brakowało mu go nawet dla samego siebie. Jego wuj, Josh, mógł pracować, ale ze swoją drewnianą nogą i paskudnym charakterem sam nie dałby sobie rady z całą farmą. Poza tym połowa ziemi, należąca uprzednio do ojca Nate'a, przeszła teraz na własność syna, a ten nie miał zwyczaju powierzać komukolwiek tego, co posiadał. Josh nawet nie próbował spierać się z nim lub narzekać. Odpowiedzialność była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

Pięć następnych lat upłynęło Nate'owi dosłownie jak z bicia strzelił. Z trudem przypominał sobie, jak wyglądało jego życie, zanim został głową rodziny. Teraz był już całkowicie dorosły, a przynajmniej za takiego się uważał, póki Lily Gaskins nie sprawiła, że poczuł się jak niezdarny, głupi chłopak.

— Nie wiem, co mam zrobić, Alvo. Dziś jest ostatni dzień Camp Meeting. Chyba oszaleję, jeśli nie porozmawiam z Lily i nie usłyszę, jak wymawia moje imię, zanim stąd jutro wyjadę.

Alva uniosła mu podbródek, zmuszając, by popatrzył jej prosto w oczy.

— Ona nie jest żoną farmera czy kupca, która czuje się samotna, wiesz o tym, prawda?

Nate zeszywniał. Sugestia, iż mógł przypuszczać, że Lily jest podobna do innych znanych mu kobiet, obrażała go.

— Wiem, kim ona jest, i wiem, kim nie jest, Alvo — odparł. — Nie dopuściłbym, żeby spadł jej z głowy choć włos! Pragnę, żeby została moją żoną.

Alva chciała coś powiedzieć, ale popatrzwszy na twarz chłopca, zmieniła zamiar. Pocałowała go tylko w policzek.

— Chodź ze mną — poleciła. — Młode dziewczyny zajmują się teraz dziećmi, by ich matki mogły przyszykować śniadanie i przygotować się do modlitwy. Dziś akurat Lily opiekuje się moją Susan, wezmę więc małą, żebyś mógł zabrać swoją ukochaną na spacer.

— Och, Alvo, ja...

— Uspokój się! Jeśli będziesz za dużo o tym myślał, zapomnisz języka w gębie.

Nate rzeczywiście nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Alva przedstawiła go tak szybko, że ledwie zdążył się z Lily przywitać i idąc teraz u jej boku, czuł w głowie taką pustkę, że zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Obecność dziewczyny paraliżowała go. Z bliska była jeszcze piękniejsza, a przy tym pachniała wszystkimi kwiatami świata.

Bez słowa poprowadził ją ku kępie sosen, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Lily posłusznie szła za nim, w pewnym momencie jednak położyła mu dłoń na ramieniu, nakazując, by się zatrzymał.

Nate'owi zabrakło tchu w piersi.

— Wiem, kim jesteś, Nathanielu Richardsonie — powiedziała.

— Naprawdę? — Aż mu się zakręciło w głowie. Dziewczyna spojrzała na niego spod rzęs.

— Jesteś tym chłopakiem, który zerknął na mnie w piątek, po czym podwinął ogon pod siebie i uciekł.

Cóż, dziewczyna nie czuje się zbyt szczęśliwa, gdy ktoś zachowuje się w ten sposób na jej widok.

Powiedz mi: czy rzeczywiście wyglądam tak strasznie, że nie mogłeś na mnie patrzeć? Teraz postępujesz podobnie: gnasz przed siebie tak szybko, że ledwie mogę dotrzymać ci kroku.

— Och, nie! — wykrzyknął Nate. — Nie, nie, panno Gaskins — dodał po chwili, nieco ciszej. — Jest pani najpiękniejszą dziewczyną pod słońcem. Stwierdziłem to, gdy tylko panią zobaczyłem.

— To już lepiej — uśmiechnęła się Lily. — Podejźmy

wobec tego do tych drzew, gdzie znajdziemy nieco cienia — dodała, biorąc go pod rękę. Jej głowa ledwie sięgała ramienia Nate'a i chłopak poczuł, że byłby gotów do ostatniego tchnienia bronić tej kruchej istoty przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Zastanawiał się, jak powiedzieć jej o tym, żeby go nie wyśmiała. Umarłby chyba z rozpaczy, gdyby Lily zaczęła z niego szydzić.

— Przy tobie czuję się taka bezpieczna, Nathanielu... nie masz chyba nic przeciwko temu, bym nazywała cię Nathanielem, prawda? Pan Richardson brzmi tak, jakbym mówiła o starym człowieku. Jeśli zaś ja zwracam się do ciebie: Nathanielu, ty, oczywiście, powinieneś nazywać mnie Lily. Ale nie przy ludziach! Mój ojciec mógłby wówczas uznać, że jesteś impertynencki, i sprząłby cię na kwaśne jabłko — znowu się uśmiechnęła. — Och, a ja tak lubię łamać zasady. A ty? — zapytała, opierając policzek na jego ramieniu i patrząc mu prosto w oczy.

Jej lekko rozchylone, wilgotne, różowe usta zdawały się zapraszać do pocałunku. Bliskość dziewczyny sprawiła, że Nate poczuł zawrót głowy. Położył dłoń na jej gęstych, miękkich włosach. Owiał go delikatny zapach perfum. Wdychał go głęboko, myśląc, że tak właśnie czują się ludzie pijani. Nie liczyło się nic poza ogarniającym go podnieceniem, poza chwilą, którą właśnie przeżywał. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, ale potrafił okazać to, co chciał powiedzieć. Przytulił Lily do siebie i pocałował. Jej oddech pachniał słodko, a usta były miękkie i ciepłe. Przez koszulę czuł krągłość jej niewielkich, jędrnych piersi.

— Nie! — zawołała Lily.

Ruch jej warg sprawił, że Nate'a ogarnęło jeszcze większe pożądanie, ale wypowiedziane przez dziewczynę słowo podziałało jak kubeł zimnej wody. Chyba oszalał, pozwalając sobie wobec niej na coś takiego! Wściekły na siebie, z trudem odsunął się od Lily.

— Wybacz mi — wyjąkał. — Wiem, że żądam zbyt

wiele. Jestem nikczemnikiem i ty z pewnością mną pogardzasz. — Zanim jeszcze skończył mówić, opadł na kolana i zwiesił głowę. — Nie jestem godzien całować ziemi, po której stąpasz. Ale tak bardzo cię kocham. Tylko tyle mam na swoje usprawiedliwienie. Szaleję z miłości do ciebie. Lily dotknęła go lekko czubkiem sznurowanego bucika.

— Och, wstań, Nathanielu! Pobrudzisz się! Sprawiasz, że oboje wyglądamy głupio.

Nate uniósł głowę i popatrzył na nią przez łzy.

— To znaczy, że mi wybaczasz? — zapytał, dławiąc się ze wstydu.

— Pod warunkiem, że natychmiast się podniesiesz — odparła.

Serce chłopaka zabiło żywiej z radości. Dzwoniło mu w uszach. Półprzytomny chwycił kraj jej sukni i ucałował go. Kiedy znowu na nią spojrzał, w jego oczach czaił się już uśmiech.

— Słyszałem, że mężczyzna, który się oświadcza, powinien klęczeć — powiedział. — Kiedy mógłbym porozmawiać z twoim ojcem na temat wesela?

— Wstań, Nathanielu — powtórzyła Lily, wyciągając ku niemu rękę. — Nie mam zamiaru wychodzić za mąż i ty dobrze o tym wiesz.

Nate podniósł się, nie przyjmując jej pomocy.

— Ależ musisz! — wybuchnął. — Kocham cię. Od chwili, kiedy cię ujrzałem. Od zawsze.

— Pochlebia mi to, co mówisz — odrzekła z uśmiechem dziewczyna. — Naprawdę. I bardzo ci dziękuję. Gdybym jednak wychodziła za mąż za każdego mężczyznę, który twierdzi, że mnie kocha, nawet namiot modlitewny nie wystarczyłby, żeby pomieścić weselników. Poza tym mam zamiar poślubić twojego brata.

— Gideona? Jesteś zaręczona z Gideonem? Nic mi na ten temat nie mówił...

— Bo on jeszcze o tym nie wie. Mój ojciec uważa go jednak za dobrą partię. Gideon ma przed sobą naprawdę

świetną przyszłość. Starszyzna Kościoła już teraz zwróciła nań uwagę.

Nate, oszołomiony, cofnął się o krok. Nie wierzył własnym uszom.

— Nie patrz na mnie w ten sposób — rozgniewała się Lily. — Zachowujesz się jak smarkacz, któremu odebrało mowę ze zdumienia. Bądź rozsądny. Mam szesnaście lat i przez całe życie podróżuję z ojcem, towarzysząc mu w jego misji. Jeden kościół za drugim, obóz modlitewny za obozem. Już czas najwyższy, bym wyszła za mąż. Niedobrze mi się robi od ciągłego zatrzymywania się w cudzych domach. I na dodatek zawsze trzeba jeszcze być wdzięcznym za gościnę. Mam tego dosyć. Nie chcę już nigdy więcej oglądać wnętrza namiotu. Pragnę mieć dom z ogródkiem pełnym kwiatów i szafę, w której będą wisiały moje suknie.

— Mogę dać ci dom.

— Jaki? Obłazący z farby dom na farmie? Oddalony o całe kilometry od siedzib innych ludzi, tak że nie ma tam do kogo otworzyć ust, a jedyną atrakcją jest coroczny wyjazd na obóz modlitewny? Nie, dziękuję. Chcę mieszkać w ładnym mieście, z prawdziwymi sklepami i ludźmi, którzy będą traktować mnie ze szczególnym szacunkiem, jako że będę żoną ich pastora. Pragnę nosić prześliczne parasolki nad głową, idąc ulicą i kłaniając się na prawo i lewo znanym mi z nazwiska przechodniom.

Nate nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

— Ale... Gideon nie ma zamiaru się żenić — wyjąkał w końcu z rozpaczą.

— Już ja się postaram, żeby zmienił zdanie — odparła Lily, uśmiechając się tajemniczo. — A teraz — powiedziała, zbliżając się do Nate'a — pocałuj mnie jeszcze raz. Na do widzenia. Jeśli zaś powtórzysz Gideonowi choć słowo z naszej dzisiejszej rozmowy, wyprę się wszystkiego i nazwę cię kłamcą. Prawdę mówiąc, podobasz mi się o wiele bardziej niż twój brat i ogromnie żałuję, iż to nie ty stanowisz ową dobrą partię. Założę się, że Gideon nie całuje nawet w po-

łowie tak dobrze jak ty. Lubię, kiedy to robisz, Nathanielu, uczyn to więc jeszcze raz. Potem zaś będziemy musieli już iść.

— Nie! Nigdzie nie pójdziemy! — Nate objął ją dłońmi w talii tak, jak to sobie niegdyś wyobrażał, i uniósłszy ją lekko, wycisnął na jej ustach długi, namiętny pocałunek. Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję i z całej siły przywarła doń ciałem. Nate poczuł, jak drży.

— Wyjdź za mnie — powtórzył, nie puszczając jej.

— Przysięgam ci, że pewnego dnia stanę się bogaty. — Pocałunek sprawił, że zupełnie nie panował już nad sobą.

— Poślub mnie — jęknął, stawiając ją z powrotem na ziemi i obejmując jej piersi. — Kocham cię. Lily odepchnęła go ze złością.

— Puść mnie! Jesteś wstrętny! — krzyknęła przez łzy.

Nate cofnął się zawstydzony i dręczony wyrzutami sumienia. Miał wrażenie, że jego ręce żyją własnym życiem. Zbrukały swym dotykiem anioła. Zwinał je w pięści i z całej siły uderzył nimi kilka razy w pień najbliższego drzewa. Czuł, że Lily ciągnie go za rękaw, ale nie zwracał na to uwagi. Dopiero kiedy zobaczył krew, dał spokój. Potrzebował swych rąk do pracy. Oszołomiony usłyszał lekkie kroki odchodzącej dziewczyny.

Rodzinie powiedział, że walczył z psem, który się na niego rzucił, i pozwolił Alvie opatrzyć poranione dłonie. Później tego samego dnia Gideon przyniósł matce radosną nowinę: wielebny Dan Gaskins przysłał mu liścik, w którym zawiadamiał, iż chce porozmawiać z nim na temat rozpoczęcia przez Gideona praktyki jako wędrowny kaznodzieja.

— Pójdę za nim, dokądkolwiek tylko zechce, mamó, i będę się od niego uczył. Ten człowiek pomoże mi stać się naprawdę dobrym pastorem. Czuję się tak zaszczycony jego propozycją, że wprost nie wiem, co mam powiedzieć.

Nate starał się nie patrzeć na brata i nie słuchać jego słów. Pragnął umrzeć.

PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ
24 sierpnia 1880

Rozdział 2

Chess zobaczyła tego mężczyznę już z daleka, jak szedł zapyloną drogą. Bez wątpienia był to ktoś obcy. Tu, w tej wiejskiej okolicy, wszyscy się znali. Ów człowiek wyglądał dziwnie: mimo piekielnego upału miał na sobie ciemny garnitur oraz miejski, także ciemny, kapelusz. Chess pochylała głowę, tak by szerokie rondo jej słomkowego kapelusza ocieniło oczy przed oślepiającym blaskiem zniżającego się ku zachodowi słońca. Poczwała się nieco lepiej widząc, że komuś jest jeszcze goręcej niż jej. Nieznajomy musiał też być bardziej od niej spocony.

Zmrużyła oczy i uniosła głowę. Któż to, u licha, mógł być? Obcy pojawiali się w tej okolicy rzadko — szczególnie poruszający się pieszo. Nawet najubożsi najmici mieli wóz i muła. Mężczyzna zbliżył się i Chess mogła teraz rozpoznać kształt pakunku, który niósł w ręce. Była to lekarska torba. Czyżby stary doktor Murchison sprowadził sobie kogoś do pomocy? Jeśli tak, byłoby to prawdziwe błogosławieństwo. Zniechęcił już tak bardzo, że Chess sama musiała wykonywać za niego większość zabiegów. Potrafiła równie dobrze jak on zszywać rany. Wychodziło jej to nawet lepiej, jako że widziała przynajmniej, co robi, podczas gdy oczy Murchisona pokrywało już bielmo starości. Modliła się tylko do Boga, aby lekarz nie popełnił jakiejś omyłki, przygotowując lekarstwa dla jej matki.

Czemu traci czas na takie rozmyślenia — zganiała się

w duchu, prostując ramiona. Obcy przybysz to nie jej sprawa, a zrobiło się już późno. Oczyszczanie strumienia zabrało więcej czasu, niż powinno, chociaż sama stała po kostki w błocie, instruując robotników, co mają robić. Spuściła wzrok i popatrzyła na swe brudne spodnie i buty. Tęskniła za chłodną kąpielą. I umyciem włosów. Przed wyjściem splotła wprawdzie warkocze i ukryła je pod kapeluszem, ale była pewna, że błoto i tam się dostało.

Potrząsnęła lejcami, uderzając nimi w grzbiet muła. Jesteś równie leniwy jak wszystkie inne stworzenia w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu — pomyślała. — I tak samo jak one do niczego się nie nadajesz. Ale może jednak zawiesz mnie do domu? Wciąż jeszcze mam tysiące rzeczy do zrobienia. Muł przyśpieszył nieco kroku, ale po chwili na powrót zwolnił. Chess pochylała się i silnie smagnęła zwierzę zniszczoną, niegdyś elegancką jeździecką szpicrutą. Wóz zachwiał się i zakołysał, kiedy przerażone zwierzę zerwało się do galopu. Dziewczyna uniosła głowę, pozwalając, by pęd powietrza owiał jej poczerwieniałą z gorąca twarz.

Zauważyła, że nieznajomy lekarz wędrował boso. Buty, związane razem sznurowadłami, powiesił sobie na szyi. Niezły z niego doktorek — pomyślała z pogardą — skoro nawet oszczędza obuwie. Będzie świetnie pasował do starego Murchisona. Ściągnęła lejce, zmuszając muła, by zwolnił kroku, i skrzyła, kierując się ku otwartej pordzewiałej bramie.

W tym momencie usłyszała za sobą wołanie.

— Hej, panie! — krzyknął nieznajomy. — Proszę chwilę poczekać.

Chess zatrzymała wóz. Obróciła się na koźle i popatrzyła na biegnącego mężczyznę. Wiszące na szyi buty uderzały o jego klatkę piersiową w tym samym rytmie, w jakim bosa stopy bębniły o ziemię. Ależ ten człowiek miał kondycję! Wobec tego z pewnością nie pochodził z tych stron. Kiedy dobiegł do wozu, nie miał nawet zadyszki.

— Jest pan pierwszą żywą duszą, jaką spotkałem od

blisko godziny — powiedział z uśmiechem. — Czy może mi pan powiedzieć, jak daleko stąd do posiadłości Standishów? Czy nie minąłem jej przez pomyłkę? Chess zamrugła oczyma.

— To właśnie jest Harefields — oświadczyła, wskazując szpicrutą wyrzeźbione w kamieniu zajęce, które wieńczyły podtrzymujące bramę ceglane słupki.

Nieznajomy zerknął we wskazanym przez nią kierunku. Chess przyglądała mu się z ciekawością. Był gładko wygolony, zupełnie inaczej niż większość znanych jej mężczyzn, z dumą noszących swoje brody. Nadawało mu to bardzo młody wygląd, choć widać było, że nie jest już chłopcem. Miał szerokie ramiona i silne mięśnie, wyraźnie rysujące się pod ciemnym, zakurzonym ubraniem. Pył osiadł także na jego opalonej twarzy i ciemnych brwiach. Nie nosił kołnierzyka przy koszuli, a jej górny guzik był teraz rozpięty. Chess mogła dojrzeć silny, szeroki kark oraz wilgotne, nie pokryte kurzem kółko, wymyte na skórze przez pot.

Mężczyzna obrócił się i z uśmiechem popatrzył na dziewczynę.

— Ha! Ludzie mówili mi, że powinienem rozglądać się za dwoma dużymi królikami. Jak daleko stąd do dworu? Czy mogę podjechać tam razem z panem?

Nie czekając na odpowiedź, postawił swoją torbę z tyłu wozu, koło ubłoconych łopat, i wdrapał się na miejsce obok Chess.

Dziewczyna była tak zdumiona jego bezczelnością, że na chwilę odebrało jej głos. Nieznajomy natomiast nie zauważył w swym zachowaniu niczego niezwykłego.

— Jestem strasznie zgrzany i spragniony. Mam za sobą długą drogę z Richmond — powiedział. Spróbował się przeciągnąć, ale nagle zamarł bez ruchu. Jęknął, a z jego twarzy zniknął uśmiech.

— Mój Boże — szepnął. — Ależ ty wcale nie jesteś mężczyzną!

Na jego ustach znowu pojawił się uśmiech.

— Ogromnie panią przepraszam. Z daleka nie spostrzegłem... — Grzecznie uchylił kapelusza, po czym nałożył go z powrotem, tym razem zsuwając nieco na tył głowy.

Chess zerknęła na pozostawioną przez ciasne nakrycie głowy czerwoną pręgę na jego czole.

Mężczyzna! Też coś! — pomyślała.

— Kim pan jest i czego chce? — zapytała.

— Nazywam się Nate. Nathaniel Richardson. Przebyłem całą tę drogę z hrabstwa Alamance w Karolinie Północnej, by zobaczyć się z panem Augustusem Standishem.

Chess stwierdziła, że wygłosił te słowa takim tonem, jakby oczekiwał braw albo jakby sądził, że ona nie wie, iż Karolina Północna graniczy od południa ze stanem, w którym się znajdowali, to jest z Wirginią. Jak on śmie traktować ją jak jakąś głupią gęś? I czemu bez przerwy szczerzy w uśmiechu te swoje wielkie, białe zębiska?

— Pewnie uważa mnie pani za wyjątkowego idiotę, zważywszy na to, że wziąłem panią za mężczyznę — powiedział Nate, patrząc na nią przepraszająco. — Moja matka zawsze powtarza mi, że należę do ludzi, którzy najpierw skaczą, a później dopiero zastanawiają się, w co wskoczyli.

Nadal jednak uważał, że przez te ubłocone spodnie dziewczyna znacznie bardziej przypomina wyglądem mężczyznę niż kobietę. Nawet z bliska łatwo można było się pomylić. Miała płaski biust i mocno zarysowaną szczękę — tyle że twarz była drobniejsza. Gdyby nie długi, jasny warkocz, który spadał jej na plecy spod kapelusza, Nate nadal miałby wątpliwości, czy nie rozmawia z chudym, bladym, chorowitym chłopakiem o zapadniętych policzkach i zadartym cienkim nosie.

Widać było, że dziewczyna jest na niego wściekła, ale ponieważ chciał uzyskać odpowiedź na kilka pytań, musiał jakoś się jej przypodobać.

Uśmiechnął się i zdjął z szyi wiszące na sznurowadłach buty.

— Całe szczęście, że nie włożyłem ich na nogi — oświa-

dczył. — Powinienem sobie odgryźć język za to, że wziąłem panią za mężczyznę, ale ponieważ mam buty, mogę zamiast tego odgryźć język jednego z nich — roześmiał się, mając nadzieję, że i ją rozbawi ten żart.

Chess nie miała jednak zwyczaju śmiać się z byle czego.

— Od domu dzieli nas jakieś pięć kilometrów — odrzekła — a pan, mam wrażenie, postanowił podróżować moim wozem. — Cmoknęła na muła i potrząsnęła lejcami.

Nate przestał się uśmiechać. Kobieta siedziała sztywno, jakby połknęła kij, i patrzyła prosto przed siebie. Nate rozejrzał się na boki, zastanawiając się, co teraz powiedzieć. Spostrzegł, że pola są tu urodzajne i dobrze uprawiane, choć widać było, iż gwałtownie potrzebują deszczu. W oddali zauważył odsunięte nieco od drogi koślawe wiejskie chałupy. Na podwórkach bawiły się dzieci, a jakaś kobieta zdejmowała ze sznura bieliznę. Ci ludzie muszą dzierżawić tutaj ziemię — pomyślał. Gdzie jednak podzieli się wszyscy mężczyźni? — zdziwił się, po czym wypowiedział to pytanie na głos.

— Są zajęci oczyszczaniem strumienia — odrzekła Chess. — Dzięki temu będzie dość wody, by ocalić plony kukurydzy, nawet jeśli nie spadnie deszcz.

Nate zerknął na jej ubłocone buty — teraz rozumiał już, skąd się wzięły: ta dziewczyna musiała wykonywać męską pracę, ponieważ nie miała męża. W innych okolicznościach wyręczyłby ją w tym pewnie brat lub szwagier, ale tak wielu mężczyzn poległo w Wirginii, walcząc z Jankesami, że teraz kobiety same musiały radzić sobie ze wszelkimi obowiązkami. Biedactwo! Nic dziwnego, że zachowuje się tak oschle. Poprawił się na koźle, wyciągając przed siebie nogi. Cieszył się, że jest już tak blisko celu. Bardzo blisko. Pochylił się, usiłując dojrzeć domostwo, do którego zmierzali.

Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z wrażenia, jakie wywarł na swej towarzysze podróży. W Chess zaś kłębiły się dziwne, nie znane jej dotąd uczucia. Zachwyciło ją nie tyle ciało tego mężczyzny — nie był bowiem zbyt wyso-

ki — ile jego witalność, bijąca odeń energia i ciepło. Jego głos brzmiał donośniej, uśmiech był szerszy, a błękitne oczy większe i jaśniejsze niż u innych ludzi. Ten mężczyzna wytrącał ją z równowagi.

Świat, w którym żyła Chess, nie „zdarł się” jeszcze, jak sądziła, ale istotnie tutejsi ludzie byli zmęczeni. „Wirginia Przyptywów” — oto jak nazywano jej rodzinny stan, piękny, nizinny kraj nad szerokimi wodami James River. Kraj plantacji. Miejsce, gdzie tak przyjemnie się żyło, ziemia, której wartość dorównywała urodzie. Gościnna kraina uczt, polowań, balów i pojedynków, gdzie tuziny stąpających cicho niewolników czekały, by spełnić każde życzenie swych panów.

Tak było do chwili, kiedy wojna położyła temu wszystkiemu krwawy kres. Od jej zakończenia upłynęło już wprawdzie piętnaście lat, ale rany, jakie zadała, jeszcze się nie zabiłiły. Żaden nowy styl życia nie zastąpił owej wspaniałej egzystencji, ciągle obecnej w pamięci mieszkańców stanu. Smutek spowijający tę krainę oraz brak nadziei na lepsze jutro spowalniał kroki tych, co ocalili. Żyli w świecie wspomnień, świecie przeszłości, a nie teraźniejszości.

Ten bosonogi lekarz natomiast był człowiekiem chwili obecnej, a nie plantatorem. Świadczyło o tym zarówno jego źle uszyte, wystrzępione ubranie, jak i pewność siebie, z jaką rozmawiał z Chess. Zupełnie nie onieśmiały go ani krótkie odpowiedzi na pytania, ani nawet jej milczenie. Dziewczyna nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego. Zachowywał się po prostaku i niewątpliwie należał do niższej klasy, ale w ogóle się tym nie przejmował. Był całkowicie z siebie zadowolony. Wnosił życie i radość w tutejszą martwą atmosferę. Budziło to w Chess lęk, ale jednocześnie uwalniało tłącą się gdzieś w zakamarkach umysłu nadzieję na inne życie.

— Tak, proszę pani — ciągnął Nate. — Nie ma nic równie poprawiającego człowiekowi samopoczucie jak deszcz, który pada wtedy, gdy jest potrzebny. W zeszłym

miesiącu w hrabstwie Alamance także wpadliśmy w rozpacz z powodu suszy. Kiedy zaś w końcu nadeszły deszcze, świat stał się na powrót piękny. — Przerwał, czekając na jakąś odpowiedź, ale dziewczyna milczała. — Te pola kukurydzy wyglądają bardzo obiecująco — dodał, by podtrzymać rozmowę. — Wystarczy parę kropel wody, żeby wydały obfity plon. Ma pani rację: trzeba skierować w tę stronę wodę ze strumienia.

Chess skinęła głową, ale nie odezwała się ani słowem.

Nate popatrzył przed siebie. Wysuszone, pyliste bruzdy ziemi zdawały się ciągnąć bez końca, wiedział jednak, że tak nie jest. Nie powinien tracić czasu.

— Muszę pani coś wyznać — oświadczył, zerkając na dziewczynę i zmuszając się do uśmiechu. — Przykro mi, jeśli panią uraziłem. Naprawdę. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała mi pani wybaczyć i mimo wszystko pomóc. Prawdę mówiąc, jak dotąd nie poznałem osobiście pana Stan-disha, słyszałem o nim natomiast kilka mrozących krew w żyłach opowieści. Chętnie dowiedziałbym się od pani, co było w nich prawdą, a co tylko wymysłem złośliwych plotkarzy. Nie chciałbym, podobnie jak rzekomo tylu innych, skończyć spotkania z nim, mając o kilka zębów mniej.

Chess odwróciła głowę. Nate zauważył, że jej twarz była teraz jeszcze bledsza. Nawet oczy dziewczyny sprawiały wrażenie wyblakłych. Miały szarą barwę i wydawały się jaśniejsze, niż były w istocie, otaczały je bowiem głębokie sińce. Nate po raz pierwszy widział oczy tego koloru, choć oczywiście słyszał, że tęczęwki mogą mieć ten odcień. Oczy Chess były tak przejrzyste, iż patrząc na nie, odnosiło się wrażenie, że spogląda się przez tafłę wody, nie mógł jednak dostrzec, co się w nich kryje ani odgadnąć, o czym też myśli ta blada, milcząca kobieta.

— Co chciałby pan wiedzieć? — zapytała.

A więc w końcu odezwała się do niego. Dobrze i to. Nate pochylił głowę, jakby miał zamiar wyjawic jakąś poufną informację.

— Czy to prawda, że stary Standish jest tak zmyślny, jak o nim mówią? Słyszałem, że umie w taki sposób połączyć ze sobą zwój lin i koła, że powstaje z nich kołowrót, za pomocą którego można prawie bez wysiłku wyciągnąć ze studni wiadro z wodą. Opowiadano mi też, że skonstruował zegar, który trzeba nakręcać zaledwie raz w roku. Powiadają również, iż wynalazł jakieś urządzenie, które łuska groch... a może obiera go albo gotuje... sam już nie pamiętam.

Nate mówił to wszystko z takim przejęciem, że nie spostrzegł nawet, iż podniósł głos, a jego policzki zarumieniły się z podniecenia. Uderzył swymi dużymi dłońmi o siebie.

Chess popatrzyła nań ze zdumieniem, ale nie zwrócił na to uwagi.

— Są tacy, którzy twierdzą, że ten starzec potrafi rozwiązać każdy problem, z jakim ktoś się do niego zwróci — niezależnie od tego, o co by chodziło. Krążą pogłoski, że konstruuje mechanizmy, które działają, mimo że składają się jedynie z kół i kawałków sznurka. Nikt nie rozumie nawet połowy z tego, co on robi, i większość ludzi uważa go wręcz za czarnoksiężnika. Czy naprawdę nim jest?

Twarz Nate'a, gdy wypowiadał te słowa, jaśniała nadzieją, ręce zaś miał kurczowo zaciśnięte.

Chess wyczuwała emanującą od niego energię i zdawała sobie sprawę, ile wysiłku kosztuje go trzymanie swych emocji na wodzy. Popatrzyła na dłonie mężczyzny, natychmiast jednak odwróciła wzrok.

— W istocie, jest wynalazcą — odparła — ale z pewnością nie czarnoksiężnikiem. Poświęcił dwa lata na skonstruowanie maszyny do robienia deszczu i sam pan zobaczy, co z tego wyszło. — Miała nadzieję, że ta odpowiedź ostudzi nieco zapał jej towarzysza podróży, Nate jednak gwałtownie potrząsnął głową.

— Nic pani nie rozumie! — zawołał, podnosząc głos. — Nikomu nie udaje się za pierwszym razem.

Bywa, że nie

udaje się nigdy. Ale jeśli choć kilka razy w życiu... do diabła, choćby raz w życiu człowiek zdoła osiągnąć coś, czego nie zrobił nikt przed nim, to rzecz ta warta jest poświęcenia Bóg wie ilu lat... — przerwał nagle, niezdolny do wypowiedzenia tego, co czuł.

— A cóż takiego pan próbuje wynaleźć, panie Richardson? — zapytała Chess, zapominając o swoim zakłopotaniu. Ciekawość wzięła górę nad nieśmiałością.

— Nic — odparł mężczyzna. — Jestem człowiekiem czynu, a nie marzycielem. Chcę jednak porozmawiać ze starym Standishem o pewnej maszynie, o której kiedyś słyszałem. Czy sądzi pani, że się zgodzi? Wiem, że łatwo wpada w szał. Wszyscy tak mówią. Ale pani sama pewnie wie o tym najlepiej. Musi go pani chyba dobrze znać.

Chess skinęła głową.

— Niech się pan mocno trzyma — poleciła. — Stajnia jest już niedaleko, a ten muł zwykle zaczyna galopować, gdy tylko poczuje dom.

Nate chwycił się kozła. Zrobił to akurat na czas, by nie wypaść z wozu.

— Dzięki za ostrzeżenie — powiedział z uśmiechem, kiedy stanął już bezpiecznie na podwórzu przed stajnią. — Czy mógłbym się umyć, zanim pójdę na spotkanie z tym starcem? Mam ze sobą mydło.

— Tam jest woda — odparła Chess, wskazując ręką podwórzową pompę.

Wyprzegając i wycierając do sucha muła, zerkała ukradkiem na myjącego się mężczyznę. Nate zdjął koszulę i położywszy ją na ziemi, energicznie poruszył ramieniem pompy, po czym podstawił głowę i tors pod silny strumień wody. Jego skóra na piersiach i ramionach była zdumiewająco biała w porównaniu z opaloną twarzą i rękoma. Krople wody sprawiły, że lśniła jak jedwab. Kiedy Nate zaczął namydlać ciało, Chess poczuła w koniuszkach palców dziwny ból. Gwałtownym ruchem ściągnęła rękawiczki. Co się z nią dzieje? Miała ochotę dotknąć szerokich

pleców mężczyzny, chciała, by raz jeszcze uderzył ją w nozdrza zapach jego potu, zanim mydło zabije tę woń. Co więcej, nawiedziła ją szaleńcza myśl, by musnąć wargami jego skórę i poczuć na języku smak mydła. Była wstrząśnięta, że coś takiego mogło w ogóle przyjść jej do głowy.

Powinnam się wstydzić — upomniała się w duchu. — Nie wolno mi patrzeć w ten sposób na niego ani myśleć o podobnych rzeczach!

Nie potrafiła jednak odwrócić wzroku. Nigdy nie widziała nagich pleców mężczyzny. Miała trzydzieści lat i nikt jej dotąd nie objął, nie pocałował. Poza tym, co wyczytała w książkach, nie wiedziała nic o tym, co może łączyć mężczyznę i kobietę. Nie była przygotowana na pożądanie, które ogarniało jej ciało — czuła się nim przerażona i zakłopotana. Na kartach książek Dumasa czy Waltera Scotta o niczym takim nie wspomiano.

Zrobiło się jej słabo, kiedy Nate się odkręcił i spostrzegła krople wody lśniącej na ciemnych, skręconych włosach na jego klatce piersiowej. Pośpiesznie odwróciła wzrok.

Gdy sznurował buty, uspokoiła się nieco. Ruszyli ku „szopie wynalazków”. Idąc obserwowała długi cień mężczyzny padający na jej ramiona lub na ścieżkę przed nimi. Czuła bijący od niego zapach mydła oraz woń krochmalu ze świeżej koszuli i kołnierzyka, wyjętych z lekarskiego kuferka.

Zapukała krótko i otworzyła drzwi.

— To ja, Cezarze, Chess. Przyprowadziłam kogoś, kto chce z tobą pomówić.

Na progu stanął zgarbiony mężczyzna o rzadkich, siwych włosach. Młodzieńcze rysy jego twarzy kontrastowały z pokrywającą ją siecią zmarszczek.

— Jestem już blisko — oświadczył. — Wiem, że jestem blisko. Jeszcze tylko kilka poprawek. Koło zamachowe musi zostać całkowicie przebudowane, ale to drobiazg... Kto to jest? — zapytał, spoglądając ponad ramieniem Chess.

— Nathaniel Richardson z Karoliny Północnej — od-

rzekła dziewczyna, zerkając na znajdującego się za jej plecami Nate'a, który stał nienaturalnie sztywno, podobny do woskowej figury.

Uśmiechnęła się lekko.

— Ten „łatwo wpadający w szal” starzec jest moim dziadkiem, panie Richardson. Oto Augustus Standish — w jej głosie dało się wyczuć lekkie szyderstwo.

Nate zamrugał oczyma.

— Dostałem po nosie — stwierdził i zachichotał. Położył dłoń na ramieniu Chess i odsunął ją lekko na bok.

— To dla mnie prawdziwy zaszczyt móc pana poznać, panie Standish. Przybyłem tutaj, by pomówić z panem o Jamesie Bonsacku.

— O Jimmym? Miły z niego chłopak. Pochodzi z dobrej rodziny. Znałem jego ojca i dziadka. Wejdz, młody człowieku, i powiedz, o co ci chodzi.

Nate posłusznie przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi. Chess była nieomal pewna, że zanim to uczynił, mrugnął do niej znacząco. Biegając do domu, wciąż jeszcze czuła na ramieniu dotyk dłoni tego mężczyzny.

Rozdział 3

Długi letni zmierzch gęstniał już szybko, kiedy Nate i stary Standish wyszli z warsztatu. Chłopak spojrzał w niebo i okiem farmera ocenił, że dochodzi siódma. Będzie musiał przenocować gdzieś w lesie w pobliżu drogi i gdy tylko zacznie świtać, wyruszy z powrotem do Richmond. Być może napotka rano jakieś zmierzające do miasta wozy i poprosi o podwiezienie — nie tak jak dzisiaj.

— Wygląda na to, że złapała cię noc, Nate — stwierdził stary dżentelmen. — Zjesz kolację z moją rodziną i przenocujesz u nas.

— Dziękuję panu — uśmiechnął się z wdzięcznością chłopak, któremu od kilku już godzin kiszki grały marsza, jednak dopiero teraz poczuł się naprawdę głodny. Modele wynalazków Standisha były równie fascynujące co rozmowa z ich konstruktorem, dlatego też na chwilę zapomniał o swym gorzkim rozczarowaniu. Teraz uczucie to powróciło wraz z kwaśnym posmakiem dojmującego głodu. Mimo to ze wszystkich sił starał się zachowywać tak, jak przystało na dobrze wychowanego młodzieńca, choć w gruncie rzeczy miał ochotę zaszyć się w jakimś odludnym miejscu i wyć do księżyca.

Tak blisko! Znalazł się tak blisko i przegrał! Nic gorszego nie mógł sobie wyobrazić. Maszyna wynaleziona przez Jamesa Bonsacka wróżyła prawdziwą rewolucję w biznesie tytoniowym. Nate od miesięcy już przysłuchiwał się roz-

mowom na ten temat. Oczywiście, dotarło też do niego, że są z tym wynalazkiem pewne problemy i że wszystko może się skończyć na niezbyt udanym prototypie. Ale powtarzano w jego obecności także plotki, które budziły w nim wielkie nadzieje: że jakiś szalony człowiek z okolic Richmond skonstruował maszynę lepszą od tej Bonsacka. I że uczynił to, zanim jeszcze Bonsack zdążył opatentować swój wynalazek. Nikt nie wiedział na ten temat nic pewnego, informacje były nie sprawdzone i często ze sobą sprzeczne, ale Nate doszedł do wniosku, że jeśli tkwi w nich jakieś ziarno prawdy, to odnalazłszy tego człowieka, mógłby odkupić jego patent. Zyskałby w ten sposób szansę, na którą czekał i pracował przez całe ostatnie pięć lat.

Nie licz na to za bardzo! — powtarzał sobie, wyruszając na poszukiwania. Prawdopodobnie nie ma żadnej maszyny, a w każdym razie lepszej od tego, co wymyślił Bonsack. Niewykluczone, że w pobliżu Richmond nie mieszka nawet żaden Standish. Jeśli coś brzmi zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe, to najczęściej dzieje się tak dlatego, że prawdą nie jest.

Mimo to nie potrafił porzucić nadziei. Kiedy tak szedł pieszo z Richmond, przez całą drogę snuł plany, w jaki sposób najlepiej wykorzystać wynalazek tego człowieka i jak nakłonić go do odsprzedania mu patentu.

Standish co chwila czymś go zdumiewał. Po pierwsze, przyjął go nadzwyczaj serdecznie, a przecież człowiek pochodzący z małej farmy w Karolinie Północnej rzadko bywał traktowany w ten sposób przez ludzi, którzy posiadali plantacje tak rozległe, że bramę ich posiadłości dzieliło od domu pięć kilometrów.

Po drugie, stary dżentelmen był wyraźnie zainteresowany pomysłami Nate'a, historią jego życia oraz planami na przyszłość. Chłopak rozmawiał z nim tak jak dotąd z nikim innym. Powiedział mu nawet o rzeczach, co do których

wcześniej był przekonany, iż wolałby raczej odgryźć sobie język niż wyjawić je komukolwiek.

— Czuję, jakbym znał cię już od dawna — powiedział na zakończenie rozmowy Standish. — I bardzo mi się podobasz, Nathanielu Richardsonie. Z prawdziwą przyjemnością pokażę ci to, co chcesz zobaczyć.

Wspiął się na palce i z pełnej najprzeróżniejszych pudełek półki zdjął jakąś skrzynkę. Wewnątrz znajdował się długi na sześćdziesiąt centymetrów skomplikowany, drewniany model. Sosnowe drewno było tak wypolerowane, że lśniło jak atlas i przypominało wyglądem stare złoto. Miniaturowe kółka zębate przesuwwały ogniwa małych łańcuszków, a maleńkie koła napędowe i gumowe pasy transmisyjne podejmowały bezgłośnie rytmiczną pracę, gdy tylko wprawiono się je w ruch. Ta maszyna była prawdziwym dziełem sztuki. Była nawet lepsza, niż Nate w swych najśmielszych oczekiwaniach się spodziewał.

— Jimmy Bonsack? — powtórzył Standish z szerokim uśmiechem. — Ależ tak, wielokrotnie z nim rozmawiałem. Znam go od czasów, kiedy nosił jeszcze koszulę w zębach. Bystry chłopak. Zawsze był taki. Powiedziałem mu, że jego pomysły są niezłe, bo rzeczywiście takie były. Ale nie zdradziłem mu wszystkiego, co wiem. — Stary dżentelmen mrugnął znacząco. — Tak jak pewna kucharka, którą niegdyś miałem: chętnie dawała przepisy na swoje potrawy, ale zawsze zapominała o jakimś drobiazgu — szczypcie pieprzu czy innym szczególe — który miał największe znaczenie dla smaku potrawy.

— Czy on widział ten model? — zapytał Nate, mając nadzieję, że jako jedyny dostąpił tego zaszczytu.

— Oczywiście. Jestem bardzo próżny i lubię chwalić się moimi wynalazkami. Dzięki Bogu, mój reumatyzm dokucza jedynie nogom, a nie palcom. Uważam się za najlepszego majsterkowicza od czasu Grinlinga Gibbonsa.

To nazwisko nic Nate'owi nie mówiło, rozumiał jednak dumę Standisha.

— Bez wątpienia jest pan nim — zapewnił gospodarza.

— Czy mogę tego dotknąć?

— Przykro mi, ale nie, synu. To bardzo precyzyjne, lecz i kruche urządzenie. Poza tym te wszystkie łańcuchy i kółka... Ponieważ są bardzo małe, ogromnie trudno jest poumieszczać je we właściwych miejscach, łatwo natomiast spadają ze swoich podpórek.

Nate był rozczarowany. Palce swędziały go wprost, by dotknąć wypolerowanego drewna i zacząć obracać małe kółeczka. Jednak nie przyszedł tu przecież po to, żeby się bawić. Nabrał tchu, postanawiając wyjawić gospodarzowi, co go sprowadza.

— Niewiele wiem na temat patentów — powiedział.

— Sądzę jednak, że musiał pan wysłać ten model do jakiegoś biura.

— Och nie! Oni z pewnością uczyniliby to, na co tobie nie pozwoliłem. A potem musieliby użyć swych mózgów, by poskładać wszystko z powrotem. Thomasowi Jeffersonowi wystarczyłoby zaledwie jedna minuta, w następnej już pewnie by ulepszył to urządzenie. Ten człowiek urodził się, aby być wynalazcą. To straszne, że stracił tyle czasu na pełnienie urzędu prezydenta... Przepraszam, synu, starzy ludzie szybko gubią wątek. Pytałeś o urząd patentowy. Oni życzą sobie za każdym razem tylko rysunków. Głupcy! Nic z nich nie rozumieją, podobnie jak z modeli, ale przynajmniej łatwiej jest im je przechowywać. Dlatego właśnie przestałem zawracać sobie nimi głowę. Powiedzieli mi, że moje modele zabierają za dużo miejsca, i prosili, bym wysyłał im jedynie kartkę papieru.

Nate wyłowił z gniewnej przemowy Standisha to, co interesowało go najbardziej.

— Przestał pan zawracać sobie nimi głowę? Czy tak? To znaczy, że nigdy nie opatentował pan tego wynalazku?

— Do diabła, jasne, że nie!

Pod Nate'em ugięły się nogi. Rozczarowanie było zbyt wielkie. Augustus Standish niczego jednak nie zauważył. Jak gdyby nigdy nic zdjął z półki kolejne pudełko.

— Popatrz, natknąłem się tu na pewien niewielki problem, który ogromnie trudno rozwiązać. Sam Archimedes miałby z tym kłopoty. Jak widzisz, dźwignia nie ma dostatecznej długości, by unieść cały ładunek. Co wobec tego zrobić? Wypróbowałem ze dwadzieścia lub trzydzieści rozwiązań, lecz bez rezultatu. Byłem już gotów poddać się, kiedy pewnego razu... — Nate pochylił się i przyjrzał modelowi. Będzie miał jeszcze dość czasu na rozpamiętywanie swojej porażki, teraz był po prostu oczarowany tym, co zobaczył.

Ponad dwadzieścia pudełek znalazło się na podłodze, nim gospodarz uświadomił sobie, która jest godzina.

Zamknawszy warsztat, poprowadził swego gościa ścieżką wśród bambusowych drzew. Dom, ledwie już widoczny w zapadającym zmroku, przypominał olbrzymi, bezkształtny cień, na którego tle wyraźnie rysowało się osiem białych kolumn wspierających dach wielkiego ganku, wyższych nawet niż drzewa na farmie Richardsonów. W oknach paliły się światła. Nate pomyślał, że ten budynek wygląda jak siedziba stanowych władz w Raleigh, gmach, który widział zaledwie kilka razy w życiu, lecz nigdy nie miał dość odwagi, by wejść do środka.

— Chodźmy tędy — polecił Standish, wskazując gościowi boczne drzwi, do których trzeba było wspiąć się po kilku schodkach. — Ilekroć spóźniam się na kolację, moja synowa zachowuje się jak jędza, musimy się zatem pośpieszyć.

Uprzedził Nate'a, że jego rodzina zawsze siada do stołu w wizytowych strojach i że stanowi to kolejną rzecz, do której jego synowa przywiązuje szczególną wagę. Uznał jednak, że garnitur jednego z wnuków będzie w sam raz pasował na gościa.

Nogawki spodni oraz rękawy marynarki okazały się niestety za długie, ale za to zręczne palce Standisha bez trudu poradziły sobie z koszulą, kołnierzykiem i spinkami do mankietów. Jedyne z butami nic nie dało się zrobić.

— Trzymaj po prostu nogi pod stołem, a wszystko będzie w porządku — polecił Nathanielowi starzec. Chłopak posłusznie skinął głową. Czuł się jak przebrany w maskaradowy strój niedźwiedź, którego widział kiedyś podczas jarmarku. Jednak zniósł to, ponieważ w powietrzu wisiał deszcz, a jego żołądek gwałtownie domagał się stawy.

Kolacji tej Nate nigdy nie zapomniał.

Stół był tak długi jak cały dom Richardsonów, pokój zaś, w którym go ustawiono, tak wielki, że w mroku nie widziało się jego ścian. Przy samym stole natomiast było jasno jak za dnia, oświetlały go bowiem — jak policzył chłopak — dwa tuziny świec osadzonych w wysokich, lśniących kandelabrach. Najbardziej oszałamiające wrażenie zrobił na nim jednak naszyjnik kobiety siedzącej po drugiej stronie stołu. To ona właśnie była ową synową, która budziła taki lęk w starym człowieku, choć zupełnie nie wyglądała na osobę zaciskającą pięści i krzyczącą, gdy ktoś spóźnia się do stołu. Nate'a uderzyła jej uroda. Miała jasne, popielatozłote, kręcone włosy, upięte wysoko. Jeden luźny lok zwieszał się nad lewym uchem i sięgał odkrytych ramion. Nate nigdy nie widział ubranej kobiety, która odsłaniałaby aż tyle nagiej skóry. Jej czerwona suknia miała tak potężne, bufiaste rękawy, że zdawały się one ściągać ją w dół, nieomal obnażając piersi. A były to piersi wyjątkowo piękne. Widziało się to już po tym skrawku, który wyzierał ponad czerwoną koronką, ozdabiającą dekolt toalety. Jeszcze głębsza czerwień otaczała jej szyję — tym razem były to jednak rubiny. Nate nie miał wątpliwości, że to właśnie z nich wykonano naszyjnik. Jakież bowiem inne czerwone kamienie mogłyby okalać pięknie oprawione diamenty? Nie mógł powstrzymać się od obliczania, ile wart jest taki klejnot. Z pewnością starczyłoby tego na wybudowanie fabryki albo młyna. Pomyślał o wielkich nadziejach, jakie wiązał ze spotkaniem ze Standishem, i miał ochotę rozplakać się jak dziecko. To pewnie dlatego, że jestem taki głodny — pomyślał,

zastanawiając się, jak długo trzeba będzie jeszcze siedzieć przy stole, zanim zostanie podane jedzenie.

— Panie Richardson?

— Tak, proszę pani? — Nate odwrócił się ku ubranej w czerwoną suknię damie.

— Czy jeździ pan konno?

— Gdy tylko mam po temu okazję — odparł, myśląc jednocześnie o swej pieszej wędrowce podczas upalnego dnia z Richmond, którą wciąż czuł jeszcze w nogach.

Pani Standish uśmiechnęła się miłym, rozjaśniającym całą twarz uśmiechem.

— To doskonale. Musi pan zatem zostać u nas aż do następnego polowania. Oczywiście, sam wybierze pan sobie wierzchowca. Mój starszy syn jest mistrzem w tresowaniu psów myśliwskich i z pewnością zadba o to, by dobrze się pan bawił.

Nate nie wiedział, o czym mówiła. Nie zauważył tu nikogo, kto mógłby być synem tej kobiety. Poza nim, starym wynalazcą oraz damą w czerwonej sukni przy stole siedziała jedynie milcząca dziewczyna, którą tego dnia na drodze wziął za mężczyznę.

— Moją córkę ani trochę nie interesują polowania — ciągnęła kobieta. — Wielka szkoda, nie uważa pan? Zawsze jej powtarzam, że popełnia wielki błąd. Szczególnie że miałyby szansę wykorzystać swe umiejętności jeździeckie — stwierdziła, uśmiechając się łagodnie do siedzącej obok starca dziewczyny.

Czyżby to była jej córka? Zupełnie wobec tego nie przypominała matki. Miała mizerną, bezbarwną twarz i była chuda jak patyk. Nawet jej włosy wyglądały bardziej na szare niż srebrne, inaczej niż u matki. Być może dlatego, że były zwinięte w ciasny, upięty na karku kok, ale Nate uważał, że po prostu miały popielaty odcień, podobnie jak jej skóra, a także suknia, którą nosiła. Wyglądała w niej zresztą o wiele lepiej niż w spodniach.

Do stołu zbliżył się niemłody Murzyn. On także miał

na sobie wieczorowy garnitur oraz białe rękawiczki. W rękach trzymał wielką, srebrną tacę zastawioną półmiskami. Nate łakomie pociągnął nosem. Nareszcie podano jedzenie. Okazało się jednak, że przyjdzie mu jeszcze poczekać. Z niedowierzaniem śledził kolacyjny ceremoniał. Jak gdyby specjalnie po to, żeby opóźnić posiłek, taca nie została ustawiona na stole, lecz mężczyzna zatrzymał się z nią obok krzesła pani Standish i poczekał, aż nałoży sobie ona po trochu każdej potrawy — Nate nie mógł na razie odgadnąć, cóż takiego podano. Następnie Murzyn podszedł do drugiej kobiety, a gdy ta również napełniła swój talerz, ominął gospodarza i wrócił do Nate'a. Co za strata czasu — pomyślał chłopak. — Przez ten czas zdążyłbym już skończyć swoją porcję! Z zadowoleniem zauważył, że jedzenie nie było zbyt wymyślne i że na półmiskach znajdowało się go dużo. Nałożył sobie okazałą porcję miękkiego kukurydzianego chleba, spory kopczyk czarnej fasoli oraz gulasz, który wyglądał na zrobiony z króliczego mięsa. Sięgnął po leżącą obok talerza dużą łyżkę i zabrał się do jedzenia.

— Moje ulubione danie, Catherine — oświadczył Standish. — Przepadam za gulaszem. Tylko taki sposób przyrządzania mięsa pozwala jeszcze moim starym zębom uporać się z dziczyzną — dodał, uśmiechając się do wnuczki. Kobieta odwzajemniła jego uśmiech, na jeden krótki moment upodabniając się do matki.

— Zawsze żywiłam sprzeczne uczucia co do dziczyzny — stwierdziła pani Standish. — Jelenie są wszak tak pięknymi zwierzętami. Choć, oczywiście, uwielbiam też ich mięso... Ilekroć więc jem sarninę, powtarzam sobie, że pewnie kroję właśnie jedną z tych okropnych bestii, które zjadły wszystkie moje lilie pomimo wysokiego muru wokół ogrodu.

— Może to właśnie te lilie nadały mięsu tak doskonały smak — powiedziała milcząca dotąd Chess. — W takim wypadku warto byłoby chyba obyć się bez kwiatów.

— Czasami nawiedzają cię zdumiewające myśli, Francesco. Nie mogę sobie wyobrazić czegoś ważniejszego niż kwiaty.

Kobieta wskazała dłonią stojącą wśród rzędu lichtarzy szeroką, błękitno-czerwoną misę, wypełnioną kwiatami i gałązkami bluszczu.

Podczas gdy trójka Standishów rozmawiała, Nate skupił się na jedzeniu. Pozostali spożywali kolację bardzo powoli, dlatego też zanim zdążyli opróżnić talerze choćby do połowy, ich gość wziął już sobie dokładkę.

Dopiero napełniwszy żołądek, Nate stał się znacznie bardziej towarzyski. Zaczął się przysłuchiwać rozmowie i uśmiechać do siedzących przy stole osób. Pani Standish mówiła niemal bez przerwy, bardzo mało jedząc. Jej wypowiedzi — zdaniem chłopaka — miały niewiele sensu, ale reszta domowników doskonale ją rozumiała. Nate co chwila rozglądał się po pokoju, spodziewając się, że za chwilę pojawi się mąż lub synowie kobiety, o których kilkakrotnie wspominała. Nikt jednak nie nadchodził. Miał nadzieję, że po prostu są gdzie indziej. Nie chciał, by okazało się, że zwyczajnie się spóźniają — nienawidził patrzeć na złośczące się kobiety. A skoro gniew tej damy zdołał wzbudzić strach nawet w starym panu Standishu, jemu samemu z pewnością z przerażenia włosy stanęłyby dęba. Ta kobieta i bez tego budziła w nim nieokreślony lęk, którego w żaden sposób nie umiał sobie wytłumaczyć.

Niespodziewanie pani Standish wstała. Jej teść i córka uczynili to samo. Nate także pośpiesznie zerwał się z miejsca.

— Zostawimy teraz panów, byście mogli napić się brandy i zapalić cygara — powiedziała, wyciągając ku gościowi upierścienioną dłoń. — Miłego wieczoru, panie Richardson. Jesteśmy wielce zobowiązani, że zechciał pan złożyć nam wizytę.

Nate także wyciągnął rękę. O co w tym wszystkim chodziło? Pani Standish musnęła lekko jego palce, po czym natychmiast cofnęła dłoń. Kiedy opuszczała pokój, zauwa-

żył, że dół jej sukni stanowiła staromodna krynolina; podobny fason miała spódnica córki, która podążyła za nią.

— Proszę usiąść, panie Richardson — polecił starzec, kiedy za kobietami zamknęły się drzwi. — Obawiam się, że powinienem był przygotować pana do tej kolacji lepiej niż tylko ofiarowując odpowiedni strój. Napije się pan whisky?

— Nie, dziękuję.

— Ja natomiast należę sobie szklaneczkę. Może nawet dwie. Catherine zachowywała się dziś w sposób szczególny. Już wtedy, gdy zobaczyłem, że włożyła czerwoną suknię, wiedziałem, że będziemy mieli kłopoty. To zawsze zwiastuje niebezpieczeństwo, jest jak flaga ostrzegawcza. Z mroku wynurzył się Murzyn, niosąc na tacy karafkę i dwie szklaneczki. Po chwili w milczeniu zaczął sprzątać ze stołu talerze.

— Dziękuję, Marcusie — powiedział Standish. — Czy wzięłeś już także swoją karafkę?

— Tak, proszę pana. Stoi przy moim łóżku — zachichotał służący, wychodząc z pokoju z zastawioną porcelaną tacą. — Na pewno będę po tym dobrze spał.

Stary dżentelmen wypił nawet trzy, a nie — jak zapowiadał — dwa drinki, kiedy wyjaśniał gościowi, co dzieje się w jego domu.

— Miałem tylko jedno dziecko — zaczął. — Syna. Z jakiegoś powodu, którego nikomu nie udało się ustalić, Bóg nie pobłogosławił już mojej żony i mnie kolejnym potomstwem. Ale cieszyliśmy się, że mamy choć Franka. Był zdrowym dzieckiem, które wyrosło na silnego mężczyznę. Stanowił dla nas źródło wielkiego szczęścia. Jego matka zmarła na zapalenie opłucnej, kiedy Frank studiował na uniwersytecie. Może i dobrze się stało, bo gdyby dowiedziała się o Catherine, chyba pękłoby jej serce. To małżeństwo zostało zawarte w wielkim pośpiechu... I tak daleko stąd... Mnie zawiadomiono, kiedy było już po wszystkim. Frank poznał ją podczas podróży. Miał wówczas zaledwie dwadzieścia trzy lata... Jeśli się nie mylę, ty też jesteś teraz

mniej więcej w tym wieku, prawda? — zapytał starzec, wyraźnie jednak nie czekając na odpowiedź. W zamyśleniu popatrzył na swoją szklanę. — To była miłość od pierwszego wejrzenia, jak mi oświadczył syn. Frank zupełnie stracił głowę. Poślubił tę kobietę w niecały tydzień po tym, jak się poznali. Ceremonii dokonał burmistrz jakiegoś małego miasteczka w Szwajcarii.

Nate pomyślał o Lily. Szczęściarz z tego Franka. Lily i Gideon byli już małżeństwem od blisko czterech lat, ale myśl o ukochanej kobiecie nadal sprawiała Nathanielowi ból. Sądził, że zawsze już tak będzie.

— To nieważne, że Catherine była awanturnicą bez przyzwoitego pochodzenia. Okazała się doskonałą żoną dla Franka i świetną matką dla dzieci. Znakomicie zarządzała też plantacją i była piękną oraz gościnną panią domu. Przyjęcia w Harefields stały się słynne na całą okolice, a o bożonarodzeniowych balach mówiło się później przez cały rok. Najważniejsze jednak, że Frank nigdy nie przestał jej kochać i że uczyniła go naprawdę szczęśliwym. Oczywiście, mieli pewne problemy. Ale komuż udaje się uniknąć w życiu wszelkich kłopotów? — westchnął retorycznie starzec, stukając szklaneczką o karafkę. — Kiedy urodziło się ich pierwsze dziecko, Catherine bez przerwy płakała. Lekarz powiedział, że tak czasem dzieje się z kobietami, które po raz pierwszy zostają matkami. Krótco później na świat przyszedł drugi chłopiec, a ona miała kolejny atak nerwowy, trwający całe miesiące. Na szczęście doktorowi udało się znaleźć na to jakieś lekarstwo. Zawsze była nadmiernie pobudliwa, więc ta mikstura stanowiła dla niej prawdziwe zbawienie. Ned i Charles chowali się dobrze i nie przyczyniali kłopotów, ale, jak to chłopcy, musieli czasem trochę pohłasować, powspinać się na drzewa i pospadać z nich, łamiąc przy tym ręce lub nogi. Poza tym, jak wszyscy w ich wieku, nie zawsze robili to, co im kazano. Catherine znosiła to z wielkim trudem. Kiedy chłopcy mieli siedem, osiem lat, Frank zabrał żonę z po-

wrotem do Europy na — jak to nazwał — drugi miodowy miesiąc. Zawsze zastanawiałem się, czy nie chciał w ten sposób uwolnić chłopców na jakiś czas od nadopiekuńczości matki.- Mieli oni zresztą dobrego guwenera. Ten bystry i silny młodzieniec rozumiał, że o dzieci należy się troszczyć, ale wiedział też, że trzeba zostawić im trochę swobody. Jakikolwiek zresztą był plan Franka, rozłąka z rodzicami miała na chłopców zbawienny wpływ. Kiedy dwa lata później mój syn i synowa wrócili do domu, Ned liczył sobie dziesięć, a Charles dziewięć lat, ale nie widziano doroślejszych od nich chłopców. Mieli już wówczas malutką siostrzyczkę, która urodziła się w Wenecji, i od pierwszego dnia przyłgnęli do niej całym sercem. Podobnie jak ja. Do dziś zresztą ogromnie kocham wnuczkę. Catherine nazwała ją Francescą, ale dla mnie była to po prostu Chess. Nie podobają mi się te cudzoziemskie imiona. Inni także zaczęli używać tego zdrobnienia — jakoś ono pasowało do dziewczynki. Wyjątek stanowiła Catherine, która uważała, że Francescą brzmi romantycznie. Imię imieniem, ale muszę przyznać, że synowa uwielbiała to dziecko. Powtarzała, że zawsze pragnęła mieć dziewczynkę, którą mogłaby stroić. Naprawdę było na co popatrzeć, kiedy szły obie — matka i córka — z rozpuszczonymi, lśniącymi srebrzyscie włosami w swoich pięknych, falbaniastych sukniach. Chłopcy mieli czupryny ciemne, po Franku, ale Chess stanowiła wierną kopię swej matki. Nie spotkałem też weselszego dziecka niż ona. Bez przerwy śmiała się lub śpiewała albo też robiła obie te rzeczy naraz. I była taka bystra. Nauczyłem ją grać w szachy, kiedy miała zaledwie pięć lat! Uwielbiała tę grę, sądząc, że właśnie od niej wzięła swe imię. Kochała ludzi, psy, koty, konie, ptaki, kwiaty, drzewa, nawet swoją guwernantkę, której nikt nie lubił. Chociaż, istotnie, przy Chess stawała się ona zupełnie inną kobietą. Przez cały dzień ze szkolnego pokoju dobiegał śmiech. Wojna zniszczyła tę radość. Chłopcy skończyli właśnie uniwersytet i wraz ze swoim ojcem,

podobni trzem muszkietierom, ruszyli na bój. Charles zginął w Wilderness, Ned pod Gettysburgiem. Catherine nie uwierzyła, że nie żyją, nawet kiedy ich ciała zostały przywiezione do domu i pochowane w rodzinnym grobowcu. Wyczekiwała na listy od synów i narzekała, iż nie piszą, by upewnić ją, że wszystko z nimi w porządku. Żaliła się nawet jankeskiemu oficerowi, dowodzącemu oddziałami, które tędy przechodziły. Oskarżała Jankesów o to, że przechwytyją korespondencję konfederatów i niszczą ją. Niektóre plantacje nad rzeką zostały prawie całkowicie zniszczone, ale Harefields ocalało niemal nietknięte. Catherine zapraszała jankeskich oficerów na kolacje i traktowała ich z najwyższym szacunkiem, oni zaś w rewanżu pilnowali swoich ludzi. Nie licząc bydła, świń i koni prawie niczego nam nie zabrano — aż do dnia, kiedy straciliśmy wszystko. Frank był czterokrotnie ranny, ale ani razu ciężko. Podczas oblężenia Petersburga trafił do szpitala nie z powodu postrzału, lecz malarii i dyzenterii. Wrócił do domu i odzyskawszy siły, zamierzał przyłączyć się na powrót do oddziałów generała Lee — im rozpaczliwiej wyglądało położenie Konfederacji, tym bardziej Frank wierzył w sprawę. Czuł się już niemal całkiem dobrze, kiedy nadeszła wiadomość, że Lee został otoczony przez Granta pod Appomattox. Wówczas przeklinałem się, że nie wstąpiłem w porę do naszej armii, Frank natomiast — o dziwo — nie wyrzekł ani słowa. Wyczyścił buty i sam wy szcótka wał swój mundur — wypolerował nawet guziki — po czym udał się na cmentarz, gdzie pochowano jego synów, którzy poświęcili życie za Konfederację. Tam włożył sobie do ust lufę pistoletu i strzelił. Z jego głowy pozostała jedynie krwawa miazga. Nie bylibyśmy pewni, że to on, gdyby nie miał na palcu sygnetu z herbem Standishów. Biedna Chess! To właśnie ona go znalazła. Jeszcze długie tygodnie budziła się z krzykiem w środku nocy... Catherine nie uroniła natomiast po śmierci męża ani jednej łzy, podobnie jak w ogóle nie opłakiwała synów. Wyrzuciła to wszystko ze swojej

świadomości. Według niej nigdy nie było Fortu Sumter ani wojny. Wciąż mamy rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty, chłopcy przebywają w szkole, a jej mąż lada chwila wróci do domu. Wszyscy odgrywamy to przedstawienie dla Catherine. Kto wie, być może moja synowa jest jedyną szczęśliwą osobą w całej Wirginii?

Augustus Standish odsunął od stołu krzesło.

— Dziękuję, panie Richardson, za pańską uprzejmość i cierpliwość, z jaką wysłuchał pan zwierzeń starego człowieka. Obawiam się, iż, niestety, będę musiał zabrać panu jeszcze trochę czasu. Wygląda na to, że za dużo wypilem, byłbym więc wdzięczny, gdybym mógł się wesprzeć na pańskim ramieniu przy wchodzeniu po schodach.

Nate poderwał się z miejsca.

— Służę panu z ochotą.

Leżąc w łóżku żałował, że nie wypił szklaneczki whisky razem z gospodarzem — być może pomogłoby mu to zasnąć. Odczuwał dziwne zmęczenie. Gdyby wrócił do Richmond, byłoby to zrozumiałe. Teraz natomiast ogarnęło go jakieś odrętwienie: wiele się wydarzyło tego dnia, różne więc myśli kłębiły mu się w głowie.

Zawsze nienawidził tej całej plantatorskiej arystokracji. Jego wuj, Josh, stracił nogę walcząc o to, by mogli oni zatrzymać swoich niewolników. Żaden z podobnych jemu farmerów nigdy nie posiadał niewolników ani nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie ich miał. Z pewnością „sprawa” nie była jego sprawą.

Nie potrafił jednak nienawidzić Augustusa Standisha. Uwielbiał go wręcz, i to pomimo iż okazał się zbyt uparty, by opatentować wynalazek, który tak wiele mógł dla Nate'a znaczyć. Ten starzec stracił jedyne go syna, wojna zabrała mu wnuków, a mimo to była w nim wola życia. Zarządzał farmą — nieważne, że nazywano ją plantacją, była to po prostu licząca sobie trochę więcej akrów farma — i starał

się otoczyć opieką swoje kobiety. A musiał mieć już przecież z osiemdziesiąt lat! Jak on to robił? Przecież samo siedzenie przy stole przez jeden wieczór i słuchanie tego, co mówiła pani Standish, wystarczyło, by wprowadzić zamęt w głowie Nate'a. On z pewnością na miejscu starego dżentelmena nie dałby sobie rady.

Mówiono mu niegdyś, że plantatorzy są słabi i delikatni. Cóż, na pewno nie dotyczyło to pana Standisha. Ani tej kościstej starej Chess. Przecież ona także musiała co dzień zasiadać do tego stołu. W dodatku chora dama to jej matka. Nate pomyślał o swojej własnej rodzicielce i poczuł się szczęśliwy. Mary Richardson była kobietą prostą i pobożną, zawsze wszystkich krytykowała i nic nie sprawiało jej przyjemności, ale przynajmniej była zdrowa.

Postanowił, że w drodze powrotnej kupi matce jakiś prezent. Z pewnością jej się to nie spodoba i nie omieszka zrobić synowi awantury o wydawanie pieniędzy na głupstwa, ale Nate wiedział, że sam poczuje się dzięki temu znacznie lepiej.

Chciał odjechać stąd zaraz o brzasku, by jak najszybciej, na zawsze, opuścić to miejsce.

— Panie Richardson... — Nate zmierzał w stronę drzwi, kiedy Chess Standish zagroziła mu drogę.

— W kuchni czeka na pana śniadanie.

— Dziękuję pani, ale lepiej chyba będzie, jeśli wyruszę stąd natychmiast, zanim zrobi się upał.

— Jak pan sobie życzy. Chciałam jednak prosić pana o chwilę rozmowy. Nie musi pan nic jeść, jeśli pan nie chce, ale pragnę zaproponować panu pewien interes. Ta sprawa nie zabierze wiele czasu.

Tego dnia dziewczyna także miała na sobie popielatą sukienkę, tym razem perkalową, lecz na jej policzkach, inaczej niż poprzedniego wieczoru, płonął szkarłatny rumieniec, wyraźnie odcinający się od jej bladej cery.

Nate nie miał innego wyboru, jak tylko pójść za nią.

Chess odsunęła krzesło stojące przy wielkim stole pośrodku wyłożonej cegłą kuchni. Chwiało się ono lekko na nierównej podłodze.

— Może powinien pan usiąść — powiedziała dziewczyna. — Choć oczywiście nie musi pan tego robić, jeśli pan nie chce. — Jej głos drżał nerwowo.

— Nie, dziękuję — odparł Nate.

— Dobrze więc. To, co mam do powiedzenia, nie zabierze dużo czasu. Ostatniej nocy, kiedy poszedł pan już spać, rozmawiałam z dziadkiem, w związku z tym wiem, czego pan chciał od nas... od niego. I ja to mam, panie Richardson. Mam patent. Dawno temu wysłałam do urzędu patentowego wnioski oraz zrobione przez dziadka rysunki w nadziei, że może kiedyś znajdzie się ktoś, kto uzna, że ten wynalazek jest coś wart. No i chyba ta chwila właśnie nadeszła.

Nate niemalże podskoczył z radości. Nie mógł wprost uwierzyć we własne szczęście.

— Całkowicie się z panią zgadzam — powiedział, uśmiechając się tak szeroko, że aż zabolą go szczeka. — Co chciałaby pani otrzymać w zamian? Niewiele mam gotówki, ale możemy podpisać umowę, w myśl której będę co roku wypłacał państwu pewną sumę... jakiś procent zarobionych przeze mnie pieniędzy...

Dziewczyna wsparła dłonie o poręcz krzesła i zacisnęła je tak mocno, że aż zbielały jej kostki palców.

— Chcę, żeby mnie pan poślubił, panie Richardson. I zabrał ze sobą do hrabstwa Alamance w Karolinie Północnej — odrzekła. — Chcę mieć męża i dzieci. To jest moja cena.

Rozdział 4

Pobrali się tego ranka w małym kościele episkopalnym przy drodze do Richmond. Ślub dał im stary pastor, wiekiem dorównujący niemal Augustusowi Standishowi. Jego pomarszczone dłonie ostrożnie trzymały srebrny kielich, kiedy udzielał im komunii. Na naczyniu widniał wizerunek zająca, umieszczony nad starożytną łacińską sentencją. Puchar wykonano w 1697 roku na zamówienie pierwszego Standisha, który przybył do Ameryki.

Augustus Standish sam powiódł wnuczkę do ołtarza, drugim zaś świadkiem była chuda, stara żona pastora. Chess miała na sobie źle uszytą, niebieską, bawełnianą suknię, którą z tyłu wypychała niezgrabna tiurniura, sprawiając, że całość leżała jeszcze gorzej. Było to widoczne nawet dla niewprawnego oka Nate'a. Szyję panny młodej ozdobił pojedynczy sznur drobnych perełek, a na głowie miała welon ze staromodnej, cienkiej jak pajęczyna koronki. W dłoni trzymała bukiet polnych kwiatów. Mimo że mocno zaciskała zęby, nie mogła opanować drżenia warg. Oszołomiony Nate automatycznie powtarzał słowa małżeńskiej przysięgi.

Na plantację wrócili w taki sam sposób, jak z niej przyjechali: zakurczonym czarnym powozem z siedzeniami pokrytymi popękaną czerwoną skórą, do którego zaprzężono muła. Wieść o ich małżeństwie musiała się jakoś rozejść po okolicy, bo kiedy ten dziwny pojazd skręcił w zardzewiałą bramę, ujrzeli, że jest ona przyozdobiona kwiatami. Ciem-

noskórzy mężczyźni, kobiety i dzieci ustawili się po obu stronach drogi i na widok młodej pary poczęli wołać:

— Niech panią Bóg błogosławi, panienko Chess! Słyszając te życzenia, Chess się rozplakała.

— Wstań, moje dziecko — polecił Augustus Standish.

— Pozwól, by zobaczyli cię po raz ostatni — dodał drżącym głosem.

Dziewczyna podniosła się posłusznie, wspierając się na jego ramieniu, by nie stracić równowagi.

Machała ręką i uśmiechała się przez łzy, po imieniu wołając do każdego z pozdrawiających ją ludzi.

— Do widzenia, Julio! Dziękuję, Pheemie... Ciebie także niech Bóg błogosławi, Perseuszu... Troszcz się o swoje nowe dziecko, Celio! Żegnaj, Paulo... Justice... Delphi... Sukie... Jamesie... Jasonie... Zantye... Agamemnonie...

— Zawsze lubiłem klasykę — mruknął pan Standish.

— Sam wybierałem imiona dla większości z nich. Nie dzieciom, oczywiście. One urodziły się już po nadaniu Murzynom wolności.

— Do widzenia... do widzenia... — Chess płakała teraz całkiem otwarcie.

Starzec osuszył twarz wnuczki własną chusteczką, zanim pozwolił jej wysiąść z powozu.

— *Ave atque vale, Caesar* — powiedziała panna młoda.

— Jesteś pewna, Chess?

— Jestem — odrzekła, unosząc podbródek. W jej oczach zamigotał strach. Z trudem przełknęła ślinę.

— Mój kapelusz jest razem z innymi rzeczami. Pomóż mi zdjąć welon i odłóż go delikatnie, dobrze?

— Postaram się — obiecał jej dziadek.

Nate z niepokojem spojrział na kanoe. Załadowano już na nie wielką walizę, którą zabrała ze sobą Chess, oraz jego własną lekarską torbę i pudełko z prototypem wynalazku, po który przybył do domu Standishów, w związku z czym

w łódce pozostało już bardzo niewiele miejsca. Sam może od biedy jakoś by się tam jeszcze wcisnął, ale na pewno nie z Chess. Jego żoną. Myśl o zawartym małżeństwie przerażała go jeszcze bardziej niż kruchość kanoe. Pośpiesznie wszedł na pomost i wszedł do chybotałej łódki, uważnie słuchając wskazówek Standisła, jak nią kierować. Fale rzeki zapluskwały niebezpiecznie o burty, kiedy do ładunku w kanoe dołączył jeszcze ciężar jego ciała. Nate znajdował się w takiej łódce po raz pierwszy w życiu i wcale mu się to nie podobało. Kiedy chwilę później miała wsiąść Chess, zamknął oczy, obawiając się, że kanoe się przewróci lub zanadto obciążone pójdzie na dno.

— Świetnie — usłyszał za sobą głos dziewczyny. — Zdażyliśmy na sam szczyt przypiływu.

Była już w łódce, choć Nate nie poczuł najmniejszego kołysania, kiedy wsiadała. Pomyślał, że to dobrze, iż jego żona jest szczupła. Otworzył oczy w sam raz na czas, by zobaczyć, jak Standish kiwa im ręką na pożegnanie, stojąc na skrawku piaszczystej plaży, nad którą pochylały się rosnące na brzegu drzewa. Nie zauważył nawet, kiedy łódź ześlizgnęła się w główny nurt rzeki i unoszona prądem zaczęła szybko sunąć po falach.

Nate także pomachał starcowi, ale ten gest sprawił, że kanoe zakołysało się lekko i do środka chlusnęła woda. Mężczyzna gwałtownie chwycił się zrobionego z desek siedzenia.

— Siedź spokojnie i nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów — usłyszał głos żony siedzącej z tyłu. — Pływałam rzeką miliony razy. Niczego się nie obawiaj. Po kilku minutach przywykniesz — zapewniła, ujmując dłońmi w rękawiczkach wiosło, którym sterowała łódką. Nie było to specjalnie trudne — po prostu od czasu do czasu gwałtownie zanurzała je w wodzie pod odpowiednim kątem. Była zadowolona, że może skupić na czymś uwagę i oderwać myśli od tej szaleńczej, ryzykownej gry, jaką rozpoczęła.

Jej dziadek uznał, że nazwisko Richardson „brzmi”

dobrze i pochwalił jej decyzję o małżeństwie. Z zalem — wolałby wszak, aby poślubiła jakiegoś dżentelmena — ale bez wahania.

— Zaslugujesz na to, by wieść własne, samodzielne życie, moja mała Chess — oświadczył.

Było to znacznie więcej, niż oczekiwała, kiedy oznajmiła mu swoje plany. Być może — myślała — uważał, że mi się nie uda? Sama nie żywiła podobnych obaw.

I, jak się okazało, miała rację. Co jednak czeka ją teraz?

W milczeniu przyglądała się plecocom Nate'a oraz jego dziwacznemu kapeluszowi, zła, iż zasłania jej głowę męża. Skoro mam spędzić przy boku tego człowieka resztę mego życia, z pewnością powinnam wiedzieć, czy nie ma on na głowie kołtuna — pomyślała i natychmiast zachciało jej się śmiać z tego nonsensownego pomysłu. Jednocześnie pod powiekami poczuła łzy. Gdzie podział się jej twardy realizm? Jakże go teraz potrzebowała! To właśnie dzięki niemu zdobyła męża. Poślubiła — rzecz wprost nie do wiary — znacznie młodszego od siebie chłopca, ponieważ stanowił on jej jedyną szansę na małżeństwo. A ona wszak zdecydowała, że chce mieć własną rodzinę...

Zastanawiała się, czy Nate jej nienawidzi. Gdyby to ona była na jego miejscu, z pewnością czułaby nienawiść. Patent na wynalazek Standisha stanowił rodzaj wymierzonego w skroń pistoletu.

Mógł jednak odmówić, ale nie uczynił tego. Może więc nie był jej aż tak niechętny? Może miał dla niej choć trochę sympatii? Przy odrobinie szczęścia mógłby ją nawet polubić. Chess nie należała do osób kłótliwych, jak to bywało z niektórymi żonami, i postanowiła urobić sobie ręce po łokcie, pomagając mężowi. Bóg jej świadkiem, że dobrze wiedziała, co to znaczy ciężka praca.

Umiała także mnóstwo innych rzeczy — wszystko, czego uczono młode damy jeszcze przed wojną. Nieźle grała na fortepianie, wprawnie haftowała, umiała namalować niebrzydki akwarelowy pejzaż, potrafiła czytać po łacinie

i mówić po francusku, tańczyć, jeździć na koniu w damskim siodle, a nawet przeskakiwać niezbyt wysokie przeszkody...

A także pogłębiać błotniste koryto rzeki. Och, z pewnością w Karolinie Północnej ogromnie przydadzą mi się wszystkie te umiejętności — pomyślała z przekąsem. Przecież, jak powiedział dziadek, Nate nie był nawet lekarzem, a tylko zwykłym farmerem.

Jadł kolację łyżką! Jak mogła wyjść za mąż za człowieka, który nie miał pojęcia o posługiwaniu się widelcem? Niewykluczone, że powinna natychmiast wrócić do domu dziadka...

Co jednak tam ją czeka? Zgryzoty i udawanie, że otaczający ich świat w ogóle się nie zmienił, choć w rzeczywistości został zupełnie zmieciony z powierzchni ziemi? Pustka i brak nadziei?

Nie! Po raz pierwszy czuła, że znalazła się na właściwym miejscu. Jej mąż jest przyzwoitym człowiekiem — to właśnie miał na myśli dziadek, mówiąc, że nazwisko Richardson brzmi dobrze. Nie wygląda na nieuczciwego ani okrutnego. Z biegiem czasu pozna go lepiej i polubi. Miłość stanowiła coś, co istniało w książkach, nie zaś w szarej rzeczywistości. Sympatia to co innego — takie uczucie pasowało do codziennego życia.

Okryte ciemną marynarką szerokie plecy Nate'a wydawały się jej potężne i twarde jak mur. Dobrze będzie mieć przy sobie kogoś tak silnego, kto będzie się mną opiekował — pomyślała. Po raz pierwszy to nie ja będę odpowiedzialna za los rodziny.

Nieoczekiwanie nawiedziło ją wspomnienie tych samych pleców, nagich, lśniących od mydła i kropel wody. Tak! To prawda, że chciała posmakować życia, jakie wiodą ze sobą mąż i żona. Pragnęła, by ją przytulano, może nawet całowano i... robiono także inne rzeczy. Z pewnością jej mąż będzie wiedział o tych sprawach więcej niż ona. Musiało tak być, gdyż w istocie nie był już chłopcem, lecz dojrzałym

mężczyzną, młody wygląd zaś zawdzięczał głównie temu, że nie nosił wąsów.

Nate w zamyśleniu potarł policzek. Pożyczył wprawdzie od starego dżentelmena brzytwę, ale narzędzie to nie okazało się zbyt ostre. A może to on nie potrafił się ogolić, ręce bowiem drżały mu tak, że zakrawało wręcz na cud, iż nie poderżnął sobie przy okazji gardła.

Chyba powinien to zrobić... W końcu byłoby to tylko kolejne, nedorzeczne posunięcie po tym, co już uczynił: poślubił starą pannę. Bardzo starą pannę.

Co gorsza, jego żona była damą, a to oznaczało, że przyda się na ich farmie mniej więcej tak jak krowa bez wymion. To porównanie można było zresztą potraktować całkiem dosłownie, zważywszy, jak płaski biust miała Chess.

Dzięki niej zdobył jednak upragniony patent i ani na chwilę o tym nie zapominał. Przecież właśnie z jego powodu przybył do domu Standishów. Dostał zatem to, co chciał. Niczego więcej nie potrzebował. Nie pragnął mieć żony, ale co z tego? Chess chciała mieć dzieci — potrafił ją zrozumieć. Stanowiło to wspólną cechę wszystkich znanych mu kobiet: pragnęły zostać matkami. Cóż, w takim razie da jej ich tyle, ile tylko będzie chciała. Jedyne, co musi w tym celu uczynić, to zamknąć oczy i zacząć myśleć o kimś innym — resztę zrobi sama natura.

Gdyby tylko była zwykłą kobietą, a nie damą! Nate nie wiedział nic o damach i nigdy dotąd żadnej nie spotkał, podobnie jak inni mężczyźni żyjący w sąsiedztwie. Uświadamiał sobie jednak olbrzymią różnicę między zwykłymi kobietami a tymi dziwnymi stworzeniami, które zwano damami. One same zresztą podkreślały tę różnicę.

Mężczyźni Południa stawiali swe damy na piedestale, uważając je za kruche i delikatne istoty, wymagające ochrony przed brutalną rzeczywistością, włączając w to ordynarny język i wiedzę na temat pewnych ciemnych stron życia.

Kobiety te istniały po to, by je czcić, otaczać opieką i bezpiecznie prowadzić przez życie, nie wiedziały bowiem nic o jego ciemnych stronach.

Taka właśnie musiała być i Chess. Cóż to zresztą za imię! Żadna normalna kobieta nie mogłaby się tak nazywać! Spędziła całe życie na wielkiej plantacji, otoczona pracującymi dla niej Murzynami, którzy starali się usłać jej życie różami. Przywykła do tego, że ją obsługiwano, a posiłki jadała na srebrnej zastawie! Męskie spodnie, w które była ubrana wówczas, gdy ją ujrzał po raz pierwszy, włożyła chyba dla jakiegoś żartu. Nic dziwnego, że tak niecodziennie się zachowywała, kiedy poprosił ją o podwiezienie. Prawdopodobnie czuła się zawstydzona, że ktoś przyłapał ją na tej zabawie. Biedactwo! Nate postanowił, że nigdy nie wspomni żonie o tym wydarzeniu.

Skrzywił się lekko. Też znalazła sobie rozrywkę! Na pewno jednak nigdy nie usłyszy od niego na ten temat ani słowa.

Nie wspomni także o jej biednej matce. Prawdopodobnie Chess nie podejrzewa nawet, iż jej mąż wie cokolwiek o chorobie Catherine. Nigdy również nie powie ani słowa o jej ojcu.

Istniało zatem sporo tematów, których będzie musiał unikać, rozmawiając z nią. O czym w takim razie mają ze sobą mówić? Próbował wymyślić coś wesołego, co mógłby jej opowiedzieć...

— W październiku przez cały tydzień będzie trwać w Raleigh jarmark stanowy — rzucił przez ramię po dłuższym namyśle. — Ochłodzi się już i warto obejrzeć paradę.

— To wspaniale — odparła Chess. — Bardzo chętnie zobaczę tę uroczystość. Nigdy nie brałam w czymś takim udziału... — Nate nie mógł dostrzec twarzy żony, ale wyczuł, że stara się być uprzejma. Nie potrafił wymyślić nic więcej, o czym mogliby rozmawiać. Cóż miał do zaoferowania takiej damie jak ona? Trzyizbowy dom i stertę tytoniowych liści. Z pewnością

Chess szybko pożałuje swej pochopnej decyzji, zatem pierwszą rzeczą, jaką Nate musi uczynić, jest przenieśnięcie patentu Standisha na swoje nazwisko...

— Przed nami Richmond — powiedziała dziewczyna. — Widać już dymy unoszące się z kominów fabryk.

— Naprawdę? Podróż łodem zabrała mi niemal pół dnia! Jak długo płynęliśmy tą łodzią?

— Niespełna godzinę, ale mamy przed sobą jeszcze kawałek drogi. Dymy widać na długo przedtem, nim dotrze się do miasta.

— To normalne.

— Owszem — odrzekła, kaszląc lekko, gardło bowiem miała ściśnięte ze zdenerwowania. — Droga, którą przebyłeś, ma niemal pięćdziesiąt kilometrów, ale jeśli płynie się z Harefields do Richmond rzeką, odległość wynosi mniej niż dwadzieścia. To właśnie dlatego, im bardziej się zbliżamy do miasta, tym więcej widać tu łodzi. Cały ruch handlowy... — jej głos umilkł nagle.

— Bardzo trudno mówić do kogoś, czyjej twarzy się nie widzi — powiedział pośpiesznie Nate. — Sądzę, że dokończymy naszą rozmowę później. Miałaś rację, jeśli chodzi o kanoe. Zniosłem tę podróż całkiem dobrze. Chyba nawet sprawiła mi ona przyjemność.

— Cieszę się — uśmiechnęła się Chess, myśląc jednocześnie, że jej mąż zachował się bardzo taktownie. Cóż, chyba już zaczynam go lubić.

Chess z wprawą prześlizgnęła się łódką przez labirynt statków i kutrów cumujących przy Shockoe Slip. Wielokrotnie wszak przywoziła tu dziadka. Bez trudu też przywiązała kanoe do słupa na przystani. Cieszyła się, że może rozprostować nogi i nie brodząc w wodzie, przedostać się na suchy ląd.

— Podaj mi bagaż — poleciła Nate'owi. — Postawię go na pomoście.

Mąż posłusznie spełnił jej prośbę.

— Bądź z tym ostrożna — powiedział, podając jej pudło zawierające model, które, choć niezbyt ciężkie, było jednak bardzo duże.

— Już trzymam — uspokoiła go Chess. — Możesz wsiąść... Uważaj! — krzyknęła nagle.

Było jednak za późno. Najpierw kapelusz Nate'a, a potem jego właściciel znaleźli się w wodzie.

Kiedy kaszłąc i parszcząc wypłynął na powierzchnię, trzech pracowników nabrzeża pomogło mu wydostać się na brzeg. Chess zrozumiała wówczas, co oznacza powiedzenie „wygląda jak zmokła kura”. Wokół nich zebrał się już tłum gapiów, którzy kpili sobie z Nate'a. Chess zrobiło się żal męża. Obawiała się też wybuchu wściekłości z jego strony, co zwiastował silny rumieniec oraz gniewnie zaciśnięte usta.

Nagle poczuła, że sama ma ochotę się roześmiać, ponieważ uszyty z taniego materiału garnitur Nathaniela począł się pod wpływem wilgoci gwałtownie kurczyć. Spod coraz krótszych rękawów marynarki ukazały się mankiety koszuli, a nogawki spodni odsłoniły łydki.

Nate podrapał się po rękę i zobaczył, co się stało. Przeniósł następnie spojrzenie na stopy i ze zdumieniem stwierdził, że widać mu skarpetki. Chess zdała sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymuje oddech. Ludzie zaczęli pokazywać sobie palcami jej męża.

Nate się wyprostował. Przez napiętą tkaninę widać było, jak drżą mu ramiona. Uśmiechnął się i zwrócił do gapiów, do swoich wybawców, a także do Chess.

— No i co o tym sądzicie? — zapytał. — Zawsze chciałem być trochę wyższy i widzę, że w końcu moje marzenia się spełniły. W ciągu zaledwie paru chwil wyrosłem z ubrania — stwierdził, odrzucając do tyłu głowę i wybuchając serdecznym, szczerym śmiechem.

Narastająca w Chess wesołość nareszcie mogła znaleźć ujście na zewnątrz. Jakże cudownie się czuła! Tyle lat minęło już od chwili, kiedy potrafiła się tak beztrudnie śmiać!

W tym właśnie momencie zrozumiała, że kocha swego męża, Nate'a Richardsona, całym sercem.

Ludzie patrzyli na nich ze zdziwieniem. Nie tylko na ociekającego wodą mężczyznę w zabawnym stroju, ale także na Chess, która nie zdawała sobie sprawy, jak niezwykle brzmi jej śmiech. Zaczynał się gdzieś głęboko i bulgocząc wydobywał się z gardła jak szampan wystrzeliwujący fontanną ze zbyt szybko otwartej butelki. Była w nim czysta radość i poczucie wolności. Ale nie tylko: dźwięczało też szczęście, że jest się zdolnym do śmiechu, do tak spontanicznego wyrażania swoich uczuć.

Nate ze zdumieniem patrzył na rozbawioną żonę, zaskoczony przemianą, jaka w niej nastąpiła. Nadal była za chuda i zbyt blada, miała matowe, nieokreślonego koloru włosy i nosiła źle uszytą sukienkę, w której wyglądała na jeszcze wyższą i szczuplejszą, ale szeroki uśmiech odsłonił piękne, białe, równe zęby i sprawił, że jej szare oczy zaśniły i pociemniały.

Teraz widać, że żyje, podczas gdy poprzednio miało się wrażenie, jakby umarła i wstawszy z grobu, przechadzała się po ziemi z otwartymi oczyma — pomyślał Nate, sam nie wiedząc, jak blisko był prawdy. Chess po raz pierwszy w życiu poczuła się w jakiś niezwykły, cudowny sposób żywa.

A więc to mieli na myśli poeci, kiedy pisali o miłości. Czemu po prostu nie powiedzieli, że wszystkie kolory stają się wówczas jaskrawsze, krzyki mew brzmią jak muzyka, każdy kamień bruku wydaje się olbrzymią, bezcenną czarną perłą, a liście na drzewach mają niepowtarzalny kształt? Dlaczego nie wyjaśnili, że nogi same rwą się człowiekowi do tańca, a świat jawi się jako miejsce nieskończonych możliwości, wiodących ludzi ku szczęściu? I to tylko dlatego, że zamieszkuje go Nathaniel Richardson, który uważa, iż jest on całkiem miły i zabawny.

Rozdział 5

Chess ujrzała teraz Nate'a w zupełnie innym świetle. Kręciło jej się w głowie z emocji, ale ponieważ nie miała pojęcia, jak to po niej widać, czuła się bezpieczna. Wiedziała, że powinna coś zrobić, aby mu pomóc.

— Musisz zdjąć ubranie, zanim cię ono udusi — powiedziała spokojnie. — Chodź ze mną. Tu w pobliżu jest biuro przyjaciela mojego ojca. Będziesz mógł się tam wysuszyć. Poproszę jakiegoś urzędnika, by umieścił nasz bagaż w bezpiecznym miejscu.

Mężczyzna podniósł pudełko z modelem.

— Tę rzecz wezmę jednak ze sobą — zdecydował.

Na ścianie budynku, do którego się udali, widniał wymalowany wielkimi literami napis: „Allen and Ginter”. Nate przetarł oczy. Wiedział, że jest to największe przedsiębiorstwo tytoniowe na Południu. Od dawna bardzo chciał zobaczyć to miejsce. Posłusznie wszedł za Chess do środka.

Jakiś ubrany w szary garnitur człowiek z przerażeniem popatrzył na ociekającego wodą przybysza, po czym przeniósł zdumione spojrzenie na kobietę.

— Panna Standish? Co pani tu robi?

— Dzień dobry, panie Grogan. Chcę się zobaczyć z majorem Ginterem.

Nate ponownie z zainteresowaniem zerknął na żonę. Spokojna i opanowana, jak gdyby nic rozmawiała z mężczyzną, który prawdopodobnie był tutaj ważną figurą, i żą-

dała spotkania z jednym z największych potentatów tytoniowych w kraju.

— Nie ma go, panno Standish. Zabrał swoją rodzinę do Sara togi.

— Och, do licha! Zapomniałam o wyścigach. Cóż, w takim razie proszę tylko zaprowadzić nas do jego gabinetu i przynieść dzbanek gorącej kawy.

Teraz Nate był już całkowicie oszołomiony. Grogan uczynił dokładnie to, o co go poproszono, Chess zaś wydawała kolejne polecenia. Godzinę później jej mąż był już suchy, odświeżony i odziany w najlepsze gotowe ubranie, jakie można było znaleźć w sklepach Richmond.

Co więcej, znajdował się wewnątrz Allen and Ginter i nie zamierzał przegapić takiej okazji.

— Chciałbym zobaczyć, jak pracuje ta fabryka, skoro już tu jestem — oświadczył swojej zaskoczonej żonie.

Chess uśmiechnęła się, raz jeszcze zdumiewając go zmianą, jaka następowała przy tym w jej twarzy.

— Pan Grogan będzie pluł sobie w brodę, że nas tu wpuścił — powiedziała. — Poproszę jednak, by wszystko ci pokazał. Dziadek mówił mi co nieco na twój temat. Chcesz tam pójść, by ich podpatrzeć, prawda?

Nate potakująco skinął głową.

— Jakież to zabawne! Zachowuj się jednak tak, żeby cię stąd nie wyrzucono. I nie próbuj niczego wynosić. Major Ginter służył w regimencie mojego ojca. Nazywam go nawet wujem Lewisem, choć nie jest moim krewnym. Zna mnie od dziecka. — Po chwili jej twarz spoważniała. — Zanim zawołam pana Grogana, pragnę ci coś wyjaśnić. Powiedziałam, że chcę mieć dzieci, i to prawda. Dziś rano jednak nawiedziła mnie nowa myśl: mogę być ci naprawdę pomocna w interesach, Nathanie. Żałuję nawet, że nie znam się na tych przemysłowych sprawach dostatecznie dobrze, by ułatwić ci szpiegowanie. Miałeś swój powód, żeby mnie poślubić: patent. Chciałabym, abyś nie żałował tego kroku. Liczę na to, że będziemy współnikami. Potrafię prowadzić

księgi rachunkowe i pisać listy handlowe, jak również kierować pracą urzędników takich jak pan Grogan. Jeśli tylko będziesz chciał, wiele mogę dla ciebie uczynić.

Nate niemal nie wierzył własnemu szczęściu.

— Umowa stoi — uśmiechnął się, wyciągając rękę. — Podaj mi dłoń, współniczko.

Porozumienie, które zawarł, odpowiadało mu znacznie bardziej niż małżeństwo. W chłopięcych latach nienawidził szkoły i nie znosił papierkowej roboty, jaka nieodmiennie wiązała się z prowadzeniem interesów. Jeśli on zajmie się produkcją, a żona będzie czuwała nad księgowością, mogą zejść razem bardzo daleko. Czuł, że już teraz zmierzają we właściwym kierunku.

Chess uścisnęła jego dużą, ciepłą, spracowaną dłoń, ale nie przytrzymała jej dłużej. Póki Nate nie zdawał sobie z niczego sprawy, mogła kochać go, nie doznając przy tym wrażenia, że to uczucie ją upokarza.

Nie była dotknięta ulgą, jaka odmalowała się na twarzy męża. Wyraźnie cieszył się, że ich małżeństwo przynosi korzyści obu stronom, Chess nie miała zaś nic przeciwko temu, żeby zajmować się interesami. Nawet więcej: byłaby uradowana, mogąc pomóc mu w osiągnięciu tego, o czym marzył. To by mi wystarczyło — uznała. Z właściwą zakochanym ludziom beztróską rzeczywistością w to wierzyła.

Nate pozostał w fabryce bardzo długo, tak przynajmniej wydawało się Chess. I istotnie chyba nie śpieszył się z oglądaniem. Grogan odwiózł ich potem swym powozem na stację, aby nie spóźnili się na pociąg.

Dopiero na peronie zapytała męża, czy odkrył w fabryce coś interesującego, on jednak położył palec na ustach i zmarszczywszy brwi oświadczył, że nie wolno im nigdy rozmawiać o interesach, dopóki nie pozostaną sami. Powiodła wzrokiem po mijających ich pośpiesznie, zajętych swoimi sprawami ludziach i pomyślała, że Nate przesadza z ostroż-

nością. Oni sami jednak także się śpieszyli, postanowiła więc nie spierać się z nim teraz w tej kwestii. Poza tym nie „jechała wagonem”, jak nazywali to południowcy, odkąd była dzieckiem, i czuła się bardzo podniecona na myśl o czekającej ją podróży.

Jazda pociągiem okazała się czymś zupełnie innym od tego, co zapamiętała z dawnych lat. Przez całą drogę niewygodne oparcie siedzenia gniotło ją w plecy. Przedział był bardzo wąski, a na domiar złego ich wagon znajdował się tuż za lokomotywą, tak że gorąca para wdzieriała się do środka, ilekroć jakiś optymista usiłował otworzyć okno, natychmiast jednak zamykane przez realistów. Było to bardzo dokuczliwe, podobnie jak odgłos wypluwania soku tytoniowego do — lub obok — jednej z ustawionych po obu stronach wagonu spluwaczek, od których bił taki smród, że Chess przyprawiało to o mdłości.

— Nienawidzę tytoniu — wymamrotał Nate.

— A ja myślałam, że z niego właśnie żyjesz.

— Muszę zarabiać pieniądze — uśmiechnął się. — A to jest jedyna rzecz, na której się znam.

Wysiedli na uroczym, starym dworcu w niewielkim miasteczku Weldon. Chess z przyjemnością odetchnęła świeżym powietrzem. Czuła się tak, jakby na całą wieczność zamknięto ją w przedsionku piekła, a przecież podróż z Richmond trwała niewiele ponad trzy godziny. Dochodziła siódma wieczorem. Dzień jej ślubu dobiegał końca.

— Czy to tutaj ty... my... mieszkamy? — zapytała nieśmiało.

— Jesteśmy dopiero o parę kilometrów od granicy z Wirginią — odparł Nate. — Mamy jeszcze do przebycia spory kawałek drogi. Sądzę, że powinniśmy zatrzymać się w hotelu po drugiej stronie ulicy i nieco wypocząć. Nasz pociąg odchodzi dopiero o dziesiątej, a ty, jak widzę, jesteś już bardzo wyczerpana.

— A o której jest jutrzejszy pociąg do Raleigh?

— Za kwadrans czwarta.

Z miejsca, gdzie stali, Chess bez trudu dostrzegła wielki ceglany budynek, oddalony od stacji zaledwie o dwie przecznice.

HOTEL.

Szydł był ogromny i doskonale widoczny. Naraz ogarnęła ją panika. Nie chciała spędzić nocy poślubnej w takim miejscu. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażała. Marzyła o małżeństwie i często rozmyślała o tym, co następuje później. Zawsze jednak jej wizje były bardzo romantyczne. Widziała siebie wykąpaną, pachnącą wodą kolońską, ze świeżo umyтыми, lśniącymi włosami. Wyglądała więc zupełnie inaczej niż w tej chwili: zmęczona, zgrzana i przesiąknięta pociągowymi woniami.

Nie może tego zrobić. Nie chce pójść do hotelu nawet z mężczyzną, którego kocha.

— O dziesiątej? — upewniła się. — Nie zostało nam więc tak wiele czasu. Sądzę, że nie musimy się zatrzymywać na noc, nie uważasz? Przecież dopiero zaczęliśmy podróż.

Nate nigdy w życiu nie słyszał, by czyjkolwiek głos brzmiał tak sztucznie i było w nim tyle paniki. Bez trudu odgadł, w czym tkwi problem. Damy zawsze lękały się i nie lubiły rzeczy tak „zwierzęcych” jak seks. Był to powszechnie znany fakt. On sam także nie tęsknił za obowiązkami nocy poślubnej, ale przynajmniej nie bał się ich. Miał ochotę poklepać żonę po ramieniu, by ją uspokoić, jednak mogłoby to wzbudzić w niej jeszcze większe przerażenie.

— Jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, to kupię bilety, a potem pójdziemy coś zjeść.

— O tak — ucieszyła się Chess. Teraz, kiedy skonsumowanie jej małżeństwa miało się nieco odwlec, poczuła, iż rzeczywiście dokucza jej głód.

W bezpretensjonalnej hotelowej restauracji zjedli smaczny posiłek, prowadząc przy tym błahą rozmowę na temat różnych potraw, następnie udali się na spacer. Szli bardzo powoli, ponieważ Nate ani na chwilę nie rozstawał się z pudełkiem zawierającym model. Główna ulica w Weldon

miała zaledwie trzy przecznice, przemierzili ją więc trzykrotnie w obie strony, zanim poczuli się zmęczeni. Nate zaproponował, by wrócili na stację i tam poczekali na pociąg.

Na wysypanym żwirem podjeździe przed dworcem nie było żadnej ławki, stał tam tylko pusty wózek bagażowy. Ponieważ poczekalnia okazała się zamknięta, Nate odłożył pakunek i pomógł żonie wspiąć się na wysoki, zbity z desek wózek. Usiedli obok siebie, jednak nie nazbyt blisko.

Zapadał zmrok. Na głównej ulicy rozbłysły latarnie, budynek stacji pozostawał jednak nie oświetlony, chyba że zbliżała się chwila przyjazdu pociągu. Zarówno Chess, jak i Nathan czuli się tak, jakby na całym świecie było tylko ich dwoje. Nie potrzebowali patrzeć na siebie, zresztą w zapadających ciemnościach nie miałyby to sensu. Noc była spokojna i ciepła.

— Opowiedz mi o fabryce — poprosiła Chess, starając się przezwyciężyć ogarniającą ją senność.

Nathan popatrzył na otaczające ich ze wszystkich stron cienie.

— Mów ciszej — powiedział. — Nie widzę tu wprawdzie nikogo, ale nigdy nic nie wiadomo...

Szeptem zaczął opowiadać o swoich odkryciach. Pomieszczenia zakładu składały się z olbrzymich sal, w których stały rzędy stołów. Pracujące przy nich kobiety zręcznymi palcami układały tytoń na prostokąciakach papieru, które potem rolowały i sklejały. Wypełnione tytoniem rureczki umieszczano następnie w tekturowych pudełkach i odkładano na specjalne tace. Krążący pomiędzy robotnikami mężczyźni z ręcznymi wózkami co chwila opróżniali tace, zabierając zapakowane pudełeczka. Nate wcześniej już słyszał, jak wygląda praca w takich fabrykach, ale dopiero dziś po raz pierwszy zobaczył to na własne oczy. Nie wyobrażał sobie nawet, że w ciągu zaledwie dziesięciu minut można wyprodukować tak wiele papierosów. Nic dziwnego, że Allen and Ginter pozostawało największym przedsiębiorstwem tytoniowym w Ameryce.

Chess ze zdumieniem popatrzyła na męża. Cóż tajemniczego było w tym, co zobaczył? Każdy mógł zwiedzić fabrykę, gdyby tylko o to poprosił. Major Ginter był bardzo dumny z pracujących u niego dziewcząt. Nie omieszkała powiedzieć o tym Nate'owi.

Twarz mężczyzny przybrała poirytowany wyraz, zdołał jednak jakoś zmusić się do mówienia szeptem. Zapewnił ją, że to nie wszystko, czego się dowiedział. Chciał sprawdzić — i udało mu się to — jak wielu ludzi trzeba zatrudniać, by szybko produkować papierosy. Pragnął również odkryć, jaka bibułka jest używana do ich wyrobu i jakim klejem się je zlepia. Nie marnował czasu, by po prostu stać i przyglądać się pracującym robotnikom, lecz zajrzał do magazynów, gdzie zobaczył i zapamiętał nazwy używanych w fabryce surowców.

— Wiesz, do czego służy ten model, prawda?

— Prawda, Chess? — W jej głosie także zabrzmiała irytacja.

— Co takiego?

— Mam imię. I uważam, że powinieneś go używać, gdy do mnie mówisz. Ja natomiast będę nazywać cię Nathanem. Wiem, że słuszniesze byłoby, gdybym zwracała się do ciebie „panie Richardson”, wolę jednak używać imienia. Tak będzie łatwiej, szczególnie że wtedy będę mogła tym drugim mianem określać twego ojca.

Mówiąc to nie wiedziała, że jej głos brzmi piskliwie i sarkastycznie. Cóż takiego się stało? Jeszcze dwie minuty temu czuli się sobie tak bliscy, a teraz gotowi byli się na siebie obrazić. Chess pragnęła położyć temu kres, powstrzymać się przed wypowiedzianiem gniewnych słów, ale nie potrafiła.

— Ja nie mam ojca — warknął w odpowiedzi Nate. — Ty zaś nie zwracasz uwagi na to, co jest naprawdę ważne.

— Przepraszam, Nathanie. Postaram się poprawić — obiecała Chess, próbując się opanować. — Tak, wiem, do czego jest przeznaczony ten model. To wuj Lewis namówił

dziadka na pracę nad tym wynalazkiem. Służy on do robienia papierosów. Są tu noże, które rozdrabniają tytoń, zwijające bibułkę rolki, a także gilotynka, tnąca napełniony już rulonik na mniejsze kawałki. Papier pozostaje rozwinięty aż do chwili, kiedy maszynka nałoży tytoń na całej jego długości, i dopiero wówczas rolki tworzą długą tubkę, z której kolejno są odcinane papierosy. Dziadek był bardzo zadowolony ze swego pomysłu. Twierdził, że dzięki owym ostrzom do cięcia rulonika czuje się jak Robespierre. Kiedy jednak skonstruował ten model, nie wysłał go wujowi Lewisowi.

— Dlaczego? Sądził, że to nie będzie działało? — Nate chwycił żonę za ramię i potrząsnął nią mocno.

— Czy to nie działa? — zapytał, niemal krzycząc.

— Oczywiście, że działa. Nie szarp mnie. Dziadek uważał po prostu, że nie może ofiarować tego wujowi, ponieważ pozbawiłby w ten sposób pracy zatrudnione u niego dziewczęta. A przecież ich rodziny naprawdę potrzebują pieniędzy, które te kobiety zarabiają. Wuj Lewis traktuje zresztą swoich pracowników wyjątkowo dobrze. Zapewnia im mieszkanie i przyzwoite jedzenie oraz wolny czas na odwiedziny u bliskich. Co by się z nimi stało, gdyby zwolniono je z pracy? Wuj Lewis nie był nawet zbyt rozgorączkowany tym, że nie otrzymał wynalazku. Nigdy nie myślał poważnie o maszynie. Uważał, że gdyby papierosy produkowano maszynowo, byłyby zbyt tanie, a wówczas nikt nie chciałby ich kupować; zwijane ręcznie wydają się znacznie bardziej ekskluzywne. Dziadek powiada, że papierosy i tak są tanie, niezależnie od tego, czy robi się je ręcznie, czy też nie; kosztują wszak niewiele więcej niż tytoń do żucia.

Nate czuł się tak, jakby jego kolana i łokcie wypełnione były wodą. Osłabł z ulgi.

— Nigdy nie strasz mnie w ten sposób — poprosił. — Twój wuj Lewis ze swoją fabryką oraz twój dziadek z kilkoma milionami akrów ziemi myślą się obaj! — Ton jego głosu był chłodny i gniewny, ale teraz już spokojny.

— A udowodni im to pewien wiejski prostak, prowincjusz z Karoliny Północnej. Mam zamiar produkować tysiąc razy więcej papierosów od twego miłego „wuja” i jestem pewien, że zarobię w ten sposób fortunę. Pozostaje mi jedynie modlić się do Boga, aby nikt mnie nie ubiegł. A teraz... Chess... rozumiesz już, czemu to, co twoim zdaniem nie stanowiło żadnego sekretu, jest tak wielką tajemnicą. Powiem ci coś jeszcze: Bonsack ma już podobne urządzenie. Krążą na ten temat niezliczone plotki i niewykluczone, że ktoś zechce wypróbować, ile warta jest ta jego maszyna. Być może nastąpi to już wkrótce. Aleja będę szybszy. Ten, kto zajmie się tym pierwszy, z pewnością pokona konkurentów. Gdyby jednak ktokolwiek ujrzał model albo usłyszał o moich planach, bez wątpienia postarałby się mnie wyprzedzić. W tytoniowym biznesie nie ma już dzisiaj dżentelmenów. Wszyscy skaczą sobie do gardeł i pozerają się nawzajem. Przetrwać mogą tylko najlepsi, to znaczy najbardziej cwani i bezwzględni. Mam nadzieję, że ja do nich należę — głos Nate'a drżał z tłumionej pasji. Chess nigdy nie zetknęła się z tego rodzaju ambicjami, sama zaś nie miewała podobnych marzeń. To, że Nate otwarcie mówił, iż pragnie pieniędzy i władzy, przerażało ją. W jego determinacji było coś nieludzkiego, groźnego. Wiedziała — choć jej tego nie powiedział — że gotów jest zniszczyć wszystko i wszystkich, którzy stanęliby mu na drodze do celu. Włączając w to ją samą. Na tę myśl poczuła przebiegający po plecach dreszcz.

Jej mąż był mężczyzną. Mężczyzną — nie chłopcem. Nie godził się na takie życie, jakie przypadło mu w udziale, lecz kształtował je zgodnie ze swoimi pragnieniami. Nie tkwiła w nim żadna melancholijna tęsknota za przeszłością, żaden żal z powodu przegranej sprawy. Nathaniel Richardson był zbyt pełen życia na takie rzeczy. I zbyt silny.

Och, jakże dobrze postąpiła, że usłuchała swego instynktu i u boku tego człowieka podążyła w jego świat. Wpatrując się w oświetloną gazowymi latarniami ulicę, nagle

rozpaczliwie pożałowała, że nie poszła z nim do hotelu. Przeklinała się w duchu za swoje tchórzostwo. Pragnęła dać mu do zrozumienia, że żałuje swego kroku, ale nie potrafiła tego uczynić.

Mogła jednak powiedzieć mu, co czuje, ufając, że mąż sam zrozumie, o co jej chodzi.

— Na pewno zwyciężysz — powiedziała, ujmując go za rękę. — Wiem to. — Jej głos, choć cichy, drżał z namiętności dorównującej swą siłą jego pasji.

Nate uściśnął jej dłoń. Nigdy nie wątpił, że mu się uda, ale też nie spotkał dotąd nikogo, kto by weń wierzył. Aż do tej chwili.

— A więc będzie to nasz sekret, dobrze? — zapytał ochryłym z emocji głosem.

— Dobrze — zgodziła się Chess.

Dłoń mężczyzny była mocna i ciepła. Chess czuła to przez skórkowe rękawiczki i ogromnie żałowała, że ich wcześniej nie zdjęła.

— Opowiedz mi wszystko na ten temat — poprosiła. — Dlaczego interesują cię papierosy? Jak dowiedziałeś się o moim dziadku?

Nate był szczęśliwy, że może porozmawiać. Wypadki następowały po sobie tak szybko, że dotychczas nie miał okazji posmakować swojego triumfu. Maszyna produkująca papierosy stała się jego własnością, choć jeszcze niedawno wydawało mu się to niemożliwe. Czuł, że teraz wszystko inne, co niegdyś uważał za nieosiągalne, także będzie do niego należeć.

— Cóż, było to tak...

Nadchodziła era papierosów, co do tego nie miał wątpliwości. Wprawdzie większość ludzi wciąż żuła tytoń, zamiast go palić, ale wielu zaczynało już samodzielnie robić skręty. Właściciele wiejskich sklepików, którzy sprzedawali jego tytoń, stanowili dlań najlepsze źródło informacji. Mieszkańcy hrabstwa Alamance, serca tytoniowej krainy, zarabiali pieniądze dzięki tym jasnozielonym liściom,

dla

tego też obserwowali wszystko, co ich dotyczyło. Tytoń stanowił też główny temat ciągnących się w nieskończoność rozmów: jak dobry był plon, jak zła pogoda, jak wysokie lub niskie ceny osiągnie się na aukcjach i ile zarobią farmerzy, którzy sprzedają liście, zamiast je przetwarzać.

Na Północy papierosy już teraz zaczynały wypierać tytoń do żucia, a gotowe, kupowane w pudełkach, stawały się popularniejsze od skręcanych własnoręcznie. O tym, jakim cieszyły się wzięciem, świadczył choćby zasięg produkcji majora Gintera. Zarządca fabryki powiedział mu, że w poprzednim roku ich przedsiębiorstwo wytworzyło i sprzedało blisko pięćdziesiąt milionów papierosów... Pięćdziesiąt milionów! A przecież inne koncerny na Północy wyprodukowały i sprzedały jeszcze dziesięć razy tyle! I w dodatku ledwo nadażały z zaspokajaniem popytu na swój towar!

Dlaczego tak się działo? Ponieważ nie dość szybko rolowano papierosy!

Ale maszyna... Maszyna mogłaby zastąpić kilka tuzinów robotnic. I byłaby w stanie pracować dzień i noc, bez zmęczenia, jak to miało miejsce w wypadku ludzi. Ten jej „wuj Lewis” mógł sobie twierdzić, że ludzie nie zechcą kupować maszynowej produkcji, ale w gruncie rzeczy nie był wcale taki głupi. Zaproponował olbrzymią nagrodę każdemu, kto wymyśli podobne urządzenie. Stało się to prawdopodobnie już po oświadczeniu Augustusa Standisha, że nie potrafi tego uczynić.

— Jak wielką nagrodę? — chciała wiedzieć Chess.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Wysokość sumy zatamowała jej na chwilę dech w piersiach. Gdyby tylko wiedziała... Miała ochotę zamordować dziadka. Przez jego etyczne zasady borykali się z biedą, podczas gdy mogliby mieć dość pieniędzy, aby żyć jak królowie. Przecież przy całej jej pracy siedem dni w tygodniu, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, zyski, jakie osiągała

plantacja, wynosiły zaledwie trzysta do pięciuset dolarów rocznie. I wszystkie te pieniądze przejadali, musieli bowiem płacić kamerdynerowi Augustusa, pokojówce jej matki i doktorowi, a także pokrywać rachunki za leki. A przecież mogli mieć kucharkę i liczną służbę... Naprawić dach, zamiast — jak to uczynili — zrezygnować z używania pokoi na drugim piętrze. Mogliby nawet pomalować cały dom...

Ale wtedy Nathan nie przemierzyłby długiej drogi z Richmond. Chess pomodliła się w duchu o przebaczenie, że tak źle pomyślała o dziadku. O czym to mówi jej mąż? Nie powinna pozwalać sobie na błądzenie myślami gdzie indziej. Nie chciała uronić ani słowa z jego opowieści.

Nate ponownie zaczął opowiadać o Bonsacku. Chess skupiła się, próbując przypomnieć sobie, cóż takiego powiedział jej mąż, kiedy myślała o czymś innym. Aha, że ten człowiek pochodził z Roanoke w Wirginii, Nathan zaś poznał go w Danville, na aukcji tytoniu.

— To właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałem nazwisko twojego dziadka — wyjaśnił. — James Bonsack wymienił je, rozmawiając z jakimś swoim przyjacielem. Powiedział, że jest pewien, iż to właśnie on zdobędzie nagrodę, ponieważ od blisko czterech lat pracuje nad podobną maszyną, która jest już prawie gotowa, martwił się jednak, że stary pan Standish może go uprzedzić. Postanowiłem wtedy, że sam spróbuję odnaleźć owego Standisha. Sądziłem, że gdybym tylko zdobył tę maszynę, zanim Bonsack skończy pracę nad swoją...

— Co wtedy chciałeś zrobić? Nathan roześmiał się cicho.

— Miałem zamiar wyłudzić ją od wynalazcy albo też zaproponować mu udział w interesie.

— Nie zgłosiłbyś się po nagrodę?

Nate zacisnął dłoń z taką siłą, że Chess poczuła ból w palcach.

— Cóż znaczy jednorazowy stos pieniędzy, skoro Allen i Ginter mieliby maszynę? Mam większe ambicje. Och,

Boże, nieomal złamałem ci *ękę. Przepraszam, Chess — rozluźnił uścisk, pozwalając żonie cofnąć dłonie.

— Ależ nic się nie stało — skłamała, ponownie biorąc go za rękę. — Opowiedz mi o tytoniu — poprosiła.

— Nie ma na świecie rośliny, którą równie trudno byłoby hodować — westchnął Nate. — Farmerzy twierdzą, że przynosi on plon dopiero w trzynastym miesiącu w roku, ponieważ praca przy jego uprawie nigdy się nie kończy. To okropne zajęcie. Przypomina brodzenie w smole, która przylepia się do twojej skóry, ubrania, włosów. Jeśli raz miało się do czynienia z hodowlą tytoniu, nigdy nie można poczuć się czystym. Nie musisz chyba pytać, dlaczego się go w takim razie uprawia. Przynosi on co roku więcej pieniędzy z jednego akra niż inne rośliny dają w ciągu pięćdziesięciu lat. Kiedy zwiesz już swoje zielone liście do stodoły, patrzysz, jak obracają się one w złoto. To właśnie ten rodzaj plonu: przynosi ci on złoto. Chess pomyślała, że brzmi to bardzo pięknie, jak w jakiejś mitologicznej opowieści, i pasuje do Nathana. Przez kilka minut siedziała w milczeniu, świadoma bliskości mężczyzny, ich połączonych ze sobą dłoni, wspólnego sekretu. A więc szczęście polegało na tym, że naraz dostrzegało się tak wiele rzeczy: cichą ciemność, wilgotne wieczorne powietrze, ciepły oddech męża. Szczęściem było przebywanie razem z nim. Kochanie go. Miłość — jakież to dziwne i cudowne uczucie! Obróciła głowę i popatrzyła na Nate'a, ale w panującym mroku zdołała dostrzec zaledwie zarys jego sylwetki. Nagle zapragnęła znowu usłyszeć głos męża, jak gdyby chciała się upewnić, że naprawdę tu jest.

— Co się teraz stanie z maszyną dziadka, Nathanie? Jakże to dziwne! — zdumiał się Nate. — Ona chyba
czyta w moich myślach.

— Właśnie się nad tym zastanawiam — odparł. — To znaczy: nie wiem jeszcze, jak szybko uda mi się teraz działać. Żałuję, że nie mam więcej pieniędzy, bo już jutro założyłbym

fabrykę. Mówi się jednak: trudno. Musimy zachować tajemnicę aż do chwili, gdy zgromadzę dość funduszy, by rozpocząć produkcję. Pierwszą rzeczą będzie znalezienie odpowiedniego pomieszczenia i źródła energii do zasilania maszyny. Jak sądzę, najlepiej jest wybudować młyn. Tak, to chyba najlepszy pomysł.

Jego głos cichł powoli i Chess zdała sobie sprawę, że mąż po prostu wypowiada głośno swoje myśli, być może nieświadom nawet jej obecności ani tego, że trzymają się za ręce. Odczuła rozczarowanie. Pragnęła być częścią jego planów i marzeń.

Ale nawet to, co miała, stanowiło więcej, niż oczekiwała. Znajdowała się u jego boku i, chcąc nie chcąc, musiał brać ją pod uwagę w swoich planach. Posiadała patent, który ich ze sobą wiązał. Bez niej nie mógłby urzeczywistnić swych marzeń.

— To musi być gdzieś blisko Durham — wymamrotał Nate. — Przebiega tam linia kolejowa, a to ułatwia wysyłanie towaru do portów, zawożenie go na giełdę, a także transport nadwyżek do magazynów. Ale nie powinno być zbyt blisko. Nie chcę, by Blackwell albo Duke siedzieli mi wiecznie na karku. Oni także myślą pewnie o produkcji papierosów, ja zaś nie jestem jeszcze gotów, by się z nimi zmierzyć. Nie, najpierw muszę sam rozwinąć interes... Czeka nas wiele pracy, Chess — powiedział, obracając się nagle ku żonie. — Zabierze nam to sporo czasu, ale jestem pewien, że się uda. Wierzysz mi?

— Wierzę — skinęła głową. Nie miała pojęcia, jakie konkretne posunięcia planuje jej mąż, wiedziała jednak, że na pewno odniesie on sukces.

— Jestem tak przepelniony wizjami przyszłości, że czuję się jak balon — zachichotał Nate. — Gdybyś nie trzymała mnie za rękę, pewnie uleciałbym w powietrze. Nigdy wcześniej nie miałem nikogo, z kim mógłbym na ten temat porozmawiać. Pewnie spuchły ci już uszy od słuchania o moich pomysłach.

— Lubię, kiedy mówisz. Nie przestawaj.

— Chyba już o wszystkim wiesz.

— Nie. Opowiedz coś jeszcze. Proszę. Nie wspomniałeś nic o swojej rodzinie. Czy masz braci i siostry? Czy twoja matka nadal żyje, czy też zmarła, podobnie jak ojciec?

Chess pragnęła dowiedzieć się, czy bliscy Nate'a ją polubią, ale nie wiedziała, jak sformułować to pytanie. Ona sama była przekonana, że będzie traktować tych ludzi z sympatią.

Nathan wzruszył ramionami.

— Mój ojciec, o ile wiem, nie zmarł. Po prostu wyniósł się jakieś dziesięć lat temu z domu, kiedy ja byłem już dostatecznie duży, by zająć się farmą. Mama zaś cieszy się dobrym zdrowiem. Prowadzi gospodarstwo i zajmuje się wszystkim, co żyje, czy to ludźmi, czy zwierzętami. Mam także wuja. Nazywa się Joshua Richardson, ale zwracamy się do niego Josh. On, jego żona i dzieci mieszkają obok, we własnym domu.

— Ile mają dzieci?

— Żyjących — troje. Micaha, który ma trzynaście lat i wkrótce będzie już mężczyzną, dziesięcioletnią Susan, moją ulubienicę, oraz małą Sally — latem będzie miała dwa lata.

— A jak ma na imię ich matka?

— Alva. Polubisz ją. Jest to kobieta o najbardziej anielskim charakterze. — Umilkł na chwilę, po czym z głębokim westchnieniem dodał: — Nie można tego samego powiedzieć o mojej matce, która ma raczej przykre usposobienie.

Chess poczuła nieprzyjemny skurcz serca. Nate mówił teraz szybko, jakby próbował zatrzeć wrażenie wywołane swoim poprzednim oświadczeniem.

— To przyzwoita kobieta i dobra chrześcijanka. Po prostu bywa trochę dokuczliwa i nie przepada za niespodziankami. Jeśli ostro się do ciebie odezwie, puść to mimo uszu. Nie myśli nawet połowy tego, co mówi. Coraz gorzej — pomyślała Chess. — Jedyne nadzieje, że pomoże mi ta ciotka. Albo też...

— Masz jakieś siostry, Nathanie?

— Tylko jedną. Ma na imię Mary. Tak jak mama. Chess uśmiechnęła się w ciemności, ale uśmiech szybko zniknął z jej twarzy.

— Poślubiła pewnego człowieka z hrabstwa Orange i wyjechali razem do jego posiadłości w Oregonie. Tak więc w domu pozostałem tylko ja. Mój starszy brat, Gideon, jest wędrownym kaznodzieją.

— Co to takiego wędrowny kaznodzieja?

— Pastor. Podróżuje po przydzielonych mu gminach, odprawiając nabożeństwa we wszystkich miasteczkach, które są za małe, by utrzymywać własną plebanię. Jest naprawdę dobrym duchownym. Kiedy wygłasza kazanie, czujesz się tak, jak gdyby ogień piekielny już lizał cię po piętach. Obecnie pracuje w Georgii, na południowym zachodzie.

— Do jakiego Kościoła należycie?

— Do metodystów, oczywiście. Wszyscy w Karolinie Północnej to metodyści. Przynajmniej w naszej części stanu... — Nate urwał w pół słowa i delikatnie uścisnął dłoń żony. — To stanowi pewien problem, Chess. Moja matka jest wyjątkowo bogobojną kobietą. Zna Biblię na wrywki. Jest przy tym przekonana, że tylko metodyści są prawdziwymi chrześcijanami. Wszyscy inni to heretycy lub papiści. — Sądzę, że w jej oczach będę papistką — stwierdziła Chess, próbując się uśmiechnąć.

— No cóż, to lepiej, niż gdyby uważała cię za heretyczkę — w śmiechu Nathana było nieco więcej przekonania. — Cieszę się, że nie bierzesz sobie tego do serca.

— Oczywiście, że nie — skłamała Chess, zadowolona, że wokół panują ciemności. — Opowiedz mi więcej o Gideonie. Czy jest żonaty? — Tak.

Nate starał się ukryć ból, jaki przeszył go, gdy odpowiedział na to pytanie. Dlaczego musiała mu je zadać? Czemu sprawiła, że pomyślał o Lily, żonie swego brata,

oraz o przykazaniu, które łamał w każdej minucie swego życia, pożądając jej i pragnąc, by należała do niego. Dobry Boże! Poślubił właśnie starą kobietę, podczas gdy Gideon, ilekroć wraca ze swych podróży, ma w swoim łóżku Lily. Piekąca zazdrość sprawiła, że w oczach błysnęły mu łzy. Poczuł, że nienawidzi swojej żony i brata, a także — przede wszystkim — samego siebie. Brzydził się własną słabością.

— Tak — powtórzył. — Gideon poślubił córkę pewnego pastora. Mam w rodzinie wiele religijnych osób.

Chess wyczuła w jego głosie sarkazm. Sądziła, że domyśla się, skąd się wziął: matka z pewnością wolała starszego syna i Nathan o tym wiedział. Wyglądało na to, że Mary Richardson to okropna kobieta.

Gdybyśmy tylko mogli pozostać w Weldon i nigdy nie wracać do hrabstwa Alamance! — pomyślała gorączkowo Chess. — Gdybyśmy mogli nie spotkać się nigdy z jego matką! Na pewno wynagrodziłabym mu brak miłości z jej strony. Kocham go tak bardzo, że nigdy już nie byłby smutny. Z oddali dobiegł ich gwizd nadjeżdżającego pociągu. W uszach kobiety zabrzmiał on wręcz szyderczo.

— To musi być pociąg do Raleigh — stwierdził Nate, szczęśliwy, że wreszcie ma coś do roboty i będzie mógł oderwać myśli od Lily. — Wezmę walizkę, a potem pomogę ci zejść.

Przez ulicę przebiegli dwaj mężczyźni, kłócąc się zajadle.

— Mówiłem ci, żebyś sprawdził godzinę — powtarzali sobie nawzajem z pretensją w głosie.

Kiedy pociąg wjeżdżał na stację, dworcowe lampy gazowe rozbłysły jaśniejszym światłem, otworzyły się wszystkie drzwi, a w okienku biletowym pojawił się kasjer. Lokomotywa z gwizdem i sykiem zatrzymała się na peronie. Wagon, do którego wsiedli Nate i Chess, nie był nawet w połowie wypełniony. Skuleni na niewygodnych ławkach ludzie w większości drzemali. Światła były przyciemnione, a przez otwarte okna sączyło się do środka chłodne nocne powietrze.

— Połóż się — zaproponował żonie Nathan. — Spróbuję zrobić ci jakąś poduszkę pod głowę — dodał, zdejmując z siebie marynarkę i składając ją tak, by Chess mogła się na niej wygodnie oprzeć.

— Ależ nie potrzeba — zaprotestowała. — Wcale nie czuję się zmęczona.

— Mimo to postaraj się trochę zdrzemnąć. Mamy przed sobą jeszcze spory kawałek drogi — nalegał, zwijając marynarkę w ciasny walek. Na jego twarzy nie widać było żalu, że niszczy najlepsze ubranie, jakie kiedykolwiek posiadał, ani też wstrząsu, jakiego na nowo doznał, gdy w słabym świetle pociągu dostrzegł nieładną, bladą twarz żony. Podczas rozmowy na peronie zdążył zapomnieć, jaką brzydka jest ona kobieta.

Chess patrzyła jednak na niego z taką obawą, że serce mężczyzny ogarnęła litość. Uśmiechnął się i delikatnie poklepał ją po ramieniu.

— Komu powinienem zapłacić za ten strój? — zapytał.

— I ile? Zapomniałem ustalić to wcześniej i teraz przyjdzie mi pewnie tego pożałować.

Chess odwzajemniła jego uśmiech i ułożyła głowę na przygotowanym pośłaniu.

— To ślubny prezent od wuja Lewisa — zachichotała.

— Zostawiłam mu list z podziękowaniem oraz rachunek. Całe szczęście, że nie ma on pojęcia, iż zamierzasz konkurować z nim w interesach — westchnęła. Minęło zaledwie kilka sekund, kiedy zapadła w sen — całą poprzednią noc nie zmrzyła wszak oka.

Nate usiadł wygodniej i zamyślił się. Ta dziewczyna ciągle go zaskakiwała. Podobało mu się to. A kiedy uśmiechała się tak jak przed chwilą, nie wydawała się wcale stara.

Pociąg dojechał do Raleigh zgodnie z planem, o pierwszej w nocy. Pomimo drzemki Chess była wprost nieprzytomna ze zmęczenia. Ziewając powlokła się za Nate'em na

peron, gdzie czekała ich przesiadka. Kiedy dojechali do Hillsborough, było już po trzeciej. Po raz pierwszy w życiu Nate wydał pieniądze na dorożkę, mimo iż od hotelu dzieliło ich zaledwie kilka przecznic. Posadził Chess na ławce w ogromnym holu, sam zaś zaniósł do pokoju na górze ich bagaże. Wróciwszy, objął żonę i pomógł jej wspiąć się na schody.

— Gdzie jest twoja koszula nocna? — zapytał. Chess przebrała się w jedną z nocnych koszul swojej matki. Ciężki jedwab kilkakrotnie wysunął się jej z rąk.

— Czy mam pomóc ci rozpiąć gorset? — zapytał Nate. Chess potrząsnęła głową. Gorset także należał do matki.

Jego tasiemki zawiązano najciaśniej, jak tylko było można, ale i tak okazał się za luźny na szczupłe ciało dziewczyny. Nate odwrócił się plecami, by oboje mogli czuć się nieco swobodniej przy rozbieraniu, i zdjął z siebie ubranie, po czym starannie je powiesił. Następnie zabrał się do mycia.

Kiedy skończył, wylał brudną wodę, nalał do miski świeżej i odwrócił się, aby podać żonie ręcznik. Ze zdumieniem stwierdził, że Chess leży już w łóżku i śpi.

To dobrze — pomyślał z ulgą. Rozpostarł nad miską ręcznik, by nalana do niej woda się nie zabrudziła, po czym sam także się położył.

— Obudź się, Chess — szepnął. — To może cię boleć, a jeśli nie będziesz wiedziała, skąd wziął się ból, jeszcze bardziej cię on przerazi.

Jego słowa powoli docierały do świadomości kobiety. Z trudem otworzyła oczy. Uśmiechnęła się, widząc tuż obok twarz męża. Lubiła, kiedy był tak blisko niej.

— Obejmij mnie, kochanie, za szyję. To nie potrwa długo.

Chess spełniła jego polecenie. Mężczyzna podciągnął jej koszulę nocną i rozchylił nogi. Poczowała na sobie jego ciężar, a potem piekący ból, tak gwałtowny, że aż krzyknęła.

— Cicho, kochanie, cicho. Dopiero od tej chwili naprawdę masz męża. Zaśnij już... Śpij.

Ból minął i Chess usnęła. Nate leżał bez ruchu, wpatrując się w ciemność, aż zmęczenie wzięło górę nad jego żalem i zapadł w sen.

Następnego dnia Chess spała jeszcze, kiedy Nate skończył jeść śniadanie. Przygotował żonie filiżankę słodkiej kawy ze śmietanką. Chess przetarła zaspane oczy.

— Dziękuję — powiedziała.

Pragnęła wyznać mu, że budzenie się przy jego boku czyni ją szczęśliwszą, niż była kiedykolwiek w życiu, ale wrodzona nieśmiałość nie pozwoliła jej na to.

— Czy pamiętasz, co stało się ostatniej nocy, Chess? Dziewczyna spuściła wzrok i wpatrując się w filiżankę

z kawą, skinęła głową.

— Cóż, chcę ci tylko powiedzieć, że najgorsze masz już za sobą. Teraz będzie łatwiej. Wypij kawę i ubierz się. Powinniśmy wyruszyć w drogę, nim robi się zbyt gorąco. Spróbuję znaleźć jakiś powóz. Wkrótce wrócę.

Widząc zamykające się za mężem drzwi, Chess zacisnęła powieki. Starła się pohamować łzy.

Czemu płaczę? — skarciła się w duchu, zdejmując i składając nocną koszulę. — Czegóż oczekiwałam? W jej walizce panował nieopisany bałagan. Chess poukładała na nowo nieliczne zabrane z domu rzeczy: połataną sukienkę z wypłowiałej, błękitnej wełny, trzy muślinowe koszulki i pantalone, dwie halki, perkalową sukienkę, grubą, ciemnobrązową spódnicę, białą płócienną bluzkę, rękawiczki, fildekosowe pończochy, szal, trzewiki, posrebrzany grzebień oraz szczotki do ubrań i włosów. Kiedy pakowała książki, tak starannie wybrane z szaf w zakurzonej bibliotece Harefields, z oczu popłynęły jej łzy. „Legenda o królu Arturze”, „Trzej muszkietierowie”, „Sonety z Portugalii”. Obok nich umieściła swój modlitewnik, którego zrobioną z kości słoniowej okładkę ozdobiono jej złotymi inicjałami. Wewnątrz widniały napisane ręką jej ojca słowa: „Mojej ukochanej córce, Francesce Auguście, z okazji jej komunii”.

Chess żałowała ogromnie, że matka Nathana nie opuściła go, podobnie jak to uczynił ojciec. Myjąc się czuła między nogami ból, nie był on jednak zbyt mocny. W tajemnicy małżeństwa nie ma nic podniosłego — uznała.

Tak czy owak jednak była mężatką i została nią, choć dawno straciła już nadzieję, że ktokolwiek poprosi o jej rękę. I w dodatku wyszła za mąż za Nathana. Cóż więc z tego, że seksualna inicjacja nie okazała się tak wspaniałym i oszałamiającym doświadczeniem, jak sądziła? Wystarczy, że miłość była właśnie czymś takim. Chess poczuła się podniesiona na duchu.

Ubrała się szybko i zaledwie w ciągu kilku sekund dokończyła pakowania. Nathan powinien wrócić za chwilę, ona zaś bardzo pragnęła go znów zobaczyć.

Rozdział 6

— Pojazd, który znalazłem, nie jest zbyt duży — ostrzegł Nate, kiedy schodzili po schodach. Jak się okazało, był mistrzem w bagatelizowaniu. „Pojazd” okazał się starą bryczką, przechyloną wyraźnie na prawą stronę, z zaprzężonym do niej leciwym koniem, który wyglądał, jakby spał. Dla Chess nie miało to jednak najmniejszego znaczenia — liczyło się tylko to, że siedzą razem na rozchwianym, zbitym z desek koźle.

— Uważam, że jest wspaniale — stwierdziła, chichocząc jak mała dziewczynka. — To prawdziwa przygoda. — Nie znasz nawet połowy prawdy na temat tego powozu — powiedział Nate, śmiejąc się.

— Koń jest ślepy na jedno oko. — Mam nadzieję, że lewe. Istniałaby wówczas jakaś równowaga między nim a bryczką. Richardson z pogodną twarzą wrócił do hotelu, by zabrać ich bagaż i uregulować rachunek. Musiał przyznać, że jego żona nie miała zwyczaju narzekać. W gruncie rzeczy była naprawdę dobrym kompanem. Nate ze zdumieniem stwierdził, że czuje się dobrze, mając u swego boku kogoś, z kim można rozmawiać i dzielić się sekretami. Owszem, w czasie licznych podróży często spotykał dziewczyny młodsze i ładniejsze od jego żony, które również miały zgodny charakter, i wiedział, że ludzie będą śmiać się za plecami

z jego wyboru, zupełnie się tym jednak nie przejmował. Miał dużo poważniejsze zmartwienia niż to, co ludzie o nim pomyślą lub powiedzą.

Hillsborough było pięknym, starym miasteczkiem z cienistymi ulicami, wysadzanymi wiekowymi drzewami. Kiedy jednak wydostali się na piaszczystą drogę, na którą nie padał żaden cień, letni upał uderzył w nich tak jak pięść jakiegoś olbrzyma, a przecież nie wybiła jeszcze nawet ósma rano.

— Wziąłem z hotelu trochę grzanek i galon wody — powiedział Nate. — Są w kufierku pod siedzeniem. Poczęstuj się nimi, nie jadłaś przecież śniadania. Ja też się napiję.

Ku swemu zdumieniu Chess odkryła, że rzeczywiście chce się jej jeść. Poprzedniego dnia przed kolacją także była głodna. Przebywanie w towarzystwie Nathana musiało mieć w sobie coś magicznego: przecież od wielu lat apetyt jej nie dopisywał — czuła się zawsze zbyt zmęczona, by zwracać sobie głowę jedzeniem.

A może po prostu była nieszczęśliwa? I dopiero teraz, ogarnięta nowym uczuciem, ma ochotę na jedzenie? Ku swemu zadowoleniu odkryła, że grzanki posmarowano masłem i miodem.

— To prawdziwa uczta, Nathanie. Na pewno nie chcesz się poczęstować?

— Zjadłem ich już chyba z tuzin dzisiaj rano — potrząsnął głową.

Boże — pomyślał — jakież ona ma apetyt! To chyba niemożliwe, by zawsze tyle jadła, skoro jest taka chuda.

Koń niechętnie włókł się przed siebie, Nate jednak nie próbował go poganiać. Prawdopodobnie i tak na nic by się to nie zdało, a poza tym wcale nie było mu śpieszno do spotkania z rodziną.

— Opowiedz mi o młynie, Nathanie. Mężczyzna spojrzał na nią zaskoczony.

— Mówiłeś o nim sam do siebie, kiedy poprzedniej nocy czekaliśmy na stacji na pociąg — dodała szybko.

— Mam taki okropny zwyczaj — skrzywił się Nate.

— Rzeczywiście, człowiek, który ma jakiś sekret, nie powinien tego robić. Nie przejmuj się jednak, nikt prócz mnie nic nie słyszał. Opowiedz mi teraz o tym. Mam prawo wiedzieć. Jestem twoją... współpracowniczką. Chess w ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie powiedzieć: „żoną”.

Nate z uśmiechem skinął głową.

— W porządku. Maszyna potrzebuje energii, która ją będzie napędzać. A żeby rozkręcić jakiś interes, trzeba zainwestować pieniądze — zyski przychodzą dopiero później. Wymyśliłem wobec tego, że zdobędę obie te rzeczy naraz i w tym celu muszę mieć młyn. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy. Niewiele, ale powinno wystarczyć. Teraz tylko poszukam odpowiedniego kawałka ziemi nad szybko płynącym strumieniem i wybuduję młyn wodny. Za dnia będę odpłatnie męł zboże farmerom, a nocą, w tajemnicy przed wszystkimi, młyn będzie napędzał moją maszynę. Dla pełnego bezpieczeństwa gotów jestem nawet spać tam na materacu.

Mówiąc o tym wszystkim, gestykulował tak żywo, że wypuścił z rąk lejce i koń się zatrzymał.

— Musimy mieć piec, na którym będę gotować — stwierdziła Chess, ujmując wypuszczone przez męża wodze i potrząsając nimi. Nate wyjął je z jej rąk i strzelił z bata nad końskim grzbietem. Nie było to jednak konieczne: zwierzę samo podjęło już swą powolną wędrówkę.

— Nie mów głupstw — skrzywił się Nate. — To nie jest życie dla ciebie. Na początku przyjdzie mi mieszkać w bardzo prymitywnych warunkach. Pozostaniesz na farmie, a kiedy zacznę zarabiać pieniądze, wybuduję dla nas dom.

Chess poczuła w gardle dławiący żal.

— Nie — odrzekła spokojnie.

— Co to znaczy?

— To znaczy „nie”. Ani ja nie pozostanę sama na farmie, ani ty nie poprowadzisz samodzielnie młyna. Jeden

człowiek nigdy nie da sobie rady z taką pracą, a do obsługi maszyny produkującej papierosy także potrzeba dwóch osób. Przecież musisz czasami spać.

Nate gwałtownie zacisnął zęby. Chess przyglądała mu się uważnie. Krople potu spływały jej z brwi i dostały się do oczu; poczuła piekący ból. Nie chciała ich ocierać, żeby mąż nie pomyślał, iż płakała.

— Masz rację — westchnął w końcu. — Zamierzałem wynająć jakiegoś chłopaka, który pomógłby mi w prowadzeniu młyna, nie mogę jednak pozwolić, by ktokolwiek zobaczył naszą maszynę. Wzniosę kilka dodatkowych ścian, by stała w osobnym pomieszczeniu. Czy znasz się choć trochę na prowadzeniu młyna?

— Wiem o tym tylko tyle, ile zobaczyłam na własne oczy, gdy kiedyś byłam w jednym z nich. A ty?

— Trochę. To nie powinno być zbyt trudne. Młynarz w mieście, do którego właśnie zmierzamy, nie robi wrażenia specjalnie rozgarniętego, a jednak daje sobie radę.

Chess siedziała w milczeniu.

— Ciągle zapominam o tobie — dodał ze skruchą Nate po kilku długich minutach. — Przez tyle czasu byłem sam, że teraz nie mogę przywyknąć do myśli, że mam współniczkę.

— Ja też — odrzekła Chess, uśmiechając się. — Nie powinnam była brać lejców.

— Nawet tego nie zauważyłem — wzruszył ramionami Nate, odwracając głowę i śmiejąc się.

Serce Chess żywiej zabiło z radości.

— Chcesz trochę wody?

— Tak, proszę pani, chcę.

Chess była zdumiona liczbą wozów, bryczek i konnych jeźdźców, których zobaczyła na drodze. Nate głośno witał się ze wszystkimi napotkanymi ludźmi, do niektórych z nich zwracając się nawet po imieniu.

— Czy jest tu w ogóle ktoś, kogo nie znasz? — zapytała żona.
— O, wielu — odparł. — Ale niezależnie od tego kłaniam się im: Prawdopodobnie pewnego dnia i tak zostaniemy sobie przedstawieni. W tej okolicy nie ma zbyt wielu ludzi.
— Tu, na drodze, wydaje się, że jest ich mnóstwo.
— Jak zawsze. Hillsborough jest stolicą hrabstwa Orange. To właśnie tutaj wszyscy przyjeżdżają załatwiać sprawy związane z polityką lub prawem. Wkrótce jednak skęcimy ku Alamance. Tam nie będzie takiego ruchu. Całe szczęście, bo mam już dosyć łkania kurzu wzniesianego przez innych. Chess napiła się trochę wody. Była zadowolona. Kurz jej nie przeszkadzał. Uważała, że migoczące tęczowo w powietrzu tumany pyłu wyglądają bardzo ładnie, choć jej ciemna spódnica pokryła się popielatym nalotem. Widoczne wokół połącze gołej ziemi wyglądały niemal tak samo jak piaszczyste grunty Tidewater. Nie czuło się tu jednak owego chłodnego, słonego powiewu znad szerokiej rzeki, który sprawiał, że kurz i upał stawały się mniej dokuczliwe.
Po raz pierwszy Chess poczuła bolesną tęsknotę za domem. Jeszcze nigdy dotąd nie oddaliła się tak bardzo od rodzinnej posiadłości.
Ponownie przechyliła dzban i łyknąwszy jeszcze trochę wody, podała go Nathanowi.
W południe zatrzymali się, by napoić konia w niewielkim strumieniu, który płynął przez zagajnik wysokich sosen. Umyli też rozgrzane twarze, po czym chciwie pili ciepłą wodę, nabierając ją złożonymi dłońmi.
Nate wyciągnął się wygodnie na miękkim poszyciu z sosnowych igieł, Chess zaś usiadła obok i oparłszy się o pień drzewa, z zapalem wachlowała się kapeluszem.
— Jesteśmy gdzieś w połowie drogi — powiedział Richardson. — Gdybyśmy mieli przyzwoitego konia, już bylibyśmy w domu.

— To nieważne. Jest zbyt gorąco, by myśleć o pośpiechu.

Równy oddech mężczyzny stał się nagle głębszy i wolniejszy. Nate zapadł w sen.

Chess po cichutku przysunęła się do męża i popatrzyła na niego tak, jak nigdy dotąd nie miała odwagi nań spojrzeć: wzrokiem pełnym nie skrywanej miłości i czułości. Nie było w tym mężczyźnie niczego specjalnego — ot, po prostu, młody człowiek z ogorzałą twarzą farmera, na której ledwie były widoczne brązowe piegi. Jego błyszczące, błękitne oczy pozostawały teraz zamknięte, bez nich zaś wydawał się jej on nieomal obcy. Rzęsy miał tak gęste i długie, że mogły wywołać zazdrość w każdej kobiecie. Chess nie zauważyła ich przedtem, teraz jednak miała okazję dokładnie się przyjrzeć mężowi. Podziwiała jego kształtne uszy i czystą linię warg, na których miała ogromną ochotę złożyć gorący pocałunek.

Lepiej, jeśli wrócę na swoje miejsce — stwierdziła w końcu i z rezygnacją poddała się temu głosowi rozsądku. Nate obudził się równie nagle, jak zapadł w sen. Mrużąc oczy, spojrzał na przeświecające przez gałęzie drzew słońce.

— Spałem zbyt długo — westchnął. — Teraz, przez resztę drogi, słońce będzie nam nieustannie świeciło w twarz.

Niespodziewanie, po raz pierwszy, w jego zachowaniu dawało się wyczuć niepokój. Odchrząknął z zażenowaniem.

— Cóż, przejdę się jeszcze na mały spacer, zanim ruszymy — oświadczył, wskazując ręką las po lewej stronie. — Jeśli ty też chciałabyś... — nie dokończył zdania, gestem jednak wskazał jej pobliskie zarośla.

— Ja odbyłam ów spacer, kiedy jeszcze spałeś — odparła Chess, nie odrywając oczu od wkładanych właśnie rękawiczek. Były już brudne, ale ona przygotowała się na taką ewentualność — w kieszeni miała drugą parę. Włoży ją, zanim dotrą na farmę, aby przed rodziną Nathana wystąpić w czystych. Rękawiczki uszyto z białej kozłęcej skóry,

cienkiej i gładkiej jak jedwab. W torbie podróżnej miała jeszcze dziesięć innych podobnych par. Wąskie i eleganckie dłonie Chess stanowiły jedyną pożywkę dla jej próżności. Wiedziała, że jest nieładna, za wysoka, zbyt chuda i stara. Ot, kościste, bezbarwne brzydactwo. Ale ręce miała piękne, co było dla niej pewną pociechą. Od lat już wyciągała kolejne pary rękawiczek z komody swej matki, by chronić dłonie wówczas, gdy musiała pracować lub narażać je na kontakt z brudem. Nigdy nie zapominała o rękawiczkach! Matka miała setki par, a przecież nie opuszczała domu.

— Gotowa?! — zawołał Nate. — Wobec tego zaprzęgam konia, ty zaś napełnij wodą dzban.

Richardson zatrzymał powóz i zeskoczył na ziemię.

— Otworzę bramę, a potem zamknę ją za tobą, gdy przejedziesz — powiedział. — Zatrzymaj konia i poczekaj na mnie.

Chess wyteżyła wzrok, ale słońce stało już tak nisko, że świeciło jej prosto w oczy. W jego blasku nie dostrzegła żadnej farmy. Ujęła podane jej przez Nathana lejce i cmoknięciem zachęciła konia do ruszenia z miejsca.

Kiedy mąż z powrotem wspiał się na kozioł, ocieniła dłonią oczy i rozejrzała się, po czym zajęła się zdejmowaniem brudnych i nakładaniem czystych rękawiczek — nie miała ochoty ponownie spoglądać na dom.

Farma Richardsonska składała się z kilku zaledwie małych, rozchwianych, poszarzałych ze starości budyneczków stojących wokół dużego podwórza, na którego ubitej ziemi gdzieś widniały gałęzie i pniaki drzew. Miejsce to zrobiło na Chess wrażenie wymarłego.

— Jesteśmy w domu — powiedział Nate.

— I cóż, twoim zdaniem, powinnam z tym wszystkim zrobić, Nathanie Richardsonie? — Głos jego matki brzmiał

jak pohukiwanie sowy. — Oświadczasz mi, że nie możesz pojechać na Camp Meeting, gdzie głównym kaznodzieją jest twój brat, ponieważ musisz udać się do Richmond w Wirginii w interesach, po czym wracasz w garniturze, który musiał kosztować Bóg wie ile, i z nigdy wcześniej nie widzianą przeze mnie kobietą, którą nazywasz swoją żoną. Pewnie najlepiej zrobiłabym wyrzucając cię z domu i barykadując przed tobą drzwi.

Powitanie nie okazało się zbyt serdeczne. Chess była przerażona. Przerażona tą chudą kobietą o donośnym głosie i złej, pomarszczonej twarzy, przywodzącej na myśl oblicza czarownic z bajek dla dzieci. Przerażona wyjątkową brzydota tego miejsca, mającego być teraz jej domem. A przede wszystkim przerażona uległością Nathana wobec matki... Gdzież podział się ów mężczyzna, którego pewność siebie tak bardzo podziwiała?

Uświadomiła sobie, że drży, i ten objaw własnej słabości rozgniewał ją. Czego się tak lęka? W końcu jest osobą dorosłą, nie dzieckiem. Co więcej, nie jest byle kim: pochodzi ze Standishów, z plantacji Harefields.

Przypomniała sobie wszystkie zasady, jakimi powinna się kierować dama, które tak pieczołowicie wpajano jej w dzieciństwie. Wyprostowała się, dumnie unosząc głowę i kiedy matka Nathana podeszła do niej, śmiało popatrzyła jej w oczy.

— Ile masz lat, dziewczyno? — zapytała stara kobieta.

— Trzydzieści — odrzekła Chess.

Na ustach Mary Richardson pojawił się pełen satysfakcji uśmiech, przez twarz Nate'a zaś przemknął cień zaskoczenia.

— Siedem lat! — wykrzyknęła jego matka. — Siedem lat starsza — powtórzyła.

Nate sądził, że różnica wieku jest większa. Opierając dłonie na biodrach, stara kobieta obróciła się w stronę syna.

— Zawsze byłeś skończonym głupcem, chłopcze — stwierdziła.

Chess poczuła, że musi przyjść mężowi z pomocą.

— Pani syn jest człowiekiem interesu, pani Richardson — oświadczyła z godnością. — Poślubił mnie, aby mieć współniczkę w realizowaniu pewnego przedsięwzięcia. Ja również wyszłam za niego z tego samego powodu. To nie ma nic wspólnego z panią i nikt nie pyta, jaka jest pani opinia na ten temat. Głos Chess pełen był arogancji i pogardy. Mary Richardson stała jak rażona gromem. W jej świecie matki cieszyły się władzą despotyczną. Nikt nie śmiał sprzeciwiać się ich zdaniu, szczególnie synowe. Nathan objął matkę ramieniem, jakby chciał ją pocieszyć.

— Nie powiedziałem ci jeszcze, mam — dodał — że Chess jest damą z Wirginii.

Na starej kobiecie jego słowa nie zrobiły jednak żadnego wrażenia. Uwolniła się od uścisku syna i ponownie utkwiała spojrzenie w jego żonie.

— Jesteś chrześcijanką?

Słowa te zabrzmiały bardziej jak oskarżenie niż pytanie.

— Tak.

— Bierzesz udział w nabożeństwach?

— Tak.

— Do jakiego Kościoła należysz?

— Do episkopalnego.

— Aha! — zawołała z satysfakcją teściowa, po czym ruszyła ku stojącemu przy otwartych drzwiach fotelowi na biegunach i usadowiła się na nim z taką godnością, jakby zasiadała na tronie.

— Podaj mi tę miskę z grochem do łuskania, chłopcze — zażądała. — Nie mam zamiaru tracić czasu na ciebie i tę Chase. Mam sporo roboty.

— Ona ma na imię Chess, mam. Nie Chase.

— Wszystko jedno. To i tak pogańskie imię.

Policzki Chess pałały rumieńcem gniewu, kiedy jednak Nathan popatrzył na nią i, wznosząc oczy za plecami matki, porozumiewawczo mrugnął, dziewczynę opuściła cała złość. Cóż z tego, że ma tak okropną teściową? Liczy się przede wszystkim to, jak traktuje ją mąż.

Nate posłusznie postawił miskę z grochem na kolanach matki.

— Oprowadzę Chess po farmie i pokażę jej wszystko, zanim zrobi się ciemno — powiedział i skinął na żonę, a gdy już byli w drzwiach, dodał głośno: — Napoimy też i nakarmimy konia — po czym, zniżając głos do szeptu, rzekł do Chess: — Przeniosę model maszyny tam, gdzie nikt go nie zobaczy. Już pierwsze minuty w domu męża dały Chess przedsmak tego, jak miało wyglądać jej życie na farmie. Nathan stanowił jedyną ucieczkę i ochronę przed denerwującymi, nieznośnymi sytuacjami, które zdarzały się na każdym kroku. Co wieczór, po pozbawionej smaku kolacji przygotowywanej przez jego matkę, prowadził dziewczynę na cichą, podmokłą polanę nad brzegiem strumyka, który wił się przez sosnowy las rosnący za ich domem.

Oczyściwszy potok z opadłych z drzew gałęzi, konstruował małe młyńskie koła i brodząc w chłodnej wodzie, wypróbowywał, jak działają. Zdarzało się też, że siedząc obok siebie, omawiali swoje sekretne plany tak długo, aż śpiew skowronków przypominał, że świt jest już za pasem i muszą wracać do domu.

Długie upalne dni były jej bardzo na rękę, ponieważ tylko dzięki nim Chess mogła liczyć na wieczorne wypady u boku męża. Stanowiły one jedyną radość, pod innymi względami bowiem życie dziewczyny było bardzo smutne. Z nadzieją myślała, że ciotka Nathana, Alva, zostanie jej przyjaciółką, stało się jednak inaczej. Pogratulowała wprawdzie Nathanowi, pocałowała Chess w policzek, ale

jej oczy pozostały obojętne i w żaden sposób nie próbowała też nawiązać rozmowy z przybyłą kobietą. Natomiast obie córki Alvy — Susan oraz jej malutka siostrzyczka — od pierwszej chwili polubiły nowego domownika.

Nieco później Chess została również przedstawiona mężowi Alvy, Joshowi, oraz ich synowi Micahowi. Obaj przywitali się z nią obojętnie, po czym natychmiast zaczęli rozmawiać z Nathanem o wymagającym naprawy dachu stodoły, nie zwracając już na Chess najmniejszej uwagi.

Wyraźnie nie witano jej serdecznie w rodzinie Richardsonów. Matka Nathana powiedziała jej to wprost:

— Nie ma tu dla ciebie miejsca, Chase. Lepiej będzie, jeśli wrócisz tam, skąd przybyłaś.

— Dobrze pani wie, że nie mogę tego uczynić. Jestem poślubiona pani synowi i jego krewni są także moimi krewnymi. Chyba zna pani przypowieść o Ruth, panno Mary?

Mary Richardson traktowała Chess najgorzej, jak tylko mogła, młoda kobieta zaś szybko odkryła, że nic nie rozdrażnia teściowej równie mocno jak cytowanie Biblii, ponieważ właśnie czytanie tej księgi stanowiło ulubioną rozrywkę pani Richardson. Chess nazywała ją także „panną Mary”, zgodnie z dawną tradycją Tidewater, chcąc podkreślić swoje arystokratyczne pochodzenie, tak różne od tego, którym mogła poszczycić się matka Nate'a.

Była to jedyna broń, jaką dysponowała. Nathan starał się trzymać jak nadal od wojny toczonej przez dwie kobiety. Cały dzień pracował przy tytoniu, a zaglądał do domu tylko po to, by się umyć i w południe zjeść obiad, następnie wieczorem, by znów się umyć i usiąść do podawanej o godzinie szóstej kolacji.

Po wieczornym posiłku zabierał Chess na ich polanę przy strumieniu i tam goiły się rany na jej duszy. Aż do następnego dnia.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Mary Richardson miała rację: Chess musiała sama przed sobą przyznać,

że nie pasowała do tego miejsca. Świetnie radziła sobie z prowadzeniem liczącej dziesięć tysięcy akrów plantacji, ale nie wiedziała nic o pracy na czterdziestoakrowej farmie. Nigdy nie doiła krów, nie ubijała masła, nie karmiła kurcząt ani nie ukręcała im łebków. Większość żywności w Hare-fields pochodziła od dzierżawiących ziemię farmerów, którzy w ten sposób spłacali swoje zobowiązania. Chess umiała wprawdzie przyrządzać posiłki, ale Mary Richardson odrzuciła jej propozycję pomocy w gotowaniu.

— Nie mogę pozwolić, byś robiła obiad dla mnie i mojego chłopca. Jeśli radziłabyś sobie z tym tak samo jak ze wszystkim innym, wkrótce wszystkich nas byś potruła.

Mary nie zaniedbywała żadnej okazji, by dociąć synowej. Najwyraźniej dokuczanie jej sprawiało starej kobiecie przyjemność, w oczach Chess natomiast złośliwość matki Nate'a urastała do monstualnych rozmiarów.

Nawet gdy kładli się wieczorem do łóżka, Chess wydawało się, że zza cienkiej ściany oddzielającej od siebie oba pokoje dobiegają pełne dezaprobaty pomrukiwanie „panny Mary”. Była pewna, że teściowa słyszy skrzypienie ich starego, żelaznego łóżka, i cieszyła się, że jej mąż za każdym razem tak szybko spełnia swój małżeński obowiązek. Później natychmiast odwracał się na drugi bok i zapadał w sen. Przytulając policzek do jego silnych, nagich pleców, pocieszała się marzeniami o ich wspólnej tajemnicy: młynie, w którym kiedyś razem zamieszkają. Sami.

Rozdział 7

Upłynęły prawie trzy tygodnie od ich przybycia na farmę, kiedy Nate wrócił do domu z radosną nowiną. Pojawił się w porze obiadu, jednak zamiast usiąść i zabrać się do jedzenia złożył dłonie przy ustach i na wyimaginowanej trąbce zagrał: „tratatata”.

— Josh i ja skończyliśmy dziś rano żniwa. Jutro pojedę do Danville z kilkuset funtami najpiękniejszych, najbardziej żółtych liści, jakie kiedykolwiek widziałas. Spisz, czego ci potrzeba, mamó. I nie żałuj sobie. Dostaniemy za ten tytoń kupę dolarów. — Jego szeroki, słoneczny uśmiech stanowił radosne antidotum na smutną, deszczową aurę panującą na dworze.

— Jak długo tam będziemy, Nathanie? — spytała Chess, uśmiechając się z zadowolenia na myśl o opuszczeniu choć na jakiś czas farmy.

— Ty nie możesz ze mną pojechać — odparł Nate, siadając. — Giełda tytoniowa nie jest miejscem dla damy.

— Proszę — jęknęła Chess. — Proszę, Nathanie. Tak bardzo chcę to zobaczyć.

Mary Richardson postawiła przed synem talerz z wieprzowymi pulpetami i szpinakiem.

— Słyszałaś, co powiedział, Chase. Nigdzie nie pojedziesz — oświadczyła z satysfakcją. — Bierz talerz i nałóż sobie jedzenie, zamiast skamleć mu tu nad uchem.

— Nathanie... Proszę...

— No cóż, zgoda. Chyba rzeczywiście powinnaś zobaczyć, jak sprzedaje się tytoń. Nie spodziewaj się jednak długich wakacji. Wrócimy na farmę tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

— Dziękuję ci — powiedziała cicho Chess. Na jej usta znów powrócił uśmiech.

Tego popołudnia po raz pierwszy zobaczyła z bliska tytoń.

Nathan pokazał jej stodołę: niewielki budynek, pełen ogromnych, żółtych pasów, zwieszających się z cienkich prętów pod sufitem. Wyglądało to tak, jakby całe pomieszczenie wypełniały jesienne liście, wydzielające dziwną, słod-kawą woń. Chess nie mogła nasycić oczu tym egzotycznym dla niej widokiem. Zanim weszli do środka, mąż zatrzymał ją w progu.

— To są nasze pieniądze na przyszłość — powiedział. — Nie połam żadnego z nich. Suche, złote liście są bardzo kruche.

W stodole było duszno i gorąco. Na podłodze ustawiono dziesięć węglowych piecyków, które — rozpalone do czerwoności — jarzyły się w półmroku jak oczy przerażających olbrzymów. Przez otwarte drzwi wpadał wiatr, szeleszcząc tytoniowymi liśćmi, które kołysały się lekko ponad ogniem. Chess zaledwie zdążyła rzucić okiem na te znajdujące się najbliżej wejścia, zanim Nathan zamknął drzwi za ich plecami i w pomieszczeniu zrobiło się ciemno. Nagle odruchowo uniosła dłonie ku głowie — kiedy zrobiła kilka kroków w głąb stodoły, wypłoszyła wielkie stado nietoperzy, które spały, wisząc u powały. Wspomnienie ich nagłego, hałaśliwego zerwania się do lotu jeszcze przez długie miesiące powracało do niej w koszmarnych snach.

Nate z dumą wsunął jej w dłonie dwa złote liście. Chess przesunęła po nich palcami, zafascynowana zarówno ich dorodnością, jak i kruchością.

— Wyglądają jak piękna, żółta skóra! — szepnęła.

— Żałuję, że nie mogę uszyć sobie z nich rękawiczek.

— Na nic by się nie zdały — roześmiał się Nate.

— Lepiłyby ei się do rąk.

Miał rację. Chess poczuła, że całe jej dłonie kleją się od tytoniowego soku.

— Weź je ode mnie — poprosiła. — Muszę umyć ręce.

— Poczekaj z tym do końca dnia — poradził Nathan.

— Wszyscy będziemy przez całe popołudnie je zwijać.

— Ale nie Chase — oświadczyła Mary Richardson, niepostrzeżenie stając za ich plecami. Pochłonięci rozmową, dopiero teraz ją zauważyli. — Może zająć się maleństwem Alvy, żeby nie kręciło się nam pod nogami. Każdy głupi potrafi opiekować się dzieciakiem.

Chess trzymała w ramionach popiskującą Sally i przyglądała się pracy pozostałych. O, jakże chętnie udowodniłaby, że „panna Mary” się myli.

Josh, Alva, Mary i Susan siedzieli na ławie w dużym pomieszczeniu nazywanym przez nich warsztatem. Przylegało ono do stodoły, miało jednak własne wejście, a spadzisty dach znajdował się tu znacznie niżej. Dzięki trzem otwartym, wychodzącym na północ oknom w sali było jasno i przyjemnie chłodno. Deszcz przestał już padać, pozostawiając w powietrzu zapach świeżości. Wyraźnie czuło się, że nadchodzi jesień, i to pomimo iż wrzesień często bywał na Południu najgorętszym miesiącem w roku.

Cała czwórka pracowała pochylona, nie tracąc sił na żadne zbędne gesty. Co chwila któreś sięgało po pięć czy sześć tytoniowych liści, których stos piętrzył się na stole, i szybko tworzyło coś, co — jak powiedziano Chess — nazywało się „ręką”. Dziewczyna była pod wrażeniem harmonijnych ruchów pochłoniętych pracą ludzi. Zwijali liście, po czym gwałtownie obracali je palcami, spłaszczając i składając. W końcu — tak szybko, że Chess nie mogła nadażyć

wzrokiem — owijali cały stos przygotowanego w ten sposób tytoniu w dodatkowy zrolowany liść, mocując jego szypułkę tak, by cały pakunek się nie rozleciał.

„Panna Mary” znów miała rację. Jej synowa nie potrafiłaby tego zrobić.

— Chodźmy, Sally — szepnęła do dziecka Chess. Czekwała jakiś czas na zewnątrz, aż w końcu zobaczyła

wychodzących z warsztatu Nathana i Micaha. Nieśli długi kij z przewieszonymi „rękami”, który ostrożnie umieścili w pierwszych rowkach znajdujących się w szkielecie ustawionego tuż przy drzwiach dużego wiejskiego wozu.

— Usiądziemy sobie na schodach, Sally, i przeczytam ci bajkę. Co ty na to?

Nawet jeśli Sally nie miałyby ochoty — pomyślała Chess — grunt, że ja mam.

Na baśniach znała się o wiele lepiej niż na tytoniu. Przytuliła dziewczynkę tak mocno, że ta aż zaprotestowała. Pewnego dnia — marzyła Chess — będą miała własne maleństwo. Dziecko Nathana. Było jeszcze ciemno, kiedy wyruszyli do Danville. Cała ziemia odpoczywała, a wszystkie stworzenia spały. Bezkresne czarne niebo nad ich głowami lśniło od gwiazd. Księżyc wyglądał jak błydy rogalik ponad horyzontem, a droga przypominała cienką, srebrną wstęgę. W nocnej ciszy znajome skrzypienie upręży i kół wydawało się nader krzepiące, podobnie jak ciepło ciała Nathana, które chroniło Chess przed chłodną ciemnością.

Byli tylko oni dwoje — tak samo jak wówczas, na dworcu w Weldon. W ciemności Chess nie musiała się bać, że twarz ją zdradzi, że Nathan odgadnie, jak bardzo go kocha. Czuła się lekka, wolna, radosna, pełna dziewczęcej wesołości. I bezpieczna. Przepełniające ją szczęście wyzwoliło ten szczególny, gardłowy śmiech, który sprawiał, że wszyscy wokół zaczęli czuć się dobrze. Nate zdążył już

zapomnieć jego brzmienie — na farmie żona rzadko miała okazję do radości. Za nimi, skryte pod płótnem wozu, kołysały się wiszące tytoniowe liście.

— Musimy wyglądać jak wielki duch — stwierdziła Chess. — Gdyby nas ktoś teraz zobaczył, przeraziłby się na śmierć.

— Prawdopodobnie tak — zachichotał Nate. — Ale nie dlatego, że wzięłby nas za ducha, lecz dlatego, iż odgadłby, że Richardson wiezie swe liście na sprzedaż o miesiąc wcześniej niż on.

— To dobrze?

— Tak. Pod warunkiem, że ma się aż tyle tytoniu co my. I w tak doskonałym gatunku. Jestem przekonany, że kupcy będą bić się o nasz ładunek — dodał z dumą.

Przez dłuższy czas mówił tylko o tym, jak wspaniałe plon udało mu się zebrać. Chess z trudem nadażała za potokiem jego słów.

— Większość farmerów straci swoje tegoroczne zbiory na skutek suszy w maju i czerwcu. My przez pół dnia codziennie czerpaliśmy ze strumienia wiadrami wodę, dzięki czemu rośliny wyrosły silne i dorodne. Dlatego właśnie, kiedy w lipcu pojawiły się deszcze, tytoń stał prosto — strugi wody nie przygięły go do ziemi... Tak, tak, widziałem spustoszone pola i naprawdę był to smutny obraz. W tym roku niewiele będzie dobrych liści... Wszyscy mówili to już od miesiący. To zaś znaczy, że dorodny tytoń osiągnie wysoką cenę. A nasze liście są nie tylko dobre — są doskonałe. Najlepsze, jakie można sobie wyobrazić. Przynajmniej jedna trzecia z nich ma najwyższą jakość. Trzeba przyznać, że Josh wie więcej o uprawie tytoniu niż ktokolwiek w całej Karolinie Północnej. Może się wydawać szalony, zawsze bowiem postępuje zgodnie ze starymi, wypróbowanymi sposobami i odmawia wprowadzania jakichkolwiek innowacji, ale jeśli chodzi o hodowlę tytoniu, dawne sposoby okazują się najlepsze. A Josh zna je wszystkie jak nikt. Pierwszą sprawą jest temperatura, rozumiesz? Trzeba

wiedzieć, jak ogrzać stodołę, by było w niej dokładnie trzydzieści stopni, potem pięćdziesiąt, a w końcu sześćdziesiąt bądź siedemdziesiąt. I jak długo liście muszą schnąć w określonej ciepłocie. A także kiedy otworzyć drzwi, by tytoń nieco zwilgotniał, i po czym poznać, że do pieca trzeba dorzucić węgla lub wręcz przeciwnie — nieco go ostudzić. Niektórzy powiedzieliby pewnie, że jest to ustalony system, że wystarczy mieć nieco wiedzy na ten temat, ale gdyby istotnie tak było, cytryna nie stanowiłaby takiej rzadkości. Nie. To ma w sobie coś z magii i Josh słusznie mówi o rytuale suszenia. — A co ma do tego cytryna? — zdziwiła się Chess, kiedy Nathan umilkł na chwilę dla złapania oddechu. Zdumiała się, kiedy mąż, śmiejąc się, objął ją ramieniem.

— O Boże, zapomniałem, że ty zupełnie nic nie wiesz o tych rzeczach — głos miał ciepły, równie ciepły jak krótki uścisk, w którym ją zamknął. Dziewczynę ogarnęła omdlewająca rozkosz. Z trudem zmusiła się, by uważnie słuchać jego słów.

Cytryna była kolorem liści. Najlepszym kolorem, znacznie cenniejszym od tego, co nazywano pomarańczą lub mahoniem. Tytoń tej barwy wspaniale się nadawał, by zwijać go w małe kwadraciki do żucia, zwane „prymkami”. Nie ze wszystkimi liśćmi można w ten sposób postępować. Każda roślina ma osiemnaście liści — przynajmniej ten gatunek, który hodowali Nate i Josh, choć niektórzy farmerzy pozwalali tytoniowi rosnać tak wysoko, że rodził aż dwadzieścia cztery liście, inni zaś ścinali go natychmiast, gdy urosło ich dwanaście. Najniższe liście były zawsze za-piaszczone, ponieważ leżały na ziemi, cechowała je także pewna łukowatość. Nazywano je „uchwytami” i nie przedstawiały one większej wartości. Podobnie było z liśćmi na samej górze, określanymi jako „wierzchołki”. Prawdziwy plon stanowiły te środkowe — to z nich uzyskiwano najlepszy tytoń. Zwykle suszono je i przeznaczano na tytoń do palenia, dlatego też nadano im miano „ciętych”, jako że

mielono je na drobne kawałki. Liście znajdujące się w samym środku, powyżej i poniżej ciętych, uważano za najlepsze. Nazywano je „zwijańcami”. Można było mówić o szczęściu, kiedy miało się dwa zwijańce z rośliny, ponieważ musiały być one całe, nie postrzępione na brzegach i bez dziur po robakach — a te potrafiły zjadać tytoń szybciej, niż żujący człowiek wkładał prymkę do ust. W dodatku prawie zawsze te akurat liście przybierały barwę pomarańczową lub mahoniową. Teraz już Chess mogła sobie wyobrazić, co znaczy pełen wóz załadowany cytrynowymi zwijańcami. Poczula, że jak na jeden dzień nauczyła się dostatecznie wiele na temat tytoniu, nie powiedziała jednak tego Na-thanowi. Zamiast słuchać słów męża wolałaby wspominać uścisk jego ramienia. Kochała jednak tego mężczyznę, a zatem interesowało ją wszystko, co dotyczyło jego życia. Nawet zeszłoroczne żniwa i przechowywanie ziarna na przyszłe siewy. Cierpliwie pozwoliła mu także ze szczegółami opisać wykonany wspólnie z Joshem system ogrzewania stodoły, o którym głośno było w całej okolicy.

— Następne rozwiązania będą prawdopodobnie coraz lepsze. To cecha czasów, w jakich żyjemy. Ludzie ciągle wynajdują coś nowego, wpadają na kolejne pomysły. Mówi się nawet, że w tym roku budynki rządowe w stolicy stanu mają zostać zelektryfikowane. Mam na myśli prawdziwą energię elektryczną, nie zaś te zabawne przedmioty, które szczypią, kiedy przyłożyć do nich język. Rok temu za pomocą pewnego urządzenia rozmawiałem z przyjacielem, który znajdował się tak daleko ode mnie, że nie mogłem go nawet widzieć. Ten aparat działał na podobnej zasadzie co lampy elektryczne. Świat tak bardzo się zmienia. Do licha! Wymyślono już nawet metalowe puszki, w których można przechowywać mięso i jarzyny, tak że nigdy się nie psują, można je zatem jeść nawet w tych porach roku, gdy nie dojrzewają. W następnej kolejności będzie się pewnie konserwować mleko i masło, a kto wie, może coś jeszcze? Powiadam ci, Chess, wspaniale jest żyć w takich czasach.

— Tak, z pewnością — zgodziła się całym sercem. Wspaniale było żyć, szczególnie w tej minucie, kiedy miało się przy sobie ukochanego mężczyznę. Męża!

Wiedziała, że zatrzymają się w hotelu. W stojącej u jej stóp walizce miała jedwabną koszulę nocną, przed wyjazdem zaś umyła włosy. Jeśli uda im się dobrze sprzedać tytoń, poprosi Nathana, by kupił jej maleńki flakonik perfum.

— Opowiedz mi o Danville — poprosiła.

— To prawdziwe miasto — powiedział podniecony Nate. — Podoba mi się ono o wiele bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie. Nazywają je „tytoniowym miastem” i mają rację. Kupuje się tu i sprzedaje więcej tytoniu niż gdziekolwiek indziej, nawet w Richmond. Wprost nie mogę uwierzyć, że dotąd o nim nie słyszałaś — roześmiał się. — Sądzę, że powinnaś je polubić. Znajduje się już poza granicą naszego stanu, w Wirginii. A więc zabieram cię tam, skąd pochodzisz. „Zawieź mnie z powrotem...” — zaczął śpiewać mocnym, czystym barytonem.

— „...do starej Wirginii...” — zawtórowała mu Chess. Oboje znali tylko pierwszy wers pieśni, ale śpiewali go wciąż od nowa. Ich głosy łączyły się ze sobą, podczas gdy wóz sunął powoli, kołysząc się lekko. Wkrótce niebo zaróżowiło się pierwszymi promieniami świtu.

W południe zatrzymali się, by napić konie i zjeść kanapki przygotowane przez Chess na drogę. Słońce paliło niemiłosiernie, a pył z piaszczystej drogi o głębokich koleinach osiadał im na ubraniach i wdzierał się do gardeł.

— Jeszcze tylko kilka godzin i będziemy na miejscu — powiedział Nate. — Można rzec, że jesteśmy już niedaleko. Rozejrzawszy się po polanie, na której odpoczywali, Chess ujrzała dookoła namalowane jaskrawymi barwami na skałach napisy: „Najlepsza cena na tytoń”, „Dobry interes u Neala”, „My otwieramy pierwsi”. Podobne re-

klamy widywała już od wielu kilometrów. Umieszczano je na skałach, ścianach stodół, płotach, nawet domach.

— W ten sposób ogłaszają się domy aukcyjne — objaśnił Nate/ — Ostro walczą ze sobą, by ubić jak najlepszy interes. Ja zwykle wybieram Big Star. Jest tam paru ludzi, którzy mnie znają. — Podniósł się z miejsca i począł zbierać ich bagaże. — Jesteś gotowa do drogi?

— Tak. Z niecierpliwością czekam chwili, gdy dojedziemy na miejsce. Musisz mi jednak obiecać jeszcze jeden postój, zanim wjedziemy do miasta. Chcę się trochę umyć.

— Dobry pomysł — pochwalił Nate, który zdążył już przez ten czas zaprząć jednego z koni.

— Tutaj! — zawołała Chess. — Zatrzymajmy się tutaj. Po ich lewej stronie widniał mały staw otoczony kwitnącymi kaczeńcami.

Kiedy wjeżdżali do Danville, słomkowy kapelusz kobiety ozdabiał bukiet jasnożółtych kwiatków, a zakurzona błękitną suknię zastąpiła białą płócienną bluzką i ciemną spódnicą. Włożyła też czyste, białe rękawiczki.

— Wyglądasz naprawdę doskonale — powiedział z uznaniem Nathan.

Komplement sprawił, że twarz Chess oblał rumieniec.

Danville ją oczarowało. Było to stare miasto położone u stóp Blue Ridge Mountains, ona zaś znała jedynie płaski świat Tidewater. Wzgórza stanowiły więc dla niej nowe doświadczenie.

Dzięki tytoniowi w Danville nie dało się odczuć żadnego gospodarczego załamania, które nękało po wojnie secesyjnej większość miast na Południu. Nate skierował wóz na główną ulicę, gdzie wznosiło się wiele imponujących starych domów. Przekznice pełne były sklepów, a w ich oknach wystawowych umieszczono tabliczki z napisem: „Witaj, hodowco tytoniu”. Całe centrum miasta wypełniał charakterystyczny zapach wysuszonych tytoniowych liści.

Chess najbardziej podobał się szeroki nurt Dan River. Na wybrukowanej ulicy, ciągnącej się wzdłuż brzegu rzeki, czuło się słodkawy, wilgotny zapach — tak silny, że zagłuszał nawet woń tytoniu. Uszczęśliwiona wciągała go w płuca, z rozkoszą przymykając oczy.

— Wyglądasz jak pies, który zwietrzył trop — stwierdził Nathan, ale w jego głosie nie było złości, lecz jedynie nieokreślona nerwowość.

Poprowadził konie zadaszonym podjazdem obok wielkiej ceglanej hali Big Star i zapach rzeki zniknął. Chess otworzyła oczy.

Spostrzegła, że pod warstwą opalenizny jej mąż jest bardzo blady. A zatem dotarli na miejsce i wkrótce okaże się, czy Nate rzeczywiście zarobi tyle pieniędzy, na ile liczył. Wszystko od tego zależało. Tylko on wiedział, jak trudno było zgromadzić oszczędności, jakie poczynił przez lata ciężkiej pracy. Za jego plecami znajdował się cały wóz cytrynowych zwijańców. Wierzył w to. Tak powiedział Josh, a on przecież powinien wiedzieć najlepiej. Ale, prawdę mówiąc, zaledwie kilku ludzi kiedykolwiek widziało na oczy tego typu tytoń, który stanowił dla hodowców pewien niedościgniony ideał.

Ściągnął wodze i zatrzymał wóz. Natychmiast pojawili się wokół niego tragarze oferujący pomoc w rozładunku.

— Chce pan kosze?! — wołali. — Wynajęcie ich kosztuje dziesięć centów za dzień.

— Jasne, że chcę — odrzekł Nate. — Taki tytoń nie powinien dotykać brudnej podłogi waszej hali. Poczekajcie tylko, aż wam go pokażę.

Zeskoczył z kozła i uniósł płótno. Ręce mu drżały.

Kiedy odsłonił liście, wśród zgromadzonych wokół mężczyzn zapadła cisza. Był to prawdziwy hołd ze strony ludzi, którzy prawie całe życie spędzili na uprawie tytoniu.

Nate uśmiechnął się i z rękami w kieszeniach oparł się o tył wozu. Nie drżał już. Patrzył na rozładujących tytoń tragarzy z taką satysfakcją, jakiej nigdy dotąd nie doznawał.

Znani ze swojej szybkości i zręczności ludzie tym razem przenosili ładunek tak ostrożnie, że ich ruchy przypominały pierwsze kroki dziecka. Na ziemi ustawiono okrąg z wielkich, płaskich koszy, w których układano kolejne warstwy tytoniowych liści. Wszyscy, włącznie z Nate'em, w milczeniu wpatrywali się z podziwem w lśniący stos.

— To ty jesteś Nate Richardson, prawda? — zapytał jakiś człowiek z bloczkiem kartek w ręku.

— Tak, to ja.

— Oto bilet na twój wóz i ładunek.

Oderwał jego jedną połowę i podał Nate'owi. Odchodził już ku innemu farmerowi, kiedy nagle zauważył Chess i zatrzymał się w pół kroku.

— Dobry wieczór pani — ukłonił się, zdejmując z głowy kapelusz.

— Dobry wieczór — odparła. — Proszę powiedzieć panu Richardsonowi, że chcę wsiąść.

Nate pośpiesznie ruszył, by jej pomóc, choć widział przecież, jak cztery razy tego dnia samodzielnie wsiadała i wysiadała z wozu. Podając jej dłoń, zauważył migoczące w oczach żony wesołe iskierki i zaśmiał się w duchu. Dobrze to rozegrała. Dokładnie wiedziała, jak wzbudzić we wszystkich szacunek do siebie.

— Ludzie, którzy przywożą ładunek cytrynowych zwijańców, powinni traktować się nawzajem z kurtuazją — szepnęła mężowi do ucha. Człowiek wypisujący bilety nigdy nie dowiedział się, czemu Nate Richardson dostał nagle takiego ataku śmiechu, że aż się zwinął wpół.

Chess omal nie zemdląca od unoszącego się wewnątrz sali zapachu tytoniu. W pomieszczeniu było bardzo jasno dzięki przeszklonemu dachowi oraz rzędom wysokich okien, ciągnących się wzdłuż dwóch ścian. Wpadające przez nie słońce oświetlało ciasno upchane długie rzędy ułożonych w stosy tytoniowych liści, w większości leżących wprost na ziemi.

— Nie ma tu nawet połowy tego, co zwykle — stwierdził Nate.

— Nie miałam pojęcia, że na świecie jest aż tyle tytoniu — szepnęła Chess, zawstydzona, że tak mało wiedziała na temat handlu tym surowcem.

— Stań tutaj pod ścianą — polecił Nate. — Zważę to wszystko, a potem zasięgnę języka na temat aukcji. Wkrótce wrócę — obiecał odchodząc.

Chess z zainteresowaniem przyglądała się temu, co się działo wokół niej. Tłoczyło się tu wielu mężczyzn, nie dostrzegła jednak żadnej kobiety. Pośrodku sali wzdłuż stert tytoniowych liści posuwała się wolno grupa jakichś ludzi. Jeden z nich śpiewał dziwną pieśń, z której Chess nie rozumiała ani słowa.

— Cięte są sprzedawane za dwanaście i pół — powiedział Nate, gdy wrócił. — W zeszłym roku ich cena wynosiła czternaście — dodał zmartwiony.

Odszedł znowu, ponury i przygnębiony.

Chess wykonywała w pamięci pośpieszne działania. Powiedzmy: dziesięć centów za funt, żeby uprościć rachunek. Pomnożone przez ponad czterysta funtów tytoniu w ich wozie dawało sumę więcej niż czterdziestu dolarów. Mnóstwo pieniędzy. Można by za to umeblować cały dom albo wynająć na rok doskonałego kucharza. Lub też ubrać się jak królowa. Jej spódnica i bluzka stanowiły najbardziej ekstrawagancki wydatek, jakiego dokonała w całym życiu, a przecież obie te rzeczy razem kosztowały mniej niż dolara. Chyba oszalałaby ze szczęścia, gdyby jakiegokolwiek plony z Hare-fields przyniosły zysk dziesięciu centów za funt, nie mówiąc już o czternastu. Nic dziwnego, że ludzie uprawiają tytoń. A ta niezwykła stodoła na farmie pełna była jeszcze innych liści. Poślubiła zamożnego człowieka, choć zupełnie o tym nie wiedziała. Jakież to miłe!

— Czemu się uśmiechasz? — spytał Nathan, stając obok niej. Był zły i rozczarowany.

Ponieważ już po chwili całą swoją uwagę skupił na

tytoniu, Chess nie uznała za stosowne odpowiedzieć. Obserwowała, jak jej mąż ustawia kosze, po czym przeniosła wzrok na pięć stert liści innego hodowcy ułożonych prosto na ziemi. Porównanie było wstrząsające. Plon Nate'a wyglądał tak, jak gdyby odebrał barwy całej reszcie tytoniu przywiezionego tu na sprzedaż. W porównaniu z jego liśćmi wszystkie inne robiły wrażenie matowobrazowych.

No i co ty na to? — powiedział Nathan do siebie. Jego oczy błyszczały nie skrywaną dumą. — Co ty na to?

W ciągu następnej godziny kosze Richardsonów przyciągnęły uwagę całego tłumu farmerów. Wąsaci hodowcy w spłowiałych ubraniach pochylali się, by dotknąć liści, niekiedy nawet podnosili je do twarzy i wąchali. Rozstapili się dopiero na widok człowieka ubranego w ciemny garnitur i porządnie wyczyszczone buty. Po chwili dołączył doń drugi, dobrze ubrany mężczyzna, a potem trzeci.

Wszyscy, zarówno farmerzy jak i kupcy, pragnęli porozmawiać z Na-te'em. Chess obserwowała ich ze swego dyskretnie zasłoniętego miejsca. Nathan robił wrażenie uszczęśliwionego.

Jest taki przystojny — pomyślała. Niewątpliwie wyglądał znacznie schludniej niż inni, nawet kupcy. Jego dzinsy były spłowiałe od długiego noszenia, ale nie podarte ani nie wystrzępione, błękitną koszulę zaś miał zapiętą aż pod szyję, tak że nie wystawał spod niej nawet kawałek podkoszulka, jak to zdarzało się wielu farmerom. Strój ten sprawiał, że jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie, niż były w istocie. Poza tym wyglądał nadzwyczaj czysto. Gładko ogolona twarz i krótkie bokobrody ostro kontrastowały z zarośniętymi obliczami innych mężczyzn. Chess miała wrażenie, że czuje wręcz zapach mydła, którym mył się w stawie na przedmieściach. Jakże go kochała! Jej serce przepełniała radość.

Kiedy prowadzący licytację człowiek zaczął krążyć wzdłuż długich rzędów tytoniowych liści, podeszła bliżej. Licytator, bardziej śpiewając niż mówiąc, wyrzucał z siebie nie kończący się potok liczb.

— ...dziesięć... dziesięć i ćwierć... I pół. Mam już pół. Teraz jedenaście, kto da mi pół? Jest jedenaście i pół. Dwanaście. Ostatnia szansa... Dwanaście i pół. Nie, już sprzedane... A teraz, co my tutaj mamy? Cięte Eda Whitbreada. Dwieście sześćdziesiąt trzy funty. Zaczniemy od dziesięciu... Dziesięć i pół, jedenaście, i jeszcze pół...

Nie można było nie odczuwać napięcia, słuchając jego wznoszącego się i opadającego głosu, w którym co chwila triumfalnie eksplodowało słowo: „sprzedane”.

Od czasu do czasu przerywał aukcję, by przemówić do stojących naprzeciwko niego ludzi.

— A teraz, džentelmeni, mamy tu liście Charliego Hendersona. Wszyscy znacie Charliego i pamiętacie z pewnością, jakie miał ostatnio kłopoty: jego dom spalił się do cna, wraz z uwięzionym wewnątrz najmłodszym synem. Dorzucicie chyba dodatkowe pół centa na dach dla rodziny Hendersonów. Bóg wam to wynagrodzi. Zaczniemy wobec tego od jedenastu... Jedenaście, jedenaście, tak, mam jedenaście i pół. Dwanaście...

Innym razem przypomniał wszystkim, że czyjś tytoń znany jest z doskonałej jakości, że rok w rok udaje się tak doskonale, iż nie ma nawet potrzeby go sprawdzać. Przed rozpoczęciem kolejnej licytacji wspomniał, że Joe Wilson wciąż ma kłopoty z dwiema złamanymi nogami, jego synowie zaś musieli sami zebrać tytoń, i to pomimo że najstarszy z nich ledwie odrósł do ziemi. %

Chess wolałaby, aby mężczyzna nie przerywał licytacji i nie mówił o rzeczach nadających się raczej do rubryki towarzyskiej miejscowej gazety niż na aukcję tytoniu. Pragnęła również, by ludzie przestali wreszcie obmacywać liście Nathana — obawiała się, że mogą je zniszczyć, zanim jeszcze zostaną sprzedane.

Och, żeby już było po wszystkim — pomyślała tęsknie. — Mam wrażenie, że zaraz wyskoczę ze skóry.

Rozdział 8

Licytator znajdował się już tylko o kilka kroków od koszy Nathana. Chess tak długo z całej siły zaciskała dłonie, że jej rękawiczki były mokre od potu.

Nie widziała już męża. Stał gdzieś w milczącym tłumie, który w miarę trwania aukcji coraz bardziej się powiększał. Teraz już ponad stu ludzi czekało, by popatrzeć na licytację cytrynowych zwijańców. Całe Danville obiegrała wieść, że ma się tu wydarzyć coś niezwykłego.

— ...sprzedane...

— ...sprzedane...

— ...sprzedane...

Nadszedł czas... Chess wstrzymała oddech.

— A teraz, moi drodzy, oto chwila, na którą wszyscy tak czekaliśmy...

Och, nie. Nic nie mów. Po prostu śpiewaj swoją pieśń i sprzedaj to. Nie zniosę tego dłużej.

— Liście, które tu widzicie, są najprawdopodobniej najwspanialszym tytoniem, z jakim się w życiu zetknęliście. Ja z całą pewnością nie widziałem piękniejszego. Wyhodował go Nate Richardson.

Wielu z was zna Nate'a, pozostali zaś mogą wyrobić sobie o nim zdanie na podstawie tego, co nam tu przywiózł. Jeszcze jedno: założę się, że nikt z was nie wie, iż Nate udał się ostatnio w podróż, z której przywiózł sobie pannę młodą. Pozwólcie, dżentelmeni, że przypomnę wam niegdysiejsze panny młode,

które obecnie stanowią radość waszego życia. Ale trzeba, niestety, z ich powodu ponosić liczne wydatki... Dajcie więc dobrą cenę za tytoń Nate'a!

Poprzez wrzawę i śmiech, jakie wybuchły w tłumie, Chess usłyszała, jak licytator śpiewnym głosem prowadzi aukcję.

— ...czternaście... i pół. Piętnaście i pół i...

Gdy było już po wszystkim, rozległy się rześiste brawa. Nate'a poklepywano po ramieniu, wymierzano mu żartobliwe kuksańce, gratulowano.

Cytrynowe zwijańce zostały sprzedane za rekordową sumę czterdziestu centów za funt.

Oślabła z radości Chess oparła się o ścianę. Nathan ścisnął wyciągane ku niemu dłonie i z dumą słuchał powinszowań.

W licytacji nastąpiła niemal półgodzinna przerwa. Samuel Allen, właściciel hali aukcyjnej, musiał wezwać na pomoc wszystkich swoich urzędników z biura, by pomogli mu skłonić tłum do rozejścia się. Kiedy Nathan przedstawiał Allena żonie, z czoła mężczyzny spływały już grube krople potu.

Usłyszawszy charakterystyczny dla Tidewater akcent Chess, pochylił się w głębokim ukłonie.

Powiedział, że jego ojciec miał zaszczyt służyć w armii Konfederacji pod dowództwem dżentelmena z plantacji Boxwood.

— Oczywiście. Ma pan na myśli Archibalda McInto-sha — uśmiechnęła się Chess. — Kiedy będę pisać do rodziny, dam im znać, że pana poznałam.

Mnąc w dłoni kapelusz, Allen wyraził nadzieję, że państwo Richardsonowie zgodzą się, by dostąpił przywileju goszczenia ich w hotelu Planter's na czas pobytu w Danville. Twierdził, że będzie bardzo wdzięczny i szczęśliwy, jeśli wyświadczą mu ten zaszczyt.

Nathan wymienił z nim uścisk dłoni.

Właściciel hali aukcyjnej podniósł stojące u stóp Chess małe walizki i uparł się, że sam zanieś je do biura. Znalaz-

łszy się tam, polecił jednemu z urzędników zarezerwowanie Richardsonom hotelu. Następnie z dumą pokazał im czek, na którym wypisano sumę, jaką Nathan uzyskał za sprzedany tytoń. -

— Proszę nigdy nie zapomnieć, że w Big Star czeka się na pieniądze najkrócej w całym Danville.

Nate zapewnił Allena, że będzie o tym pamiętał.

— Zawsze jestem do usług, pani Richardson — powiedział przedsiębiorca, składając ukłon przed Chess.

Kobieta podała mu dłoń. Czują, że bardzo lubi tego człowieka — aż dwukrotnie wszak nazwał ją „panią Richardson”. Po raz pierwszy zwracano się do niej w ten sposób i ogromnie się jej to podobało.

Kiedy Nate i Chess szli ulicą, co chwila zatrzymywali ich ludzie, którzy chcieli pogratulować Nathanowi sukcesu, i ledwie znalazła okazję, by poprosić męża o perfumy.

Jasne, że mógł je dla niej kupić. Był przecież bogatym człowiekiem. Może dostać ich nawet całą kwartę, jeśli tylko zechce. Najpierw jednak — upierał się — należy pójść do banku i zrealizować czek.

Obawiał się, że atrament może się rozmazać i wypisane cyfry staną się nieczytelne. Sto sześćdziesiąt dwa dolary i pięćdziesiąt centów. Nigdy, przez całe życie, nie widział tylu pieniędzy. W każdym razie nie jednorazowo. Właściciel hotelu osobiście odprowadził ich do apartamentu. Składał się on z trzech pomieszczeń: umeblowanego pięknymi, rzeźbionymi sprzętami salonu, sypialni, w której królowało ciężkie, mahoniowe łóżko, przykryte jedwabną chińską narzutą, oraz wyłożonej marmurem łazienki z umieszczonymi ponad wanną kranami z zimną i gorącą wodą. Właściciel hotelu pokazał im, jak odkręca się wodę i jak zapala gazowe lampy.

Kiedy w końcu wyszedł, Nate stanął pośrodku salonu i wyciągnął przed siebie ramiona.

— A więc wygraliśmy — powiedział, spoglądając na

Chess. Odwzajemniła jego spojrzenie i oboje jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

Dopiero teraz, po raz pierwszy od czasu licytacji, mieli okazję porozmawiać ze sobą. Rozgadali się, porównując swoje wrażenia i przypominając sobie, co mówili i robili zgromadzeni wokół nich ludzie. Czy pamiętasz... Widziałeś... Zauważyłeś, że kiedy... Myślałam, że zemdleję... Czułem, że każda kolejna liczba dzwoni mi w głowie... Czy uwierzyłybyś... Po wielekroć przeżywali każdą chwilę, wszystkie obawy i nadzieje, wszelkie lęki i radości.

Kiedy w końcu ochrypli od mówienia, zeszli do hotelowej jadalni na kolację. Ledwie skończyli zupę, do ich stolika podszedł schludnie ubrany młody człowiek, który przedstawił się jako reporter z richmondzkiego „Dispatch”. Chciał przeprowadzić z Nathanem wywiad na temat uprawy gatunku tytoniu, o którym mówiło całe miasto.

— Jesteś sławny — zakpiła Chess, kiedy znaleźli się w swoim pokoju.

— Ten szczeniak nigdy nie widział na oczy farmy. Zwróciłaś uwagę na jego stopy? Nosi kamasze! Kamasze! Z pewnością poprzekręca wszystko, co mu powiedziałem.

Mimo to Chess wyczuwała, że Nathan cieszy się ze swej popularności. Jej także sprawiała ona przyjemność. Dziennikarz obiecał wysłać gazetę do Harefields. Wiedziała, że dziadek będzie bardzo szczęśliwy.

Ale nie aż tak szczęśliwy jak ona. Nie było chyba na całym świecie drugiej osoby, która doznawałaby takiej radości. Ten dzień i ta noc okazały się przeżyciem wspanialszym, niż marzyła. Później zawsze uważała, że to właśnie wówczas przeżyła swoją prawdziwą noc poślubną. Wszystko było takie, jak powinno: magiczne, wspaniałe, niebiańsko podniecające. Jakże cudownie się czuła, mogąc dzielić z Nathanem tę najbardziej dramatyczną chwilę w jego życiu.

Pani Richardson. Pani Nathanielowa Richardson.

Było już bardzo późno, kiedy położyli się do łóżka. Wielka wanna oraz krany z ciepłą i zimną wodą stanowiły dla nich obojga nowe, ekscytujące doświadczenie. Na Nacie zrobiło to nawet większe wrażenie niż na Chess. Spędził w łazience ponad pół godziny. Słyszała, jak po wielekroć odkręcał kran, by napuścić do wanny nieco więcej gorącej wody. Kiedy w końcu wyszedł z łazienki, owinięty w jeden z wielkich hotelowych ręczników, jego skóra miała żywy, jasnoróżowy odcień.

— Pewnego dnia będę miał w domu takie urządzenie — stwierdził. — To lepsze niż telefon i prąd elektryczny razem wzięte.

Zanurzając się w ciepłej wodzie, Chess doskonale rozumiała pragnienie męża. Dodała do kąpieli dostatecznie dużo olejku zapachowego, by słodka woń wody przyjemnie drażniła jej nozdrza. Czuła, że mogłaby zostać w wodzie na zawsze. Ale Nathan, jej mąż, czekał na nią. Mieli przed sobą swoją prawdziwą noc poślubną.

Rozpuściła upięte wysoko włosy i pokropiwszy perfumami szczotkę, rozczesała je starannie, czyniąc to dziesięciokrotnie dłużej niż zwykle. Miękkie loki pieściły jej palce, a jedwabna koszula nocna delikatnie muskała skórę. Otworzyła drzwi łazienki i bosą, onieśmieloną, podeszła do łóżka.

— Te perfumy pachną całkiem nieźle — powiedział siedzący na krześle przy oknie Nathan.

— To dobrze, gdy dama ma bogatego męża — uśmiechnęła się Chess, siadając na łóżku.

— Czy wiesz, co mi się najbardziej podobało?

— Nie. Cóż takiego?

— Ten Dibrell, który kupił moje liście. To przedstawiciel Liggett and Myers w Danville.

Człowiekiem, który najdłużej się z nim licytował, podbijając cenę, był chłopak Dicka Reynoldsa.

Sprzedawałem mu już wcześniej mój tytoń. Ale Dibrell to lepszy nabywca. Kupuje mnóstwo tytoniu, ponieważ Liggett and Myers jest najlepszym i największym

przedsiębiorstwem w tym stanie. Moje liście mogą zawędrować daleko, niewykluczone, że nawet do Kalifornii. I co ty na to?

A co ty na mnie? — pomyślała Chess, ale nie powiedziała tego głośno.

Nate wstał i zgasił światło. Nowy mechanizm fascynował go.

— Chodź do łóżka — poprosiła Chess. — Jest późno — dodała pośpiesznie.

Nate posłusznie położył się i przytulił do żony, podciągając jednocześnie do góry jej jedwabną koszulę. Chess objęła go za szyję, czując pod palcami ciepło jego pleców.

— W porządku, skarbie, po prostu leż spokojnie. To nie potrwa długo.

Rozchyliła nogi, a on wszedł w nią; był teraz tak blisko, tak bardzo blisko. Stanowili niemal jedno ciało, każde z nich było częścią drugiego. Chess miała ochotę objąć go nogami w pasie, zmusić, by znalazł się w niej jeszcze głębiej, i poruszać swym ciałem w tym samym rytmie co on, tak jakby stanowili całkowitą jedność.

Zanim jednak odważyła się to uczynić, było już po wszystkim i Nate zsunął się z niej. Przytul mnie — miała ochotę krzyknąć. — Było tak cudownie, kiedy objąłeś mnie dziś rano. Pocałuj mnie. Chcę, żebyś mnie całował. Kochaj mnie. Kocham cię.

Powstrzymując łkanie, skrzyżowała ręce na piersiach. Jeśli wszystko miało być jak należy, jeśli naprawdę miała czuć się panią Richardson, powinna doznawać w takich chwilach błogiego zaspokojenia. I będzie doznawała. Jednak prośba, by mąż kochał się z nią jeszcze raz, mogła go tylko rozgniewać i sprawić, że odsunąłby się od niej. Z pewnością straciłby dla niej cały szacunek, wiedząc, o czym myślała i czego pragnęła.

Zła na siebie zapadła w sen.

Rozdział 9

Robienie zakupów okazało się bardzo przyjemne. Poza zamówionymi przez Alwę i teściową rzeczami kupili obu kobietom także cukierki.

— Nie trzeba być dzieckiem, by lubić słodczyce — powiedział Nate, oblizując wargi. ^

Ważąc dla nich pszenną mąkę, właściciel sklepu przy? sięgał, że jest najświeższa, jaką tylko można dostać w okolicy. Zapewniał, że co tydzień sam jeździ po nią do młyna. Słyszac to Nate i Chess wymienili porozumiewawcze spojrzenia, przypominając sobie własny sekret.

Nate nadal cieszył się ogromną popularnością. Wszyscy chcieli ścisnąć mu dłoń, zadawać pytania i opowiadać o własnych sukcesach na farmie. Bardzo przedłużało to ich zakupy. Podobnie jak wysiłki kupców, by sprzedać im najkosztowniejsze rzeczy, jakie mieli w sklepach. Niektórzy wybiegali nawet na ulicę, próbując skłonić ich, by weszli do środka.

— Będzie już ciemno, kiedy dojedziemy do domu — powiedział Nate, gdy w końcu wyruszyli w drogę powrotną.

— To nie ma znaczenia.

— Istotnie, nie ma. Och, cóż to był za dzień!

— Och, cóż to był za tydzień!

— Prawda?

Znowu zaczęli wspominać licytację.

— Wprost nie mogę się doczekać następnej aukcji — oświadczyła Chess. — Wiem, że to już nie będzie to samo, co cytrynowe zwijańce, ale i tak wszystko to jest bardzo ekscytujące. A twoje liście pozostaną lepsze niż tytoń innych. Może pan Allen znowu osobiście zarezerwuje nam hotel? Pewnie już nie apartament, ale przecież i zwykłe pokoje są tam na pewno ładne.

— Och, nie licz na to za bardzo — szybko rozwiał jej marzenia Nate.

Dom aukcyjny pobierał cztery procent od wartości sprzedanego tytoniu. Gdyby jego właściciel płacił za wynajęty dla Richardsonów apartament, kosztowałoby go to połowę pieniędzy, jakie zarobił na Nacie, jednak Allen był również właścicielem hotelu, zatem ów gest gościnności nie kosztował go ani grosza.

— Nie wrócimy już wcale do Danville — ciągnął Nate, aszując jej zapał. — Nie mam zamiaru sprzedawać reszty ści. Czemu miałbym pozwolić Blackwellowi, Duke'owi czy komuś innemu czerpać dochody z mojego tytoniu? Sami go przetworzymy.

Opisał jej, jak to wszystko przebiega. Kiedy Josh i Micah przetransportują już liście do wielkiej suszarni, kobiety zasiadają do pracy przy stołach w warsztacie. Najpierw Susan odcina suche szypułki liści i uderza w nie tłuczkiem, by lekko je rozkruszyć. Następnie Alva miażdży te kawałki na małe drobiriki. Przy trzecim stole matka Nate'a przesiewa rozdrobniony tytoń przez sito.

Wieczorami wszyscy szyją maleńkie woreczki i wypełniają je wcześniej przygotowanym tytoniem.

— Kiedy mówisz „wszyscy”, masz na myśli kobiety?

— Oczywiście. Josh i Micah pilnują w tym czasie temperatury suszenia, a poza tym to oni zajmują się orką. Pole musi zostać zaorane, zanim zrobi się zimno. Później ziemia jest już cały czas skuta mrozem. Chess zacisnęła dłonie w pięści. Mogła to sobie wyob-

razić: podczas gdy oni będą się zajmować tytoniem, jej przypadnie rola piątego koła u wozu i „panna Mary” nie omieszka przypominać jej o tym co najmniej sto razy dziennie. Nathan nie musiał jej tego mówić — sama wiedziała, że pozostali wykonują tę pracę już od lat i mają w tym wprawę.

Mimo to Nathan uznał, że powinien jej to wyjaśnić.

— Praca przy tytoniu wymaga szalonego pośpiechu — tłumaczył. — Mamy ponad pięć tysięcy funtów liści, a ja co tydzień potrzebuję kilku tysięcy torebeczek, by zabrać je ze sobą na sprzedaż. Zanim na drogach zrobią się takie zaspy, że nie da się przez nie przejechać, zdążę dostarczyć towar do czterech hrabstw.

— A więc przez cały ten czas nie będzie cię w domu? — zapytała. Było jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażała.

— To moja praca. W ten sposób zarabiam pieniądze, sama chyba rozumiesz. Niewiele jest na świecie cytrynowych zwijańców, a za pozostały tytoń dostaje się zaledwie czter-j naście centów za funt. A i to, gdy ma się szczęście. Jeśli natomiast rozkruszy się funt liści samemu, po czym podzieli na osiem małych, dwuuncjowych torebeczek, każdą z nich można sprzedać za trzy centy. Właściciele sklepów i tak wezmą za nie po pięć.

Przerwał na moment, spostrzegając jej zaciśnięte w pięści ręce.

— Nie masz powodu do zmartwienia, Chess. I tak będziesz dostatecznie zajęta. Przy maleństwie Alvy naprawdę można mieć pełne ręce roboty.

Głos Nathana brzmiał przyjaźnie, ale nie mogła znieść jego pocieszycielskiego tonu, szczególnie kiedy uzmysłowiła sobie, że wszystkie jej nadzieje legły w gruzach. Nie domagała się ani nie oczekiwała, że będzie ją kochał. Uważała jednak, że ma prawo do szacunku. Gniewnie uderzyła pięścią w kolano.

— Posłuchaj mnie przez minutę, Nathanie. Jestem już zmęczona i robi mi się niedobrze od tego, że wszyscy patrzą

na mnie z politowaniem, ponieważ nie spędzam życia, ucząc się prowadzenia czterdziestoakrowej tytoniowej farmy. Mimo to nie jestem bezużytecznym i bezradnym stworzeniem, które na nic nie może się przydać w gospodarstwie. Byłeś w Harefields. Jadłeś tam kolację i uczestniczyłeś w weselu, zapewne sądzisz więc, że wiesz wszystko na mój temat. Nigdy nie zadałeś sobie trudu, by dowiedzieć się czegoś więcej. Nigdy o nic nie pytałeś. Nie wiesz, jaka jestem naprawdę. Cóż, w takim razie powiem ci i będę wdzięczna, jeśli uważnie mnie wysłuchasz. Zarządzałam naszą farmą. Całymi dziesięcioma tysiącami akrów oraz trzydziestoma ośmioma rodzinami, mieszkającymi na farmach. I robiłam to naprawdę dobrze. Chcesz wiedzieć, w jaki sposób? Tymi oto rękami — powiedziała, podsuwając mu pod oczy dłonie w białych rękawiczkach. — Kto, jak ci się wydaje, przyrządził kolację, którą jadłeś? Gotowałam każdy kęs jedzenia w tym domu. Wstawałam przed świtem i przygotowywałam śniadanie, a kiedy się gotowało, sprzątałam pokoje na dole. Tosilki dla mojej matki trzeba było podawać na tacy, podczas gdy dziadek wołał zejść do jadalni. Ja także musiałam tam być, ponieważ Augustus Standish lubił rozmawiać z kimś podczas jedzenia. To był dopiero początek, jako że służba także dostawała posiłki. O tak, mieliśmy służbę. Dwoje. Osobistą pokojówkę mojej matki oraz Marcusa, którego widziałeś. Od dziecka był służącym mojego dziadka. To bystry człowiek, bez trudu zatem mógł pełnić rolę odźwiernego i podawać do stołu owego wieczoru, kiedy u nas byłeś. W innych okolicznościach jednak uwłaczałoby to jego godności. Zajmował się pokojem i ubraniami dziadka^ ale to wszystko. To ja musiałam gotować dla niego jedzenie. Dla Diany, pokojówki matki, także. Ta dziewczyna za bardzo zadziera nosa, by jeść z Marcusem w kuchni, musiałam zatem trzy razy dziennie szykować dla niej posiłek na tacy i sama tę tacę jej zanościć. A także zmywać po niej naczynia. Jak również zarabiać pieniądze, by wypłacać im co tydzień pensje oraz kupować ubrania. Nigdy nie spiera-

łam się z Marcusem i Dianą. Ani matka, ani dziadek nie mogli obyć się bez służących, a ja też, gdyby ich zabrakło, nie potrafiłabym odgrywać całego tego przedstawienia, jakiego byłeś świadkiem. Poznałeś moją matkę. Zmienia strój cztery razy dziennie i przy każdej okazji żąda, by na nowo ją czesać. Uważa, że nie było żadnej wojny. Wydaje się jej, że mój ojciec i bracia lada dzień powrócą do domu. Udało jej się nawet nie zauważyć, że ja też nie jestem już dzieckiem, lecz dorosłą kobietą. Tylko starzy, oddani służący są w stanie znieść coś takiego, nie ma więc znaczenia, ile to kosztuje. Teraz rozumiesz już chyba, jak bardzo mnie boli lekceważenie ze strony całej tej twojej świętoszkowatej i rzekomo tak ciężko pracującej rodziny.

Nate zjechał na bok drogi i zatrzymał wóz.

— Niczego nie ukrywaj — poprosił. — Czy pracowałaś również w polu?

Chess potrząsnęła głową. Przez kilka minut nie mogła dobyć głosu, zbyt mocno była zdenerwowana. Nie czuła już gniewu. Nathan chciał jej wysłuchać — uważała to za błogosławieństwo. Nigdy nie miała nikogo, komu mogłaby powiedzieć, jak naprawdę wyglądało jej życie. Musiała odgrywać swoje przedstawienie nawet w obliczu dziadka, nie mówiąc już o ludziach z zewnątrz. Nigdy nie okazywała, że jest jej źle — wszystko było zawsze w porządku i wszyscy czuli się szczęśliwi.

Odetchnęła głęboko.

— Nie pracowałam na roli, musiałam tylko wszystkiego dopilnować i zaplanować. Codziennie odwiedzałam każdą z farm, aby ludzie mogli opowiedzieć mi o swoich kłopotach. Kupowałam i rozdzielałam ziarno i nawozy. Sprawowałam pieczę nad mułami, pługami, uprzężami i wozami, które wypożyczałam farmerom zgodnie z ustalonym przeze mnie wcześniej harmonogramem. Doglądałam dojrzewających plonów i nakłaniałam ludzi, by się żenili, odpowiednio ubierali albo też schudli — słowem: do wszystkiego, czego nie chciało im się robić przez lenistwo. Oczywiście, to ja

karmiłam i leczyłam muły oraz utrzymywałam porządek w stajniach. Kiedy nadchodziły żniwa, do mnie należało dopatrzenie zżęcia zboża i sprzedanie go. Musiałam dokładnie wiedzieć, jaki plon zebrał każdy z farmerów, by sprawiedliwie rozdzielić między nich pieniądze. Codziennie zajmowałam się prowadzeniem ksiąg rachunkowych, zapisując długi i wydatki moich ludzi oraz rejestrując żywność i inne dobra, jakich mi dostarczali. Trzy dni w tygodniu prowadziłam szkółkę dla dzieci. Kiedy w którejś rodzinie odbywało się wesele, pożyczalam pannie młodej koronkowy welon i przygotowywałam na przyjęcie napoje orzeźwiające.

Nate przetarł oczy ze zdumienia. Widział przecież ten welon. Wyglądał, jakby należał do księżniczki. — Ci ludzie nie musieli chyba nosić koronek twojej mamy — stwierdził.

— Tak naprawdę, ten welon należał jeszcze do mojej prababki — roześmiała się niespodziewanie Chess. — Nie patrz na mnie z takim zdumieniem. Widzisz, zawsze czułam, że ludzie w Harefields stanowią jakby jedną wielką rodzinę, do której my, mieszkańcy dużego domu, także należymy.

Dawniej nigdy nie miało się pewności co do pokrewieństwa. Mój ojciec i dziadek spłodzili prawdopodobnie niejedno dziecko, które przyszło potem na świat w chatach niewolników. Teraz te dzieci dorosły i niektóre z nich są pewnie farmerami w Harefields.

Nate rozdziawił usta ze zdziwienia. Dama nie powinna orientować się w takich sprawach. A jeśli już, przez przypadek, wiedziała, z pewnością nie wypadało jej o tym mówić.

— Och, nie rób takiej głupiej miny, Nathanie. Zamknij usta. Dziecko jest najbardziej wścibskim stworzeniem pod słońcem. Podśluchałam niejedną rzecz, która nie powinna dotrzeć do moich uszu. Kiedy byłam mała, mieliśmy w domu około dwudziestu służących. Ci ludzie dużo rozmawiali między sobą.

Wyraz twarzy Nate'a był doprawdy niezwykły! Chess

cieszyła się, że jej słowa tak nim wstrząsnęły. Nareszcie zwróciła na siebie jego uwagę. Teraz, kiedy rozładowała nieco zdenerwowanie, czuła się o wiele lepiej. Chociaż nie odważyła się wyznać, jak bardzo go kocha, wyładowanie na nim gniewu sprawiło jej niemałą ulgę. A potem przypomniała sobie „pannę Mary”, która złościła się przez cały czas i nie zadawała sobie trudu, by ukryć to przed innymi. Pomyślała, że skoro Nathan ma już matkę-wiedźmę, nie powinien przynajmniej mieć takiej żony. — Przepraszam, że się uniosłam, mój drogi. Nie ma usprawiedliwienia dla takiego zachowania. Jest mi naprawdę przykro.

— Och, jest usprawiedliwienie — uśmiechnął się do niej Nate. — Należała mi się ta lekcja. I wiesz, czego się przy okazji dowiedziałem? Że umiesz sobie poradzić z rzeczami, o których ja nie mam pojęcia. Na przykład z prowadzeniem ksiąg rachunkowych i pilnowaniem robotników. Kiedy rozkręcimy już nasz papierosowy interes, będziemy doskonałymi wspólnikami. Wygląda na to, że dzień, w którym cię spotkałem, był najszcześniejszą chwilą w moim życiu.

Chess uśmiechnęła się z wdzięcznością. Sprawily to nie tylko słowa Nate'a, ale także szczery podziw malujący się w jego oczach. A ona potrzebowała szacunku męża może nawet jeszcze bardziej niż miłości.

Nate strzelił z bata i wóz ponownie ruszył. Jadąc opowiedział jej dokładnie, jak wygląda życie na ich farmie jesienią.

— Za jakieś dwa tygodnie udamy się do Pleasant Grove na dożynki. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawiła. Nie jest to wprawdzie Danville, lecz tylko małe miasteczko, ale mimo to bardzo ładne. Mamy tam swoją pocztę, kuźnię i lekarza. Później, w październiku, w Raleigh odbędzie się jarmark stanowy. Z przyjemnością popatrzę na światła elektryczne. Niewykluczone, że kiedyś będziemy potrzebować takich rzeczy. Wszystko jest możliwe. Kiedy wyruszę w drogę, by sprzedawać tytoń, mam zamiar porozglądać

się za jakimś dobrym miejscem pod budowę młyna. Pamiętaj jednak, że to nasza tajemnica. Nie chcę mówić o tym, nim na serio nie zabiorę się do realizacji mego pomysłu. Z pewnością wrócę na farmę w pierwszym tygodniu listopada. Jest to okres świniobicia u naszej najbliższej sąsiadki. Stara Liwy zarabia sprzedając prosięta. Wszyscy przyjeżdżają do niej na świniobicie. Piecze się wówczas mięso i zjada je z przepysznym sosem, którego sekretu przyrządzania Liwy nie chce nikomu zdradzić. Zawsze są też kraby i dużo piwa domowej roboty. Niewiele jest przyjęć, na których można zabawić się równie dobrze jak tam.

Dla Chess wszystkie te opowieści brzmiały cudownie. W Harefields nie było żadnego życia towarzyskiego. Rozmyślając o czekających ją w niedalekiej przyszłości atrakcjach, niemal nie zauważyła, że zbliżyli się już do farmy. Wkrótce ona i Nathan wyniosą się stąd. Wszystko, czego teraz potrzebowali, to dobre miejsce. Dzięki sprzedaży tytoniu mieli dość pieniędzy, by kupić ziemię i postawić młyn. Kiedy doda się do tego zyski ze sprzedaży owych małych paczuszek tytoniu, będą mieli mnóstwo pieniędzy na zbudowanie maszyny do produkcji papierosów i rozkręcenie interesu. Nareszcie zaczęli się zbliżać do upragnionego celu.

Chess zapomniała o reszcie rodziny. Kiedy przyjechali na farmę, wszyscy stłoczyli się wokół, by wyładować z wozu przywiezione z miasta zapasy i podzielić się pieniędzmi.

Tak było uczciwie — powiedziała do siebie dziewczyna. Josh z pewnością powinien dostać połowę, bądź co bądź to właśnie on znał sekret uprawy cennego tytoniu.

Nawet kiedy Nathan podzielił swoją połowę pieniędzy na dwie równe części i oddał jedną z nich matce, Chess uznała to za sprawiedliwe. Mieszkał wszak w jej domu, ona także pracowała przy paczkowaniu tytoniu, no i w końcu była jego matką.

— Świetnie, Nate — powiedziała Mary Richardson. — Kiedy pojedziemy na dożynki, prześlę te pieniądze telegraficznie Gideonowi. Spodziewa się kolejnego dziecka, a ma przecież tak wiele pracy misyjnej.

To już nie było sprawiedliwe. Gideon nie pomagał w uprawie tytoniu. Nathan zaś wyglądał tak, jakby stara kobieta boleśnie go ugodziła.

Chess przywiozła sobie z Danville papier i kilka kopert. Udając się na dożynki, wzięła ze sobą list, który zamierzała wysłać do dziadka. Zawierał on mnóstwo kłamstw na temat pięknej, dużej farmy Nathana, miłego, ocienionego drzewami domu i serdecznej, sympatycznej rodziny. Cezar lubił, kiedy była w pogodnym nastroju.

Mary Richardson także dopisywał humor. Przynajmniej na tyle, na ile w ogóle było to możliwe. Posiadała pieniądze, które chciała wysłać ukochanemu synowi, a przy tym udawała się tam, gdzie mogła uczestniczyć w prawdziwym kościelnym nabożeństwie i śpiewać religijne hymny. Poprzednio taką okazję miała równo rok temu.

Josh zachowywał się nieomal poprawnie — choć Chess uważała coś takiego za niemożliwe. Ku jej zaskoczeniu jego gęsta, długa, starotestamentowa broda kryła nawet słaby uśmiech.

Micah i Susan byli szczęśliwi, podnieceni i rozgorączkowani. Chłopiec miał nadzieję podczas dożynek pokonać w bójkach wszystkich rówieśników, bo przecież od ostatniego roku urósł prawie osiem centymetrów, a jego mięśnie stały się znacznie silniejsze. Susan wymieniła przynajmniej tuzin dziewczynek, z którymi zamierzała się spotkać, liczyła też, że zobaczy dużo ciekawych rzeczy podczas festynu. Niewykluczone, że będzie tam nawet owa małpka w małym czerwonym kapelusiku, którą widziała rok temu. Paradę zaś uważała za „najlepszą rzecz, jaka tylko istnieje pod słońcem”.

Alva i Nathan całkowicie się z nią zgadzali. Pleasant Grove miał marszową orkiestrę, wyposażoną we wszystkie potrzebne instrumenty, jaskrawoczerwone mundury, wielkie mosiężne talerze oraz dyrygenta, który — gdy muzycy przechodzili przez miasto — ani na chwilę nie przestawał obracać swoją pałeczką.

Byli już prawie na miejscu, kiedy zobaczyli znak.

— Popatrz na to! — zawołał Nate.

Na ścianie wielkiej stodoły widniał wymalowany ogromny, czarny byk. Napis nad nim głosił:

„Najlepszy tytoń do palenia. Pytajcie o «Bulla». Karolina Północna posiada to, co najlepsze”.

— To należy do Blackwella — powiedział. — I znajduje się właśnie tutaj, pośrodku tego pustkowia.

Prawdziwa plaga. Wygląda na to, że wszystkie budynki przy głównych drogach mają wymalowany ten znak. Nawet parę sklepów, do których wożę tytoń, jest ozdobionych rysunkiem byka. Odnoszę wrażenie, że ta firma zdominowała cały rynek. A przynajmniej jego znaczną część.

Twarz Nate'a straciła swój beztroski wygląd. Kiedy jednak minęli kolejny zakręt, roześmiał się. Na stodole przed nimi znajdował się inny napis: „Pro bono publico. To znacznie lepsze. I nie ma żadnego byka”.

— Stary Wash Duke nie daje się wyprzedzić Blackwellowi w wyścigu do pieniędzy — skrzywił się Nate. — Założę się, że na następnym budynku zobaczymy reklamę Bucka.

— Nie wymawiaj nawet takiego słowa jak „zakład” — upomniała go matka. — Hazard jest grzechem. Nate ściągnął usta i porozumiewawczo mrugnął do Chess, która uniosła dłoń, by ukryć uśmiech. Teraz była już pewna, że czeka ją miły dzień.

To był naprawdę wspaniały dzień. Rzeczywiście w Pleasant Grove miały miejsce wszystkie te ekscytujące rzeczy, które jej obiecywano. W dodatku na poczcie czekał list od

dziadka. Jednak najlepsi ze wszystkiego okazali się sami ludzie. Wszyscy wiedzieli naturalnie, kim była — wieści rozchodziły się tu szybko. Przyglądano się jej rękawiczkom i perłom, ale[^]w spojrzeniach tych była jedynie ciekawość, nie kpina. Zarówno farmerzy, jak i mieszkańcy miasteczka odnosili się życzliwie do przybyłej z Wirginii dziewczyny. Zyskała tak wielu nowych przyjaciół, że wprost nie była w stanie zapamiętać ich imion.

Największe wrażenie zrobiła na niej ich sąsiadka, nazywana przez Nathana „starą Liwy”. Wszyscy tak mówili na Lavinę Alderbrook, choć oczywiście nie czynili tego w oczy. Kobieta zwierzyła się Chess, że sama już nie wie, jak bardzo jest stara, po cóż więc o tym przypominać?

Sprawiała wrażenie, jakby miała tyle samo lat co okoliczne wzgórza. Jej twarz i dłonie były brązowe i pomarszczone jak wyschnięte jabłko, jednak zachowała wyprostowaną sylwetkę, a w szerokim uśmiechu pokazywała, jak zaznaczyła, własne, nie sztuczne zęby. Przypuszczała, że zdrowe uzębienie jest rezultatem popijania piwa domowej roboty, które codziennie rano dodawała do gorącej kawy.

Nazywała je swoją „osłodą”.

— Zdaniem niektórych jest tak, ponieważ nigdy nie byłam mężatką i nie miałam dzieci. Nie były mi one potrzebne. Pomogłam urodzić się blisko stu dwudziestu berbeciom, i to wystarczy. Resztę pracy mógł już wykonać ktoś inny.

Stara Liwy była szeroko znaną w okolicy akuszerką. Gdy tylko się poznały, wzięła Chess pod swoje skrzydła.

— Cieszę się, że Nate cię znalazł — powiedziała z bezwzględną szczerością. — Zawsze lubiłam tego chłopaka, a on potrzebował kobiety, która będzie go kochała tak, jak na to zasługuje. Nie młodej dzierlatki, która nigdy nie byłaby dla niego prawdziwą żoną. Ani nie umiałyby sobie poradzić z Mary Richardson. Kiedy nie będziesz mogła już znieść jej skwaszonej gęby, odwiedź mnie. Mieszkam tuż przy ścieżce, która wiedzie do strumienia. To tylko krótki spacer przez las — niewiele ponad półtora kilometra.

Stara Liwy nie darzyła ludzi szacunkiem tylko dlatego, że mieli swoje lata: akceptowała Chess, a nie lubiła matki Nathana. Naturalne więc było to, że dziewczyna poczuła do niej większą sympatię niż do innych.

Obiecała sobie, że wkrótce złoży staruszce wizytę. Gdy tylko przestanie padać deszcz. Festyn ledwie się zaczął, kiedy po zachodzie słońca z chmur, które przez cały dzień przesłaniały niebo, jęły lać się strugi wody, uniemożliwiając rozpalenie zaplanowanych ognisk. Był to długi, zimny deszcz, nie zaś burzowa ulewa. Lato zdecydowanie już przeminęło.

I ciepłe dni także. Zdaniem większości ludzi upały i tak zresztą trwały w tym roku za długo.

Nie wiedzieli, że ów zimny deszcz stanowi początek najgorszej zimy, jakiej nikt od lat tu nie pamiętał.

Następnego dnia, skończywszy śniadanie, Nate udał się wraz z matką do ich tytoniowego warsztatu.

Wrócił stamtąd sam, niosąc stare juki, które miał przytroczyć do siodła.

— To wystarczy, bym mógł zabrać swój ładunek — powiedział. — Jeszcze dziś wyjeżdżam, aby rozpocząć sprzedaż tytoniu. Przygotuj mi trochę tych swoich pysznych herbatników, dobrze, Chess? Ja zaś przez ten czas zapakuję brzytwę, skarpetki i takie tam rzeczy.

Chess wiedziała o jego wyjeździe, ale teraz, kiedy nadszedł moment rozstania, zupełnie nie była na nie przygotowana. Rozwałkowała ciasto i wycięła herbatniki. Kiedy Nate powrócił z sypialni, znajdowały się już w piecu. Przez ramię mężczyzny były przewieszane juki. W rękę trzymał pistolet, a wokół unosił się drażniący, tłusty zapach smaru do oliwienia broni.

— Po co bierzesz to ze sobą? Nie wiedziałam nawet, że masz coś takiego.

— Trzymam go w zamkniętej skrzynce, żeby któreś z dzieci się do niego nie dostało. Jest mi potrzebny jedynie

wówczas, kiedy jadę z tytoniem. Ludzie wiedzą, że wędrowni sprzedawcy mają przy sobie gotówkę. Chess natychmiast wyobraziła sobie zasadzkę przygotowaną na jej męża na jakiejś odludnej drodze.

— Oczywiście — szepnęła jednak tylko.

Skoro Nathan odbywał podobne podróże każdego roku, musiała wierzyć, że wie, co robi.

— Mam nadzieję, że upiekłaś całą blachę tych ciasteczek — powiedział. — Twoje herbatniki są najsmaczniejsze, jakie kiedykolwiek jadłem. Podobnie jak wszystkie inne potrawy. Cały świat wydaje się lepszy, odkąd to ty zajęłaś się gotowaniem.

— Nie powiedz tego tylko przy swojej matce. Nie chciała mi na to pozwolić i gdyby nie musiała pracować w warsztacie, nie wpuściłaby mnie do kuchni. Nie jest zadowolona, że zajmuję się gotowaniem.

— Cóż, ja w każdym razie bardzo się z tego cieszę.

Chess otworzyła piec i postawiła na progu tacę z ciastkami, by przestygły. Starła się nie patrzeć na Nathana — obawiała się, że nerwy mogą odmówić jej posłuszeństwa i zaczną błagać go, by był ostrożny. On pewnie uznałby to za straszną głupotę.

— Istnieją inne sposoby gotowania niż duszenie wszystkiego godzinami z dodatkiem smalca i mąki — powiedziała, starając się zachować spokój.

Nathan zaniósł się śmiechem. Obiecał, że postara się wrócić za tydzień lub dziesięć dni. Gdyby właściciele sklepów niechętnie brali od niego towar, może jednak zająć mu to nieco więcej czasu.

— Albo gdybym znalazł miejsce na młyn — dodał, pochylając się ku niej i zniżając głos. — W jednym z juków mam pieniądze na wypadek, gdyby dopisało mi szczęście.

Chess pośpiesznie zapakowała mu herbatniki. Teraz już cieszyła się, że Nathan wyrusza w podróż.

Nie minęło wiele dni, a całym sercem zaczęła żałować, że nie pojechała razem z nim. Gdyby było trzeba, ruszyłaby w podróż nawet pieszo. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, co naprawdę znaczy samotność. Tak, Harefields leżało z dala od innych ludzkich siedzib, ale nie było aż tak zagubione wśród pustkowi jak ta mała farma w centrum Karoliny Północnej.

W Harefields był jej dziadek, a także dzierżawiący ziemię farmerzy, miała więc z kim porozmawiać i o kogo się troszczyć. Ceniono ją tam, a jej pracę uważano za bardzo ważną.

Na farmie Richardsonów była nikim. Gorzej niż nikim: nie lubianą i pogardzaną obcą kobietą. I nie mogła robić nic użytecznego.

Wciąż od nowa czytała przywiezione ze sobą książki i przyrządzała coraz wymyślniejsze potrawy.

Nauczyła się doić krowę i ukrecać łebki kurczętom. Płakała w poduszkę, by nie dać Mary Richardson satysfakcji, ujawniając, jak bardzo czuje się nieszczęśliwa.

Rozdział 10

Koń z trudem poruszał się po oblodzonej drodze. Nagle jednym kopytem trafił w jakąś dziurę i lodowata woda chlusnęła na nogę Nate'a. Ledwie to zauważył. Był przemoczony i zziębnięty. Marznący deszcz padał z nieba, kapał z iglastych drzew i ronda kapelusza. Jeśli natychmiast się nie rozgrzeje, dostanie odmrożeń. Musi się gdzieś zatrzymać.

Wiedział, że w tej okolicy znajduje się opuszczony dom Mullinów. Wszyscy znali to miejsce. Mówiono, że jest nawiedzane przez duchy. Cała rodzina, dziesięć osób, zniknęła pewnego dnia. Nikt nie wiedział, jak, dlaczego i kiedy dokładnie to się wydarzyło. Z pewnością miało miejsce bardzo dawno temu, kiedy dziadek dziadka był dzieckiem. Podobno na stole stało jedzenie, łóżka przykrywały kołdry, a strzelba wisiała na kołku nad kominkiem, kiedy zajrzał tam sąsiad. Lecz nie znalazł żywej istoty, nie licząc myszy chrupiących stwardniałe na kamień okruchy chleba. Później widziano w oknach światło i słyszano dziwne dźwięki. Nikt tam nie zaglądał i cały teren zarosły drzewa.

Nate trząśł się z zimna. A może i z obawy przed duchami. Wiedział jednak, że zginie, jeśli nie znajdzie schronienia. Zsiadł z konia i przeprowadził go przez zarośla otaczające dom. Był głodny, przemarznięty do szpiku kości i przestraszony. Po raz pierwszy w życiu czuł się całkowicie wyczerpany i przygnębiony.

Nigdy dotąd nie opanował go taki nastrój, nawet wtedy, gdy ojciec niespodziewanie odszedł. Ufał, że potrafi przejąć jego obowiązki i wypełniać je należycie, że stanie się prawdziwą głową rodziny.

Kiedy więc przestał w to wierzyć? I dlaczego?

Nate zobaczył, co pozostało z domu Mullinów. Dach zapadł się z jednej strony, choć z drugiej strop wyglądał całkiem bezpiecznie, a znajdujące się tam kominy ocalały. Uspokajająco poklepał końską szyję.

— Daj spokój, Natchez — powiedział. — Jeśli tylko dopisze nam szczęście, wystarczy tu miejsca zarówno dla człowieka, jak i dla konia.

Pomyślał, że ciepło końskiego ciała bardzo mu się przyda.

Szczęście dopisało mu nawet bardziej, niż miał nadzieję. Wkrótce rozpałił na kominku wielki ogień i rozwiesił przemoczone rzeczy. Wyjął z juków kromkę chleba i cynowy kubek, który napełnił deszczówką. Zabranym z domu owsem nakarmił też Natcheza. Znad końskiego grzbietu unosiła się mgiełka pary, rozplywająca się łagodnie w poruszanym żarem ognia powietrzu.

Skończywszy jeść, Nate z siodłem pod głową wyciągnął się na podłodze i zapałzył w migotliwe barwy wesoło trzaskających płomieni.

Rozmyślanie było dla niego czymś niezwykłym. Na co dzień miał za dużo zajęć, by starczało mu czasu na rozważanie tego, co robił, lub zastanawianie się, jakie to ma znaczenie. Nie był też dostatecznie próżny, aby cieszyło go dumanie o samym sobie.

Teraz jednak, kiedy musiał pilnować ognia, by ocalić życie, bo gdyby zasnął, pewnie nigdy by się już nie obudził, należało zająć swój umysł czymś, co oddaliłoby senność.

Może powinien zastanowić się, jak przełamać owo uczucie bezradności, które tak go rozstroiło.

Przerażało go ono znacznie bardziej niż jakiegokolwiek duchy mogące pojawić się w zrujnowanym domu. Nie potrafił sobie jednak uzmysłowić, kiedy i gdzie owa niewiara w siebie zaległa się w jego

umyśle, i rozważanie tego tylko pogorszyło jego nastrój. Zaczął wobec tego przypominać sobie swoje plany. To one właśnie od długiego czasu stanowiły najważniejszą rzecz w jego życiu. „Niestety, jak dotąd nie zdołał ich zrealizować i świadomość tego wpędziła go w jeszcze głębszą rozpacz.

Patent. Miał patent na maszynę do robienia papierosów. To przecież uczyniło go kiedyś najszcześniejszym człowiekiem w całym bożym królestwie. Spróbuje o nim pomyśleć, a może zniknie zły nastrój.

Patent nieoczekiwanie zaprowadził go do Chess... do żony. Poślubił ją, gdy nie był jeszcze gotów do małżeństwa. Była od niego starsza i na dodatek wyglądała na więcej lat. Poza tym mogła działać na nerwy tymi swoimi rękawiczkami, zadzieraniem nosa i arystokratycznym sposobem mówienia. Jakież stanowiła dla niego brzemię!

Nie miała serca. Zgodził się dać jej dzieci i starannie wypełniał swój obowiązek, ale oboje nie czerpali z tego żadnej przyjemności. Na szczęście dla niej była damą, wszyscy zaś wiedzieli, że dam nigdy nie cieszą takie rzeczy. On sam jednak zawsze lubił seks. Nawet bardziej niż lubił. Uwielbiał sprawiać kobietom rozkosz i rozmawiać z nimi o tych doznaniach. Fascynował go jakże różny od jego własnego kobiecy sposób myślenia i patrzenia na świat. Kochanki czyniły go szczęśliwym i on także je uszczęśliwiał. Wiódł doprawdy pod każdym względem wspaniałe życie.

Dopóki się nie ożenił. Czemuż tego patentu nie mogła mieć jakaś zwykła wiejska dziewczyna? Albo — jeśli musiała to być dama — nie była ona młoda? Niewykluczone, że wtedy miałby szansę nauczyć ją czegoś. Chess należała jednak do kobiet, jakim nigdy nie ośmieliłby się zasugerować, że seks może być czymś przyjemnym.

Ale umowa pozostawała umową i nikt nie mógł się już z niej wycofać. Nawet tata musiał wytrzymać z mamą tak długo, aż Nate dorósł na tyle, by stać się głową rodziny. Dopiero wtedy odszedł. A wówczas jego syn przejął farmę i przez te wszystkie lata żył jedynie uprawą tytoniu.

Nienawidził go. Nienawidził słodkawego, mdlącego zapachu tytoniowych liści. Lepki sok tej rośliny przylegał do skóry, osiadał na włosach i ubraniu. Nie znosił nigdy nie kończącej się pracy przy sadzeniu i uprawie roślin, żniwach i sprzedaży. Zawsze pozostawało się wtedy na łasce pogody, urodzaju i robaków.

Jedynym sposobem wyrwania się z tego błędnego koła było samodzielne przetwarzanie tytoniu. Inni też tak robili. Wyglądało jednak na to, że się spóźnił. Sklepy przyjmowały jego towar jedynie wówczas, kiedy spuszczał z ceny.

— Nie ma na to żadnego popytu — twierdzili kupcy. — Musiałbyś chyba reklamować się tak jak Buli. Z papierosami byłoby zapewne podobnie. Nigdy nie zarobiłby na nich ani grosza...

Jak w ogóle mógł kiedykolwiek żywić nadzieję, że pokona takich potentatów, jak Blackwell lub Allen and Ginter? „Wuj Lewis"! Jakim cudem w ogóle mógł związać się z kobietą, która nazywała największego tytoniowego przedsiębiorcę w Wirginii „wujem"? Nie należał do tego świata i nigdy należeć nie będzie, nawet gdyby udało mu się zrealizować swoje plany. Jeśli Chess właśnie tego oczekiwała, popełniła wielki błąd.

Na cóż ona tak naprawdę liczyła? Wspólnicy... Twierdziła, że chce, by stali się wspólnikami.

Wspólnikami czego? Nie znalazł nawet ziemi, której potrzebował, żeby postawić młyn.

Ogarnęła go bezsilna złość. Dokładał do ognia, gdy ten przygasał, ale niebezpieczna, kusząca myśl o zaśnięciu, by nigdy więcej się nie obudzić, co rusz pojawiała się w jego głowie.

Kiedy cienie na ścianie zaczęły szarzeć, sięgnął po ciepłe i suche ubranie. Musiał się jednak najpierw umyć. W samych butach wyszedł więc na zewnątrz po lód. Mróz zatamował mu oddech w piersi. Ale przynajmniej przestały padać i ucichł wiatr.

Gdzieś w oddali usłyszał szum wody. Płynącej wody.

A zatem nie będzie musiał topić lodu. Ślizgając się na oblodzonej ziemi, dotarł do rwącego strumienia znajdującego się tuż za domem. Woda w nim była tak zimna, że aż parzyła skórę, ale mimo to umył się dokładnie. Wolał uczucie palącego bólu od brudu. Gdyby nie dokonał toalety, wciąż czułby na sobie tytoniowy sok, który lepił się doń przez całe życie.

Ogień strzelił w górę, kiedy Nate wrzucił do kominka resztę drewna. Jakże miło grzały go te płomienie! Jakże przyjemnie pieściła jego ciało miękka wełna koszuli...!

Ale rzeczą, która rozgrzewała go najbardziej, która napełniała jego ciało życiodajną nadzieją, były ciemne wody odkrytego właśnie rwącego strumienia. Szukał czegoś takiego od tygodni i przez przypadek znalazł w chwili, kiedy był już gotów się poddać. Natrafił na opuszczoną posesję, której nikt nie chciał, i znalazł tutaj nigdy nie zamarzający potok!

Dzięki ci Boże — powiedział w prostej, płynącej z serca modlitwie.

Uczucie rozpaczy zniknęło. Jasno widział przed sobą drogę, którą chciał podążać. Wkrótce uczyni pierwszy krok ku realizacji swoich planów. A potem... Zrobi wszystko, co trzeba, by urzeczywistnić swe marzenia.

Nie mógł się wprost doczekać chwili, kiedy powie o tym Chess. Była jedyną osobą, z którą mógł o tym porozmawiać. Wierzyła w niego i uważała się za jego współpracowniczkę.

Rozdział 11

— Przestań marudzić albo nigdzie nie pójdziemy — powiedziała stanowczo Chess do Sally. A przynajmniej wydawało jej się, że mówi to surowym tonem. Na dwuletniej dziewczynce nie zrobił on jednak żadnego wrażenia. Mimo to uspokoiła się. Chciała pójść do starej Li wy i bawić się z prosiętami. Było ich tam dziesięć, tyle samo co jej paluszków. To Chess nauczyła ją liczyć. Sally pozwoliła opiekunce owinąć się szalem.

Chess chodziła odwiedzić Liwy, gdy tylko dopisywała pogoda, co jednak nie zdarzało się często — najwyżej dwa razy w tygodniu. Był to bardzo przyjemny spacer ścieżką, na której, dzięki korzeniom drzew, nigdy nie tworzyły się głębokie kałuże ani błotniste koleiny.

Liwy zawsze cieszyła się z jej wizyty. Była bardzo gościnną kobietą, a jej jednoizbowy, ogrzewany żelaznym węglowym piecykiem domek stanowił przytulne miejsce. Na podłodze leżały kolorowe dywaniki, łóżko zaś przykrywała kapa w dziwaczne wzory. U Liwy Chess czuła się lepiej, ledwo przekroczyła próg.

Dwoje chudych, czarno-białych prosiąt spało w koszyku obok pieca. Sally natychmiast pomaszerowała w tamtą stronę.

— Skąd wiedziałaś, że przyjdziemy? — zapytała Chess.

— Deszcz przestał padać już dobrą godzinę temu — odparła stara kobieta, uśmiechając się z dumą. —

Nalej

140

nam kawy — dodała, podczas gdy jej ręce pracowicie splatały kolejny kolorowy dywanik. Chess sięgnęła po stojący na piecu dzbanek i napełniwszy kawą dwie filiżanki, dodała do nich śmietanki i cukru. Ciepła porcelana ogrzewała jej zmarznięte dłonie.

— Żadnych wieści od Nate'a?

— Żadnych.

Chess podała Liwy filiżankę i usiadłszy, poczęła małymi łykami pić swoją kawę. Nie musiała mówić nic więcej. Staruszka dobrze wiedziała, jak bardzo się martwi. Nate'a nie było już od trzech tygodni, a powiedział przecież, że wróci najdalej po dziesięciu dniach. Liwy nie robiła żadnych głupich, pocieszających uwag, świadoma, że tylko powrót całego i zdrowego Nathana może sprawić, by Chess poczuła się lepiej.

— Chyba powinnaś nauczyć mnie tkania — stwierdziła dziewczyna. — W domu prócz gotowania nie mam nic do roboty i to doprowadza mnie do szaleństwa. Na plantacji przywykłam do zajmowania się tak wieloma rzeczami, że nie miałam czasu na myślenie. Nie czuję się dobrze, siedząc z założonymi rękoma.

Sally podeszła do Liwy i pociągnęła ją za rękaw.

— Czego chcesz, kochanie? Może wypijesz teraz swoje mleko?

— Świnki — powiedziała Sally.

Pod każdą pachą trzymała prosię. Jedno z nich zaczęło kwiczeć i dziewczynka kucnęła, wypuszczając je na podłogę. Po chwili to samo uczyniła z drugim. Uwolnione zwierzęta natychmiast uciekły do kąta, ona zaś wyciągnęła ku zaintrygowanej kobiecie swe małe, pulchne dłonie i zginając po jednym palcu z każdej zażądała:

— Daj więcej świnek.

Stara Liwy wybuchnęła śmiechem. Wolną ręką chwyciła dziecko w pól i przytuliła do siebie.

— Spryciara z ciebie, panienko. Musi ci jednak wystarczyć to, co już dostałaś. Ta stara wielka maciora

rozerwałaby mnie na strzępy, gdybym spróbowała zabrać jej wszystkie dzieci. Ale zanim wrócisz do domu, pójdziemy obie odnieść te dwa maluchy do ich braci i sióstr, a wówczas będziesz mogła zobaczyć całe stadko. Zgoda?

Sally z zadowoleniem skinęła głową, po czym z powrotem pobiegła do prosiąt.

— To jest właśnie zadanie dla ciebie, Chess. Rzecz, którą możesz robić: uczyć dziewczynki Alvy. Ja się do tego nie nadaję, ale wiem, że Susan chciałaby umieć czytać i pisać. Wprost o tym marzy. To słodki dzieciak, równie bystry co ładny.

— Ależ Susan skończy wkrótce dziesięć lat! Czyżby dotąd nie nauczono jej czytać ani pisać?

— Ani trochę. Josh nie życzył sobie tego.

Chess zaniemówiła z wrażenia. Jak ktokolwiek mógł być przeciwny nauce? Żywiła przekonanie, że dzieci Richardso-nów przynajmniej przez kilka lat chodziły do szkoły. Oczywiście, pokonywanie drogi tam i z powrotem do Pleasant Grove zabierało mnóstwo czasu, ale mimo to wszystkie wiejskie dzieci uczyły się przecież w tamtejszej szkole. Na pewno tak było: Nathan opowiadał jej, jak jeździł ze swoim bratem na oklep na jednym pociagowym koniu. Livvy musiała się mylić. Spróbowała taktownie zaprotestować.

— To właśnie z tego powodu Josh nie chce kształcić dzieci. Stary głupiec — zawyrokowała szyderczo staruszka. — Widzi, co uczenie dzieci przyniosło jego bratu. Przecież to przez Gideona ojciec opuścił dom. Gideona i jego wykształcenie.

Serce żywiej zabiło Chess w piersi. Nareszcie usłyszała coś o Gideonie. Brat Nathana stanowił dla niej intrygującą tajemnicę. Teściowa bez przerwy o nim mówiła. Według niej Gideon był absolutną doskonałością. Nathan natomiast w ogóle nie rozmawiał na temat brata. Gdy kiedyś poprosiła, by jej o nim opowiedział, stwierdził, że nie ma. o czym mówić. Gideon był kaznodzieją i pięć lat temu opuścił dom. To wszystko.

Jednak sposób, w jaki zaznaczył, że „nie ma nic więcej do powiedzenia”, przekonał Chess, że kryje się w tym jakaś tajemnica. Siedziała więc teraz w milczeniu, cała zamieniona w słuch. Liwy. - dopiła kawę i sięgnęła po motek wełny, owijając ją wokół dużego, kościanego czółenka, jednocześnie lewą ręką naciągając rozpiętą na drewnianej ramie nić wątku. Chess czekała cierpliwie.

— Próbowałam sobie przypomnieć, który to mógł być rok — zaczęła Liwy. W jej głosie pobrzmiwały charakterystyczne, odległe tony, tak jakby śpiewała pieśń. Właśnie w ten sposób opowiadała zawsze swoje historie. — Miał na imię Ezekiel. Pobrali się z Mary w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku, to znaczy ponad trzydzieści lat temu. Ona była śliczną, młodą dziewczyną, która dopiero co skończyła piętnaście lat. Niejednemu mogła zawrócić w głowie. Z domu nazywała się Mary Oakes i pochodziła z Reidsville. Pewnego dnia przyjechała do Pleasant Grove, żeby odwiedzić kuzyna, i tam poznała Ezekiela. Stanowił dobrą partię — miał swoją farmę i brata, który pomagał mu w pracy na niej. Ich krewni poumierali, ale oni byli już w tym czasie dorośli: Ezekiel liczył sobie dwadzieścia pięć lat, Josh zaś o pięć mniej. Josh był już wówczas od trzech lat żonaty — jedno z tych małżeństw „z miłości”, które zawiera się wówczas, kiedy ojciec panny młodej mierzy do ciebie ze strzelby. On i Ellie mieli jedno dziecko i drugie w drodze. Wkrótce do rodziny dołączyła Mary. Obie kobiety często przychodziły do mnie pokazywać swoje brzuchy i pytać o poród. Ellie wiedziała już wprawdzie co nieco na ten temat, nie chciała jednak sama odpowiadać na pytania Mary, aby jej nie przerazić. Miała niezbyt dobre doświadczenia. Za drugim razem poszło łatwiej. Jak zwykle. To było podczas świąt Bożego Narodzenia. Na świat przyszła śliczna dziewczynka o jedwabistych włosach. A potem w styczniu Mary także powiła niemowlę, wydając na świat wrzeszczącego wniebogłosy chłopaka. Czekający na zewnątrz Zeke twierdził, że nie słyszał jeszcze, by jakieś dziecko robiło aż tyle hałasu.

Ale to nie dlatego Mary nazwała owego berbecia John Wesley. Była pobożną dziewczyną, pochodzącą z prawdziwie chrześcijańskiego domu. W Reidsville znajdował się także prawdziwy kościół. Następnego roku do maleństwa dołączył braciszek: Charles Wesley. Ellie także powiła kolejne dziecko, niestety biedactwo zmarło przy porodzie. A w grudniu wyzionęła ducha i ona. Tuż przed Bożym Narodzeniem. Nigdy nie odzyskała w pełni sił po urodzeniu ostatniego maleństwa. Mary wychowywała dwójkę Ellie razem ze swoimi dziećmi. Była naprawdę kochającą matką dla całej czwórki, a także dla tych dzieci, które urodziły się później: dziewczynki Mary, Gideona, a potem kolejnej dziewczynki... Przy siedmiorgu dzieciach dom pękał w szwach i Zeke przemyślał nad dobudowaniem jeszcze jednego pokoju. Zanim jednak zabrał się do roboty, okazało się to niepotrzebne. Wybuchła epidemia dyfterytu. To było przerażające: z całej gromadki ocalał jedynie Gideon.

Chess westchnęła ciężko. Dobrze wiedziała, jak kruche jest życie dziecka — tak wiele z nich umierało na farmach dzierzawców w Harefields. Ale nigdy nie pochowano sześciorga z jednego domu. — Mary szukała pocieszenia w Bogu — ciągnęła Liwy. — I w Gideonie. Bez przerwy nosiła go na rękach. A później urodziła kolejnego chłopca. Nazwała go John Wesley, tak jak najstarszego. Teraz jednak wybrała to imię bardziej świadomie. Mawiała, iż chce w ten sposób podziękować Stwórcy, że pozwolił jej przetrwać tę tragedię. Trzeba pamiętać, że miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. I była silna. Pomimo szczupłej budowy ciała potrafiła wykonywać wszystkie prace na równi z Zeke'em i Joshem. W ciągu następnych czterech lat powiła kolejną czwórkę i w domu na powrót zrobiło się gwarno i wesoło. Teraz miała już sześcioro pociech, ale jej najukochańszym dzieckiem nadal pozostawał Gideon. Opowiadała, że jest on dla niej darem niebios. Miał jedenaście lat, kiedy zaczęła się wojna, a najmłodszy, Nate, skończył właśnie pięć. Naturalnie Josh i

Zeke poszli walczyć. Mary sama, tylko przy pomocy sąsiadów, musiała dać sobie radę ze zniwami. A potem, tuż po Nowym Roku, Nate przybiegł tutaj i płacząc, począł bębnić pięściami w moje drzwi. Wszystkie dzieci były chore-, jak powiedział, mama zaś siedziała w kącie pokoju, kołysząc się i modląc. Sam Nate także dławił się okropnie, wiedziałam więc od razu, że to krztusiec. Złapałam go na ręce i biegiem pognałam na ich farmę. Moje nogi były wówczas znacznie młodsze... — Liwy umilkła na chwilę, szukając w koszyku czerwonej włóczki.

— Ile z nich umarło? — zapytała szeptem Chess.

— Połowa. Gideon także był już jedną nogą w grobie, ale jakoś wyzdrowiał. Mary uznała to za cud. Ledwie zauważyła, że jej mała Mary oraz drugi syn także przeżyli. Te biedactwa na dobrą sprawę nie miały matki, póki Josh po powrocie z wojny nie ożenił się z Alwą, latem sześćdziesiątego piątego. Dopiero ona otoczyła je prawdziwą miłością i opieką... Była wówczas słodką piętnastoletnią dziewczyną. Gdyby wojna nie pochłonęła tak wielu ofiar, dostałaby o wiele lepszego męża. Josh był ranny w brzuch. To cud, że nie umarł. Od tamtej pory ani na chwilę nie przestał odczuwać bólu, życie u jego boku nie było więc przyjemnością i Alva bardzo szybko zestarzała się w tym małżeństwie. Na pocieszenie miała dzieci: dwójkę Mary, a potem swoje własne. Ezekiel Richardson nie mógł jednak znaleźć podobnej pociechy. Kiedy wrócił do domu, Mary popadła w fanatyzm religijny. Jedyną rzeczą, która ją obchodziła, był Gideon. Zawsze zastanawiałam się, czy nie wpędziła go w lekki obłęd, powtarzając bez przerwy, jak to Bóg wybrał go spośród wszystkich innych dzieci i ocalił najpierw przed dyfterytem, a potem krztuścem. Miał trzynaście lat, kiedy doświadczył objawienia. To właśnie o to modlą się członkowie Kościoła metodystów. Jeśli szczerze wierzysz, że Jezus Chrystus umarł za ciebie i że zmyje twe grzechy, by cię zbawić, przenika On do twego serca i wówczas doznajesz objawienia: czujesz, że należysz do Boga. Wszyscy

mają nadzieję na coś takiego i gorąco się o to modlą, ale niewielu tego dostępuje. Gideonowi się udało. Bądź też uwierzył, że mu się udało. Albo też wmówiono mu, że tak jest. Mary w każdym razie wierzy w to głęboko. Wówczas nie pozostawało już nic innego jak tylko oddać chłopca do szkół, gdzie uczyniono z niego prawdziwego kaznodzieję. Od tamtej pory jego matka codziennie, bez przerwy, suszyła Zeke'owi głowę, by obsiewał więcej ziemi i uprawiał więcej tytoniu, aby mieć na chesne, stancję i książki Gideona oraz rachunki za jego przyzwoite ubrania. W końcu dopięła swego i Gideon został pastorem. A wówczas Zeke odszedł. Dał jej jedyną rzecz, jakiej pragnęła — niemal zabijając się, by tego dokonać — ale potem przekazał Nate'owi swoją połowę farmy i porzucił rodzinę, pragnąc, zanim umrze, zaznać choć odrobiny szczęścia.

— Co się z nim stało?

— Nikt nie wie. Mam nadzieję, że znalazł jeszcze trochę radości. Mała Mary postąpiła tak samo. Opuściła dom, gdy tylko pojawił się mężczyzna gotów ją poślubić i zabrać daleko stąd. Fanatyzm religijny Mary zatruł atmosferę tego domu. To cud, że Nate wyrósł na takiego chłopaka, jakim jest: dobrego i szlachetnego. Sądzę, że to zasługa Alvy. To ona nie pozwoliła go skrzywdzić. Szczerze żał mi Mary, ale doprawdy trudno ją kochać, niezależnie od tego, co nakazuje nam w tym względzie Biblia. Nadała wierze fałszywy sens. Nie lubię jej, a nie znam nikogo innego, o kim mogłabym powiedzieć to samo.

Stara Liwy westchnęła i zerknęła przez ramię.

— No, no, spójrz, jaki piękny obrazek — powiedziała. Gawędziarski ton zniknął z jej głosu. Chess powiodła

wzrokiem we wskazanym kierunku i ujrzała Sally śpiącą w koszyku obok prosiąt.

— Lepiej zabierz już to dziecko z powrotem do domu, Chess — poradziła starszka. — Zaczyna zmierzchać.

— Wiem. Masz rację. Powiedz mi jeszcze tylko o żonie Gideona.

— Lily? Piękna jak anioł. Nie wiem jednak, jaka jest w środku. Jej ojciec to słynny kaznodzieja, powinna więc być dobrą żoną dla pastora. Widziałam ją zaledwie dwukrotnie na Camp Meeting. Śpiewa również jak anioł. — Stara kobieta uśmiechnęła się krzywo do Chess. — Zauważyłam, że odwiedza Mary bardzo rzadko. Nie przysyła też tutaj Gideona, może więc, będąc na zewnątrz aniołem, w środku jest zwyczajną kobietą.

Chess pocałowała Liwy w ogorzały, pomarszczony policzek.

— Dziękuję — powiedziała. — Dzięki tobie przez całe popołudnie nie zamartwiałam się o Nathana.

— Przyjdź znowu, kiedy tylko będziesz mogła.

Sally spała w ramionach Chess przez całą powrotną drogę do domu. Kobieta cieszyła się z tego: tak wiele miała do przemyślenia.

Z pewnością niesprawiedliwie oceniała rodzinę Nathana. Wobec ich tragicznych losów jej własne problemy wydawały się zupełnie błahe. Postanowiła, że będzie bardziej wyrozumiała i tolerancyjna. Szczególnie wobec teściowej. Nigdy nie wybaczy jej jednak sposobu, w jaki traktowała w dzieciństwie Nathana, i tego, jak postępuje wobec niego teraz.

Następnego dnia, ułożywszy Sally do popołudniowej drzemki, Chess udała się do warsztatu, gdzie Alva i Susan pracowały razem z Mary Richardson. Upiekła ciasteczka z melasą, które jeszcze ciepłe i miękkie niosła teraz w koszyku. Wiedziała, że teściowa bardzo lubi słodyczne.

Najdelikatniej, jak tylko umiała, przedstawiła swoją propozycję. Zamiast co wieczór zajmować się szyciem w dwóch osobnych domach wszyscy wspólnie zjedzą kolację, którą Chess przygotowuje. Josh i Micah również. A potem, po posiłku, kobiety będą mogły od razu zasiąść do szycia i tu na miejscu napełniać woreczki tytoniem. W ten sposób Alva i Susan nie tracą czasu na gotowanie i mogły dzięki temu robić więcej paczuszek z tytoniem.

Po pysznym gulaszu z dziczyzny i licznych komplementach

pod adresem Micaha — to jego polowanie uwieńczone zostało bowiem takim sukcesem — wspólne zycie w domu Mary Richardson okazało się nad wyraz miłym zajęciem. Chess ułożyła Sally do snu, po czym wróciła, niosąc pod pachą „Legendę o królu Arturze”.

— Czemu nie miałabym poczytać wam na głos? — zapytała ostrożnie. — Słuchanie tej historii uprzyjemni wam pracę.

— Heretyckie bajdy! — zaprotestowała teściowa. — Nie będę tego słuchać!

Alva i Susan oświadczyły natomiast, że chciałyby poznać tę legendę.

Mary ostentacyjnie zatkała sobie uszy kłębkiem bawełnianej waty. Po tygodniu jednak i ona lubiła słuchać opowieści o rycerzach króla Artura oraz ich poszukiwaniach Świętego Graala.

Susan zaś codziennie zostawała u nich godzinę dłużej i kiedy matka zabrała już Sally do domu, uczyła się czytać i pisać.

Chess była wdzięczna starej Liwy za jej radę. Uczucie dziewczynki oraz czytanie na głos wypełniały jej wiele spędzanych uprzednio beczynnymi godzinami.

Mimo to zostawało jeszcze dużo czasu, a wtedy jej serce targał rozpaczliwy lęk o Nate'a. Nastął listopad i robiło się coraz zimniej. Każdy, kto teraz wędrował, mógł zamarznąć na śmierć, kiedy nastawała noc i temperatura spadała poniżej zera.

O ile oczywiście jakiś złodziej nie zabił go wcześniej, by zabrać mu konia i juki.

Rozdział 12

— Gdzie jest mama, Chess?

— Och, Nate! Dzięki Bogu wróciłeś! Tak bardzo się martwiłam.

— Gdzie jest mama, Chess?

Ogarnęła ją złość. Nie było go w domu przez miesiąc, podczas którego szalała z niepokoju, a on tylko tyle miał jej do powiedzenia?

— Jest w warsztacie. Gdzież indziej mogłaby się po-dziewać?

— Dobrze! Tyle mam ci do opowiedzenia! Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do domu. Rozpal ogień i zrób mi kawę. Ja przez ten czas zaprowadzę Natcheza do stajni i nakarmię go. Wkrótce wrócę. Chess musiała usiąść. Drżały jej kolana. Żył. I tryskał energią. Jeszcze bardziej niż niegdyś. Nigdy nie widziała go tak podekscytowanego, nawet w Danville. I pragnął jej o tym wszystkim opowiedzieć. Jak w ogóle mogła się na niego złościć?

Chciał kawy i dużego ognia. Zerwała się na równe nogi. Musi być głodny. Na szczęście miała jedno jajko: któraś z kur zapomniała, że jest zima. Ukroi mu też kilka grubych kromek chleba, takich jak lubił. Na kości zostało też nieco szynki. Zanim zje to wszystko, będzie miała czas na ugotowanie solidniejszego posiłku.

Kasza wrzała już w garnku, ale to nie miało znaczenia:

pragnienie Nate'a, aby opowiedzieć jej o wszystkim, było silniejsze niż głód.

— Kiedy oglądałem siódmy z kolei plac tylko po to, by znowu odkryć, że nie nadaje się on do moich celów albo że cena jest zbyt wysoka, byłem już gotów wrócić do domu. Czułem się taki zniechęcony... A potem znowu zaczął padać deszcz, zerwał się wiatr i zrobiło się zimno. Zamarzłbym, gdybym nie znalazł jakiegoś schronienia. Jedynym miejscem na przestrzeni wielu kilometrów, gdzie mogłem się skryć, był ten nawiedzony dom. Hej, Chess, czy wierzysz w duchy? Oczywiście, że nie. Jesteś przecież taka wykształcona. Cóż, nie miałem wyboru, zatem...

Chess miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję i przytulić się do niego, by upewnić się, iż rzeczywiście wrócił. Pragnęła wiedzieć, czy cieszy się, że jest znowu z nią. Nie chciała mu jednak przerywać opowieści. Na te wprost palił się do tego, by zdać jej szczegółową relację.

— ...To doskonałe miejsce. I okazało się bardzo tanie — ze względu na te plotki o duchach. Kupiłem sto akrów. Trzydzieści razem z domem i siedemdziesiąt po drugiej stronie strumienia. Zbudujemy tam młyn. W miejscu, gdzie potok zakręca, jego brzegi są zupełnie płaskie; nie będzie zatem problemu z przerzuceniem mostu. No i biegnie tamtędy droga do Durham, miasta odległego zaledwie o osiem kilometrów. Nawet w najśmielszych marzeniach nie oczekiwałem, że znajdę tak doskonałe miejsce. To naprawdę cudowny zbieg okoliczności: Durham w ciągu ostatnich kilku lat rozrosło się dziesięciokrotnie. Buli i Duke mają tam już swoje fabryki. Do miasta dochodzi także linia kolejowa. Niektórzy uważają wprawdzie, że Winston rozwija się szybciej — ten pogląd wyznaje przede wszystkim Dick Reynolds — ale leży ono za bardzo na zachodzie, a moim zdaniem lepiej znajdować się w samym środku terenów, gdzie uprawia się tytoń, niż na ich obrzeżach. Najpierw, tak jak planowaliśmy, postawimy młyn. Nie ma w pobliżu żadnego innego, nie będzie więc kłopotu z kon-

141

kurencją. Mielenie zboża powinno pozwolić nam zarobić na życie, dopóki nie uruchomimy produkcji papierosów. Ale najważniejsze, że młyńskie koło dostarczy nam energii do napędzania maszyny skonstruowanej przez twego dziadka. Gdy tylko odłożymy nieco grosza, wybudujemy fabrykę i przeniesiemy do niej to urządzenie. A potem zamówimy kolejne maszyny...

W jego podkrążonych ze zmęczenia oczach błysnęły nagle łyzy podniecenia.

— Och, Chess, na pewno nam się uda. Wkrótce zaczniemy. Nie, już przecież zrobiliśmy dobry początek. Sam nie wiem, jak zdołam dotrzymać sekretu. Czuję, że miałbym ochotę krzyczeć o tym całemu światu — roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu i żartobliwie zatykając usta dłonią. — Strzeż się, świecie! Nadchodzimy! — zawołał.

— Ciszej! — skarciła go Chess, śmiejąc się tak serdecznie, że ledwo mogła wykrztusić to słowo. Nate objął ją w pasie i zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, uniósł wysoko nad ziemię, kilka razy okręcając dookoła. Kiedy ponownie postawił ją na podłodze, kręciło się jej w głowie.

— Teraz już wiesz, co czuję. To oszołomiło mnie bardziej, niż gdybym się upił. Jesteś szczęśliwa, Chess?

— O tak, tak, Nathanie.

— Wiedziałem, że będziesz. Zmusiłem biednego konia, by człapał całą noc. Musiałem znaleźć się szybko w domu. Gdybym nie opowiedział komuś o tym wszystkim, pękłbym chyba z emocji na tysiąc kawałków. — Nagle jego twarz spoważniała. — Ale to wciąż tajemnica, Chess. Jeszcze większa niż przedtem. Mama i Josh nie zrozumieliby tego, choćbym im tłumaczył przez milion lat. A ja nie chcę, by ktokolwiek próbował mnie powstrzymać. Nie teraz. Jestem zbyt szczęśliwy, że znalazłem ten zrujnowany dom. I zbyt /męczony, by bronić swoich racji. — Umilkł na chwilę, po czym wzrok ponownie mu się rozjaśnił. — Muszę ci opowiedzieć o tym prawniku w Hillsborough. Musiałem kogoś

takiego wynając, ponieważ nie miałem pojęcia, w jaki sposób kupić tę ziemię. Posiadłość była, rozumiesz, opuszczona i bez właściciela. Pan Clarence Montgomery zabrał mnie zatem do sądu okręgowego. Nie, to wcale nie było takie proste. Najpierw kazał sobie zapłacić pięć dolarów gotówką, a dopiero później pojechaliśmy do sądu. Okazało się, że ta ziemia stanowi własność stanu, choć ten nawet tego nie zauważył. Dowiedziawszy się tego, Montgomery dotknął palcem czubka nosa, o tak... — Nate zademonstrował gest prawnika — i powiada: „Znalazł się pan w bardzo interesującej sytuacji, panie Richardson...” — Nathan piskliwym głosem przedrzeźniał Montgomery'ego. — Nie jestem taki głupi, by nie wiedzieć, do czego zmierzał. Czułem, że chce mnie oszukać. Zacząłem wobec tego rozmawiać z nim tak, jak zrobiłby to pierwszy lepszy wieśniak: ze źdźbłem trawy w zębach i nasuniętym na twarz kapeluszem. „Sądzi pan, że policzą sobie dodatkowo za te duchy, co to tam straszą? Ja z pewnością nie zapłacę za coś, czego nawet nie widziałem. Nie ma tam nic prócz rozlegających się w nocy stuków i hałasów”. Popatrzył na mnie wówczas tak, jakbym nagle podstawił mu nogę. Ja zaś wpatrywałem się weń ogłupiałym spojrzeniem. — Nate zademonstrował je, otwierając szeroko oczy i nadając twarzy bezmyślny wyraz. — Duchy szybko zmieniły jego zamiary. Natychmiast przygotował kilka dokumentów i po odwiedzeniu czterech różnych biur oraz wizycie u sędziego załatwił wszystko, co trzeba, w ciągu jednego dnia. Zanim jeszcze na dobre zrobiło się ciemno, zostałem właścicielem stu akrów pierwszorzędnej ziemi oraz przepływającej przez nią wody, której nikt mi nie może „zabrać, stawiając tamę lub zmieniając jej bieg”. I to wszystko kosztowało dokładnie tyle pieniędzy, ile zarobiłem na aukcji tytoniu. Plus pięć dolarów. Pięćdziesiąt centów za akr, Chess. Możesz w to uwierzyć? Nasze marzenia spełniły się za jedyne pięćdziesiąt centów za akr... — Nate urwał gwałtownie na dźwięk zbliżających się kroków matki.

Wchodząc do środka, Mary Richardson pociągnęła nosem.

— Czy istnieje jakiś szczególnie powód tego, że przypalasz kolację_E Chase?

— Wróciłem do domu, mamó.

— Najwyższy czas. Alva i ja niemal straciłyśmy oczy przy szyciu, by przygotować dla ciebie tytoń na sprzedaż, ty zaś nie zadałeś sobie nawet trudu, by po niego przyjechać. Niewątpliwie udałeś się zamiast tego na ów heretycki jarmark.

— Nie, mamó. Drogi są już oblodzone i dlatego musiałem podróżować wolniej.

Chess miała ochotę zdzielić matkę Nathana trzymanym w ręku rondlem z kaszą.

— Nate pójdzie teraz prosto do łóżka — powiedziała. — Obiecałam obudzić go na kolację. Przygotuję dziś wieczór na deser ciasto z patatów — dodała ze słodkim uśmiechem.

Jednak nawet te słowa nie zdołały zmiękczyć serca teściowej. Jej twarz złagodniała dopiero wówczas, gdy syn wyciągnął przywiezioną z Pleasant Grove pocztę, wśród której znajdował się list od Gideona. On i Lily mieli przyjechać na farmę, by spędzić tu Boże Narodzenie.

— Idź do łóżka — poleciała Nathanowi Chess, widząc pobladłą — jak sądziła: ze zmęczenia — twarz męża.

Dwa dni później Nathan załadował juki i osiodławszy drugiego konia — Natchez był zbyt wyczerpany, by ruszać w kolejną wędrowkę — opuścił dom. Grube, ciepłe ubranie chroniło go przed zimnem, kiedy prowadził masywnie zbudowaną kłacz poboczem oblodzonej drogi. Rosnące tutaj uschnięte chwasty także okrywał szron, ale mimo to wędrowało się tędy łatwiej niż śliskim traktem.

To był dla niego prawdziwy wstrząs. Sądził, że wszystkie

listy adresowane były do Chess. Ten na wierzchu pochodził od Augustusa Standisha, ten na samym spodzie także, nie przyszło mu więc do głowy, by rozciąć sznurek, którym były związane, i zajrzeć do środka.

Zresztą to niczego by przecież nie zmieniło. Gideon tak czy owak wybrałby się do nich na święta. Razem z Lily i dziećmi.

Nie. Nie wolno mu o tym myśleć. Powinien zajmować się wyłącznie swymi stoma akrami i młynem, który zamierzał na nich postawić. To czyniło go wszak takim szczęśliwym. Przez wiele dni nie pomyślał nawet o Lily. Należy więc ponownie skupić się na tamtych sprawach. Musi to zrobić. Wystarczy się skoncentrować... Przymknął oczy, rozpaczliwie próbując zatonać w marzeniach o przyszłych przedsięwzięciach.

Niespodziewanie klacz stanęła dęba, nieomal zrzucając jeźdźca z grzbietu. Nate łagodnie ściągnął wodze.

— Uspokój się, Missy. Zatrzymaj się na chwilę i złap oddech. — Pochylił się do przodu i poklepał konia po karku. — No już, dziewczyno, wszystko w porządku. Nic się nie stało. Nikt nie poniósł szkody. Wiem, wiem, przeraziłaś się. Nie ma powodu, byś nadal tak drżała...

Przemierzył zaledwie pięć kilometrów[^] zanim zrobiło się ciemno. Noc spędził u znajomego farmera, na sianie w stajni, obok ciepłych ciał krów i koni. Tuż po północy obudził go cichy szept: „Nate...” Wśród spazmów i jęków rozkoszy kochał się z żoną farmera, krzycząc głośno, gdy nadeszła chwila spełnienia. Niech sobie jej mąż usłyszy. Nie dbał o to. Pocisk ze strzelby ugodziłby go mniej niż wspomnienie Lily.

Chess czekała z otwarciem listów na wyjazd Nathana. Nie chciała tracić ani sekundy z czasu, jaki dane im było spędzić razem. Nawet nowiny z domu okazały się mniej ważne od jego obecności.

Czytając listy, co chwila wybuchała śmiechem. Augustus Standish był w tym, co pisał, równie zabawny jak w osobistym kontakcie. Twierdził, że Scylla, która teraz stale dla niego gotowała/jest jeszcze bardziej zdecydowana go otruć niż wówczas, kiedy to w przeszłości przez dwa tygodnie zastępowała chorą na grypę Chess. Starszy pan z podziwem przyznawał jednak, że tym razem jej wysiłki są znacznie bardziej subtelne. Nie dodawała już do wszystkiego, co przyrządzała, brązowego cukru, jak to kiedyś miała w zwyczaju, ponieważ gdy go dosypała do gotowanej rzepy, skutek był tak zdumiewający, że domownicy ośmielili się zwrócić kucharce na to uwagę. W efekcie każdą potrawę doprawiała teraz miodem. I to nie koniczynowym, który tak miło byłoby odkryć na wołowych żeberkach. Nie, Scylla dokonała wstrząsającego entomologicznego odkrycia pewnej odmiany pszczoł zbierających nektar na łąkach porośniętych ostem. Jak dziwne były to owady, mogą świadczyć zatopione w miodzie liczne kolce ostu, tak wspaniale wbijające się w gardła tych, którzy spożywali ten specjał. Na koniec autor listu stwierdził, że aby opisać owo trudne do wyrażenia uczucie, jakiego wówczas doznawali, trzeba by doskonalszego pióra...

Jakiż z ciebie kochany, stary figlarz — pomyślała Chess. Wiedziała, że Scylla jest doskonałą kucharką. Kiedy sama zaczynała gotować dla rodziny, błagała tę kobietę, by zdradziła jej swoje przepisy, mimo to jednak nigdy nie zdołała jej dorównać.

Kolejny list był znacznie bardziej prozaiczny. Opis nowego życia Chess, który wysłała dziadkowi, został skomentowany prostym stwierdzeniem: „dobrze zrobione”. Mogło to oznaczać, że starzec gratuluje jej wyboru męża albo też ocenia w ten sposób jej biegłość w mijaniu się z prawdą.

Z westchnieniem odłożyła gęsto zapisany arkusik papieru do koperty. Jakże odległy wydawał jej się teraz

radosny dzień dożynek, a przecież minął od niego zaledwie miesiąc!

Czas był nad wyraz dziwną rzeczą. Niekiedy wydawało jej się, że mieszka na farmie Richardsonów od zawsze, kiedy indziej zaś czuła, że życie tu jest krótkim przystankiem w podróży ku innemu, jeszcze nie znanemu miejscu.

Zdecydowała, że stanowczo woli traktować swój pobyt tutaj jako coś przejściowego. Zresztą rzeczywiście tak było, szczególnie iż wiedziała już, gdzie osiadzie w przyszłości. W pobliżu Durham... gdziekolwiek by to było. Obok wartkiego strumienia, który wkrótce będzie obracać młyńskim kołem, mieląc zboże i napędzając maszynę do produkcji papierosów.

Nieoczekiwanie ogarnęła ją gwałtowna tęsknota za Na-thanem. Zapragnęła znowu znaleźć się w jego ramionach. Jakaż szczęśliwa czuła się ostatnio przez tę krótką chwilę! Była pewna, że czeka ją jeszcze wiele podobnych. To, że jej mąż przez dwa dni swego pobytu w domu pozostawał taki milczący i zamyślony, należało złożyć po prostu na karb zmęczenia i wyczerpania.

Proszę, Boże, nie pozwól mu już więcej podróżować nocami — modliła się. — Niechaj w czasie mrozu znajdzie schronienie pod jakimś dachem.

Nathan jeszcze trzykrotnie odwiedzał farmę w listopadzie. Dla Chess jego przyjazd do domu zawsze wyglądał w ten sam sposób: zasnuwające niebo chmury rozstępowały się, otwierając drogę słonecznym promieniom, a brzydki obdrapany dom stawał się za sprawą jego bliskości przytulnym gniazdkiem.

Początkowa radość nigdy jednak nie trwała długo. Nathan był zamyślony, często nie słyszał nawet, co mówiła. Prawie nic również nie jadł, choć specjalnie starała się gotować jego ulubione potrawy — i to pomimo iż zapasy, jakie mieli na zimę, były nader ograniczone.

— Dłubiesz w talerzu tak samo jak ta twoja Chase — narzekała jego matka. — Jeśli nie będziesz o siebie dbał, zachorujesz. Ale wtedy możesz mieć pretensje tylko do samego siebie.

Tego właśnie Chess obawiała się najbardziej: że jej mąż jest chory. Nathan zawsze jadał z apetytem, nawet gdy potrawy były o wiele mniej smaczne od tego, co teraz mu przygotowywała. Ona sama nigdy nie przywiązywała wagi do jedzenia. Od czasu ślubu z Nathanem jadała może nieco więcej, ale nadal niedużo. W Harefields zaś często w ogóle nie miała ochoty na posiłek i siedząc przy stole z dziadkiem, udawała tylko, że coś je.

Dla niej zatem brak apetytu stanowił rzecz normalną. Ale nie dla niego. Nate potrzebował sił na swoje długie podróże od sklepu do sklepu. Zwłaszcza że nastaly już chłody. Serce ścisnęło jej się ze zmartwienia, kiedy patrzyła, jak odjeżdża objuczony paczuszkami z tytoniem. Machała mu jednak na pożegnanie z szerokim uśmiechem na ustach, uważając, że jest to jedyny dar, jaki może mu ofiarować. W grudniu załamała się i jęła błagać go, by więcej nie wyjeżdżał.

— Zostań w domu, proszę. Nikt nie będzie miał ci tego za złe. Nigdy dotąd nie było tu takiej zimy — sama Liwy Alderbrook to powtarza. Nie urządziła nawet swego corocznego pieczenia prosiąt, co zdarzyło się jej chyba po raz pierwszy.

— To prawda, że nikt nie będzie miał mi tego za złe, ale siedząc w domu, nie zarobię pieniędzy. Moim obowiązkiem jest sprzedać cały tytoń, jaki zebraliśmy w tym roku — odrzekł. Nie był przy tym ani zniecierpliwiony, ani rozgniewany jej słowami. Potraktował ją raczej jak kogoś obcego, kogoś, kogo ledwie znał.

Kiedy odjeżdżał, Chess z trudem powstrzymywała się od szlochu. Nate z łopata w dłoni szedł przed objuczoną Missy, prowadząc ją przez świeży, głęboki śnieg.

Obawiała się, że nigdy więcej już go nie zobaczy.

Liwy starała się ją pocieszyć.

— Czyż nie powiedział ci, że wróci na święta Bożego Narodzenia? Nate Richardson nie jest człowiekiem, który złamałby dane słowo.

— A jeśli zatrzyma go jakaś śnieżna burza? Może zamarznąć na śmierć, próbując wrócić na farmę.

— Twój mąż jest zbyt uparty, aby umierać. Jeśli powiedział, że wróci, na pewno to uczyni.

Nate zsiadł z konia. Drogę zagradzała mu kolejna zaspą. Nappełnił obrokiem worek i zawiesiwszy go na głowie klaczy, sięgnął po łopatę. Nie przeszkadzało mu to, że musi odśnieżać sobie drogę. Ostre słońce przyjemnie grzało go w plecy, a praca pozwalała choć trochę odwlec powrót do domu. Nie miał ochoty znaleźć się na farmie. Gideon i Lily mogli tam już być. Do świąt Bożego Narodzenia pozostały zaledwie dwa dni.

Zagłębił łopatę w migotliwym, białym puchu. Nie było innego wyjścia: musi stanąć twarzą w twarz ze swym bratem i jego żoną. Wiedział, że jakoś sobie z tym poradzi. Mężczyzna zawsze znajdzie siły na to, co musi uczynić, albo też nie jest godzien tego miana.

W tej chwili jednak Nate wcale nie czuł się mężczyzną. Na powrót stał się tym chłopcem, który na Camp Meeting niespodziewanie ujrzał najpiękniejszą dziewczynę na świecie. Czemu to wspomnienie było tak wyraźne? I czemu, och, mój Boże, czemu jego ręce wciąż czuły miękki dotyk jej piersi i cienkiej talii? Jęknął głośno. Usta piekły go tak, jak gdyby to Lily przytulała do nich swe wargi. Jak zniesie przebywanie z nią w jednym pokoju, jeśli nie będzie mógł jej dotknąć, objąć, przytulić do siebie? Jest żoną jego brata...

Jak spojrzy Gideonowi w oczy, skoro tak silnie pragnie grzechu? Jak powstrzyma się od nienawiści do własnego brata, kiedy ujrzy, jak obejmuje on jego Lily?

Nate wzywał Boga na świadka, że nie chce wcale, by ogarniały go takie grzeszne myśli i uczucia. Ale choć starał się z całego serca, nie mógł się przed nimi powstrzymać. Rytmicznie odgarniał łopatą śnieg tak długo, aż droga stała się przejezdna. Skończywszy pracę, zdjął z końskiej głowy pusty worek po obroku i chwilę odpoczywał, oparty o ciepłą szyję Missy, po czym z westchnieniem wskoczył na siodło. Tym razem w żaden sposób nie mógł uniknąć spotkania z Lily i Gideonem. Udało mu się jakoś nie być na ich weselu ani nie odwiedzać ich na Camp Meeting. Nie znalazłby jednak pretekstu, aby pozostawać poza domem w czasie świąt Bożego Narodzenia — wszyscy zastanawialiby się wówczas, czemu nie wrócił, a on nie zniósłby myśli, że ktoś może odgadnąć jego sekret. Umarłby chyba ze wstydu.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po wejściu do domu, były plecy mężczyzny pochylającego się nad ogniem. Unosząca się z zaśnieżonego ubrania para kryła zarys jego głowy. W pierwszej chwili Nate pomyślał, że to jego brat.

— Pozwolisz mnie także się ogrzać, braciszku? — zapytał, z trudem przywołując na twarz uśmiech. Człowiek przy ogniu odwrócił się. Był to ktoś obcy. Na dźwięk głosu Nathana do pokoju wbiegła Chess.

— Witaj w domu. Ogrzej się i poznaj Jima Monroe. Zdejmij przemoczony płaszcz i kapelusz i daj mi je. Wyschną nad piecem. Pańskie ubranie także, panie Monroe. Bez niego rozgrzeje się pan szybciej. Postąpiła kilka kroków, zbliżając się do męża.

— Pośpiesz się — dodała szeptem. — Twoja matka położyła się do łóżka i w żaden sposób nie pozwala mi się pocieszyć. Pan Monroe przybył przed kilkoma minutami, przywożąc wiadomość, że Gideon nie przyjedzie ze względu na zasy na drogach. Wielka szkoda! Matka już od paru dni stała w oknie i zeskrobując szron z szyb, wyglądała jego przybycia. Tak bardzo na niego czekała...

Chess nie wspomniała mężowi, że robiła to samo, oczekując jego powrotu.

— Pójdź do niej, Nathanie. Przywitaj się szybko z naszym gościem i idź do matki. Nastawiłam już kawę. Przyniosę ci ją do jej sypialni.

Nate był zbyt ucieszony, żeby zaprotestować. Nagła ulga sprawiła, iż poczuł się tak słaby, że musiał usiąść, choćby nawet miał to uczynić na brzegu łóżka swej matki. Potrzebował czasu, by przyjść do siebie. Nikomu nie mógł okazać, jak głęboko jest wdzięczny Bogu, że Gideon i jego rodzina nie przyjadą.

Jim Monroe został na noc, zatrzymano go także na święta. Potem postanowił pomóc w pracach polowych, które należało wykonać w styczniu. Miał około czterdziestu pięciu lat i był wdowcem „nie posiadającym żadnych kurcząt ani dzieci”, jak sam powiadał. Twierdził, że miło mu wykonywać każdą pracę, o jaką go poproszono, w zamian za miejsce przy ogniu, doskonałe potrawy gotowane przez żonę Nate'a i historie, które tak pięknie czytała na głos z książek.

Cały tytoń został w końcu pokruszony i zapakowany w małe woreczki, Alva i Mary zabrały się więc teraz do zaległego cerowania. Chess znów zaczęła czytać „Legendę o królu Arturze”, Susan zaś zerknęła jej przez ramię, ucząc się nowych słów.

Nate nigdy nie zostawał w domu, żeby słuchać jej czytania. Razem z Jimem wykonywał swą część pracy na farmie, wkrótce bowiem znowu miał wyruszyć w drogę z ostatnimi dwoma tysiącami paczuszek tytoniu.

— Pojadę także do naszej posiadłości — poinformował Chess. — Muszę wiedzieć, jak wygląda zimą tamtejsza droga i czy lód nie ściał strumienia. Jeśli ktokolwiek będzie się zastanawiał, dlaczego tak długo mnie nie ma, powiedz, że pewnie zła pogoda opóźniła moją podróż.

— Nie będzie to potrzebne. Wszyscy widzą przecież, że z dnia na dzień stan dróg się pogarsza.

Rzeczywiście, padający bez przerwy śnieg z deszczem pokrył grudniowe zasy grubą warstwą lodu. Na szczęście nie zdarzały się już teraz tak przenikliwe mrozy jak poprzednio i Chess mniej bała się o to, że Nathan zamarznie, nie znalazłszy noclegu. Poza tym wielką pociechą była dla niej obecność Jima Monroe, którego z dnia na dzień coraz bardziej lubiła.

Nate stwierdził z podziwem, że Jim jest „mistrzem w zadomawianiu się w nowym miejscu”. Mary Richardson upominała go bez przerwy za wzywianie imienia Boga nadaremnie, Jim zaś za każdym razem obiecywał, że się poprawi, z czego oczywiście nic nie wychodziło. Chess uważała to wszystko za bardzo zabawne.

Jim potrafił również ciężko pracować. W ciągu krótkich, mroźnych, styczniowych dni, gdy tylko przestawało padać, dołączał do Josha i Micaha, zajętych oczyszczaniem i wypalaniem ziemi, która dotąd leżała odłogiem. Rosnące na niej drzewa trzeba było wyciąć i porąbać na szczapy, następnie należało wykopać karpy i wyrównać ziemię, a drewno ułożyć w stosy i spalić. Dzięki temu za jednym zamachem pozbywano się nasion chwastów i szkodników. Jeśli zniecka zaczynał padać deszcz, ogień trzeba było rozpalać na nowo. Oczyszczeni w ten sposób wąski pas ziemi, mężczyźni zabierali się do następnego, pilnowanie ognia powierzając Micahowi.

Ta powodująca ostry ból kręgosłupa praca zmierzała już ku końcowi, kiedy na początku lutego wrócił do domu Nathan. Był w doskonałym nastroju.

— Dnie stają się coraz dłuższe, a drogi są już błotniste. Tylko gdzieniegdzie widać jeszcze połacie lodu — powiedział.

Natychmiast po powrocie zaczął pomagać w pracy pozostałym mężczyznom i po dwóch dniach cała ziemia była już oczyszczona. W ciągu kolejnych dwóch dni zakończono także orkę i bronowanie.

Nowe pole było gotowe do obsiania.

Nate złożył krótką wizytę w domku Liwy Alderbrook. Wrócił stamtąd z dzbanem domowego piwa, który mężczyźni, włączając w to Micaha, podawali sobie z rąk do rąk. Koniec roboty zasługiwał na uczczenie.

Jim niechętnie począł wspominać, że zapewne nadszedł czas, aby się wyniósł. Chyba że — dodawał z nadzieją — Nate i Josh mieliby jeszcze trochę zajęcia dla dobrego robotnika przy obsiewaniu lub oraniu tej przekłętej, zamarznętej ziemi, która zapewne stanowiła przedsiónek piekła, choć oni nazywali ją swoją farmą. Gotów jest tego dokonać nawet tymi ich przekłętymi końmi pociągowymi, najgorszymi chyba, jakie kiedykolwiek Bóg stworzył.

— Nie mogło być lepiej, Chess — cieszył się Nate. — Jim jest aniołem zesłanym nam przez niebiosy. To znaczy, że mogę od razu rozpocząć budowę młyna. Teraz muszę jeszcze tylko zająć się sianiem tytoniu. Chcę porozmawiać z Joshem, ponieważ dowiedziałem się o pewnej nowej sztuczce, która może zwiększyć zbiory, a mój wuj będzie zapewne bronić się przed nią rękami i nogami. Ale tak czy owak zabierze to najwyżej dzień lub dwa. Potem będę mógł wyjechać do hrabstwa Orange. Powinnaś zobaczyć to miejsce, Chess. Spędziłem tam dwa dni i dwie noce. Przemierzyłem każdą piędź ziemi. Całe sto akrów. Jest tam dosyć drzew, by wybudować z nich miasto. A jeśli chodzi o strumień, tworzy on wspaniałe zakole o wartkim nurcie. Jego szmer wydał mi się najpiękniejszą muzyką. Znalazłem też rumowisko skał — postawimy z nich solidne fundamenty, jakich sam król olbrzymów nie zdołałby zburzyć. Wyobraź sobie, że mamy nawet piwniczkę na warzywa i ziemiankę na lód, gdybyśmy chcieli przechowywać go do lata. Ręce aż mnie świerzbią, by jak najszybciej zacząć tam pracę. Zdradzę ci, co zamierzam zrobić: powiem mamie, że Jim u nas zostaje, po czym zajmę się przygotowaniem pola pod siew. Następnie załatwię wszystko za jednym zamachem: zwołam domowników i powiem im o naszych planach. Oczywiście, nie powiem wszystkiego. Produkcja papierosów

nadal pozostanie naszą tajemnicą. Wystarczy, że wyjawię im, iż postanowiłem zostać młynarzem, ponieważ nienawidzę pracy na farmie.

Na myśl o tym, jak bardzo nie lubi pracować w polu, twarz mu się wykrzywiła. Po chwili jednak uśmiechnął się ponownie. Jaśniał wprost ze szczęścia.

— Wynoszę się stąd. Przez całe życie o tym marzyłem. Boże Wszechmogący, cóż za cudowne uczucie!

— Możesz wynająć tego Jima Monroe, jeśli tak postanowiłeś — oświadczyła Mary Richardson lodowatym tonem. — Ale ja nie mam zamiaru mieszkać pod jednym dachem z bluźniercą. Jeśli on tu zostanie, ja odejdę. Wybieraj: wolisz mnie czy jego?

Rozdział 13

Nathan gniewnym krokiem wyszedł z domu. Chess nie musiała pytać, co się stało. Dolatujący zza drzwi piskliwy głos „panny Mary” mówił sam za siebie.

Podeszła do męża, ale Nathan z wyraźnym wysiłkiem uniósł ramię i odsunął ją na bok.

— Zejdź mi z drogi, Chess. Dopóki jest jeszcze dostatecznie jasno, żeby ruszyć w drogę, muszę pójść do Jima Monroe i powiedzieć mu, by się wynosił.

— Pięć minut cię nie zbawi. Chodźmy na chwilę do warsztatu. Proszę, Nathanie. Na pewno coś wymyślimy. Wystarczy, że oboje ruszymy głową.

Zabrało im to wprawdzie więcej niż pięć minut, ale odnieśli sukces.

A dokładnie to Chess odniosła sukces. Przekonała męża, że Jim nie musi pozostawać na farmie — ona i Susan podołają jego dotychczasowym obowiązkom.

W końcu Nathan zgodził się, żeby spróbować, i zaczął rozważać wszelkie szczegóły takiej decyzji.

Postanowił zabrać Jima do Liwy Alderbrook, aby tam zaczekał, aż Nate będzie gotów opuścić dom.

Wówczas obaj mężczyźni mogliby wspólnie rozpocząć budowę młyna...

Chess jeździłaby co tydzień do Pleasant Grove, by listownie informować męża, jak wygląda sytuacja na farmie. Nate mógłby wrócić do domu, gdyby tylko okazało się, że jest potrzebny.

— I ty też daj mi znać, jak postępują prace. Możesz nadawać listy wówczas, kiedy będziesz szedł na pocztę, żeby odebrać moje.

Domagała się tego tak usilnie, że w końcu ustąpił.

Patrząc na niego, nigdy nie domyśliłabym się, że coś ma się wydarzyć — pomyślała Chess. Nathan zachowywał kamienny spokój. Jego matka nie przestawała narzekać na Jima Monroe. Co ona pocznie, kiedy Nathan oświadczy jej, że na dobre opuszcza farmę? I co powiedzą na to pozostali? Josh z pewnością będzie wściekły — co do tego Chess nie miała najmniejszych wątpliwości.

Nate jednak uśmiechał się jak gdyby nigdy nic i bawił się z dzieckiem, które niezdarnie szarpało specjalną „uprząż”, za pomocą której przywiązano je do drzewa w pobliżu — ale nie za blisko — pola, na którym pracowali dorośli.

Nareszcie kończyli obsiewanie poletka, gdzie miały wzejść sadzonki. Chess była wprost oczarowana: ziarna tytoniu okazały się takie maleńkie. Jakże z czegoś tak niewielkiego mogła wyrosnąć roślina o liściach wielkich jak tace?

— W jednej łyżce mieści się dziesięć tysięcy ziaren — powiedziała jej Susan, dumna z tego, że i ona może przekazać jakąś wiedzę swojej nauczycielce.

Nathan pracował jak w transie. W skupieniu, regularnymi ruchami, powoli przemierzając pole, wysiewał ziarno zmieszane z piaskiem. Zawracał i powtarzał tę czynność na kolejnym pasie ziemi. Szedł, zanurzając dłoń w zapasce, brał garść nasion i rzucał je w ziemię. Jakże pięknie przy tym wyglądał...! Chess miała ochotę bić brawo za każdym razem, kiedy kończył kolejny spacer wzdłuż pola.

Josh także miał swoją zapaskę z nasionami. Pomimo drewnianej nogi, dokonując obrzędu siania, wyglądał równie wspaniale co Nate.

Chess oraz inne kobiety ustawiły się w rzędzie na skraju pola. Powoli, bardzo powoli, ostrożnie stawiając nogi, udeptywały zaoraną ziemię. Krok po kroku przemierzały bruzdy, pozostawiając za sobą równe ślady stóp.

Kiedy skończyli, Chess poczuła, że nogi drżą jej ze zmęczenia. Na szczęście pod per kałową suknią nie było tego widać. Miała ochotę usiąść tam, gdzie stała, pomimo że ziemia wokół pola nadal była na w pół zamarznięta. Popatrzyła na Nathana, oczekując od niego jakiejś pochwały. Czyż nie udowodniła, że potrafi pracować równie dobrze jak Jim Monroe?

— Zajmij się tym biednym dzieckiem — powiedział jednak tylko jej mąż. — Zabierz je ze sobą, kiedy będziesz szła przygotować dla nas wielki dzbanek kawy. Dobrze nam ona zrobi po tej robocie.

Alva i Josh znowu włożyli na ramiona śmierzące jutowe zapaski.

Po pewnym czasie Chess wróciła do nich z dzbankiem kawy, kubkami, łyżeczką, cukrem i śmietanką, ułożonymi na cynowej tacy. Sally szła za nią, niosąc koszyk grubo posmarowanych masłem i posypanych cukrem kromek chleba.

Mary, Alva, Susan, Josh i Nathan przemierzali pole, rozrzucając po nim ususzony i sproszkowany koński nawóz. Chess próbowała uspić dziecko, ale dziewczynka była zbyt zafrapowana posłodzonym chlebem. Chess dziękowała Bogu, że ominęło ją rozrzucanie nawozu — jego smród wydawał się nie do zniesienia. W Harefields często zajmowała się podobnymi rzeczami, zawsze jednak robiła to w rękawiczkach, które później wyrzucała, jako że w żaden sposób nie dało się ich doprać.

Nie, nie wolno jej myśleć w ten sposób. Przecież obiecała sobie, że będzie pracować równie ciężko jak pozostali.

Pobiegła do domu i wróciła w rękawiczkach.

— Czy mogę pomóc?! — zawołała.

— I tak zrobiłabyś to źle! — odkrzyknęła „panna Mary”.

Dotknięta do żywego, Chess usiadła obok Sally. Skoro jest dla mnie taka niemiła, dobrze, że wkrótce usłyszysz, co ma do powiedzenia Nathan — pomyślała z satysfakcją dziecka, któremu udało się psota. — Mam nadzieję, że ugotowałaś na kolację coś dobrego — powiedział Nate. Trzymał na kolanach Sally i ze smakiem jadł chleb, popijając go kawą.

Cała rodzina rozlokowała się teraz na skraju pola.

— Wspaniała jest ta gorąca kawa, Chess — stwierdziła Alva.

Traktowała szwagierkę znacznie bardziej przyjaźnie, odkąd ta zaczęła uczyć Susan czytać.

— Pieciesz lepszy chleb niż ktokolwiek inny — szepnęła Susan, przysuwając się bliżej do swej nauczycielki. Dla dziewczynki była prawdziwą bohaterką, której należało oddawać cześć. Chess bardzo się to podobało — dotąd nikt jeszcze nie traktował jej w ten sposób.

Nie chcąc, by Susan usłyszała jego słowa, Nate musiał nieomal szeptać żonie do ucha. To także bardzo jej się podobało. Czuła na policzku przyjemne ciepło oddechu męża, a jego ramię dotykało jej pleców.

— Nakarm dziś Josha wyjątkowo dobrze — powiedział. — Będę miał dla nich pewną niespodziankę po kolacji i chcę, by był w dobrym nastroju.

— A czemu nie mielibyśmy zjeść czegoś teraz? — zapytała Chess. Uznała, że nie ma powodu ściszać głosu: wszyscy tak łakomie rzucili się na tę odrobinę jedzenia, jaką przyniosła, że nie zwracali uwagi na nic innego. Musieli być porządnie głodni.

— Ponieważ jeszcze nie skończyliśmy pracy — odparł Nate, prostując ramiona. — No, panno Sally, wracaj do swojego drzewa.

W końcu okazało się jednak, że rękawiczki przydały się Chess. Cała rodzina, poza marudzącą Sally, rozeszła

się zbierać trzydziestocentymetrowej długości, ostro zakończone gałązki, aby otoczyć nimi pole.

— Po to, by powstrzymać zwierzęta przed wchodzeniem tutaj — wyjaśniła Alva, odpowiadając na pytanie Chess. — Lasy są pełne lisów, jeleni, szopów i oposów. W nocy przychodzą one na pola ryć ziemię.

Po kolacji — gęstym, smacznym gulaszu, który gotowała od rana — Chess dowiedziała się, że gałęzie mają jeszcze jedno przeznaczenie.

— To pewna sztuczka, o której przeczytałem w gazecie w Durham — powiedział Nathan. —

Postanowiłem ją wypróbować. Rozciąga się na polu wielkie płachty perkalu i przyciska gałęziami, aby nie zwał ich wiatr. Nazywają to „okrywaniem”. Nie wiem, jak to się dzieje, ale gazeta pisała, że roślin nie obsiadają wówczas muchy.

— Co za głupota! — ryknął natychmiast Josh. — Nie istnieje nic, co mogłoby odstraszyć muchy choćby z ćwierci twojego pola. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Można najwyżej spryskiwać rośliny naftą. Czasem to trochę pomaga. Ale i tak muchy pojawiają się, gdy tylko z pąków wyłonią się pierwsze liście.

— Kupiłem już perkal i postanowiłem, że rozciągniemy go na ziemi — oświadczył Nate, odkładając łyżkę. — Jedyne, co by z tego wynikło, to że deszcz nie podlewałby roślin. Stracilibyśmy całe zbiory zamiast jednej czwartej.

Josh także odłożył łyżkę na stół i z kieszeni spodni wyjął nóż. Odchylił się na krześle i wyciągnawszy z drugiej kieszeni prymkę tytoniu, odciął z niej kawałek i włożył do ust. Odsunął od siebie talerz i zaczął żuć. Na jego talerzu została jeszcze połowa gulaszu. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z bratanka. — Mnie się wydaje... — zaczął Micah, ale Josh uniósł dłoń i chłopiec umilkł, podobnie jak kobiety kończąc posiłek ze wzrokiem wbitym w talerz.

Chess nie mogła przełknąć ani kęsa. Miała ochotę podnieść wzrok, ale zdenerwowanie nie pozwoliło jej na to.

Mijały minuty i tłuszcz na talerzu Josha zaczął powoli krzepnąć. W końcu Nate odsunął krzesło.

— Chodźmy — zwrócił się do żony.

Chess popatrzyła na niego. To samo uczyniły Susan i Alva.

— Dobrze, chodźmy — powiedziała. — Talerzami zajmę się później.

Nathan ruszył ku drzwiom, a ona podążyła za nim, narzucając na plecy szal.

Jeszcze przed zachodem słońca całe pole zostało przykryte płachtami perkalu. Cała rodzina, łącznie z Joshem, pomagała je układać. Nathan żartował z akrobatycznych wysiłków Sally, która pragnęła uwolnić się ze swej „upręży”, co wywoływało gromkie wybuchy śmiechu. Wszyscy zachowywali się tak, jakby wcześniej nie było żadnej kłótni.

Ale Chess wiedziała, że to od niej będzie zależeć, czy perkal pozostanie na miejscu, kiedy Nathan odjedzie. Cóż, może zresztą jakoś wszystko się ułoży, gdy mąż wyjawi rodzinie, że opuszcza farmę. Czowała emanującą od niego siłę i determinację jak owej pierwszej nocy na stacji w Weldon, ale teraz fascynowały ją one jeszcze bardziej. Wiedziała, że Nate nigdy nie pozwoliłby, aby ktoś lub coś stanęło mu na drodze. Och, jakież wspaniałe życie mają przed sobą!

— Byłaś moim prawdziwym sojusznikiem podczas kolacji — powiedział, kiedy wieczorem leżeli w łóżku.

Serce mocniej zabiło Chess z radości. Wydawało jej się nawet, że mąż nieco inaczej dotyka jej ciała, choć kochali się równie krótko co zwykle. Nathan zasnął, a ona leżała w ciemnościach i uśmiechała się do siebie.

Obudził się przed świtem.

— Ćśś... — szepnął. — Wszystko w porządku. Jest coś, co chciałbym zrobić, i pragnę, byś mi pomogła. Ubierz się ciepło i po cichu wyjdź z domu. Będę czekał przy drzwiach.

Stąpając na palcach, weszli do warsztatu. Nathan zapalił

naftową lampę i dał ją Chess do potrzymania, po czym z najdalszego kąta wyciągnął jakiś okuty żelazem kufer i ustawił go pośrodku izby.

— Podkreć knot, żeby palił się jaśniej.

Chess usłyszała obracanie się w zamku klucza. Nate bez wysiłku uniósł ciężkie wieko. Wewnątrz zaślniła wypolerowana skrzynka Augustusa Standisha.

— Piękne — wymamrotał Nate, przesuwając po niej dłonią.

Odetchnął głęboko, po czym wyciągnął połyskujący sosnowy sześcian i ustawił go na podłodze.

— Pomyśleć, że stało to tutaj cały czas, a ja nie mogłem tego obejrzeć. Czasem obawiałem się, iż wszystko tylko mi się przyśniło i że prototypu wcale tu nie ma.

Ostrożnie odpiął mosiężne paski i zdjął pokrywkę. Odetchnął z ulgą, uczynił to jednak tak gwałtownie, że wprowadził przy tym w ruch wykonane z cienkiego drewna koła zamachowe modelu.

— To magia! — zdumiał się. — To naprawdę cudowny przedmiot.

Światło lampy odbiło się w jego oczach, w których zaślniły łzy. Nawet nie próbował ich skrywać.

Chess wstrzymała oddech. Nigdy w życiu nie widziała tak głębokiego szczęścia i zachwytu. Dla niej ów prototyp stanowił zaledwie jeden z pomysłów dziadka i wydawał się nieomal zabawką. Z

Nathanem rzecz miała się zupełnie inaczej. Dopiero teraz zrozumiała, czemu trzymał istnienie tej maszyny w tajemnicy i nalegał, by ona także nikomu o niej nie wspominała. Nie mógł przecież

rozmawiać ze swoim wujem o magii. Josh nie ufał żadnym pomysłom Nathana. Podobnie jak inni.

Wierzyli jedynie w to, co dobrze znali. Nikt z nich nie rozumiałby jego marzeń. Mówienie im o tym cudzie, który czeka na wykorzystanie, naraziłoby go jedynie na kpiny i szyderstwa z ich strony.

— Będę o to dbała dla ciebie, Nathanie — powiedziała,

drząc na całym ciele, albowiem poranny chłód przenikał ją do szpiku kości.

Jej głos wyrwał go z zamyślenia. Przestał marzyć i powrócił do rzeczywistości.

— Tam jeszcze coś jest — zauważył, ostrożnie sięgając w głąb skrzynki i wyjmując z niej kasetkę z orzechowego drewna.

— Och, to moje! — zawołała Chess, kiedy ją otworzył.

— Dziadek zrobił to dla mnie. Potrzyj lampę, zaraz wszystko ci pokażę.

W środku była szachownica i komplet szachów. Chess kolejno wyjmowała figury.

— Król ma twarz mojego ojca — objaśniła. — Moja matka jest królową. — Poczula w gardle dławiące lzy.

— Rycerze na koniach to moi bracia, ja zaś jestem tutaj... uwięziona księżniczka wyglądająca przez okno wieży. Miałam zaledwie dziesięć lat, kiedy dziadek je wyrzeźbił. Gońce mają twarz pana Bonduranta, zwierzchnika kościoła, jak zapewne pamiętasz, a pionkom nadano kształt zajęcy, ponieważ nasza plantacja nazywa się Harefields. Nie wiedziałam, że dziadek je tu włożył. Nawet nie podziękowałam. Mój drogi, troskliwy Cezar! Natychmiast napiszę do niego list. Dam ci, żebyś wysłał — dodała, zapominając zupełnie o modelu.

— Chwileczkę — powstrzymał ją Nate, zainteresowany wyłącznie maszyną, dzięki której miał zrobić majątek.

— Zabierz stąd swoje figurki. Chcę zamknąć ten kufer, a ty musisz dopilnować, by nikt, ale to nikt nie dobrał się do niego.

Był tak zły, że ręce mu drżały, a palce odmawiały posłuszeństwa. Kiedy przekręcał klucz w zamku, jego humor jeszcze się pogorszył. Jakże Chess mogła być tak dziecinna? Ich przyszłość, wszystkie możliwości wiązały się z tym modelem, ją zaś obchodziła jedynie jakaś skomplikowana gra.

Wspomnienia żony przeszkadzały mu marzyć, i to akurat w chwili, kiedy brał do rąk prototyp swojej maszyny. Tak

długo czekał na moment, kiedy będzie mógł patrzeć na wynalazek, dotykać go i triumfalnie smakować radość z jego posiadania. A ona zepsuła mu tę cudowną chwilę! Przez ułamek sekundy nienawidził jej z całego serca.

Szybko jednak stłumił złość. Żadne uczucia nie powinny stanąć mu na drodze do tego, co musiał uczynić.

— Popatrz, gdzie chowam klucz — polecił żonie.

— Włożyłem tu także pieniądze na wypadek, gdyby czekały nas jakieś nieprzewidziane wydatki.

Zamknął sosnową skrzynkę i opuścił wieko kufra. Jego marzenia musiały trochę poczekać.

Chess zmusiła się, by zobaczyć i zapamiętać, gdzie Nate kładzie klucz, ale tak naprawdę myślami była daleko stąd. Zatonęła we wspomnieniach o świecie, w którym jej piękni rodzice byli królem i królową, mieszkającymi w wielkim pałacu, a jej bracia ujeżdżali swoje ulubione konie, wybrane spośród czterdziestu wierzchowców, jakie znajdowały się w stajniach. Przypomniała sobie siebie samą: rozszczebioną, małą dziewczynkę uczoną przez surowego dziadka zasad starożytnej gry.

Tęsknota za domem targnęła jej sercem tak, jakby przebiło je ostrze sztyletu. Wiedziała jednak, że tęskni za czymś, co nie istniało już od blisko dwudziestu lat. Nie miała przecież ochoty wracać do harówki na zrujnowanej plantacji ani ponownie sprawować pieczy nad dzierzawionymi farmami, jak to czyniła przed ślubem z Nate'em. A czasów, które przeminęły wraz z wojną, w żaden sposób nie dałoby się już przywrócić. Nie ma czego żałować — powiedziała sobie w duchu.

— Teraz jestem z człowiekiem, którego kocham, i mam nadzieję spędzić przy jego boku jeszcze tysiące dni.

Uśmiechnęła się do męża.

— Zaopiekuję się tym dla ciebie — obiecała ponownie. Poczuli się rozczarowani, gdy nie odpowiedział. Pewnie rozmyśla o skargach, jakich z pewnością nie poskapi mu jego matka — pomyślała.

Kiedy wreszcie Nate wyjawiał rodzinie, że zamierza opuścić dom, w pierwszym momencie nikt nie zareagował. Wszyscy byli zbyt wstrząśnięci.

Ruszył pieszo, z przewieszonym przez plecy workiem — Josh i Micah potrzebowali wszak koni do pracy na farmie. Chess odprowadziła go aż do głównej drogi. Miała nadzieję, że kiedy nikt nie będzie ich widział, mąż pocałuje ją na pożegnanie. Jim Monroe czekał już na niego. Kobieta pomachała im ręką, gdy odchodzili.

Na rosnących przy drodze krzewach leszczyny ukazały się bladozielone pąki. Mimo panującego przenikliwego chłodu zima dobiegała końca.

Rozdział 14

Nate i Jim udali się prosto do Durham, nie zatrzymując się nawet w miejscu, gdzie miał stanąć młyn. Jeśli chcieli zacząć pracę, potrzebowali narzędzi, muła i wozu. Podróż zajęła im ponad tydzień — długo oczekiwana odwilż zamieniła drogi w grzęzawiska, w które wpadało się aż po kolana. Początkowo jechali na wozie, ale kiedy po raz piąty przyszło im wyciągać go z błota, uznali, że wędrowanie piechotą będzie „cholernie łatwiejsze i piekielnie szybsze”, jak to określił Jim. Przerażająco głośny, jękliwy dźwięk przestraszył Jima do tego stopnia, że miał ochotę rzucić się ku rosnącym przy drodze drzewom i szukać schronienia w ich gąszczu. Na widok jego miny Nate wybuchnął śmiechem.

— Daj spokój, człowieku. Ten głos powinien brzmieć ci w uszach jak muzyka. Oznacza, że jesteśmy prawie na miejscu.

Gdy dotarli do miasta, pokazał przyjacielowi źródło dziwnego hałasu. Durhamski Byk był olbrzymią, lśniaco-czarną bestią o jaskrawoczerwonych nozdrzach i jarzących się, białych oczach. Miał cztery i pół metra wysokości i siedem i pół metra długości. Namalowano go na zespawanych ze sobą arkuszach blachy i umieszczono na najwyższym budynku w mieście, siedzibie William T. Blackwell Tobacco

Company. Jim zaniemówił z wrażenia. Nie tyle z powodu byka, co na widok gmachu, który ów wizerunek zdobił. Nigdy dotąd nie widział niczego, co dałoby się porównać z tą wielką, czteropiętrową ceglana fabryką, zajmującą całą przecznicę ulicy. Wzniesiono ją na liczącym sobie piętnaście akrów, ogrodzonym terenie, w samym centrum miasta. Lokalizacja była ze wszech miar właściwa: przedsiębiorstwo stanowiło serce durhamskiego przemysłu i to właśnie dzięki niemu ta wioska przemieniła się w ośrodek przemysłowy.

Była to największa na świecie fabryka wytwarzająca tytoń do palenia. To, co Nate i jego rodzina robili w małym warsztacie, tu wykonywano tysiącrotnie szybciej, używając w tym celu maszyn obsługiwanych przez wynajętych robotników. To one kruszyły tytoń, pakowały go w małe woreczki i umieszczały w większych skrzynkach, które własną linią kolejową przewożono do nadmorskiego portu. Buli durham znano, sprzedawano i palono na całym świecie. Każdego dnia, z wyjątkiem niedziel, dwadzieścia pięć tysięcy funtów tego tytoniu opuszczało fabrykę.

Prawie pięciuset robotników zakładu wiodło życie, którego ramy wyznaczał ryk parowych syren ogłaszających początek i koniec dnia pracy. Dźwięk ten słyhać było w promieniu szesnastu kilometrów. Był dumą mieszkańców Durham. W ciągu dziesięciu lat ta miejscowość, w której żyło kiedyś dwieście osiemdziesiąt pięć osób i gdzie była tylko jedna główna ulica, cztery odrapane saloony i mała stacyjka kolejowa, zmieniła się w kipiące życiem trzytysięczne miasto, a przy błotnistych ulicach stały liczne manufaktury, składy, domy, sklepy, młyny i kościoły oraz wielkie rezydencje ozdobione wieżyczkami, kopułami i szerokimi werandami. Było tu także siedem saloonów, zwanych obecnie barami.

Zachodzące przemiany były typowe dla całej Ameryki, w której przemysł oznaczał postęp i sprawiał, że stare przybrzeżne miasta nie miały już monopolu na handel i rozwój. W Battle Creek w Michigan produkowano płatki

śniadaniowe, w Ravennie w Ohio mąkę owsianą, Indianapolis w Indianie słynęło z gotowych leków wytwarzanych przez młodego weterana wojny secesyjnej, Eli Lilly'ego. Cleveland, także w Ohio, oferowało farby w puszkach, a w San Antonio w Teksasie uruchomiono produkcję kabli. Minneapolis w Minnesocie porzuciło wyrób kamiennych młyńskich kół i wytwarzało teraz stalowe walce zwiększające produkcję mąki.

Młodzi ludzie podejmowali ryzyko, unowocześniając metody produkcji, poszukując nowych towarów i narzędzi. Przyszłość niosła ze sobą nieskończenie wiele możliwości i marzeń, które zaczynały się spełniać.

— A niech mnie kule biją! Ależ to pan Cytrynowy Zwijaniec we własnej osobie. Jak się masz, Nate?

— Nieźle, Buck. Miło cię widzieć.

Nathan uśmiechnął się do wysokiego, rudego mężczyzny, który zatrzymał go przy kontuarze Angier's General Store. Od patrzenia w górę zeszywniał mu kark, na szczęście Buck Duke usiadł i rozmawiając z nim, nie trzeba było zadzierać głowy. Znali się od lat. Buck sprzedawał wytwarzany przez swoją rodzinę tytoń do palenia tym samym kupcom, którym dostarczał towar Nate. Bardzo szybko Richardson dostrzegł w nim groźnego konkurenta. Człowiek ten pracował równie ciężko jak on, dobrze znał się na tytoniu i wszędzie był tak samo życzliwie przyjmowany, jako „swoją chłopak”. Nate podejrzewał, że obaj mają podobne ambicje, i był całkowicie pewien, że i Buck uważa go za poważnego przeciwnika. Należeli do ludzi tego samego pokroju, musiał więc postępować bardzo ostrożnie. Duke dawno już pożegnał się z pracą na farmie — jego ojciec i bracia prowadzili wcale niemałą fabryczkę tytoniu. Nie było to przedsiębiorstwo na miarę Blackwella, ale tak czy owak posiadali niebrzydki, ceglany budynek przy głównej ulicy, pełen maszyn i wynajętych robotników, którzy — jak ponuro oceniał Nate — przerabiali jakieś pięćset kilogramów liści dziennie. Poza tym Buck zaczął już reklamować swoje wyroby...

W Durham istniało dwanaście zakładów tytoniowych. Przedsiębiorstwo Duke'a nie było największe, ale to właśnie ono budziło obawy Nate'a. Może dlatego, że sam Buck wydawał mu-się niebezpieczny. — Jak długo pozostaniesz w Durham, Nate? Moglibyśmy zjeść razem lunch... Nie przypuszczam bowiem, że dałeś sobie spokój z abstinencją.

Dobry pomysł, dzięki temu ja także będę mógł troszkę go zaniepokoić — pomyślał Nate, po chwili jednak zmienił zdanie. Nie, jednak nie. Nie chcę, by przyglądał mi się zbyt dokładnie.

— Niestety, muszę jeszcze zrobić zakupy, potem zaś wyjeżdżam z miasta. Nie wiem, czy dotarła do ciebie wieść, że skończyłem z tytoniem. Sądzę, że z interesu należy wycofywać się wówczas, gdy osiągnie się w nim szczyt swoich możliwości, a cytrynowe zwijańce stanowiły najlepszą rzecz, jaką potrafiłem wyhodować. Poza tym ożeniłem się, a moja żona nie lubi, gdy spędzam całe tygodnie w podróży.

Duke zachichotał. Obaj wiedzieli, jakie pokusy czyhają na wędrowców.

— Kupiłem trochę ziemi i chcę postawić na niej młyn — wyznał Nate. — To tylko o osiem kilometrów stąd, będę więc często odwiedzał Durham. Tym bardziej że moja żona tęskni za miejskim życiem. Pochodzi z okolic Richmond.

Istniała duża szansa, że Buck wiedział już o Chess. Ludzie zajmujący się tytoniem stanowili mały, rozplotko-wany świat. Niechże wobec tego myśli, że Nate znalazł się pod pantoflem żony. To stłumi jego ciekawość.

Dwaj konkurenci rozstali się równie serdecznie, jak przywitali. Nate gratulował sobie w duchu własnego sprytu, dopóki godzinę później nie dowiedział się, że Buck zaczął produkować papierosy.

— Tak, tak, to największa nowina, odkąd pożar strawił połowę głównej ulicy — powiedział handlarz, od którego kupowali muła. — Sprowadził koło setki Żydów z Nowego

Jorku. To specjaliści. Proszę poczekać, aż sam ich pan zobaczy. Błazi jak brzuchy ryb. Rzec by można, że całe życie spędzili w fabryce. Nigdy nie porzucą pracy — nie potrafią nawet dobrze mówić po angielsku... O, tu ma pan piękne duże zwierzę. Wyciągnie każdy wóz, choćby nawet ugrzązł w błocie głębokim na dziesięć metrów.

Nate czuł, że serce wali mu jak młotem. Czas go gonił. Buck Duke nie na długo poprzestanie na ręcznym skręcaniu papierosów. Szczególnie jeśli maszyna Bonsacka zacznie działać, a jemu uda się położyć na niej swoje łapy.

Nate zapłacił za muła więcej, niż początkowo zamierzał, jednak czas liczył się bardziej od pieniędzy. Niespełna godzinę później obaj z Jimem ruszyli w drogę powrotną.

— Do licha, Nate, mówiłeś, że zostaniemy w Durham na noc. Chcę usłyszeć jeszcze raz wycie tego czarnego diabła.

— Jeśli tylko wiatr będzie wiał z właściwej strony, usłyszysz je również na mojej farmie. Mamy jeszcze mnóstwo roboty.

Rozdział 15

Chess starannie złożyła list od Nate'a.

Chciałabym być teraz razem z nim — pomyślała. Miała ochotę się rozplakać. Nie powinien zostawać sam, nie mając nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Nie... Rzecz wyglądała jeszcze gorzej: miał Jima, przed którym musiał udawać, że nic się nie stało.

Gorąco pragnęła dosiąść klaczy i udać się do Nathana, by nigdy więcej nie wrócić na farmę. Nie mogła jednak tego uczynić.

Właściwie, sprawy wcale nie stały aż tak źle. Jak napisała Nathanowi w swoim liście, zamieszanie wywołane jego wyjazdem trwało zaledwie kilka dni i teraz wszystko wróciło już do normy.

Wieczorami czytywała rodzinie kolejną książkę — tym razem byli to „Trzej muszkietierowie”, pamiętając tylko, by unikać pojawiających się w tekście francuskich słów. Jej teściowa powoli zapomniała o decyzji syna i całą swoją wściekłość kierowała teraz ku kardynałowi Richelieu, papiście.

Coraz wyraźniej widziało się już nadchodzącą wiosnę. Na wszystkich drzewach i krzakach pojawiły się pąki, a nocny szron topniał w promieniach słońca, zanim jeszcze dobiegło ono zenitu.

Posiany tytoń jeszcze nie wykiełkował. Chess, Alva i Susan usuwały perkal, kiedy wstawał ciepły dzień, i na nowo przykrywały nim ziemię, zanim zapadł zmierzch i nastał mróz.

Zazieleśniły się za to inne pola, ale Josh i Micah natych- \ miast je zaorali. Chess uważała za ogromnie zabawne to, iż farmerzy nazywają tytoń „chwastem”. Kiedy o nim mówili, często wychodziło na to, że pragną chronić swoje chwasty przed chwastami.

Nie potrafiła uwierzyć, że Nathan mógł martwić się, jak też jego żona poradzi sobie z obowiązkami Jima Monroe. Zajęcia, z jakimi musiała się uporać, nie zasługiwały nawet na miano pracy. Na pewno nie można było uznać za takową cotygodniowych podróży do Pleasant Grove, by wysłać mężowi kolejny list. Chess lubiła patrzeć na budzące się do życia lasy, a ponieważ mogła jechać poboczem, unikając błota, sama droga także nie stanowiła problemu. W tym małym miasteczku zaś zawsze spotykała kogoś znajomego. Bardzo ją to cieszyło. Lubiała też odwiedzać Liwy Alderbrook. Prawie codziennie zachodziła teraz do jej domku.

Życie na farmie stało się dla niej przyjemniejsze niż dotychczas. I to pomimo że przy jej boku nie było Nathana.

Marzec tradycyjnie uważano w tych okolicach za pierwszy prawdziwie wiosenny miesiąc. Nie istniało już teraz niebezpieczeństwo nadejścia mrozów, wobec czego Chess i Alva zwinęły perkal i nie rozkładały go już więcej.

Zaczęły za to nosić wiadrami wodę ze strumienia i podlewać obsiane tytoniem pole, nie spadły bowiem żadne deszcze. Wszyscy im w tym pomagali, nawet mężczyźni. Kiełkowanie ziarna stanowiło najbardziej niebezpieczny okres całej uprawy tytoniu.

Kiedy z ziemi wysunęły się pierwsze delikatne, zielone pędy, Chess wyciągnęła od dawna przechowywany cukier i upiekła ciasto.

Następnego dnia spadł deszcz. Wspaniały wiosenny deszcz, łagodny, lecz rześisty. Świat pachniał świeżością.

Chess zaczęła uczyć Susan pisać. Dziewczynka robiła

tak duże postępy, że jej nauczycielka podejrzewała, iż sama od kilku tygodni próbowała ćwiczyć się w tej umiejętności.

— Mam zamiar nauczyć cię czegoś jeszcze — powiedziała jej pewnego dnia. — Jest taka piękna gra z królami, królowymi, ich końmi i gońcami.

— Jak w „Legendzie o królu Arturze”? — zapytała z przejęciem Susan.

Kiedy zobaczyła szachy, poszła najpierw umyć ręce, nim odważyła się ostrożnie dotknąć figurek.

Następnie długo przyglądała się każdej z nich.

— Nigdy w życiu nie widziałam niczego piękniejszego — wyznała. — Czy zostały tak nazwane na twoją cześć?

Chess mocno przytuliła dziewczynkę do siebie. Coraz bardziej lubiła Susan. Nie zdziwiła się wcale, kiedy wystarczyła godzina, by dziecko zapamiętało ruchy poszczególnych figur — przekonała się już, jak inteligentna jest córka Alvy.

Kiedy jednak trzy dni później Susan niemal ją pokonała w grze, Chess była naprawdę zdumiona.

— Ja musiałam ćwiczyć o wiele dłużej, by osiągnąć taki poziom — przyznała.

Postanowiła grać w szachy tak często, jak tylko się da: jej umysł potrzebował gimnastyki.

Zamiast tego jednak przyszło jej gimnastykować ciało. W kwietniu flance tytoniu miały już piętnaście centymetrów wysokości. Nadszedł czas, by przesadzić je na inne pole.

Zaczął się czas najcięższej pracy.

Josh i Micah raz jeszcze zaorali ziemię. Później powtórzyli tę czynność w przeciwnym kierunku, tak by powstały krzyżujące się ze sobą, głębokie bruzdy. W miejscach, gdzie się przecinały, piaszczysta ziemia tworzyła niskie pagórki nazywane „wzgórzami”.

Po drugiej orce kobiety zaczęły nosić wodę ze strumienia. Ustawwszy na skraju pola pełne wiadra, przyniosły

z warsztatu drewniane tace o szczególnym kształcie: w każdym rogu znajdowały się wysokie patyki, na których rozpięto swego rodzaju perkalowy daszek. Wykopywane z ziemi flance musiały być osłonięte przed słońcem.

— Ty zaczniesz, Chess, bo to najłatwiejsze — poleciała Alva, która we własnym przekonaniu zachowała się wobec szwagierki bardzo uprzejmie. — Weź wiadro i porządnie podlej tyle wzgórz, na ile tylko wystarczy ci wody.

Chess stłumiła westchnienie. Od noszenia wody ze strumienia bolały ją plecy.

Na szczęście — pomyślała — wiadro stopniowo będzie robiło się coraz lżejsze.

Rażno zabrała się do pracy. Wody wystarczyło na dwadzieścia „wzgórz”. Rozejrzała się po polu.

Znajdowały się na nim jeszcze setki piaszczystych pagórków.

A na polu obsianym tytoniem rosły jeszcze setki flancy.

Proces sadzenia tytoniu był żmudny i męczący. Rośliny musiały być najpierw obficie podlane, a następnie ostrożnie wykopywano z ziemi każdy krzaczek, uważając, by nie zniszczyć jego kruchych, białych korzeni. Wówczas szybko przekładano flancę na ocienioną perkalem tacę. Kiedy taca była już pełna, zanoszono ją na pole i jedna z kobiet umieszczała kolejne rośliny na brzegu obficie nasiąkniętego wodą „wzgórza”. Do drugiej należało zrobienie za pomocą krótkiego drewnianego patyka dziury pośrodku pagórka i ostrożne włożenie flancy do otworu. Ktoś trzeci zaś lekko ugniatał wtedy ziemię wokół korzeni i wyrównywał pagórek.

Zanim zapadł zmierzch, Chess nauczyła się wykonywać wszystkie te czynności: kobiety zamieniały się ze sobą przy pracy. Nim upłynął tydzień, pracowała już z taką samą wprawą jak Susan. Żadna z nich jednak nie mogła równać się z Alvą, która sadziła rośliny precyzyjnie, szybko i — zdawałoby się — bez wysiłku, jak przystało na kogoś, kto robi te rzeczy od wczesnej młodości. Alva pomagała w uprawie tytoniu już wtedy, kiedy była jeszcze młodsza od Susan.

Mary Richardson wróciła do domu po podlaniu sadzo-

nek. Jej krzyż nie był w stanie znieść dalszego pochylania się. Poza tym ktoś musiał ugotować kolację.

— Chase nie będzie już miała na to więcej czasu — stwierdziła.

Chess mieniło się w oczach od wysiłku i bólu pleców. Kiedy dowiedziała się, że nie wszystkie przesadzone przez nią rośliny się przyjęły, że trzeba usunąć te, które chorowały lub uschły, i zasadzić na ich miejsce nowe, niemal straciła panowanie nad sobą.

— Ale przecież nawet nie skończyliśmy jeszcze sadzić pierwszej partii — narzekała.

— Oczywiście. Zwykle trwa to sześć do siedmiu tygodni — powiedziała Alva. — A jeśli nie spadnie deszcz, trzeba je będzie w dodatku podlewać.

Chess zagryzła wargi tak silnie, że zaczęły krwawić. Pochyliła się i z zaciętą miną poczęła wyrywać uschnięte rośliny. Jakoś to wszystko przetrzyma. Musi — obiecała przecież Nathanowi.

„Przesadzanie tytoniu przebiega bardzo sprawnie — napisała mu. — Bardzo miło jest tak dużo przebywać wiosną na powietrzu”. Musiała uważać, by łzy nie skapywały jej na papier. Flance były zbyt delikatne, aby sadzić je w rękawiczkach, i brud mocno wgryzł się w poczerwieniałą skórę rąk. Nie liczyła już na to, że uda się je domyć. W dodatku tytoniowe listki zostawiały na palcach lepkie plamy.

Zastanawiała się, czy listy męża zawierają tyle samo kłamstw co jej. Kamienne fundamenty zostały ukończone, jak pisał, ściany zaś rosły w górę tak szybko, że tartak w Durham nie mógł nastarczyć desek na ich budowę.

Kłamliwe czy nie, cotygodniowe listy były najprzyjemniejszym wydarzeniem w jej obecnym życiu. Dodawały sił i czyniły ciężką harówkę nieco znośniejszą. Na szczęście zaprzyjaźniła się z panią Henderson, która zawiadywała pocztą, dzięki czemu mogła odbierać i wysyłać listy w niedziele, kiedy to „panna Mary” zakazywała jakiegokolwiek pracy na farmie.

— Boże, pobłogosław ten tytoń — westchnęła Alva.

— Amen — dodała Chess. Zdjęła z głowy zakurzony słomkowy kapelusz i pozwoliła, by krople deszczu spływały po jej spoconej twarzy. Dzięki Bogu, nie trzeba było tego dnia nosić wody ze strumienia. Pochyliła się, by uklepać ziemię wokół ostatniej flancy. Plecy nie dokuczały jej już tak bardzo — po prostu przywykła do ciągłego bólu i już niemal nie pamiętała, że kiedyś go nie odczuwała.

— To ostatnia roślina — westchnęła Alva. — Susan, przynieś nam pod drzewo trochę zimnej wody. Deszcz przybierał na sile i istniała groźba, że wypłucze z ziemi sadzonki. Chess wiedziała, że wówczas natychmiast trzeba będzie posadzić nowe flance. Z pełną rezygnacją godziła się na to, tak samo jak nie buntowała się przeciwko wszystkim innym obowiązkom związanym z uprawą „chwaśców”.

Szerokie gałęzie rosłej sosny doskonale chroniły przed deszczem, a w upalne dni zapewniały miłą, chłodną cień. Chess łapczywie piła wodę. Kiedy pracowało się na nie osłoniętym niczym polu, kwiecień sprawiał wrażenie pory równie gorącej co letnie miesiące.

Rozejrzała się wokół, doznając pomimo zmęczenia uczucia głębokiej satysfakcji. Przed nią ciągnęły się rzędy zielonych flancy.

— Czy mogę iść do domu i poczytać, zanim deszcz przestanie padać, mamó? — zapytała Susan.

Alva przyzwalająco skinęła głową.

Uczenie Susan sprawiało Chess dużą satysfakcję.

— To dobra dziewczyna — powiedziała do Alvy.

— Popatrz, jak szybko biegnie — westchnęła szwagier-ka. — To niesprawiedliwe, że młodzi nigdy nie czują zmęczenia. Moje nogi są ciężkie jak drewniane kłody.

Zdjęła buty i podciągnawszy spódnicę powyżej kolan, polała wodą opuchnięte kostki.

— Dobry pomysł — pokiwała głową Chess i uczyniła to samo. — Cóż za wspaniałe uczucie!

Lekki wiaterek przyjemnie chłodził jej spocone skronie. Cieszyła się, że skończyły pracę.

Miło było odpoczywać teraz w towarzystwie Alvy. Obie kobiety zbliżyły się do siebie i czasem rozmawiały przy sadzeniu tytoniu. Alva opowiedziała szwagierce o tym, jak Nate i jego siostra, jeszcze jako dzieci, wykonywali tę samą pracę. Nigdy natomiast nie wspomniała o Gideonie.

— Ach, on! — skrzywiła się pogardliwie, kiedy Chess zapytała o niego. — Mary zabrała go z pola natychmiast, gdy doznał objawienia. Spędzał całe dni na studiowaniu Biblii. Maminsynek. Już ja bym dała takiemu oszustowi, gdybym dostała go na wychowanie!

Chess traktowała Alwę jak przyjaciółkę. Pomimo że nigdy nie zwierzały się sobie ze swych sekretów, łączyła je wspólna, wielogodzinna praca w polu i niechęć do Mary Richardson. Chess ze wszystkich sił próbowała polubić matkę Nathana ze względu na tragedię, jaką tamta przeżyła, ale w żaden sposób nie udało się jej poczuć do starej kobiety sympatii.

Rzęsisty deszcz przypominał zasłonę rozwieszoną wokół parasola, jaki tworzyła korona starego drzewa. Obie kobiety czuły się tak, jakby znalazły się z dala od farmy, od pracy, od świata... To dodało Alvie odwagi.

— Potrafisz dochować sekretu, Chess? — zapytała. Dziewczyna zaśmiała się w duchu: miała wprawę w strzeżeniu tajemnic.

— Oczywiście — odparła.

Alva wyznała jej, że zamierza posłać Susan do szkoły w Pleasant Grove. Sally również, kiedy będzie już dostatecznie duża. Nie dba o to, co powie Josh — tym razem, pierwszy raz w życiu, gotowa jest sprzeciwić się jego woli. Jej dziewczynki otrzymają wykształcenie. Susan tak bardzo się zmieniła, odkąd zaczęła czytać książki. Wprost promienieje szczęściem. A to napełniało matczyne serce Alvy ogromną radością.

Chess nie wiedziała, co powiedzieć. Szwagierka spoglądała

na nią oczyma wypełnionymi łzami. Dopiero kiedy odwróciła wzrok i utkwiała go w padającym deszczu, Chess poczuła się nieco swobodniej.

— Uważam, że masz rację — wyjąkała, żywiąc nadzieję, że Alva oczekiwała właśnie takich słów. — To dziwne, że to właśnie ty wniosłaś w moje życie tyle szczęścia — powiedziała Alva. — Wcale nie cieszyłam się, kiedy przyjechałaś do nas zeszłego lata. Sądziłam, że pozbawi mnie to jedynej radości mojego życia, jaką był Nate. Miał zaledwie dziewięć lat, kiedy zamieszkałam na farmie i był doprawdy słodkim chłopcem. Nawet, kiedy psocił, nigdy nie bywał w swoich figlach złośliwy. I potrafił być naprawdę zabawny... Czasem śmiałam się przez niego tak, że aż bolał mnie brzuch. Byliśmy parą rozbawionych dzieciaków, choć ja miałam całe sześć lat więcej niż on. Jego siostra, Mary, zachowywała się o wiele doroślej ode mnie, pomimo że i od niej byłam starsza o cztery lata. Kiedy Josh znajdował się w pobliżu, siedziałam, oczywiście, jak mysz pod miotłą. W końcu to mój mąż, a ja znałam swoje obowiązki. W jego obecności nigdy nie wolno było żartować ani się śmiać. Bez trudu zauważyłam, kiedy Nate zaczął mieć zwykłe, chłopięce kłopoty. Obecnie podobne przeżywa Micah... Jego głos jest na przemian to piskliwy, to znów gruby, a siusiak co rusz staje mu bez powodu. Nate nie miał w jego wieku pojęcia, co się z nim dzieje, i kiedy zaznajomiłam go z pewnymi sprawami, pokazałam, co może łączyć mężczyznę i kobietę, wydawał się taki szczęśliwy, jak gdyby wbił łopatę w ziemię i odkrył kopalnię złota. Kiedy zaś nauczyłam go, jak dawać kochance rozkosz i jak samemu czerpać przyjemność z miłości, czułam się tak, jakbym sama natrafiła na złotą żyłę. Czasem udawało nam się na dwie czy trzy godziny zniknąć razem w lesie i wówczas kochaliśmy się bez przerwy, kończąc i znów zaczynając od nowa. Był równie słodkim mężczyzną, co niegdyś chłopcem. Zawsze nazywał mnie „kochaniem”. Naturalnie, poznał także inne kobiety, ale nigdy

nie zapominał o mnie. Zawsze traktowałam związek z nim jak swój miodowy miesiąc. Przez wszystkie te lata tęsknie wypatrywałam jego powrotu do domu. Kiedy pewnego dnia przyjechał z żoną, wiedziałam, że tamten czas należy już do przeszłości. Pozostał mi tylko Josh, który robi to tak jak każdy mąż: gimnastykuje się na mnie, kiedy przyjdzie mu ochota, a potem zasypia, chrapiąc u mojego boku. Jak powiedziałam, zabrałaś mi Nate'a, ale to, co ofiarowałaś Susan, znaczy dla mnie o wiele więcej. Matka zawsze bardziej troszczy się o dziecko niż o samą siebie. Inaczej nie zasługuje na to, by nazywać ją matką... Co ci się stało?

Chess poczuła, że targają nią mdłości. Ponieważ jednak jej żołądek był zupełnie pusty, mogła tylko dławić się własną śliną.

— Masz, napij się trochę wody — zatroszczyła się Alva.

Gwałtownym ruchem Chess wytrąciła szwagierce wyciągnięty ku niej dzbanek i zerwawszy się z ziemi, pobiegła w stronę lasu. Chciała znaleźć się jak najdalej stąd. Gdziekolwiek. Byle daleko. Zmęczone nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Upadła. Miękkie poszycie z sosnowych igieł sprawiło, że nawet tego nie poczuła. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Pomyślała, że musiała biec bardzo długo. Nie miała już sił, by zrobić choć jeden krok więcej. Ale emocje, jakich doznała, słuchając słów kuzynki, nadal gorzały w niej wielkim płomieniem. Wyciągnęła ramiona i krzyczała, póki zupełnie nie ochrypła.

Doświadczyła oto najsilniejszego uczucia, jakie rządziło ludzkim rodem. Dobrze znała zawiść, gniew, aż za często ulegała rozpaczom... Nieraz czuła się szczęśliwa, dumna, zawstydzona. Zasmakowała także miłości, zaskoczona jej siłą. Ale nic nie dawało się porównać z obeszładniającą mocą zazdrości. Mimo iż była fizycznie wycieńczona, zazdrość napęliła żarem całe jej ciało i dała złudzenie siły. Miała wrażenie, że jest olbrzymem, i marzyła o tym, by zmiażdżyć Alwę

w swoich dłoniach, zgnieść jej twarz, wepchnąć ziemię do jej ust, gardła i oczu. Pragnęła na zawsze odebrać jej głos i całą wiedzę o mężczyznach, jaką posiadała. Musiała uciec, bo mogłaby nawet zabić Alvę za to, że Nathan ją kochał. „Dawał jej rozkosz”.

A przy mnie zachowuje się jak mąż — pomyślała z goryczą. Tak jak Josh postępuje wobec Alvy. Ale przecież już tego nie robi. Nie sprawia jej owej „rozkoszy”. Chess z rozpaczą uczepiła się tej myśli. Odkąd się pobrali, Nate nie zadaje się już z Alvą. Nie ma z nią nic wspólnego. Jest wierny małżeńskiej przysiędze.

— Chcę tego samego, co dawał jej! — zawołała głośno ku przesłoniętemu chmurami niebu.

Ale nigdy tego nie dostanę — pomyślała. — Muszę zadowolić się tym, co mam. To i tak więcej, niż kiedykolwiek oczekiwałam.

Powoli, niezdarnie podniosła się z ziemi. Od czubka głowy aż po końce palców nóg jej ciało przenikał dojmujący ból.

Ze zdumieniem spostrzegła, że jest boso. Musi wyglądać jak wariatka. Nie powinna w ten sposób okazywać swoich uczuć. Cokolwiek się dzieje, nie wolno jej dać po sobie poznać zazdrości. Nikt nie może podejrzewać, że jej małżeństwu daleko do doskonałości. Za żadne skarby nie dopuści, by ktoś się nad nią litował. Nie zniosłaby tego.

Pochodziła ze Standishów, a oni zawsze nosili głowy wysoko. Nie narzekali i nigdy nie użalali się nad sobą.

Wyjęła z włosów sosnowe igły, po czym oczyściła sukienkę. Zastanawiała się, co powie Alvie, gdy wróci. Musi udawać, że uciekła do lasu, gdyż wstydziła się wymiotować przy szwagierce. A jeśli Alva zorientowała się, że to jej zwierzenia wywołały u Chess taką reakcję?

Powiem, że wszystkiemu winne jest tłuste śniadanie panny Mary — postanowiła. — Alva nie wie przecież, że rano nie tknęłam ani kęsa. Przekonam ją, że kiedy mdłości usta-

piły, poszłam do Liwy po jakieś lecznicze zioła. Wszyscy wiedzą, że godzinami przesiaduję w jej domku. Nawet jeśli nie było mnie bardzo długo, nikomu nie wyda się to dziwne. Wszystko będę w porządku.

Bądź co bądź nauczono ją w dzieciństwie, jak ukrywać swoje uczucia. Z pewnością zdoła więc i tym razem zachowywać się tak, by nikt nie odkrył trawiącej ją zazdrości.

— Dobry Boże, dziecko, wyglądasz jak utopiony szczur. Wejdz i wysusz się. — Liwy Alderbrook ściągnęła narzutę ze swego łóżka i narzuciła ją na plecy Chess. — Nie jest aż tak ciepło, by można było bezkarnie zmoknąć do tego stopnia, nie łapiąc przy tym przeziębienia. Ugotuję ci nieco kawy. Za minutę będzie gotowa.

Obecność Liwy działała na Chess kojąco. Przynajmniej ta kobieta była jej prawdziwą przyjaciółką — nie to co Alva... Nie! Nie wolno jej tak myśleć! Musi się uspokoić, zanim wróci na farmę.

— Wypij to. Musisz być wycieńczona. Dobrze wiem, jak wyczerpujące jest sadzenie tytoniu. A więc już skończyłyście? Od miesięcy nie miałam od ciebie żadnych wieści i bardzo stęskniłam się za twoim towarzystwem. Wybrałabym się nawet do was z wizytą, wiedziałam jednak, że póki nie zasadzicie wszystkich flancy, nie macie czasu na towarzyskie spotkania.

Serdeczny ton głosu starej kobiety rozgrzał Chess bardziej niż mocno słodzona kawa.

— Ja także się za tobą stęskniłam — zapewniła gorąco, po czym roześmiała się. Miała nadzieję, że zabrzmiało to naturalnie. — Tym razem przyszłam jednak szukać także lekarskiej porady, a nie tylko dla przyjemności zobaczenia cię. Mam wrażenie, że zamięłowanie panny Mary do tłustych potraw jeszcze się nasiliło. To, co zjadłam dziś rano, przyprawiło mnie o silne mdłości.

Liwy dotknęła pomarszczoną dłonią jej czoła.

— Nie masz gorączki — stwierdziła. — To znaczy, że niczym się nie zatrzymałeś. Połóż się przy piecyku, tu gdzie ciepło, i pozwól mi dotknąć swojego brzucha.

Chess posłusznie poddała się badaniu.

— Nie krzyczysz, kiedy naciskam, zatem nie masz zapalenia wyrostka — oświadczyła z zadowoleniem Liwy.

— To prawdziwe błogosławieństwo, ponieważ nigdy nie przeprowadzam operacji. Kiedy miałaś ostatnie comiesięczne krwawienie?

Chess popatrzyła na nią zażenowana. Nikt nigdy dotąd nie rozmawiał z nią na temat menstruacji, nie wiedziała więc nawet, że powinna ona występować co miesiąc. Jej cykl nigdy nie był regularny.

— Nie pamiętam — odrzekła.

— Ano właśnie! — uśmiechnęła się stara kobieta.

— Nie możesz winić Mary Richardson za dzisiejsze wymioty. Moim zdaniem po prostu spodziewasz się dziecka. Powinno przyjść na świat koło Halloween. — Mrugnęła znacząco do swej młodej przyjaciółki. — Musisz sprawić, by Nate ruszył w swą podróż uśmiechnięty od ucha do ucha.

Chess przesunęła dłoń po płaskim brzuchu. Niczego nie czuła.

— Jesteś pewna, Liwy? — zapytała. Nowina wydała jej się zbyt dobra, aby mogła być prawdziwa.

— A jakże. Jestem akuszerką dłużej, niż ty żyjesz na tym świecie. Jeśli istnieje jakaś rzecz, o której wiedziałabym wszystko, to są nią dzieci.

Chess patrzyła na nią oszołomiona. Liwy udzieliła jej licznych rad, jak powinna postępować w ciąży. Musi zacząć dobrze się odżywiać — jest o wiele za szczupła. Powinna też pić mleko, dużo mleka.

Przynajmniej dzbanek dziennie. I do każdego posiłku dodawać ubite jajko.

— Zaczynaj stale nosić buty — poleciła Liwy. — Nie chcesz chyba, by dziecko urodziło się zarażone grzybicą?

Chess zarzuciła ramiona na szyję przyjaciółki i wybuchnęła płaczem.

— Jestem taka szczęśliwa — szlochała, wtulając twarz w kościstą pierś Liwy. — Taka szczęśliwa. Nie mów o tym nikomu — poprosiła starą kobietę. — Chcę, żeby Nathan dowiedział się pierwszy.
— Wkrótce będzie to już po tobie widać.
— Ale nie w ciągu najbliższych dni, prawda? Niech jeszcze przez jakiś czas będzie to nasz sekret. Bardzo lubię sekrety.

Rozdział 16

Kiedy równy oddech dał jej znać, że teściowa usnęła, Chess po cichu przekradła się do kredensu, gdzie trzymano mleko oraz jajka, i przygotowała sobie napój, który nazwała „niemowlęcym piwem”.

Wzięła go ze sobą i wyszła na dwór, by usiąść na ławce przy drzwiach. Noc była pogodna. Na niebie lśniły gwiazdy. Otulona starym wełnianym szalem, z rozkoszą wdychała chłodne nocne powietrze.

Następnego dnia była niedziela. Chess napisała list do Nathana, nie wspomniała mu jednak o dziecku — Liwy mogła się wszak mylić, tym bardziej że młoda kobieta nie czuła się ani trochę inaczej niż zwykle, a na jej brzuchu także nie było widać żadnej wypukłości. Nie do końca jeszcze wierzyła, że naprawdę jest w ciąży.

Wypiła przygotowany napój. Zabrało to sporo czasu, ponieważ płyn rósł jej w ustach i miała trudności z przelknięciem. Postanowiła, że następnym razem doda nieco cukru. Miała zamiar pić ten napój regularnie — w ogóle zamierzała robić wszystko, co poleciła jej Liwy. Niewykluczone bowiem, że stara akuszerka się nie myliła.

Dziękuję ci — szepnęła Chess, wpatrując się w tajemnicze piękno odległego nieba nad jej głową.

Zastanawiała się, co robi teraz Nathan. Może także patrzy w to samo niebo? Nie, nie, cóż za romantyczne głupstwa! Nie wolno jej tracić tej wyjątkowej chwili na takie nonsensy. Wystarczy, że może siedzieć tutaj — być może

z rosnącym w jej łonie dzieckiem — i kochać go całym sercem.

Nazajutrz dostanie od niego list z wiadomością, jak postępują prace przy młynie. Nawet jeśli przez ostatni tydzień przybito tylko jedną deskę więcej, i tak będzie to dobra nowina. Każdy dzień przybliżał chwilę, kiedy nareszcie znowu zamieszkają razem.

Jej list także zawierał dobre wiadomości — cały tytoń został przeflancowany.

Skończył się tym samym czas, kiedy Chess pracowała w polu ramię w ramię z Alvą.

— Weźmiemy wóz, Chase — oznajmiła teściowa z zaróżowionymi z emocji policzkami. — Kiedy poszłaś paplać trzy po trzy ze starą Liwy Alderbrook, przyjechał człowiek, który przywiózł nam nowinę, że do Pleasant Grove przybył wędrowny kaznodzieja. Będzie tam dzisiaj odprawiał nabożeństwo.

Chess poczuła, że i jej udzieliło się podniecenie teściowej. Wyjazd do Pleasant Grove oznaczał nie tylko szybszą podróż na pocztę i z powrotem: mieli spędzić tam cały dzień.

Z pewnością przyjedzie mnóstwo ludzi. Będzie muzyka, śpiewy, modlitwy...

Chess ubrała się w swoją najlepszą sukienkę i ozdobiła szyję sznurem pereł.

Mleko z jajkami okazało się znacznie łatwiejsze do przełknięcia, kiedy dodała doń trzy łyżki cukru.

Teściowej powiedziała, że jest to lekarstwo przepisane jej przez Liwy.

— Ona twierdzi, że jestem za chuda.

— Hojnie sobie poczyna z cudzymi krowami i kurami — prychnęła Mary Richardson, ale w jej słowach nie było złośliwości. Po chwili nucila już pod nosem swój ulubiony hymn.

Wracając tego wieczoru do domu, cała rodzina śpiewała hymny. Chess czyniła to równie głośno jak pozostali.

Musiała przyznać, że metodyści mieli o wiele bardziej melodyjne pieśni niż członkowie Kościoła episkopalnego. Zaskoczona stwierdziła, że nabożeństwo prawie nie różniło się od tych, do jakich przywykła. Większa część modlitw pochodziła z modlitewnika, którego używano także w małym, starym kościółku w sąsiedztwie Harefields. Uznała, że wobec tego nie będzie się sprzeciwiać, by jej dziecko zostało ochrzczone u metodystów.

O ile będzie miała dziecko. Gorąco modliła się o to, by Liwy miała rację.

Micah doskonale akompaniował rodzinie na organkach.

Naprzód, chrześcijańscy żołnierze... Powstańcie w imię Jezusa... Hej, rycerze Krzyża... Opoki wieków, bądźcie mi wierni... Dostąpcie łaski! Jak słodko to brzmi... Trwajcie u mojego boku...

Czczycie króla w jego chwale

I z wdzięcznością śpiewajcie o jego wspaniałej miłości; On jest naszym schronieniem i obrońcą, początkiem czasu,

okryty chwałą i nagradzający nas.

„Budowa młyna została zakończona” — pisał w liście Nathan. On i Jim zabierali się teraz do budowy młyńskiego koła.

Chess uniosła gruby liść i odwróciła go. Dzięki Bogu wszystko było w porządku: żadnych robaków. Nienawidziła ich. Były dłuższe niż jej serdeczny palec, grubsze niż kciuk i miały pierścieniowate ciała. Czasem, jeśli znalazło się takiego, który się ruszał, wydawały się grubsze pośrodku. Większość z nich jednak tkwiła nieruchomo pod liśćmi i zżerała je. Ich jasnozielona barwa miała ten sam odcień co spód roślin. Poruszały się na obrzydliwych, małych odnóżach, czterech przy każdym pierścieniu ciała. Żeby je oderwać, trzeba było — trzymając liść nieruchomo —

silnie pociągnąć tułów robaka, albowiem przywierające mocno haczyki, którymi były zakończone nóżki, dodatkowo wspomagał jeszcze lepki sok rośliny. Największy wstręt ogarniał człowieka*Wtedy, kiedy zdjęty z liścia owad owijał mu się wokół palca i przywierał jak do tytoniowego liścia. Wyraźnie widziało się wtedy szukające zdobyczy czułki.

Tytoniowe szkodniki były potworami rodem z zielonego piekła. Kiedy Chess zobaczyła je po raz pierwszy, krzyknęła ze strachu.

Ściągnięte z liści robaki zrzucało się na ziemię i rozdeptywało. Chess zabijała je ze szczególną zaciętością, zdjęta wstrętem i nienawiścią. Czasem przygniatała je stopą kilka razy, nawet kiedy usłyszała już cmokający odgłos pękającego ciała.

Susan także je rozdeptywała. Pozostali chwyтали robaki w palce i kciukiem rozgniatali im brzuchy. Był to szybszy sposób, Chess wiedziała jednak, że gdyby przyszło jej dotknąć liszki gołą ręką, wpadłaby w histerię. Jej rękawiczki były już czarne od brudu, wciąż jednak stanowiły ochronę dla skóry.

Uniosła kolejny liść. Tu już siedział jeden robak. Uczucie dławiącego wstrętu zatamowało jej oddech w piersi. Ściągnęła szkodnika z rośliny.

Kilka kroków przed nią Susan czyniła to samo. Sprawdzały wszystkie liście na każdej roślinie. W rzędzie obok to samo robił Micah. Szło mu to szybciej i wyprzedzał je o dobrych kilka metrów.

Josh i Alva posuwali się przed nimi, motykami usuwając chwasty spomiędzy krzaków.

Codziennie, sześć razy w tygodniu, od rana do wieczora cała piątka pracowała na polu. Niekiedy także Chess dostawała motykę. Woląta to, ale podobnie było z pozostałymi, dlatego też każdy na zmianę peł lub zabijał robaki.

Praca nigdy się nie kończyła. Zanim doszli do ostatniego rzędu, chwasty i szkodniki na nowo pojawiały się w miejscu, gdzie wiele dni wcześniej zaczynali pracę. Miało to trwać aż do sierpniowych żniw.

A był dopiero koniec maja!

Ale... Teraz miała już pewność, że jest w ciąży. Jej brzuch nie stał się jeszcze co prawda wypukły, lecz piersi wyraźnie się zaokrągliły, co szalenie ją cieszyło. Przez całe życie miała płaski biust i bardzo martwiła się swą mało kobiecą sylwetką. Przybyło jej także parę centymetrów w talii i w biodrach. Mógł to być rezultat codziennego picia mleka z jajkami, wołała jednak wierzyć, że to skutek ciąży. Leżąc w nocy w łóżku, w skupieniu dotykała brzucha. Liwy twierdziła, że wkrótce powinna poczuć pierwsze ruchy. Natychmiast jednak zasypiała, choćby nie wiem jak starała się czuć, czekając na kopnięcie dziecka. Postanowiła, że gdy tylko poczuje je po raz pierwszy, natychmiast napisze Nathanowi, że jest w ciąży.

Gdyby jeszcze Bóg nie stworzył tych obrzydliwych, żerujących na tytoniu robaków, z pewnością byłaby najszcześniejszą kobietą pod słońcem.

Na początku czerwca Chess obudziła się w środku nocy, czując pod dłonią lekki, trzepoczący ruch. Nareszcie! — pomyślała z triumfem. Uśmiechnęła się w ciemności.

— Witaj, moje maleństwo — powiedziała. Gwałtowne ruchy płodu trwały ponad pół godziny.

Chess nie zdawała sobie sprawy, co to może oznaczać. Nie rozpoznała objawów poronienia.

Uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku dopiero wtedy, gdy jej wnętrzości przeszył gwałtowny ból. Krzyknęła.

Mary Richardson starała się po tym wydarzeniu być miłą dla synowej.

— Wiem, co to znaczy stracić dziecko — powiedziała. — Śpij, Chess. Jeśli zaśniesz, zapomnisz o tym choć na chwilę.

Był to jedyny okres, kiedy teściowa okazała jej odrobinę

serca i przynajmniej na pewien czas zrezygnowała z przekręcania jej imienia. Gdyby dziewczyna nie była tak pogrążona w żalu, zapewne zauważyłaby to i doceniła. Nie dotarło to jednak do niej. Rozpacz odgradziła ją murem od reszty świata.

Rozdział 17

Martwy płód został pochowany następnego dnia. Mary Richardson podtrzymywała synową z jednej strony, Liwy Alderbrook stała u jej drugiego boku. Josh odczytał słowa pogrzebowego nabożeństwa. Chess nie była w stanie patrzeć na grób. Spuściła oczy i utkwiała wzrok w swych zakurzonych butach. Przez mózg przelatywały jej oderwane od siebie myśli: Muszę pamiętać, by kupić nowe sznurowadła... Jakże słodko pachnie kwitnący groszek! Zerwę go trochę i postawię w domu, w dzbanku z wodą... Dziadek uważa zapewne, że całkiem zapomniałam już o zasadach dobrego wychowania — tak długo nie napisałam do niego żadnego listu... Zobaczcie, jak ten motyl trzepocze skrzydłami... Ależ upał! Jest tak gorąco, że oddałabym duszę za miseczkę lodów, takich samych jak te, które podano w dniu moich urodzin, gdy byłam mała... To niewybaczalne, że nie wyczyściłam tych butów. Muszę wziąć nieco pasty do czyszczenia końskiej uprzęży... I może jedno z tych ziół, jakie Liwy dodaje do wody, do płukania włosów... Mają taki świeży zapach. Czemu oni bez przerwy śpiewają? Zupełnie nie znam tej pieśni...

O Boże, dopomóż nam w naszej niedoli

Od lat z nadzieją czekamy na twoje przybycie...

Liwy ścisnęła ramię Chess. Dziewczyna uniosła głowę.

— Czy chcesz nadać jakieś imię swojemu synowi? Josh wypisze je na nagrobnej tabliczce.

— Co? Imię? Tak. Chcę, by nazywał się jak mój ojciec — Francis Standish. Nie, niech będzie Frank. Wszyscy nazywali go Frankiem. Frank Standish. On także nie żyje.

Liwy zerknęła na Mary Richardson. Obie myślały o tym samym: to nie było normalne. Chess nie uroniła ani jednej łzy.

— Nikt z nas nie wiedział, że ona jest w ciąży — tłumaczyła się później Mary, rozmawiając z Liwy.

— Powinna była nam powiedzieć. Z pewnością nie pozwolilibyśmy pracować jej w polu w najgorętszej porze dnia.

— Nie zawiadomiła również Nate'a. Mam zamiar napisać do niego list. Powinien w takiej chwili być u boku żony. W ramionach męża na pewno zdołałaby zapłakać i ukoić swój ból.

— To nie jest zwyczajne małżeństwo, Liwy. To raczej rodzaj umowy handlowej.

— A jednak spłodził jej dziecko, prawda? To znaczy, że są całkiem zwyczajną parą.

Choć nikt nie wymagał, by Chess tak szybko wróciła do pracy na polu, ona sama gorąco na to nalegała.

— Muszę się czymś zająć! — krzyczała. — Nie rozumiecie?

Wyrywała właśnie chwasty, kiedy przez bramę wjechał zaprzężony w muła wóz. Nie podniosła nawet wzroku, by popatrzeć, kto przyjechał. Nie interesowało jej to. W ogóle nic nie czuła. „Nic” było znacznie lepsze od cierpienia.

— Chess! — zawołał Nate, biegnąc ku niej. — Chess! Chess!

Porwał ją w ramiona i unióś w górę.

— Och, Chess, nie powinnaś przebywać na słońcu. Po jego twarzy spływały łzy. Zaniósł ją do domu, nie

odpowiadając nawet na powitania rodziny.

— Idź odwiedzić Liwy — polecił matce, kiedy ją zobaczył. — I weź ze sobą Sally.
Posadził Chess na krzesło i ukląkłszy obok, objął dłońmi jej twarz i głęboko zajrzał w oczy.
— Powinniśmy dzielić ze sobą to cierpienie — powiedział cicho. — To był także mój syn. Pozwól mi opłakiwać go razem z tobą i ty także smuć się razem ze mną.
Jego oczy znowu wypełniły się łzami. Był prawdziwym mężczyzną i nie musiał się wstydzić płaczu.
— Nathanie — szepnęła Chess, drżąc na całym ciele, i zaczęła płakać.
Mąż objął ją i mocno przytulił do siebie.
— Na co tak patrzysz, dziewczyno? — spytała Mary po powrocie.
Powiedziała, że Livvy wybierze się do nich nieco później, by zobaczyć się z Nathanem i zjeść z nimi kolację, wobec czego matka Nate'a zabrała się natychmiast do łuskania grochu i obierania ziemniaków. Co jakiś czas zerknęła na Chess, która stała jak posąg w otwartych drzwiach, nie zwracając uwagi na ciągnącą ją za spódnicę Sally.
— Zastanawiam się, co wszyscy robią tam na polu — odparła.
Widziała, jak Nathan, żywo gestykulując, rozmawia z Joshem, Micahem i Alvą. W pobliżu Susan pracowicie peła chwasty.
Alva wybuchnęła śmiechem, prawdopodobnie rozbawiona czymś, co powiedział Nate, a serce Chess ścisnęło się z zazdrości. Żona Josha wyglądała o wiele młodziej, kiedy się śmiała. Była też wtedy niemal piękna. Zsunęła z głowy chroniący ją przed słońcem kapelusz, pozwalając, by swobodnie zawisł jej na plecach.
— Przestań szarpać moją spódnicę, Sally. Zostaw mnie w spokoju! — zawołała Chess tak gniewnie, że dziecko wybuchnęło płaczem. — Nie mogę cały czas siedzieć w domu

— oświadczyła. — Wychodzę. — Musiała dowiedzieć się, co się dzieje.

Widząc zbliżającą się żonę, Nate wyszedł jej naprzeciw.

— Powinnaś była zostać pod dachem — powiedział. Chess ogarnęła rozpacz. A więc wolał przebywać z Alwą

niż z nią. Zacisnęła dłonie, siłą powstrzymując się od chwycenia go w ramiona.

— Nie jest już gorąco — zaprotestowała, zła, że jej głos zabrzmiał tak żałośnie.

— Nie życzę sobie, byś jeszcze kiedykolwiek pracowała w polu — stwierdził gniewnie Nate. — Nienawidzę tytoniu i ty również powinnaś czuć to samo.

— I to właśnie dlatego stoisz tu, pośrodku tego pola? — zadrwiła i natychmiast pożałowała swych słów. Czemu nie potrafiła zapanować nad sobą? Po co wszczyna kłótnię? Czuła się bezradną ofiarą swoich emocji. — Daj spokój, Chess. Bądź rozsądna. Wracaj do domu. Josh i ja mamy małą sprzeczkę na temat wierzchołkowania.

— Co to jest wierzchołkowanie? — zapytała Chess, nie usatysfakcjonowana słowami męża. Bardzo chciała wiedzieć, z czego śmiała się Alva, bała się jednak zapytać o to wprost. Mogła jedynie zatrzymać go przy sobie, by rozmawiał z nią, a nie z dawną kochanką — nawet gdyby to miało go rozzłościć.

— Boże Wszchemogący, kobieto — westchnął z irytacją Nate.

Wyciągnął rękę i zerwał czubek tytoniowej łodygi. Rozległ się suchy trzask przypominający odległy odgłos strzału z karabinu.

— To jest wierzchołek krzewu. Jest gotów do kwitnięcia. A my nie możemy do tego dopuścić, bo wówczas cała energia poszłaby w kwiat i liście przestałyby się rozrastać. To właśnie nazywamy wierzchołkowaniem. Uznałem, że powinniśmy zacząć je już za tydzień, Josh zaś uważa, że należy zaczekać co najmniej dwa.

— Ale przed chwilą się śmialiście. Z czego?

— Skąd mam wiedzieć? I co to ma za znaczenie? Chess wzięła z rąk męża lepki pąk. Czując na palcach

kleisty tytoniowy sok, pomyślała, że musi się opanować. Nie wolno jej robić z siebie idiotki.

— Przepraszam — powiedziała. — Po prostu byłam ciekawa. Pójdę pomóc twojej matce. Liwy Alderbrook przychodzi do nas na kolację.

Wracając do domu, Chess uważała, by się nie potknąć. Czuła dziwną miękkość w kolanach.

Nigdy, przenigdy więcej nie wolno mi się tak zachować — upominała samą siebie. Rozgniewała go, zanim jeszcze zdążyła mu podziękować, że przyjechał. Tylko to się liczyło: przybył tutaj, żeby ją pocieszyć. Do diabła z nim! Nie musiał przecież zostawiać jej samej, kiedy tylko jego matka wróciła do domu — nawet jeśli już dużo wcześniej ukoił jej płacz.

— Miło cię tu widzieć, Liwy — powiedział z uśmiechem Nate, trzymając swój kubek w górze, jak gdyby wznosił toast na cześć gościa.

Naczynie było wypełnione do połowy domowym piwem, które stara kobieta przyniosła ze sobą.

Druga połowa rozlewała się już przyjemnym ciepłem po jego żołądku. Matka zmarszczyła brwi. Nie pochwałała picia alkoholu.

Liwy także wzniosła toast.

— Za młyn Richardsona! — powiedziała. — Jak sądzisz, kiedy jego koło zacznie się obracać?

Nate zamyślił się na chwilę.

— Wkrótce — odparł, po czym odwrócił się ku Chess. — Czy zdążysz się spakować w ciągu jutrzejszego dnia? Wezmę konia i przejadę się po okolicy, żeby pożegnać znajomych. Pojutrze moglibyśmy ruszyć w drogę.

Cała zgromadzona przy stole rodzina umilkła ze zdziwienia. Chess z trudem powstrzymała się od spojrzenia na Alwę.

— Będę gotowa — obiecała.

Nathan rozpiął nad platformą wozu płócienny dach. Żałował, że pozwolił Chess pracować na farmie. Powiniennem pamiętać, że była damą — wyrzucał sobie w duchu. Należało ją chronić.

Chess nie posiadała się z radości, że nareszcie wyrusza w drogę do ich nowego domu, rozpoczynając podróż ku przyszłości. Chciała pozostawić za sobą dawne uczucie osamotnienia, wspomnienie ciężkiej pracy i plamiącego wszystko lepkiego, tytoniowego soku.

Najbardziej pragnęła jednak opuścić na zawsze ów kątek pokoju, gdzie ustawiono jej łóżko na czas choroby, i pozbyć się uczucia przepełnienia, jakie nawiedzało ją chwilami, kiedy zapominała, że w jej łonie nie ma już cennego życia ich maleństwa.

To dziecko wydawało jej się tak realne, jak gdyby donosiła je do końca ciąży, wydała na świat i mogła kołysać w ramionach. Cierpiała tak bardzo jak nigdy dotąd, obawiając się chwilami, że nie zdoła choćby pięć minut dłużej udawać, iż pogodziła się już ze swoją stratą.

Frank. Teraz żałowała, że nadała temu chłopcu imię swego ojca, ponieważ to pogłębiało jedynie rozpacz po jego śmierci i uczucie pustki.

Nigdy nie skrzywdziłaby tego maleństwa. Dwa razy dziennie piła przepisany jej przez Liwy napój i teraz byłaby już dostatecznie zdrowa i silna, by powić donoszone, zdolne do życia dziecko.

W przyszłości na pewno tak się stanie, musi tylko odważnie ruszyć na spotkanie swego przeznaczenia. Jednak wpajane od dzieciństwa poczucie odpowiedzialności nie dawało jej spokoju. Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej nie dopełnić jakiegoś obowiązku.

— Co się stanie z Joshem i resztą rodziny, kiedy odejdziemy? — zapytała męża.

Nathan się roześmiał.

— Och, Josh z pewnością na powrót zacznie uprawiać tytoń starymi, wypróbowanymi sposobami.

Poczuj się

203

wówczas znacznie szczęśliwszy niż teraz. Nikt z nich nie będzie też więcej pracował w warsztacie: cały tytoń zostanie sprzedany podczas aukcji. A muchy zniszczą przy-' najmniej czwartą część młodych roślinek, gdy tylko wychyną one z ziemi.

Kciukiem wskazał ponad ramieniem skrzynkę z modelem Augustusa Standisha. Była owinięta w grube zwoje perkalu. Josh z pewnością nigdy nie będzie przykrywał pola jego płachtami, zatem Nate postanowił zabrać tkaninę ze sobą.

Zapewnił żonę, że nie ma powodów do zmartwienia. Wuj jest dobrym farmerem — zawsze nim był. Na aukcji tytoniu rodzina zarobi dostatecznie dużo pieniędzy, by żyć wygodnie przez cały rok. Nate przepisał już nawet na Josha swoją część ziemi.

Tylko ktoś szalony mógł pragnąć pozostania na farmie i uczestniczenia w pracach związanych z uprawą tytoniu. Kiedy roślinom zetnie się wierzchołki, zaczną rozrastać się na boki. W miejscach, gdzie liście łączą się z łodygą, pojawią się nowe, grube pędy. Trzeba je obrywać rękoma, ale w ich miejsce natychmiast wyrastają nowe, które znowu trzeba usunąć. I znów... i znów.

— No i pojawia się jeszcze więcej robaków — dodał po chwili milczenia.

— Nienawidzę ich.

— Pewnie wolisz je rozdeptywać niż zgniatać w palcach — uśmiechnął się Nate.

Chess przyznała, że rzeczywiście tak jest.

— Kiedy byłem chłopcem, moi rówieśnicy starali się zabijać je, ukręcając im łebki. W ten sposób można było udowodnić, że jest się mężczyzną.

Chess jęknęła głośno. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze.

Uzucie to nie trwało jednak długo. Były ważniejsze rzeczy, które powinna przemyśleć. Młyn, maszyna i Du-

ram — prawdziwe, tętniące życiem, pełne ludzi miasto. To właśnie tam mieściła się ich poczta: tylko osiem kilometrów dobrą drogą od ich młyna! Napisała entuzjastyczny list do Auguśtusa Standisha, postanawiając, że wyśle go już ze swego nowego domu.

Nie mogła się wprost doczekać, kiedy wreszcie dotrą na miejsce.

Podróż zabrała im cztery dni. Po drodze dotarła do nich nowina, że postrzelono prezydenta Garfielda, który dopiero co zaczął swą kadencję.

Ale to wszystko miało miejsce w Waszyngtonie, jak powiedział Nate, i w żaden sposób nie mogło wpłynąć na ich życie. Pechowy zamachowiec był człowiekiem, który liczył, że zostanie mu zaproponowane stanowisko w rządzie, ale go nie otrzymał. Zdaniem Nathana ktoś, kto liczy na taką jałmużnę, powinien być tym, do kogo się strzela, a nie tym, który oddaje strzał.

Rozdział 18

— Cholernie miło nacieszyć oczy twoim widokiem, Chess! Witaj w tej piekielnej dziurze — na takie właśnie miano zasługuje ów przeklęty, wielki młyn, przy którego budowie twój diabelski mąż prawie zamęczył mnie na śmierć.

Jim Monroe pomógł Chess wsiąść z wozu, obchodząc się z nią tak, jakby była zrobiona z kruchego szkła: wiedział, że poroniła.

Chess uściskała go serdecznie. Czowała się naprawdę szczęśliwa, widząc jego uśmiechniętą twarz, i chciała, by o tym wiedział.

— Dziękuję, Jim. Naprawdę cudownie znowu cię zobaczyć. Tęskniliśmy za tobą... wszyscy, z wyjątkiem panny Mary.

Miała ochotę przytulić się do niego, uznała jednak, że nie byłoby to właściwe. Jim w gruncie rzeczy należał do ludzi nieśmiałych.

Kiedy jednak ujrzała, jaki przygotował dla niej prezent, mimo wszystko objęła go i przytuliła, sprawiając, że jego twarz spłonęła ciemnym rumieńcem. Podczas nieobecności Nate'a Jim załatał dach i naprawił ściany starego, „nawiedzonego” domu. Obaj mężczyźni mieszkali tutaj przez cały czas, ale nie zawracali sobie głowy żadnymi remontami. Młyn miał pierwszeństwo. Teraz jednak dom wyglądał miło i przytulnie. Nawet muły miały własne pomieszczenie,

wzniesione z cegieł, które Jim zdobył, rozbierając spaloną część zabudowań. Kiedy byli tu tylko z Nate'em, zwierzęta mieszkały w jednej izbie z nimi, ale mężczyzna uważał, że Chess nie odpowiadałaby taka sytuacja.

Monroe zrobił również porządki: wyszorowana podłoga jaśniała, a przed kominkiem ustawiono zbity z drewnianych bali fotel.

— Usiądź na nim i daj odpocząć swoim nogom — zachęcał ją Jim, z dumą pokazując własnoręcznie wykonany mebel.

— Jakże tu pięknie, mój drogi! — skłamała Chess. Resztę domowych sprzętów stanowił prymitywny stół — zbite deski wsparte na kozłach — dwa chwiejące się stołki o trzech nogach oraz posłanie z przykrytej kocami słomy. Chess natychmiast zorientowała się, że będzie miała jeszcze wiele do zrobienia. Najpierw jednak pragnęła zobaczyć młyn.

Rzeczywiście robił duże wrażenie i Chess nie omieszkała powiedzieć o tym Nathanowi. Zarówno jego, jak i Jima ogromnie ucieszyły jej pochwały.

Fundamenty wzniesiono z ciężkich szarych i brązowych kamieni. Jaśniejący nowym drewnem wysoki budynek wyraźnie odcinał się od otaczających go smukłych sosen. Duże, kwadratowe okna miały okiennice, a frontowe drzwi ocieniał kamienny ganek z wiodącymi doń szerokimi stopniami. Z boku, od strony strumienia, było widać olbrzymie młyńskie koło. Wartki nurt obracał nim majestatycznie, a łopatki wyrzucały w powietrze kaskady drobnych kropelek wody, połyskujących tęczowo w promieniach słońca.

— Ma około piętnastu metrów wysokości — pochwalił się Nate z właściwym sobie brakiem skromności. — Jest gotowy do podłączenia do żaren, kiedy tylko będę je miał.

— A to nastąpi już niedługo — dodał Jim. — Przez całe ostatnie trzy tygodnie nie spadła tu ani jedna kropla cholernego deszczu. Jeszcze trochę i po przepływającym tu w okolicy potoku nie zostanie nawet mokra plama. A to oznacza, że właściciel młyna, który nad nim stoi, pójdzie

z torbami. Dzięki temu Na te będzie mógł odkupić od niego owe przeklęte kamienie. Czekają nas jeszcze zbitie solidnej platformy, żeby je tu przetransportować. Koła wozu nie wytrzymałyby takiego ciężaru — osie złamałyby się jak zapalki.

Chess pokręciła głową, podziwiając elokwencję Jima, a także talent do interesów swojego męża. Z uznaniem zerknęła na szeroki most, który mężczyźni przerzucili przez strumień, by ułatwić dojazd do młyna wozom wyładowanym zbożem. Miał tak solidną konstrukcję, że bez obawy można było przetoczyć po nim na drugi brzeg gigantyczny granitowy młyński kamień.

— Obaj zasłużyliście na wspaniałą kolację. Czy jeden z was mógłby upolować dla nas jakieś mięso? Drugi przez ten czas przyniesie mi wody ze strumienia i rozpali ogień.

Następnego dnia wybrali się do Durham po zakupy. Chess skrzywiła się, kiedy w nozdrza uderzył ją wypełniający miasto zapach tytoniu. Oczarowały ją jednak schludne domki ze ślicznymi podwóreczkami i pobielonymi wapnem parkanami. Wielkie rezydencje o ogrodzeniach kutych z żelaza nie zrobiły na niej natomiast większego wrażenia. Żadna z nich nie dorównywała jej domowi w Harefields. Ryk byka przeraził ją tak, że zatkała uszy. Kiedy jednak umilkł, uradowana zaczęła bić brawo. Odniosła wrażenie, że polubi Durham. Nie było to takie miasto jak Richmond — w istocie nie było to jeszcze miasto — ale zakurzone, pozbawione bruku ulice tętniły życiem, a na zbitych z desek chodnikach tłoczyli się ludzie.

Najbardziej ucieszyło ją to, iż właściciel największego i najelegantszego sklepu był nadzwyczaj usłużnym i uczynnym człowiekiem i że mogła zaopatrzyć się we wszystko, czego potrzebowała do prowadzenia domu. Na razie wybrała wyłącznie sprzęty, które były jej absolutnie nieodzowne, obiecała jednak wrócić wkrótce także po inne rzeczy. Nie omieszkała też przedstawić się sklepikarzowi.

Ostrożnie umieściła na wozie kilka paczek. Były dla niej tak cenne jak najkosztowniejsze klejnoty, stanowiły bowiem pierwsze przedmioty zakupione do własnego domu. Nadając list do Augustusa Standisha, Chess zaznałomiła się także z pracownikami poczty, którzy obiecali, że zajmą się korespondencją przychodzącą na nazwisko państwa Richard-sonów ze szczególną troskliwością.

— Jesteśmy już zatem oficjalnymi mieszkańcami tej okolicy — powiedziała Chess do męża, kiedy opuścili budynek poczty. — Teraz potrzebujemy tylko krowy, kilku kur i koguta. Jak tylko wrócimy do domu, wysieję zakupione dzisiaj ziarno. — Uwielbiała brzmienie słowa: „dom”. — Będziemy mieli własne zboże, które zmielimy w naszym własnym młynie. A wtedy upiekę najlepszy chleb, jakiego kiedykolwiek kosztowałeś.

— Na samą myśl o tym robię się głodny, Chess. Mam nadzieję, że na razie kupiłaś mąkę w mieście. Jim nie towarzyszył im w drodze powrotnej. Na te ostrożnie wyjaśnił żonie, że pozostał on w mieście z powodu pewnej dziewczyny, która wpadła mu w oko. Nie uznał za stosowne dodać, że pracowała ona w jednym z tutejszych saloonów... Nie, nie saloonów: barów.

Upłynęły trzy dni, nim Jim wrócił do domu. Chess naląła mu kawy i dodała do niej nieco domowego piwa, otrzymanego w prezencie od Li wy Alderbrook. Kiedy pił, również dla siebie przygotowała napój z mleka, cukru i jajek.

Dzień po dniu niebo stawało się coraz bardziej pogodne, rozświetlone oślepiającymi promieniami słońca. Nate codziennie wędrował do drugiego młyna, by sprawdzić poziom wody w tamtejszym potoku.

— Znacznie obniżył się od wczoraj — mówił za każdym razem po powrocie, uśmiechając się przebiegle.

Uśmiech rozjaśniał mu twarz także i wówczas, gdy

przyglądał się swojemu własnemu głębokiemu strumieniowi, pełnemu rwącej wody. Wreszcie w połowie lipca uznał, że nadszedł czas, aby działać. Wczesnym popołudniem udał się na spacer do konkurencyjnego młyna.

— Zaprzęgaj muły do platformy, Jim! — krzyknął uradowany po powrocie.

Trzeba było dwóch podróży i dwóch dodatkowych ludzi, aby przetransportować młyńskie kamienie. Każdy z nich miał około półtora metra średnicy i trzydzieści pięć centymetrów grubości. Zanim znalazły się w posiadłości Richardsonów, zdażył już zapasć zmierzch.

— Daj tym chłopakom posmakować piwa Liwy — polecił żonie Nate. — Odzyskają siły na powrót do domu. Mnie czeka jeszcze jeden kurs, tym razem wozem: kupiłem przy okazji wszystkie beczki, jakie miał ten człowiek. Będziemy mogli sprzedawać je, kiedy ludzie, przyjeżdżając tutaj po mąkę, zapomną o zabranii własnych pojemników.

Kiedy w końcu na dobre wrócił do domu, było już zupełnie ciemno. Razem z beczkami przywiózł także wielki, prześliczny sosnowy stół o pięknie toczonych nogach.

Chess wyciągnęła ręce i przesunęła dłońmi po gładkim blacie, po czym pochyliła głowę i pocałowała go.

— Żadnych więcej drzazg w zupie. Co za błogosławieństwo!

Następnego ranka umyła włosy, wyprasowała upraną poprzedniego wieczoru bluzkę, po czym ubrała się starannie, gotowa ruszyć do pracy w młynie.

— Na wszystkim, co masz na sobie, osiądzie mąka — ostrzegł ją Nate.

— Nie dbam o to. To pierwszy dzień mojej pracy w tym miejscu i chcę ładnie wyglądać. Powiedz, proszę, jeszcze raz, jak to wszystko ma się odbywać.

— W porządku. Farmerzy przywożą mi zboże w workach. Jim pomaga im wyładować je z wozów. Ja stoję w tym czasie w oknie i spuszczam na dół zakończoną hakiem linę. Jim przywiązuje worek, a ja wciągam go na górę za pomocą

kołowrotu. Kiedy wszystkie worki znajdą się już w środku, Jim także wejdzie do młyna. Musi pilnować, by żarna ani na chwilę nie przestały się obracać, gdy ja będę sypał ziarno. Po skończonej pracy Jim rozłączy mechanizm, ty zaś przesypiesz mąkę do beczki przywieszanej przez farmera lub naszej, za którą będzie musiał osobno zapłacić. A potem pozostanie tylko zważyć mąkę i zainkasować pieniądze. Proste.

— Proste — zgodziła się Chess.

Niemal tanecznym krokiem przeszła przez mostek i skierowała się do młyna. Kiedy jednak po kilku godzinach wracała do domu, nogi ciążyły jej, jakby były z ołowiu. Nikt nie przybył do nich ze zbożem do mielenia. Ona, Nate i Jim czekali nadaremnie. Nie mając innego zajęcia, raz jeszcze sprawdzili mechanizm. Potem umyli czyste już młyńskie kamienie. Następnie wyszorowali podłogę. Znowu wypróbowali mechanizm. Nathan dokonywał zmian, mających ulepszyć sposób, w jaki pracowały żarna. Po każdej poprawce ponownie wprawiali całą maszynę w ruch.

Chess wydawało się, że dzień trwał chyba ze sto godzin.

Po kolacji Jim oświadczył, że pójdzie do Durham. Zmierzch zapadnie dopiero za kilka godzin, on zaś z przyjemnością rozprostuje nogi. Obiecał wrócić przed wschodem słońca, by pomóc im w pracy.

— Jak sądzisz, czy naprawdę wróci na czas? — zapytała Nathana Chess. — Poprzednio zniknął na trzy dni. Nate był jednak pewien, że przyjaciel dotrzyma słowa.

— Jim to dobry chłopak — powiedział, ustawiając na stole model Augustusa Standisha i rozpakowując go.

Chess zaczęła zmywać talerze po kolacji.

To niesprawiedliwe — zżymała się w duchu. Nate tak ciężko pracował, a mimo to mu się nie udało, i to nie z jego winy. Z pewnością jest zrozpaczony.

Kiedy skończyła wycierać talerze, sięgnęła po zastępującą jej komodę walizkę i wyjęła wycięty z gazety artykuł

na temat triumfu Nathana na aukcji tytoniu. Tani papier zaczynał już żółknąć.

— Zobacz, co przypadkowo zabrałam z domu, pakując swoje rzeczy — powiedziała, podając wycinek mężowi.

Nate oderwał wzrok od modelu. Na widok artykułu wybuchnął śmiechem.

— Czy to ma być aluzja, że pragniesz powrócić na farmę? Zdaje się, że o tej porze jest właśnie najwięcej robaków.

Nie musiała odpowiadać — wyraz jej twarzy był nader wymowny.

— Nie martw się o mnie, Chess. Jeden dzień o niczym nie świadczy, może z wyjątkiem tego, że czasem potrafię być zupełnym głupcem. Kiedy Jim i ja po raz pierwszy tutaj przyjechaliśmy, złożyłem wizytę na wszystkich farmach, mówiąc ludziom o młynie i otrzymując obietnicę, że będą oni korzystać z moich usług. Nie wiem, czemu, u licha, wydawało mi się, że to wystarczy. A przecież trzeba nieustannie przypominać innym, kim się jest i co ma się do zaoferowania. Należy bez przerwy wbijać im to do głowy. Pierwszą rzeczą, jaką ty i ja zrobimy jutro, kiedy Jim już wróci, będzie wymalowanie informacji o nas na każdej skale i murze wzdłuż drogi. Jeśli ktokolwiek przypadkowo przywiezie tu ziarno, Jim poradzi sobie sam. Przy mieleniu niewielkiej ilości zboża jedna osoba wystarczy. Wyrzuc ten papier do śmieci, Chess. To już przeszłość. Zastanawiam się tylko, co teraz będzie.

Nate ostrożnie dotknął palcem modelu. Miniaturowe ramię maszyny zaczęło monotonnie poruszać się w górę i w dół.

— To naprawdę genialny wynalazek — powiedział. — Kiedy będziesz pisała do swego dziadka, przekaż mu moją opinię.

— Nie muszę tego robić. Augustus Standish nigdy nie wątpił, że jest geniuszem.

— Bardzo tęsknisz za domem?

— Czemu miałabym tęsknić, Nathanie? Tu jest mój dom.

Nate powiódł wzrokiem po pokoju.

— Przywykłaś do życia w innych warunkach. Często o tym myślę.

— A *tam* gadanie — prychnęła niecierpliwie Chess.

— Nie bądź głupcem. Kiedy będziesz już papierosowym królem Karoliny Północnej, wybudujesz dla mnie taki sam dom jak Harefields.

— Karoliny Północnej? — zapytał Nate szyderczo.

— Powinnaś mieć większe ambicje, kobieto. Ameryki! Przynajmniej Ameryki. — Ponownie dotknął modelu maszyny.

— Uda mi się, zobaczysz. — Tym razem już nie żartował.

— Pod koniec tygodnia wypłacę Jimowi odprawę — dodał.

— O ile w ogóle wróci on jeszcze do nas.

— Jak mógłbyś zwolnić Jima, Nathanie? — zdumiała się Chess. — To twój przyjaciel.

Mężczyzna popatrzył na nią tak, jakby przemawiała do niego w jakimś obcym języku.

— A co przyjaźń ma wspólnego z interesami?

Wzruszył ramionami i na powrót skupił uwagę na modelu. Chess przyglądała mu się przez chwilę, a potem odwróciła wzrok.

Tak naprawdę wcale go nie znam — pomyślała. — Poślubiłam go, kocham go, ale w gruncie rzeczy jest mi zupełnie obcy. Ciekawe, czy nadejdzie dzień, kiedy przestanie mnie zadziwiać. Mam nadzieję, że nie. — Postanowiłem przenieść się do miasta — oświadczył Jim po powrocie do domu.

Chess odetchnęła z ulgą. — Będę za tobą tęsknić — powiedziała.

— Musisz jednak poczekać z tym jeden dzień — stwierdził Nate. — Mamy jutro co nieco do załatwienia i chcemy, byś przez ten czas zajął się młynem.

— Jasne — zgodził się Jim, uśmiechając się nieśmiało.

— Mam nadzieję, że będziemy się często widywać podczas

twoich wizyt w Durham, Chess. Dostałem pracę w sklepie pana Angiera.

A ona martwiła się, że Nathan chce go zwolnić! Uznała, że musi się jeszcze wiele nauczyć, jeśli chodzi o reguły rządzące biznesem.

Kiedy jakiś wóz skręcał z drogi, kierując się ku mostowi, słyszeli go z domu i mogli od razu pośpieszyć do młyna. Chess doznawała niewymownej ulgi, ilekroć do jej uszu dobiegał turkot kół.

Im bardziej jednak rosła liczba klientów młyna, tym bardziej Nate czuł się zaniepokojony.

Zajmowanie się mieleniem ziarna zabierało mu czas, który wolałby poświęcić czemu innemu.

Konstruował maszynę do produkcji papierosów, z drobiazgową dokładnością odtwarzając każdy element modelu. Wynalazek Augustusa Standisha miał zostać powiększony aż czterokrotnie.

Chess lubiła się przyglądać mężowi, szczególnie wieczorami, kiedy światło naftowej lampy kładło mu na twarzy miękkie cienie. Był tak skupiony przy pracy, że nigdy nie dostrzegł badawczego wzroku

żony. Długie, białe wióry wysuwały się powoli spod ostrza jego noża i, podobne do spadających gwiazd, bezszelestnie sfruwały na podłogę. W izbie unosił się słodki zapach świeżego drewna.

Panowała zupełna cisza, zakłócana jedynie grą koników polnych i rzadkimi pohukiwaniami sowy.

Chess upijała się tym nastrojem jak szampanem.

Codziennie rano zamiatała wióry i dodawała je do zebranych już wcześniej, które trzymała w worku uszytym z materiału, którym kiedyś było przykrywane pole tytoniu. Kiedy Nathan skończy budować maszynę, zamiast posłania ze słomy będą mieli porządny materac. A wówczas powie mu, że pragnie mieć następne dziecko.

W przeciwieństwie do męża Chess z niecierpliwością wyglądała kolejnych wozów. Lubiła młyn i pracę w nim. Wysoki sufit i duże okna sprawiały, że wewnątrz budynku było przestronne i jasne. Samo zaś mielenie zboża okazało się czymś fascynującym: ciężkie kamienie obracały się ze skrzypieniem, wprawiając w drżenie drewnianą podłogę pod jej stopami, a tryskające na wszystkie strony otręby układały wzór, który przypominał jej fale na rzece w Harefields.

Mąka była gładka jak jedwab. Zanurzone w niej palce pozostawiały później białe ślady na wszystkim, czego się dotknęła. Uwielbiała ów czysty wygląd zasłanej mąką podłogi pod koniec dnia — zmiatanie i mycie jej wydawało się Chess niemal czymś świętokradczym. Bardzo dbała jednak o to, by wewnątrz młyna było czysto, i następnego dnia po nieudanym początku z dumą wprowadziła do środka pierwszego klienta. Żywiła przekonanie, iż panujący u nich porządek jest jedną z przyczyn, dla których z tygodnia na tydzień mieli coraz więcej klientów. Pamiętała kwaśny odór młyna w Harefields i zdecydowanie nie chciała, by u nich unosiła się taka sama woń.

Większość farmerów zostawała na zewnątrz przy swoich wozach, ale niektórzy chcieli patrzeć, jak miele się ich zboże, podejrzewając, że mogą nie otrzymać całej swej mąki z przywiezionego ziarna. Chess lubiła podniesionym głosem toczyć z nimi rozmowy, przekrzykując hałas żaren. Zachęcała, by następnym razem przywieźli do młyna także swoje żony.

— Najwyższy czas, żebym zaczęła zawierać znajomości — powiedziała. — Mam nadzieję, że będę tu miała wielu przyjaciół.

Pewnego październikowego dnia przeklęła się w duchu za to, że odnosiła się do wszystkich tak przyjacielsko. Do młyna przybył wysoki, szczupły farmer o jasnych włosach i długim nosie, pośrodku którego znajdowało się dziwne wgłębienie. Ktoś musiał pokonać go kiedyś w walce — pomyślała na ten widok Chess.

Kiedy żarna się zatrzymały, mężczyzna podszedł do niej

i przez jakiś czas obserwował, jak wsypywała mąkę do beczki.

— Bardzo przepraszam, pani Richardson — powiedział po chwili — ale muszę panią o coś zapytać... Czy pani pochodzi z Wirginii? Świadczy o tym pani akcent.

Sposób, w jaki mówił, zdradzał dżentelmena i człowieka wykształconego, zasadniczo różniącego się od zwyczajnych farmerów. Chess obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem.

— Pochodzę z Tidewater — odrzekła, zastanawiając się, czy ów człowiek wie, gdzie to jest.

Mężczyzna skłonił się głęboko.

— Pozwoli pani, że się przedstawię: nazywam się Henry Horton. Być może zna pani mojego kuzyna, Bartona?

— Oczywiście, że tak! To właśnie ja byłam tą małą okropną dziewczynką, która wepchnęła go do rzeki podczas przyjęcia z okazji jego szóstych urodzin. Co się z nim dzieje? Czy wszystko u niego w porządku?

Chess wyraźnie się ożywiła. Wieści o dawnych przyjaciółach były — prócz spotkań z nimi — najlepszą rzeczą, jaka mogła jej się przytrafić.

Henry Horton wybuchnął śmiechem, który przypominał gwizd lokomotywy i niemal ją przeraził. Po chwili urwał się on równie gwałtownie, jak zaczął.

— Proszę sobie wyobrazić — powiedział mężczyzna — że do dziś panicznie boi się wody.

W oczach lśniły mu wesołe ogniki. Chess podejrzewała, że Henry Horton niezbyt przepada za swoim kuzynem. Wyciągnęła ku niemu ubieloną mąką rękę.

— Miło mi pana poznać, panie Horton. Zachowuję się doprawdy okropnie. Już dawno powinnam się panu przedstawić. Francesca Richardson. Z domu Standish.

— Uniżony sługa, pani Richardson — Horton ujął jej dłoń i skłoniwszy się, złożył na niej pocałunek. Wszystko było doskonale *comme il faut*. — Cóż za szczęśliwy przypadek — powiedział. — Jestem pewien, że moja żona z przyjemnością złoży pani wizytę. Mamy tutaj w sąsiedzt-

wie plantację. Żywię też nadzieję, że w niedalekiej przyszłości my również będziemy mieli zaszczyt gościć u nas panią i pani męża.

— Jest pan bardzo uprzejmy — uśmiechnęła się Chess. — Z przyjemnością państwa odwiedzimy. Kiedy wypowiadała te słowa, serce zamierało jej ze wstydu. Nie miała żadnego stroju, który mogłaby włożyć, idąc z wizytą. Swoją najlepszą suknię miała właśnie na sobie, codzienne ubranie zaś było już niemal w strzępach. Ogromnie pragnęła zaprzyjaźnić się z sąsiadami, ale nie takimi, do których nie mogła wybrać się z braku odpowiedniej garderoby.

Wciąż jeszcze myślała o tym, kiedy pojawił się Nate.

— Nadjeżdża kolejny wóz. Tym razem przyjmiemy worki nie rozładowane i zawiązane.

Chess sięgnęła po miotłkę, by oczyścić żarna i przygotować je na przyjazd nowego klienta.

Niepotrzebnie się tym wszystkim martwię — powiedziała sobie. — Nathan i tak za żadne skarby świata nie przerwie pracy nad swoją maszyną tylko po to, by oddawać się życiu towarzyskiemu... Och, mój Boże, zapomniałam dać panu Hortonowi jego mąkę.

— Oczywiście, że tam pójdziemy, skoro nas zaproszono — oświadczył Nate, kiedy żona opowiedziała mu o Henrym Hortonie. — Słyszałem o tym człowieku. Jest właścicielem ponad trzech tysięcy akrów, z których większość obsiewa pszenicą i kukurydzą. Już on jeden wystarczyłby, żeby zapewnić nam utrzymanie. Ziemia oznacza również władzę. Horton ma najprawdopodobniej wielu przyjaciół w rządzie stanowym. Kto wie, może pewnego dnia będziemy potrzebować jego pomocy?

— Ależ nie możemy tam pójść, Nathanie. Nie mam odpowiedniej sukni.

— Cóż, w takim razie kupimy ją. Może nawet nabę-

dziemy od razu dwie. Powiedziałaś, że jego żona wybiera się do nas? — Nate powiódł wzrokiem po izbie. — Ach, więc o to ci chodzi! Nie chcesz, żeby widziała, jak żyjemy. Tak, to rozsądne. Napisz do niej liścik, wyjaśniając, że jesteś zbyt zajęta. Zabiorę go ze sobą, kiedy będę zawozić im mąkę.

Chess miała ochotę go uderzyć.

— Niczego nie rozumiesz, Nathanie Richardsonie! Mam w nosie to, jakie wrażenie zrobi mój dom na Hortonach. Jeśli ta kobieta tu przyjdzie, będzie musiała przyjąć mnie taką, jaką jestem. To dotyczy też naszego mieszkania. Ale jeśli ja mam złożyć im wizytę, muszę ubrać się odpowiednio do ich domu... Takie są zasady.

— A więc chcesz ją tu zaprosić?

— Oczywiście — odrzekła Chess, rozglądając się wokół. — Chyba powinnam odkurzyć. Wszystko jest białe od mąki.

Nathan ze zdumieniem potrząsnął głową.

— Jesteś prawdziwą damą, Chess — oświadczył. — Dama pozostaje damą niezależnie od tego, jak ciężko pracuje i w jakich warunkach mieszka.

Edith Horton także okazała się prawdziwą damą. W żaden sposób nie dała gospodarzom odczuć, że widzi coś niezwykłego w mieszkaniu w jednej izbie i piciu kawy z cynowych kubków. Powiedziała Chess, że z przyjemnością pokaże jej swój różany ogród, i zapytała, czy Richardsono-wie zechcą przybyć do nich na uroczysty lunch, który ona i jej mąż będą wydawali osiemnastego października. Jeśli tylko utrzyma się ładna pogoda, przyjęcie odbędzie się w ogrodzie.

Chess z wdziękiem przyjęła zaproszenie.

— Edith Horton jest prawdziwą damą — powiedziała później Nathanowi. — Dała mi blisko dwa tygodnie na kupienie sobie jakiegoś ubrania i zaprosiła nas na przed-

południowe przyjęcie, ponieważ najmniej potrzebną mi rzeczą na świecie jest z pewnością wieczorowa suknia. Nate wybuchnął śmiechem.

— Jak to dobrze, że prowadzę interesy wyłącznie z mężczyznami — stwierdził. — Nawet najbardziej przebiegli z nich wydają się prostolinijni w porównaniu z wami, damy.

— Ucisz się, Nathanie. Kiedy wybieramy się do Durham?

Rozdział 19

Pogoda była wspaniała — piękny, ciepły, choć niezbyt upalny dzień babiego lata. Kwitnące już drugi raz w tym roku róże napełniały powietrze łagodną, słodką wonią. Chess pragnęła, by czas się zatrzymał i mogła na zawsze zostać na przyjęciu w tym ogrodzie.

Po raz pierwszy miała na sobie uszytą na miarę suknię, nie przerabianą z toalety matki. Wiedziała, że wygląda w niej dobrze — jakże mogło być inaczej? Jim Monroe polecił jej dobrą krawcową — stałą klientkę sklepu An-giera, która sprowadzała żurnale prosto z Europy. Panna Mackenzie doradziła pani Richardson odpowiedni fason. Chess po raz pierwszy miała również własny gorset — ostatni krzyk mody: długi i wąski, zwany pancerzem, przypominał bowiem napierśniki, jakie w dawnych czasach nosili rycerze. Był to idealny model dla wysokich i szczupłych kobiet — niskie i pulchniejsze wyglądały w nim raczej dziwacznie. Chess zauważyła tę różnicę, porównując swój wygląd ze strojami, w jakich wystąpiły inne zaproszone na lunch damy.

Jej szaro-biała suknia w paski prezentowała się nadzwyczaj elegancko. Była suto marszczona — na ten krój nie każda kobieta mogła sobie pozwolić. Pasy podkreślały sylwetkę Chess, podobnie jak czarna aksamitna plisa, którą był obszyty głęboki dekolt, ledwie osłaniający białą jedwabną bielizną, którą miała pod spodem. Spódnice zdobiły

dwa czarne pasy oraz — z tyłu — pleciona biała koronka. Marszczona biała halka, którą Chess włożyła pod spód, pozwalała doskonale ułożyć fałdy sukni.

Całości dopełniały najmodniejsze trzewiki z czarnej skóry na ponad dwucentymetrowych obcasach, zapinane na kilka lśniących, czarnych guzików.

Podobne czarne guziki Chess doszyła także do swych białych rękawiczek, które dzięki temu znacznie bardziej pasowały do stroju.

W należącym niegdyś do babki koronkowym szalu oraz odziedziczonych perłach czuła się jak królowa.

I tak ją też traktowano. Rozmiłowanie ludzi Południa w historii i zwyczaj ciągłego rozpamiętywania utraconej, niegdysiejszej potęgi sprawiły, że w ich oczach mieszkańcy Tidewater stali się swego rodzaju arystokracją, jedyną, jaką Ameryka mogła mieć. Chess należała do niej, zasługiwała zatem, by otaczano ją czcią.

Miała nadzieję, że Nathan zauważy to i będzie dumny ze swej żony. Ona z całą pewnością była z niego dumna. Wyglądał doprawdy bardzo dobrze w garniturze otrzymanym w Richmond w ślubnym darze, a jego obcięte przez fryzjera w Durham dwa dni temu włosy prezentowały się o niebo lepiej od fryzury, jaką samodzielnie sobie robił za pomocą myśliwskiego noża. Wydawało się też, że bardzo dobrze się bawi. To samo dotyczyło zresztą trzech pozostałych mężczyzn, z którymi rozmawiał.

Chess zauważyła, że wyglądali oni przy jej mężu blado i wątle.

Och, gdyby tak na deser podano szampana! Byłby to odpowiedni trunek przede wszystkim dla Nathana, dla którego ów dzień był czymś szczególnym. I to nie ze względu na pogodę, róże czy też uciechy życia towarzyskiego. Dziś właśnie, godzinę po północy, Nate skończył strugać ostatnią część maszyny do produkcji papierosów. Z pewnością to wydarzenie zasługiwało, by uczcić je szampanem! I rzeczywiście podano szampana. A także wspaniały, złożony z siedmiu dań lunch. Zanim posiłek dobiegł końca,

Chess poczuła, że jej modny gorset za chwilę pęknie w szwach.

Zarówno ona, jak i Nathan wracali do domu w doskonałych nastrojach. Przez całą drogę mężczyzna nie przestawał chichotać. Uważał przyjęcie za nadzwyczaj udane. Nie dlatego, że mógł skosztować wykwintnych potraw — nie rozpoznał nawet połowy podanych specjałów. Rozmawiał jednak z trzema członkami miejscowych władz, którzy z uwagą wysłuchali opowieści o jego perypetiach z prawnikiem w Hillsborough, i zdobył mnóstwo zakulisowych informacji o tym, co się dzieje w świecie interesów w Durham.

Powtórzył je wszystkie Chess, kiedy wrócili już do domu i zapłacili dwóm ludziom wynajętym na ten dzień do pracy. James Bonsack skończył przebudowywać swą maszynę do produkcji papierosów i raz jeszcze opatentował ją, opisując jako „ulepszoną”.

— Nie uczyniłby tego, gdyby ona nie działała, Chess. Depcze mi po piętach. Allen i Ginter testują jego wynalazek.

— Dziś wieczór napiszę do dziadka — przerwała mu żona. — Dowie się wszystkiego od wuja Lewisa.

— Właśnie miałem cię o to prosić — wyznał Nate. — A teraz załóżmy, że to urządzenie działa. Cóż to dla nas oznacza? Potrzebujemy przynajmniej czterech miesięcy, by uruchomić nasze, pozostaje także problem kupienia tytoniu, pakowania papierosów i sprzedawania ich.

— Czy tu, w Durham, nie ma żadnej giełdy? Nie, to na nic. Idiotyczne pytanie! Rozpoznano by cię. A co powiesz o...

Rozmawiali jeszcze wiele godzin, rozważając kolejne rozwiązania, robiąc plany, obliczając koszty i prawdopodobne dochody z młyna oraz określając, jakich jeszcze informacji potrzebują, zanim podejmą ostateczne decyzje.

Nathan przegrodził wnętrze młyna, dzieląc je na dwa osobne pomieszczenia, pomiędzy którymi postawił grubą

ścianę z solidnymi drzwiami. Zamykał je żelazny rygiel i mocny zamek. Klucz do niego nosił zawsze przy sobie, zawieszony na rzemyku u szyi i ukryty pod koszulą. Wewnątrz zamkniętej izby postawił na specjalnym podwyższeniu model, wokół niego zaś ułożył na podłodze wystrugane z drewna elementy.

Chess wysłała do papierni zamówienie na bibułkę do papierosów.

Teraz trzeba było złożyć maszynę. W tajemnicy. W nocy, ponieważ w dzień, jak dawniej, trzeba było mleć zboże. Dopiero po skończeniu pracy nad urządzeniem starego Standisha mieli dowiedzieć się, czy będzie ono działać. Model dawało się wprowadzić uruchomić, ale nie wkładało się doń ani bibuły, ani tytoniu — nie był prawdziwą maszyną.

— To nie działa, Nathanie. Musiałeś popełnić jakiś błąd.

Chess popatrzyła na męża poczerwieniałymi, podkrążonymi ze zmęczenia oczyma. Trzymana przez nią naftowa lampa zadrżała.

— Trzymaj to światło nieruchomo! Człowiek nie może nic zobaczyć!

Pomimo nocnego chłodu czoło Nate'a było zroszone potem.

Ulokowanie na właściwym miejscu ostatniego elementu maszyny kosztowało go wiele wysiłku.

— Owszem, nie może — powiedziała ostro Chess, odstawiając lampę na podłogę.

Ciężkie drewniane koło wypadło Nate'owi z rąk.

— Mógłbym cię zabić! — wrzasnął rozzłoszczony.

— Jeśli uczynisz to w tej chwili, wyświadczysz mi wielką przysługę. Daj temu na dzisiaj spokój.

Wkrótce zrobi się jasno i nie zdążymy ani chwili się zdrzemnąć.

Nate westchnął tak ciężko, że z jego gardła nieomal wydobył się jęk.

— Masz rację, masz rację. Zaczynam popełniać błędy. Chodźmy do łóżka. Potrzymaj jednak tę lampę jeszcze choć minutę, żebym odstawił koło w jakieś bezpieczne miejsce... Och! Jest cięższe, niż sądziłem. Muszę zestrugać je tak, by stało się cieńsze.

— Odłóż to i chodź.

Od kilku tygodni oboje byli pochłonięci ciągłą, bezustanną pracą. Codzienne niedosypianie stanowiło przy tym najmniejszy problem. Przede wszystkim Nate musiał ciągle wysyłać kolejne zamówienia i w najdrobniejszych szczegółach planować następne posunięcia. W końcu zaczynał przecież od zera... Przez sześć tygodni pracował jak człowiek opętany przez demona, a zdążył jedynie złożyć samą obudowę maszyny. Był już grudzień i jego plany, że skończy pracę do wiosny, wydawały się nie do zrealizowania.

Tymczasem wszystko wokół nich: budynki, skały i przybite do drzew tablice pokryły się reklamami fabryki Duke'a: Duke of Durham. Krążyły plotki, że przybyli z zagranicy pracownicy tego przedsiębiorstwa wytworzyli już ponad dziewięć milionów papierosów. I każdy z nich znalazł nabywcę!

Jedynie dobre wieści, jakie otrzymali, pochodziły od Augustusa Standisha. Urządzenie Bonsacka psuło się tak często, że Allen i Ginter zrezygnowali z jego zakupu. Siedzące przy stołach dziewczęta były na dłuższą metę szybsze.

Starzec przekazał im też nieco innych nowin, jak zawsze okraszając je humorem.

Bez wątpienia słyszeliście o pechu, jaki prześladuje pierwszą maszynę Jimmy'ego Bonsacka. Ku rozpaczy Lewisa Gintera została ona kiedyś na noc w Lynchburgu i tego dnia w pomieszczeniu, gdzie ją ustawiono, ktoś zaprószył ogień. Spłonęła do ostatniej drzazgi.

Droga Chess, nigdy nie czytałaś Hansa Christiana Andersena, prawda? Byłbym zasmucony wiedząc, że moja wnuczka współzawodniczy z jakimiś prostytutkami, jak Kopciuszek,

zamiast z księżniczkami, jak to czyniła bohaterka ^Księżniczki na ziarnku grochu".

Nathan zapytał żonę, co Augustus Standish przez to rozumiał.

— Zastanawia się, czy to nie my spaliliśmy maszynę Bonsacka — odparła Chess, przyglądając się Nate'owi z nagłym zainteresowaniem. — Ty oczywiście nie zrobiłbyś tego...

— Gdybym tylko miał okazję, z pewnością bym to uczynił — rozwiął jej wątpliwości mąż. — Nigdy jednak nie byłem nawet w pobliżu Lynchburga. Ale to przecież żadna korzyść dla nas, prawda? Bonsack konstruuje kolejne urządzenie. Potrafi znacznie więcej niż ja, który nie jestem nawet w stanie złożyć maszyny twego dziadka.

Standish dodawał nieskromnie, że jego model wolny jest od wad, które przeszkadzają w działaniu urządzenia Bonsacka.

— To ja jestem winien wszystkich błędów — stwierdził gorzko Nate. — Ale usunę je! Choćby miało mnie to zabić!

Jedenasty grudnia okazał się najbardziej wypełnionym pracą dniem, odkąd otworzyli młyn.

Niewykluczone, że stało się tak dlatego, iż była to niedziela: nikt poza Richardsonami nie pracował.

Chess i Nate narażali się przez to na krytyczne uwagi, ale też zarabiali dzięki temu sporo pieniędzy.

W miarę upływu czasu uśmiech Chess stawał się coraz bardziej wymuszony. Cieszyła się, iż tak wcześnie zapadł zmierzch — na niebie czerwieniała już wieczorna zorza, kiedy pożegnała ostatni wóz ze zbożem. Skronie pulsowały jej z bólu, od świtu też nie miała okazji zrobić sobie choć krótkiej przerwy, żeby coś zjeść. Zmęczona, dopełniła wprawdzie obowiązku wypicia swojej jajecznej mikstury, ale na kolację podała jedynie odgrzewane resztki z obiadu. Nathan

nawet tego nie zauważył. Pracował do późna w nocy, choć Chess dawno poszła do łóżka. Kiedy w końcu się położył, zapadł w sen, zanim dotknął głową poduszki.

W pół godziny później usiadł wyprostowany. Jego gwałtowny ruch obudził Chess, w ciemności jednak nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy.

— Czy stało się coś złego?

Nate dłonią zasłonił jej usta i nos.

— Nie rób żadnego hałasu — szepnął żonie na ucho, cofając rękę, by znowu mogła oddychać.

Z dobiegających ją cichych szmerów Chess zorientowała się, że Nate sięga do kieszeni spodni i wyjmuje rewolwer. Nie była w stanie rozpoznać innego dźwięku: tępego dudnienia dobiegającego od strony młyna. Usiadła na łóżku i dotknęła stopami zimnej podłogi.

Szept Nathana sprawił, że podskoczyła. Nie słyszała, kiedy zbliżył się do niej.

— Tu masz strzelbę — powiedział, wkładając jej broń do rąk. Metalowa lufa była tak zimna, że w pierwszym momencie aż parzyła. — Schowaj się za posłaniem i wyceluj w drzwi. Ktokolwiek tu wejdzie, strzelaj. Wszystko jedno, gdzie trafisz. Jeśli to ja wrócę, zawołam cię po imieniu.

Gdy mąż wyszedł, Chess zorientowała się, iż wstrzymywała oddech, ponieważ przed oczyma zaczęły wirować jej kolorowe płatki. Kiedy w oddali usłyszała strzały, ponownie zamarła.

Dłonie miała zupełnie wilgotne. Jakże zdołała tak bardzo się spocić, skoro w izbie panował przenikliwy chłód? Wypreżona jak struna, długi czas w napięciu oczekiwała kolejnych odgłosów.

Nagle usłyszała na moście czyjeś kroki. Były bardzo ciche. Otarła wilgotne dłonie o nocną koszulę i ujęła strzelbę.

Nienawidzę broni — pomyślała. — Za każdym razem strzelba rani mnie w ramię. Siłą woli zdusiła nerwowy chichot.

— Chess!

226

Niemal naciskała już spust, kiedy całe jej ciało drgnęło na dźwięk tego głosu.

Nate pośpiesznie wszedł do środka i rzucił w wygasające palenisko kominka kilka szczap drewna.

Natychmiast zajęły się ogniem. Trzask płomieni wydawał się w panującej ciszy dziwnie hałaśliwy.

Gdy ogień dotarł do ostatniego polana, w górę strzeliły iskry.

— Kiedy następnym razem będę w środku nocy wychodził, żeby strzelać do ludzi, bądź tak dobra i przypomnij mi o włożeniu butów. — Nate uśmiechnął się lekko, ale w blasku ognia uśmiech ten wydał się nienaturalnym grymasem.

— Co się stało? Wszystko w porządku?

— Opuść strzelbę. Zbyt wiele tu broni.

Nate pochylił się, jakby nagle chwycił go silny ból.

— Jesteś ranny! — Chess rzuciła strzelbę na posłanie i podbiegła do męża.

Mężczyzna wyciągnął jednak rękę, nie pozwalając jej zbliżyć się do siebie.

— Nie jestem ranny. Nie dałem im takiej szansy. Och, Boże... — te ostatnie słowa zabrzmiały jak jęk rozpaczony lub modlitwa o przebaczenie. — Było ich dwóch. Jeden stał na warcie przed drzwiami do izby z maszyną, drugi zaś próbował siekierą rozwalić zamek. Nawet mnie nie zobaczyli. Strzeliłem im w plecy.

Spuścił wzrok i utkwiał go w ziemi. Twarz miał poczerwieniałą ze wstydu.

— Co miałem zrobić? Wyzwać ich na pojedynek? Zastrzeliłem obu, jakby byli zakradającymi się do kurnika łasicami lub skunksami, ponieważ w gruncie rzeczy nie różnili się od tych zwierząt. Po raz pierwszy musiałem zabić człowieka — dodał, patrząc na żonę nieprzytomnym wzrokiem.

Silny dreszcz wstrząsnął ciałem Nate'a. Chess objęła męża ramieniem i przytuliła jego głowę do piersi. Czowała, jak spływa na nią spokój, a serce przepelnia miłość do tego

człowieka. Przymknęła oczy, mając nadzieję, że jej spokój udzieli się także mężowi.

Po jakimś czasie Nate otarł twarz i uśmiechnął się blado.

— Wybacz mi — szepnął.

— Cóż mam ci wybaczyć, Nathanie? Jestem z ciebie dumna. Dumna, że zrobiłeś to, co należało uczynić. I że mimo to nie lubisz zabijać. Co z nimi zrobimy?

— Wrzuciłem ich już do strumienia. Nurt zanieś ciała aż do połowy drogi do Raleigh. Kiedy wstanie dzień i będzie coś widać, pójdę umyć podłogę.

— Pomogę ci.

Oboje nie mogli już zasnąć tej nocy. Chess zaparzyła kawę i siedzieli rozmawiając o tym, że choć tak bardzo starali się dotrzymać tajemnicy, ktoś musiał się dowiedzieć o maszynie. Przecież właśnie po nią przyszli tu ci dwaj ludzie. W kasetce na pieniądze ciągle znajdował się dzienny utarg młyna, który zmęczona Chess zapomniała zabrać ze sobą do domu.

Inną zagadkę stanowiło to, kto ich tu przysłał. I po co? Żeby ukradli urządzenie Standisha? A może, żeby je zniszczyli?

W końcu Nate uciał te domysły. Nigdy się tego nie dowiedzą. Nigdy też ten, kto wysłał ich tutaj — w jakimkolwiek uczynił to celu — nie odgadnie, co się z nimi stało. Ważniejszą rzeczą było to, że ktoś dowiedział się o maszynie i uznał, że jest ona warta nocnego napadu na młyn.

— Pamiętasz Bonsacka? — zapytała Chess. — Spalono jego urządzenie w Lynchburgu.

— Pamiętam. Niewykluczone, że to ta sama osoba. Tak czy owak, musimy być teraz szczególnie ostrożni. Trzeba też wybrać się do Durham i posłuchać, co mówią ludzie.

Rankiem wyszorowali podłogę i plamy krwi zniknęły. Zabójstwo popełnione przez Nate'a miało nigdy nie wyjść na jaw.

Jednak Chess zaczęły nocami nawiedzać sny, które, jak sądziła, na zawsze przestały już ją dręczyć.

Śniło się jej, że

jest młodą dziewczyną. Na gałęziach drzew kwitną kwiaty. Lekki wiaterek unosi białe płatki dereniowego kwiecia, rozsiewając wokół ich słodką woń. Niesie je daleko, daleko, ku kałuży purpurowej, mokrej miazgi, która zostawiała na nich plamy lśniącej czerwieni. Płatki osiadały na splamionym szkarłatem, popielatym kapeluszu leżącym obok munduru ze złotymi naszywkami i układały się miękko na odrzuconej na bok dłoni, której najmniejszy z długich, pięknych palców był ozdobiony złotym pierścieniem.

Ten nocny koszmar wiązał się ze śmiercią jej ojca. Znowu do niej wrócił. Tyle, że tym razem widziała dwa zastrzelone ciała, krwi zaś było tak wiele, że tworzyła ona całą rzekę czerwieni. Jej fale powoli unosiły trupy coraz dalej, tak że w końcu znikaly Chess z oczu, pozostawiając po sobie jedynie zapach śmierci, pomieszany z wonią nasiąkniętej krwią mąki.

Na szczęście po obudzeniu nie pamiętała niczego. Cieszyła się jedynie, że już się obudziła, i miała uczucie, że ani trochę nie odpoczęła.

Nathan oświadczył, że zamierza wynająć człowieka do pracy w młynie. Najpotężniejszego, jakiego znajdzie, i o możliwie odstrasającym wyglądzie.

— Będzie mnie zastępował w każdy wtorek i środę, co da mi czas na wystruganie w domu nowych części maszyny, a także na podróże do Durham.

Plan nie był trudny do zrealizowania'— młyn przynosił spore dochody i mieli już nieco zaoszczędzonych pieniędzy.

— Pozwól, że obejrzę go najpierw, zanim zaproponujesz mu pracę — poprosiła Chess. — Bądź co bądź to ja będę wydawać mu polecenia. I chcę, żeby pracował tutaj jeszcze jeden dzień razem z tobą, dzięki czemu ja mogłabym zostać w domu. Muszę od czasu do czasu posprzątać. To miejsce zaczyna przypominać chlew. Muszę także złożyć kilka wizyt. Spotykam w młynie wiele żon farmerów, a poza tym

cztery damy obecne na lunchu u Edith Horton, nie zastawszy mnie w domu, zostawiły mi swoje karty wizytowe z zaproszeniami.

— Czemu po prostu nie przeszły przez most i nie spotkały się z tobą w młynie?

— Ponieważ była to wizyta towarzyska, Nathanie.

— Jeszcze jeden dziwny obyczaj tych twoich dam, co?

— Nie zwracaj sobie tym głowy. Po prostu zrób tak, byś przez jedno popołudnie w tygodniu mełł zboże razem z tym człowiekiem, ja zaś będę miała wówczas wolne. Aha; i kup mi w Durham ładny papier listowy. Muszę powiadomić znajomych, kiedy jestem w domu i przyjmuję.

Po tej rozmowie Chess co czwartek składała wizyty mieszkającym najbliżej nich sąsiadom. Tylko srogi mróz mógł ją przed tym powstrzymać — tak gorąco tęskniła za przyjaciółmi. A także za normalnym życiem. Stopniowo nocne koszmary ustąpiły.

We wtorki Nate udawał się do Durham — cotygodniowa gazeta „Uprawa Tytoniu” przychodziła do miasta w poniedziałek po południu. Już podczas swej pierwszej wyprawy udało mu się rozwikłać jedną z zagadek. Jack Burlington, naczelnik poczty, przywitał go jak starego przyjaciela.

— Hej, Nate. Tak długo cię tu nie widzieliśmy, że zaczęliśmy już przypuszczać, iż pojechałeś do Kalifornii szukać złota.

Jowialna twarz Burlingtona pałała rumieńcem, a oddech już o dziesiątej rano miał przesycony zapachem whisky i tytoniu do żucia. Jego rozbiegane oczy płonęły ciekawością.

Kryjąc niesmak, Nate przyłączył się do śmiejącego się rechetliwie z własnego dowcipu mężczyzny. O złocie Kalifornii nie mówiło się już od ponad dwudziestu lat i tylko najbardziej naiwne żółtodzioby wierzyły, że jeszcze ono tam jest. Wędrowni handlarze sprzedawali głupim, żyjącym z uprawy tytoniu farmerom udziały w nie istniejących ko-

palniach złota, zgarniając do swojej kieszeni zarobione na aukcjach pieniądze. Nate postanowił zachować w pamięci tę obraźliwą uwagę. Nadejdzie taki dzień — obiecał w duchu Jackowi Burlingtonowi — kiedy będziesz się do mnie zwracał „panie Richardson” i zdejmował na mój widok kapelusz.

— Czy podczas mojej nieobecności nadeszły jakieś listy? — zapytał, kiedy uznał, że wystarczająco długo już śmiał się z dowcipu Jacka.

— Cała sterta — powiedział Burlington. — Świąteczne życzenia zawsze są dla poczty nie lada utrapieniem.

Z uśmiechem położył przed Nate'em na kontuarze plik listów. Na samej górze znajdowała się zaadresowana na maszynie koperta z Ellansee Paper Company.

— Masz krewnych, którzy zajmują się produkcją papierosów? — zapytał Burlington. — Blackwellowie biorą z Ellansee mnóstwo bibuły, odkąd w ich fabryce zaczęto zwijać te zabawne ruloniki — dodał, strzykając Nate'owi pod nogi śliną pomieszaną z sokiem tytoniowym. — Prawdziwy mężczyzna może jedynie pogardzać mięczakami, którzy palą papierosy — wyjaśnił.

— Mąż mojej siostry pracuje w takiej fabryce — odrzekł Nate.

Nawet jeśli Burlington mu uwierzył, co było nad wyraz wątpliwe, Richardson wiedział, że to kłamstwo przyszło zbyt późno, aby powstrzymać domysły. Dwaj ludzie, którzy zakradli się do młyna, byli tego najlepszym dowodem.

Ale przynajmniej dowiedział się, po co tam przyszli. A także, że Blackwell — Byk — wierzył, iż wytwarzanie gotowych papierosów ma przyszłość. Czasy naprawdę się zmieniały i należało iść z postępem.

Nate czuł się tak, jakby wymierzono mu cios żelazną pięścią. W żaden sposób nie pokazał tego jednak po sobie, z uśmiechem tracąc cenny czas na rozmowę z naczelnikiem poczty o wadach i zaletach prowadzenia młyna. Przedłużająca się konwersacja stanowiła nieodzowną część każdego

rodzaju transakcji. Pośpiech sprawiał, że ludzie zaczęli traktować cię podejrzliwie. I mówić o tobie. Nate wsunął listy do kieszeni, nie czytając ich. To mogło poczekać, natomiast rozmowa z Jimem Monroe — nie. Jim wiedział o rzeczach, o których nigdy nie pisano w gazetach. Największy sklep w mieście, w którym pracował, stanowił doskonałe miejsce do słuchania nowin. Bar, gdzie pracowała jego Dorena, był jeszcze lepszy, dziewczyna zaś powtarzała mu wszystko, kiedy szli ze sobą do łóżka. Jim powiedział, że zarówno Blackwell, jak i Buck Düke próbowali ubić interes z ludźmi Bonsacka. Nie wspomniał by jacyś mieszkańcy Durham w tajemniczy sposób zniknęły z miasta, co znaczyło, że Nate nigdy prawdopodobnie nie dowie się, kogo zabił.

Obaj mężczyźni zjedli w Dixie Barroom solidny obiad, złożony z wieprzowych kotletów i zielonego groszku. Kiedy Dorena przyniosła im wypełnione po brzegi talerze, Nate pogawędził z nią chwilę, zgadzając się, że zimowy chłód zaostrza apetyt, że święta Bożego Narodzenia zawsze nadchodzą tak szybko, iż ludzie nie zdążą się do nich przygotować, i że Jim, pracując w sklepie, stanie się zapewne wkrótce doskonałym ekspedientem.

— Miła kobieta — stwierdził Nate, kiedy kelnerka odeszła.

— Jeszcze jak! — zgodził się Jim, po czym przechylając się nad stołem, dodał: — Ma koleżankę, która cholernie chętnie spotkałaby się z jakimś moim przyjacielem. Ma na imię Julie. To również śliczna dziewczyna. Buzię ma niewinną jak niemowlę i jest naprawdę czysta.

— Dziękuję, ale nie, Jim. To zabawne, lecz gdy człowiek pracuje naprawdę ciężko, zapomina o kobietach.

— Do licha, Nate. To chyba najsmutniejsza rzecz, jaką w życiu usłyszałem.

— Nie zapominaj też, że mam żonę.

Monroe oblał się rumieńcem. Chess zawsze sprawiała, że Jim się rumienił.

Nate ukrył uśmiech. Po chwili jednak stracił całą ochotę do śmiechu. Nie był uczciwy wobec Chess. Obiecał żonie dziecko, a od blisko sześciu miesięcy nie uczynił nic, by spełnić to przyrzeczenie. Po obiedzie kupił jej w sklepie Angiera prezent. Była to jaskrawokolorowa świąteczna pocztówka — jedna z najmodniejszych obecnie rzeczy, jak zapewnił go Jim.

— Włóż ją tak, żeby zdobiła cynowe pudełko z czekoladkami — polecił Nate. — Daj mi tę z Jezuskiem na sianie.

Wieczorem tego samego dnia podciągnął w górę nocną koszulę żony. Chess rozchyliła nogi.

— Po prostu obejmij mnie za szyję, kochanie. Pamiętasz — wymamrotał.

Ku jego zaskoczeniu Chess odepchnęła go od siebie.

— Nie nazywaj mnie „kochaniem”! — krzyknęła. — Nigdy więcej. — Zatrzęsła się z gniewu na wspomnienie rozmarzonego głosu Alvy, opowiadającej o romansie z bratankiem swego męża. — Nienawidzę tego słowa, Nathanie.

Mężczyzna nie wiedział, co sprawiło ją w taki gniew. Może po stracie Franka bała się miłości?

— Nie chcesz mieć następnego dziecka, Chess?

— Owszem, chcę — odparła, wyczuwając napięcie w jego głosie i dostrzegając je także w oświetlonej blaskiem księżyca twarzy męża. — Pragnę jednak, byś nazywał mnie moim własnym imieniem.

— Obejmij mnie wobec tego za szyję, Chess. Nie sprawię ci bólu, obiecuję.

Posłusznie otoczyła go ramionami i zamknęła oczy, by móc w pełni przeżyć te krótkie minuty wzajemnej bliskości.

Na święta Bożego Narodzenia ofiarowała mu gotowy już materac z drzewnych wiórów. Pachniał słodko i czysto, a przy tym należał tylko do nich: Alva zniknęła.

Rozdział 20

Bobby Fred Hamilton — oto jak nazywał się szeroki w barach mężczyzna, którego zatrudnili w młynie. Nate nadał mu przydomek „Żołnierz”. Mężczyzna miał gęstą, kręconą brodę, która sprawiała, że wyglądał jeszcze potężniej i groźniej. Już pierwszego dnia pracy dowiedział się, że Chess jest córką człowieka, który walczył w armii Roberta E. Lee, w związku z czym uznał się za jej uniozonego sługę. Bobby Fred należał do żołnierzy, którymi dowodził Nathan Bedford Forrest, i wzruszał się, ilekroć opowiadał o jego bohaterskiej śmierci w siedemdziesiątym siódmym roku. Głos Bobby'ego zawsze brzmiał jednak twardo, kiedy wciąż od nowa przeżywał pełne chwwały dni i wspominał „kawalerzystów walczących z tymi przeklętymi Jankesami... o, przepraszam panią... na wzgórzach w Tennessee”. Chess godzinami przesiadywała z nim na kamiennych schodach i w bladych promieniach zimowego słońca słuchała jego opowieści. Bardzo niewiele wozów przejeżdżało teraz przez most. Świąteczne ciasta zostały już upieczone, pola ściał mróz, a oblodzone drogi były bardzo niebezpieczne dla koni. Bobby Fred przychodził do pracy pieszo z oddalonej o pięć kilometrów farmy swego kuzyna. Zanim dotarł do młyna, na jego brodzie osiadała szara mgiełka szronu.

Chess martwiła się o niego: nie był już taki młody, a ponadto pod Vicksburgiem został ranny w pierś. Bobby Fred martwił się natomiast o nią. Dama, której

ojciec był jednym z oficerów Roberta Lee, nie powinna mleć mąki i szorować podłóg.

Oboje szybko stali się oddanymi sobie przyjaciółmi.

— Poświęciłbym życie za panią Richardson, Nate — powiedział pewnego razu Bobby. Odmawiał nazywania Chess po imieniu, ale ojciec Nate'a nie odznaczył się w końcu niczym podczas wojny secesyjnej.

— Wierzę ci, Żołnierzu. Bardzo mnie to cieszy.

Nate nienawidził wydawania pieniędzy, kiedy w młynie nie było pracy, ale Hamilton miał opinię mistrza w bójkach na pięści i doskonałego strzelca. Wart był swojej pensji już choćby dlatego, że sama jego obecność mogła zniechęcić konkurentów Richardsona do nastawiania na jego własność.

— Oczywiście, wystraszy on również na śmierć wszystkich farmerów przyjeżdżających tu z ziarnem do zmielenia, kiedy nasz interes na nowo ruszy pełną parą — śmiała się Chess. — Wyobrażam sobie, jak ludzie będą zacinać batem konie i pośpiesznie zawracać na moście, by uciec jak najdalej stąd.

— To nie ma znaczenia. Wtedy będziemy już produkować papierosy — w głosie Nate'a pobrzmiwała ogromna wiara w siebie.

Chess modliła się, by miał rację. Praca nad maszyną stała się obsesją męża. Jego serce i umysł były nią całkowicie pochłonięte.

W połowie lutego nadszedł czas, by wypróbować urządzenie.

Nie obyło się bez kłopotów. Ramię łączące maszynę z młyńskim kołem było podobne do tego, które poruszało żarnami, ale ruch, w jaki wprawiało urządzenie, okazał się zbyt powolny.

Jednak korbowody się przesuwały, a koła zębate obracały

bezszelestnie i powoli. Uchylona klapka przy pojemniku na tytoń otwierała się i zamykała, rolka na papier — jeszcze bez papieru — kręciła się jak należy, płócienny pasek przesuwiał wolno pod pędzelkiem pustego teraz zbiorniczka na klej, a wirujące noże leniwie przecinały powietrze. Chess i Nate patrzyli na siebie w osłupieniu. Trudno było im uwierzyć, że marzenie stało się rzeczywistością. Tylko dzieci uważają cuda za rzecz naturalną.

— Co teraz? — szepnęła kobieta.

Po krótkim namyśle Nate postanowił wybrać się wozem do Richmond, aby tam kupić „dodatki” — specjalny klej, rolki bibułki oraz tekturę na opakowania. W czterech różnych składach kupił pokruszony już tytoń — w każdym tylko niewielką porcję. Za każdym razem płacił gotówką i przedstawił się innym nazwiskiem. Fabrykę Allena i Gintera ominął szerokim łukiem — było mało prawdopodobne, by ktokolwiek go rozpoznał, ale należało zachować ostrożność. Szczególnie teraz, kiedy tak niewiele brakowało, by dotrzeć do celu.

Podczas długiej, męczącej podróży powrotnej spał na wozie, nie wypuszczając rewolweru z dłoni. Po raz pierwszy od niemal dwudziestu lat całymi dniami się nie mył.

Chess długie godziny obserwowała drogę, wypatrując go. Jednym tylko uchem słuchała wojennych opowieści Bobby'ego Freda.

Nate dotarł do domu w nocy, aby Żołnierz nie mógł zobaczyć, czym jest załadowany wóz. Bobby Fred, który ukrył się w zaroślach, by bronić Chess przed rabusiami, nieomal go zastrzelił.

— Dzięki Bogu, że świeci księżyc — powiedział do swego chlebobawcy. — Pomogę ci w wyładunku.

— Dał słowo żołnierza Konfederacji, że nikomu nie zdradzi tego, co zobaczył.

Mimo to Nate się martwił. Chess natomiast nie żywiła żadnych obaw.

Nadal pozostawało wiele do zrobienia. Tytoń trzeba było jeszcze" bardziej rozdrobnić i przesiać, a przekładnia łącząca maszynę z młyńskim kołem wymagała lepszego dopasowania. Należało również jakoś nazwać i zarejestrować ich przedsiębiorstwo w sądzie w Hillsborough.

— Nazwiemy je Standish Cigarette Company, na cześć wynalazku twojego dziadka — powiedział Nate. — Ale zostawimy to sobie na koniec: gdy już będziemy wytwarzać i sprzedawać papierosy. Przecież po rejestracji w sądzie wszyscy się o nas dowiedzą. A wówczas podniesie się nielicha wrzawa.

Pierwszego kwietnia Żołnierz pomógł Nate'owi załadować na wóz pięćset pierwszych tekturowych pudełek. W każdym z nich mieściło się sto dziesięciopapierosowych paczek.

— To najlepszy dzień na zrobienie z siebie głupca — zauważył ze śmiechem Nathan. Chess rozpoznała w jego oczach znajomy błysk. Wiedziała, że jej mąż kocha ryzyko i uwielbia rzucać wyzwania losowi. — Pojadę prosto do Durham — postanowił. — Tam właśnie Buli i Buck są najsilniejsi. Pokonam ich, zanim oni zyskają szansę, by pokonać mnie.

Gdy tylko odjechał, na moście pojawił się pierwszy wóz z ziarnem. Teraz, kiedy zrobiło się ciepło, w młynie z każdym dniem przybywało pracy.

Przynajmniej będę miała czym się zająć — pomyślała z wdzięcznością Chess. — Dzięki temu szybciej upłynie mi czas oczekiwania.

Szorowała właśnie podłogę, kiedy w drzwiach stanął Nathan. Zamarła z niepokoju. Nie było go zaledwie przez kilka godzin. Co się stało?

— Wszystkie! — wykrzyknął Nate. — Chess, sprzedałem wszystkie papierosy, co do jednej paczki! Wynająłem prawnika, by wypełnił nam formularze rejestracyjne,

i otworzyłem rachunek w banku. Kupiłem też cały wóz już przesianego tytoniu. Kapelusze z głów, nadchodzą dla nas wspaniałe czasy.

Dopiero teraz zauważył, że mają klienta. Był to właściciel pobliskiej farmy.

— Alec! — zawołał głośno Nate. — Pozwól, że uścisknę ci dłoń. Sam przywiozę ci jeszcze dzisiaj twoją mąkę. Jestem tak szczęśliwy, że pragnę, by także innych spotkała dziś jakaś radość.

— No cóż... dziękuję ci — odrzekł niepewnie Alec, wróciwszy zaś do domu, oświadczył żonie, że Nathaniel Richardson chyba postradał zmysły.

|

Przyczyna tego, że Nate tak od ręki sprzedał cały ładunek, była całkiem prosta: jego papierosy kosztowały znacznie mniej od innych. Ręcznie skręcane z fabryk Duke'a, Bulla czy firmy Allen and Ginter oferowano pośrednikom po pięć dolarów za tysiąc sztuk. Cena Nate'a wynosiła trzy dolary siedemdziesiąt pięć centów.

— Zaledwie zdążyłem kupić znaczki opłaty skarbowej i poszedłem do Jima, by pomógł mi nakleić je na pudełka papierosów, kiedy w sklepie Angiera natknąłem się na jednego z komiwojażerów twojego wuja Lewisa. Kupił od ręki cały ładunek, twierdząc, że sprzeda go podczas podróży. Prawdopodobnie zresztą upłynni osobno znaczki i osobno papierosy, ale to już nie moja sprawa. Dostałem urzędowe zaświadczenie o uiszczeniu podatku, jestem więc czysty. Jim wściekł się, że nie dostał ani paczki do swojego sklepu. Miałem nadzieję, że może kupi ode mnie z tysiąc sztuk, najwyżej dwa, ale ponieważ nie dostał ani jednej, zamówił pięć tysięcy z następnej dostawy.

Nate wyjrzał przez okno i spostrzegł stojącego na drabinie Bobby'ego Freda.

— Zejdź no, Żołnierzu, i chodź tutaj. Mam ci coś do powiedzenia.

Zbliżył się do potężnie zbudowanego mężczyzny i poklepał go po plecach.

— Zaraz wybieram się na wieś i wynajmę do pracy jeszcze jednego człowieka. Będzie twoim pomocnikiem. Od tej chwili jesteś szefem tego młyna. Pani Richardson i ja zajmiemy się bowiem budową fabryki papierosów.

Zanim Chess zdążyła otworzyć usta, wybiegł z domu. Bezradnie popatrzyła na Bobby'ego Freda. Mężczyzna wzruszył ramionami. Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Sposób, w jaki Nate objawiał swoją radość, był doprawdy zabawny.

Następnego dnia maszyna Standisha pracowała bez przerwy, o ile tylko nie było klientów, pragnących zemleć mąkę. Nate rozłączał mechanizm, za pomocą którego młyńskie koła obracały żarnami, i uruchamiał maszynę Standisha. Wyprodukował jednak niewiele towaru — zaledwie pięć tysięcy sztuk.

— To wystarczy, by pokryć zamówienie Jima — stwierdziła Chess. — I w ogóle nie straciłeś na to czasu, jeśli nie liczyś tych chwil, kiedy rozłączałeś żarna.

— Nic nie rozumiesz! Gdybyśmy przez cały czas produkowali papierosy, robilibyśmy ich ponad pięćdziesiąt tysięcy dziennie. To dawałoby prawie dwieście dolarów zarobku. Odejmij od tego dolara siedemdziesiąt pięć centów na opłatę skarbową oraz zakup tytoniu i dodatków, a wciąż jeszcze zostaje ci w kieszeni około pięćdziesięciu dolarów. Dziennie, Chess! Przed upływem tygodnia zarobimy więcej, niż dostałem na aukcji za mój wspaniały cytrynowy tytoń.

— Nie chciałabym gasić twego entuzjazmu, ale nie jestem pewna, czy zdołałbyś sprzedawać pięćdziesiąt tysięcy papierosów miesięcznie, nie mówiąc już: dziennie. Wiem za to, że młyn przynosi nam prawie dwadzieścia dolarów miesięcznie zysku. To mnóstwo pieniędzy.

— Nie twierdzę przecież, że mamy przestać mleć mąkę! Mówiłem, że powinniśmy zbudować fabrykę. Miejsce, gdzie będziemy robić wyłącznie papierosy. Mamy w banku ponad

czterysta dolarów, moja pani. Moglibyśmy za to wybudować cały pałac, gdybyśmy tylko chcieli. Chess czuła, że uginają się pod nią nogi. Ciężko osunęła się na podłogę. Czterysta dolarów? Cóż za bogactwo! A przecież nie powinno to być dla niej żadną niespodzianką: bądź co bądź pomogła Nate'owi obliczyć koszty i ustalić cenę ich towaru. Jej rachunki były jednak robione w przeliczeniu na tysiąc sztuk, zapomniała zaś, że mąż załadował na wóz pół miliona papierosów! Kiedy zdała sobie z tego sprawę, jej umysł zabrał się energicznie do pracy.

— Powinniśmy wynająć cieśli, którzy zrobią drugie młyńskie koło dla fabryki — powiedziała. — Tobie i Jimowi, ta robota zajęła prawie dwa miesiące. Uważam również, że sam budynek należy wznieść z cegły, a nie z drewna. Dzięki\ temu zmniejszymy ryzyko pożaru.

Była w tym momencie bardzo podobna do swego męża — miała taki sam wyraz twarzy i takie samo roziskrzone spojrzenie.

Trzy dni później złożył im wizytę szeryf hrabstwa Durham. Towarzyszyło mu dwóch uzbrojonych w strzelby pomocników. Podczas gdy jeden z nich stał na straży, szeryf wręczył Nate'owi przywieziony z sobą dokument. Wynikało z niego, że Richardson jest oskarżony o kradzież patentu. Bonsack Company żądała odeń pięciu tysięcy dolarów odszkodowania.

Szeryf zabił gwoździami drzwi do młyna i zostawił strażnika do ich pilnowania.

— Pozwolenie na prowadzenie interesu zostaje cofnięte aż do chwili, gdy zakończy się postępowanie sądowe — oznajmił. — To, co znajduje się w środku, zostało włączone do dowodów rzeczowych dla sądu.

Żołnierz nie omieszkał głośno wyrazić swojej opinii o takim postępowaniu.

— Nigdy nie słyszałem, by zatrudniać lisa do pilnowa-

nia kurnika — oświadczył na koniec. — Będę miał oko na tego małego łachmaniarza.

— Uważaj pan, co mówisz — syknął rozwścieczony strażnik, obrzucając Bobby'ego Freda gniewnym spojrzeniem. Patrzył tak na niego zaledwie kilka sekund. Potem odwrócił się i ostentacyjnie poruszył klamką, by się upewnić, iż drzwi nie da się otworzyć.

Nate poszedł razem z Chess do domu.

— Wyciągnij swój patent — polecił niecierpliwie. — Pojedziemy do Pete'a Bingham, tego prawnika w Durham, o którym ci mówiłem. Nie ufam szeryfowi. Nie miał prawa tu przyjeżdżać. Jesteśmy w hrabstwie Orange, a nie Durham. Uprzedzałem cię, że zrobi się spore zamieszanie. Ktoś w Durham — może nawet więcej niż jedna osoba — musiał się poczuć mocno zagrożony.

— Akt oskarżenia mówi o Bonsacku.

— Ale ten pomysł poddał mu ktoś z Durham. Roanoke jest daleko stąd. Pete powinien natychmiast zobaczyć ten dokument. Maszyna twojego dziadka była pierwsza i to zamyka całą sprawę.

— Nie jestem tego taka pewna. Zaczekaj minutę, niech nad tym pomyśle...

Maszyna Bonsacka bez przerwy się psuła — wiedzieli o tym z listu Augustusa Standisha. Tymczasem urządzenie wynalezione przez jej dziadka działało bez zarzutu. Musiały się wobec tego różnić. To dawało im wyjście z sytuacji na wypadek, gdyby patent Bonsacka okazał się wcześniejszy. Czyż jednak nie było lepiej pozwolić konkurentom używać tamtego urządzenia ze wszystkimi jego wadami? Jeśli sprawa znajdzie się w sądzie, wynalazek Standisha będzie stanowił dowód rzeczowy. Adwokaci drugiej strony zyskają prawo dokładnego obejrzenia go, a wtedy dowiedzą się, dlaczego jest on lepszy od tego, co skonstruował Bonsack.

— Czy ty przy takiej okazji nie posłałbyś do konkurencji inżyniera, który tylko udawałby prawnika? Ja właśnie tak bym postąpiła. A wówczas ten człowiek mógłby

dokonać wszelkich potrzebnych pomiarów i potajemnie zrobić rysunki. Uważam, że powinniśmy pojechać prosto do Bonsacka i zawrzeć z nim ugodę. Damy mu spokój pod warunkiem, że i on odczepi się od nas. To uchroni maszynę dziadka przed wzrokiem wścibskich prawników. Nate przez chwilę rozważał jej słowa.

— Masz sporo racji, współniczko — zgodził się. — Pozostaje jednak jeszcze coś: musimy mieć pewność, że szeryf nie zabierze stąd naszego urządzenia ani nie przyśle kogoś, żeby je sobie dobrze obejrzał. Mam pewien pomysł...

Jakiś czas później Chess opuściła dom, niosąc dzbanek świeżo zaparzonej kawy. W powietrzu rozszedł się kuszący zapach.

— Bardzo mi was żal! — zawołała do pilnujących młyna mężczyzn. Wręczając Bobby'emu kubek, szepnęła: — Powiedz, że nie chcesz, i idź na spotkanie z Nathanem przy młyńskim kole.

W chwilę później szczebiotała wesoło, popijając kawę z pomocnikiem szeryfa. W tym samym czasie Nate i Żołnierz wspięli się po łopatkach wielkiego młyńskiego koła na platformę naprzeciwko okna na poddaszu budynku. Bobby Fred obwiązał się w pasie liną, której drugi koniec został przewleczony przez odłączoną w tej chwili przekładnię napędzającą żarna. Następnie, kiedy Żołnierz napiął mięśnie i na chwilę zatrzymał koło, Nate bosko prześlizgnął się do okienka i zniknął we wnętrzu młyna.

Chess śmiała się i gadała jak najęta, póki nie zaschło jej w gardle. Jej mąż także nie próżnował: rozmontował wszystko prócz obudowy urządzenia i w czterech beczkach spuścił Żołnierzowi na linie całą, rozłożoną na części maszynę Standisha.

Kiedy wszystkie beczki znalazły się już na platformie, Nate tą samą drogą, jaką wszedł, wymknął się z młyna, po czym po łopatkach koła zszedł na ziemię. Żołnierz spuścił mu kolejno beczki, a następnie on także, uwolniwszy się od

liny, przedostał się na dół. Wspólnie ukryli zdemontowaną maszynę pod liśćmi w lesie.

— Nie bawiłem się tak dobrze od czasu, kiedy byłem w armii — chichotał Bobby Fred, z zadowoleniem klepiąc się po pokrytej bliznami piersi.

— Jak sądzę, panie Bonsack, zdarzyło się panu kilkakrotnie rozmawiać z moim dziadkiem, Augustusem Stan-dishem z plantacji Harefields.

Chess wyglądała i czuła się nader elegancko w swojej popielatej sukni i słomkowym kapeluszu, który Jim Monroe dał im na kredyt — ich nowy rachunek w banku został zamrożony, miał bowiem służyć jako dowód w rozprawie sądowej.

Prawnik Bonsacka próbował coś powiedzieć, ale Nate doradził mu, by siedział cicho.

— Teraz mówi moja żona, proszę pana. Nie jest pan chyba tak źle wychowany, by przerywać damie, prawda? Mógłbym uznać to za obrazę mojej małżonki.

— Widzę po pańskiej minie, panie Bonsack — ciągnęła Chess — że domyśla się pan, co mam mu do powiedzenia. Nie ma pan jednak powodu do niepokoju...

Przed upływem godziny obie strony osiągnęły porozumienie.

Nate towarzyszył prawnikowi aż do biura Western Union.

— Chcę się upewnić, że na dobre uciszy pan te psy — oświadczył. Tak naprawdę jednak interesowało go to, jak owe „psy” się nazywają.

— Tak jak podejrzewałem — powiedział później Chess — maczali w tym palce Buck i Buli. Oraz twój wuj Lewis.

Kobieta oniemiała ze zdumienia.

— Ależ on wie, że jesteś moim mężem! — wybuchnęła. — Poza tym przyjaźni się z dziadkiem.

— Już ci kiedyś mówiłem, że w interesach nie ma miejsca na przyjaźń. Tu trzeba być twardym jak skała i przebiegłym jak lis.

Kiedy wrócili do młyna, Nate i Żołnierz wynajęli kilkunastu mężczyzn, by strzegli budynku, i dopiero wówczas odważyli się przynieść z powrotem z lasu maszynę. Na drzwiach zainstalowano dodatkowy rygiel i dwa nowe zamki.

— Teraz możemy zabrać się do interesów — stwierdził Nate z błyskiem w oku. — Niech te sukinsyny trzęsą portkami, wszak życzyli nam jak najgorzej.

Rozdział 21

Chess obawiała się, że nikt nie będzie już przywoził im ziarna do zmielenia, ponieważ urzędnicy szeryfa zawracali wszystkie wozy, dopóki sprawa w sądzie nie została definitywnie umorzona. Wbrew jednak jej niepokojom każdego dnia od świtu do zmierzchu ciągnął nieprzerwany strumień wozów. Wszyscy musieli długo czekać na swoją kolej, ale nikt o to nie dbał. Panowała karnawałowa atmosfera.

— Czy to nie miłe, Nathanie? Jestem tak zmęczona, że wprost lecę z nóg, ale nie przejmuję się tym. Wszyscy chcą nam okazać, że są po naszej stronie.

Nate wyśmiewał jej naiwność.

— Wszyscy chcą zobaczyć przestępców, Chess. Niektórzy przywiozą tu nawet ze sobą całe rodziny. Nie wiedzą, co takiego zrobiliśmy, ale sądzą, że zdołaliśmy ujść sprawiedliwości, i to czyni z nas bohaterów. Ludzie na farmach nie lubią szeryfów. Strażnicy prawa mieszają się do interesów, chociaż nikt ich o to nie prosi. To się ludziom nie podoba — szczególnie tu, na Południu.

Nathan codziennie jeździł do Durham. Miał tam sporo spraw do załatwienia: zakupił cegłę na budowę fabryki, mówiąc w cegielni, że potrzebuje jej, by postawić dom, oraz dostarczył Jimowi Monroe pięć tysięcy papierosów. Zostawił także po jednym pudełku w innych sklepach i barach w mieście.

— To próbna partia. Za darmo — zachęcał. — Palcie sami i namawiajcie klientów do kupowania ich. Biorąc po pięć centów za dziesięć sztuk, zarabiacie jednego i ćwierć centa, o ile zechcecie u mnie zamówić dostawę.

Starał się przy tym, by ludzie go zauważali. Szczególnie ci związani z tytoniowym biznesem. Niech widzą, że jest uśmiechnięty, silniejszy, niż im się wydawało, zwycięski. Eugene Morehead, prezes banku, uroczyście przeprosił go za „godną ubolewania pomyłkę”, jaka zaistniała.

Nate przyjął jego wyjaśnienia.

Wychodząc z banku, czuł się, jakby miał trzy metry wzrostu. Nathaniel Richardson z hrabstwa Alamance odwiedził bank i został tam osobiście powitany przez jego prezesa. Zawsze marzył o czymś takim i oto marzenia stał[^] się rzeczywistością. A przecież to był dopiero początek.

— Hej, Nate! To naprawdę ty? , Nathan odwrócił się i ujrzał swego brata Gideona.

— Witaj, braciszku! — zawołał ucieszony. — Wyglądasz wspaniale.

Mówił prawdę. Gideon był szczupły, opalony i muskularny. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur z kamizelką, z kieszonki której wystawała złota dewizka zegarka. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Tak jak ja — pomyślał Nate. Chłopcy Richardsons są zwycięzcami. Poklepał Gideona po plecach.

Może mogliby zjeść razem obiad? Chociaż kaznodzieje muszą zapewne trzymać się z daleka od miejsc takich jak Dixie Barroom? Zanim zdążył o to zapytać, Gideon sam udzielił mu odpowiedzi.

— Śpieszę się właśnie na dworzec, żeby złapać pociąg — powiedział. — Żałuję, że nie wiedziałem, iż tu będziesz. Inaczej zaplanowałbym swoje zajęcia. Naprawdę się cieszę, że cię zobaczyłem. Miałeś jakieś wiadomości od mamy i od reszty? Ja przez dwa miesiące podróżowałem z misją i zupełnie nie wiem, co się u nich dzieje.

Nate przyznał się, że jest tak strasznie zajęty, iż nie ma czasu na pisanie listów.

— Ja podobnie — westchnął Gideon. — Zastępuje mnie w tym Lily. Píše do mamy regularnie co miesiąc.

Lily. Nate czuł, jak krew zaczyna pulsować mu szybciej. Ostatnio udawało mu się niemal zupełnie o niej nie myśleć. Praca, plany na przyszłość oraz składanie maszyny do produkcji papierosów zagłuszyły tęsknotę. Teraz przed oczyma ponownie stanęły mu jej złote włosy, a ciężkie od odoru tytoniu powietrze wypełniło się ciepłym, słodkim zapachem jej skóry. Czuł, jak ogarnia go podniecenie. Członek boleśnie rozpierał gruby drelich dżinsów. Przestraszył się, że brat spostrzeże jego pożądanie. Miał ochotę pobić Gideona do nieprzytomności za to, że to do niego należała Lily.

— Pociąg nie będzie czekał — powiedział kaznodzieja. — A ja muszę złapać połączenie do Raleigh. Powiniennem się pośpieszyć. Niech cię Bóg błogosławi, braciszku.

Nate długo patrzył w ślad za odchodzącym mężczyzną. Z westchnieniem ruszył po schodach wiodących do Dixie.

— Witaj! — zawołała przyjaciółka Jima, Dorena, która uperfumowana i umalowana wystawiała na sprzedaż swoje wdzięki.

Nate obrzucił ją pełnym napięcia spojrzeniem, wciąż jeszcze podniecony przywołanym w wyobraźni wizerunkiem świeżej, niewinnej urody Lily, jej krągłymi piersiami, szczupłą talią i pełnymi, miękkimi ustami.

— Całe miasto aż trzęsie się od plotek na twój temat. Chyba wiesz o tym?

— Gdzie jest twoja przyjaciółka Julie? Chciałbym ją poznać.

Chess naląła Edith Horton kawy. Był czwartek, dzień, w którym w swoim skromnym, jednoizbowym domu przy-

jmowała gości. Przycupnęła na stołku, podwijając do góry swą najlepszą, pasiastą sukienkę. Edith usiadła na krześle.

— Śmietanki i cukru? — zaproponowała Chess.

— Nie, dziękuję. Wolę czarną. Nie znoszę jej wprawdzie, ale muszę nieco schudnąć. Ty masz szczęście, Chess, jesteś szczupła jak młoda dziewczyna.

W ciągu ostatnich tygodni Edith stała się dla niej przyjaciółką, o jakiej Chess zawsze marzyła. Kimś, z kim mogła porozmawiać o osobistych, kobiecych sprawach.

— Szkoda, że nie widziałas mnie parę lat temu. Wyglądałam jak patyk. Wypijam całe kwarty mleka z jajkami, bo inaczej byłabym tak koścista, że chyba nie rzucałabym nawet cienia. Nie przykładam zbytnej wagi do jedzenia... z wyjątkiem późnego wieczoru, kiedy jestem okropnie głodna. *Możt* wiesz, czy tak dzieje się zawsze, gdy kobieta oczekuje dzieckat

— Och, Chess, jakie to ekscytujące! Kiedy spodziewasz się rozwiązania?

— Nie wiem. Nie jestem nawet pewna, czy zaszłam w ciążę. Zawsze miałam nieregularne miesiączki.

— Powinnaś zobaczyć się z lekarzem. Ja chodzę do Arthura Masona w Raleigh. To najlepszy doktor w całej Karolinie Północnej. Napiszę do niego... Nie, poproszę Henry'ego, aby zatelegrafował z Durham... Nie, w ten sposób dowiedziałoby się o tym całe miasto. Mój Boże, wobec tego jednak napiszę do niego i zapytam, czy wciąż prowadzi praktykę i czy nie zmienił godzin przyjęć. Jessie, moja najmłodsza, ma już przecież prawie dwanaście lat, nie odwiedzałam więc ostatnio doktora Masona. Powiedz mi jednak, jak zachowuje się rano twój żołądek.

Popołudnie upłynęło im szybko i przyjemnie. Rozmawiały o niemowlętach, dzieciach Edith, doktorze Masonie i ładnych imionach, jakie można nadać chłopcu i dziewczynce. Chess nigdy w życiu nie bawiła się tak dobrze.

Oczywiście, z wyjątkiem chwil spędzanych z Nathanem. Ale to było coś zupełnie innego. Jej mąż tryskał wprost

energiją, podniecało go ryzyko, traktował wszystko jak przygodę. Dzięki niemu czuła się pełna życia i aż niebezpiecznie młoda.

Z Edith natomiast cały świat wydawał się uporządkowany, spokojny, przyjazny.

Jestem naprawdę szczęśliwą kobietą, skoro mogę mieć ich oboje — uznała Chess.

Maszyna do produkcji papierosów pracowała hałaśliwie, ale była łatwa w obsłudze. Nate napełniał pojemnik na tytoń, sprawdzał napięcie długiej wstęgi bibuły, a potem uruchamiał całe urządzenie. Z trzaskiem, skrzypieniem, świstem, klekotem i turkotem maszyna skręcała papierosy, które spadały do ustawionego pod gilotyną pudełka. Chess dbała o to, by papierosy leżały równo w paczkach, i wymieniała kartony, kiedy się napełniły.

Po wyłączeniu maszyny sprawdzali towar, usuwając wszystkie zniszczone sztuki, po czym pakowali go w dziesięciopapierosowe paczki, owijali papierem i układali w tekturowych pudłach.

Kiedy robili to pewnego czwartkowego wieczoru, Chess powiedziała Nate'owi, że być może jest w ciąży.

— Boże Wszchemogący, kobieto! Nie powinnaś pakować papierosów. Musisz cały czas siedzieć! Wracaj do domu i odpocznij. Sam dokończę pracę. Odprowadzę cię.

Chess była tym uradowana, ale i rozbawiona — podobnie jak wszystkie kobiety od wieków.

— Nie bądź głupi — zaprotestowała. — Powiem ci, kiedy poczuję się zmęczona.

Uśmiechnęła się do niego, aby wiedział, że wszystko jest w porządku — jej uśmiech zawsze go o tym przekonywał.

Augusta Mary Richardson urodziła się 10 października 1882 roku. W prawdziwym łóżku, w ładnej sypialni, na piętrze schludnego, ceglanego domu, wyposażonego we wszystkie najnowocześniejsze udogodnienia i otoczonego ze wszystkich stron białym, wysokim płotem. Doktor Arthur Mason junior przyjechał z Raleigh, by odebrać poród. Nie istniało nic, co byłoby zbyt dobre dla pani Nathanie-lowej Richardson. Jej mąż odniósł wszak tak wielki sukces.

Na tyłach domu, przy strumieniu, stał jeszcze jeden ceglany budynek. Wielkie okna tworzyły pod dachem szeroką wstęgę szkła opasującą budowlę z trzech stron. Zabezpieczała je kratka zrobiona z grubych, żelaznych sztab. Przy czwartej ścianie obracało się olbrzymie, drewniane młyńskie koło, znacznie większe od tego, które napędzało żarna stojącego w sąsiedztwie młyna. Ceglany budynek zdobiły wysokie, czarne litery, które tworzyły napis: Standish Cigarette Company. Pod spodem, mniejszymi literami, dopisano: Własność N. Richardsona. Nie opodal fabryki wznosił się, prawie już wykończony, pozbawiony okien, ceglany barak. Jego dach znajdował się na tej samej wysokości co leżąca obok ogromna sverta węgla. W przyszłości będzie się tu mieścić maszyna do spalania węgla w celu uzyskania ukrytego w nim gazu — dom i fabryka miały mieć gazowe oświetlenie. W olbrzymiej, wyłożonej marmurem łazience, do złudzenia przypominającej pokój kąpielowy w hotelu Planters w Danville, zamontowano miedziany bojler i zainstalowano liczne rury.

Chess towarzyszyła Nate'owi w pracy prawie do ostatnich dni przed przyjściem na świat dziecka. Doktor Mason junior wyznawał bardzo nowoczesne poglądy. Zachęcał ją także do spacerów i zakazał noszenia gorsetów, dzięki czemu kobieta czuła się i wyglądała lepiej niż kiedykolwiek.

Nadal jednak była brzydka — taki już los: natura nie obdarzyła jej urodą. Pozostawała blada, choć policzki in-

nych kobiet przybierały piękny, różany odcień, miała zbyt jasne włosy opadające do tyłu z wysokiego czoła, zamiast więc się wdzięcznie miękkimi lokami. Jej arystokratycznie wąski nos był zbyt długi i ostry, aby mógł uchodzić za piękny, szare, skryte za ciężkimi powiekami oczy tkwiące w bladej twarzy zlewały się ze srebrnozłotymi brwiami i rzęsami, a wargi jej szerokich ust były wąskie i bezbarwne. Skórę miała jednak gładką i błyszczącą, włosy i oczy lśniły zdrowiem, szczupłe ciało zaś tryskało energią. Szczęście podziało na nią jak naturalny kosmetyk.

Papierosy Standisha także zyskały na urodzie. Papier, w który je zawijano, miał teraz nadruk CASTLE oraz rysunek szachowej wieży. Poniżej znajdowała się nazwa przedsiębiorstwa, wypisana małymi literkami — „S” w Standish i „C” w Company ozdobiły maleńkie korony. Był tu również adres: Durham, Karolina Północna. Ten sam znak widniał na papierze firmowym, formularzu zamówień i czekach. Dystrybucję papierosów Standish powierzono zajmującej się sprzedażą wyrobów tytoniowych firmie Messrs. M. E. McDowell & Co. z Filadelfii. Kupowali oni od Richardsona cały towar i ciągle prosili o więcej.

W ciągu sześciu miesięcy Nate'owi i Chess udało się zarobić mnóstwo pieniędzy.

Na następne pół roku planowali kolejne odważne przedsięwzięcia. Nate wprost tryskał energią i pomysłami. Chess wolałaby wprowadzić zwolnić nieco tempo, by nacieszyć się tym tak szybko zdobytym majątkiem, wiedziała jednak, że byłoby to wbrew naturze Nathana, wobec czego nie wspomniała nawet słowem na ten temat. Po ponad dwóch latach małżeństwa z nim uważała, że zna go już dobrze.

— Wybierz się na stanowy jarmark, Nathanie — powiedziała pod koniec miesiąca. — Ostatnio dwukrotnie opuściłeś te targi, nie ma jednak potrzeby, byś tracił je po raz kolejny. Czuję się już dobrze i sama dam sobie

radę z Augustą. Zresztą Bobby Fred i Bonnie zaopiekują się nami.

Żołnierz mieszkał teraz w ich dawnym, jednoizbowym domu. Bonnie natomiast, żona jednego z okolicznych farmerów, wynajęta do pomocy w prowadzeniu domu, zajmowała służbówkę w nowym budynku, czekając, aż doktor Mason junior pozwoli Chess z powrotem zajmować się całym gospodarstwem.

Jej poród okazał się bardzo ciężki — trwał ponad dziewiętnaście godzin — szybko jednak zapomniała o cierpieniu, gdy niemowlę znalazło się w jej ramionach. W gruncie rzeczy wiedziała, że Augusta jest raczej brzydkim dzieckiem: jej miękka czaszka była jeszcze nieco zniekształcona w wy\-niku porodu, ale matczyne serce uważało noworodka z[^] zjawisko absolutnie doskonałe i głęboko przeżywało cud narodzin nowego życia. Chess była ogromnie wdzięczna doktorowi Masonowi za jego nowoczesne poglądy — ojciec lekarza wzywał do dzieci Edith Horton mamkę, on sam zaś, ku zachwytowi Chess, pozwolił, by karmiła Augustę piersią.

Całe Raleigh zostało pięknie udekorowane kwiatami i chorągiewkami. Ulice otaczające State Capitol pełne były ludzi wpatrzonych w masywną, krytą miedzią kopułę lub hałaśliwie domagających się towarów wystawionych na sprzedaż w sklepowych witrynach. Na te przepchnął się aż na skraj ulicy. Chciał podczas parady znaleźć się w pierwszym rzędzie widzów. Wiedział, że jeśli zostanie z tyłu, usłyszy jedynie muzykę, ale nie zobaczy maszerujących ludzi. Kiedy orkiestra przechodziła obok niego, wybijał stopami o chodnik wygrywany przez nią rytm i głośnym krzykiem pozdrawiał muzyków. Orkiestrę tworzyło siedmiu ludzi — o dwóch więcej niż kiedyś.

Pochód również był wspaniały, nie mógł się jednak

równać z przemarszem orkiestry. W paradzie brała udział platforma Blackwella. Był to jadący na kołach żaglowy statek z wielkim posągami byka, ustawionym obok wykonanych z papier mâché piramid i palm, splecionych z wysuszonych tytoniowych liści. Powiadano, że komiwojażerowie Blackwella wymalowali reklamę byka z Durham nawet na jednej z tych starych budowli w Egipcie. Nate był gotów w to uwierzyć. Podobnie jak cała Karolina Północna czuł się dumny z tego byka, tym bardziej że Blackwell zajmował się na razie wyłącznie reklamowaniem swoich papierosów, nie starając się zwiększyć tempa ich wytwarzania przez mechanizację produkcji.

Nate pomyślał, że, być może, pewnego dnia w paradzie weźmie udział jego własna platforma. Nie wątpił, że Chess będzie wiedziała, jak powinna ona wyglądać. To właśnie ona przecież wymyśliła znak i nazwę „castle”. Kto wie, może chciałaby postawić na platformie wysoką wieżę z wyglądającą przez jej okno dziewczyną, tak jak wyrzeźbił to stary Augustus w ofiarowanym wnuczce komplecie szachów?

Cieszył się, że żona ma nareszcie dziecko, którego tak bardzo pragnęła. To czyniło ją szczęśliwą, a tym samym sprawiało przyjemność i jemu. Doceniał, że bez słowa skargi tak długo czekała na spełnienie marzenia, i chciał, by teraz miała wszystko, czego tylko zapragnie.

Może znajdzie dla niej coś w namiocie wystawowym — jakiś nowoczesny wynalazek, podobny do ręcznej maglownicy czy automatycznej obieraczki do kartofli, które niegdyś jej kupił. Tego typu rzeczy stale stanowiły dla niego rodzaj cudu. Oprócz parady namiotowa wystawa była najlepszą rzeczą na jarmarku.

Nate przyłączył się do tłumu ludzi i razem z pochodem dotarł aż do miejsca, gdzie rozpalano ogniska. Prawie wszyscy maszerowali w rytm wygrywanej przez orkiestrę melodii. Kiedy muzycy zaczęli grać „Dixie”, rozległy się wiwaty i okrzyki radości.

Nagle Na te podskoczył, ponieważ ktoś stojący tuż obok zaczął krzyczeć mu wprost do ucha.

Odwrócił się i zobaczył niewysoką dziewczynę.

— Daję słowo, nigdy nie pomyślałbym, że takie małeństwo może robić aż tyle hałasu — powiedział z uśmiechem, zauważając jednocześnie, że dziewczyna jest bardzo ładna.

Nieznajoma ufnie wsunęła mu dłoń pod ramię, figlarnie spoglądając nań spod kasztanowej grzywki.

— To dlatego, że jestem ruda — wyjaśniła. — Mam dzięki temu więcej energii niż większość ludzi.

— A zatem będę cię nazywał Rudzielcem — powiedział Nate.

Oddała mu się w ciemnym kącie za stoiskiem, gdzie można było wygrać ręcznie malowany wazon, o ile tylko komuś udało się zarzucić na jego szyjkę trzy kółka. Mąż Rudzielca zabawiał się właśnie w ten sposób.

Następnych kilka godzin Nate spędził na wystawie, zatytułowanej „Prąd elektryczny i dom”.

Prezentowano na niej żelazka, wentylatory, lampy, żyrandole, opiekacze do chleba oraz miedziane czajniki do gotowania wody. Nathan wielokrotnie słyszał już wcześniej, jak ludzie rozmawiali o prądzie elektrycznym, czytał też na ten temat w gazetach, ale to, co ujrział, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Jeszcze długo po zapadnięciu zmroku dyskutował z personelem obsługującym wielki generator prądu.

— Powinnaś zobaczyć światło, jakie to daje, Chess! Jaśniejsze niż w dzień! Powiadam ci, to prawdziwy cud! — Nate nie potrafił mówić o niczym innym. — W Nowym Jorku oświetlono już w ten sposób niektóre budynki, a w Londynie, w Anglii, nawet całe ulice.

— Być może powinieneś wsiąść do pociągu i pojechać do Nowego Jorku, by to zobaczyć.

— Nie chcę tego oglądać. Ja pragnę to mieć! I pewnego

dnia tak się stanie! Fabryka mogłaby wtedy pracować dzień i noc. Prąd napędzałby maszyny — nawet tuzin maszyn albo i sto, gdyby tylko był popyt na nasz towar. Co sądzisz o tym, ChesŚ?

— Nie dziwi mnie, że o tym marzysz — uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Następnego dnia wstała z łóżka już o szóstej rano, tuż po porannym karmieniu dziecka. Bonnie bezskutecznie spierała się z nią, że lekarz kazał poczekać z tym sześć lub siedem tygodni, a od przyjścia na świat niemowlęcia upłynęły zaledwie trzy.

— Oszaleję, jeśli nie wezmę się do jakiejś pracy — odparła stanowczo, owijając się swym postrzępionym, starym szalem. — A chyba nie chcesz, żeby Augusta miała szaloną matkę? Zamierzała porozmawiać z Nathanem, i to zanim jeszcze uda się on do fabryki, do Durham, czy gdziekolwiek indziej.

Dyskutowali przez ponad godzinę, śmiejąc się, kończąc rozpoczęte przez drugą stronę zdania, nawzajem зараżając się entuzjazmem. Postanowili zainwestować w rozwój fabryki wszystkie pieniądze.

Nate i Żołnierz zrobili gipsowe odlewy każdej z części urządzenia Standisha i zawieźli je do różnych, oddalonych od siebie kuźni, gdzie wykuto im identyczne z żelaza. Dzięki temu mogli złożyć pięć nowych maszyn do produkcji papierosów — tym razem wykonanych z niezniszczalnego metalu. Kiedy zaczęły one pracować, Richardsonowie uznali, że muszą wybudować dom dla przyszłych robotników swojej fabryki. A także sklep, gdzie mogliby oni robić zakupy.

— Najpierw sklep — nalegał Nathan. — Wszyscy farmerzy, którzy czekają tu na zmielenie ziarna, byliby zachwyceni, mogąc przy okazji zaopatrzyć się w kawałek liny, pudełko gwoździ czy worek nawozu.

— Albo paczkę papierosów Castle — dodała Chess. — Potrzebujemy też więcej wozów, by dostarczać nasz towar na stację, skąd dalej będzie jechał koleją. Ale to możemy kupić na ostatku. Na razie wyremontujemy stajnie i rozejrzemy się za woźnicami, tragarzami i chłopcami stajennymi. Albo też, lepiej, ludźmi, którzy mogą pełnić wszystkie te funkcje naraz. Już teraz jest nam natomiast potrzebny powóz. Nie możemy co niedziela udawać się do kościoła zwykłym wiejskim wozem. Ze względu na Augustę oraz pozycję szanowanego biznesmena, jaką cieszył się Nathan, postanowili przyłączyć się do kongregacji Kościoła metodystów w Durham.

— Chodzą tam ludzie z najlepszego towarzystwa i tacy, którzy mają wielkie wpływy polityczne. Ja zresztą też będę czuła się z tym lepiej. Z dziadkiem co niedziela bywałam w kościele i później żałowałam, że z rzadka tylko mogłam uczestniczyć w nabożeństwach... Muszę w związku z tym kupić sobie nieco ubrań, ale i tak miałam to w planie. Żadne stare rzeczy już na mnie nie pasują. Zajmę się też przygotowaniem do chrztu Augusty. Edith zgodziła się być matką chrzestną. Powiedziała, że to dla niej wielki zaszczyt. A co z ojcem chrzestnym? Czy chcesz napisać do swojego brata i poprosić, by trzymał naszą córkę do chrztu?

— Nie! — odpowiedź Nate'a była gwałtowna jak trząśnięcie bata.

Opanował się jednak szybko i spokojnie wyjaśnił, że Gideon mieszka zbyt daleko, a to, gdzie akurat przebywa, zależy od decyzji biskupów. Nate zamierzał poprosić o tę przysługę Żołnierza.

— Wspaniale! — ucieszyła się Chess. — Idź więc i powiedz mu o tym. Musimy się natychmiast wszystkim zająć. Zbliża się listopad, a zima nie jest najlepszą porą na podobne uroczystości.

— Kiedy Chess wbije sobie coś do głowy, reszta świata zrobi najlepiej, schodząc jej z drogi — skomentował słowa

żony Nate w rozmowie z Żołnierzem. — Wybieram się do miasta, aby kupić jakiś przyzwoity powóz. Idź lepiej do domu i dowiedz się, czy i dla ciebie Chess nie ma jakichś poleceń. ^r

— Przy okazji zobaczę moją chrześniaczkę — powiedział z uśmiechem Bobby Fred. Jego oczy były podejrzanie błyszczące, jak na bohaterskiego weterana kawalerii For-resta.

W czasie podróży do Durham umysł Nate'a pracował bez chwili przerwy. Tak wiele mieli do zrobienia... Zatrudnić murarzy, dowiedzieć się, jakie powinni położyć fundamenty, porozmawiać z Jimem Monroe o prowadzeniu sklepu. Nate pragnął także złożyć wizytę w banku i odwiedzić swoją utrzymankę, Julie. Zamierzał dać jej grubą kopertę z pieniędzmi i bilet na odchodzący z miasta pociąg. Żałował, że musi to zrobić, lubił bowiem wiedzieć, że dziewczyna czeka na niego, ilekroć przyjeżdżał do miasta. Julie jednak zanadto gustowała w whisky i nie mógł mieć pewności, czy nie wpadnie jej do głowy, by pewnego razu przyjść do kościoła i zrobić mu scenę na oczach wszystkich liczących się w mieście ludzi.

Cóż, nic nie szkodzi. Wokół przecież jest mnóstwo kobiet podobnych do Rudzielca.

Do domu wracał lśniąca, czarna „wiktoria” — raczej karocą niż powozem. Pojazd mógł pomieścić cztery osoby i miał składany, skórzany dach na wypadek brzydkiej pogody.

Zanim zajechał pod dom, zapalił umocowane przy koźle oliwne lampki z błyszczącego mosiądzu.

Okazały się bardzo przydatne, kiedy podróżowało się po zmroku.

W niedzielę, dziewiętnastego listopada, tylne ławki kościoła metodystów w Durham zajmowali: Edith i Henry Hortonowie, Bobby Fred Hamilton, Nathaniel i Francesca

Richardsonowie oraz panna Augusta Mary Richardson, licząca sobie pięć tygodni i cztery dni. Niedzielne nabożeństwo było długie, przerywane wieloma śpiewanymi z wielkim zapalem hymnami oraz płomiennym kazaniem. Panna Richardson spała jak anioł przez całą godzinę i czterdzieści pięć minut.

Po nabożeństwie wielebny Sanders poprosił zgromadzonych o powitanie nowej rodziny w kościelnej wspólnocie. Wielu z nich spełniło jego życzenie, włączając w to całą rodzinę Duke'a oraz udziałowca przedsiębiorstwa Blackwella, dystyngowanego, siwego dżentelmena nazwiskiem Jule Carr.

Nathan powiedział później Chess, że bez przerwy czuł na sobie ich spojrzenia jak wbijające się w plecy noże.

Po chrzcie pastor odprowadził Augustę i jej bliskich aż do wyjścia z kościoła. Jego żona także opuściła zakrystię, by zerknąć na niemowlę. Augusta poruszyła się. Jej nóżki szarpały długą, jedwabną sukienkę do chrztu.

— Och, och — zaszczębiotała pani Sanders. — Jakie piękne ubranko, pani Richardson! — Dotknęła palcem sukienki. — Sama ją pani szyła?

— Nie — odrzekła uprzejmie Chess. — Nigdy nie udało mi się porządnie zszyć dwóch kawałków jedwabiu. — Chciała jak najszybciej pozbyć się żony pastora. Augusta skrzywiła się i poczerwieniała, co znaczyło, że za chwilę zacznie płakać.

Edith Horton pośpieszyła jej na pomoc.

— Przepraszam, że pani przerywam, pani Sanders, ale chciałam zapytać o kwiaty na ołtarzu. Skąd pochodzą te wspaniałe chryzantemy? — Ujęła żonę duchownego pod ramię i odprowadziła na bok. Augusta pomachała małutkimi piąstkami, ziewnęła i uspokoiła się.

Chess uśmiechnęła się, uprzejmie dziękując ludziom składającym życzenia jej córeczce. Gdzieś z boku słyszała nosowy śmiech Henry'ego Hortona.

Dzień był bardzo piękny: słoneczny i rześki. Przykrą woń tytoniu stłumił słodkawy zapach jesiennych liści. Chess czuła się ogromnie szczęśliwa. Nareszcie naprawdę należeli do tej społeczności miłych, życzliwych ludzi. Będzie miała wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła, i da Augustcie najszczęśliwsze i najpiękniejsze dzieciństwo, jakie tylko może mieć mała dziewczynka.

Edith i Henry wydali przyjęcie w znanej z dobrej kuchni hotelowej restauracji. Na górze zarezerwowano dla Chess osobny pokój, gdzie mogła nakarmić i przewinąć dziecko. Następnie wszyscy udali się do studia wędrownego fotografa, który na tydzień zatrzymał się w Durham. Zamówiono u niego rodzinny portret: Chess siedziała na krześle, trzymając w ramionach niemowlę, za jej plecami zaś stał mąż.

Potem identyczne zdjęcie — oczywiście bez dziecka — zrobili sobie także Edith i Henry.

Ulegając namowom Chess, także Bobby Fred sfotografował się ze swoją chrześniaczką.

Potem ona i Edith pozowały do zdjęć portretowych. Potrzebowały ich do *cartes de visite*, które zamierzały zamówić. Ozdobione portretem wizytówki były ostatnim krzykiem mody w Durham. Tak przynajmniej twierdziła panna Mackenzie, krawcowa i wyrocznia w sprawach mody.

Wielkim powodzeniem cieszyły się też tiurniury do sukien.

— Tiurniury wracają! — mówiła radośnie panna Mackenzie wszystkim swoim klientkom. — I są większe niż kiedykolwiek.

Mimo to Chess nie mogła przywyknąć do usztywnianej żelaznymi fiszbinami podpórki, którą wiązało się wokół talii. Była ona ciężka, nieporęczna, a przy tym przeginała całe ciało do tyłu. Chess nie potrafiła powstrzymać się przed

zerkaniem co chwila przez ramię, by się upewnić, czy tiur-niura jest na miejscu, a starannie ułożone fałdy brązowego aksamitu nie przesunęły się na bok.

Jej ciasno dopasowany żakiet nie stanowił już problemu. Wystarczyło obciągnąć go w miejscu, gdzie doszyte były guziki, a fałdy aksamitu od razu układały się jak należy. Lubiła także zdobiący go elegancki żabot z kremowej koronki. Stonowane barwy kostiumu ożywiała złota spinka w kształcie półksiężyca — prezent od Nathana.

Chess uwielbiała nowe stroje, jak również wszystko inne, co mogła zawdzięczać swej zamożności. Ciasno zasnurowany gorset i żelazny pancerz na biodrach były doprawdy niską ceną za te przyjemności.

Rozdział 22

Tego roku zima nadeszła dość późno. Mróz wybielił ziemię już na przełomie listopada i grudnia, ale dni były dalej równie słoneczne i ciepłe co jesienią. Dla Chess był to okres niezmaconego szczęścia. Konieczność karmienia Augusty zatrzymywała ją w domu, ale nie martwiło jej to. Zaczęła znajdować przyjemność w tym, że ma dla siebie tak wiele wolnego czasu, co było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Obserwowała, jak postępuje budowa sklepu i domków dla robotników, sporządziła listę towarów, które Jim Monroe miał zamówić do ich magazynu, napisała długie listy na temat Augusty i wysłała je — wraz z odbitkami rodzinnego portretu — do Mary Richardson i dziadka. Bawiła się z dzieckiem: kąpała je, ubierała oraz czesała jego cienkie, złote włoski miękką, oprawioną w srebro szczotką.

I czytała, co uważała za największy luksus. Zamawiała książki, czasopisma, gazety, pochłaniając je w zdumiewającym tempie. Salon w ich małym, schludnym domu tak szybko zapełnił się książkami, że musiała wezwać stolarza i zamówić dodatkowe półki na swoje skarby. Bonnie nadal przychodziła każdego ranka, by ścierać kurze, zamiatać i szorować podłogi, nie zostawała już jednak na noc.

Dzięki gazowym lampom nawet późnym wieczorem, po kolacji, można było czytać, nie męcząc oczu.

Nathan

dołączał do niej niekiedy, przeglądając „Scientific American” oraz parę innych czasopism poświęconych tytoniowi, podczas gdy Chess zaśmiewała się po cichu z opowiadań Marka Twaina. Jedynym odgłosem mącącem wówczas ciszę był szelest przewracanych kartek i cichy syk gazowych lamp. Chess odrywała często wzrok od książki i przymykając oczy,- napawała się swoim spokojnym szczęściem.

W niedzielę rano Richardsonowie zostawiali dziecko pod opieką Żołnierza, sami zaś udawali się do kościoła. Była to jeszcze jedna szczęśliwa chwila. Chess kochała muzykę, śpiew i wymienianie pozdrowień ze znajomymi przed kościołem po nabożeństwie. Nauczyła się nazwisk i poznawała już wszystkich mężczyzn i kobiety, o których czytywała w kronice towarzyskiej w „Tobacco Plant”, rozważając, z kim z nich chciałaby się zaprzyjaźnić lub kto mógłby okazać się pomocny Nathanowi. Albo dlań niebezpieczny)

Wracając do domu, Richardsonowie wymieniali wrażenia, śpiewali lub rozmawiali o swojej przyszłości. Na te bardzo się o nią niepokoił.

Kiedy nowe maszyny będą gotowe... Kiedy postawię już wszystkie budynki... Kiedy otworzę sklep... Wynajęli chłopca, który zastąpił Chess w pracy przy układaniu papierosów, i wysyłali teraz statkiem dwieście tysięcy sztuk tygodniowo, co przynosiło im prawie dwieście dolarów zysku. Przeciętnego przedsiębiorcę to by zadowalało, ale nie Nate'a. W tym samym czasie wydawał dwieście pięćdziesiąt. Miał gest.

Chess wiedziała o tym. To ona prowadziła wszak księgi rachunkowe. Pieniądze na ich bankowym koncie topniały w okamgnieniu, jak masło na patelni.

W środę po świętach Bożego Narodzenia złożył im wizytę Buck Duke. Chess skubała właśnie kurczaka, którego miała zamiar podać na kolację, i śpiewała jakąś nonsen-

sowną piosenkę leżącej w koszyku na kuchennym stole Augustcie, kiedy otworzyły się drzwi i męski głos powiedział:

— Dzień dobry.

Kobieta przestraszyła się tak, że kurczę wypadło jej z rąk.

— A, dzień dobry — odrzekła ze złością.

— Pukałem. Sądziłem, że pani nie słyszy, bo jest zajęta śpiewaniem. Mogę wejść?

Chess ogarnął jeszcze większy gniew, starała się jednak pamiętać o dobrych manierach.

— Oczywiście — odrzekła, zmuszając się do uśmiechu. Przechodząc przez drzwi, Duke schylił głowę. Był bardzo

wysoki. I przystojny. Podniósł kurczę, usiadł i machinalnie zaczął je skubać.

— Jestem Buck Duke — przedstawił się z dziwnie poufałym uśmiechem.

— Tak, wiem. Widziałam pana w kościele. Proszę oddać mi tego kurczaka, panie Duke.

— Może raczej poskubię go, kiedy pani uda się po swojego męża. Poszedłbym po niego sam, ale wiem, że nie chciałby, abym zaglądał do jego fabryki. — Mężczyzna popatrzył porozumiewawczo na Chess, a w jego oczach zaśniły wesołe iskierki.

Oczywiście miał rację. Chess skinęła głową na znak zgody.

— Przeprowadzę go.

— Czy pozwoli pani także, bym pośpiewał dziecku? Nie jestem niestety zbyt muzykalny.

— Jej to i tak nie robi różnicy. Proszę śpiewać.

Na widok wracającej z mężem Chess Buck przestał śpiewać i wstał.

— Masz miłą rodzinę, Nate — powiedział uprzejmie. Obok niego leżało całkowicie oczyszczone z piór kurczę.

— Przeszedłem, żeby porozmawiać o interesach. Gdzie możemy to uczynić?

— Zostaniemy tutaj, Buck. Żona jest moją współniczką. Siadaj.

Duke uniósł brwi. Popatrzył na Chess ze zdumieniem pomieszaniem z podziwem.

— Chodzi o to, że po mieście krążą słuchy, iż prze-inwestowałeś. Przeszedłem tutaj, bo chcę kupić twoją maszynę. Albo też wejść z tobą w spółkę, zależy, co będzie ci bardziej odpowiadało. — Jego głos był cichy i spokojny, brzmiało w nim jednak poczucie przewagi i pewność siebie. W powietrzu zawisła nie wypowiedziana groźba.

Nate przeciągnął się na krześle i uśmiechnął się lekko.

— To właśnie do ciebie podobne, Buck. Nie powinieneś słuchać plotek. Ludzie zawsze wszystko pomieszają. Jakiś idiota wmawiał mi nawet, że te worki, które sprowadziłeś z Nowego Jorku, stęskniły się za domem i musiały wrócić tam, skąd przyjechały.

Ta wymiana zdań przypominała skrzyżowanie mieczy w rycerskim pojedynku. Chess wodziła wzrokiem od Na-thana do Bucka, dziwiąc się, jak obaj stali się do siebie podobni: za uśmiechniętymi twarzami czaiła się wola zwycięstwa. Żaden nie chciał ustąpić placu drugiemu.

— Sądziłem, że wyświadczam ci w ten sposób przysługę, Nate. Nie chciałem po prostu czekać do chwili, aż zostaniesz zlicytowany za długi.

— Wcześniej doczekasz się, że piekło zamarźnie. Duke wzruszył ramionami.

— Cóż, to znaczy, że zapewne już teraz zrobiło się tam chłodno — zakpił. — Dobrze wiesz, że w każdej chwili możesz zbankrutować. — Wstał i uśmiechnął się do Chess.

— Miło mi było panią znowu ujrzeć, pani Richardson. Do zobaczenia, Nate.

Po jego wyjściu Chess i Nathan siedzieli w milczeniu,

póki nie umilkł odgłos końskich kopyt. Nate ukrył twarz w dłoniach.

— Chyba przeliczyłem się w moich nadziejach — oświadczył. — Boję się, Chess.

Kobiecie na chwilę zabrakło tchu. Opanowała się jednak szybko. Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał spokojnie i przekonywająco.

— Nie bądź głupcem, Nathanie. Wiem, że zwyciężysz.

— Buck sprzedaje dziewięć milionów ręcznie skręcanych papierosów rocznie.

— W przyszłym roku my sprzedamy dwadzieścia milionów.

Nate uniósł głowę. Roześmiał się cicho.

— Wygląda na to, że nie masz co do tego żadnych wątpliwości. — Wstał z krzesła i przeciągnął się, po czym napuścił wody do zlewu i umył ręce. — Pewnego dnia będzie stać mnie na to, żeby nie dotykać się własnoręcznie do smoły — mruknął. — Oby tylko ta chwila nie nadeszła za wcześnie i nie zawróciła mi w głowie! — Wybuchnął radosnym, spokojnym śmiechem. — Jedyną smutną rzeczą w tym wszystkim jest to, że straciłem okazję, by porządnie nastraszyć Bucka. Ale, ale, mój żołądek przypomina mi, że odkąd tylko wszedłem do kuchni, umieram z głodu. Przez cały czas, kiedy toczyliśmy tę słowną walkę, obawiałem się, że zacznie mi burczeć w brzuchu i on to usłyszy.

Osiemnasty lutego 1883 — napisała Chess w swoim pamiętniku. — Zaczęły pracować dwie żelazne maszyny Standisha. W domkach dla robotników zamieszkały cztery murzyńskie rodziny. Otworzyliśmy sklep. Dzierżawią go od nas Jim Monroe i jego żona, Dorena. Dzisiejsza produkcja papierosów wyniosła sto tysięcy sztuk. Minęliśmy pewien zakręt.

Jej pamiętnik był już niemal całkowicie zapisany. Została w nim tylko jedna wolna kartka. Postanowiła być rozrzutna i kupić sobie od razu kilka nowych zeszytów. Jeden, w którym notowałyby wydarzenia związane z młynem, drugi na potrzeby fabryki Standisha, kolejne na sklep i zapisywanie dochodów z wynajmowania robotniczych domków. Ale ten pierwszy pozostanie na zawsze jej ulubionym. Przewróciła kartki i popatrzyła na pierwszą stronę.

17 lipca 1881

Otworzyliśmy młyn. Nie pojawił się żaden klient.

18 lipca

Malowanie reklam.

19 lipca

Zarobiliśmy czternaście centów.

20 lipca

Zarobiliśmy dwadzieścia dwa centy.

Uśmiechnęła się. Miała wrażenie, że od tamtej chwili upłynęło już bardzo wiele czasu. Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, gdy natrafiła na strony z notatkami na temat zatrudnienia Bobby'ego Freda, testowania maszyny Standisha, wybierania nazwy dla przedsiębiorstwa i papierosów, budowania domu, urodzin Augusty Mary i jej chrztu. Tak, z pewnością ten zeszyt jest dla niej pamiątką. Musi znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, w którym go ukryje, by kiedyś móc ofiarować go córce, gdy ta dorośnie.

Chess nie opisała w pamiętniku kolejnej przełomowej chwili w ich życiu: Augusta została odstawiona od piersi i jej matka mogła opuszczać dom na cały dzień. Bonnie była zachwycona, kiedy proponowało jej się kilka godzin pracy więcej za dodatkową opłatą.

Cartes de visite zostały wyjęte z pudełka i Chess ze

szczególnym zainteresowaniem zaczęła śledzić zmiany pogody. W ciepłe dni jeździła wiktoria składając wizyty w domach na sześciu pobliskich plantacjach. Najbliżej miała do Edith i zawsze najpierw wstępowała do niej, często bowiem przyjaciółka postanawiała towarzyszyć jej podczas dalszych odwiedzin. Między mieszkającymi w okolicy kobietami nawiązała się bliska przyjaźń. Wszystkie były w wieku trzydziestu—czterdziestu lat, pamiętały czasy sprzed wojny secesyjnej, każda z nich także ciężko pracowała, by zachować pozory dawnej świetności w popadających w ruinę rodzinnych domach swych mężów.

Niestety rozmowy sprowadzały się do pełnych skarg opowieści o dawnych dniach i porównywaniu ich ze smutną rzeczywistością, w której królowali parweniusze. Chess czuła przy takich okazjach, że wstępuje na bardzo śliski grunt — Nathan był wszak jednym z owych parweniuszy. Kiedy rozmowa schodziła na te tematy, Chess starała się wspominać wyłącznie swoje życie w Tidewater. Któż zresztą w eleganckiej Wirginii słyszał kiedykolwiek o Karolinie Północnej?

Mimo to czuła się dobrze w towarzystwie Darcy Andrews, Louelli Simms, Harriet Truelove i Beth Fielding, choć oczywiście jej najlepszą przyjaciółką pozostawała Edith Horton.

Plantatorska mentalność stała się przyczyną pierwszego poważnego sporu pomiędzy Chess i Nate'em. Wszystko zaczęło się od Jima Monroe.

— Dorena świetnie urządziła to nasze cholerne mieszkanie na górze — pochwalił się Nate'owi, kiedy ten zajrzał do sklepu. — Nigdy w życiu nie widziałeś tak wielu frędzli i ozdób. Właściwie czemu nie miałbyś przyprowadzić dziś dziecka i Chess do nas na kolację, żebyście sami to zobaczyli?

— Nie mam zamiaru tam pójść — powiedziała mężowi Chess. — Skąd w ogóle przyszło ci do głowy przyjąć to zaproszenie? Nie protestowałam, kiedy Jim pomagał ci budować młyn. Nie sprzeciwiałam się, kiedy wyszykował dla nas ten stary dom. Jednak nawet gdyby miał do końca życia wypłakiwać sobie oczy, że do nich nie poszliśmy, nic mnie to nie obchodzi. Ta Dorena to śmieć. Maluje twarz i wylewa na siebie całe flakony mocnych perfum. Gdybyśmy tam poszli, wypadałoby nam zaprosić ich do nas, a ja nie zniosłabym tej kreatury w moim domu — stwierdziła Chess, trzęsąc się z oburzenia. Nate starał się uspokoić żonę. Wiedział, że popełnił błąd, natychmiast po przyjęciu bez zastanowienia zaproszenia Jima, ale skoro już tak się stało, zjedzenie wspólnie jednej kolacji na pewno im nie zaszkodzi. Przekonywał, że rewizyta nie będzie konieczna. Jakoś wyjaśni to Jimowi.

— I przeprosisz go za mój brak manier, jak sądzę.

— Nie przyszło mi to do głowy, ale jeśli się upierasz, to, owszem, zrobię to. Nie z powodu Doreny. Masz rację, że nie jest to odpowiednie towarzystwo dla damy. Uważam jednak, że za bardzo okazujesz, jaka z siebie dumna pani z plantacji. Nieraz już musiałem przeproszać ludzi za twoje zachowanie.

— Ty? Przeproszać za mnie? A kogóż to, jeśli wolno mi spytać?

— Kogóż? — powtórzył szyderczo Nate, przedrzeźniając ją. — Dzierżawców, oto kogo! — krzyknął.

— Sposób, w jaki wypytyujesz ich o interesy i klepiąc po plecach traktujesz jak małe dzieci, sprawia, że niekiedy bywa mi za ciebie wstyd!

— Jak śmiesz? Zajmowałam się czarnymi dzierżawcami, kiedy ty chodziłeś jeszcze boso za mułem po tytoniowym polu. Kimże jesteś, by się za mnie wstydzić?

— Nie podnoś na mnie głosu, Chess! I nie próbuj zadzierać nosa, jakbym był śmieciem u twoich stóp.

Tacy jak

ty mieli swój czas. Ale on przeminął już ponad dwadzieścia lat temu. Ani ty, ani Edith Horton czy ktokolwiek z twych przyjaciół nie przywróci go!

Prawda zawarta w tych słowach sprawiła, że Chess zachwiała się, jakby otrzymała cios pięścią. Jej oczy wypełniły się łzami. Była wściekła na siebie, że nie potrafiła powstrzymać się od płaczu.

— Boże Wszchemogący! — jęknął Nate. — Idę do Jima. Nie wytrzymam tego ani chwili dłużej.

Chess płakała i płakała. Krzyk — zarówno jej własny, jak i męża — przeraził ją.

Nate nie udał się do Jima, lecz do lasu. Łzy żony głęboko go poruszyły. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej płakała. To czyniło ją silniejszą.

Wiedział, że myli się co do Doreny. Ale był pewien, że ma rację, jeśli chodzi o dzierżawców.

Chess wierzyła jednak, że to mąż jest w błędzie.

Tak naprawdę oboje po części mieli rację, po części zaś mylili się co do czarnych rodzin zakwaterowanych w nowych domkach dla robotników. Byli tam niegdysiejsi niewolnicy i ich potomkowie z Fairlawn, największej plantacji w Piedmoncie w Karolinie Północnej.

Dla Chess, nawykłej do traktowania po macierzyńsku robotników na swojej plantacji, byli oni jak dzieci, za które czuła się odpowiedzialna.

Żyjący w surowych warunkach na farmie Nate pamiętał świeżo wyzwolonych murzyńskich farmerów borykających się z tymi samymi co on wrogami: pogodą, muchami, tytoniowymi robakami. Jedni ten bój wygrywali, drudzy przegrywali — zupełnie tak jak biali hodowcy. Nie liczyło się to, czy ktoś jest czarny czy biały, lecz jedynie — czy należy

do zwycięzców. Szanował wygrywających i nie zawracał sobie głowy pechowcami, lecz ani jednym, ani drugim niczego nie zawdzięczał. Wynajęci przez niego robotnicy dzierżawili należące doń domki i to wszystko. Albo ciężko pracowali, albo się ich zwalniało. Albo płacili czynsz, albo trzeba ich było wypędzać.

Chess pragnęła natomiast, by czuli się szczęśliwi. Nigdy natomiast nie myślała o ich dumie.

W przeciwieństwie do niej Nate szanował ambicję tych ciężko pracujących ludzi, ale ich uczucia nic go nie obchodziły.

Jeśli szło o dzierżawców, stanowili oni wspólnotę połączoną więzami krwi i podobnymi doświadczeniami. Pokolenia niewolników Fairlawn żeniły się i płodziły dzieci, które potem same zakładały rodziny. Niektórzy z nich tęsknili za poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawała opieka białego pana. Inni bardziej od czyjejś troski cenili sobie wolność i zachowanie Chess ich denerwowało. Wszyscy oni wiedzieli, że jedni biali uczynili z nich niewolników, inni obiecali im wolność, jeszcze inni zaś wytłumaczyli, iż owa wolność polega na ciężkiej, nisko opłacanej pracy, stanowiącej w gruncie rzeczy inną formę niewolnictwa.

Potrafili też wykorzystać nabyte w dawnych czasach umiejętności. Okazywali białym szacunek, jakiego tamci oczekiwali, ale swobodnie zachowywali się jedynie w swoim własnym gronie, wśród krewnych. Utrzymywali swe sekrety w tajemnicy przed białymi, uważali bowiem, że nie zasługują oni na zaufanie.

Richardsonowie spierali się więc na temat ludzi, o których zupełnie nic nie wiedzieli.

— Przepraszam — powiedziała Chess, kiedy mąż wrócił do domu. — Nie powinnam była mówić tych wszystkich okropnych rzeczy.

— Ja także przepraszam. Wiem, że Dorena to osoba zupełnie nie nadająca się do towarzystwa. Żadne z nich nie poruszyło więcej kwestii dzierżawców. Chess zaczęła wprawdzie odwiedzać ich domy nieco rzadziej, ale nie była w stanie zupełnie się od tego powstrzymać.

Nate kupił cegłę na budowę nowych pomieszczeń od czarnego biznesmena, nazwiskiem Richard Fitzgerald, ponieważ jego cegły były lepsze od wszystkich innych. Jednak w rozmowach z Żołnierzem lub Jimem nadal nazywał kolorowych robotników „czarnuchami”.

Kiedy Augusta skończyła sześć miesięcy, Chess postanowiła zabrać ją do Harefields.

— Pismo dziadka stało się w ostatnich miesiącach bardzo nieczytelne. On sam zaprzecza temu, obawiam się jednak, że jego wzrok znacznie się pogorszył. Jak wiesz, jest bardzo stary. Myślę, że ogromnie się ucieszy, mogąc zobaczyć swoją prawnuczkę, szczególnie że nosi ona po nim imię. Jeśli zaś okaże się, że dziadek zbliża się do kresu życia, będę musiała zapewnić jakąś opiekę mojej matce i powierzyć komuś prowadzenie plantacji. Nie wiem jeszcze, komu, ale coś trzeba będzie wymyślić. Być może pan Perry coś mi doradzi. Od wielu, wielu lat jest prawnikiem Cezara... O ile nie umarł lub nie przeszedł na emeryturę — westchnęła.

Nate doskonale rozumiał to, że żona chce odwiedzić rodzinę, i wyraził gotowość udania się do Harefields razem z nią.

— Pojedziemy pociągiem. Zabierzemy ze sobą Bonnie Wilson, która pomoże ci przy dziecku. Z przyjemnością zobaczę tego starego dżentelmena. Bóg wie, jak wiele mu zawdzięczam. Oczywiście, dzięki tobie. Chciałbym usłyszeć, o czym jeszcze marzy twój dziadek. Poza tym: co sądzisz o spędzeniu kilku dni w Richmond? Myślę o wysyłaniu tamtejszym kupcom naszych papierosów, ale chciałbym

najpierw porozmawiać z nimi, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję.

— Świetny pomysł! Richmond to wspaniałe miasto, nie taka zabita deskami dziura jak Durham. Ma chodniki i brukowane ulice. A także cudowne sklepy. Często oglądałam ich wystawy, choć nigdy nie mogłam pozwolić sobie na kupienie czegokolwiek.

— Teraz rzecz ma się nieco inaczej.

— Nieco! Mamy mnóstwo brudnych pieniędzy, Na-thanie.

— Nie brudnych, Chess. Aż mnie ciarki przechodzą, kiedy mówisz takie rzeczy.

— To pieniądze z tytoniu, mój drogi.

— Jesteś bezlitosna! Postaram się o kilka tytoniowych robaków i wrzucę ci je za koszulę.

Chess udała, że ucieka.

— Poddaję się. Cofam to, co powiedziałam. Jesteśmy czyści, jak wszyscy nowobogaccy, którzy dopiero co zrobili pieniądze. *Nouveau riche*. Bardzo, ale to bardzo mi się to podoba.

Rozdział 23

— Zobacz, Augusto, to właśnie w tym ślicznym małym kościółku twoja mama i tatuś brali ślub. — Chess podniosła dziecko, by mogło wyjrzeć przez okno powozu. Nathan wynajął dla nich wytworny, ciemnozielony pojazd, którym powoził dystyngowany starszy Murzyn w eleganckiej, ciemnozielonej liberii i wysokim, czarnym cylindrze. — Spójrz na te wielkie, kamienne zające, kochanie. Jesteśmy w domu. To Harefields.

Chess nie sądziła, że będzie czuła się tak wzruszona. Jej domem był wszak schludny, ceglany budynek w hrabstwie Orange, w Karolinie Północnej. Od chwili jednak gdy poczuła zapach rzeki, kiedy pociąg zbliżał się do Richmond, zdała sobie sprawę, jak głęboko tęskniła za Harefields. Zatonęła we wspomnieniach z dzieciństwa, kiedy to świat był piękny, uporządkowany i bezpieczny. Przypomniała sobie huśtawkę zwieszającą się z konara wielkiego dębu oraz popołudniowe herbatki wydawane przy specjalnym, niskim stoliku ustawionym na rozległym trawniku, którymi podejmowała swe francuskie lalki. Każda z nich — ubrana w koronki i jedwabie — siedziała na swoim własnym krześle. Albo te książki z obrazkami, pełne wspaniałych historii, które czytywała, siedząc w bujanym fotelu na wielkiej werandzie. Myślała o muzyce dochodzącej z sali balowej i strojnych w klejnoty damach, które

obserwowała z zazdrością przez szparę w drzwiach, pomimo że od dawna powinna już spać. Przyszło jej na myśl, że pnący się po ścianach bluszcz pewnie już zakwitł i że musi trwać teraz przypływ, bo słony zapach wody był wyjątkowo silny. Szybciej, szybciej! Szybciej do domu — biło jej serce.

Powóz minął bramę i nagle ujrzeni przed sobą gromadę ludzi, którzy wybiegli na drogę. Dzierżawcy farmy Hare-fields: mężczyźni, kobiety i dzieci przyszli tu z pól i domów i wykrzykując imię Chess, witali ją w rodzinnej posiadłości. Kobieta nie była w stanie przejechać obok nich obojętnie — czuła się zbyt szczęśliwa, że ich widzi.

— Zatrzymaj się! — poleciła stangretowi. — Zatrzymaj powóz! — Posadziła dziecko na kolanach Bonnie i zaczęła niezdarnie szarpać klamkę u drzwi. — Jestem w domu! — zawołała, stając na porośniętej chwastami drodze. — Scylla! — krzyknęła, rozpoznając kucharkę. — To ja, panienska Chess. Wciąż jeszcze nie nauczyłam się przyrządzać przyzwoitego sosu... Co ci jest? Co się stało? Dopiero teraz spostrzegła, że zebrani wokół powozu ludzie płaczą. Po twarzy Scylli spływały łzy. Kucharka objęła Chess ramieniem.

— Biedne dziecko! — załkała. — Biedna sierota! Oni odeszli. Stary pan Augustus i mamusia panienska także. Pastor nie wiedział, jak panienskę znaleźć. Zostali pochowani, panienko Chess, trzy dni temu. Chess wsparła się ciężko o silne ramię potężnej kobiety.

— Nie! — krzyknęła. Jej wołanie zagłuszyło rozpaczliwe łkanie kobiet, westchnienia mężczyzn i urywany szloch dzieci. Siedząca w powozie Augusta także zaczęła płakać.

Chess poczuła, że obejmuje ją czyjeś silne ramię.

— Powiedz mi, co się tutaj stało — poprosił Scyllę Nathan. — Jestem mężem panienska Chess — dodał, przytulając żonę do siebie.

— Ogień — jęknęła Scylla, kołysząc się w przód i w tył.

— Pożar domu. W nocy. Niebo było jasne jak w południe. — Skryła twarz w zarzuconym na głowę fartuchu i wybuchnęła jeszcze głośniejszym szlochem.

— Musze to zobaczyć — szepnęła bezbarwnym głosem Chess, odpychając Nate'a. — Chcę tam pójść.

— Hej, ty! — zawołała do stangreta, niezdarnie wspinając się na stopień powozu. — Zatnij batem te konie i zawieź mnie do domu. Muszę to zobaczyć.

Nate wziął ją pod ramię i zmusił, by usiadła. Tiurniura sukni przekreśliła się na bok, groteskowo deformując sylwetkę Chess. Nathan usadowił się na koźle i sięgnął po lejce.

— Jazda! — zawołał. — Z drogi! — Strzelił z bata tak gwałtownie, że zabrzmiało to jak huk strzelby.

Nie miał pojęcia, jak wielki był to dom. Osmalone ruiny rozciągały się na przestrzeni jednej czwartej akra. Poczerniałe ceglane kominy nadal wznosiły się ponad pogorzelskim jak ogromne pomniki nagrobne. Sadza i drobinki szarego popiołu unosiły się dookoła, rozwiewane przez wiatr. Wydawało się, że prowadzą ze sobą dziwne wyścigi, tańczą taniec śmierci.

Chess stała nieruchoma i milcząca. Dłonie miała zaciśnięte w pięści, a twarz równie białą jak rękawiczki. Wpatrywała się w to, co pozostało z jej przeszłości, nieświadoma wirującego w powietrzu popiołu, płaczu swego dziecka ani obecności męża.

W końcu odwróciła wzrok.

— Musiałam to zobaczyć — powiedziała, patrząc Nathanowi prosto w oczy. — Teraz muszę jeszcze w to uwierzyć. Nigdy nie wybaczę sobie, że czekałam tak długo z przyjazdem tutaj. Proszę, zabierz mnie do Richmond, mój drogi. Muszę spotkać się z panem Perrym.

Rozdział 24

Ginterowie chcieli, by zatrzymali się w ich domu. Pani Ginter błagała nawet Nate'a, by nakłonił do tego Chess, on jednak odparł, że nie jest w stanie tego uczynić.

Wobec tego Lewis Ginter oddał im całe piętro swojego hotelu. Poleciał personelowi, by nie umieszczał nikogo w pustych pokojach na tej kondygnacji i ze szczególną troską dbał o apartament, który zajmowali Richardso-nowie.

Żona Gintera przysłała Chess swoją krawcową, aby ta zdjęła miarę na żałobne stroje. Dostarczono im też pudła z czarnymi welonami, rękawiczkami, pończochami, szalem, pelisą, kapeluszem i chusteczkami do nosa.

Zanim jeszcze przysłano czarne ubrania, Chess włożyła na siebie bladoniebieską jedwabną suknię, którą uszyła sobie na podróż, i udała się na rozmowę z panem Perrym. Nate siedział w milczeniu obok, kiedy wypytywała się o szczegóły pożaru w Harefields.

Augustus Standish zapisał swoje farmy ich dzierżawcom w zamian za regularne dostawy żywności i — w wypadku Scylli — gotowanie we dworze aż do chwili jego śmierci.

Pozostawił też w testamencie instrukcję, by jego synowa została umieszczona w Domu dla Wdów i Sierot Konfederacji w Richmond.

Dwór w Harefields oraz otaczające go pozostałe dziesięć akrów zapisał wnuczce, Francesce Standish Richardson.

Podatki z posiadłości nie były płacone od 1881 lub 1882 roku. ⁱ⁻

— Pozwólmy więc, żeby stan zajął tę ziemię za długi — oświadczyła Chess.

Nathan miał jej właśnie powiedzieć, że opłacenie zaległych podatków nie pochłonęłoby zbyt wielkich sum i że bez trudu mogą sobie pozwolić na zatrzymanie tej posiadłości, ale żona ubiegła go.

— Nie zostało tu już nic, co miałoby dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

Popatrzyła na reklamowe fotografie nagrobnych kamieni i wybrała proste granitowe płyty z wykutymi w nich rzymskimi cyframi.

— Nie znam daty urodzin Marcusa i Diany — stwierdziła. — Wyryjemy więc tylko daty śmierci.

Chcę, żeby przeniesiono ich groby. Powinni leżeć razem z rodziną.

— Rubiny twojej matki mogły ocaleć z pożaru — zauważył Nate. — Może należałoby ich poszukać. Chess potrząsnęła głową.

— Były sztuczne — odrzekła. — Prawdziwe zostały sprzedane jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Matka nigdy się o tym nie dowiedziała.

Instrukcje, jakie wydała prawnikowi w sprawie cmentarza, były nieco dziwne.

— Życzę sobie, by posadzono wokół niego drzewa. Kasztany. Żadne inne, panie Perry. Będzie musiał pan znaleźć porządny gatunek. Czy to prawda, że przepisy prawne mówią, iż cmentarz musi pozostać nietknięty, niezależnie od tego, kto zostaje właścicielem posiadłości?

— Tak, to prawda. Ale te drzewa...

— W tej sprawie nie może być żadnej dyskusji, panie Perry. Proszę powiedzieć mi też, jakiego wynagrodzenia żąda pan za wykonanie tego trudnego zadania?

Nate poznał przyczynę decyzji żony następnej nocy. Augusta obudziła się i zaczęła płakać. Chess poszła do niej. Nate także wstał, na wypadek gdyby był potrzebny.

Czekał, nie zauważony, w mrocznym kącie pokoju, podczas gdy Chess kołysała niemowlę w ramionach, oświetlona wpadającym przez wysokie okno blaskiem księżyca. Uspokajała dziecko, głaszcząc je po głowie i przemawiając cicho.

— Szsz... maleńka. Nie ma się czego bać. Twoja mama jest przy tobie. Jakaś ty śliczna, mój aniołku. Twoje włosy są jak światło gwiazd, błyszczą tak srebrzyście. Twoja babcia miała takie same. Czasem pozwalała mi czesać je szczotką z kości słoniowej. Spływały po jej plecach aż do pasa. Wyglądały jak szarozłoty jedwab. Uwielbiałam gładzić je tak jak twoje i czuć pod palcami ich miękkość. Ona też lubiła, jak szczotkowałam jej włosy. Przymykała oczy i opowiadała mi piękne historie z czasów, kiedy ona i mój ojciec byli młodzi... Kiedyś popłynęli oboje wielkim statkiem w podróż do Europy. Tańczyli na bulwarach Paryża, a wokół kwitły kasztany... Zwiedzali pałac królewski w Londynie, gdzie powietrze przesiąknięte było słodkim zapachem róż, i błąkali się po ruinach starożytnego Rzymu, wśród których kwiaty magnolii błyszczały jak księżycy na tle ciemnych gałęzi. Opuściła mnie akurat wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebowałam. Odeszła, by żyć swoimi wspomnieniami, i zostawiła mnie samą. Ale ja ciebie nigdy nie opuszczę. Nigdy. Nigdy. Zawsze będę cię kochać i ochraniać. Nigdy nie będziesz się czuć samotna ani przerażona. Kochałam ją tak bardzo, a teraz ona odeszła... Aż do tego momentu Chess nie zapłakała z żalu po Harefields. Ale teraz, przemawiając do swego dziecka, poczuła spływające po policzkach łzy. Jej pobladła twarz lśniła w jasnej poświacie księżyca. Nate odszedł po cichu, zostawiając żonę jej smutkowi.

— Płynę pod prąd strumienia, i to bez wiosł — westchnął Nate. — Pomożesz mi, Chess? Zmusiła się, by okazać zainteresowanie. Kiedy jednak mąż opisał jej swój problem, była już naprawdę zaintrygowana.

Nathan spędził niemal cały dzień w firmie Jos. Barker and Sons zajmującej się hurtową sprzedażą wyrobów tytoniowych. Jej właściciel, Barker, chciał sprzedawać castle, ale tylko pod warunkiem, że Richardson zacznie prowadzić agresywną kampanię reklamową swoich papierosów. *

— To właśnie jest różnica między wielkimi przedsiębiorstwami a małymi firmami — powiedział Nate. — Niższe ceny na pewno ułatwiają sprzedaż, ale teraz to już nie wystarcza. Człowiek, który pali twoje papierosy, musi chcieć tylko ich i żadnych innych. Nasi konkurenci o tym wiedzą.

Wręczył Chess plik papierów otrzymanych od Barkera.

— Buli reklamuje się jeszcze hałaśliwiej, odkąd Blackwell sprzedał przedsiębiorstwo Jule'owi Carrowi. Dodają paczkę bibułki papierosowej do każdego pięciocentowego woreczka tytoniu, tak że każdy sam może sobie zrobić skręta, zamiast nabijać tytoniem fajkę. Poza tym wymyślili własny system reklamy, którym objęli cały kraj.

Chess przekartkowała pochodzące z całej Ameryki notatki prasowe: w dziennikach z Nowego Orleanu, Nowego Meksyku, Seattle, San Francisco, Bostonu i Quebecu pisano o gigantycznych, wysokich na pięćdziesiąt metrów tablicach ogłoszeniowych z wizerunkiem byka. Ten sam rysunek widniał także na półstronicowych reklamach w czasopiśmie i wielkomijskich gazetach.

— Musi wydawać na to fortunę — powiedziała ze zdumieniem.

— Nie on, a oni. Zapewne wzrost zysków ze sprzedaży jest dwukrotnie większy od tego, co płacą za reklamę. Nie możemy pozostać w tyle, Chess. Przedsiębiorcy wprost skaczą sobie do gardeł, by zdobyć rynek w innych miastach.

Spójrz tutaj. Liggett & Myers wykupili całą stronę w chicagowskim dzienniku. Richmond Gems majora Gintera reklamują się natomiast w „Saturday Evening Post”. Musimy coś przedsięwziąć. Znajdziesz jakiś sposób, prawda? To ty wymyśliłaś przecież nazwę Castle, wizerunek wieży i wszystko inne. Masz talent do takich rzeczy. Chess zastanawiała się przez chwilę.

— Potrzebuję pomocy. Nie wiem, które miasta mają swoje gazety... Musi też istnieć ze sto czasopism... A może nawet pięćset! Jakież to podniecające! Oczywiście, zajmę się tym. Przynajmniej spróbuję.

— Dobrze. Powiem Barkerowi, że zgadzamy się na jego warunki i poproszę, by znalazł kogoś, kto zna się na prasowej reklamie.

Chess ponownie zabrała się do czytania sterty wycinków. Z wolna na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec. Po raz pierwszy udało jej się choć na chwilę oderwać myśli od tragedii w Harefields.

— Dzień dobry, pani Richardson. Jestem Doktor Fitzgerald.

Chess uniosła wzrok i ze zdumieniem popatrzyła na bardzo wysokiego, szczupłego mężczyznę.

— Wydaje mi się, że musiał pan pomylić piętra, doktorze. Wszyscy, dzięki Bogu, cieszymy się doskonałym zdrowiem.

Przybysz roześmiał się wesoło.

— Oto, pani Richardson, przykład, jak owo słowo zrosło się z nazwą zawodu. Jestem w rzeczywistości specjalistą od reklamy, którego potrzebujecie, a nie lekarzem. „Doktor” jest moim imieniem, często nadawanym wśród baptystów. Pani oczywiście uznała je za określenie mojej profesji. Niektórzy ludzie natychmiast wskazują mi, gdzie najbardziej dokucza im lumbago. Mogę wejść? Mamy sporo pracy.

Chess odsunęła się, wpuszczając go do środka, nieco oszołomiona potokiem wymowy gościa i onieśmielona jego pewnością siebie.

Oto właśnie odkrywano przed nią sekret udanej promocji dowolnego produktu. Doktor Fitzgerald był w jednej osobie reklamowanym towarem oraz tym, kto go polecał.

— Poleciałem sekretarce, żeby przysłała nam kawę i herbatniki — powiedział. — Kiedy je przyniosą, opowiem pani o sobie, a potem wysłucham historii waszej Standish Cigarette Company. Gdzie możemy usiąść? Ta czarująca bawialnia jest doprawdy bardzo przytulna. Proszę... — wskazał jej krzesło. — Niech się pani rozgości.

— No i usiadłam — opowiadała później Nathanowi Chess. — Cóż innego mogłam zrobić? Zupełnie mnie zagadał. Kiedy przyniesiono kawę i herbatniki, nie powiedziałam ani słowa o jajkach, szynce, grzankach i kielbaskach, które także znajdowały się na tacy. Nie uwierzyłbyś własnym oczom, widząc tego mężczyznę przy jedzeniu. Przysięgłabym, że on w ogóle nie gryzł ani nie łykał. Jedzenie wędrowało po prostu do jego ust i znikało, podczas gdy on ani na chwilę nie przestawał mówić. Pochodzi z hrabstwa Highland w Wirginii. To gdzieś wysoko w górach. Jest siódmym synem siódmego syna swojego dziadka i to właśnie dlatego nazwano go Doktorem. Uważano, że skoro po raz drugi w rodzinie przychodzi na świat siódmy syn, będzie on obdarzony jakąś szczególną mocą, na przykład zdolnością uzdrawiania, jasnowidzenia czy czymś takim. Cóż, rzeczywiście, jest on obdarzony szczególną mocą. Jego mowa zburzyłaby mury Jerycha — niepotrzebne byłyby żadne trąby. W ciągu całej rozmowy zdołałam wtrącić zaledwie kilka słów. Zapytałam o jego kwalifikacje, doświadczenie i wykształcenie. To pozwoliło mu wyśpiewać długi na co najmniej kilkaset wersów hymn na własną cześć. Wynikało

z niego, że Doktor Fitzgerald studiował języki klasyczne na uniwersytecie w Wirginii, co do czego osobiście żywię poważne wątpliwości. Kiedy jednak bez zmrużenia powiek zawiadomił mnie, że został przyłapany na robieniu jakichś ciemnych interesów i wydalony stamtąd, wiedziałam, że na pewno jest takim człowiekiem, jakiego potrzebujemy, by doradzał nam w sprawie reklamy. Wybuchnęła śmiechem. Pewien szczególny ton owego śmiechu powiedział Nate'owi, że wszystko wróciło do normy i że żona przyszła do siebie po przeżytym wstrząsie. Już choćby dlatego uważał, że warto było zatrudnić tego „doktora”. Wszak to właśnie on sprawił, że Chess znowu się śmiała. — Kazałam mu wrócić tu rano, żeby zobaczył się z tobą — dodała kobieta, chichocząc. — Wyśpij się dobrze dziś w nocy — będziesz jutro potrzebował dużo sił. — Uff — powiedział Bobby Fred. — Ten Doktor to coś więcej, niż człowiek jest w stanie wytrzymać. — Właśnie dlatego kazałam mu zamieszkać razem z tobą — roześmiała się Chess. — Dopiero gdy udał się na górę, do gościnnego pokoju, zdołałam przyjść do siebie i zaczęłam rozsądnie myśleć. Nie martw się jednak, to nie potrwa długo. Wyjedzie stąd jutro, by odwiedzić wszystkich liczących się hurtowników papierosów. Zanim zaś wróci, będzie już gotowy jego własny domek. Istotnie, od świtu do zachodu słońca z placu budowy dochodził turkot wozów, skrzypienie pił, stukot młotków i siekier oraz nawoływania robotników. Nate realizował trzy przedsięwzięcia jednocześnie. Druga fabryka papierosów Standisha powstawała nieco w dół strumienia, podczas gdy w wyższym jego biegu znajdował się już na wpół ukończony tartak Richardsonów. Dziesięciu ludzi wycinało też ciągnący się za młynem las, by oczyścić

teren pod budowę drogi, która miała przebiegać tędy od mostu.

Ponownie wydawali pieniądze dwa razy szybciej, niż je zarabiali.

— To właśnie jest w stylu twojego tatusia — powiedziała Chess do Augusty. — Ale dzięki temu wszystkie inwestycje zostaną szybciej ukończone... A wtedy przez krótki czas będziemy wiodli spokojne życie.

Cieszyła się, że mąż pozostawił stary most takim, jaki był, ponieważ przez chwilę obawiała się, że zechce go przebudowywać, z zachwytem opowiadał bowiem o inżynierskiej pomysłowości, z jaką wzniesiono ostatnio most w miejscu zwanym Brooklynem w Nowym Jorku.

Tydzień wcześniej wybrał się pociągiem zobaczyć to na własne oczy i Chess nie wiedziała, kiedy powinna spodziewać się go w domu. Żywiła jedynie nadzieję, że jarmark stanowy skłoni go do szybkiego powrotu. Zamierzała wybrać się na te targi razem z nim. Prawdopodobnie będzie panował tam taki sam całkowity spokój, jaki prezentował Doktor Fitzgerald — myślała kpiąco.

Była zdania, że mieli prawdziwe szczęście, iż ludzie z firmy Jos. Barker pozbyli się go, przysyłając do nich do hotelu. Doktor zdążył już bowiem zappełnić całe szafy czasopismami i gazetami, w których ukazywały się ich reklamy — zanim powstał nowy budynek fabryczny, pisma zajmowały już połowę jadalni, gdzie Fitzgerald urządził sobie biuro.

Nathan także traktował to pomieszczenie jak biuro, choć znajdował niewiele czasu, by w nim przebywać. Lubił kręcić się po placach budowy, sprawdzając, jak postępuje praca.

A przy tym marzyły mu się kolejne inwestycje. Kiedy Chess zapytała go, po co chce postawić tartak, odpowiedział jej tak, jakby miał do czynienia z osobą upośledzoną umysłowo.

— Żeby produkować deski i drewno. Jakżeby inaczej? Domki dla robotników kosztują ponad pięćset dolarów

każdy, a prawie połowę budynku wykonuje się z drewna. Mając własny tartak, będę mógł wznieść dwa razy tyle domów.

Chess nie zapytała, po co mu ich aż tyle. Wiedziała, że jedną z kwater ma otrzymać Doktor, nie miała jednak pojęcia, kto jeszcze mógł potrzebować mieszkania.

Dowiedziała się tego, gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia. Nową drogą Nate zawiózł ją i Augustę do lśnią-cobiałego domu, który wyglądał jak pracowicie udekorowany tort, jaki Chess widziała w oknie wystawowym piekarni w Richmond.

Był wysoki na dwa piętra i ozdobiony dużą, okrągłą wieżą, stanowiącą jeszcze jedną dodatkową kondygnację. Miał też wysokie, mansardowe poddasze ze zwieńczonymi łukowo oknami. Cały budynek udekorowano wyciętym z drewna koronkowym wzorem — widniał on nawet na wiszącej na olbrzymim ganku huśtawce oraz umieszczonych przy oknach skrzynkach na kwiaty.

— Jakież on olbrzymi! I piękny! Czemu mi nie powiedziałeś? Spędzilibyśmy już tutaj tegoroczne święta. Te drzwi wyglądają wspaniale z wiszącymi na nich bożonarodzeniowymi wiankami! Założę się, że wewnątrz jest tak dużo miejsca, iż zmieściłby się tam potężny dąb. Och, wejdźmy do środka!

— Jeszcze nie teraz. To znaczy tak, wejdziemy, bo chciałbym usłyszeć, co sądzisz o wnętrzu, ale w oknach nie ma szyb, w związku z czym jest tam zimno i hulają przeciągi...

Chess uniosła brwi.

— Jest coś jeszcze, prawda? Coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć.

— Cóż... Skoro już o tym wspomniałaś... Chcę zainstalować tutaj elektryczne oświetlenie. Źródło energii mieć jednak będziemy dopiero następnego lata. Zamówiłem prądnicę w Nowym Jorku.

Dostarczą ją tutaj koleją.

— Rozumiem — roześmiała się Chess. — Obiecaj mi jednak, że przy okazji nie przyślą nam również brooklyńskiego mostu. Tego bym ci chyba nie darowała.

— Słyszałem, że tamtejsi cwaniacy sprzedają go prostytutkom z prowincji, ale mnie udało się tego uniknąć — uśmiechnął się Nate. — Przynajmniej tym razem.

Nie wykończony budynek był największą atrakcją wydanego przez Richardsonów świątecznego przyjęcia. Stary ceglany domek otworzył tego dnia podwoje dla wszystkich. Jadalnię i salon przez całe popołudnie wypełniał tłum gości: plantatorów, farmerów, którzy przyjeżdżali tu zwykle z ziarnem do zmielenia lub do sklepu, oraz robotników mieszkających w wynajmowanych im domkach.

Zaproszono nawet Dorenę i Jima. W jednym z fabrycznych wozów specjalnie na tę okazję zainstalowano ławki i Bobby Fred wraz z Doktorem wozili nim gości do nowego domu. Jego drzwi zdobiły wprawdzie bożonarodzeniowe wianki, ale z pięknie zdobionej poręczy szerokich wewnętrznych schodów zwieszały się lodowe sople.

Wszyscy gratulowali Chess i wychodząc gorąco dziękowali jej za zaproszenie na przyjęcie. Nate, któremu przypadła w udziale opieka nad Augustą, mógł jedynie pomachać gościom z okna jadalni. Nie widział więc, jak opuszczająca ich dom Dorena zachwiała się nagle i chwyciwszy jego żonę za ramię, zmusiła ją do wyjścia na ganek. Chess przypomniała sobie, że kobieta ta piła podczas przyjęcia przeznaczony dla mężczyzn poncz. Mimo zdziwienia starała się zachowywać spokojnie.

— Do diabła, Dory, stójże prosto — syknął Jim przez zaciśnięte zęby, podtrzymując małżonkę.

— Przepraszam, Chess.

Zamiast jednak puścić ramię gospodyni Dorena potrząsnęła nim mocno.

— Jim kazał mi podziękować ci za zaproszenie nas. Ja jednak powiedziałam mu, że nie lubię być stawiana w jednym rzędzie z czarnuchami.

Te niegrzeczne słowa sprawiły, że Chess cofnęła się o krok.

— Przykro mi, że czuje się pani w ten sposób, pani Monroe. Moja rodzina zawsze wydawała świąteczne przyjęcia dla swoich dzierżawców.

Nikt nie musi wiedzieć — pomyślała — jak skromnie podejmowano gości w Harefields i jak niewielu przyjaciół mieli Standishowie prócz swych najbliższych sąsiadów.

— Trele-morele — warknęła Dorena. — Przyjęcia, tak? Tylko to potrafisz robić. Nic dziwnego, że twój mąż szukał pocieszenia u Julie.

— Do diabła, kobieto, zamknij gębę! — wrzasnął Jim, wymierzając żonie policzek. — Ona jest pijana, Chess, i sama nie wie, co mówi.

Dorena odrzuciła głowę do tyłu. Dłoń Jima rozmazała na jej twarzy jaskrawą szminkę do ust.

— Wcale nie jestem pijana, do cholery! — krzyknęła.

— To przez tę dziwkę Nate kazał naszej małej, słodkiej dziewczynce wyjechać z miasta. A teraz Julie umiera na suchoty. Gdyby została w Dixie, byłaby zdrowa.

— Puść moje ramię albo cię zabiję — powiedziała Chess cichym, lodowatym głosem.

Dorena wzdrygnęła się i odsunęła od niej. Jim siłą ściągnął żonę ze schodów.

Chess poczekała, aż znikną za zakrętem, po czym ciężko wsparła się o filar ganku. Nie mogąc oddychać — pomyślała.

— Za ciasno zasnuowałam gorset. Niedobrze mi. Jej umysł nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co usłyszała, ale ciało zareagowało na wstrząs: kwaśne, gorące wymioty trysnęły jej z ust i nosa.

Gwałtownie pochyliła się do przodu, w ostatnim momencie unikając poplamienia sukni.

Wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarłszy usta, weszła z powrotem do domu. Wciąż byli tam jeszcze goście. Przywołała na twarz uśmiech.

— Mamo! — zawołała Augusta.

Chess nie była w stanie spojrzeć na uszczęśliwioną twa-

rzyczkę dziecka. W każdym razie nie teraz, gdy siedziało ono na kolanach ojca.
Mam gości — upomniała się. — Muszę się uśmiechać i gawędzić z mmi, nawet gdyby miało mnie to zabić. Nawet gdybym chciała, żeby mnie zabiło.

Rozdział 25

Chess zapomniała już, jak wielki i silny może być tego rodzaju ból. Teraz, kiedy na nowo rozdzierał jej serce, wróciła myślami do śpiewnego głosu Alvy i okrutnych, obojętnie wypowiedzianych słów. Znowu przeżywała tamtą torturę. Dotknęła dłońmi gardła, jakby próbowała wyczuć przez skórę twardą kulę, która tamowała jej oddech i przesuwiała się w dół, raniąc serce, ściskając żołądek i wywołując palący ból wnętrza. Całe jej ciało szalało z męki zadawanej przez żelazne szpony zazdrości.

Tym razem było jeszcze gorzej niż poprzednio. Gorzej, niż mogła sobie wyobrazić w najczarniejszych snach. Bez przerwy myślała o Julie, owej dziwce — och, tak, była ona przecież dziwką. Chess wiedziała, jakiego rodzaju lokalem jest Dixie Barroom. Dorena także tam kiedyś pracowała.

To nie do wiary, żeby musiała wysłuchiwać złości z ust takiej kreatury! Żeby była narażona na obelgi z jej strony! Kobiety tego pokroju nie powinny mieć śmiałości w ogóle się do niej odzywać! Nawet po to, by powiedzieć „dzień dobry”!

Jak Nathan mógł dotknąć takiej parszywej kreatury? Czy jej także, jak Alvie, „sprawiał przyjemność”? Och, dobry Boże, cóż takiego jest ze mną nie w porządku, że mój mąż potrzebuje odwiedzin u dziwki? Czy nie wystarczy, iż co noc próbujemy począć kolejne dziecko? Nienawidzę

jej. Mam nadzieję, że naprawdę choruje na suchoty. Niech Bóg sprawi, by dławiała się własną krwią, tak jak ja dławię się moim oddechem i bólem. Zdradą. Nate mnie zdradził.

Kolejna płonąca strzała rozdarła jej serce.

Chess zdołała jakoś pogodzić się z tym, czego dowiedziała się o Nathanie i Alvie. To miało miejsce jeszcze przed ich ślubem, zanim w ogóle ją poznał. Ale ta Julie... To było coś tysiąc razy gorszego.

Milion razy!

Powiodła wzrokiem po pokoju i zgromadzonych w nim gościach. Och, czemuż oni nie pójdą już do domu? Czy niczego nie wyczuwają? Powinni przecież spostrzec, jakie przeżywa piekło, jakie znosi tortury, jak bardzo cierpi.

Nie, lepiej, że o niczym nie wiedzą. Dzięki temu może przynajmniej ocalić swą dumę. Tylko tyle jej pozostało. Uśmiechała się, rozmawiała, napełniała ponczem czarki...

Trzymała się jakoś do chwili, kiedy ostatni goście opuścili dom. Zdołała nakarmić, wykąpać i położyć do łóżka Augustę, otulić ją kołderką, przeczytać bajkę i ucałować na dobranoc. Uczyniwszy to wszystko, zeszła powoli na dół, mocno trzymając się poręczy schodów, by nie upaść. Rozdzierający serce ból stał się nie do zniesienia, jednak w tej chwili nie musiała się już z nim kryć.

— Wspaniałe przyjęcie, Chess — uśmiechnął się Nate. — Oczy wychodziły wszystkim na wierzch na widok naszego nowego domu, widziałaś?

— O tak, widziałam — odparła lodowato. Ogarnął ją nagły spokój. Pomyślała, że tak właśnie musi wyglądać śmierć. — Czy wybudowałeś dla Julie dom, Nathanie, czy też kupiłeś go?

Na moment uśmiech zamarł mężczyźnie na ustach. Po chwili jednak uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— O czym ty, u licha, mówisz? — zdziwił się Nate. W ciągu jednej sekundy złość rozbiła chłodny spokój Chess.

— Na litość boską, Nathanie, nie kłam. Wystarczy, że jesteś zdrajcą. Nie musisz być jeszcze na dodatek kłamcą.

Nate wzruszył ramionami. Nie uśmiechał się już.

— Przypuszczam, że to Dorena. Nigdy więcej nie zaprosimy już jej i Jima. Miałaś co do tego rację, przepraszam.

— Przepraszasz? To wszystko, co masz do powiedzenia? Uważasz, że jak wypowiesz to słowo, wszystko będzie już w porządku? „Przepraszam” jest dobre wtedy, gdy stłuczesz talerz albo spóźnisz się na kolację! Ale nie wystarcza wówczas, gdy ktoś uczynił coś takiego jak ty!

— Boże Wszechmogący, Chess. O co robisz tyle zamieszania? Nie jesteś dzieckiem i wiesz, że mężczyźni mają swoje potrzeby. Fizyczne potrzeby, o jakich damy po prostu nie mają pojęcia. Wszyscy mężczyźni tak postępują, nie tylko ja. Sama mi mówiłaś o swoim tacie i jego niewolnicach. Nie rozumiem, czemu tak cię to wytrąciło z równowagi.

Był poirytowany, ale jeszcze nie wściekły. Pomyślał, że oto zetknął się oko w oko z nielogiczną, niemożliwą do zrozumienia naturą kobiet. Jedyną rzeczą, jaką mógł w tej sytuacji zrobić, to cierpliwie poczekać, aż te nonsensy wywietrzeją żonie z głowy. Było mu przykro, że Dorena przysporzyła Chess cierpienia, co więcej, żałował, że Jim w ogóle ożenił się z tą kobietą — od początku wróżyło to kłopoty — ale przecież nie on, Nate, ponosił za to odpowiedzialność. Nie zamierzał czuć się winny tylko dlatego, że jest mężczyzną.

Serce Chess ścisnął palący żal. Jakże ciężki był ten cios! Czuła się nieludzko znużona, ale przynajmniej opuścił ją dojmujący ból. Jego miejsce zajął smutek. Cóż mogła mu odpowiedzieć? Że jej ojciec także postępował źle i matka musiała doznawać podobnych cierpień co ona? Że musiała być ślepa i pozbawiona serca, iż wcześniej tego nie zauważyła? Te słowa i tak by niczego nie zmieniły. Nathana nic nie obchodzili ani jej rodzice, ani ona sama...

— Nie jesteś moim ojcem, Nathanie, lecz moim mężem. Głęboko mnie zraniłeś.

Tym razem mężczyznę ogarnął gniew.

— Nigdy, przenigdy nie uczyniłem nic, co mogłoby cię zranić, Chess. Jak możesz coś takiego mówić? To, co robię z tego rodzaju kobietami, nie ma nic wspólnego z tobą. Jesteś moją żoną. Szanuję cię tak, jak mężczyzna powinien szanować towarzyszkę swego życia. W dodatku słucham twoich rad i podziwiam cię, czego większość kobiet nie może od mężów oczekiwać. Ty i ja jesteśmy prawdziwymi współnikami, nie tylko małżonkami. Mam już dosyć wysłuchiwania zarzutów. Idę do fabryki zobaczyć, co z zapasami tytoniu. Mam nadzieję, że do mojego powrotu uspokoisz się już i odzyskasz rozsądek.

Chess ciężko opadła na otomanę. Szacunek... Podziw... Ale nie miłość! Cóż, zawsze przecież o tym wiedziała. Czemu więc teraz zraniło to ją tak mocno? Oszukiwała samą siebie sądząc, że skoro są razem tacy szczęśliwi, musi to oznaczać, że Nate ją kocha. Bo przecież byli chyba szczęśliwi? Jej mąż również, nie tylko ona.

Przypomniała sobie, jak często śmiali się, żartowali i robili plany na przyszłość. Pomyślała o wspólnej pracy, o cichych wieczorach w salonie, kiedy oboje coś czytali. Tak, z pewnością Nathan był szczęśliwy. Po prostu jej nie kochał, to wszystko.

Nikt jej nie kochał, ale jednak musi zapomnieć o Alvie i Julie i dalej wieść swoje życie. Może znowu poczuje się szczęśliwa. Postara się, by tak było.

Tej nocy śnił jej się dziwny sen: jej ojciec rozpinał guziki swego munduru i spodni, a leżąc na kanapie naga kobieta wyciągała ku niemu ramiona i uśmiechała się, kusząco rozchylając wargi. Nagle, kiedy mężczyzna objął ją, zaczęła krzyczeć — zobaczyła, że pod jego kapeluszem nie ma głowy, lecz krwawa, pozbawiona twarzy miazga.

Chess obudziła się z krzykiem. Przeszywał ją dojmujący

ból. Zwinęła się w kłębek, przyciskając kolana do piersi w nadziei, że to przyniesie ulgę.

— Co się stało? — wymamrotał na wpół obudzony Nathan.

— Skurcz — odparła zdławionym głosem. Mówienie także sprawiało jej ból.

— Kołdra zsunęła się na ziemię i zmarzłaś — stwierdził Nate, siadając na łóżku i troskliwie przykrywając żonę. — Postaraj się zasnąć.

Ułożył się obok niej i natychmiast z powrotem zapadł w sen. Chess położyła mu dłoń na plecach, starając się oddychać głęboko w tym samym równym, powolnym rytmie co on, dopóki także nie zasnęła.

Rano zbudziła się zesztywniała i zmęczona. Nie pamiętała już swojego snu, przypomniała sobie natomiast podjętą w nocy decyzję: będzie szczęśliwa.

To zależy tylko ode mnie — myślała. — Byłam wyjątkowo głupia, że tak zareagowałam na słowa tej dziwki. Tylko słabeusze mierzą swoje życie i poczucie własnej wartości tym, jak często ktoś się do nich uśmiecha, co ludzie na ich temat mówią i czy okazują im przyjaźń. Tak bardzo martwiłam się, czy Nathan mnie szanuje. Bądź też ktokolwiek inny, jeśli już o to chodzi. Czemu? Najważniejsze, bym to ja czuła szacunek do samej siebie. A nie osiągnę tego, zachowując się jak pies, skamlący o resztki z pańskiego stołu.

Mam tak wiele. Wszystko, czego chciałam, a nawet więcej. Tęskniłam za mężem, dzieckiem i swoim własnym domem — i zdobyłam to. Na dodatek jesteśmy zamożni, a czegoś takiego nie zakładałam nawet w najśmielszych oczekiwaniach. Od chwili kiedy skończyłam czternaście lat, obywałam się bez luksusów. Teraz mogę mieć, o czym tylko zamarzę. Dla dziecka, dla siebie i dla mojego domu.

Romans jest czymś, co zdarza się w książkach, nie w prawdziwym życiu. Straciłam już zbyt wiele czasu wierząc,

że dostanę gwiazdkę z nieba. Rzeczy, które posiadam, są stokroć cenniejsze od wszystkich tych złudnych marzeń.

Jesteśmy dla siebie z Nathanem partnerami. Razem pracujemyf by rozwinąć naszą firmę i wieść dostatnie życie. To o wiele więcej, niż większość kobiet kiedykolwiek otrzymuje. Na ogół muszą one być po prostu posłuszne poleceniom mężów i głównie dbają o to, by na czas podać im posiłek. Czemuż, u diabła, tak bardzo użalałam się nad sobą? Wstyd mi. Natychmiast muszę przestać zadrezczać się w ten sposób. Mam w końcu lepsze rzeczy do roboty.

Edith Horton cieszyła się ogromnie, mogąc na dziesięć dni pojechać z przyjaciółką do Raleigh. Wynajęła nawet powóz i stangreta. Chess doskonale się bawiła. Urządzała swój nowy dom, zamawiała do niego wszystkie potrzebne sprzęty, poczynając od mebli, a kończąc na najbardziej luksusowych wydaniach książek, które można było dostać wyłącznie w dużym mieście.

Kupiła pięknie zdobione wazony, misy i kompotierki, wybrała narzuty na kanapy, zasłony i wykończone frędzlami firany. Nabyła wzorzyste dywany, rzeźbione meble o aksamitnych obiciach, oprawione w złote ramy lustra i obrazy — piękne, olejne wiejskie pejzaże oraz martwe natury z kwiatami i stosami spoczywających na tacach owoców.

Idąc za radą i namową Edith, zamówiła porcelanową zastawę o czterech różnych wzorach. Dobrała do niej także komplet ciężkich, posrebrzanych sztućców na dwadzieścia cztery osoby. Kupiła także dwanaście półmisek do najróżniejszych dań: pikli, oliwek, sardynek, serów, pasztetów, ciast, kanapek, puddingów, sałatek, ryb, zrazów, kotletów, szynki, bekonu, kielbasy i lodów. Zaopatrzyła się również w tuziny lnianych prześcieradeł, powłoczek na poduszki, obrusów, serwetek i ręczników.

— Czy Nathan nie będzie na ciebie wściekły? — zaniepokoiła się Edith.

— Ani trochę — odparła Chess. — Jest tak pochłonięty zakładaniem światła elektrycznego, że niczego wokół siebie nie zauważa. Zanim on upora się z prądem, ja zdążę wyposażyć cały dom. Nie przejmujemy się więc i dalej róbmy zakupy.

— Henry zauważa nawet nowe świece w kandelabrze — westchnęła z zazdrością Edith. — Zawsze chce wiedzieć, ile dokładnie pieniędzy wydałam. Masz dużo szczęścia, Chess.

— Wiem. Doceniam to.

I czuję się szczęśliwa — zapewniła się w duchu. Bycie zamożnym było czymś bardzo, bardzo miłym. Pięć maszyn Standisha produkowało ćwierć miliona papierosów dziennie przez sześć dni w tygodniu. Tartak pracował od świtu do zmierzchu także przez sześć dni w tygodniu, a dla wybranych klientów uruchamiano go również w niedzielę. W sklepie panował taki ruch, że Jim musiał wynająć sobie chłopaka do pomocy i przedłużyć godziny otwarcia aż do ósmej wieczorem.

Strumień pieniędzy napływał w takim samym tempie, w jakim Richardsonowie je wydawali.

Były to wspaniałe czasy, tak dla Ameryki, jak i dla biznesu. Kraj rozwijał się w nieprawdopodobnym tempie. W każdym ze stanów, we wszystkich kierunkach zaczęto budować kolej żelazną, która wkrótce pokryła pajęczyną szyn cały kontynent. Biura patentowe zalewała fala wynalazków i co tydzień na rynku ukazywały się nowe produkty, czyniące życie łatwiejszym, bardziej eleganckim i zabawnym. Powstające fabryki zamieniały niegdysiejsze wiejskie rozstaje

dróg w tętniące życiem miasta. Młodzi ludzie zbijali fortuny — Nate Richardson był tylko jednym z tysięcy podobnych sobie przedsiębiorców.

Pieniądze oznaczały rozwój. Znajdowały się wszędzie. Wystarczyło nieco determinacji i ciężkiej pracy, by się ich w krótkim czasie dorobić. Z całego świata ściągali do Ameryki ludzie wierzący, że znajdą tutaj wybrukowane złotem ulice.

Kraj rozwijał się pod każdym względem: ludności, zamożności, warunków do bogacenia się.

Wszystko za sprawą biznesu. Przedsiębiorcy stawali się nową arystokracją, Van-derbiltami nowego królestwa. Zaledwie pokolenie wcześniej Vanderbilt hodował warzywa na jednej z wysepek w pobliżu Nowego Jorku. Zeszłego lata jego syn i synowa wydali przyjęcie, które kosztowało ich dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Bez wątpienia Ameryka roku 1884 była ekscytującym miejscem do życia.

Rozdział 26

Trzydziestego kwietnia Buck Duke zainstalował maszynę Bonsacka w swojej fabryce przy Pratt Street w Durham. Przez następne sześć lat był on najpoważniejszym konkurentem Chess i Nate'a. Życie nie zatrzymało się w miejscu w chwili, kiedy pokonali Duke'a. Nadal było wypełnione pracą, podniecające, obfitujące w ciągłe zmiany. Prądnicą Nate'a została uruchomiona krótko po tym, jak osiem kilometrów dalej zaczęła pracować maszyna Bonsacka, i przez całe lato z odległych miejsc przybywali ludzie, którzy chcieli zobaczyć jarzące się w oknach fabryki, młyna i sklepu światła. Przypominało to karnawał: wszędzie ustawiano kramy z zapiekankami, prażoną kukurydzą, pasztetami, ciastami, owocami, warzywami, jajkami oraz wszelkiego rodzaju wyrobami rzemieślniczymi. Sprzedawcy pomagających na wszystko eliksirów przyjeżdżali tu jaskrawo wymalowanymi wozami i głośno zachwalali niemal magiczne działanie swoich mikstur. Skrzypkowie i żonglerzy dawali przedstawienia, a po nich obchodzili tłum z kapeluszem, do którego rzucano im drobne monety. Chess i Nate stali się najmilej widzianą parą gości na wszystkich spotkaniach towarzyskich w Durham. Oni sami także co tydzień wydawali przyjęcia w swoim jasno oświetlonym domu. Nathanowi zaproponowano członkostwo

w Commonwealth Club, skupiającym najbardziej liczących się biznesmenów z Durham. Chess natomiast przyłączyła się do Durham Literary Society. Oboje mieli swoją własną lożę w położonej w Blackwell Park siedzibie klubu.

W ich małej wiosce otwarto sklep żelazny i skład z nasionami, powstała kuźnia oraz wypożyczalnia powozów. Nate rozbudował też tartak. Inni biznesmeni składali mu liczne oferty, proponując, że wynajmą lub zakupią budynki mające instalację elektryczną.

Kolejną inwestycją Richardsonów była przedziałnia bawełny. Dwa lata później otworzyli bank oferujący kredyty hipoteczne i pożyczki dla rozwijającej się społeczności. Las za młynem zastąpiły miejskie ulice. Najszersza z nich otrzymała nazwę Richardson Avenue.

Kiedy liczba mieszkańców osady zbliżyła się do tysiąca, założono w niej urząd pocztowy i nazwano miejscowość Standish w Karolinie Północnej. Wkrótce ukończono też budowę drugiej fabryki Standish Cigarette Company oraz budynków mieszczących biura obu fabryk, młyna i tartaku.

Wzniesiono nowe składy, sklepy, stajnie i wozownie, a także jeszcze większą niż dotychczas wodną elektrownię.

Rozwój miasta postępował już teraz sam, bez troski ze strony Richardsonów. Chess mierzyła czas rośnięciem Augusty. Dziewczynka, mając cztery lata, odkryła, jak wspaniale jest jeździć konno, siedząc w siodle przed Bobbym Fredem i wydawać z siebie wojownicze okrzyki, kiedy — jako kawaleria Południa — atakowało się ukrytych pod postacią wysokich zarośli Jankesów. Bobby Fred mówił na nią „Gussie” i dziewczynka również tak siebie nazywała. Nathan orzekł, że to imię do niej pasuje i Chess musiała pogodzić się z owym przezwiskiem córki.

Gussie, jak każde dziecko, wciąż nabijała sobie guzy i siniaki. Na jej kolanach i łokciach zawsze widniały niezliczone zadrapania, Chess ucieszyła się zatem, gdy w Standish osiedlił się lekarz.

Nathan sprowadził także z hrabstwa Alamance do Stan-dish swoją rodzinę, dzięki czemu Gussie miała kontakt z babcią i dwiema kuzynkami, z których jedna była starsza od niej zaledwie o cztery lata. Sally natychmiast zapisano do szkoły w Durham, Susan zaś podjęła tam pracę jako nauczycielka czytania i pisania. Chess cieszyła się, mając znowu przy sobie starszą córkę Alvy. Tęskniła za tą miłą dziewczyną, odkąd opuściła farmę Richardsonów, i teraz czuła się ogromnie dumna z owej spokojnej, młodej damy, na jaką Susan wyrosła.

Choć Chess marzyła czasem o podobnej do laleczki córce ze złotymi loczkami, którą mogłaby ubierać w ozdobione koronkami jedwabne sukienki, bezgranicznie uwielbiała oczywiście żywą, upartą, piegowatą i podobną do małego chłopaka Gussie, której proste, srebrzyste włosy splatano w dwa grube warkocze. Nate także przepadał za córką. Kiedy miała pięć lat, ofiarował jej kozę i małą bryczkę, by nauczyła się powozić, a dwa lata później kupił dla niej i dla siebie rowery, na których wspólnie uczyli się jeździć, znów nabijając sobie przy tej okazji mnóstwo siniaków.

Dla ludzi, którzy ich znali, Richardsonowie stanowili rodzinę posiadającą wszystko, o czym tylko można marzyć.

W rzeczywistości za zamkniętymi drzwiami biblioteki w swym nowoczesnym, luksusowym domu Nate i Chess bez przerwy toczyli walkę o przetrwanie w bezwzględny, gotowy w każdej chwili skoczyć im do gardeł, świecie biznesu.

— Maszyna Bonsacka nie pracuje — powiedział Nate, kiedy Buck Duke zainstalował to urządzenie w swojej fabryce. — Allen i Ginter wypróbowali ją, ale okazała się nic niewarta. Stary Buck kupił brooklyński most. Czy wiesz, jaki interes ubił Bonsack? Wydzierzawił maszynę oraz mechanika, który ją obsługuje. Buck buli za wynajem urzą-

dzenia i wypłaca temu człowiekowi pensję, w zamian zaś ma stertę złomu.

— To w niczym nie zmienia tego, co powiedziałem — skrzywił się Doktor Fitzgerald. — Duke wytwarza i sprzedaje ponad dwieście tysięcy ręcznie skręcanych papierosów dziennie. Sprzedaje. Tu jest pies pogrzebany. Człowiek, który zarządza u niego zbytem, nazywa się Smali. To geniusz, a mówi wam to ktoś, kto zna się na rzeczy, ponieważ sam jest geniuszem.

Smali wycofał się z reklamowania papierosów na murach stajni stojących przy wiejskich drogach i teraz wykorzystywał w swojej pracy wiedzę o męskim libido i zamięłowaniu ludzi do skandali.

Odbywając handlową podróż do Atlanty, spostrzegł, że miasto było poruszone skandalem wokół nieprzyzwoitej francuskiej farsy, jaką wystawił tamtejszy teatr, i trzęsło się od plotek na temat grającej w nim aktorki, Madame Rhei, która pokazała się na scenie w sukni z głębokim dekoltem. Smali nakłonił ją, by pozwoliła wykorzystać poza teatrem plakat z jej zdjęciem. Wydrukował go jeszcze raz, dorysowując w rękę kobiety paczkę papierosów marki Duke of Durham. Wszystkie sklepy z tytoniem w Atlancie wywiesiły ten plakat w oknach wystawowych, zamieszczono go też w miejscowych gazetach, gdzie zajął całe pół strony. Przyzwoici ludzie byli oburzeni, ale klienci masowo zaczęli pytać o Duke of Durham.

— Muszą istnieć jeszcze jakieś inne aktorki — powiedział Nate. — Jak je znajdziemy, Doktorze?

— Nie — zaproponowała Chess. — Jeśli zamierzamy kopiować wszystkie posunięcia Duke'a, zawsze będziemy od niego gorsi i nigdy go nie pokonamy. Musimy wymyślić coś innego. Lepszego.

— Na przykład co? — zapytał Doktor.

— Jeszcze nie wiem — odrzekła Chess.

Cała trójka rozważała ten problem prawie przez tydzień. Odpowiedź na ich pytanie znalazł Nate.

— Klasa! — oświadczył z triumfem. — To jest to! Ludzie kupujący gotowe papierosy, zamiast skręcać je sobie własnoręcznie, to w większości mieszkańcy miast. Wielu z nich jednak przeniosło się tam z farm. Tak jak ja czy Buck. Lubią uważać siebie za ludzi z klasą, ciągle jednak zastanawiają się, czy czasem nadal słoma nie wychodzi im z butów. Musimy ich przekonać, że paląc papierosy Stan-dish, będą brani za prawdziwych dżentelmenów.

Doktor natychmiast zapalił się do tego pomysłu.

— Omów tę sprawę z Chess — polecił mu Nathan z uśmiechem. — Ona jest w tej sprawie autorytetem. To prawdziwa dama.

Chess popatrzyła na nich uważnie.

— Chcę, by było w tym także nieco seksu — oświadczyła.

Nate i Doktor wymienili zdumione spojrzenia. Dama nie powinna znać takiego słowa, a w każdym razie wypowiadać go na głos.

Pierwszy plakat reklamujący papierosy Castle przedstawiał rumianego, ogorzałego, ubranego w elegancki, wieczorowy garnitur mężczyznę, którego nie wypomadowanych, gęstych włosów nie skrywał jednak kapelusz. Człowiek ów stał na stopniach rezydencji Vanderbilta, budynku znanego wszystkim Amerykanom z gazet i czasopism. Obok znajdowała się zapatrzona weń kobieta o nagich ramionach. W wyciągniętej ręce w długiej, białej rękawiczce trzymała paczkę papierosów Castle. „Nie zapomnij o tym, Standish — głosił umieszczony pod spodem napis. — Uwielbiam mężczyzn, którzy palą castle”.

Plakat był o pięć centymetrów dłuższy i szerszy od tych, jakie rozlepił w całym kraju Duke. Inni producenci papierosów zaczęli już zrywać reklamy Duke'a, Kinneya czy Allen

and Ginter, by na ich miejscu nakleić własne. Nate nie był jedynym, który stanął do walki. Jego plakaty przykryły po prostu te, którymi wcześniej zaklejono inne.

„Standish” pojawił się później na swoim jachcie, na wyścigach konnych, w eleganckim powozie. Wszędzie towarzyszyła mu urodziwa kobieta. Wkrótce Standish stał się amerykańskim uosobieniem ideału męskości. Chrzciono tym imieniem dzieci, nadawano je romantycznym bohaterom literackim, nawet dziewczęta zaczęły zwracać się w ten sposób do swoich przystojnych kawalerów.

Ale plakaty stanowiły jedynie drobny epizod w walce z Duke'em.

W sześć miesięcy po zainstalowaniu w Durham maszyny Bonsacka, Buck Duke przeniósł się do Nowego Jorku.

— Przepędziliśmy go stąd — triumfowała Chess.

— Nie bądź głupia — zgasił jej entuzjazm Nathan. — Buck stąd nie uciekł. Po prostu przeniósł się tam, gdzie są pieniądze. Wszyscy wielcy gracze siedzą teraz na Wall Street.

W tydzień później do Commonwealth Club dotarła nowina, że maszyna Bonsacka produkuje sto tysięcy papierosów dziennie. Nawet jeśli niegdyś miała jakieś wady, zostały już one usunięte.

Duke otworzył w Nowym Jorku fabrykę i biuro, by móc kontrolować rynek na północy i zachodzie.

Dla obu przedsiębiorstw — tak tego w Durham, jak i tego w Nowym Jorku — zamówił nowe maszyny Bonsacka.

Wytwarzane przez nie papierosy nazwano Cross Cuts. Na każdej ich paczce widniał kolorowy portret Lillian Russell, słynnej, zmysłowej aktorki.

— Potrzebujemy czegoś, co pozwoliłoby się nam przebić na rynku — powiedział Doktor. — Ja sam nie dam rady zajmować się wszystkim. Nie wystarczy już, bym jeździł po

miastach i wynajmował tam na jeden dzień ludzi do rozlepiania plakatów, tak jak to czyniłem dotąd. — W takim razie potrzebujemy więcej pieniędzy — stwierdził Nate. — Ludziom, którzy zadbają o zwiększenie naszej sprzedaży, trzeba będzie zapłacić. Zaczniemy produkować nowy gatunek papierosów, po pięć centów za paczkę, jak wszyscy inni, choć castle będą nadal kosztowały cztery centy.

— W takim razie potrzebujemy więcej maszyn. — Co do tego zgadzali się wszyscy troje. Papierosów Knight nie owijano już w papier, lecz pakowano w małe, kartonowe pudełeczka. Pod nazwą umieszczono wizerunek szachowego skoczka. Wewnątrz na „szufladce” pudełka znajdował się rysunek Wenus z Milo, której nagie ciało można było ujrzeć tylko wtedy, gdy sięgało się po papierosa. Nate wyrzucił z pracy urzędnika, którego w środku nocy przyłapano na kopiowaniu bilansu sprzedaży i listy klientów.

Chess zwolniła pokojówkę widzianą przez Gussie, kiedy podsłuchiwała i podglądała przez dziurkę od klucza rozmawiających w bibliotece Richardsonów. Nie omieszkała jednak upomnieć córeczki, że nieładnie jest skarżyć, a także kręcić się po domu w porze, kiedy należy już spać.

Doktor niechętnie zaprzestał wizyt u zbyt ciekawskiej młodej kobiety, której towarzystwo sprawiało mu taką przyjemność, ilekroć odbywał handlowe podróże do St Louis.

Żadne z nich nie było tym zaskoczone. W tytoniowym interesie często korzystano z usług podwójnych agentów, szpiegów, informatorów i hurtowników manipulujących cenami surowca — słowem: ludzi, którzy nie cofnęliby się przed żadną brudną sztuczką, jaką tylko zdołaliby wymyślić. Nate sam miał dwóch przekupionych ludzi w fabryce

Bucka Duke'a, kobietę w Allen and Ginter oraz urzędników u Kinneya, Goodwina i W. S. Kimballa, czyli u Wielkiej Czwórki. Wszyscy jego szpiedzy składali mu regularnie raporty, zarktóre w ciągu dwudziestu czterech godzin otrzymywali sowitą zapłatę. Była to po prostu część sztuki prowadzenia interesów.

Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku toczyła się wojna. Richardsonowie wybudowali nową fabrykę, w której miały stanąć kolejne maszyny Standisha. Nate otworzył własną drukarnię, by jego reklamowe plakaty były lepszej jakości i mogły się ukazywać na rynku szybciej niż dotąd.

W przedsiębiorstwie Duke'a pracowało coraz więcej urzędzeń Bonsacka.

Nate odpowiedział na to, zamawiając więcej Standishów.

Więcej maszyn Bonsacka... więcej Standishów. Więcej... Więcej...

Duke wypuścił na rynek papierosy Cameo w tekturowych pudełkach, naśladowując w ten sposób pomysł Nathana.

W tajemnicy wypłacał też największym hurtownikom w kraju prowizję od sprzedawanych przez nich papierosów. W rezultacie przestali oni zamawiać papierosy Richardsonów.

Doktor także zaczął płacić prowizję. W złocie. Fabryka Nate'a znowu otrzymała ogromne zamówienia.

Sprzedaż papierosów w USA sięgała nie spotykanych dotąd rozmiarów. Małe fabryki przestawały się już liczyć.

Duke wpadł na pomysł dawania premii. Właściciele sklepów zamawiający tysiąc paczek cross cuts otrzymywali w prezencie składane drewniane krzeselko.

— Ten piekielny przedmiot uszczypnął mnie w miejsce, którego w obecności damy nie ośmielę się nazwać po imieniu — jęknął Doktor.

Krzeselka Standisha miały siedzenia wykonane z listewek.

Duke jął dołączać do paczek z papierosami specjalne kupony, a sklepy za darmo rozdawały klientom książeczki, do których owe kupony należało wklejać. Zapelnione można było wymieniać na nagrody: składane krzesło, zegar na kominek, zegarek kieszonkowy lub — za pięćset książeczek — duży zegar szafowy.

Standish nie ustępował Duke'owi pola, dodając jeszcze porcelanowe zastawy do herbaty, kryształowe patery, emaliowane miednice i dzbanki.

— Postarajmy się, by żony i matki zachęcały swoich mężczyzn do palenia — chichotała Chess. — Teraz wyrzucają tych biednych głupców z papierosami na dwór, niezależnie od tego, jak brzydka jest pogoda.

Chess uwielbiała tę toczoną przez nich wojnę na pomysły. Choć obecnie, gdy ich przedsiębiorstwa tak bardzo się rozrosły, księgi rachunkowe prowadzili już wyszkoleni księgowi, nadal lubiła sprawdzać wszystkie rozliczenia, ciesząc się tym, co udało się Nathanowi i jej osiągnąć. Walka z Duke'em pochłaniała ogromne sumy, ale mimo to Chess świetnie czuła się w roli stratega. Coraz częściej walka z konkurencją pozostawała na głowie jej i Doktora, ponieważ Nathan był zajęty realizowaniem nowego planu. Pragnął wybudować linię kolejową łączącą Standish z Durham, by ułatwić transportowanie papierosów do portu.

— Tak naprawdę chodzi ci o to, że będziesz się przy tym świetnie bawił — kpiała Chess.

Mąż przyznawał jej rację i uśmiechał się, co nadawało mu tak chłopięcy wygląd, że serce Chess topniało w okamgnieniu. Niekiedy zastanawiała się, czemu uroda Nathana wciąż robi na niej tak wielkie wrażenie. Nie mogła przecież liczyć na jego miłość. Traktował ją bardziej jak mężczyznę, przyjaciela niż jak kobietę. Oczywiście, z wyjątkiem łóżka... Och, czemu jeszcze nie zaszła w ciążę?

Nie kochał jej, lecz lubił. Nigdy jej nie pocałował. Ani razu. Dlaczego więc ona nadal go kocha? Nie miało to sensu, ale pozostawało faktem.

Nikt nie spodziewał się, że papierosowe pocztówki przyniosą taki efekt. Stały się one czymś na kształt ogona, który zaczął być większy od psa. Ludzie kupowali papierosy po to, by zdobyć znajdujące się wewnątrz paczek kartki.

Nate zaczął dołączać je do swoich wyrobów zaraz po Duke'u. Chess nalegała, by odpowiedzią na Lillian Russell konkurencji była Sarah Bernhardt.

— Jako Camille — dodała, wyjaśniając, że była to rola słynnej prostytutki, która przeżyła się na śmierć z powodu głębokiego dekoltu swych sukien.

Wkrótce do współzawodnictwa dołączyli Allen i Ginter ze swoją Floradorą.

Następnie castle zmieniły Sarah na Eleanorę Duse, Chess zobaczyła bowiem pewnego razu portret tej młodej aktorki w „Harper's Bazaar”.

I tak zaczął się wyścig. Duke dodał Lilly Langtry i Madame Rheę oraz siedem innych aktorek, by mieć komplet dziesięciu pocztówek. Zebranie wszystkich obrazków stało się nową obsesją Amerykanów.

Doktor był niepocieszony. Powinien był wpaść na to pierwszy — jęczał z rozpaczą.

— Przestań — nakazała mu surowo Chess. — Robisz tyle hałasu, że nie mogę myśleć. Nie ma dostatecznie wielu słynnych aktorek, a ja nie chcę drukować po prostu podobizn na wpół roznegliżowanych kobiet bez żadnego talentu. Spróbujmy więc z czymś innym. Jeśli tu chodzi o kolekcjonowanie kartek, pomysł powinien chwycić niezależnie od tego, co będą przedstawiały. A można wymyślić przynajmniej dziesięć różnych rzeczy. Im więcej, tym lepiej.

I będziemy dawać album każdemu, kto zbierze cały komplet. Będziemy je rozprawdzać przez sieć sklepów.

Szaleństwo zbierania kartek wkrótce ogarnęło cały kraj. Pocztówki przedstawiały prezydentów Stanów Zjednoczonych, królów i królowe Anglii, wielkich kompozytorów, słynnych pisarzy, największe rzeki świata, modele powozów, konie, psy i ptaki. Wszystkie przedsiębiorstwa tytoniowe starały się dotrzymać kroku konkurentom.

Doktor z dumą mówił o tym, że prześcignął wszystkich, kiedy Kuba Rozpruwacz znalazł się we wszystkich gazetach, a do papierosów Castle dołączono serię pocztówek zatytułowaną „Wielcy historyczni mordercy”, którą otwierały wizerunki Brutusa i Juliusza Cezara.

Krótko później Buck Duke ponownie złożył Nate'owi wizytę.

Przyszedł do domu, nie do biura Nathana, dokładnie tak, jak postąpił poprzednio. Znowu też powiedział Chess komplement, że ma śliczną córeczkę — identycznie, jak uczynił to wówczas, gdy Augusta była jeszcze niemowlęciem.

Na tym jednak kończyło się podobieństwo do poprzedniej wizyty. Duke miał na sobie świetnie uszyty garnitur, którego krój nazywano potocznie „wielkowiejskim”, a siła, jaką Chess poprzednio w nim wyczuwała, nie pozostawała już teraz utajona.

— Wysłałem mojego człowieka, by poszukał Nate'a — powiedział. — Mam mu do zakomunikowania coś, co go z pewnością ucieszy.

— Idź, poszukaj Żołnierza, Augusto — poleciła córce Chess. — Przewiezie cię na twoim kucyku. Proszę pójść ze mną do biblioteki. Oboje z mężem tam właśnie prowadzimy wszelkie rozmowy na temat interesów.

Nie zaproponowała gościowi kawy ani herbaty.

Duke nie usiadł aż do chwili przybycia Nathana. Wówczas wyszedł mu na spotkanie, wyciągając na powitanie rękę.

Zupełnie iak, jakby to on był tu gospodarzem — pomyślała niechętnie Chess. Kiedy obserwowała wymieniających uścisk dłoni mężczyzn, uderzyło ją to, jak interesującą rzeczą jest cywilizacja.

Byłoby o wiele naturalniejsze, gdyby ci ludzie zaczęli nagle okładać się pięściami. Może zakazane przez prawo pojedynki nie były aż tak złym rozwiązaniem, za jakie wszyscy je uważali?

— Nie usiądziesz, Buck? — Ton głosu Nathana wyraźnie mówił, kto jest właścicielem tego domu, podkreślając jednocześnie, że Duke'a traktuje się tu jak natręta, a nie zaproszonego gościa. Gospodarz usiadł na swym ulubionym krześle, Chess zajęła miejsce obok niego, dla Bucka zaś pozostał jedynie twardy, kryty końską skórą stołek. Przybysz nie zwrócił jednak uwagi na niewygodę. Czuł się irytująco swobodnie.

— Muszę pogratulować ci tych pocztówek z wielkimi historycznymi mordercami — powiedział. — Castle niemal dwukrotnie wyprzedziły mnie w wynikach sprzedaży w ciągu ostatnich trzech tygodni. Twój przyjaciel Doktor pobił moich chłopaków na całej linii.

Nate w milczeniu czekał na dalsze słowa gościa.

— Tego typu rzeczy już się jednak przeżyły — ciągnął Duke. — Kosztują nas wszystkich zbyt wiele pieniędzy, które moglibyśmy przecież przeznaczyć na lepsze cele.

A kto to wszystko zaczął, ty hipokryto? — pomyślała Chess.

— To ja zacząłem to wszystko — powiedział Buck, jakby czytając w jej myślach — aby zwrócić uwagę ludzi na moje wyroby i wyeliminować drobnych producentów. Teraz zostało tylko sześć liczących się przedsiębiorstw. Ty i ja zajmujemy pierwsze miejsca. Pokonaliśmy Kinneya, Goodwina, Kimballa, choć oni śmiali się z nas. Dwóch

chłopaków z Południa pokazało nowojorczykom, jak to się stało, że tak mało brakowało, byśmy wygrali tę wojnę, w której walczyli nasi ojcowie. Pokazaliśmy, co potrafimy, całej tej śmietance przedsiębiorców.

— Nie mam ochoty godzinami wysłuchiwać, jak rozwodzisz się nad swoimi sukcesami, Buck — przerwał mu Nate. — Czemu od razu nie przejdziesz do rzeczy?

— W porządku, już mówię, o co mi chodzi — uśmiechnął się Duke. — Zacząłem w ten sposób, bo chciałem, żebyś nieco zmięknął, nim przejdę do sedna. Zapomniałem, że ty także sprzedawałeś tytoń, jeżdżąc od osady do osady.

Uważaj, Nathanie — Chess ostrzegła męża wzrokiem. Ten człowiek zachowuje się zbyt przyjaźnie. Buck wyprostował się i uśmiech zniknął z jego ust.

— Chcę zebrać nas wszystkich razem. Nie mam zamiaru przejmować niczyjego przedsiębiorstwa, pragnę po prostu zawiązać stowarzyszenie, abyśmy przestali wydawać tak wiele pieniędzy na wzajemne skakanie sobie do gardeł. Jeśli nasza szóstka się dogada, będziemy kontrolować cały przemysł tytoniowy. A to oznacza możliwość wspólnego ustalania cen zarówno na kupowany tytoń, jak i na papierosy. Wtedy stopniowo będziemy mogli zaniechać drukowania kart i premiowania nagrodami naszych klientów. Palacze staną się na powrót tym, czym powinni być: ludźmi kupującymi i palącymi papierosy.

— Niezłe posunięcie — przyznał Nate, z aprobatą kiwając głową. — A kto stałby na czele takiego stowarzyszenia?

— Wszyscy mieliby w nim swoje udziały, zależnie od wielkości produkcji i wyników sprzedaży.

— Bardzo sprytnie — uśmiechnął się Nate. — Podziwiam cię, Buck. Naprawdę. A jak wygląda drugi koniec tego kija? Czego użyjesz w charakterze groźby, jeśli przedsiębiorcy nie zgodzą się na twój pomysł?

— Nie muszę nikomu grozić. Wszyscy wiedzą, że bez

takiego stowarzyszenia zbankrutują. Kinney już teraz musiał zamknąć swoją fabrykę w Baltimore, ponieważ nie sprzedawał dostatecznie dużo papierosów, by pokrywało to koszty produkcji. Teraz pozostało mu już tylko przedsiębiorstwo w Nowym Jorku. A przecież pięć lat temu były to największe fabryki w kraju. Nate podniósł się z miejsca.

— Cóż, Buck — powiedział, przeciągając się, jakby dopiero co obudził się z drzemki. — Nie mam zamiaru się do ciebie przyłączyć, ale nie sądzę również, by czekało mnie bankructwo. Założę się, że to się nie opłaca, pomimo iż umieściłeś mnie na samej górze swojej listy. Nic nie wyjdzie z tego twojego stowarzyszenia. Tyle tylko, że niektórzy nieco dłużej utrzymają się w tym interesie. Byłem naprawdę zajęty swoimi własnymi sprawami, kiedy twój chłopak przybiegł do mnie, jakby portki paliły mu się na tyłku, żądając, bym tutaj przyszedł, bo masz mi coś ważnego do powiedzenia. Teraz wrócę więc do przerwanej roboty, tobie zaś życzę miłego dnia.

Nate wstał i wyciągnął rękę. Buck Duke także się podniósł, uściskał gospodarzowi dłoń i skłonił się Chess. W połowie drogi do drzwi jeszcze raz się odwrócił.

— Jeśli ktoś rysuje linię na ziemi i zakazuje mi przekraczania jej, czuję się w obowiązku żądać tego samego od niego — powiedział.

Obaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Ja postępuję dokładnie tak samo, Duke. Tyle, że moje koszty wytworzenia tysiąca papierosów nie wynoszą nawet połowy tego, co twoje. Mam więc dość pola do działania bez przekraczania jakichkolwiek granic.

— Mimo to oglądaj się za siebie — rzucił Buck wychodząc.

Ani Nate, ani Chess nie odzywali się, póki nie usłyszeli, że za ich gościem zamknęły się frontowe drzwi. Dopiero wówczas Chess westchnęła i zapytała:

— Czy może to uczynić?

— Doprowadzić mnie do bankructwa? — Nate wzruszył ramionami. — Jestem pewien, że tak, ale on o tym nie wie. Poza tym zabrałoby mu to mnóstwo czasu, a nie mógłby przecież być pewien zwycięstwa. Jediną zaś rzeczą, której Buck z pewnością nie ma, jest czas. Lubi mocno uderzać i szybko zwyciężać. Jak już powiedziałem, założę się, że nie warto przyłączać się do jego stowarzyszenia. Pozostaniemy niezależni i sami będziemy kontrolować sytuację. Nie dopuścimy, by ktoś zmusił nas do wycofania się z tego interesu.

W jego oczach migotały wesołe iskierki.

— Widzę, że dobrze się bawisz, Nathanielu Richard-sonie.

— Jasne, że tak! Tocząc całą tę wojnę na odległość, niemal zapomniałem, jak zabawny jest pojedynek, kiedy przeciwnicy stają ze sobą twarzą w twarz. To dodaje walce smaku.

American Tobacco Company została oficjalnie zarejestrowana trzydziestego pierwszego stycznia 1890 roku. Zawiązano ją na podstawie przyjaznego biznesmenom prawa, obowiązującego w New Jersey, jej prezesem zaś został James Buchanan Duke.

Standish Cigarette Company natychmiast wypuściła na rynek nowy wyrób: zestaw zawierający pudełko nieco dłuższych niż dotąd papierosów oraz paczkę zapalek. Opakowanie ozdobiły biało-czarne kwadraty, na których nadrukowano czerwoną nazwę papierosów: Chess. Nabywcom zapowiedziano, że jeśli zbiorą dziesięć pustych pudełek, otrzymają za darmo komplet szachów oraz instrukcję, jak grać w tę grę.

Rozdział 27

Chess trzymała nożyczki w pogotowiu aż do chwili, gdy orkiestra głośnym akordem na bębnach zakończyła swój występ. Dopiero wtedy przecięła szeroką, czerwoną wstęgę. Znowu odezwały się bębny i stacja S & D Railroad w Standish została oficjalnie otwarta.

Mały budynek dworcowy był wprost uroczy. Przypominał ośmiokątny, przeszklony taras, zwieńczony pągowym dachem. Pełne rozkwitłych pelargonii skrzynki zdobiły wszystkie jego rogi, a przy drzwiach wejściowych ustawiono wykute w koronkowy wzór żelazne ławki. Chess osobiście pomagała je projektować i była ogromnie zadowolona z ich wyglądu, choć odczuwała dziwny smutek widząc je — nowoczesne i lśniące nowością — w miejscu, gdzie kiedyś wznosił się ich „nawiedzony” dom.

Tak wiele wydarzyło się od czasu, gdy oboje z Nathaniem zamieszkali w tym jednoizbowym budynku. Wydawało się, że od tamtej pory minęły tysiące lat, choć w rzeczywistości nie upłynęło nawet dziesięć. Doktor odszedł, pokonany przez rozwijający się prężnie nowy rodzaj biznesu, zwany „agencjami reklamy”. Odszedł także Jim Monroe, po Bob-bym Fredzie zaś widać już było jego lata. Podobnie jak po młynie, który wkrótce miał być zastąpiony nową inwestycją.

Ciekawa jestem — pomyślała nagle Chess — kiedy przestałam przyjaźnić się z żonami farmerów.

Przychodziły do

mnie na kawę do „nawiedzonego” domku, czekając na zmielenie ziarna, a potem odwiedzały mnie chyba również w tym drugim domu, wzniesionym z cegły. Ale tego nie jestem już pewna. Prawdę mówiąc, nie mogę przypomnieć sobie nawet, kiedy sama piłam kawę w mojej kuchni.

Chess uśmiechnęła się ciepło do fotografa. Gazeta w Durham miała zamiar zamieścić duży artykuł o kolei Nathana oraz prywatnym wagonie, który dla siebie zamówił.

Zabawki Nate'a! Cóż, miał swoją kolej żelazną, orkiestrę dętą, o jakiej zawsze marzył, oraz biuro Western Union, otwarte w zeszłym tygodniu w budynku pocztowym. Chess była przekonana, że następnym jego pragnieniem będzie telefon. Kiedy wbił sobie coś do głowy, nikt ani nic nie mogło stanąć mu na drodze do osiągnięcia celu.

— Dziękuję, pani Richardson — powiedział fotograf, wynurzając się spod czarnej płachty.

— Ja też dziękuję. Mam nadzieję, że wybierze się pan z nami na piknik.

— Dziękuję, bardzo chętnie.

Teraz Chess także mogła już wziąć udział w uroczystościach. Odwróciła się i uśmiechnęła, pozwalając ludziom podejść i przywitać się z nią.

W miarę jak przedsiębiorstwa Standish coraz bardziej się rozwijały, Chess stała się pierwszą damą w mieście. Wszyscy odnosili się do niej z szacunkiem i lekką zazdrością — była bądź co bądź żoną właściciela zakładów przemysłowych, dzięki którym owo miasto powstało. Niestety Chess czuła się chwilami przez to bardzo staro.

A jednak w jakiś niezbadany sposób cieszył ją taki stosunek ludzi. W dzieciństwie wpajano jej, że jest kimś szczególnym: arystokratką, osobą urodzoną lepiej niż wszyscy inni, wyjąwszy oczywiście podobnych do niej wielkich właścicieli ziemskich. Podziw i zazdrość ze strony osób mniej uprzywilejowanych wydawały jej się naturalne, traktowała je więc tak, jak ją tego nauczono: z wdziękiem i lekką dumą.

Uprzejmie przywitała wiceprezesa banku, który wspiał się na stopnie pomalowanego na zielono wagonu, z wymalowanymi z boku złotymi literami S & D. Złote frędzle, którymi ozdobiono zielony dach, powiewały na wietrze, kiedy jechała w stronę terenów piknikowych w Richardson Park, gdzie czekał na nią Nathan i jego rodzina. Za jej plecami orkiestra grała skoczego marsza. Tłum ludzi ze stacji ruszył ku polanie, gdzie ustawiono piknikowe stoły. Po południu muzycy mieli dać w parku koncert, tak jak czynili to każdej niedzieli i każdego czwartku od kwietnia aż do października. Standish było bardzo miłym miejscem do życia. Jego najszersza ulica, Richardson Avenue, została wybrukowana i miała ceglane chodniki, które latem były ocienione markizami, zawieszanymi nad witrynami ciągnących się po obu stronach sklepów. W mieście znajdowała się już szkoła podstawowa oraz wielkie, trawiaste place do gier. Na ukończeniu były także dwa kościoły baptystów: jeden dla białych i drugi, znacznie większy, dla czarnych. Zaledwie tydzień wcześniej zaczęto też kłaść fundamenty pod kościół metodystów.

Chess w duchu marzyła, by kościoła metodystów nigdy nie wybudowano. Teraz, kiedy mieli pociąg, łatwo było dostać się w niedzielę do Durham, gdzie spotykała tak wielu przyjaciół. Przypuszczała, że w przyszłości będą niestety musieli przyłączyć się do parafii w Standish. Gussie nie robiło to różnicy. Jej najbliższa przyjaciółka, Ellie Wilson, mieszkała w Standish i miała razem z nią chodzić do szkółki niedzielnej... Co, u licha, najlepszego Nathan zrobił? Pozwolił córce obracać prosię nad ogniskiem, gdzie pieczono mięso na barbecue! Przecież dziewczynka może upaść na żarzące się węgle! Wymamrotawszy jakieś usprawiedliwienie, Chess wyskoczyła z wagonu i biegiem pognała ratować dziecko.

— Oczywiście, była wściekła — zwierzała się Chess swojej najlepszej przyjaciółce. — Sama wiesz, Edith, jak Gussie nie znosi, gdy ktoś próbuje uchronić ją przed zabiciem się.

— Cóż, przeżyła to jakoś. Może więc z jej punktu widzenia sytuacja nie wyglądała tak groźnie?

— Nienawidzę, kiedy jesteś taka rozsądna. Wolałabym chyba, żebyś zawsze zgadzała się z moim zdaniem.

— Ale wtedy prowadziłybyśmy wyjątkowo nudne rozmowy, nieprawdaż?

— Może zatem powinniśmy dyskutować o hodowaniu rasowych koni?

— W żadnym wypadku! Jak możesz krzywdzić w ten sposób tak biedne, bezbronne stworzenie jak ja? Mąż Edith, Henry, od czterech lat, kiedy to sprzedał Nate'owi większą część swojej plantacji, hodował i trenował konie wyścigowe. Zajęcie to pochłaniało go do tego stopnia, że w rozmowach stał się wielkim nudziarzem — chyba że zdarzyło mu się dyskutować z innym koniarzem. Edith bezustannie skarżyła się na to przyjaciółce.

Chess również narzekała na coraz to nowe pasje Nathana. Obecnie największą z nich była kolej żelazna. Podev jrzewała, iż jej mąż zna nazwy, odległości i główne stacje każdej z kilkuset linii kolejowych w Ameryce. Ofiarował Gussie modele wszystkich używanych w kraju lokomotyw i oboje spędzali całe godziny na ganku, wprawiając zabawki w ruch i naśladując sapanie ich tłoków. Z czułością popatrzyła na ojca i córkę roznoszących talerze ostro przyprawionego mięsa wśród zgłodniałych i roześmianych uczestników pikniku. Oboje doskonale się bawili. Z jakiegoś powodu prawie nikt nie uważał Nate'a za człowieka zarozumiałego.

— Czy będziemy mogli, wybierając się na wyścigi, pojechać waszym prywatnym wagonem? — poprosiła Edith. — Umieram z ciekawości, jak też śpi się na tym łóżku w sypialni.

— To tylko piętnastominutowa podróż — roześmiała się Chess. — Ośmiokilometrowy szlak w niczym nie przypomina linii Northern Pacific.

— Mima" wszystko dla mnie jest to niemal tak, jakbym podróżowała Orient Expressem. Kiedy po raz pierwszy zamierzacie doczepić swój wagon do pociągu jadącego do jakiegoś słynnego miejsca? Na Florydę, do Kalifornii lub Saratogi? Henry bardzo dużo mówi ostatnio o Saratodze...

— Musi tam być zabawnie. Pamiętam, że moi rodzice także kiedyś rozmawiali o Saratodze. Wspomnę o niej Nathanowi i zobaczymy, co się stanie.

— I o podróży w waszym prywatnym wagonie do Durham, dobrze?

— Być może. Czy Henry ma jakiegoś konia, który będzie startował w wyścigach?

— Któż to wie? Boję się pytać. Znowu zaczniesz mi opowiadać o wszystkich klaczach i ogierach, jakie ludzie hodowali od czasu, gdy Adam i Ewa opuścili raj.

Hortonowie i Richardsonowie wybrali się wprawdzie wspólnie prywatnym wagonem do Durham, nastąpiło to jednak dopiero pod koniec lata, kiedy to w Blackwell Park miały odbyć się ostatnie w tym sezonie wyścigi konne. Pomimo iż Edith nie spała w wielkim łożu w urządzonej na tyłach wagonu sypialni, była uradowana, mogąc bez końca kręcić się dookoła na jednym z obitych aksamitem obrotowych foteli w salonie.

Cała czwórka, tak jak zawsze, doskonale bawiła się podczas zawodów. Tuż przed ostatnią gonitwą ogłoszono jednak smutną nowinę: wyścigi konne już nie będą się odbywać w tym miejscu. Park i tor zostały przekazane przez ich właściciela, pana Juliana Shakespeare'a Carra — dobrze znanego i ogólnie szanowanego patrona sztuki i nauki —

bardzo zasłużonej instytucji: Trinity College. Wszyscy mieli teraz zaszczyt wysłuchać krótkiego przemówienia pana Carra...

— Stary Jule będzie pewnie przez godzinę opowiadać jakieś dyrdymały — mruknął Nate. — Idę się trochę przejść — dodał, wstając z miejsca.

Chess i Hortonowie niemal nie zauważyli, że opuścił ich towarzystwo. Tor wyścigowy zostanie zamknięty! Rujnowało to plany Henry'ego co do hodowli i trenowania koni.

Przeniosą się pewnie do Saratogi — pomyślała Chess. — Co ja zrobię bez Edith? Była moją jedyną, prawdziwie bliską przyjaciółką, odkąd tylko się tu sprowadziłam. Nigdy nie znajdę nikogo takiego jak ona.

— Nie powiedziałaś mi, że w ostatniej gonitwie bierze udział czarny koń, Henry! — stwierdziła z niezadowoleniem Edith. — Postaw na niego w moim imieniu, a także w imieniu Chess.

Głos miała spokojny i wesoły. Jak przystało na damę, zniosła cios pogodnie i bez hysterii. Zupełnie nie sprawiała wrażenia kobiety, której świat w jednej chwili legł w gruzach. Damy nie okazują rozpacz w miejscu publicznym.

Chess otoczyła przyjaciółkę ramieniem i uściskała ją lekko, by pokazać, jak wysoko ceni jej odwagę i opanowanie.

Po gonitwie obie pary udały się na spacer po rozciągającym się wokół torów parku, tak jak czyniły to zwykle przy takich okazjach. Edith i Chess z całej siły zaciskały dłonie na swych ozdobionych wstążkami parasolkach, z uśmiechem kłaniając się i pozdrawiając znajomych oraz przytakując wszystkim, którzy twierdzili, że utworzenie w Durham college^ przysporzy miastu świetności i da młodemu pokoleniu szansę zdobycia lepszego wykształcenia.

Nate zabrał Henry'ego w zaciszny kąt za budynkiem klubu i poczęstował go wódką, którą kupił wcześniej podczas spaceru.

Kiedy jednak cała czwórka wracała prywatnym wago-

nem Richardsonów do Standish, nie było powodów, aby nadal zachowywać pozory dobrego humoru. Edith wsparła głowę na ramieniu Chess i rozplakała się, podczas gdy jej mąż robił wszystko, żeby się upić.

— Widzieliście coś podobnego! — powiedział Nate po pięciu minutach upływającej w ponurym nastroju podróży. — Moja żona i sąsiad nie są nawet na tyle uprzejmi, by pogratulować mi, że tak bardzo dopisuje mi szczęście. Wyteżałem mój umysł, zastanawiając się, jak zarabiać pieniądze dzięki S & D i oto pomysł sam spadł mi z nieba. Mam zamiar kupić jeszcze jeden wagon pasażerski. Te dwa, jakie posiadam, nie wystarczą, by pomieścić wszystkich ludzi przyjeżdżających z Durham do Standish na wyścigi konne, które będą się odbywały na wybudowanym przeze mnie torze.

Pijacki śmiech Henry'ego tylko przeraził zamiast rozweselić pozostałą trójkę.

Chess podejrzliwie popatrzyła na Nathana. Jego słowa o zarabianiu pieniędzy nie trzymały się kupy i były warte tyle co dziurawe pończochy Gussie po jej wspinaczce na drzewa. Nate z niewinną miną odwzajemnił jej spojrzenie.

Później tego wieczoru, kiedy zostali sami, Chess powiedziała mężowi, jak bardzo jest mu wdzięczna za okazaną Henry'emu szczodrość.

— Nic z tych rzeczy — zaprotestował Nate. — Jestem biznesmenem, a nie dobroczyńcą. Jeśli przywieziemy tu ludzi z Durham i pokażemy, jak mała odległość dzieli naszą osadę od miasta, to zanim zdążymy się obejrzeć, zaczną oni przyjeżdżać tutaj nie tylko na wyścigi, ale także dla naszego wspaniałego, świeżego powietrza. Poza tym tu nie będą trzy razy dziennie słyszeć ryku byka... Z pewnością chętnie kupią od nas place pod budowę domów, zaciągną w naszym banku kredyty hipoteczne i zamówią deski w naszym tartaku.

W tym, co mówił, było dużo racji, ale mimo to Chess nie pozbyła się wątpliwości.

Nathan zerknął na zegarek, po czym zamknął kopertę i wsunął go do kieszonki kamizelki. Włożył marynarkę i obciągnawszy jej klapy, przejrzał się w lustrze, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

— Wyglądasz bardzo elegancko — powiedziała Chess. — Gdzież to się udajesz, ubrany w nowy garnitur?

— Wybieram się jeszcze raz do tego krawca w Raleigh. Podoba mi się krój jego marynarek. Najpierw jednak pójdę zobaczyć się z mamą. Odkąd usłyszała o wyścigach konnych, szaleje z gniewu. Wrócę, jak tylko będę mógł.

— Powodzenia!

— Obawiam się, że akurat w tym wypadku twoje życzenia na nic się nie zdadzą.

Chess zachichotała. Biedny Nathan! Mary Richardson nie stała się ani trochę miłsza, pomimo że syn zbudował jej ładny dom, zatrudnił służbę oraz oddał do dyspozycji konie i powóz ze stangretem. Pozostała równie zgryźliwa jak wówczas, gdy mieszkała w ciemnej, wilgotnej i brzydkiej chacie na farmie w hrabstwie Alamance.

Teraz jednak Chess nie zwracała już na to uwagi. Poza krytykowaniem tego, że matka pozwala Gussie zachowywać się jak dzikuska, teściowa nie miała jej wiele do powiedzenia. Całą energię wkładała w biadanie nad zbytnim, jej zdaniem, požądaniem przez Nathana rzeczy doczesnych i narzekanie na jego ekstrawagancje.

Takich jak twój dom i służba — miała wtedy ochotę powiedzieć Chess. Powstrzymała się jednak, ponieważ Nathan pozostawał zawsze w stosunku do matki tak uprzejmy i pełen szacunku, że żona miała czasem ochotę postukać go w czoło, by nabrał rozsądku.

Musiała jednak przyznać, że i ona sama niewiele miała teraz powodów do narzekania na krewnych męża. W niedzielę cała rodzina udawała się do Durham do kościoła, a następnie wszyscy razem jedli obiad w prowadzonej przez panią Mattie Brown jadłodajni, której proste, wiejskie po-

trawy nadzwyczaj smakowały Mary Richardson. Wyjąwszy te okazje, Chess rzadko widywała bliskich Nate'a. Alva, Susan i Sally szybko znalazły własnych przyjaciół, natomiast Josha i Mieaha pochłaniała praca — zarządzali farmami, powstałymi na ziemi, którą Nathan kupił, by samemu hodować tytoń do wyrobu papierosów.

Żadne z nich nie wtrącało się do spraw Chess. Zazdrość o Alvę wydawała jej się obecnie głupią, przesadną reakcją niedoświadczonej dziewczyny. Ledwie o tym wszystkim pamiętała. Jej pozycja jako żony Nathana była teraz nie do podważenia. Wiedziała, że w życiu męża musi być jakaś kobieta lub nawet kobiety — być może w Raleigh, dokąd jeździł tak często na spotkania z politykami — za wszelką cenę jednak starała się nad tym nie zastanawiać. To nie miało nic wspólnego z nią samą. Często natomiast rozmyślała o czymś, co nazywała swoim „małym sekretem”. Czyniło ją to niezwykle szczęśliwą. Czowała się nieco przygnębiona, gdy skończyła się wojna z Dukiem i ustało towarzyszące ich rozgrywkom napięcie. Nie lubiła, kiedy brakowało jej pracy. Ale te czasy na szczęście już się skończyły.

Nigdy więcej poczucia, że jest bezużyteczna. Teraz wszystko było już dobrze. Lepiej niż dobrze: cudownie.

Chess pojechała do Durham i przesiadła się do pociągu do Raleigh. Podróżowała sama, co nie było rzeczą właściwą dla damy, ale nie dbała o to. Jechała tam ze specjalną misją, zbyt ważną, by komukolwiek o niej powiedzieć. Nawet Nathanowi — przynajmniej na razie.

Zamierzała zobaczyć się z doktorem Arthurem Masonem juniorem. Po wszystkich tych latach rozczarowań nareszcie oczekiwała kolejnego dziecka.

Uśmiechnęła się do swego odbicia w zakurzonej oknie, po czym szybko rozejrzała się dookoła. Och, mój Boże,

była zawstydzająco stara jak na to, by na nowo zostać matką. Gussie będzie ciężko urażona. „Urażona” było nowym słowem, jakie poznała, i Chess wołałaby, żeby córka nigdy się go nie nauczyła. Od tygodni wszystko ją „urazało”.

Był piękny, słoneczny dzień. Po jasnoblękitnym niebie płynęły białe obłoczki, a lekki odświeżający wiatr zaledwie nieznacznie poruszał ciepłym powietrzem. Chess postanowiła, że uda się do gabinetu doktora Masona na piechotę. Nie zamawiała wizyty listownie, ponieważ umieszczony na kopercie zwrotny adres sprawiłby, że gdy tylko opuściłaby pocztę, miasto zaczęłoby trząść się od plotek i domysłów.

Ufała, że mimo wszystko zostanie doktora u siebie. W tak piękny dzień jak ten nic nie mogło pójść źle. Minęły już dwa miesiące od chwili, kiedy nie wystąpiła u niej menstruacja. To znaczyło — o ile nie pomyliła się w obliczeniach — że na Wielkanoc przyszłego roku Gussie będzie miała już brata lub siostrę.

— Nie spodziewa się pani dziecka, pani Richardson. Przykro mi.

W głosie doktora Masona juniora brzmiało współczucie. Uważał, że nie ma innego sposobu na mówienie złych wiadomości jak tylko wyjawić je od razu, bez owijania w bawełnę, po czym zrobić wszystko, by okazały się jak najmniej bolesne.

— Nie wierzę panu. Od dwóch miesięcy nie mam okresu. Wiele lat wstecz zdarzało się wprawdzie, że krwawienia występowały nieregularnie, ale to było bardzo dawno temu. Odkąd Augusta przyszła na świat, moja menstruacja zaczynała się zawsze dokładnie tego dnia, kiedy powinna.

— Czy miała pani jakieś... mdłości? Zawroty lub bóle głowy? Uczucie duszności? — Lekarz wypytywał ją w ten sposób przez prawie dwadzieścia minut.

— Nie, doktorze, nie. Powiedziałam już, że nic złego się ze mną nie działo. Jestem w ciąży, to wszystko. Musiał się pan pomylić. Być może, kiedy przyjadę za miesiąc...

W końcu doktor Mason z całą delikatnością, na jaką tylko było go stać, powiedział, że zaczęła się u niej meno-pauza.

— Niemożliwe! W lipcu skończyłam czterdzieści lat! Nikt nie przestaje miesiączkować, mając zaledwie czterdziestkę.

Lekarz wyjaśnił jej jednak, że z niektórymi kobietami tak właśnie się dzieje i że ona do nich należy. Początkowo Chess nie chciała mu wierzyć, ale jego słowa brzmiały przekonująco. Tym, co najbardziej do niej przemawiało, było jego współczucie.

— Na chwilę zostawię panią samą, pani Richardson. Stare kobiece sposoby są wciąż najlepsze — znacznie skuteczniejsze od całej naszej nowoczesnej nauki. Proszę, niech pani płacze. — Położył przed nią wielką, męską chustkę do nosa i wyszedł.

Chess nie potrafiła się jednak rozplakać. Kiedy nowiny były aż tak złe, łzy wydawały się czymś nie na miejscu. Jej życie jako kobiety skończyło się! I to zaledwie dziesięć lat po jego rozpoczęciu. Dzięki Bogu, że nikt nie musi o tym wiedzieć!

Miała zamiar wrócić do domu z prezentami dla Nathana i Gussie, po czym wspólnie z nimi świętować dobrą nowinę, teraz jednak nie miała już dla nich żadnej dobrej wiadomości. Mimo to nadal mogła kupić im prezenty. A także coś dla siebie. Potrzebowała pocieszenia.

Rozdział 28

Winą za wszystko obarczała Nathana. Gdyby nie spędzał tak wiele czasu z daleka od niej... Gdyby nie pracował tak ciężko i nie bywał tak wyczerpany, że jego nasienie zanikało... Gdyby nie sypiał z tymi wszystkimi kobietami i nie marnował na nie swojej spermy... W wyniku swej głębokiej ignorancji Chess w tym właśnie upatrywała przyczyn owego strasznego wyroku, jaki usłyszała z ust lekarza: nigdy więcej nie będzie mieć dzieci.

Była za stara.

Kiedy przyjechała do domu, Nathan i Gussie jeździli po trawniku na rowerach. Świeżą zielenią trawy przecinały brązowe linie — ślady kół. To była wina Nathana. Wszystko, co złe, było winą Nathana. Wbiegła na górę do ich sypialni i zaczęła opróżniać szuflady swojej komody, wyrzucając ich zawartość na łóżko. Potem przyszła kolej na suknie i buty. Nie będę płakać — obiecywała sobie wciąż od nowa.

— Boże Wszechmogący, Chess, co ty robisz? Wiosenne porządki we wrześniu?

Nate stał w drzwiach z szeroko otwartymi oczyma. Na jego wargach błąkał się lekki uśmiech. Ubrany był tylko w koszulę — marynarkę i kamizelkę miał przewieszane przez ramię. Wyglądał jak młody chłopak. To nie było sprawiedliwe.

— Przenoszę moje rzeczy do narożnego pokoju na tyłach domu — powiedziała obojętnie Chess. Czowała się dumna, że zdołała wypowiedzieć te słowa w taki sposób. — Byłam dzisiaj u-lekarza i on powiedział mi, że nie mogę mieć więcej dzieci. Nie ma wobec tego powodu, dla którego mielibyśmy dłużej dzielić ze sobą sypialnię.

Wzrok Nate'a spochmurniał, a uśmiech zniknął z jego ust.

— Nie rozumiem — powiedział.

— Taka była nasza umowa, czyż nie? W zamian za patent poślubisz mnie i dasz mi dzieci.

Dotrzymałeś słowa. Mam Gussie. Ponieważ jednak nie mogę już zająć w ciążę, nie musimy więcej sypiać w jednym łóżku.

Nate pomyślał o tym, jak miło było mu zawsze zasypiać i budzić się u jej boku. Tak wielką sprawiało mu to przyjemność... To czyniło jego dom takim, jakim powinien być. Nigdy natomiast nie zastanawiał się, co myśli na ten temat Chess. Teraz się dowiedział. Przez wszystkie te lata musiała znosić go obok siebie po to, by mieć dzieci. Jakież z niego głupiec! Powinien pamiętać, że była damą.

— Czemu nie każesz tego zrobić pokojówce? — zapytał. — Przecież to cały stos rzeczy.

Tak, miała dużo ubrań. Bardzo dużo. I prawie wszystkie były już niemodne. Według ostatnich magazynów w żadnym razie nie należało już nosić tiurniur. Nikt w Karolinie Północnej chyba tego nie zauważył — pomyślała. Czego jednak można oczekiwać po takiej prowincji? Tu nawet Durham uważane jest za nowoczesne miasto, ponieważ ma lampy uliczne i drewniane chodniki. Jego mieszkanki nie zwracają uwagi na to, że przechodząc na drugą stronę ulicy, wciąż muszą brodzić w pyle i błocie lub przeskakiwać z kamienia na kamień, by nie powalać sobie sukni i butów.

Pojechała do Richmond, gdzie jezdnie były już brukowane, a kroje kobiecych sukni znacznie modniejsze, po czym

oddała się zakupom z takim zapamiętaniem, że czuła się po nich jeszcze bardziej wyczerpana i przygnębiona.

— Po co ci te wszystkie ubrania? — zapytała ciekawie Gussie.

— To, co oglądasz, nazywa się suknią herbacianą — wyjaśniła jej matka. — Wszystkie dobrze ubrane damy wkładają je po południu, by wypić herbatę.

Gussie opadła na kolana i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

— Specjalna sukienka do filiżanki herbaty? To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam!

Jak na ośmiolatkę przejawiała wyjątkową, bezkompromisową logikę w myśleniu.

Chess popatrzyła na córkę i nagle, wbrew własnej woli, także zaczęła chichotać. Nie upłynęła minuta, a śmiała się równie serdecznie co Gussie.

— Chodź tu i uściskaj mnie, ty wstrętny dzieciaku — powiedziała.

— Uff! — westchnęła dziewczynka, wyplątując się z kaskady koronek.

Chess uznała, że herbaciana suknia jest przesadą, i poświęciła się udoskonalaniu wyposażenia domu. W rogach frontowego salonu ustawiła wysokie wazony z pękami pawich piór, do drugiego zaś salonu zakupiła olbrzymie kompozycje woskowych kwiatów umieszczonych pod szklanymi kloszami. Także do jadalni zamówiła prawie metrowej długości półmisek wypełniony marmurowymi owocami, który ustawiono pośrodku stołu. W jej nowej sypialni pojawił się wykonany z różanego drewna komplet pięknych mebli, z wyrzeźbionym wzorem pnącej się winorośli, a na wielkiej toaletce stanął nowy zestaw szczotek, grzebieni, słoiczków oraz przyborów do manicure. Wszystko było oprawne w złoto i ozdobione tym samym motywem winogronowych liści.

Podczas noworocznej zabawy przekonała Jamesa Di-

ke'a, by przeniósł swój sklep z Durham do Standish. Miasto rozrastało się dokładnie tak, jak przewidział to Nathan, i z całą pewnością potrzebowało już własnej księgarni. Chess podziwiała Dike'a: zachwycało ją jego staranne wykształcenie, choć nigdy nie czuła się przy nim na tyle swobodnie, by móc go lubić. James przeniósł się do Durham wiele lat temu, ponieważ ostre zimy w Bostonie nie służyły jego delikatnemu zdrowiu. Rzeczywiście, zawsze wyglądał blado i anemicznie. Chess natomiast podobali się mężczyźni silni i pełni życia. Tacy jak Nathan. Czuła się nieszczęśliwa, że tak bardzo się od siebie oddalili. Właściwie nie mogła wskazać żadnej konkretnej zmiany, jaka nastąpiła w ich wzajemnych stosunkach, doskonale wiedziała jednak, że przestali być sobie tak bliscy jak niegdyś. Niestety nie miała pojęcia, jak temu zaradzić.

Dike pełnił rolę nieformalnego przewodniczącego towarzystwa literackiego w Durham, dla Chess było oczywiste, że taka organizacja powinna także powstać w Standish. Wkrótce dziesięć, potem czternaście, a w końcu dwadzieścia kobiet spotykało się co tydzień w salonie Richardsonów, by porozmawiać o przeczytanych właśnie książkach. Seria powieści Trollope'a o angielskich politykach i ludziach z towarzystwa miała im dostarczyć tematu do dyskusji na dłuższy czas.

W tym sezonie został otwarty wybudowany przez Nathana tor wyścigów konnych. Tym razem wstęgę przecinała Edith Horton, ponieważ to właśnie jej mąż zaprojektował owo miejsce i był prezesem Green and Gold Club. Jego członkowie mieli swoje własne łóża w siedzibie klubu.

W Standish całymi miesiącami panował piekielny hałas. Richardson Avenue rozrastała się, a las przecinały coraz to nowe ulice, po obu stronach których wyrastały obszerne wiktoriańskie wille oraz sklepy, zaopatrujące mieszkańców we wszystkie potrzebne im artykuły.

Gdy nadszedł Dzień Dziękczynienia, Standish miało już

radę miejską, więzienie oraz towarzystwo dramatyczne, wystawiające uproszczone wersje sztuk Szekspira — salon Chess służył wówczas za teatr. Bilety na spektakle sprzedawano oczywiście wyłącznie wybranej publiczności.

Dzięki linii kolejowej Standish stało się prawdziwym miastem. Szyny biegły nasypem między drogą a strumieniem, obok tartaku do stacji kolejowej, po czym dalej, do fabrycznych ramp. Wydzierżawione robotnikom domki, pierwszy sklep oraz budynki z najwcześniejszego okresu rozwoju miasta znalazły się po gorszej stronie torów. Lepsza natomiast strona tętniła pracą i Chess czuła się tam jak królowa ula. Mimo licznych zajęć starczało jej czasu na zabawę i rozmowy z ludźmi. Za wszelką cenę chciała udowodnić sobie samej, że nie jest stara i bezużyteczna.

Przyjęcie bożonarodzeniowe, które Richardsonowie wydali w 1891 roku, było największym i najważniejszym wydarzeniem towarzyskim, w jakim ich goście kiedykolwiek uczestniczyli. Gussie i jej najlepsza przyjaciółka, Ellie, przez parę dni chorowały po zjedzeniu zbyt wielu słodczy i wypiciu — ukradkiem — szampana.

Nate ofiarował Chess wspaniałą garnitur biżuterii z pereł i kamei. Znalazły się w nim naszyjnik, dwie bransoletki, broszka, kolczyki oraz diadem. Żona powitała prezent z tak ogromnym zachwytem, jakby to nie ona wraz z Edith wybrała ów zestaw u jubilera. Z wielką radością przyjęła także podarunek od Jamesa Dike'a — prenumeratę angielskiego miesięcznika „The Strand Magazine”. Pierwszym opowiadaniem wydrukowanym w tym piśmie była historyjka o człowieku nazwiskiem Sherlock Holmes.

— W każdym numerze będzie jedna taka nowelka — zapewniał James. — Moi brytyjscy przyjaciele twierdzą, że Holmes stał się ulubieńcem Anglików.

— Wcale się temu nie dziwię — powiedziała Chess. — To opowiadanie jest wspaniałe. Sądzę, że nawet mój

mąż przeczyta je z zainteresowaniem, choć zwykle ogranicza się jedynie do artykułów na temat biznesu i wynalazków.

— Zamówiłem też dla ciebie kilka książek — uśmiechnął się James.— Czy słyszałaś kiedyś o Juliuszu Vernie?

Chess doszła do wniosku, że jednak bardzo lubi Jamesa Dike'a. Wcale nie był zarozumiały i nie pozował na wielkiego intelektualistę. Z niecierpliwością czekała zimy, by mieć nieco więcej czasu na czytanie.

— Muszę z tobą porozmawiać, Chess — powiedział Nate.

Chess zeszywniała. Czyżby miał zamiar narzekać na wysokie koszty wydawanych przez nią przyjęć i to, że przez ich dom bez przerwy przewijało się mnóstwo ludzi? Cóż, niech spróbuje. W końcu był to także jej dom!

— Buck Duke wytoczył największe działo — oświadczył Nathan.

Chess pośpiesznie zamknęła drzwi do biblioteki.

Od utworzenia American Tobacco Company minęły już dwa lata. W ciągu tego czasu informatorzy wielokrotnie donosili o niezgodzie i kłótniach między udziałowcami i o tym, że z tych pojedynków Duke za każdym razem wychodził zwycięsko. Zrzeszeni przedsiębiorcy drastycznie ograniczyli zatrudnienie i mieli teraz tylko jeden wspólny dział sprzedaży, jedną księgowość i administrację. Mimo to, jak zaobserwowali Nate i Chess, pieniądze na premie szybko się wyczerpały.

— Tym razem Buck planuje naprawdę groźny ruch. Ma zamiar postawić ultimatum wszystkim sprzedawcom i pośrednikom. Jeśli będą handlować papierosami tańszymi od produkowanych przez stowarzyszenie, znajdą się na jego czarnej liście i nie otrzymają więcej żadnych dostaw. Oczywiście chodzi mu o castle, a właśnie tego gatunku sprzedajemy najwięcej.

— Racja. Musimy się zastanowić, co robić.

Chess wiedziała, że powinna być przygnębiona, może nawet zrozpaczona. Wszystko, czego się dorobili, znalazło się w niebezpieczeństwie. Mimo to jedynym uczuciem, jakiego doznawała, była radość, że są razem, znowu razem. Nathan jej potrzebował. Ich partnerski układ trwał nadal.

Rozmawiali do późna w nocy.

Następnego dnia również. I także do późna. Nowy wyrób? Nie! Papierosy Castle sprzedawały się najlepiej. Podnieść na nie cenę? Również nie! Kupujący byliby wściekli i mieliby rację.

Tak wiele godzin poświęcili omawianiu i odrzucaniu kolejnych pomysłów, że w końcu, gdy znaleźli rozwiązanie, żadne z nich nie było pewne, kto pierwszy wpadł na ten pomysł. Papierosy Chess sprzedawano już w nieco większych opakowaniach, należy więc to samo uczynić z castrami. Powinny być dłuższe, choć wciąż będą nosiły tę samą nazwę. Rozreklamują je jako King Size. Wtedy będzie można podnieść cenę do pięciu centów — tyle, ile kosztują papierosy produkowane przez stowarzyszenie.

Przeróbka maszyn Standisha będzie niewielka, wyjąwszy rolki bibuły. Muszą znaleźć nowego dostawcę — kogoś nie znanego producentom papierosów, inaczej ich odpowiedź na groźbę Duke'a dotrze do konkurencji, zanim jeszcze pierwszy king spadnie spod gilotyny.

— Słyszałeś, Nathanie? — zapytała Chess, nucąc pierwsze takty Marsylianki. — King i gilotyna...

Nate zmarszczył czoło, po czym, zrozumiałwszy dowcip, roześmiał się głośno.

Nareszcie. Od tak długiego czasu nie cieszyli się razem. Chess poczuła łyzy pod powiekami. Nate także był szczęśliwy, słysząc radosny śmiech żony.

W końcu doszli do wniosku, że powinni produkować własny papier. Nie było jednak czasu na wybudowanie papierni, wobec czego Nate postanowił poszukać jakiegoś

wystawionego na sprzedaż przedsiębiorstwa, które posiadałoby odpowiednie maszyny. Chciał także, by ta fabryka nie miała żadnych powiązań z tytoniowym biznesem.

— Nie będę stawiał papierni — powiedział. — Po prostu ją kupię. — Jego twarz się rozjaśniła. — Powiedz, co o tym myślisz, Chess? Może wówczas moglibyśmy wydawać w Standish gazetę? Jak zawsze, gdy Nate podejmował jakieś działanie, wszystko rozgrywało się w szalonym tempie i błyskawicznie przynosiło rezultaty. Pierwszego maja 1892 roku na plakatach i w gazetach we wszystkich miastach Ameryki pojawiła się nowa reklama, przedstawiająca paziów w liberii, dmących w długie rogi, między którymi rozpościerał się transparent, na nim zaś znajdowała się paczka nowych castle'ów. W większych miastach ubrani w jaskrawe kostiumy muzycy chodzili po ulicach, grając na rogach, z których zwieszały się reklamowe transparenty, a młode, ponętne kobiety w strojach mleczarek częstowały przechodniów nowymi papierosami.

Doktor przysłał im telegram z gratulacjami.

**NIEWYOBRAŻALNY SUKCES STOP NAWET BEZE MNIE STOP DOBRZE ZROBIONE
STOP TĘSKNIĘ ZA WAMI STOP DOKTOR**

Chess napisała do niego długi, entuzjastyczny list i dołączyła pierwszy numer debiutującego w Standish „Courie-ra”. „Tylko cztery strony i tylko co tydzień, ale znasz Nathana — dopisała ponad winiętą. — Wróć do domu

i bądź naszym Jamesem Gordonem Bennettem — tyle, że oczywiście lepszym”.

**NIE PRZEGAPIĘ TAK TŁUSTEGO KĄSKA STOP PRZYJEŹDŹAM DRUGIEGO
CZERWCA STOP DOKTOR**

Nagłówek pierwszego numeru „Couriera”, który ukazał się po objęciu redakcji przez Doktora, głosił: „Jeden strajk, i wylatujesz z pracy!” Na pierwszej stronie wydrukowano pełny tekst przemówienia wygłoszonego przez Nate'a do robotników zatrudnionych we wszystkich jego przedsiębiorstwach w Standish. Zgromadzili się oni na trybunach wyścigów konnych, podczas gdy on stał, wspierając łokcie o ogrodzenie okalające tor.

Jakieś pięć lub sześć lat temu człowiek nazwiskiem Gompers wpadł na pomysł, że jeśli zbierze dostatecznie wielu ludzi, zdołają oni skłonić innych do dania im wszystkiego, czego tylko zapragną. Jego nazwisko winno brzmieć: Złodziej, ponieważ tego właśnie chciał — okradać przedsiębiorców. Nie własnoręcznie — och, nie. Ten złodziej rabuje, posługując się wymyśloną przez siebie organizacją, którą nazwał „związkiem”. Oto w jaki sposób ona działa: pewni ludzie, nie mający innego zajęcia poza wykonywaniem brudnej roboty dla pana Złodzieja, próbują podjudzić tych, którzy mają pracę. Powiadają, że jeśli wszyscy razem przerwą pracę, właściciele fabryk — przerażeni tym, iż nie zdołają wywiązać się z podpisanych zamówień — zgodzą się dać robotnikom prócz niedziel także wolne soboty, zwiększyć dwukrotnie ich wynagrodzenie oraz przyjmą inne warunki, jakie pracownicy postawią. Nazywają to strajkiem.

Pan Złodziej nie ma pracy, podobnie jak jego pomocnicy. Czy wiecie, w jaki sposób zarabiają oni na życie? Powiem wam: wszyscy członkowie jego związku płacą z własnej kieszeni składki, w zamian za przywilej należenia do tej organizacji i robienie tego, co im się każe. Nietrudno zgadnąć, gdzie wędrują te pieniądze.

Nie mam zamiaru prosić was, żebyście sięgnęli do portfeli i oddali mi choć centa z waszych ciężko zarobionych pieniędzy. Wolałbym raczej, byście postawili go na powolnego

konia, gdy następnym razem przyjedziecie tutaj, na wyścigi. W ten sposób dostałbym ich nawet więcej, a ja lubię otrzymywać tak dużo, jak tylko się da.

Chłopcy pana Złodzieja jeszcze nie zaczęli się tu kręcić. Pojawili się w Kansas, Illinois i Nowym Jorku oraz niedaleko stąd w Pensylwanii. Jeden strajkujący postrzelił nawet przedsiębiorcę, pana Fricka. Nie zabił go wprawdzie, ale niewiele brakowało.

Ja zaś nie chcę, żeby ktokolwiek do mnie strzelał. Nie życzę też sobie żadnych strajków. Mówię wam o tym już teraz, zanim ludzie Złodzieja zaczną szeptać wam do uszu słodkie słówka.

Związek to naprawdę zły pomysł. Będziecie musieli wydawać pieniądze na składki, zamiast cieszyć się sobotnimi wieczornymi gonitwami. To po pierwsze. Po drugie: prawo stanowi, że Złodziej musi przekazać właścicielowi fabryki nazwiska wszystkich ludzi należących do jego organizacji.

Zapowiadam, że gdy tylko zobaczę taką listę, wszyscy figurujący na niej zostaną natychmiast zwolnieni. To proste. Na okolicznych farmach mieszka bardzo wielu chłopców, którzy byliby naprawdę szczęśliwi, mogąc porzucić ciężką, trwającą siedem dni w tygodniu pracę, za którą wynagrodzenie otrzymuje się dopiero po żniwach. Jestem pewien, że chętnie zajęliby wasze miejsca w fabrykach i co sobota odbierali kopertę z wypłatą — niezależnie od niszczących przymrozków lub spadającej na pola szarańczy.

Nie sądzę jednak, by miało do tego kiedykolwiek dojść. Wydaje mi się, że jesteście na to za sprytni. Ponieważ jednak nie lubię niejasnych sytuacji, uznałem, że wyłożę karty na stół, zanim pojawi się realna groźba jakichś nieporozumień między nami.

To wszystko, co miałem do powiedzenia. Jeśli ktoś chciałby jeszcze porozmawiać na ten temat, możemy zobaczyć się później.

— Nate, jesteś równie gadatliwy jak Jule Carr — narzekał Doktor. — Miałem zamiar przygotować duży artykuł

na pierwszą stronę na temat genialnego, nowego redaktora „Couriera”, ale ty zająłeś wszystkie szpalty.

— Daj spokój, Doktorze. Sama pierwsza strona z pewnością by cię nie zadowoliła. Dobrze o tym wiem — zaśmiał się Nate.

— Wspaniale, że wróciłeś — dodała Chess. — Mam jednak dla ciebie niewesołą wiadomość: Gussie postanowiła, że zostanie dziennikarką.

— Och, nie, powiedz, że to nieprawda. Słyszałem, że chce być maszynistą pociągu.

— Nie jesteś dobrze poinformowany, Doktorze. Z pewnością nie masz też pojęcia, kto stanowi dla niej wzór, jeśli chodzi o jazdę konną. Tym razem jest to Nellie Bly. Gussie pragnie pobić jej rekord. Ma zamiar objechać świat dookoła w ciągu zaledwie pięćdziesięciu dni. Czasami zaś wyraża ochotę zostania prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wszystko zależy od tego, w jakim znajduje się nastroju.

— Przeraziłaś mnie na śmierć. A gdzież jest teraz owa nieustraszona panna Richardson?

— Pojechała w odwiedziny do swojej przyjaciółki Ellie. Wilsonowie mają w górach letnią rezydencję.

— Może spotka tam George'a Vanderbilta i zmusi go, by się z nią ożenił.

Cała Ameryka wiedziała o ostatniej, największej ekstrawagancji Vanderbilta. George, trzydziestoletni kawaler, kupił tysiące akrów ziemi w zachodniej części Karoliny Północnej i zbudował tam dom, o którym mówiono, że jest największą rezydencją na świecie.

— Niech nieba mają w opiece biednego George'a — westchnął Nathan, choć w głębi duszy był przekonany, że nawet Vanderbilt nie stanowi dostatecznie dobrej partii dla Gussie.

Kiedy dziewczynka wróciła do domu po wyścigach konnych, koncercie orkiestry i fajerwerkach z okazji Święta Niepodległości, jej pierwsze słowa dotyczyły właśnie George'a Vanderbilta.

Usłyszawszy to nazwisko, matka i ojciec wymienili szybkie spojrzenia, po czym wprawili córkę w osłupienie, wybuchając gwałtownym śmiechem. Obrażona dziewczynka pobiegła na górę do swojego pokoju.

— Pójdę się z nią pogodzić — powiedziała Chess. Zanim jednak opuściła salon, dostrzegła wyraz twarzy

Nathana. Uśmiechnęła się do siebie. Gussie wspomniała o wielkich maszynach Vanderbilta, które spowodowały w mieście straszliwe zamieszanie, nie było bowiem gdzie zakwaterować robotników, sprowadzonych do ich obsługi.

Założę się, że najdalej pojutrze Nathan wybierze się do Asłwille — powiedziała do siebie Chess.

Pomyliła się o dwadzieścia cztery godziny. Nate pojechał tam już następnego ranka.

Tego popołudnia Chess siedziała na werandzie w fotelu na biegunach i dyskutowała z Doktorem na temat kolejnego artykułu o Szekspirowskim Towarzystwie Dramatycznym. Mężczyzna niecierpliwie przechadzał się po ganku, słuchając jej słów.

— Mamo...! — zawołała Gussie, pojawiając się nagle przed domem. Twarz miała bladą i lśniąca od kropel potu.

Chess zerwała się z miejsca.

— Kochanie...

Gussie wydała rozdzierający okrzyk bólu i osunęła się na kolana, wymiotując z taką siłą, że resztki nie strawionego jedzenia oraz jakaś dziwna, żółtozielona, pienista wydzielina padły metr dalej.

— Sprowadźcie doktora Campbella. Szybko! — zawołała Chess.

Rozdział 29

Matka zniosła dziewczynkę do jej pokoju na górze. Zrobiła to z niemałym trudem: Gussie miała prawie dziesięć lat i była naprawdę ciężka. Poza tym dyszała spazmatycznie, wymiotowała i targały nią konwulsje.

— Prze... praszam — wyszeptała, po czym znowu zaczęła się dławić.

— Cicho, maleńka, cicho. Wszystko w porządku. Cicho, kochanie. Mama ci pomoże. Cicho, cicho, mój aniołku. Moje słodkie maleństwo...

Chess położyła córkę do łóżka i dotknęła dłonią jej czoła, by sprawdzić, czy dziecko gorączkuje. Skóra Gussie pozostawała jednak lodowata. Śmiertelnie lodowata.

— Mamo... — Głos dziecka kazał Chess ukryć ogarniający ją paniczny lęk.

— Tak, aniołku? Mama jest tutaj. Za minutkę przyjdzie doktor Campbell i da ci jakieś lekarstwo.

Gussie krzyknęła, chwyciła się za brzuch i ponownie zwymiotowała — tym razem gęstą, ciemną cieczą. Chess przygryzła wargi. Musi być spokojna i silna — choćby po to, by sama Gussie zdołała przezwyciężyć lęk. Och, Boże, cóż powinnam uczynić — myślała. — Wykąpać ją? Jest tak chłodna, że to mogłoby jej tylko zaszkodzić. A może ją ogrzać? Chess otoczyła córkę ramieniem, kiedy ta jednak

poczęła niezdarnie odpychać ją od siebie, posłusznie puściła dziecko i odsunęła się. Pośpieszyła do łazienki i zmoczyła ręcznik. Usta Gussie oblepione były wymiocinami, uznała więc, że dobrze będzie je umyć. Sam zapach przetrawionego jedzenia przyprawiał o mdłości. Kiedy matka myła jej twarz, Gussie wydała z siebie zwierzęcy skowyt.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie — powtórzyła Chess. — Już wkrótce. Wiem, że w tej chwili czujesz się okropnie, ale niedługo twój stan się poprawi.

Proszę, Boże — modliła się w duchu — spraw, by rzeczywiście tak było.

Młody lekarz, Archy Campbell, wbiegł na górę, przeskakując po trzy stopnie, śmiertelnie przerażony myślą, co takiego mogło stać się z córką Richardsonów.

Doktor pozostał na parterze domu na tyle długo, by nakazać służbie uprzątnięcie ganku i dywanu na schodach oraz samemu pomóc przy tej pracy. Potem on także udał się do pokoju Gussie. Odór wymiocin zatrzymał go w drzwiach. Chess siedziała przy łóżku dziecka w poplamionej sukience, z pobladłą ze strachu twarzą, z której jednak ani na chwilę nie zniknął pokrzepiający uśmiech. Doktor Campbell pochylił się nad chorą.

— Czy boli cię tutaj, Gussie? Tutaj? A tu...? Dziewczynka pisnęła z bólu, ponownie targana torsjami. Z kącika jej ust spłynęła strużka ciemnej cieczy. Doktor Campbell przyjrzał się dziecku uważnie.

— Czy chce ci się pić, Gussie?

Dziewczynka zmarszczyła brwi, wyraźnie nie rozumiejąc słów lekarza.

— Proszę mi przynieść wody — nakazał Chess młody doktor.

Dłoń kobiety drżała tak silnie, że musiała podtrzymać ją drugą ręką, gdy zbliżała łyżkę do ust córki.

Gussie

łakomie wypła wodę. To samo uczyniła z drugą i trzecią łyżką... A potem nagle, ponownie, ogarnęły ją torsje.

— Proszę przygotować wannę ciepłej wody, pani Richardson — zażądał Campbell. — Chcę wykapać Gussie.

— Ja to zrobię — powiedział stojący przy drzwiach Doktor.

Chess skinęła głową.

— Wydam polecenie służbie — rzucił Doktor.

Boże, wybacz mi — pomyślał — że tak bardzo się cieszę, mogąc opuścić to miejsce. Zerknął na twarz dziewczynki. Jej skóra wydawała się sina.

Na dole nie zastał nikogo.

Gdzie się podziali służący — zastanawiał się. — Co powinienem uczynić? Stał sparaliżowany lękiem, kiedy nagle usłyszał dobiegający z tyłu domu basowy głos oraz dudnienie czyichś ciężkich, szybkich kroków.

W holu pojawił się Żołnierz. Odsunął Doktora na bok i wszedł na górę. Próbował iść cicho, na palcach, co nie było łatwe, zważywszy na jego ciężkie, znoszone, robocze buty. Z jakiejś nieznanej przyczyny widok starego mężczyzny przywrócił Doktorowi zdolność ruchu. Pośpiesznie skierował się do znajdującej się na tyłach domu kuchni, by przekazać służbie polecenie lekarza.

Doktor Campbell robił wszystko, by pocieszyć Chess, nie potrafił jednak ukryć swojego niepokoju. — Ma wszystkie charakterystyczne symptomy — powiedział. — Jestem niemal pewien, że to cholera. Objawy są bardzo gwałtowane, ale przy takim przebiegu choroby rzadko trwa ona długo... czterdzieści osiem godzin to zwykle maksimum... — nagle umilkł gwałtownie.

Chess wiedziała, co chciał powiedzieć: dwa dni i następuje śmierć.

— Pozwól staremu żołnierzowi zobaczyć jego dziec-

ko. — Wysoka, szczupła postać zdecydowanym ruchem odsunęła Chess na bok i uklękła przy łóżku dziewczynki. — Hej, hej, traperze — powiedział cicho starzec, ujmując drobną dłoń Gussie. — Powiadają, że rozboleł cię brzuch. Stary Nathan Bedford zwykł mawiać, że zdoła zjeść tonę winogron, nim rozboli go brzuch.

Obrócił głowę ku Chess, nie zaszczycając młodego lekarza nawet jednym spojrzeniem.

— To dziecko ma cholere, pani Richardson. W każdej chwili może zacząć robić pod siebie. Niech służba przygotuje sporo prześcieradeł i ręczników. Widziałem w życiu wiele takich przypadłości. Pani i ja wyciągniemy ją z tego.

— Ach tak, biegunka jest drugim objawem... — zaczął doktor Campbell.

Żołnierz wzrokiem nakazał mu milczenie.

— Czy przywiózł pan ze sobą opium? — zapytał. Campbell posłusznie zaczął przeszukiwać swoją skórzaną torbę. — Proszę dać pani Richardson garść pigułek oraz saszetki z proszkiem — polecił mu żołnierz. — A później niech pan stąd zmyka.

Kiedy wydawał polecenia Chess, jego głos brzmiał już dużo łagodniej.

— Proszę przebrać się w czystą sukienkę, pani Richardson. W jakimś wesołym kolorze, który będzie zwracał uwagę Gussie.

Po tych słowach skupił już całą uwagę na dziewczynce. Jedną ręką uniósł jej głowę i ramiona, podczas gdy drugą wlał do ust łyżkę wody.

Chess wróciła po niespełna pięciu minutach, ubrana w różową jedwabną suknię, którą Gussie tak często się zachwycała. Pod spodem miała tylko halkę — nie włożyła gorsetu, chcąc zachować swobodę ruchów.

— Przeniesiemy ją do mojej sypialni, Bobby Fredzie — powiedziała. — Łóżko jest tam wyższe, dzięki czemu będzie nam wygodniej zajmować się dzieckiem.

Żołnierz z aprobatą skinął głową. Chess była spokojna i skupiona — gotowa do walki.

Gussie krzyknęła, wyprężając się w nagłym skurczu, a jej kiszki opróżniły się gwałtownie. Na prześcieradło wypłynęła czarna, obrzydliwie cuchnąca ciecz.

— Proszę mi pomóc zdjąć z niej ubranie — rozkazał żołnierz. — Potem ją przeniesiemy.

Nigdy wcześniej Chess nie zwróciła uwagi na to, że dłonie Bobby'ego Freda są tak duże. Przyglądanie się im było błogosławieństwem, pozwalało bowiem oderwać wzrok od przerażającego widoku śmiertelnie bladego dziecka, którego małą twarzyczkę wykrzywiał grymas strachu i bólu.

— Zawsze nie lubiłaś tej sukienki, Gussie, prawda? Dobrze, że nie miałaś na sobie niczego ładniejszego. — Głos mężczyzny był spokojny, brzmiało w nim nawet lekkie rozbawienie. Wydawało się, że dziewczynka dużo łatwiej znosi ból, czując przy sobie pokrzepiającą obecność starego żołnierza.

Chess umieściła na łóżku kilkanaście prześcieradeł złożonych na pół, by łatwiej je móc wyjmować, kiedy się zabrudzą. Jeszcze przez godzinę Gussie miała torsje i wydalala ciemną, cuchnącą ciecz. Zanim jej kiszki zupełnie się opróżniły, w holu przed drzwiami sypialni leżał już stos dziesięciu prześcieradeł. Żołnierz co chwila czule obejmował dziewczynkę i podnosił do góry, by Chess mogła ją umyć. Mokre ręczniki i pobrudzone ubrania tworzyły jeszcze większą stertę niż prześcieradła. Dziecko wyglądało gorzej nawet, niż gdyby było martwe. Miało zapadnięte, obwiedzione purpurowofioleto-wymi sińcami oczy, a kości rysowały się ostro pod lodowato zimną skórą. Dziewczynka drżała na całym ciele

i była odwodniona. Puls stał się prawie niewyczuwalny. Jedyne chrapliwy, nieregularny oddech świadczył o tym, że jeszcze żyje.

Była jednak już zbyt słaba, by cokolwiek przetykać. Nie mogąc podać jej opium, Chess patrzyła, jak ostry, niczym nie złagodzony ból przeszywa co chwila ciało jej ukochanej córeczki.

Boże, przenieś to cierpienie na mnie — błagała Chess.

— Zniosę je bez słowa skargi. Nie mogę jednak patrzeć, jak ona się męczy.

— Niech pani zmoczy róg ręcznika — polecił Bobby Fred. — Wsunę go jej do ust tak, jak niemowlętom daje się szmatki z cukrem.

Włożył kawałek tkaniny między wargi dziecka i spokojnymi, łagodnymi ruchami palców zaczął sączyć przez niego krople wody.

W oczach Gussie odmalowała się chwilowa ulga.

Dlaczego ani na moment nie traciła świadomości? Czemu pod wpływem leku nie zapadła w sen, który uwolniłby ją od bólu? Chess zacisnęła pięści, z trudem powstrzymując się od krzyku. Po chwili rozwarła jednak dłonie i pogłaskała córkę po czole.

— Już niedługo, kochanie — powiedziała miękko.

— Wkrótce poczujesz się lepiej. Jesteś bardzo dzielna, Gussie, dzielniejsza niż Nellie Bly, czy ktokolwiek inny.

— Zaraz, zaraz, proszę pani — przerwał jej Bobby Fred. — Nawet mój mały traper nie jest taki dzielny jak generał Nathan Bedford Forrest.

Gussie spróbowała się uśmiechnąć. Chess poczuła, że zamiera w niej serce.

— Biegunka nieco się uspokoiła — szepnął Żołnierz.

— Trzeba zrobić Gussie musztardowy okład, żeby się trochę rozgrzała.

— Zaraz wrócę, kochanie — obiecała córeczce Chess, pochylając się i całując ją w czoło. — Tak naprawdę jesteś

dziesięć razy dzielniejsza niż jakikolwiek stary generał — powiedziała jej cicho do ucha. Grymas bólu, jaki ukazał się na twarzy Gussie, gdy matka układała na jej żołądku wysmarowane żółtą substancją płótno, zaparł Chess dech w piersiach.

Niech jej już więcej nie boli — modliła się. — Dość się już wycierpiała!

Na chwilę zapadła zupełna cisza, przerywana jedynie ciężkim, chrapliwym oddechem Gussie. Potem jednak dziewczynka otworzyła szeroko oczy i jęknęła. Jej lewa noga zaczęła drżeć, wyginając się nienaturalnie.

— Skurcz — powiedział Żołnierz. — Proszę to rozmasować.

Wkrótce skurcz objął także drugą nogę. Bobby Fred musiał zaprzestać pojenia dziewczynki wodą i także zająć się masażem porażonych mięśni. Noga Gussie wydawała się bardzo mała w jego ogromnych, sękatych, poznaczonych bliznami dłoniach, na których tak wyraźnie odbiły się ślady ciężkiej pracy. Mimo to rozmasowywał mięśnie dziecka niezwykle łagodnymi, delikatnymi ruchami. Chess również starała się go naśladować.

Gussie jęczała jak ranne zwierzę. Kilka godzin później ucichła.

Nie żyła. Słowa te rozbrzmiewały w umyśle Chess jak bicie dzwonów. Mimo to ani na chwilę nie przestawała masować bezwładnych i zimnych nóg córki, jakby mając bezrozumną nadzieję, że ciepło matczynych rąk przywróci dziewczynce życie.

Bobby Fred położył ciężko dłoń na jej ramieniu.

— Może pani przestać to robić — powiedział.

— Nie! Nie mogę.

Żołnierz chwycił ją za nadgarstki i zmusił, by opuściła ręce.

— Nie ma potrzeby robić masażu, ona śpi. Wyjdzie z tego. Proszę znaleźć coś, czym można by ją przykryć.

Chess nie wierzyła mu. Wyciągnęła rękę i dotknęła zimnej twarzy Gussie, po czym powiodła dłonią po jej lodowatych dłoniach i stopach. W tym samym momencie zauważyła, że zapadnięta pierś dziecka unosi się i opada w wolnym, równym oddechu.

— Och, Bobby Fredzie — szepnęła.

Zarzuciła mu ręce na szyję i wsparłszy głowę o jego pierś, wybuchnęła hamowanym przez wiele godzin straszliwym łkaniem. Mężczyzna podtrzymał ją, by nie upadła.

— Dziękuję ci, stary przyjacielu — powiedziała, kiedy znowu mogła wydobyć z siebie głos.

Żołnierz się uśmiechnął. Był znużony, ale wiedział, że zwyciężyli.

— Niech pani okryje dziecko, a potem umyje twarz — polecił. — Później powinna pani łyknąć coś na uspokojenie. Ja sam także naleję sobie szklaneczkę whisky.

Nathan wrócił do domu podniecony inżynierskimi cudami, które zobaczył w Ashville. Usłyszawszy, co się wydarzyło, był wstrząśnięty.

— Nigdy więcej nie zostawię Gussie. Nawet na godzinę — oświadczył! drżącym głosem na widok wycieńczonej córki.

Chess tylko się uśmiechnęła.

— Zapominasz, jaka jest Gussie, kiedy nic jej nie dolega. Nie minie wiele czasu, a sama będzie gotowa towarzyszyć ci w każdej podróży.

Chess znowu mogła się śmiać. Stan Gussie poprawiał się z godziny na godzinę, wciąż jednak była bardzo osłabiona i co chwila zapadała w sen. Trzeba ją było karmić delikatnymi puddingami oraz mlecznymi napojami, które Chess osobiście dla niej przygotowywała. Dziewczynka nie miała siły sama utrzymać książki, żądała więc, by ktoś czytał jej na głos. Męczyły ją także odwiedziny rodziny i przyjaciół.

Wydawało się, że przez chorobę ubyło jej kilka lat. Najbardziej ją cieszyło, kiedy Chess wciąż od nowa opowiadała ulubione historie z czasów swojej młodości w Hare-fields.

— Opowiedz mi o tym, jak byłaś małą dziewczynką, mamó — prosiła.

Chess siadywała na niskim krzeselku przy łóżku córki, Gussie zaś mościła sobie wygodne gniazdko z poduszek.

— Kiedy byłam małą dziewczynką... — zaczynała zawsze w ten sam sposób matka, a dziecko słuchało jej z zapartym tchem — mieszkałam w wielkim, białym domu w pobliżu pięknej, szerokiej rzeki. W ogrodzie wisiała huśtawka...

— Tak jak w moim — przerwała Gussie.

— Tak. Tak jak w twoim. Godzinami huśtałam się na niej w cieniu drzewa. Potem szłam na trawnik, by podjąć herbatką moje lalki.

— Lalki, fuj! — Nawet osłabiona chorobą Gussie miała sprecyzowane zdanie na temat lalek.

Chess uśmiechnęła się.

— Podawałam małe kanapeczki i ciasteczka. Czasem przylatywały ptaki i dziobały je. Mogłam wówczas udawać, że to lalki je nadgryzły.

— Byłaś bardzo głupia.

— Byłam głupia. I bardzo szczęśliwa. Często chodziłam na piętro, do sali balowej, i wirowałam na lśniącej, woskowanej podłodze, potykając się i śmiejąc. A później — jeśli nikogo nie było w pobliżu

— zjeżdżałam po poręczy aż na sam dół schodów.

— Opowiedz mi o schodach.

— Nazywano je „kręconymi” schodami. Po jednej stronie przylegały do ściany, po drugiej zaś miały rzeźbioną poręcz, która wyglądała jak zawieszona w powietrzu. Można było doznać zawrotu głowy, kiedy, stojąc w holu, patrzyło się, jak się pnie w górę, zataczając kolejne kręgi na

piętrach. Nad nią, bardzo, bardzo wysoko, znajdowało się w dachu okno. Miało kształt wielkiego jaja. Wprawiono w nie szybę ze rżniętego szkła, by wpadające słoneczne promienie tworzyły tęczowe łuki.

— Tak jak robią to kwiaty na szybach naszych okien? — zapytała sennie Gussie.

— Nie, kochanie. Inaczej. Tam nie było takich wzorów jak u nas. Czy masz jakiś ulubiony kwiat wśród tych na szybach?

Gussie zawsze odpowiadała „irys”, a potem Chess mówiła jej, że Irys była boginią tęczy. Ale tym razem tak się nie stało, dziewczynka bowiem zapadła już w sen.

Chess odsunęła z bladego czoła dziecka ciężki pukiel włosów, po czym pocałowała bezwładną, błogosławienie ciepłą, małą rączkę. Długi czas w milczeniu przypatrywała się tej kruchej istotce, stanowiącej największy skarb jej życia, po czym niemal na palcach wyszła z pokoju. Na dworze mżył deszcz. Chłodny, lekki wiatr wybrzuszał koronkową firankę w oknie. Wszędzie panował spokój.

Chess zeszła powoli po ozdobnych, masywnych schodach i skierowała się do salonu. Jak wiele tu przedmiotów! — pomyślała z gniewem. — Za dużo. Ledwie starczy miejsca, żeby się obrócić. Nic dziwnego, że panuje tutaj taki zaduch. Odsunęła story oraz firanki, po czym otworzyła okno, z trudem unosząc w górę ciężką szybę. Jeden z grubych, jedwabnych frędzli zdobiących zasłonę opadł jej na ramię i to przywołało wspomnienie kłótni, jaką miała ze sprzedawcą, żądała bowiem, by frędzle miały pewien określony odcień zieleni, inny niż te, które były w sklepie. Tak wiele czasu spędzała na wybieraniu przedmiotów do domu... Po cóż poświęcała temu aż tyle uwagi? Przedmioty... przedmioty... Coraz więcej przedmiotów. Czy naprawdę były one takie ważne?

— Co z nią? — zapytał Nate, wchodząc do pokoju.

— W porządku. Znowu zasnęła. To dla niej najlepsze

lekarstwo. I zjadła prawie wszystko, co dla niej przygotowałam.

— Chyba pójdę na górę i trochę przy niej posiedzę. Na wypadek, gdyby nagle obudziła się i czegoś chciała.

— Rozumiem — skinęła głową Chess. Oboje wciąż musieli upewniać się, że córce nic nie dolega, i co rusz wymyślali jakiś pretekst, by do niej zaglądać.

Nate obserwował śpiącą córkę i czuł, jak gdzieś w głębi duszy ogarnia go strach. Po raz pierwszy w życiu zastanawiał się nad własną słabością. Nie należał do ludzi, którzy dużo myślą o swym życiu wewnętrznym, dlatego też odczuwane tak głęboko emocje zupełnie wytrąciły go z równowagi.

Próbował skupić myśl na czymś innym, nie był jednak na to dostatecznie silny. Czuł, że wbrew jego woli drżą mu ramiona. Miał ochotę chwycić Gussie i przytulić ją mocno, tak jakby jego ciało mogło zasłonić dziecko przed czającym się wokół niebezpieczeństwem.

W rodzinie Nate'a nigdy się nie dotykano. Aż do chwili gdy jego wuj przywiózł do domu Alwę, Nathan nie znał uścisków, pocałunków ani żadnych innych form okazywania uczuć. Był zawstydzony tym, że tak bardzo pragnie wziąć w ramiona swoją córkę. Jej dziecięce buziaki zawsze sprawiały mu ogromną radość, nigdy jednak nie traktował ich inaczej niż jako baraszkowanie szczenięcia, próbującego polizać po twarzy swojego pana. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jego mała dziewczynka jest największym darem, jaki otrzymał w życiu, skarbem wartym więcej od wszystkich bogactw.

W jego umyśle nie pojawiło się słowo „kochać”, zresztą uważał je za zwykły, niewiele znaczący czasownik. Ludzie „kochali” brzoskwinie, piosenki albo kwiaty. To, co czuł, nie miało nazwy. A może tylko on jej nie znał. Wiedział jedynie, że czuje się słaby i bezradny wobec sił, które nie-

omal zabraly mu dziecko. I ze z radością oddalby własne życie, żeby tylko ocalić córkę, gdyby owe siły miały jeszcze raz targnąć się na jej zdrowie.

Wbrew swojej woli wyciągnął rękę i dotknął palcem dłoni dziewczynki, Gussie zaś, nie budząc się, chwyciła go mocno swą małą piąstką, tak jak często czyniła to, będąc niemowlęciem. Uśmiechnęła się przez sen.

Wzruszenie zatamowało Nate'owi dech w piersiach. Wielkie, ciężkie łzy powoli spłynęły mu po policzkach.

Rozdział 30

Dzięki niebywalej zdolności powracania do zdrowia, jaka cechuje tylko młode organizmy, zaledwie dwa tygodnie później Gussie znów tryskała energią, a choć bałaganiała i hałasowała co niemiara, Chess i Nate ani trochę jej nie strofowali.

Błogosławiona zdolność zapominania, która chroni ludzi przed wspomnieniami, stopniowo zacierała w ich umysłach obraz pełnych grozy chwil, jakie przeżyli.

Chess często jednak zastanawiała się nad opowieściami o szczęśliwym dzieciństwie w Harefields, których tak bardzo lubiła słuchać jej córka. Rodzinny dom wydawał się jej teraz bardziej realny niż Wówczas, gdy w nim mieszkała.

Pewnego jesiennego dnia, kiedy całe Standish wypełniała woń palonych liści, odszukała Nathana, który po powrocie do domu siedział w bujanym fotelu na werandzie i czytał napisany przez Doktora artykuł o konieczności wybrukowania wszystkich ulic w mieście.

— Widziałaś już „Courier”? — zapytał chichocząc. — Ten szalony głupiec powiada, że dowodem ucywilizowania są lśniące buty, zatem miejsce, gdzie żyjemy, to jeszcze dzika głusza.

Chess uśmiechnęła się. Nigdy nie wybaczyła do końca Doktorowi tego, że uciekł, kiedy Gussie się rozchorowała. Przepraszał ją wprawdzie, twierdził, że ogromnie się wstydzi

własnej słabości, i gorzkimi słowami lżył sam siebie za tchórzostwo, ale Chess czuła, że nie ma już powrotu do łączącej ich niegdyś zażyłości.

— Jest coś, co chciałabym uczynić, Nathanie — powiedziała.

Mąż złożył gazetę i popatrzył na nią z zaciekawieniem.

— Chcę wybudować nowe Harefields. Tutaj, dla nas, żebyśmy w nim zamieszkali. Zawsze żałowałam, że Gussie nie zdążyła zobaczyć mojego rodzinnego domu.

Nate nie do końca rozumiał, czemu Chess tak tego pragnie, wystarczyło mu jednak, że wyraziła takie życzenie. Następnego dnia poszli na spacer do pełnego opadłych złotoczerwonych liści cichego lasu za miastem i na szczycie niewielkiego wzniesienia wybrali miejsce na nowy dom. Towarzysząca im Gussie co chwila wybiegała naprzód, a potem wracała, żądając, by się pośpieszyli. Chciała, by rodzice jak najszybciej zaczęli realizować pomysł matki. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła zjeżdżać z poręczy schodów w holu.

Matka Nate'a także miała swoje marzenie. Wyjawiała im je w czasie niedzielnego obiadu. Wszyscy członkowie rodziny należeli teraz do kościoła metodystów w Standish. Z chwilą kiedy otworzył on swoje podwoje, skończyły się cotygodniowe wyprawy do Durham i obiady w pensjonacie pani Brown.

Teraz na niedzielny obiad chodzili do Mary Richardson, pomimo iż jadalnia Nate'a była znacznie przestronniejsza i że miał on na stałe zatrudnioną kucharkę.

— To stara kobieta — oświadczył, kiedy Chess zaprotestowała przeciwko tym wizytom. — Lubi jeść potrawy, które sama przyrządziła. Poza tym ma dzięki temu jakieś zajęcie.

Chess rozumiała to. Sama lubiła być zajęta i użyteczna. Zmusiła się więc do zjedzenia pozbawionych smaku i roz-

gotowanych potraw teściowej i nakłoniła córkę, by uczyniła to samo.

— Spędzimy tam tylko godzinę, a wypada, byś okazała swej babci należny szacunek. Jeśli będziesz się grzecznie zachowywać, po powrocie do domu dostaniesz lody.

Matka Nathana złożyła swoje oświadczenie, gdy tylko Josh skończył modlitwę.

— Mam zamiar cię o coś poprosić, Nate, ponieważ jestem zmęczona czekaniem, aż sam uczynisz to, co dawno powinienesz zrobić.

— Co takiego, mam?

— Pragnę, byś ufundował naszemu kościołowi wieżę. To nie w porządku, że nie ma on zwieńczenia, które wznosiłoby się ku niebu.

— Nate podarował już organy — przypomniała Alva. Pani Richardson ze zniecierpliwieniem machnęła ręką.

— Jesteś bogatym człowiekiem, Nate. A przy tym grzesznym, posiadasz bowiem tor wyścigów konnych i saloon, w którym sprzedaje się whisky. Tak więc powinienesz prosić Boga o wybaczenie. Gdyby nie modlitwy Gideona, by Bóg zlitował się nad twoją duszą, obawiałabym się, że przez całą wieczność będziesz smażył się w piekielnym ogniu. Chcę, byś wybudował tę wieżę z dzwonami wzywającymi ludzi na nabożeństwa, i pragnę, żebyś uczynił wszystko, co trzeba, aby to twój starszy brat je tu odprawiał.

Podobnie jak zwykł to czynić przez całe życie, Nate starał się, by gorzkie słowa matki wpadały mu jednym uchem i wypadały drugim. Wspomnienie o bracie przykuło jednak jego uwagę.

Gideon. I Lily. Wszystko w jego duszy krzychało: „nie!”

— Zobaczą, co da się zrobić, mam — odparł wymijająco. — Czy masz jeszcze trochę tych pysznych, słodkich ziemniaków?

Nie spodziewał się, że Chess poprze projekt teściowej.

Kiedy wrócili do domu, wspomniała, że byłoby dobrze, gdyby Gussie miała mieszkać w pobliżu kuzynki. Gideon i Lily doczekali się dwóch córek: Mary i Marthy. Ich fotografia stała na honorowym miejscu na stoliku w salonie Mary, tuż obok Biblii.

Nathan patrzył na żonę jak oniemiały.

— Co z tobą? — zdziwiła się Chess. — Nie masz ochoty zobaczyć brata? Ile to czasu minęło od chwili, kiedy widzieliście się po raz ostatni?

— Nie pamiętam. Spotkałem go pewnego dnia w Durham cztery czy pięć lat temu — odparł Nate, uświadamiając sobie jednocześnie, że upłynęło już siedemnaście lat, odkąd po raz ostatni widział Lily. Zdumiał się, że było to aż tak dawno. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad upływem czasu. Chess zapytała go, z czego się śmieje.

— Z wieży — odparł. — Mam nadzieję, że zdołasz powstrzymać Gussie od wspinania się na nią. Zbyt lekko było mu na sercu, by miał przejmować się tym, że okłamał żonę. Czemu, u licha, przez te wszystkie lata tak bardzo obawiał się spotkania z szesnastoletnią dziewczyną, która teraz musi być przecież kobietą w średnim wieku?

Chess zadrzała. Na myśl o wieży i Gussie ciarki przeszły jej po plecach.

Edith Horton nie była zachwycona pomysłem Chess, by odtworzyć Harefields.

— Dlaczego chcesz zbudować wielkie, mroczne pokoje, skoro masz wspaniały, pełen pięknych przedmiotów dom? — pytała.

Ale dla samych Hortonów ich dom na plantacji stanowił bezcenną opokę. Podobnie jak Harefields posiadłość ta wyszła z wojny secesyjnej nietknięta, choć jej właściciele

nigdy nie mieli dość pieniędzy na nowoczesne wynalazki ani solidne remonty. W ciągu trzydziestu lat farba zdążyła już złuszczyć się ze ścian, jedwabie i aksamity powycierały się i spłowiwały, a woda dostająca się do środka przez dziurawy dach utworzyła zacieki na suficie i zniszczyła podłogę na górnych piętrach. Ale mimo to wiele rzeczy przypominało tu Harefields. Meble wykonano z takiego samego drewna i według tych samych wzorów, jakie przed laty były modne również w Wirginii. Edith знаła nawet nazwy owych stylów. Chess dowiedziała się więc o Sheratonie i Chippendale'u, Hepplewhicie i braciach Adamach.

Księgarnia Jamesa Dike'a dostarczała jej publikacji na temat panującej w osiemnastym wieku mody. Dike znał także pewnego architekta w Bostonie, który specjalizował się w „antycznych” domach. Któregoś dnia Chess pisała właśnie do niego list, gdy Nate wrócił ze swego biura razem z gościem. — To Dick Reynolds — przedstawił go. — Chciałbym, żebyś uczestniczyła w naszej rozmowie. Przejdźmy do biblioteki.

Chess była zafascynowana. Nate wspominał jej kiedyś o Reynoldsie, poza tym słyszała o nim mnóstwo plotek od kobiet w Durham. Richard Joshua Reynolds był, podobnie jak Nate i Buck Duke, człowiekiem, który nie bojąc się ryzyka, zrobił fortunę na tytoniowych manufakturach. Specjalizował się jednak w tytoniu do żucia, a nie w papierosach.

Swoją pierwszą, jednoizbową fabryczkę wybudował, mając dwadzieścia cztery lata. Mieszkał w pokoju nad nią

i przez osiem lat, kierując się olbrzymią ambicją, ciężko pracował, by zdobyć majątek.

Jego sukces przekształcił winstońską wioskę w małe miasteczko z nową linią kolejową. W centrum osady wzniesiono w 1891 roku pięciopiętrową, wielką fabrykę Reynoldsa.

Teraz, w 1892 roku, jego majątkowi zaczęło zagrażać American Tobacco Company Bucka Duke'a.

— Ty go pokonałeś, Nate, chcę więc, byś powiedział mi, jak to się robi.

Chess nie mogła wprost oderwać oczu od gościa. Dick Reynolds miał rzadką, długą brodę, która poruszała się, kiedy coś mówił, ale to nie ona tak ją fascynowała. O Reynoldsie krążyło mnóstwo plotek. Nie miał żony, ale spłodził wiele dzieci. Był kobieciarzem i — co skandaliczne — wcale się z tym nie krył: nadawał nawet produkowanym przez siebie gatunkom tytoniu imiona swoich kochanek. Powiadano też, że grywa w pokera o tak wysokie stawki, że aż z Nowego Orleanu przyjeżdżają ludzie pragnący spróbować przy jego stoliku szczęścia. Zwykle jednak przegrywają.

— Uważałem, że wy, producenci papierosów, jesteście szaleni, wyrzucając pieniądze na całą tę reklamę, idiotyczne składane krzesła i tym podobne. Kierowałem się zasadą: słuchajcie opinii ludzi żujących tytoń. A teraz mam nóż na gardle. Zaczęło się to już w zeszłym roku, ale żywię nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. Buck próbuje mnie przejąć. W lutym kupił dużą wytwórnię w Louisville, w kwietniu zaś nabył dwie następne w Baltimore. Obecnie zaś zaniżył ceny tak, że ledwie zarabia na zwrot kosztów, i zapowiedział hurtownikom, iż nie sprzeda im żadnych papierosów, o ile jednocześnie nie zakupią jego tytoniu do żucia i nie zrezygnują z towaru produkowanego przez innych wytwórców.

— Zostań u nas na noc, Dick — powiedział Nate, otwierając butelkę whisky. — Mamy sobie wiele do powiedzenia. Słyszałem, że jesteś człowiekiem, który umie docenić dobry trunek. Pij więc, na zdrowie. Dobrze ci to zrobi.

— Poślę kogoś, żeby poszukał Doktora — odezwała się Chess.

Następnego dnia Doktor i Reynolds opuścili dom Richardsonów, by wydać nową wojnę Buckowi Duke'owi.

— Sądysz, że zwyciężą? — zapytała męża Chess.

— Nie wiem. Dick jest gotów walczyć, a Doktor, biorąc udział w takich zmaganiach, jest w swoim żywiole. Ale Buck to Buck. Cieszę się, że choć na chwilę przestał interesować się mną i próbuje zniszczyć konkurencję wytwarzającą tytoń do żucia. Byłem już znużony ciągłym napięciem i niepewnością, jaki też będzie jego następny krok.

Chess ze zrozumieniem pokiwała głową.

— To oznacza zapewne, że wkrótce będziemy mieć telefon.

— Znasz mnie na wylot, co? — roześmiał się Nate. — Patent Bella zacznie działać trzeciego marca przyszłego roku. Sądzę, że jeśli dołożę starań, będziemy gotowi z założeniem drutów już minutę po północy czwartego marca.

Pierwszego marca Gussie zagłębiła łopatę w ziemi, na której miał stanąć nowy dom Harefields. Jej rodzice spoglądali z dumą na swe dziecko.

Czwartego marca dziewczynka po raz pierwszy rozmawiała przez telefon ze swoją przyjaciółką, Ellie Wilson.

Siódmego zaś pierwszy raz w życiu spotkała się ze swoją ciotką, wujem i dwiema kuzynkami. Była zbyt podniecona tym wydarzeniem, by zauważyć, że jej ojciec jest blady jak ściana.

Pociąg z S & D zatrzymał się na stacji i zza obłoku pary ukazał się prywatny wagon Nate'a. Jego właściciel czekał uśmiechnięty na peronie, by powitać rodzinę brata.

Kiedy jednak w otwartych drzwiach ujrzał Lily ubraną od stóp do głów na biało, stał się na powrót zakochanym i do szaleństwa zazdrosnym osiemnastoletnim chłopcem.

— Witaj, Nathanielu — powiedziała bratowa, wyciągając rękę. — Nie pomożesz mi wysiąść?

Rozdział 31

— Ona jest taka nudna — narzekała Gussie. — Czy muszę tam pójść?

— Tak, musisz, kochanie. Martha jest twoją bliską kuzynką, a mieszka tu od tak niedawna, że nie zdążyła jeszcze nawiązać żadnych przyjaźni. Daj jej szansę. Może po prostu jest nieśmiała.

— Ale ja miałam zagrać w noże z Żołnierzem. Obiecałam mu.

— Chcesz powiedzieć, że to on obiecał tobie, ponieważ zanudzałaś go przez cały ranek. Byłam przy tym, nie pamiętasz? Możesz nauczyć Marthę grać w noże.

— Aha! Zaczęłyby wrzeszczeć i uciekać, gdy tylko zobaczyłaby nóż. Ona lubi jedynie siedzieć nieruchomo jak manekin i grać w chińczyka lub w coś równie głupiego. Jest taka nudna!

W duchu Chess współczuła córce. Ona również nudziła się w towarzystwie rodziny męża. Gideona nie interesowało nic prócz zabiegania o nowych członków jego religijnej wspólnoty, Lily zaś była taka słodka, że robiło się od tego niedobrze. Przymiotnik „nudni” najlepiej charakteryzował tę gromadkę, wyjąwszy jedynie piętnastoletnią Mary. Powiedzenie o niej, że jest nudna, stanowiłoby komplement. Była tak milcząca i niepozorna, że w ogóle się jej nie zauważało.

Mimo to Mary Richardson była w siódmym niebie, mając tak blisko swego ukochanego syna. Przynajmniej ona czuła się szczęśliwa. Natomiast Nathan w ogóle nie zwracał na to wszystko uwagi. Można by pomyśleć, że nie do końca zdawał sobie sprawę, iż jego brat mieszka w sąsiedztwie. Nate siedział na plebanii, przeżywając nieopisane męki. Lily przycupnęła obok niego na twardej, krytej aksamitem kanapie w salonie. Jej łagodne, wielkie oczy błyszczały od łez.

— Pewnie uważasz, że jestem okropna, skoro wysłałam do ciebie ten list — powiedziała drżącym głosem.

— Nie. Wcale nie. O czym chciałaś ze mną pomówić? — zapytał, czując nagłą suchość w ustach. Nie mógł zdobyć się na to, by popatrzeć Lily w oczy. Była taka piękna. Złote włosy miała schowane pod białym, koronkowym czepkiem, ale część niesfornych loków zdołała się jakoś spod niego wymknąć i wiała się teraz miękko na szyi i skroniach. Pachniała różami.

— Tak bardzo się martwię tym, że nas unikasz, Na-thanie. Chess i Gussie zaglądają tu często, ale ty nie pojawiaasz się nigdy. Czyżbym cię obraziła?

Teraz Nate musiał już na nią popatrzeć. Serce zamierało mu z pożądania, tak samo jak miało to miejsce kilkanaście lat temu. Nie dostrzegał śladów, które pozostawił na twarzy Lily czas. Zaciskał spocone dłonie, z trudem powstrzymując się przed dotknięciem mlecznobiałej skóry kobiety. Owo pragnienie splamienia jej niewinności sprawiało, że nienawidził samego siebie. Nie był w stanie wydobyć głosu.

Kiedy Lily położyła rękę na jego dłoni, poczuł, jakby przez jego ciało przebiegł elektryczny impuls.

— Daj mi słowo, że nie żywisz do mnie niechęci. Twoje zachowanie czyni mnie jeszcze bardziej nieszczęśliwą, niż

byłam dotąd. — Pojedyncza łza spadła z rzęs i popłynęła po policzku.

Nate marzył o tym, by poczuć na języku jej słony smak.

— Lubię cię — zdołał w końcu wykrztusić. — Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

Lily zaszlochała cicho. Koronkowy żabot bluzki zafalował na jej piersi.

— To nie twoja wina, Nathanielu, lecz moja. Próbowaleś mi o tym powiedzieć, ale ja nie chciałam cię słuchać. Nie powinnam była nigdy poślubić Gideona. Zrobiłabym lepiej, poczekawszy na ciebie. To ty mi się podobałeś. Mówiłam ci o tym, pamiętasz?

Obróciła się i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Pamiętasz jeszcze, co się między nami wydarzyło? Ja nigdy nie zapomniałam. — Zacisnęła palce na jego dłoni, po czym przesunęła je wyżej, ku mankietowi koszuli, wyczuwając przyspieszony puls męczyzny. — Przez wszystkie te lata stale o tobie myślałam — szepnęła, przytulając się do niego.

Jej miękkie, różane, lekko rozchylone wargi znalazły się tuż przy jego ustach.

Nate stracił panowanie nad sobą. Objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował. Gorączkowo ssał jej język, czując, jak całe jego ciało ogarnia gwałtowne pożądanie. Wkrótce serce kobiety także zaczęło bić bardzo szybko. Zanurzyła palce we włosach Nate'a, on zaś pieścił wargami jej szyję i kark.

— Tak długo o tym marzyłam — szepnęła. — Jeszcze do niedawna nie miałam pojęcia, za czym tęsknię, ale teraz wiem już, czego pragnę: ciebie. Na zawsze... Na zawsze! Dzień po dniu. Och, tak, tak, Nathanielu, tego właśnie chcę.

Nate dotknął jej piersi, wyczuwając pod suknią twarde, nabrzmiące sutki. Lily jęknęła, po czym sięgnawszy ręką do guzików gorsetu, rozpięła je.

— Pocałuj mnie, Nathanielu. Tutaj. — Ujmując w dłonie

białe piersi, podsunęła je ku jego wargom. Nate nieśmiało dotknął ustami jednej z twardych, czerwonych sutek. Usta Lily znajdowały się tuż przy jego uchu.

— Nigdy, nigdy nie wiedziałam... Nigdy dotąd nie czułam czegoś takiego. Och, to cudowne. Moje ciało płonie... Chcę, żebyś mnie posiadał. Całuj moje piersi, ukochany, ssij je, kalecz... Gryź mnie, naznacz sobą. Jestem twoja... Zawsze byłam.

Jej gorący oddech sprawił, że ciało Nate'a nieomal eksplodowało.

Objął ją i uniósł lekko ku górze, po czym zaczął delikatnie głaskać i całować jej piersi — marzył wszak o tym przez wiele lat.

Lily ujęła jego twarz w swe dłonie i zmusiła, by na nią popatrzył.

— Pragniesz mnie? — zapytała ochryplym głosem.

— Tak, Boże Wszechmogący, tak. Pragnę cię. Wciąż trzymając jego głowę, kobieta pocałowała go, czubkiem języka wodząc po wargach. Ręce Nate'a zacisnęły się na jej piersiach.

Zęby Lily pieściły delikatnie jego usta, na zmianę przygryzając je lekko i puszczając.

— Musimy się gdzieś spotkać, Nathanielu. To, co robimy, jest szaleństwem. W każdej chwili może tu ktoś wejść, a wtedy będę zgubiona.

Wbrew tym słowom jednak nadal trzymała ręce na dłoniach mężczyzny, przyciskając je jeszcze silniej do swego ciała.

— Wszystko mi jedno — szepnęła. — Nic mnie to nie obchodzi. Nigdy przedtem nie przeżywałam czegoś takiego. Nie mogę z tego zrezygnować.

Jej słowa uruchomiły w umyśle Nate'a alarmowy dzwonek. Przerażony, odsunął się gwałtownie. Musi chronić Lily, nawet wbrew jej samej. I wbrew własnemu pożądaniu. Drżącymi palcami próbował zapiąć jej gorset i kołnierzyk sukni.

Kobieta z trudem chwyciła powietrze, a przy każdym oddechu brzegi gorsetu wymykały mu się z rąk. Spojrzał na nią błagalnie. Lily miała na wpół przymknięte oczy i rozchylone, obrzmiałe wargi, spomiędzy których wystawał koniuszek różowego języka. Jej wilgotne usta lśniły, wywołując w Nacie dreszcz pożądania.

Niezgrabnie podniósł się, odwracając wzrok.

— Pójdę już — powiedział. Było to najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek miał przed sobą. A jednak musiał je wykonać. Dla niej.

Lily wprawnie zapięła gorset i wstała.

— Czy znasz jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się spotkać? Umrę, jeśli cię wkrótce nie zobaczę. Nate potarł czoło, próbując zebrać myśli.

— Siedziba klubu — odparł w końcu. — Z wyjątkiem dni, kiedy odbywają się wyścigi, budynek zawsze stoi zamknięty.

— Spotkamy się w parku. Przy ogrodzeniu toru.

— Tak, tak, dobry pomysł. Będzie wyglądało na to, że oprowadzam cię po mieście.

— Jutro?

— Tak.

Nathan czuł się zupełnie rozbity. Wiedział, że musi opuścić plebanię, a jednocześnie nie mógł zrobić nawet jednego kroku w stronę drzwi. Bliskość Lily sprawiała, że płonął z pożądania. Nie miał odwagi patrzeć na nią, obawiając się, że ponownie przestanie nad sobą panować i nic już nie powstrzyma go przed tym, by ją posiąść. Teraz, natychmiast.

— Nie możesz wyjść tak, jak stoisz — powiedziała Lily, kładąc mu rękę na ramieniu. — Musisz doprowadzić do porządku swoje ubranie.

Wygładziła mu klapy marynarki, poprawiła krawat, wyrównała przekrzywiony pasek. Otarła się przy tym biodrem o jego nabrzmięły aż do bólu penis, co sprawiło, że

gorąca struga nasienia splamiła mu od wewnątrz spodnie i poczęła spływać w dół po udach. Architekt nowego Harefields nazywał się Lancelot O'Brien. Kiedy James Dike powiedział o nim po raz pierwszy, Chess, śmiejąc się biedakowi prosto w twarz, oświadczyła, że nie chce mieć do czynienia z nikim, kto nosi takie imię.

Kiedy jednak zobaczyła zdjęcia budynków, które zaprojektował, zmieniła zdanie. Spotykali się niemal codziennie. Czasem w Durham, gdzie miał on swoją pracownię w jednym z apartamentów nowego Carolina Hotel, niekiedy zaś w gościnnym pokoju jej domu. Chess przemieniła to pomieszczenie w specjalne studio, gdzie tworzone były plany Harefields. Stojące tu szafy biblioteczne pełne były jej ulubionych książek, poza tym dodatkowo wstawiono dwa duże, biblioteczne stoły i deskę kreślarską dla O'Briena.

Chess była teraz całkowicie pochłonięta pracą. Dzień po dniu przeglądała rysunki sporządzone przez architekta na podstawie jej opisów i nawet w nocy budziła się, by zanotować nowe szczegóły, które pojawiły się w jej snach.

Upłynęły tygodnie, zanim zauważyła zmianę w zachowaniu męża. Nathan sprawiał wrażenie nieprzytomnego i to przywołało w jej pamięci przerażające wspomnienie chorej na cholere Gussie. Nate jednak upierał się, że nic mu nie dolega.

W rzeczywistości jednak przeżywał piekło. Za każdym razem, kiedy Gussie ścisnęła go żywiołowo i całowała albo Chess wspominała, jak szczęśliwa się czuje, projektując swój nowy dom, poczucie winy i wstyd ścisnęły jego serce żelazną pięścią.

Nate nigdy nie zastanawiał się nad sprawą wierności.

A gdyby już musiał mieć na jej temat jakieś zdanie, z pewnością nie byłaby to opinia pozytywna. Utrzymywał dwie kochanki: jedną w Raleigh, drugą zaś w Georgetown, w Karolinie Południowej, gdzie znajdowała się jego papiernia. Poza tym często sypiał z kobietami poznanymi przypadkowo podczas podróży. Żadna z nich nie mieszkała jednak w pobliżu domu, a ich istnienie w żaden sposób nie zakłócało życia Nate'a w Standish. Ale z jego miłością do Lily rzecz miała się inaczej. Gdyby ich romans wyszedł na jaw, byłoby to upokarzające dla całej rodziny. A przecież jego bliscy nie zasłużyli sobie na to, by okrywał ich wstydem.

Wszyscy ludzie związani z tytoniowym biznesem mieli tej wiosny nie lada uciechę, mogąc obserwować miłosne perypetie Bucka Duke'a. Buck stracił zupełnie głowę dla tajemniczej rozwódki z Nowego Jorku, niejakej pani Lillian Fletcher McCedy. Niektórzy twierdzili, że kiedy kobieta ta dzwoniła do niego, zanieczyścił nawet swoje najpilniejsze interesy. Buck zdobywca przemienił się w Bucka amanta. Jego romans stał się źródłem coraz to nowych dowcipów opowiadanych w Commonwealth Club.

Nate wiedział, że z nim nie byłoby inaczej, ale zdawał sobie sprawę, iż w jego życiu nie istnieje nic ważniejszego od Lily. Myślał o niej bez przerwy, śnił o niej nocami. Z niecierpliwością czekał każdego kolejnego spotkania. Czuł, że popada w obsesję.

Lily wyznała mu, że za jego sprawą zaczęła pragnąć rzeczy, które niegdyś wcale nie przysłyby jej do głowy. Wstydziała się przyznawać, iż podobne pomysły w ogóle pojawiały się w jej umyśle. Kiedy jednak znajdowała się blisko niego, ogarniało ją szaleństwo. Pragnęła go tak bardzo, że wprost odchodziła od zmysłów. Chciała należeć do niego całą sobą, każdą częścią swojego ciała. Wiedziony jej wskazówkami Nate dotykał swoim penisem, palcami i językiem każdego skrawka jej delikatnej, płonącej z pożądania skóry.

Sypiał z wieloma kobietami. Bywał czuły, żartobliwy, zaborczy. Radowało go sprawianie przyjemności swoim partnerkom. Nigdy jednak nie kochał się z nikim tak, jak pragnęła robić to Lily. Nigdy nie doświadczył dreszczu, jakim napawało go zadawanie bólu czy upokarzanie kogoś. Nie wiedział, jak wielka bestia drzemie w ciemnej głębi jego psychiki.

Czuł do siebie wstręt. I pragnął więcej.

PANIKA

To słowo pojawiło się we wszystkich nagłówkach gazet. Dwudziestego siódmego czerwca załamał się rynek akcji, powodując, że tysiące posiadaczy papierów wartościowych z dnia na dzień straciło swoje fortuny.

— Co to znaczy, Nathanie? — zapytała Chess. — Gazety nowojorskie twierdzą, że banki, koleje i fabryki znalazły się na skraju bankructwa. Czy wobec tego my także mamy kłopoty?

Nate potrząsnął głową.

— Kłopoty mają tylko ci, którzy wierzyli w papiery. Ja inwestowałem pieniądze w cegły i maszyny. Wyjdziemy z tego cało. Prawdopodobnie skończy się na oblężeniu banku... Ludzie będą chcieli wycofać pieniądze, bojąc się, że je tracą. Powiedziałem już moim chłopcom, żeby wypłacali je z uśmiechem na twarzy. Sytuacja wróci wkrótce do równowagi i wszyscy na nowo przyniosą do nas swoje oszczędności.

— Czy sądzisz, że powinnam wstrzymać prace nad Harefields?

— Broń Boże. Spokojnie buduj swój dom. Możesz nawet zażądać, by był większy, niż początkowo planowałeś. Moim zdaniem ceny materiałów budowlanych zaczną wkrótce gwałtownie spadać.

— Jesteś pewien, że nasz majątek nie jest zagrożony?

Chess pomyślała, iż niepokój związany z sytuacją finansową może być przyczyną chorobliwego wyglądu Nathana.

Mąż uśmiechnął się i przez chwilę przypominał dawnego Nate'a.

— Kiedy ludzie ulegają panice, palą więcej papierosów niż zwykle. Dzięki kryzysowi staniemy się jeszcze bogatsi.

Wszystkie przewidywania Nathana sprawdziły się co do joty. Przez krótki czas ludzie masowo wycofywali pieniądze ze Standish Bank, jednak w ciągu niespełna dwóch tygodni definitywnie się to skończyło. W całym kraju zamknięto w tym czasie ponad sześćset banków, nie pozostawiając ich klientom żadnej nadziei na odzyskanie oszczędności. Siedemdziesiąt cztery linie kolejowe ogłosiły upadłość, włączając w to wielki Union Pacific, Reading i Santa Fe.

Przed końcem roku piętnaście tysięcy przedsiębiorstw obwieściło swoje bankructwo. Każdego tygodnia duże miejskie gazety przynosiły wiadomość o co najmniej jednym samobójstwie wśród prominentnych obywateli.

Przez cały ten czas Chess obserwowała, jak Nathan chudnie i wygląda na coraz bardziej zmartwionego. Pewnego niedzielnego popołudnia sama udała się do biura, by wśród akt i dokumentów odnaleźć przyczynę niepokoju męża, ale na nic takiego nie natrafiła, choć oczywiście mogła coś przeoczyć, nowy system księgowania był bowiem bardzo skomplikowany, a zasady działania przedsiębiorstw przypominały prawdziwy labirynt.

Chess ogarniało coraz większe zdenerwowanie, pomimo iż Edith Horton pocieszała ją twierdząc, że prawdziwe obawy powinna żywić dopiero w chwili, kiedy Nathan przestanie wyglądać na zmartwionego.

— Tak jak Henry — powiedziała. — On nie ma dość rozsądku na to, by się bać. Jeśli kupi jeszcze jednego żrebaka, żeby trenować go na wyścigi, chyba się zabije. Nie zawraca sobie głowy rozważaniem, czy w ogóle mamy jeszcze jakikolwiek majątek.

Bobby Fred, którego stare mądre oczy zauważały więcej, niż widzieli inni ludzie, także mówił Chess, żeby się nie martwiła. Dobrze wiedział, że w gruncie rzeczy powinien niepokoić się o ich oboje, miał jednak nadzieję, że romans Nate'a skończy się dostatecznie szybko, by jego żona nie dowiedziała się o nim i nie poczuła zraniona.

— Nie mam nikogo prócz ciebie, Nathanielu, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc. Nie odmówisz mi, prawda? Próbowałam co tydzień zaoszczędzić trochę pieniędzy z tego, co mam na domowe wydatki, ale Gideon zupełnie nie rozumie, jak dużo kosztuje utrzymanie rodziny, kiedy dzieci rosną tak szybko. Martha marzy o lekcjach gry na pianinie, a ja ogromnie boleję, że mnie na to nie stać. Na plebanii nie ma nawet instrumentu.

Następnego dnia Nate wręczył Lily kopertę. Wewnątrz znajdowało się tysiąc dolarów.

Lily umieściła pieniądze w zamykanej na klucz szufladzie swego pięknie rzeźbionego biurka. Jeden z parafian obiecał już ofiarować córkom pastora pianino, a nauczyciel muzyki oświadczył, że będzie zachwycony, mogąc uczyć je za darmo. Piękne usta Lily skrzywiły się ze złości, kiedy spojrzała na dno szuflady. Jej książeczka oszczędnościowa banku w Savannah była teraz bezwartościowym świstkiem papieru. Zgromadzone na niej dziewięć tysięcy sto dwadzieścia siedem dolarów i czterdzieści centów przepadło. Bank został zamknięty. Straciła wszystkie te małe „prezenciki”, które tak wielu wiernych ofiarowało jej w ciągu ostatnich lat w tylu różnych kościołach.

Tak naprawdę nie miało to jednak znaczenia. Pieniądze same w sobie nie były ważne. Cóż mogła z nimi uczynić? Parafianki patrzyły na żony duchownych jastrzębim wzrokiem i natychmiast zauważyłyby każdą najmniejszą eks-

trawagancję czy oznakę próżności. Pieniądze stanowiły więc jedynie kolejny symbol władzy nad tymi, którzy je ofiarowywali, dowód na to, że uczyniliby wszystko, czego by zażądała. fZ Nathanielem, być może, rzecz miała się inaczej. Posiadał tak dużo pieniędzy... O wiele, wiele więcej niż inni. I wciąż starał się panować nad sobą, wymagając tego samego także od niej. Jakimż triumfem byłoby skłonienie go do otwartego zdradzenia swojej żony i brata! I jak głęboko dotknęłoby to tych dwoje!

Lily wyjęła kopertę z szuflady. Postanowiła oddać ją Nate'owi, mówiąc, że właśnie dowiedziała się o ofiarowaniu pianina i bezpłatnych lekcjach. Nie dopuści, by myślał, że zaspokoi ją kilkoma dolarami. To byłoby dla niego zbyt łatwe.

— Pan O'Brien powiedział mi dziś nadzwyczajną rzecz, Nathanie — oświadczyła Chess, starając się, by jej głos brzmiał jak najłagodniej. — Wyjawił, że Vanderbilt zainstalował w domu w Ashville pewne urządzenie, które ogrzewa go zimą i chłodzi latem. Nie widziałeś go, kiedy byłeś tam ostatnim razem, prawda? Czy można dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej? Byłoby doskonale wyposażyć Harefields w coś takiego.

Spuściła wzrok i utkwiała spojrzenie w kawałku płótna, które właśnie haftowała. Starła się nie patrzeć na męża, wiedząc, że łatwo mógłby wyczytać z jej twarzy, iż jej słowa są po prostu próbą zainteresowania go czymś. Do niedawna nie było tygodnia, by Nate'a nie zafascynował jakiś nowy wynalazek, w ostatnich miesiącach to się jednak całkowicie zmieniło.

— Nie potrafię sobie wyobrazić niczego takiego — powiedział Nate.

W jego głosie dawało się jednak wyczuć zaciekawie-

nie. Chess zaryzykowała i rzuciła mężowi nieśmiało spojrzenie.

Nathan siedział zamyślony, zapatrzony gdzieś w dal.

Chess po dziecięcemu skrzyżowała palce. Ten gest miał przynieść jej szczęście.

— Jeśli mam tam pojechać, najlepiej będzie, gdy uczynię to już jutro — mruknął Nate. — Wkrótce w górach spadnie śnieg... O ile już teraz na torach nie leżą zasy.

W gruncie rzeczy miał nadzieję, że istotnie spadł już śnieg. W jego bieli było coś czystego i niewinnego — podobnie jak w przejrzystym górskim powietrzu, które przenikało w głąb ciała, dodając ludziom wigoru i chęci do życia. No i ta odległość. Całe kilometry otwartej przestrzeni, góry, lasy oraz nieskończone, bezkresne niebo. Nic dziwnego, że chłodne, krystalicznie czyste, górskie powietrze kojarzyło mu się z wolnością.

Chess prowadziła Gussie przez kolejne pokoje w Hare-fields. Obie nie widziały jeszcze tych sal — kiedy były tu poprzednio, budowniczy wznosili dopiero drewniane szkielety ścian.

— ...oto pokój poranny. Jego okno wychodzi na wschód i promienie słoneczne wpadają tu już o świcie. To tutaj będziemy jadać śniadania. Ten mały stolik wystarczy dla naszej trójki. Nie trzeba nam mebla tak potężnego jak ów stół w jadalni z mnóstwem krzeseł... A teraz, chodź tu, Gussie, i popatrz: to oranżeria. W takiej samej cieplarni moja matka hodowała drzewka pomarańczowe i cytrynowe, dzięki czemu zawsze, gdy tylko chcieliśmy, mogliśmy pić lemoniadę i sok z pomarańczy. No i były też kwiaty — przez całą zimę. Poczekaj tylko, jak poczujesz zapach jaśminu, kiedy wszystko za oknem skute będzie mrozem. Chodź... przejdźmy teraz przez te drzwi.

— Kiedy będą gotowe schody? Mam nadzieję, że do

tego czasu nie zrobię się za stara na takie dziecięce zabawy jak zjeżdżanie po poręczy. Chess uniosła brwi.

— Sądzisz, że człowiek może zrobić się na to za stary? Sama mam zamiar zjechać po poręczy natychmiast, gdy zostanie ona zainstalowana.

— Mówisz poważnie, mammo?

— Przysięgam na moje życie. Z ręką na sercu. Gussie rzuciła się matce na szyję i uściskała ją tak mocno, że Chess zabrakło tchu.

— Kocham cię, mammo.

— Ja też cię kocham, Gussie — uśmiechnęła się, modląc jednocześnie w duchu, by zjeżdżając po poręczy, nie skreślić karku.

Co za diabeł skusił ją do złożenia córce takiej obietnicy? To pewnie dlatego, że czuła się taka szczęśliwa.

Nathana nie było w domu już prawie od tygodnia. To znaczyło, że urządzenie Vanderbilta musiało zrobić na nim naprawdę duże wrażenie.

Lily nerwowo przygryzła paznokieć. To, co się działo, ani trochę się jej nie podobało. Nieraz wynajdowała wymówki, by nie widywać się z jakimś mężczyzną, chcąc doprowadzić go do szaleństwa i sprawić, żeby znalazł się u jej stóp, ale nikt dotąd nie uczynił czegoś podobnego z nią samą. Nathaniel stanowił poważniejsze wyzwanie, niż się spodziewała. Uznała, że usidlenie go będzie doprawdy rzeczą nader ekscytującą.

Na ogorzałej od wiatru twarzy Nate'a gościł radosny uśmiech.

— Widzę, że dobrze się bawiłeś — powiedziała Chess.

— O tak, klimatyzacja to coś wspaniałego. Tego właśnie

słowa używał cały czas Vanderbilt: wspaniałe. To szczywany lis, ale w tym wypadku niewątpliwie miał rację. Naprawdę zna się na inżynierskich wynalazkach. System wodny, który zainstalował... Chess wielokrotnie już słyszała podobne rzeczy. Hare-fields stało się miejscem znacznie piękniejszym i nowocześniejszym, niż projektował Lancelot O'Brien. A miał przecież bardzo bujną wyobraźnię. Nathan wziął głęboki oddech.

— Jadąc przez góry, wpadłem na pewien pomysł — powiedział.

Chess wyczuła w jego głosie napięcie. Wiedziała, że mąż jest bardzo z siebie zadowolony. Czytała to z jego oczu. Postanowiła okazać swój entuzjazm niezależnie od tego, co usłyszy. Tak dobrze było znowu mieć go przy sobie.

— Postanowiłem — Nathan mówił wolno, jakby chciał jak najbardziej odwlec wyjawienie niespodzianki — że ty, ja i Gussie powinniśmy następnego lata odbyć małą podróż. Co sądzisz o wyjeździe do Londynu?

— Do Londynu? — Chess znieruchomiała jak rażona gromem. — Do Londynu! Nathanie Richardsonie, za wyjazd do Londynu sprzedałabym duszę! Jeśli nie dotrzymasz obietnicy, rozszarpie cię na strzępy.

Rozdział 32

Zamierzenia Nate'a były śmiałe, ale proste w swej logice. Angielskie przedsiębiorstwa tytoniowe importowały większość potrzebnego im surowca z Karoliny Północnej i Wirginii, produkowały papierosy, po czym większą ich część wysyłały statkami na zamorskie rynki. Nate odkrył, że przy jego pomocy brytyjskie fabryki mogłyby wyeliminować dwa kosztowne etapy tej operacji. Po pierwsze, sam hodował tytoń, podczas gdy Anglicy musieli stawać do przetargów na aukcjach, po drugie zaś — umiejscowienie fabryki w pobliżu źródeł surowca oznaczało zmniejszenie wydatków o koszt pakowania i transportu. Gotowy produkt nadal miał do przebycia daleką drogę, ale dzięki przecinającym całą Amerykę liniom kolejowym znacznie łatwiej można było dostarczyć towar na wybrzeże Pacyfiku, by stamtąd wyeksportować go prosto na olbrzymie angielskie orientalne rynki zbytu.

To samo dotyczyło przędzalni bawełny i na ten temat Nate także chciał porozmawiać z biznesmenami z wyspy. Najważniejszy był jednak tytoń.

— Dzień, w którym rozpocznę współpracę z Europejczykami, będzie początkiem końca Bucka Duke'a. Nic nie mogłoby lepiej wpłynąć na moje samopoczucie. Nie wystarczy prześcignąć przeciwnika — trzeba go pokonać.

Przy pomocy Anglików sprawię, że American Tobacco Company straci swoje wpływy.

— Sądzisz, że dasz radę? Niewykluczone przecież, iż w Londynie nikt nawet nie wie, gdzie leży Karolina Północna.

— W takim razie ja im to powiem. Wypiarze są tak przyzwyczajeni do życia w ciasnocie, że zaniemówią z wrażenia, gdy dowiedzą się, ile mamy tutaj przestrzeni.

Tak wiele było jeszcze do zrobienia... Powinien dokupić więcej ziemi... o wiele więcej, skoro chciał uprawiać tytoń i bawełnę. I musiał przeprowadzić kalkulację: obliczyć, ile płacili za tytoń Anglicy i jak dużo zaoszczędziliby, przystając na jego plan. Należało również sprawdzić prawne aspekty tego przedsięwzięcia, dowiedzieć się, jak winny wyglądać handlowe umowy pomiędzy dwoma krajami.

Nathan drżał wprost z emocji.

Chess nie mogła otrząsnąć się z oszołomienia. Londyn. Myślała o wszystkim, co na jego temat czytała, o wspomnieniach matki, o korzeniach własnej rodziny. Wszyscy przodkowie Standishów byli Anglikami i Londyn już teraz wydawał jej się znajomym miejscem. Ale zobaczyć go! Ujrzyć ulice, po których spacerował Szekspir i... Sherlock Holmes. Chwilami miała wrażenie, że jest to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Tego lata miały również zostać zakończone prace przy budowie Harefields. Będzie zatem mogła uczynić to samo, co niegdyś zrobili jej przodkowie: umeblować dom sprzętami przywiezionymi z Anglii. Tak właśnie rzecz wyglądała z rezydencją wzniesioną w 1780 roku.

Chess także miała wiele do zrobienia.

Chciała wspominać, marzyć, czytać i myśleć. Zapomniała o chłodnej ciemności rozpościerającej się za oknem. Wyobrażała sobie, że znajduje się w wielkim, wysokim pokoju w Harefields, gdzie firanki zawieszono w prowadzących na werandę drzwiach tańczą w powiewach pach-

nącego wodą wiosennego wietrzyku. Ich cienie łagodnie współgrają ze światłem, a bładniebieskie ściany mają tę samą barwę co znajdujące w opuszczonych gniazdach jaja dzikiego ptactwa. Znowu będzie tak samo. Spokojne, radosne życie. To właśnie pragnie ofiarować Gussie: najdoskonalsze dzieciństwo, jakie może stać się udziałem małej dziewczynki.

Świętom jak zawsze towarzyszyło wiele miłych, acz czasem męczących wydarzeń. Przyjęcie w Durham, przyjęcie w Standish, przyjęcie w domu. Kolędy i koszyki zjedzeniem dla biednych. Betlejemka szopka w kościele. Pończochy na prezenty, prezenty składane pod choinką. Podarunki owijane szeleszczącym papierem i te, które otrzymywało się samemu. Jedzenie, jedzenie i jeszcze raz jedzenie. Czuwanie modlitewne w Wigilię i nabożeństwo w dniu Bożego Narodzenia. Muzyka, śpiew, chóry i orkiestra grająca na Richardson Avenue.

Spośród tych wszystkich rzeczy na plan pierwszy wybijały się dwa wydarzenia: Susan, czerwieniąc się z przejęcia, oznajmiła rodzinie, iż zaręczyła się z pewnym młodym nauczycielem z nowego Trinity College, Gussie zaś bez żalu zastąpiła Ellie Wilson inną najlepszą przyjaciółką. Barbara Beaufort była miłym rudowłosym smykiem, liczącym sobie, podobnie jak Gussie, jedenaście lat. Jej ojciec, Walter, przeniósł się niedawno do Standish, by założyć tu agencję ubezpieczeniową. Oboje z żoną, Frances, należeli do najbardziej dystyngowanych rodzin w Wilmington — starym, leżącym tuż nad Atlantykiem miasteczku w Karolinie Północnej, które niegdyś było ważnym portem. Dziadka Waltera szeroko znano na całym Południu, wsławił się bowiem najbardziej udanymi przeprawami przez jankeską blokadę w czasie wojny secesyjnej.

W wigilię Trzech Króli Nate poprosił jednak Chess, by spróbowała ostudzić nieco przyjaźń obu dziewczynek.

— Ilekroć próbuję dodzwonić się do ciebie z biura, linia telefoniczna jest zajęta — poskarżył się. — A kiedy wracam do domu, zawsze natykam się tu na Barbarę. Nigdy nie sądziłem, że dziecięcy chichot może być tak irytujący!

— Frances powiada, że Walter ma te same problemy. Gussie przebywa u nich równie często, co Barbara u nas.

— Dlaczego wobec tego bez przerwy rozmawiają przez telefon?

— Nie sądzę, by to robiły. Z tego, co zaobserwowałam, wynika, że raczej ciągle chichoczą.

— Boże, spraw, by nie zabrakło mi cierpliwości — westchnął Nate, wznosząc oczy ku niebu.

— Nasza mała dziewczynka dorasta — uśmiechnęła się Chess. — Czy przyjrzałeś się w kościele pozostałym członkom rodziny Beaufortów? A szczególnie ich synowi, który ostatnio wystąpił w całej glorii swego munduru? Jest studentem akademii wojskowej w pobliżu Wilmington.

— Ten zabawny żołnierz z mosiężnymi guzikami?

— Ten sam. Nazywają go Beau. Jest już „dorosły” — ma trzynaście lat.

Nate poczuł, że ogarnia go wściekłość. Jego żona musiała się mylić.

— Ależ on z pewnością nie może podobać się Gussie! — upierał się rozzłoszczony.

Chess jedynie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Na początku roku Nate spędził dużo czasu z dala od domu, zbierając informacje, których potrzebował do przeprowadzenia rozmów w Anglii.

Lily ani trochę się to nie podobało. Po jego powrocie z gór spotkała się z nim, niby to przypadkiem, w pociągu do Durham. Wynajęli sąsiednie pokoje w hotelu przy stacji kolejowej. Nate znowu należał do niej. Jednak zaabsor-

bowanie interesami okazało się silniejsze od władzy, jaką nad nim miała. Czuła się tym dotkliwie zraniona.

Pewnego popołudnia zapukała do drzwi gabinetu Gi-deona.

— Mam ci do zakomunikowania tak wspaniałą rzecz, kochanie, że nie mogłam czekać, aż skończysz pracę. Doktor powiada, że nie grozi mi już żadne niebezpieczeństwo, gdybym ponownie zaszła w ciążę. Czy zechcesz zatem znowu być moim mężem?

Gideon zerwał się z za biurka i porwał ją w objęcia. Nie zwlekając ani chwili, zaniósł ją do sypialni. Od lat już tęsknił za jej ciałem.

Seks z Gideonem był czymś zupełnie różnym od tego, co robiła z Nate'em, ale mimo to Lily wiedziała, jak uczynić męża szczęśliwszym, niż jego zdaniem na to zasługiwał.

Tego samego dnia przestała pić gorzką miksturę, której sekret przyrządzenia zdradziła jej pewna kobieta z Nowego Orleanu. Skłoniła też Nate'a, by widywał się z nią teraz niemal każdego popołudnia. Kiedy usłyszała o planowanej przez Chess i Nathana podróży do Anglii, ogarnęła ją taka złość, że wyrwała sobie garść włosów.

James Dike wyszedł z za kontuaru pustej jeszcze księgarni, by powitać wchodzącą Chess.

— Właśnie skończyłem czytać pewną szokującą książkę i waham się, czy należy ci ją polecić. Jest jednak tak dobra, że byłoby nieuczciwością nie wspomnieć ci o niej.

Chess cieszyła się, widząc przyjaciela tak podekscytowanego. Od miesięcy był smutny i ponury, a na rękawie nosił nawet żałobną opaskę, albowiem w grudniowym wydaniu „The Strand Magazine” został zabity Sherlock Holmes.

Literatura stanowiła najważniejszą rzecz w wypełnionym książkami życiu Jamesa. Chess była ogromnie ciekawa, cóż takiego odkrył on tym razem.

Powieść nosiła tytuł „Portret Doriana Graya”. Kobieta przeczytała ją aż dwukrotnie, po czym ukryła na najwyższej półce swojej szafy. Gussie ostatnio bardzo urosła, nie na tyle jednak, by móc poznać tę przerażającą i fascynującą historię napisaną przez Oscara Wilde'a.

Chess ofiarowała za to córce przewodnik po Londynie Baedekera, który James zamówił specjalnie na jej prośbę. Ona sama nie rozstawała się z własnym egzemplarzem tej książki ani na chwilę.

Przeglądała ją tak często, że służąca za zakładkę wstążeczka zupełnie się wystrzepiła.

— Chess, moja droga, stajesz się najnudniejszą kobietą w całym hrabstwie Orange — zganiła ją pewnego dnia Edith. — Wiesz, jak ogromnie cię kocham i jak szczerze życzę ci szczęścia, ale jeśli jeszcze raz wypowiesz przy mnie słowo „Londyn”, wepchnę ci twego Baedekera do gardła. Dla odmiany powiedz mi lepiej coś ciekawego. Ile dokładnie toalet będzie miał twój nowy dom? Mam zamiar, ilekroć poczuję zew natury, wsiadać na najszybszego konia mojego męża i przyjeżdżać do ciebie, by z nich korzystać.

— Cztery — odparła Chess ze zgorzowaną miną. — Nie trudź się jednak. Mam zamiar pozamykać na klucz wszystkie drzwi. Jesteś okropnie uciążliwym gościem. Ale będę za tobą tęsknić — dodała. Siedziały zadowolone z siebie, roztrząsając najdrobniejsze szczegóły skandalu, o którym codziennie pisały teraz gazety: pani Vanderbilt zażądała od męża rozwodu.

Rozwód stanowił w ich środowisku rzecz nie do pomyślenia. Słyszac o czymś takim, nie wierzyło się własnym uszom. Jediną rozwiedzioną osobą, o jakiej czytały, był Henryk VIII, o którym wiele lat temu uczono je w szkole. Przyzwoici ludzie po prostu nie robili podobnych rzeczy.

— Oczywiście, przyjaciółka Bucka Duke'a też jest rozwiedziona — stwierdziła Chess. — Wszyscy o tym wiedzą.

— Ale czy ona jest „przyzwoitą osobą”? — zakpiła Edith.

Jak wszystkie damy z towarzystwa Edith i Chess uwielbiały rozprawiać o „takich kobietach”.

Bardzo często zastanawiały się, jaka jest pani Vanderbilt. Czy wydaje bale kosztujące ćwierć miliona dolarów? Czy posiada jacht z siedemdziesięcioosobową załogą? A może ma zastawę obiadową z litego złota na dwieście osób oraz dostatecznie dużą jadalnię, by pomieścić tak wielu gości?

— Jaka szkoda, że Nathan jest mężczyzną — westchnęła Edith. — Spędza tyle czasu, rozmawiając z Van-derbiltem w Asłwille i wraca do domu, nie przywożąc żadnych plotek.

Lancelotowi O'Brienowi także nie podobało się, że Nate spędza tyle czasu z George'em Vanderbiltem.

Zmiany, jakich jego pracodawca zażądał w Harefields, wymagały ogromnie dużo dodatkowej pracy.

Ostateczne pakowanie garderoby, którą Chess i Gussie miały zabrać ze sobą do Londynu,

zaplanowano na czwartego kwietnia. Wszystko inne było już gotowe. W bankowym sejfie czekały

bilety na odpływający z przystani Cunard parowiec, na którym Richardsonowie zarezerwowali

osobny apartament. Razem z biletami złożono też listy polecające. Potwierdzono również

wcześniejsze ustalenia, że Chess będzie miała na statku stewardesę pełniącą rolę jej osobistej pokojówki oraz doświadczoną służącą, która zaopiekuje się nią w ciągu ośmiotygodniowego pobytu w Savoyu.

— Nigdy nie miałam służącej tylko dla siebie i nie mam zamiaru wynajmować takowej jedynie po to, żeby zabrać ją ze sobą do Londynu — sprzeciwiała się stanowczo Chess.

— Wolę również sama zapakować swoje rzeczy. Dzięki temu będę wiedziała, gdzie co mam. Większość kufrów ładuje się na dolny pokład parowca — wyjaśniła córce już po raz dziesiąty. — Musisz pamiętać, by twoje ulubione sukienki znalazły się w bagażu, który będziesz miała ze sobą w kajucie. Czy to nie ekscytujące? Będziemy przebierać się każdej nocy zupełnie jak Kopciuszek wyruszający na bal do książęcego pałacu.

Gussie próbowała się uśmiechnąć, ale usta odmówiły jej posłuszeństwa. Zacisnęła pięści i wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

Chess popatrzyła na nią przerażona.

— Co ci się stało, kochanie? Czujesz się chora? Dziewczynka złożyła głowę na kolanach matki.

— Nie chcę jechać do Londynu — załkała. — Wolę zostać w domu. Bonnie się mną zaopiekuje.

Chess nie wierzyła własnym uszom.

— Nie chcesz pojechać do Londynu, Gussie? Ależ dlaczego? — zapytała, czując przez cienki materiał sukni rozpalone czoło dziecka.

Po długim wahaniu i wylaniu morza łez dziewczynka wyznała wreszcie prawdę. Nic ją nie obchodziły obrazy, kościoły i parki. Jest przekonana, że robiąc to wszystko, do czego zachęcał przewodnik Baedekera, nie będzie czuła się szczęśliwa.

Nie ma ochoty opuszczać szkoły na prawie cały miesiąc, bo to uniemożliwiłoby jej zagranie roli Puka w szkolnym przedstawieniu „Snu nocy letniej”.

Poza tym pragnie być drugą, obok Sally, druhną Susan na zaplanowanym na czerwiec ślubie. Chce też pojechać z Barbarą oraz jej matką do Wilmington i mieszkać we wzniesionym na prawdziwej plaży nad oceanem domu babki przyjaciółki. Pragnie codziennie pływać i przeskakiwać przez fale.

— Przypuszczam, że Beau także tam będzie — powie-

działa Chess, podejrzliwie patrząc na rumieniec, jaki wypłynął na twarz córki.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Natomiast słyszałam, że jest tam ocean i kraby, które próbują chwycić cię za palce u nóg; zamiast tego to ty je łapiesz i wrzucasz do wrzącej wody.

Mimo wszystko Gussie jest jeszcze bardzo dziecinna — pomyślała czule Chess.

— Porozmawiam z twoim tatą i zobaczymy, co on na to powie.

Wiedziała doskonale, co usłyszy od męża. On także patrzył na żonę z przerażeniem, ilekroć wspominała o pomnikach i muzeach Londynu. Nie chciała jednak utwierdzać córki w przekonaniu, że smutną minką i łzami zawsze uda jej się osiągnąć to, co zechce.

Dziewczynka gorąco uściskała matkę.

— Dziękuję ci. Bardzo, bardzo ci dziękuję.

Ona także wie, co powie jej ojciec — pomyślała Chess. — Tych dwoje za każdym razem zdoła mnie pokonać.

Z rozmową z Nathanem zaczęła jednak do końca kolacji. W dni, kiedy nie spodziewali się żadnych gości, Gussie jadała razem z nimi. Chess była pewna, że jeśli przyjdzie jej przeżyć kolejne rozczarowanie, pęknie ze złości, zignorowała zatem znaczące spojrzenia, rzucane przez córkę ponad stołem, i jadła powoli, udając beztroskę.

— Idź do swojego pokoju, Gussie — poleciła po deserze. — Chcę chwilę porozmawiać w cztery oczy z twoim tatą — dodała wstając.

Skierowała się do biblioteki. Nate wszedł za nią, starannie zamykając drzwi.

— O co chodzi? — uśmiechnął się. — Czyżbyś odkryła jakiś znakomity sposób na pokonanie Bucka Duke'a?

— Po prostu nie chciałam, żeby Gussie nam przerywała.

Usiądź. Muszę powiedzieć ci, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia.

Tak, jak się tego spodziewała, Nate miał zrozumienie dla dziecka.

— Ja też zawsze chciałem pojechać nad ocean — powiedział. — Może powinniśmy wybrać się tam w przyszłym roku.

— To jeszcze nie wszystko, Nathanie. Lily złożyła mi dziś wizytę i poradziła, abym się z tobą rozwiodła. Stwierdziła, że jesteś w niej do szaleństwa zakochany. Czy to nie głupie?

Chess zamierzała — i przećwiczyła to sobie — wypowiedzieć te słowa ze śmiechem, co też jej się udało. Oczekiwała, że Nate także się roześmieje i stwierdzi, że to absolutna nedorzeczność.

— Skreć jej kark! — zawołał jednak zamiast tego, błędąc gwałtownie.

Chess spróbowała nazwać jakoś to, co czuła. O dziwo, nie miała wcale złamanego serca. Nic z tych rzeczy. Jej umysł wypełniła po prostu głęboka, nieprzenikniona ciemność.

— Chcesz rozwodu? — To pytanie zostało zadane jej głosem. Rozpoznała go. Inaczej zupełnie nie zdawałaby sobie sprawy, że wypowiedziała te słowa.

— Boże Wszechmogący, nie! Po stokroć nie! Zasłużyłem na to, byś się ze mną rozwiodła, zasłużyłem na wszystkie najgorsze rzeczy, jakie tylko mogą przytrafić się człowiekowi. Ale nie chcę tracić ciebie i Gussie. Wy obie jesteście całym moim życiem.

Jego oczy były rozszerzone ze strachu.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć! Nie potrafię zrozumieć! — Zerwał się z krzesła i ukląkł przed Chess. Wpatrywał się w twarz żony, szukając litości, ale jej nie znalazł. — Ona mnie opętała. Nie potrafię się wyzwolić spod jej czaru. Nie umiem trzymać się od niej z daleka. Próbowałem, Bóg mi świadkiem, że próbowałem. Kiedy jednak Lily za-

czyna szeptać do mego ucha... Boże, dopomóż mi! Jakież ona mówi rzeczy! Jestem zgubiony! To piekło. Wiem, że będę się przez to smażył w ogniu piekielnym, ale nie jestem w stanie się powstrzymać.

Objął żonę, składając głowę na jej kolanach. Jego uścisk sprawił Chess ból. Zadrżała na całym ciele. Jaka córka, taki ojciec — pomyślała. — Oboje kładą mi głowę na kolanach i płaczą. Tym razem jednak nie będę już taka wyrozumiała.

Przypomniała sobie śmiejącą się drwiąco Lily. I słowa: „Sądzę, że taka dama jak ty będzie zbyt dumna na to, by zatrzymać przy sobie mężczyznę, który jej nie chce”.

Trzy tygodnie później prywatny wagon kolejowy zawiózł pana i panią Richardsonów oraz dwadzieścia trzy sztuki ich bagaży na przystań Cunard na Hudson River w Nowym Jorku.

— Gdybym tylko mógł znaleźć się z dala od niej — powiedział Nate — na pewno odzyskałbym rozsądek. Wiem to. Kiedy wyjechałem w góry, wszystko było w porządku. Pomóż mi, Chess.

Potrzebuję twojej pomocy.

— Spróbuję — obiecała żona.

Chciała pojechać do Londynu, a później dopiero zdecydować, co robić. Niegdyś wszystko wyglądało inaczej... Alva, Julie — była o nie bardzo zazdrosna i czuła, że nienawidzi tych kobiet. Tym razem obawiała się, że osobą, do której czuje nienawiść, jest sam Nathan.

Rozdział 33

„Campania” wyposażona była w najnowocześniejsze, luksusowe urządzenia, a jej mahoniowe boazerie doskonale harmonizowały z zasłonami z jedwabnego adamaszku, marmurowymi kolumnami, kryształowymi żyrandolami i puszystymi dywanami. Olbrzymie lustro w złotych ramach odbijały sylwetki znamienitych pasażerów statku.

Nate i Chess zajmowali apartament składający się z saloniku, maleńkiej, obitej jedwabiem jadalni, trzech pomieszczeń dla służby oraz dwóch sypialni. Jedna z nich — uprzednio przeznaczona dla Gussie — stała pusta i w niej właśnie Nate umieścił kufer z dokumentami. Drzwi do tej kabiny pozostawały przez cały czas zamknięte na klucz.

Chess z lubością wdychała zapach słonego powietrza.

o ileż był tu silniejszy niż na James River podczas przypiływu! Wyposażenie parowca zrobiło na niej duże wrażenie, ale w prawdziwy zachwyt wprawili ją dopiero spotkani tutaj ludzie. Pierwszego wieczoru podczas podanej w głównej jadalni kolacji nie zdołała przełknąć ani kęsa, tak bardzo bowiem była zajęta obserwowaniem elegancko ubranych, noszących piękną biżuterię kobiet i ich wyfraczonych towarzyszy. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak przed wielu laty opowiadała jej matka. Ludzie, których tu widziała, wyglądali wspaniale i robili wrażenie szczęśliwych i pewnych siebie.

Podejrzewała, że ona sama musi wydawać się innym zaniedbana i niepozorna, pomimo iż jej stalowobłękitna suknia była wierną kopią modelu Wortha i została zamówiona w nowojorskim sklepie Lorda i Taylora. Toaleta miała najmodniejsze wielkie, bufiaste rękawy oraz hojnie ozdobione perłami i kryształowymi paciorkami falbany z delikatnej koronki. Na szyi Chess pysznił się diamentowo-szafirowy naszyjnik — niespodziewany dar od Nathana. Odziany we frak dżentelmen od Tiffany'ego dostarczył go na statek tuż przed odbiciem od brzegu. Mimo to Chess wiedziała, że brak jej swobody, która cechowała inne kobiety. Jakimś cudem też ich suknie po prostu leżały lepiej. Nie miało to jednak znaczenia. Była szczęśliwa, że może na nie patrzeć.

Nathan natomiast jak to Nathan: nie zauważył nawet, jak bardzo różni się od pozostałych mężczyzn. Nie dostrzegł, o ile lepiej skrojone były ich marynarki, nie wyczuł tego nieuchwytnego czaru, który sprawiał, że nawet włosy zdawały się lepiej przylegać do ich głów, niż to miało miejsce w jego wypadku. Jak zawsze pozostawał sobą, zadowolony z tego, kim jest, i w najmniejszym stopniu nie pragnący się zmieniać. Martwiła go jedynie napięta atmosfera między nim i żoną oraz wyrzuty sumienia.

— Teraz będzie inaczej, Chess — obiecał żarliwie. — Uciekłem jej i wszystko będzie w porządku. Postaram się o to ze względu na ciebie.

Chess nie chciała myśleć o Lily ani o Standish czy czymkolwiek innym, co zostawiła za sobą, wsiadając na statek. Pragnęła cieszyć się czarem tej chwili.

— Zostawmy to, Nathanie — poprosiła. — Zapomnijmy. Udawajmy, że nic się nie stało. Nie pozwolę, by cokolwiek zepsuło mi tę podróż.

Nate odetchnął z ulgą. To było nawet więcej, niż oczekiwał, i — Bóg świadkiem — więcej niż to, na co zasłużył. W gruncie rzeczy nie poczuł się jednak zdziwiony

oświadczeniem Chess. Zawsze żywił przekonanie, że seks nic nie znaczy dla jego żony. Zapewne dlatego jego obsesja na punkcie Lily nie dotknęła jej aż tak bardzo. Powinien był trzymać język za zębami i nic na ten temat nie mówić. Wtedy, jak sądził, wszystko byłoby w porządku. Jeśli jednak sprawy potoczyły się inaczej, dobrze, że Chess chce udawać, iż nic się nie stało. Z zadowoleniem zajął się fascynującymi, nowymi wrażeniami, jakich dostarczała mu morska podróż. Na krótko jego uwagę przykuł niemal nieuchwytny ruch statku i wibracje ukrytych głęboko pod pokładem wielkich silników. Obiecał sobie odszukać następnego dnia mechanika pokładowego i wszystko dokładnie obejrzeć.

« Smakowało mu również wino. Jeśli jadaliby obiad wieczorem, tak jak tutaj na statku, nie zaś w środku dnia, mogliby pić wino także w domu.

— Ciekaw jestem, z jakiego gatunku winogron się je robi.

— To zależy od rodzaju wina. Możemy kupić sobie kilka butelek w winiarni w Richmond.

Chess wróciła pamięcią do chłodnych, wilgotnych piwnic w dawnym Harefields. Jako dziecko często schodziła tam latem, gdy robiło jej się za gorąco. — Jakże mogłam zapomnieć? Zaraz następnego dnia napiszę do Lancelota O'Briena i wydam polecenie, by w nowym domu także znalazła się piwnica na wino. Wyślę list natychmiast, gdy dopłyniemy do Liverpoolu.

Niestety „Campania” napotkała sztormową pogodę i list nie został napisany. Chess obudziła się przed świtem, przekonana, że musiała się czymś zatruć.

Z pokonywania Atlantyku pozostało jej jedyne wspomnienie: choroba morska. Wynajęta stewardesa zajęła się nią serdecznie, zapewniając Nate'a, że Chess wcale nie umiera i że ona sama doskonale potrafi pomóc człowiekowi cierpiącemu na tę dolegliwość.

Nathan zapoznał się ze wszystkimi cudami techniki, w jakie wyposażono „Campanię”, zaprzyjaźnił się z marynarzami, mechanikami i kapitanem oraz tymi pasażerami statku, którzy nie zadzierali nosa i nie traktowali go z wyższością.

Schodząc na ląd, Chess była bardzo blada i z trudem trzymała się na nogach. Miała wrażenie, że nawet ten od dawna wytęskniony, stały grunt pod stopami kołysze się i drży. Z trudem zniosła podróż pociągiem do Londynu. Trzęsący się wagon zbyt mocno przypominał jej kajutę na statku.

Podobnie rzecz się miała z kabrioletem, który zawiózł ich z dworca do hotelu. Mimo to następnego ranka obudziła się wcześniej i niecierpliwie czekała na chwilę, kiedy nareszcie zobaczy miasto.

Londyn! A więc w końcu tu przyjechała.

Hotel Savoy leżał tuż nad brzegiem Tamizy i kiedy Chess rozsunęła story i otworzyła okno, zobaczyła odbity w szerokich wodach złotoróżowy świt. W nozdrza uderzył ją zapach portu: oliwy, węgla, ryb i przypraw. Usłyszała nawoływania ludzi, żeglujących na dziesiątkach małych i dużych łodzi, oraz to bliskie, to znów odległe bicie w dzwony.

Rozpostarła ramiona, jakby chciała przytulić to wszystko do piersi, po czym pośpiesznie zaczęła się ubierać.

Okazało się, że Savoy całkiem zasłużył sobie na opinię hotelu o doskonałej obsłudze. Gdy Chess wyszła z łazienki, czekała już na nią służąca trzymająca w ręku gotową do włożenia suknię.

— Mam na imię Ellis — powiedziała, kłaniając się. — Czy życzy sobie pani, aby przysłano jej śniadanie na górę? Jadalnia zostanie otwarta dopiero o siódmej.

Wykonany z brązu zegar na kominku wskazywał, że jest za dziesięć szósta.

— Tak, proszę. Dziękuję, Ellis.

— Jeśli tylko miałaby pani jakieś życzenia... — Ellis podeszła do przypominającego trąbkę przedmiotu, przytwierdzonego do ściany. — To jest specjalna tuba. Gdy

będzie pani czegoś chciała, wszystko jedno, o której godzinie, wystarczy powiedzieć o tym, zbliżając usta do otworu.

— Nie zamawiaj jeszcze śniadania, Ellis. Mój mąż na pewno będzie chciał zobaczyć, jak to działa. Jest w salonie, posłuż się więc tubą z tamtego pokoju.

Śniadanie było nieco dziwne, ale bardzo smaczne. Podano trzy różne gatunki ryb, każdą w aromatycznym, śmietankowym sosie, oraz wędlinę, która wyglądała jak szynka, choć była — jak zapewnił kelner — bekonem. Smażone jajka, doprawione jakąś trudną do rozpoznania przyprawą, podano w wysmarowanej masłem kokilce w kształcie rozwijającego się pąka kwiatu. Nie zabrakło także ugotowanych na miękko jajek, zalanych lśniąca galaretą, w której zatopiono płatki kwiatów. Wśród dań znalazło się również pieczone mięso, otoczone wianuszkami warzywnego puree, tak doskonale przyprawionego, iż tylko jego zielony kolor zdradzał, że są to jarzyny. Po raz pierwszy Chess miała okazję skosztować małych, pieczonych ptaszków, ułożonych na grzankach i polanych kremem z pieczarek. Czuła się ogromnie podekscytowana. Londyn był tuż-tuż — dzieliły ją od niego tylko mury hotelu. Nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy.

Wszystko przygotowano w najdrobniejszych szczegółach. Już wcześniej wynajęto listownie w polecanym przez Baedekera biurze turystycznym doświadczoną przewodniczkę, miała się ona jednak pojawić dopiero o dziewiątej. Teraz zaś nie było jeszcze nawet ósmej. Chess spacerowała niecierpliwie między oknami jadalni i sypialni, patrząc na lśniąca w promieniach słońca Tamizę.

— Chodźmy na spacer wzdłuż rzeki, Nathanie — poprosiła. — Widzę tam piękny, szeroki, brukowany bulwar.

— Idź sama, jeśli chcesz. Ja muszę przejrzeć papiery, które ze sobą przywiozłem.

Chess zagryzła wargi, powstrzymując się przed wypowiedzeniem na głos złośliwej uwagi, którą miała na końcu języka. Nathan świetnie wiedział, że damom nie wypada samotnie spacerować po mieście. Na litość boską, to nie jest Standish w Karolinie Północnej.

Pokusa okazała się jednak zbyt silna. Bądź co bądź, któż ją tu zobaczy? Nikogo w Londynie nie znała, a przy tym było jeszcze tak wcześnie, że pewnie nie spotka żywej duszy. Obiecała sobie solennie, że przez resztę pobytu będzie już zachowywać się właściwie. Tylko ten jeden raz... Nie mogła czekać! Wyjęła ze skórzanej podróżnej torby elegancki, drogi kapelusz, którego szerokie rondo zdobiło tak wiele piór i jedwabnych różyczek, że potrzebne były bardzo długie szpilki, by go upiąć. Obrażona na męża, długo, z niepotrzebną starannością, mocowała kapelusz na głowie. Jakże Nathan mógł zajmować się interesami, skoro za oknami czekał Londyn?

Jej podniecenie jeszcze się zwiększyło, kiedy wkładała do spacerowego kostiumu rękawiczki w kolorze kości słoniowej. Wciąż znajdowała przyjemność w tym, że mogła mieć każde rękawiczki, jakich tylko zapragnęła. Jej ręce nadal pozostawały piękne pomimo upływu lat. Nikt nie poznałby, że zbierała tymi dłońmi robaki z tytoniowych liści i szorowała podłogę w młynie. Jej matce bardzo by się to podobało. Zawsze przywiązywała wielką wagę do rąk: „Damę poznaje się po jej dłoniach” — mawiała.

Ojciec także byłby z niej na swój sposób dumny. Wielokrotnie odmawiał jej posadzenia na siodle wierzchowca, jeśli nie miała odpowiednich do konnej jazdy grubych rękawiczek.

Potrząsnęła głową i wygładziła długie bażancie pióra. Nie potrafiła uwolnić się od wspomnień o rodzicach. Tak wiele oboje opowiadali jej o Londynie! Teraz nadszedł czas, by i ona zobaczyła to miasto.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Lepiej będzie, jeśli się pośpieszy. Winda jak na jej gust jeździła zbyt wolno, wobec czego wybrała schody.

Zapach i szum rzeki otoczył ją natychmiast, gdy tylko przekroczyła próg hotelu. Ruszyła ku Tamizie, z każdym krokiem idąc szybciej. Nareszcie tutaj przyjechała. Dobra królowa Bess, Szekspir, Dick Whittington, Ryszard Lwie Serce — wszyscy oni stąpali po tym samym nabrzeżu i na barkach lub łodziach przedostawali się na drugi brzeg, wdychając to samo świeże, przepojone zapachem ryb powietrze, które teraz kołysało piórami jej kapelusza. Chess wystawiła twarz na powiewy wiatru i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Powiodła wzrokiem po monumentalnych łukach mostu Waterloo, z podziwem przyglądając się jego zatłoczonej szerokiej jezdni. Na bulwarze, którym szła, także panował duży ruch. Chess obserwowała wartki, nieprzerwany strumień bryczek, platform i powozów, póki nie zauważyła między nimi kawałka wolnej przestrzeni. Wówczas, unosząc w górę spódnicę, pośpiesznie przebiegła na chodnik po drugiej stronie.

Na prawo widziała teraz iglicę Kleopatry. Wiedziała wszystko na jej temat, oglądała ryciny, czytała opisy, a mimo to rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Nie przypuszczała, że pomnik jest aż tak wysoki, tak wspaniały, tak zdumiewająco różowy. Odchyliła do tyłu głowę i powiodła wzrokiem wzdłuż zwążającemu się ku górze obeliskowi, aż po jego spiczasto zakończony wierzchołek.

— O mój Boże — powiedziała na głos. Myśl, że można tak po prostu podejść do tej iglicy i dotknąć jej starożytnych kamieni, pamiętających jeszcze egipskich faraonów, wznoszenie piramid i sfinksa, zupełnie ją oszołomiła. Podobnie jak to, że była tutaj i patrzyła z bliska na ów monument.

Granit zdawał się parzyć jej palce. Zdjęła rękawiczki, by gołymi dłońmi dotknąć tego tajemniczego symbolu, nie mogąc wprost uwierzyć, że ona — Francesca Standish Richardson — naprawdę wodzi palcem po tej pamiątce z odległych wieków. Czuła się w tej chwili najszcześniejszą osobą pod słońcem.

Niespodziewanie ciepły, różowy kamień stracił barwę. Chess podniosła wzrok ku przesłaniającym słońce chmurom. Powiał orzeźwiający, lekki wiatr. Zatem wszystkie opowieści, jakie czytała na temat angielskiej pogody, muszą być prawdziwe. Miała nadzieję, że zdąży wrócić do hotelu przed deszczem. Rękawiczki upadły jej na ziemię. Nie dbała jednak o to, miała tyle par, że mogła je tu zostawić.

Szybkim krokiem skierowała się w stronę hotelu. Tuż przed wejściem zwolniła. Pomyślała, że wygląda niewątpliwie okropnie z rozwianymi przez wiatr włosami. Cóż sobie o niej pomyśli ten ubrany we frak portier? I bez tego wszyscy wiedzieli, że Anglicy patrzą na Amerykanów z góry. Nie chciała swym wyglądem potwierdzać złej opinii, jaką obsługa hotelowa miała pewnie o jej rodakach. Na litość boską, nad czym ja się zastanawiam? — skarciła się w duchu. — Niech sobie myślą, co im się podoba. Nie jestem zwyczajną Amerykanką. Jestem panną Standish z Harefields. Uniosła wysoko głowę i z godnością wkroczyła do imponującego, wyłożonego marmurem i ozdobionego złotem holu. — Standish! — rozległ się za jej plecami męski głos.

Któż ją tu znał? I czemu zwracano się do niej panińskim nazwiskiem? W dodatku w tak dziwny sposób. Przyjrzała się twarzom tłoczących się wokół niej ludzi, próbując zgadnąć, kto ją wołał. Musiał między nimi być ktoś znajomy, nie potrafiła go jednak rozpoznać.

Nagle zabrakło jej tchu w piersiach. Zobaczyła ducha: ducha swego ojca.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim ponownie zaczęła myśleć

rozsądnie. Nie wierzyła w duchy. Poza tym nikt nie woła po nazwisku damy, nie dodając wcześniej „panno” lub „pani”. Mężczyzna, którego spostrzegła, musiał być jej krewnym, jednym z brytyjskich Standishów. Wiedziała, że tacy istnieją: jej rodzice składali im wizytę podczas swej podróży do Anglii.

Musi go poznać — postanowiła. Rodzina. Co za niezwykle szczęście! Goniąc za nieznajomym, Chess bez słowa przeprosin poczęła przepychać się przez tłum.

Gdy wreszcie znalazła się obok niego, była tak podniecona, że z trudem chwytiała oddech. Mężczyzna miał znacznie krótszą brodę i bujniejsze wąsy, ale jego twarz bez wątpienia przypominała twarz jej ojca. Rozmawiał, śmiejąc się, z innym mężczyzną, pochylając głowę, żeby słyszeć, co mówi niższy od niego człowiek. Obaj zmierzali ku drzwiom, oddalając się od Chess. Nie zastanawiając się wiele, chwyciła nieznajomego za ramię, zmuszając, by się zatrzymał. Mężczyzna ze zdziwieniem obrócił się w jej stronę.

Odkrywszy, że osobą, która go zaczepiła, jest dama, uprzejmie dotknął ręką runda kapelusza.

— Życzy sobie pani ze mną rozmawiać? — zapytał.

Chess była boleśnie świadoma swej gołej ręki spoczywającej na jego rękawie. Cofnęła ją pośpiesznie. Co ona robi? Jak mogła tak bezceremonialnie podejść do całkowicie obcego jej człowieka! Ale to nazwisko... I ten sam cienki nos, który znała tak dobrze... Skoro i tak zrobiła już z siebie przedstawienie, mogła równie dobrze ciągnąć je dalej.

— Czy pan nazywa się Standish?

Ciemne, gęste brwi mężczyzny uniosły się nieco.

— Owszem — odrzekł, czekając na jakieś wyjaśnienia.

— Standish z Harefields? — ciągnęła desperacko Chess, czując, że wszyscy wokół przyglądają się jej.

Nieznajomy przecząco potrząsnął głową.

— Nie miałem zaszczytu poznać tego miejsca.

Chess poczuła, że od czubka głowy aż po pięty przenika ją palące uczucie wstydu.

— Przepraszam — wyjąkała drżącym głosem. — Proszę mi wybaczyć. — Hamując łzy, rzuciła się ku najbliższym schodom i potykając się, wbiegła na nie, aby jak najprędzej zniknąć z oczu.

— Cóż to wszystko, na litość boską, znaczy? — zapytał niższy mężczyzna.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odrzekł Standish.

— Będę miał historię do opowiadania na całe tygodnie, mój drogi. Rozgłoszę, że zamiast pięknych, młodych aktorek Standisha zaczepiają teraz Amerykanki w średnim wieku. Bo to chyba Amerykanka, sądząc z jej dziwnego akcentu.

— Tak, masz rację — zachichotał Standish. — Ale nie to było w tym wszystkim najdziwniejsze. Czy zauważyłeś, Wembley, że ta kobieta zarumieniła się jak pensjonarka? Od lat nie widziałem niczego podobnego.

— Czy to znaczy, że piękne aktorki się nie czerwienią?

— Nie. To mnie raczej przyprawiają one o rumieniec. Właśnie dlatego tak je uwielbiam.

— Myślałam, że umrę ze wstydu — jęczała Chess. — Jak mogłam uczynić coś podobnego? Musiałam chyba zwariować. Nigdy, przez całe moje życie, nie czułam się tak upokorzona.

Nathan pocieszającym gestem poklepał ją po ramieniu, ciesząc się, że żona siedzi z opuszczoną głową i nie patrzy na niego. Nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Coś podobnego, Chess zaczęła obcego człowieka. Jego Chess, dama w każdym calu. Panna Arystokracja we własnej osobie. Żałował, że nie widział tej sceny.

— Nie myśl o tym, kochanie. To bardzo duże miasto. Sama mi przecież mówiłaś, że największe na świecie. Nigdy nie spotkasz już tych ludzi. A jeśli sądzisz, że ktokolwiek zwrócił uwagę na twoje zachowanie, wyrzuć po prostu ten okropny kapelusz, a nikt nie będzie łączył cię z ową damą z holu. Przecież żywa dusza nie mogła dojrzeć twojej twarzy za tymi wszystkimi piórami.

Chess popatrzyła na męża, zmuszając się do uśmiechu.

— Nie wiedziałam, że nie podoba ci się mój kapelusz.

— Przypomina lisa, który opuszcza kurnik. Pomimo zakłopotania Chess wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Och, Nathanie, dzięki tobie czuję się o wiele lepiej. Dziękuję.

— Nie ma za co. To samo wielokrotnie zawdzięczałem tobie... Kiedy przychodzi ta twoja stara dama?

— O nieba! Która godzina? Muszę umyć twarz i zmienić suknię.

Zerwała się pośpiesznie i zniknęła w łazience, wrzucając po drodze swe paryskie nakrycie głowy do kosza na śmieci.

Nate był uszczęśliwiony. Boże Wszechmogący, Chess znowu się śmiała! Tak dawno nie słyszał już tego dziwnego, przypominającego mruczenie kota, dźwięku. Wszystko znowu będzie dobrze. Lepiej niż dobrze. Czuł się tak, jakby ogromny, ciężki kamień spadł mu z serca.

Rozdział 34

Panna Louisa Ferncliff należała do osób otyłych. Miała okrągłą twarz i pulchne, różowe policzki, a na jej kremowej cerze nie było śladu rumieńców. Okrągłe, niebieskie oczy porcelanowej lalki przesłaniały kosmyki krótkiej grzywki. Siwe loki nosiła upięte pod niemodnym czepkiem, a tył jej sukni wybrzuszała staroświecka tiurniura. Obfitej tuszy nie zdołał zamaskować nawet ciasno zasnurowany gorset. Kobieta była przy tym niska — sięgała Chess zaledwie do ramienia.

Miły, mały okrągłutki pączek — pomyślała Chess na widok swej przewodniczki. — Mam nadzieję, że nie jest gadułą. Gdyby tak było, musiałabym dać jej do zrozumienia, że została zatrudniona, by wypełniać moje polecenia, a nie szczebiotać przez cały dzień.

— Przystudiowałam mój przewodnik — powiedziała Chess — i sądzę, że zaczniemy od katedry Świętego Pawła. Znajduje się dostatecznie blisko, byśmy mogły pójść tam piechotą.

— Ma pani absolutną rację, pani Richardson. Właśnie dlatego zostawimy ją sobie na koniec dnia — odparła kobieta, utkwivszy w Chess spojrzenie swych błękitnych oczu.

Bez wątpienia był to wzrok osoby, która przywykła do tego, że inni są jej posłuszni.

Chess wzięła głęboki oddech. Uznała, że musi od razu wyjaśnić, która z nich dwóch wydaje tu polecenia.

— Pracownicy londyńskiej komunikacji — oświadczyła surowo panna Ferncliff, nie dopuszczając pracodawczyni do głosu — grożą strajkiem. Wszyscy w mieście o tym mówią. Jeśli uczynią to, co zamierzają, trudno będzie odbyć jakąkolwiek dalszą wycieczkę. Opracowując plan zwiedzania, trzeba brać to pod uwagę. Na początek proponuję zatem Tower. To zresztą logiczne, by zacząć od tego właśnie miejsca, jest to bowiem najstarsza i najważniejsza z historycznego punktu widzenia budowla w mieście. Jak zapewne pani pamięta, młoda królowa Elżbieta była więziona tam, zanim zasiadła na tronie. Turyści z ogromnym zainteresowaniem oglądają też zawsze szafot. Przypuszczam, że spodoba się pani również wystawa królewskich klejnotów.

No cóż — pomyślała Chess — ta kobieta mówi wprawdzie dużo, ale w żadnym wypadku nie nazwałabym tego szczebiotaniem.

— Ma pani całkowitą rację, panno Ferncliff — stwierdziła. — Zacznijmy od Tower. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy zobaczę to miejsce. W Ameryce niewiele mamy równie starych budowli. Panna Ferncliff uśmiechnęła się z zadowoleniem, co upodobniło jej policzki do dwóch krągłych jabłuszek.

Kiedy jednak obie usiadły wygodnie w dwukółce, panna Ferncliff zamilkła. Oszołomiona Chess bez przerwy wyglądała przez okno, zafascynowana i podniecona wszystkim, co mijały. Ulica była zatłoczona wszelkiego rodzaju pojazdami, na chodnikach kłębił się tłum pieszych, a wystawowe okna sklepów wabiły mnogością wielobarwnych towarów. Zanim dojechały na miejsce, Amerykanka poczuła, że w jej umyśle panuje ogromne zamieszanie — tak wielu wrażeń doznała po drodze.

Panna Ferncliff wręczyła woźnicy kilka monet.

— Przy bramie wjazdowej znajduje się herbaciarnia — powiedziała. — Może powinniśmy odpocząć tam chwilę i poznać się nawzajem nieco lepiej, zanim pójdziemy do Tower?

Chess skinęła głową.

— Jest pani bardzo troskliwa, panno Ferncliff. I ogromnie doświadczona, jak widzę. Doskonała myśl. Ze zdumieniem odkryła, że jest głodna. Tak wiele czasu upłynęło już od śniadania... Zamówiły maślane bułeczki i przewodniczka, popijając herbatę, opowiedziała Chess nieco o sobie.

Jej zdaniem Amerykanie nie hołdowali tak sztywnym, formalnym zasadom, z jakimi odnosili się do siebie Anglicy. Klienci zza oceanu czuli się lepiej, wiedząc wszystko na temat osoby, z którą mieli spędzać wiele czasu.

Jej życie zawsze było ciekawe — wyznała ze śmiechem. Była córką wojskowego, pułkownika dragonów, który zginął pod Balaclawą.

— Poemat lorda Tennysona rozślawił imię Lekkiej Brygady — powiedziała, prychnąwszy z niechęcią. — Mój ojciec natomiast był oficerem brygady ciężkiej. Nikt o nich nie pamięta. Ale to właśnie oni zmusili Rosjan do odwrotu. Lekka jazda potrafiła jedynie pójść na rzeź jak stado głupców.

Była zaręczona z młodym porucznikiem z oddziału swego ojca. Wyznaczono już nawet datę ślubu, ale jej ukochany poległ pod Crimeą. Nikt inny zaś — stwierdziła panna Ferncliff stanowczym głosem — nie zdołał zatrzeć w jej umyśle wspomnień o narzeczonym, nigdy więc nie wyszła za mąż. Nie potrzebowała mężczyzny, który by ją utrzymywał, dostawała bowiem niewielką rentę po ojcu.

Pobierała nauki w szkole panny Florence Nightingale, przy szpitalu św. Tomasza, i przez wiele lat pracowała jako pielęgniarka. Pewnego dnia uznała jednak, że jest na to za stara. Od czasu do czasu nadal opiekuje się prywatnie

jakimiś chorymi damami i dżentelmenami, ale o wiele bardziej lubi pracę przewodniczki. Pokoje chorych zawsze wyglądają tak samo, podczas gdy zabytki Londynu za każdym razem wydają się inne. Panna Ferncliff odliczyła monety, by zapłacić rachunek. Chess cieszyła się, że nie musi sama zajmować się tym dziwnie wyglądającym bilonem. Pieniądze wydane przez przewodniczkę miały jej zostać zwrócone przez bank Cout-ta, w którym Nathan miał swoje konto. Posłusznie ruszyła za panną Ferncliff, zadowolona, że to właśnie ta wspaniała niemłoda kobieta oprowadza ją po mieście.

Pomyśleć tylko — Florence Nightingale!

— Tak więc wstąpiłyśmy do zachwycającej małej herbaciarni na lunch, a potem przeszłam chyba setki kilometrów, zwiedzając British Museum i usiłując dotrzymać kroku tej siwowłosej kobiecie o miłej twarzy. Nie byłam tak zmęczona od czasu, kiedy pracowałam na polu z tytoniem.

Nathe wybuchnął śmiechem.

— Czy czujesz się na siłach pójść jeszcze na koncert?

— Dowlokę się tam choćby na czworakach. Kocham Londyn i nie przepuszczę najdrobniejszej atrakcji, jaka może mnie tu czekać.

Nathan uśmiechnął się, kryjąc twarz w chusteczce. Chess przypominała łakome dziecko. Po raz pierwszy w ciągu wspólnie spędzonych lat poczuł się od niej starszy.

Mógł zrozumieć podniecenie żony, ale nie podzielał zachwytów nad muzeami i opowieściami o dawno temu zmarłych królach i królowych. Choć trzeba przyznać, że Londyn i na nim zrobił duże wrażenie. Nate nigdy dotąd nie był w mieście, w którym panował tak ogromny, ani na chwilę nie zamierający ruch. Pierwszy raz zetknął się też z uliczną kolejką, przenoszącą ludzi z miejsca na miejsce szybciej, niż biegają konie wyścigowe. W dodatku ta lon-

dyńska kolej w wielu miejscach jeździła pod ziemią, tunelami, które wysokością dorównywały sporym budynkom. Wszystko wyglądało tu jak zwiastun dalekiej przyszłości.

Zatrudnieni w hotelu mechanicy okazali się najbystrzej-szymi ludźmi, jakich Nate kiedykolwiek spotkał. Opowiedzieli mu wszystko o cudach techniki, w jakie wyposażono budynek, a nawet pokazali skryte w hotelowej piwnicy urządzenia. Słuchając ich odnosił wrażenie, że nie ma nic wyjątkowego w wielkim jak stodoła generatorze prądu, maszynierii poruszającej olbrzymie ruchome schody lub sprzęcie do wytwarzania — właśnie: wytwarzania, a nie przechowywania — setek kilogramów lodu dziennie. Wszystko to brzmiało dla Nate'a jak bajka, ale pracownikom hotelu wydawało się najzwyczajniejszą rzeczą pod słońcem. Od dawna przywykli do takich urządzeń. Mówili, że wkrótce nadejdzie dzień, kiedy będzie można połączyć się telefonicznie z ludźmi mieszkającymi za oceanem i że prędej czy później ludzie nauczą się latać.

Boże Wszechmogący, jak dobrze było żyć w takich czasach!

Poznany na statku przyjaciel powiedział Nathanowi, że jedną z najważniejszych rzeczy podczas rozmów z prezesami angielskich przedsiębiorstw jest to, by mieć dobrze skrojony garnitur. W związku z tym w środę, drugiego maja, Richardson udał się do poleconego mu zakładu krawieckiego. Chess także wybrała się na zakupy. Uczyniła to jednak w zupełnie innym celu. Jakże przyjemnie było zwiedzać sklepy w naprawdę dużym mieście!

— Regent Street, koniec Piccadilly — powiedziała panna Ferncliff woźnicy dwukółki.

Chess czuła się oszołomiona. Kupiła prezenty dla wszystkich domowników — to nie było trudne — kiedy jednak

widziała tkaniny bądź sprzęty, jakie pragnęłaby mieć w Harefields, nie potrafiła dokonywać wśród nich wyboru.

— Nie powinnam zawracać sobie tym głowy — wzdychała. — Nie widziałam przecież jeszcze nic naprawdę starego. A to właśnie od antycznych mebli chciałabym zacząć urządzenie domu. Niestety wszystko, na co się natykam, jest nowe.

— Żyjemy w wieku postępu, droga pani Richardson. Wkrótce zacznie się dwudzieste stulecie. Nikt nie chce już dziś niewygodnych i niemodnych sprzętów.

— Mnie interesuje wyłącznie Hepplewhite — upierała się Chess. — I Chippendale. Oni robili swoje meble w Londynie. Niektóre z nich muszą nadal jeszcze gdzieś tu być.

Panna Ferncliff starała się wyglądać tak, jakby zgadzała się z tą opinią, ale zdradzał ją lekki grymas ust. Uważała się za kobietę na wskroś nowoczesną i starocie jej nie interesowały.

W końcu Chess zlitowała się nad nią.

— Jutro wybieram się do galerii sztuki — powiedziała.

Było to wyjątkowo szczęśliwe posunięcie. We wtorek padał deszcz, w związku z tym dym, który mimo letniej pory unosił się z tysięcy kominów, ścielił się nisko nad ziemią, napełniając wilgotne powietrze drażniącym zapachem. Takiego dnia stanowczo należało przebywać pod dachem.

Przy wejściu do monumentalnego gmachu Chess kupiła przewodnik i odetchnęła głęboko. British Museum wydawało się tu małym budyneczkiem.

Zrobiła kilka kroków i zamarła z wrażenia. Nigdy, przenigdy nie wyobrażała sobie, że może istnieć coś równie olbrzymiego, równie bogato zdobionego, równie pięknego. Z zachwytem patrzyła na zielone, różowe i żółte marmurowe ściany oraz kolumny. Schody były tu tak szerokie jak

dom i wysokie jak wielkie drzewo. Z niedowierzaniem przetarła oczy.

— To Gainsborough — wyjaśniła ze znanstwem panna Ferncliff. — A tu Raeburn, Lawrence... Reynolds...

Chess nigdy nie oglądała wielkiego malarstwa. Na ścianach Harefields wisiały portrety rodzinne, pejzaże, sztychy przedstawiające rzymskie ruiny i sceny mitologiczne — wszystkie miłe dla oka, ale niezbyt wartościowe. Zupełnie zapominając o trzymanym w ręku przewodniku, szła za panną Ferncliff z sali do sali, niemal nie słuchając jej słów, za to patrząc, patrząc, jeszcze raz patrząc. Włoskie arcydzieła poruszyły jej serce wizerunkami Madonny, zaciekały dziwnymi twarzami na portretach, rozbawiły tabunami różowych i niebieskich koni.

— A to kolekcja dzieł flamandzkich — powiedziała panna Ferncliff — uważana przez znawców za największy skarb w całej galerii.

Chess utkwiała spojrzenie w przeciwległej ścianie. A potem, jakby pod wpływem magnetycznej siły, podeszła bliżej do malowidła przedstawiającego mężczyznę i kobietę siedzących w tak wypełnionym światłem pokoju, że podniosła wzrok, by sprawdzić, skąd ów blask pochodzi. Ale był on tylko namalowany — światło w sali pozostawało szare, po okiennych szybach zaś spływały smugi deszczu. Słyszając głos panny Ferncliff, Chess obróciła się, by zobaczyć, cóż takiego przewodniczka chce jej pokazać, okazało się jednak, że pucołowata, uśmiechnięta kobieta wcale nie wołała do niej.

— Lordzie Randall — powtórzyła nieco głośniejszym głosem. — Dzień dobry!

Nie opodal Chess stał jakiś mężczyzna, w skupieniu wpatrując się w jeden z obrazów. Na wołanie panny Ferncliff zdjął kapelusz i zwrócił się w jej stronę z uprzejmym uśmiechem.

Chess przetarła oczy, uznając to, co widzi, za zbyt

nieprawdopodobne. I zbyt straszne. Był to bowiem ten sam mężczyzna, którego zaczepiła w holu Savoya.

— Jakże miło pana widzieć, lordzie Randall! — za-szczebiotała przewodniczka. — Jak czuje się droga lady Hermione? Pamięta pan może, że opiekowałam się nią, kiedy przychodziła do zdrowia po przebytej grypie.

Lord Randall uśmiechnął się i jego przystojna twarz stała się mniej surowa. Nie dla Chess jednak. Przerazona, w popłochu, zaczęła się powoli oddalać. W końcu sali było widać zbawcze drzwi.

— Panna Ferncliff... jeśli się nie mylę? Świetnie pani wygląda. Z radością mogę powiedzieć, że moja szwagierka czuje się znakomicie. Pani opieka nad nią przyniosła doskonałe efekty. Opowiem jej o naszym spotkaniu. Jestem pewien, że życzyłaby sobie, abym raz jeszcze podziękował pani za jej troskę.

— Była wspaniałą pacjentką — zapewniła panna Ferncliff. — Chciałam z panem porozmawiać, ponieważ, jak sędzę, towarzyszę właśnie komuś spokrewnionemu z pańską rodziną. Pani Richardson mówiła mi, że jej panięńskie nazwisko brzmi Standish, a jej rodzina zamieszkiwała posiadłość zwaną Harefields.

— Naprawdę? — Lord Randall popatrzył w stronę zwróconej do niego plecami Chess. — Czy to ta dama? — zapytał.

Nie było już sposobu ucieczki. Chess z miną skazańca czekała, aż przewodniczka położy jej dłoń na ramieniu lub przywoła do siebie. Jeśli Bóg jest litościwy — pomyślała — podłoga rozstąpi się pod moją i zapadnę się głęboko pod ziemię.

Panna Ferncliff ujęła ją pod ramię.

— Pozwoli pani, że przedstawię jej lorda Randalla Stan-disha.

Chess uniosła wzrok, spodziewając się ujrzeć na twarzy mężczyzny szydery uśmiech, ale zobaczyła jedynie pewną

mieszaninę lekkiego zaciekawienia i bezinteresownej uprzejmości. Być może rzeczywiście nie pamiętał on ich poprzedniego spotkania.

Wymamrotała niewyraźnie swoje nazwisko, on zaś skłonił się głęboko. Jego podobieństwo do ojca Chess było wprost uderzające. Miał identyczne orzechowe oczy, które w mdłym świetle sprawiały wrażenie brązowych, a ciemne włosy charakteryzowała ta sama tendencja do układania się w loki przy deszczowej pogodzie, z jakiej tak często w rozmowach z mężem kpiła żartobliwie jej matka. Nie mogła natomiast powiedzieć nic o jego ustach, lord Randall nosił bowiem przesłaniające wargi bujne wąsy. To samo dotyczyło podbródka: nawet jeśli był on, podobnie jak u jej ojca, kwadratowy, nie mogła dostrzec tego pod spiczastą brodą.

Mężczyzna przyglądał się jej uważnie. Zakłopotana Chess pośpiesznie odwróciła wzrok. Mój Boże, ta kobieta znowu się zaczerwieniła — pomyślał Standish. — Musi chyba cierpieć na jakieś schorzenie układu krwionośnego. Tak czy owak jego obowiązkiem było okazanie choćby niewielkiego zainteresowania.

— Czułbym się zaszczycony, mogąc złożyć państwu wizytę — powiedział. — Czy mogę wiedzieć, gdzie się państwo zatrzymali?

Czy to możliwe? Czyżby istotnie nie pamiętał?

— Będzie nam nadzwyczaj miło — oświadczyła Chess, wyciągając dłoń. — Mieszkamy w Savoyu. Standish ujął jej rękę i pochylił się, by złożyć na niej pocałunek.

— Do zobaczenia zatem — powiedział, po czym skłoniwszy się panie Ferncliff, odszedł.

— Jakież on dobrze wychowany! — westchnęła wychowanka panny Nightingale. — Jego brat zupełnie nie dorównuje lordowi Randallowi pod tym względem. Ale, oczywiście, skoro dziedziczy tytuł, nie musi sobie zwracać głowy manierami.

Zachęcona przez Chess, przewodniczka rozgadała się na temat rodziny Standishów, brata Randalla, Davida, jego żony, Hermione, i ich dzieci... Zawile zasady dotyczące dziedziczenia tytułów przez angielskich parów wydawały się Amerykance tak pogmatwane, że wątpiła, czy kiedykolwiek je zrozumie. Lord Randall był drugim synem Edgara Standisha, markiza Harefield, o którym mówiono: lord Harefield lub — w wypadku przyjaciół — po prostu Harefield. Brat Randalla, David Standish, był wicehrabią Willbrook i zwano go lordem Willbrookiem, w gronie znajomych zaś tylko Willbrookiem. Oczywiście miało to trwać tylko do chwili, kiedy odziedziczy tytuł ojca. Wtedy to on nosić będzie nazwisko Harefield, a miano Willbrook przejmie jego najstarszy syn. Jako młodszemu potomkowi markiza, lordowi Randallowi Standishowi nadawano ów tytuł wyłącznie przez grzeczność. Ludzie niżsi pochodzeniem i obcy nazywali go lordem Randallem, natomiast równi mu i przyjaciele zwracali się doń po prostu: Standish.

— Czy wobec tego ktokolwiek używa tylko imienia Randall? — zapytała z desperacją Chess. — Miała wrażenie, że chrzczenie dzieci w Anglii było zwykłą stratą czasu.

Panna Ferncliff uśmiechnęła się z midą kogoś znającego najskrytsze rodzinne sekrety.

— Tak nazywa go rodzina. I kochanki. Nie jest żonaty. — Zniżyła głos niemal do szeptu. —

Powiadają, że najbliżsi przyjaciele nadali mu miano Mefisto, uznając, że przypomina diabła. Mam nadzieję, że chodziło tu tylko o jego ciemne włosy i brodę.

Chess próbowała wyjaśnić wszystkie te zawłości Natha-nowi, ale nie do końca się jej to udało.

Pamiętała jedynie, że kiedy kuzyn złoży im wizytę, powinna nazywać go lordem Randallem.

Nathan wybuchnął śmiechem.

— Wolałbym raczej zwracać się do niego „ty diable”. Nie rób takiej przerażonej miny. Jaka szkoda, że nie mamy ze sobą butelki piwa starej Liwy. Mama zawsze nazywała je „szatańskim napojem”. Alva mówiła mi, że stypa pogrzebowa Liwy była najdłuższym i najgłośniejszym przyjęciem, jakie kiedykolwiek widziała. Staruszka pozostawiła całą kadź piwa na tę okazję.

Lord Randall Standish wywiązał się z obietnicy i następnego popołudnia złożył Richardsonom wizytę. Dawno temu nauczył się, że najlepiej od razu wypełnić wszystkie powinności, bo to pozwalało natychmiast o nich zapomnieć.

Odmówił uprzejmie, kiedy Chess zaproponowała mu herbatę, podziękował również Nate'owi za drinka. Wśród śmietanki towarzyskiej Londynu obowiązywała zasada, że wizyta nie musi trwać dłużej niż piętnaście minut, jeśli jednak przyjmie się poczęstunek, gość powinien pozostać od trzech kwadransów do godziny.

Richardson zaintrygował Standisha. Wśród jego przyjaciół było wielu Amerykanów, ale żaden z nich nie zajmował się interesami. Znajomość z Nate'em stanowiła więc dlań nowe doświadczenie.

Ponieważ jednak przybył do ich apartamentu z powodów rodzinnych, zwracał się raczej do Chess. Po ich spotkaniu w galerii przypomniał sobie, jak wielkim wydarzeniem była niegdyś w Harefield wizyta jej rodziców.

— Mój ojciec — którego wszyscy znają jako Standisha Starego — nieraz mi o tym opowiadał.

Chess poczuła, że oblała się rumieńcem. A więc jednak pamiętał scenę, jaką zrobiła w hotelowym holu. Miała ochotę uciec do drugiego pokoju i zamknąć się na klucz. Jej kuzyn uśmiechnął się jednak porozumiewawczo, jakby wspólnie dzielili jakiś sekret, i mrugnął, mrużąc prawą powiekę.

Najwyraźniej dawał jej do zrozumienia, że nie

stało się nic złego. Być może w istocie tak było. W każdym razie Chess miała taką nadzieję. Spotkanie z angielskim kuzynem wydawało jej się nadzwyczaj ekscytujące. Podobnie jak rozmowa o rodzinie, o jej rodzicach.

— Przebywałem akurat na uniwersytecie, nie miałem zatem przyjemności ich poznać — powiedział lord Randall.

— Mówiono mi jednak, że zarówno mój brat, jak i ojciec zakochali się beznadziejną miłością w twojej matce.

Chess roześmiała się, zbyt szczęśliwa, by dłużej martwić się swoją gafą.

— To rzeczywiście podobne do mamy — stwierdziła.

— Kiedy podczas wojny Janktsi zamierzali splądrować Harefields, oczarowała ich do tego stopnia, że zostawili nas w spokoju.

Standish był poruszony radosnym, ciepłym śmiechem Chess. Nie przypominał mu niczego, co kiedykolwiek słyszał, a taka nowość była w jego życiu rzadkością. Był typowym arystokratą, niewolnikiem licznych przywilejów i — choć miał znacznie szersze niż większość członków jego klasy zainteresowania — na równi z podobnymi mu ludźmi dręczyła go nuda.

— Zmieniłem zdanie co do drinka, panie Richardson. O ile oczywiście nie sprawię kłopotu...

— Wspaniale — uśmiechnął się Nate, podchodząc do tuby w ścianie. — Uwielbiam posługiwać się tym wynalazkiem. Jeden z tutejszych mechaników ma mi udzielić wskazówek, jak zainstalować coś takiego w naszym nowym domu. Czego się pan napije?

— Whisky z wodą sodową, proszę — Randall uśmiechnął się do Chess. Miał ogromną ochotę raz jeszcze usłyszeć jej śmiech. — Rodzinna legenda powiada, że kiedy pierwszy ze Standishów udał się do kolonii, nazwał swój majątek Harefields, używając liczby mnogiej dlatego, że był on dwukrotnie większy niż posiadłość jego ojca w Anglii. Czy sądzi pani, że to mogła być prawda, pani Richardson? Chess z uśmiechem potrząsnęła głową.

— To wspaniała historia — powiedziała. — Nigdy wcześniej jej nie słyszałam.

Teraz ona z kolei zapytała, czy ich gość był kiedykolwiek w Ameryce. ¹¹¹

— Nie — odparł lord Randall — chociaż zamierzam wybrać się tam pewnego dnia.

Do pokoju wszedł kelner, niosąc na tacy drinki. Standish pomyślał, że teraz wypada mu pozostać tu jeszcze dodatkowe pół godziny. Zastanawiał się, czy nie popełnił pomyłki. Pochodząca z Wirginii gałąź jego rodu musiała być bardzo duża, skoro ich nazwiskiem nazwano nawet pewien rodzaj papierosów.

— Ależ to my to uczyniliśmy! — zawołała Chess. — Czy chce pan przez to powiedzieć, że jesteśmy znani nawet tutaj? Słyszałeś coś podobnego, Nathanie?

Lord Randall był w najwyższym stopniu zdumiony. Po chwili wybuchnął śmiechem.

— A więc to wy jesteście przyczyną wszystkich moich kłopotów. Przyjaciele z Ameryki rozesłali kopie owej reklamy z mężczyzną nazwiskiem Standish wszystkim moim znajomym w Londynie. Ludzie całymi miesiącami kpili sobie ze mnie. JKW bez przerwy pytał mnie, czemu jestem taki skąpy i nie ofiaruję mu żadnego z moich zamków, skoro posiadam ich tak wiele.

Chess popatrzyła na angielskiego w każdym calu Stan-disha, przypominając sobie jednocześnie dobrze ubranego farmera na plakatach. Ona także się roześmiała.

— Biedaczysko — powiedziała, nie przestając się śmiać. Wiedziała, że to, co robi, jest niegrzeczne, ale nie potrafiła się powstrzymać.

— Wyślę panu kilka pudełek castle'ów, lordzie Randall — obiecał Nathan, myśląc jednocześnie, jaki to szczęśliwy przypadek postawił na jego drodze tego człowieka.

Śmieszny kuzyn Chess mógł się okazać nader pomocny przy wprowadzaniu ich papierosów na tutejszy rynek.

Dobrze będzie również mieć taką kartę przetargową, rozpoczynając rozmowy z angielskimi wytwórcami papierosów. Gdyby dziś wieczorem wysłał list, otrzymano by go w Standish już po tygodniu, tydzień później zaś papierosy mogłyby przyplłynąć do Londynu.

Poczta przyjmowała listy do wpół do ósmej wieczorem. Gdyby zdążył do tego czasu dogadać się z kuzynem Chess i napisać do fabryki...

— Czemu nie miałby pan wrócić tu wieczorem i zjeść z nami kolacji... to jest obiadu, lordzie Randall? Wiem, że Chess pragnie zadać panu milion pytań na temat pozostałych członków jej rodziny. Zanim Standish zdążył odmówić, Chess uczyniła to za niego.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. Wybieramy się dziś wieczór do teatru. Zapomniałeś? Miała ochotę rzucić w Nathana coś ciężkim. Dopiero co przecież ich gość poczuł się nieco swobodniej. Zmusiła się do uśmiechu, próbując zatuszować *faux pas* męża. Rozgniewana, zastanawiała się, czemu w ogóle wystąpił on z taką propozycją.

Standish zapytał uprzejmie, na jaką sztukę się wybierają.

— Na „Damę Kameliową” — odparła. — Nie mogę doczekać się tego spektaklu. Zawsze uwielbiałam Dugnasa.

— Ma więc pani szczęście. Według wszystkich recenzentów Duse jest wspaniała. Nie sposób wręcz dostać biletów.

Mówiąc to Standish dyskretnie zerknął na zegar i odstawiwszy na stolik nie dopitą szklaneczkę whisky, zaczął zbierać się do odejścia. Żadna sytuacja nie wydawała mu się równie niezręczna, co przebywanie w towarzystwie pary, między którą lada moment miała wybuchnąć kłótnia.

Nie docenił jednak Nate'a. Sam nie wiedział, jak to się stało, że w chwilę później wyraził zgodę, by — w zastępstwie jej męża — zabrać swoją kuzynkę do teatru. Miał przyjść po nią o siódmej.

Odprowadziwszy Standisha do windy, Richardson wrócił do pokoju, gdzie czekała na niego poirytowana żona.

— Wszystko na temat moich uchybień powiesz mi później — powiedział przepraszająco. — Teraz muszę napisać list.

Wyjaśnił Chess, jakie ma plany wobec Standisha i castle'ów. Ona także wpadła na pewien pomysł. Na chwilę pohamowała więc swój gniew.

— Czyżbyś naprawdę nie wiedział, kim jest ów przyjaciel, o którym wspominał Standish? JKW to skrót oznaczający Jego Książęcą Wysokość, księcia Walii, przyszłego króla Anglii. Oto co musimy zrobić...

List dotarł na pocztę akurat na czas, by wysłano go jeszcze tej nocy i załadowano na najbliższy parowiec do Nowego Jorku. Zawierał polecenie przysłania do Anglii czterech pudeł papierosów Castle. Część z nich miała mieć specjalne opakowanie, na którym pod wizerunkami lwa i jednorożca powinien być umieszczony napis: „Wykonane specjalnie dla JKW księcia Walii”. Poniżej królewskich zwierząt miał znaleźć się dopisek: „Jako dar od jego przyjaciela, Standisha”.

Anglicy darzyli monarszą rodzinę ogromnym szacunkiem, więc gdy papierosy te dotrą do pałacu księcia, Nate zostanie przyjęty z otwartymi ramionami przez wszystkich, z którymi zamierza robić interesy.

Chess podziękowała lordowi Randallowi za to, że zechciał towarzyszyć jej na przedstawienie „Damy Kameliowej”. Nie przeprosiła za gafę męża — to pogorszyłoby jedynie i tak niezręczną już sytuację. Podczas krótkiej podróży z hotelu do teatru rozmawiali o obu Dumasach — ojcu i synu.

Kiedy przyjechali na miejsce, Chess ogarnął nastrój radosnego oczekiwania. W chwili kiedy kurtyna poszła

w górę i rozpoczął się spektakl, zapomniała o całym bożym świecie. Nigdy dotąd nie widziała profesjonalnie wystawionej sztuki, lecz jedynie szkolne przedstawienia Gussie oraz karnawałowe spektakle podczas jarmarków stanowych. Teraz była niemal półprzytomna z wrażenia.

Sam Standish częściej patrzył na nią niż na scenę. W żywiołowych reakcjach Chess było coś porywającego. Odbierała przedstawienie tak spontanicznie, naturalnie i niewinnie, przeżywając je całym sercem. Jakże różniło się to od wszystkiego, co składało się na jego własne życie!

Kiedy opadła kurtyna, Chess obróciła ku niemu mokrą od łez twarz i uśmiechnęła się promiennym, pogodnym uśmiechem.

— To było cudowne — westchnęła.

Jak to się działo, że ta raczej brzydka kobieta nagle stała się piękna? Ile jeszcze niespodzianek mu sprawi? Standish uświadomił sobie nagle, że doskonale bawi się w jej towarzystwie.

Chess otarła oczy chusteczką i wstała z krzesła. Okrywając jej ramiona szalem, lord Randall dostrzegł w łoży naprzeciwko dwie kobiety, które przyglądały się mu przez teatralne lornetki. Schylił głowę w ukłonie i obie damy pośpiesznie odwróciły wzrok. j,

— Czy ma pani ochotę poznać pewną księżniczkę? — zapytał swą towarzyszkę. Nie wątpił, że księżniczka będzie zachwycona spotkaniem z jego kuzynką. W małym światku londyńskich wyższych sfer plotkowanie stanowiło podstawową formę spędzania czasu, każdego pociągałaby więc perspektywa bycia pierwszą osobą, która dowiedziała się, cóż to za kobieta towarzyszyła Standishowi w teatralnej łoży.

— Czy jest miła? — zapytała Chess. — Jestem zbyt szczęśliwa, aby pozwolić jakiejś nieuprzejmej damie rzucić cień na ten wieczór.

Kolejna niespodzianka. Standish był dotąd przekonany, że wszyscy Amerykanie żywią niebotyczną cześć dla arystokratycznych tytułów.

— To wspaniała kobieta, pani Richardson — zapewnił

— Jesteśmy bądź co bądź kuzynami, lordzie Randall, proszę zatem zwracać się do mnie Chess.

— Przepiękne imię. Gra pani w szachy?

— To zdrobnienie od Franceski. Gram, owszem, ale słabo.

— W takim razie proszę się do mnie zwracać Randall. Byłbym ogromnie szczęśliwy, gdybyś zgodziła się ze mną zagrać.

Standish zorientował się, że Chess bez trudu odczytała i odpowiedziała na tę dwuznaczną uwagę stanowiącą wstęp do subtelnego flirtu. W jego środowisku krótkotrwałe romanse były na porządku dziennym.

Wybuchnął śmiechem, kiedy po zaproszeniu go do swego apartamentu na późną kolację Chess udała się do sypialni i wróciła stamtąd nie w negligżu, lecz z pudełkiem pięknie rzeźbionych szachów.

— Co cię tak rozbawiło? — zapytała go.

— Mam wrażenie, że świat oszalał — odrzekł szczerze Standish. — Czy twój mąż zamierza usiąść z nami do stołu?

— Oczywiście, że nie. Chodzi spać bardzo wcześnie. Z pewnością zamówił kolację, kiedy byliśmy w teatrze. Uwielbia używać tej tuby w ścianie. Ja natomiast nienawidzę jej: to jak mówienie do ducha stojącego pośrodku pełnego przeciągów korytarza. Czy będziesz tak dobry i wyręczysz mnie przy składaniu zamówienia?

— Na co masz ochotę?

— Wszystko jedno. Jedzenie jest tu bardzo dobre. Z czego się śmiejesz?

— Szefem kuchni w Savoyu jest Escoffier, najślynniejszy na świecie kucharz-artysta. Gdyby dowiedział się, że ktoś

nazywa jego arcydzieła „bardzo dobrym jedzeniem”, chyba poderżnąłby sobie gardło. Chess roześmiała się. Wcale mu się nie wydawało —jej bez troski, gardłowy śmiech był istotnie niepowtarzalny. Doprawdy romans z tą kobietą mógł oznaczać wspaniałą przygodę. Niewykluczone, że śmiałyby się nawet wówczas, kiedy by się kochali. Zamówili omlet, podany na umieszczonej nad spirytusową lampką srebrnej tacy, którą przyniósł im flegmatyczny, usłużnie dyskretny kelner. Pili także szampana. Chess z przykrością musiała odmówić, kiedy Randall zaproponował, by następnego dnia zjedli razem lunch. Panna Ferncliff miała spotkać się z nią jak zwykle o dziewiątej i zabrać na zwiedzanie miasta. Standish ze zdumieniem stwierdził, że czuje się rozczarowany. Mimo to ucieszył się. Zbyt łatwe zwycięstwa rzadko bywały zabawne. Zaproponował wobec tego, by w niedzielę, gdy muzea są zamknięte, udali się na przejażdżkę do Hampstead. Chess z wdzięcznością przyjęła to zaproszenie. Uczyniła to także w imieniu Nathana. Po kolacji grali w szachy i Chess udało się pokonać swego partnera. Tym razem lordowi Randallowi wcale nie było przyjemnie. Jeśli w niedzielę sprawy nie potoczą się nieco bardziej po jego myśli, da spokój tej prowincjonalnej kuzynce i zajmie się jakąś kobietą ze swojej sfery. Taką, która prowadzić będzie salonową grę w zgodzie ze zrozumiałymi dla niego zasadami.

Rozdział 35

Po odejściu Standisha Chess długo jeszcze siedziała w salonie. Jak się okazało, była o wiele bardziej niewinna, niż można by przypuszczać na pierwszy rzut oka. Mimo ogromnego odczytania niewiele wiedziała o prawdziwym życiu.

Nie była jednak głupia. Kiedy Standish wyraził nadzieję, że jeszcze się zobaczą, dało jej to do myślenia. Wiedziała, że postępuje on wbrew zasadom dobrego wychowania. Rozumiała też, że Nathan — nie zważając na to, iż takie zachowanie jest nie na miejscu — zmusił go, by towarzyszył jej w teatrze.

Czemu zatem Randall zaprosił ją na lunch? Grzeczność w żadnym wypadku tego nie nakazywała — nawet gdyby pokrewieństwo między nimi było o wiele bliższe. Co więcej, zaproponował inny termin spotkania, kiedy okazało się, że pierwszy jej nie odpowiada.

Czy to znaczy, że z nią flirtował? Ależ to absurd — uznała. Miała przecież czterdzieści trzy lata. Poza tym nikt nigdy nie próbował z nią flirtować. Nie należała do kobiet, które podobają się mężczyznom. Czemu więc to uczynił? Może sprawiało mu przyjemność wyśmiewanie się w duchu z prostej prowincjuszki, zachwyconej wielkim miastem? Ale przecież ani razu nie dał jej odczuć, że jest głupia lub niewykształcona.

Przeciwnie, robił wszystko, by jak najlepiej się bawiła

w jego towarzystwie. Może z wyjątkiem samego końca wieczoru, kiedy jego zachowanie w dziwny, choć podniecający sposób wprawiało ją w zakłopotanie. Czuła, że ten mężczyzna ją podziwia. Nie, bądź uczciwa, Chess — powiedziała sobie w duchu. — Czułaś, że on cię pożąda. I to właśnie wydało ci się takie ekscytujące.

Ale cóż taki mężczyzna jak on mógł we mnie zobaczyć?

Wciąż od nowa przypominała sobie jego gesty, słowa, wyraz twarzy. Czuła się zmieszana.

Coraz silniej kusiło ją jednak, by poigrać z ogniem. Randall Standish był najbardziej światowym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. I bez wątpienia najprzystojniejszym. Jak on to robił, że mając tak szczupłe ciało, sprawiał wrażenie ogromnie muskularnego? Nie był już przecież młody.

Skronie przyprószyła mu siwizna, a od kącików oczu promieniście biegły lekkie zmarszczki.

Miał takie tygrysy, topazowe oczy.

Serce Chess drgnęło niebezpiecznie, przeniknięte uczuciem dziwnej tęsknoty.

Przyjaciele nazywali go Mefistem. To powinno stanowić dla niej dostateczne ostrzeżenie, by trzymała się odeń z daleka.

Przypuśćmy jednak — tylko przypuśćmy, nawet jeśli jest to zupełnie pozbawione sensu — że wydała mu się atrakcyjna.

Cóż złego w tym, że kobieta cieszy się, gdy jest podziwiana i pożądana? Chess nigdy dotąd nie doświadczała podobnych uczuć. Czy to grzech, że za tym tęskniła? Że chciała, przynajmniej raz, choćby przez krótką chwilę wierzyć, że ktoś jej pragnie?

Wiem, że tak nie jest, ale mimo wszystko jakie to przyjemne uczucie!

Och, tak. Ogromnie mi się to podoba. W końcu nic złego się przecież nie wydarzy.

W sobotę panna Ferncliff oprowadziła Chess po budynkach parlamentu, po lunchu zaś pokazała jej opactwo westminsterskie. Podopieczna nie doceniła jednak trudu przewodniczki; miała ochotę położyć się na nagrobku Geoffreya Chaucera i błagać o litość: poprzedniej nocy prawie nie spała. Wracając do hotelu, powłóczyła nogami ze zmęczenia. Na wesołe powitanie Nathana odpowiedziała jękiem i po raz pierwszy w swym dorosłym życiu ucięła sobie godzinną popołudniową drzemkę. Dopiero po kolacji mąż opowiedział jej o wielce obiecującej rozmowie, jaką odbył tego dnia ze swym bankierem.

— Wybieram się jutro do Manchesteru. W przyszłym tygodniu czeka mnie spotkanie z czterema właścicielami dużych przędzalni bawełny.

Chess przewróciła kieliszek z winem. Podczas gdy trzech kelnerów pośpiesznie uprzątało ślady jej niezręczności, Nate zapewnił, że nie powinna się martwić. Panna Ferncliff ma jej do pokazania jeszcze wiele ciekawych muzeów, kiedy zaś widział się tego popołudnia z kuzynem żony, Standish zapewnił go, że będzie mu nadzwyczaj miło zaopiekować się Chess do powrotu męża.

— Będziesz mogła dzięki temu pójść do opery i zobaczyć wszystkie sztuki teatralne, jakie zapragniesz. Nawet nie zauważysz, że mnie nie ma. To przecież tylko kilka tygodni.

Podczas niedzielnej wycieczki Standish osobiście powoził swoim stanhope'em — małą, sportową, pomalowaną na zielono bryczką, której czerwone skórzane siedzenie było akurat tak szerokie, żeby pomieścić ich dwoje. Chess musiała oprzeć stopy o wielki piknikowy kosz, który jej kuzyn zabrał ze sobą.

— Bardzo rzadko miewamy tak piękne, słoneczne dni

jak dzisiejszy — powiedział Randall. — W Heath urządzimy sobie piknik.

Kiedy otworzył koszyk, Chess wybuchnęła śmiechem.

— Tego jedzenia starczyłoby dla pułku wojska, mój drogi... Czy coś się stało? — zapytała zaniepokojona na widok jego miny.

— Nie, zupełnie nic.

W chłodnym, rześkim powietrzu unosił się słodkawy zapach żywicy.

— Postanowiłam objeść się jak prosię — wyznała Chess. — Którą potrawę mi polecasz?

Randall uśmiechnął się.

— Spróbuj wszystkiego. To zresztą najlepsza zasada, jaką można kierować się w życiu.

Chess poszła za jego radą. Większość dań stanowiła dla niej zupełną nowość. Małe jajka, które według Standisha były jajami przepiórki, inne maleńkie czarne jajeczka pochodzące od ryby zwanej jesiotrem, bażant na zimno i szcypce homara, zapieczona w kruchym cieście mieszanina mięsa i ziół...

— Okruszek przylepił ci się do kącika ust — powiedział w pewnej chwili Standish. — Pozwól, że go zdejmę.

Zanim Chess zdążyła się poruszyć, poczuła, jak wargi mężczyzny muskają jej policzek.

Były miękkie i ciepłe. Jego wąsy także okazały się miękkie. Zawsze sądziła, że przystrzyżony męski zarost jest sztywny i kłujący.

A może po prostu wyobraziła sobie całą tę sytuację? Wszystko stało się przecież tak szybko, a pocałunek był tak delikatny...

Mimo to miała wrażenie, że jej usta zetknęły się z ogniem. Pulsowały żarem. Zaskoczona, przesunęła po nich palcami.

— Czyżby nigdy dotąd nie całował cię mężczyzna, który nosi wąsy? — W głosie Standisha dało się wyczuć lekką kpinę.

Chess popatrzyła na niego. Czuła się z lekka oszołomiona. Sączący się przez liście drzew słoneczny blask zdawał się otaczać głowę jej kuzyna złotą aureolą.

— W ogóle nigdy nie całował mnie żaden mężczyzna — odparła. — Aż do dzisiaj.

Lord Randall miał ochotę wybuchnąć śmiechem, ale wyraz twarzy Chess powstrzymał go. Trudno mu było uwierzyć w to, co usłyszał, choć wiedział, że kobieta mówi szczerze.

— Moja droga... — szepnął ochryplym głosem. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć. Chess roześmiała się miękko i radośnie.

— Lepiej późno niż wcale — stwierdziła. — Czy zechcesz pocałować mnie jeszcze raz? Ogromnie mi się to podoba.

Randall ukląkł przed nią i ująwszy twarz kobiety w swoje dłonie, pocałował ją. Delikatnie, nieśpiesznie. Spodziewał się, że romans z tą zdumiewającą go na każdym kroku Amerykanką będzie stanowił rozkoszną nowość. Ale urok tego, co się działo, nie polegał wyłącznie na odmianie — było to coś zupełnie mu nie znanego. Czy to możliwe — zastanawiał się — że odczuwam lęk?

— Dziękuję — szepnęła Chess.

Standish przesunął wskazującymi palcami po jej kościach policzkowych, dotknął brody i ust. Jego złote oczy uważnie obserwowały kuzynkę. Oddech Chess stał się szybszy, przymknięte szare oczy zasły mgłą, usta zaś czekały na kolejne pocałunki.

Randall odsunął się nieco i opuścił rękę. Mógł mieć tę kobietę — dobrze wiedział, jak ją zdobyć.

Obawiał się jednak skutków, jakie mogłoby to mieć dla Chess. I dla niego samego.

— Czy wiesz, dokąd może nas to zaprowadzić? Wyraz rozmarzenia zniknął z jej oczu. Zamyśliła się.

— Nie wydaje mi się, byś miał rację — odparła po

chwili. — Nigdy nie uważałam seksu za rzecz szczególnie przyjemną. Nie mam zamiaru iść z tobą do łóżka.

Standish odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Czy ta kobieta nigdy nie przestanie go zdumiewać?

— Jesteś najwspanialszym, najbardziej zachwycającym stworzeniem, jakie kiedykolwiek znałem — wyznał. I zmienię twoje zapatrywania na to, czy fizyczna miłość może być przyjemna — obiecał sobie w duchu. — Wobec tego powiedz mi, czego chcesz — poprosił Chess.

— Dalszych pocałunków. Poza tym chcę poznać Londyn — nie tylko ten, który opisuje w swym przewodniku Baedeker. Pokażesz mi go? Jesteś wszak londyńczykiem.

Standish obiecał, że uczyni wszystko, czego będzie sobie życzyła.

Zaczął od zabrania jej do Hyde Parku, gdzie dołączyli do kawalkady powozów sunących szeroką, nie brukowaną aleją na południe.

— Nazywają to „zgniłym szeregim” — powiedział Standish. — Jak się zapewne domyślasz, to socjaliści wymyślają większość tych określeń — dodał, uchylając kapelusza i kłaniając się jakiejś damie przejeżdżającej obok w odkrytym powozie. Kobieta uśmiechnęła się w odpowiedzi, obracając swoją parasolkę. Po chwili Randall znowu się komuś uklonił. Potem jeszcze raz i jeszcze raz... Mimo to ani na chwilę nie przerywał rozmowy z Chess.

— Wczesnym rankiem na tej drodze widzi się głównie konnych jeźdźców, a także nieliczne damy... Później, w południe, panie przyjeżdżają tutaj, samodzielnie powożąc końmi. O piątej — tak jak teraz — pojawiają się większe pojazdy i elegantsze stroje, damy zaś oddają lejce stangretom. W parku ustawia się pomalowane na zielono krzesła — o takie, jak to pod drzewem — które strażnicy wynajmują ludziom wolącym raczej obserwować przedstawienie niż w nim uczestniczyć.

— Po co ludzie zadają sobie tyle trudu, by tu przyjechać? Heath na przykład lepiej nadaje się do wypoczynku. Jest tam wspaniałe powietrze i dużo miejsca.

— Przyjeżdżają tutaj, by zobaczyć innych i samemu się pokazać. Przypomnieć londyńskiej śmietance towarzyskiej o swoim istnieniu. By się sprzeczać, flirtować, prezentować nowe konie i toalety. By zdobyć tematy do plotek. Dziś wieczorem będą o nas mówić setki ludzi, ponieważ nie mamy stangreta, a przy tym nikt nie wie, kim jesteś. To są twoi przyszli londyńscy przyjaciele, Chess. Z pewnością poproszą mnie, bym im ciebie przedstawił, potem zaś nie będzie końca wizytom i zaproszeniom.

Jakiś czas później Chess skłoniła Randalla, by odbyli wspólnie przejażdżkę omnibusem.

— Dostałam ostrą reprimendę, kiedy wspomniałam o czymś takim pannie Ferncliff — wyznała. — Mimo to od pierwszego dnia pobytu tutaj pragnęłam wsiąść do tego pojazdu i popatrzeć z góry na cały uliczny ruch.

Konne omnibusy były pomalowane na czerwono, brązowo lub żółto i miały spiralne schodki prowadzące na otwarty wyższy poziom oraz drewniane ławki umieszczone wzdłuż wysokich boków. Pojazdami tymi podróżowali zwykle jedynie robotnicy i lord Randall nigdy jeszcze nie znalazł się wewnątrz omnibusu. Mimo to obiecał zaspokoić ciekawość swej towarzyszki. Zostawiwszy konia i powóz pod opieką portiera z hotelu, poprowadził Chess wzdłuż Strandu do najbliższego przystanku. Pojazd był prawie pełen, ale ludzie stłoczyli się na ławce, by zrobić dla nich miejsce po prawej stronie górnej platformy. Zabrzęczał dzwonek i omnibus ruszył.

— Czyż to nie zabawne? — uśmiechnęła się Chess. — Zobacz, jaki stąd widok. Uważam cały ten tłok i zgiełk za przerażający.

Mimo niedzieli cały Strand, od chodnika do chodnika, wypełniały bryczki i powozy, platformy, nie bojący się

ryzyka piesi, omnibusy, pędzone nie wiadomo dokąd stada kóz oraz konni jeźdźcy, którzy wykorzystując każdą lukę w zwartym nurcie pojazdów, poruszali się zygzakiem, co chwila zmuszani do przystawania. Wszystko to robiło wrażenie wielkiej sceny z tuzinami aktorów grających jednocześnie swoje role.

Dla Standisha ruch uliczny zawsze był jedynie utrapieniem, nigdy wcześniej jednak nie zdarzyło mu się jednocześnie uczestniczyć w nim i znajdować się ponad nim. On także był zafascynowany.

Zastanawiał się, czy to właśnie oznacza „dobrze się bawić”.

Wśród pasażerów górnej platformy omnibusu panował wesoły nastrój. Ponad nimi było ciepłe słońce i błękitne niebo, aż do jutra też nie czekała na nich żadna praca. Jakiś chłopiec w kraciastej czapce wyjął z kieszeni ustną harmonijkę i zaczął wygrywać na niej melodie z popularnych musicali. Jego przyjaciele, dziewczęta i chłopcy, wtórowali mu głośno, póki konduktor nie wszedł po schodach i nie nakazał im, by się uciszyli.

— Jakie to niesprawiedliwe — obruszyła się Chess.

— Nie robili przecież nic złego, a mnie tak bardzo podobał się ich śpiew.

— Wiesz, Chess, mam wrażenie, że pasowałabyś do tutejszej bohemy. Przyjęto by cię tam z otwartymi ramionami.

— Co to jest bohema?

— Dowiesz się jutro.

Ponieważ Standish udawał się tego wieczoru na proszoną kolację, po przejeździe omnibusem odprowadził Chess do jej apartamentu w Savoyu.

— Przyjadę po ciebie jutro o czwartej — powiedział.

— Napijemy się herbaty z kilkoma moimi przyjaciółmi, może też zjemy z nimi kolację. Oni zupełnie nie zwracają sobie głowy takimi rzeczami jak sztywne zasady życia towarzyskiego.

Pochylił się i pocałował ją w rękę. Musnął także wargami

wewnętrzną stronę dłoni. Chess zadrżała. Fala gorąca zalała jej ciało, tamując oddech.

— Do jutra — powiedział lord Randall.

— Do jutra — powtórzyła jak echo.

— Standish, czemu, u diabła, sam powoziłeś dzisiaj swoją bryczką w Hyde Parku? Myślałem, że zemdleję. Przyszło mi do głowy, że równie dobrze możesz pojawić się tu dziś wieczór w sukni lub zażądać zmiany zaplanowanego przez Agathę sposobu posadzenia gości przy stole.

Gospodarz przyjęcia poklepał Randalla po plecach z taką siłą, że gdyby ten nie spodziewał się owego gestu, runąłby zapewne na ziemię. Lord Lepworth, zwany inaczej Binksem, zawsze witał w ten sposób swoich przyjaciół.

— Kim była ta twoja niezwykła towarzyszką, Mefisto? — zapytała jego żona, nie starając się ukryć złośliwości. Była legendarną wprost snobką.

— To kuzynka z Ameryki, Agatho.

— Ach, Amerykanka. Czegóż innego można było oczekiwać? Zaniemówiłam wprost na widok jej fryzury.

Standish wmieszał się w dużą grupę utytułowanej londyńskiej socjety, co chwila zatrzymując się i rozmawiając, aż oznajmiono, że podano do stołu. Obok niego posadzono milczącą młodą dziewczynę, która po raz pierwszy w życiu bawiła się w karnawale. Nie zdziwiło go to. Przystojny pięćdziesięcioletni kawaler z przyzwoitymi dochodami wciąż stanowił świetną partię dla kobiety, która nie była dość piękna lub bogata, by mieć nadzieję na zdobycie utytułowanego męża.

Randall starał się być miły dla tej otyłej, małomównej młodej damy. Pozwolił nawet, by ich kolana zetknęły się na chwilę pod stołem, przez przypadek lub umyślnie — dziewczyna sama mogła sobie wybrać odpowiadającą jej wersję. Nietrudno było zgadnąć, że lubi konie i polowania:

ramiona i barki miała silnie umięśnione. Standish zaczął więc ze znanostwem rozprawiać o łowieckich terenach i psach myśliwskich hodowanych w wiejskiej posiadłości jego przyjaciół, którzy byli także znajomymi jej rodziców. Już po chwili dziewczynę opuściła cała nieśmiałość. Znaczyło to, że Standish jak zwykle dobrze wywiązał się z zadania, które mu powierzono.

W jakiś czas później jego towarzyszką zajęła się pani domu, dzięki czemu mógł porozmawiać także z damą siedzącą po drugiej stronie — starą przyjaciółką, z którą zaledwie dwa lata wcześniej miał romans. Obojgu pozostawił on wiele miłych wspomnień i Standish był szczerze uradowany tym spotkaniem.

— Wyglądasz doprawdy zbyt kwitnąco, Clarisso — stwierdził z zachwytem. — Któż jest tym szczęśliwcem?

— Chyba nie sugerujesz, mój drogi Mefisto, że ktoś potrafiłby ci dorównać?

Była to zwyczajna proszona kolacja. Ani miłsza, ani mniej przyjemna od wielu innych. Dokładnie taka, jak się spodziewał.

Ulica wyglądała zupełnie inaczej niż wszystko, co Chess dotąd widziała. Drzwi i bramy były pomalowane na jasnobłękitno, czerwono lub wręcz purpurowo. Niekiedy nawet całe domy miały żółte bądź jasnozielone ściany.

— Jakież to niezwykle! Jakże inne! — wykrzyknęła z podziwem.

— To właśnie stanowi główną cechę bohemy — stwierdził Standish. — Dla artystów odmienny znaczy tyle co lepszy. W pewnej mierze mają rację. Jesteś zdenerwowana?

— A powinnam być?

Randall pocałował ją lekko, muskając ustami jej policzek.

— Ty też jesteś inna niż większość kobiet, moja droga. Wszystkim z pewnością się spodobaś. Zanim Chess zdążyła odpowiedzieć, powóz się zatrzymał. Standish wysiadł, po czym podał jej ramię. Nie puszczając dłoni kobiety, poprowadził ją w stronę otwartych czarnych drzwi pomalowanego na biało domu.

Wysoki, barczysty mężczyzna odwrócił się w ich stronę, gdy weszli. Miał na sobie luźną, szarą marynarkę z turkusowymi guzikami. Chess pomyślała, że jego młoda twarz wygląda dziwnie smutno. Na widok Standisha rozjaśniła się jednak w uśmiechu i wrażenie smutku całkowicie zniknęło.

— Mefisto! Jesteś dokładnie tym, czego potrzebował ten wspaniały, słoneczny dzień. Wszystkim nam tak bardzo obrzydł już brak przyzwoitych chmur... No i któż zjawia się, żeby osłodzić nasze cierpienia? Prawdziwy diabeł w ludzkiej skórze. Przynajmniej taką żywię nadzieję. Standish pociągnął Chess w stronę nieznanego.

— Pani Richardson, pozwoli pani, że jej przedstawię: Oscar Wilde.

Oscar Wilde! Cudowny, genialny autor „Portretu Doriana Graya”. Chess zaniemówiła z wrażenia. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, ukłękła niemal, składając przed nim głęboki ukłon.

— Jestem gorącą wielbicieleką pańskiej twórczości, panie Wilde — powiedziała, prostując się. Pisarz położył swe wielkie, dobrze utrzymane dłonie na jej ramionach.

— Czy to Fisto namówił cię, byś tak powiedziała? Nie, widzę po twojej szczerzej minie, że nie. Doprawdy podziwiam Amerykanów. Rzadko jednak mają oni tak wyrobiony gust literacki jak ty. Wejź tutaj, moja droga damo, i poznaj mych przyjaciół z piekła rodem.

Pisarz objął ją ramieniem i poprowadził ku czemuś, co miało okazać się najwspanialszym doświadczeniem jej życia. Pokój, do którego weszli, był pomalowany dość eks-

trawagancko. Jaskrawoczerwone drzwi ostro kontrastowały z bladożółtym kolorem ścian, na których — na umocowanych u sufitu błękitnych jedwabnych sznurkach — wisiały namalowane jaskrawymi farbami obrazy. Powąła miała kolor ciemnoszary, rozjaśniony nieco wrzosowymi plamkami.

W pokoju znajdowało się co najmniej tuzin osób. Chess nie zdołała zapamiętać ich nazwisk, Wilde bowiem przedstawił wszystkich bardzo szybko, dodając przy tym co bardziej skandaliczne szczegóły ich biografii lub złośliwe komentarze. Inni mężczyźni byli ubrani mniej ekstrawagancko niż Wilde, ale też nie tak tradycyjnie jak Randall, który włożył na tę okazję surdut i wąskie, popielate spodnie. Dwie z obecnych kobiet nosiły luźne, powiewne suknie z wzorzystego, żółtozielonego jedwabiu i miały rozpuszczone, sięgające ramion włosy. Nie opodal nich siedziała piękna, rudowłosa dziewczyna z długim, grubym warkoczem.

Zebrani rozmawiali ze sobą, choć nikt z nich nie mówił tak dużo jak Wilde. Z niezwykłą uprzejmością wypowiadali pod swoim adresem obraźliwe uwagi i złośliwe przezwiska, tak że trudno było się zorientować, czy mówią poważnie, czy też żartują. Wszystko robili w ogromnym pośpiechu.

Wydawali się nader zabawni. Chess śmiała się tak serdecznie, że aż rozboleł ją brzuch.

— Jesteś oczywiście świadom — powiedział Wilde do Standisha, odciągając go na bok — że śmiech twojej kuzynki powinien zostać zamknięty w kosztownej szkatule z najczystszej lapis-lazuli i traktowany jak bezcenny skarb?

— Nie mógłbym ująć tego lepiej, Oscarze — odparł Randall.

— Ty diable. — Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie. — A mówiąc poważnie, powinieneś zostać zamknięty w więzieniu za to, że pozwalasz jej ubierać się tak okropnie. Brzoskwiniowy żabot. Robi mi się niedobrze.

— Ty jesteś zwolennikiem strojów żółtozielonych, czy tak? Ale ona nie jest jedną z twoich pozbawionych zmysłu estetyki wielbicielk.

— To nieuczciwe, Fisto. Robisz unik. Ona jest jak Piero della Francesca. Ubiera się jednak w zgodzie ze wskazówkami jakiegoś potwornego projektanta mody, podobnie jak owa mdła kobieta podlizująca się bogaczom w kolumnie towarzyskiej swojej gazety. Zabierz panią Richardson do mego przyjaciela, Luthera Witsella. Próbował zostać malarzem, ale się mu nie powiodło, zajął się więc projektowaniem tkanin. Odmieni ją. Mogłaby być wówczas piękna. A przecież wszystkie kobiety chcą tego. Standish zadumał się na chwilę.

— Sądzę, że wolałbym raczej, aby nie stała się piękna — odrzekł. — I bez tego stanowi poważne niebezpieczeństwo dla mojego umysłu.

Oscar skrzywił się szyderczo.

— Cóż za litościwy diabeł z ciebie! — powiedział kpiąco. — Wobec tego sam polecę jej Luthera. Zanim Standish zdołał zareagować, Wilde odszedł już, by przywitać kolejnego gościa, który właśnie wchodził do pokoju.

— George! Jakież to odważne z twojej strony pokazywać się tutaj! Czy nikt ci nie powiedział? Jimmy Whistler przed tygodniem wrócił z Paryża.

Chess nie była w stanie zrozumieć wesołych spojrzeń, jakie wymienili między sobą zebrani. Standish wyjaśnił jej to, kiedy wyszli. George du Maurier wiele lat temu studiował w Paryżu sztukę, dzieląc pracownię z kilkoma przyjaciółmi, między innymi Amerykaninem nazwiskiem Whistler. Po latach przepracowanych z powodzeniem jako rysownik humorystycznego czasopisma „Punch” postanowił zostać pisarzem i sam zilustrować własną książkę.

— Podobałaby ci się ta powieść — zapewnił kuzynkę Randall. — To wymyślona historia, doskonale jednak oddaje atmosferę Paryża i artystycznego światka sprzed

trzydziestu lat. Niestety, George posunął się za daleko. Zamieścił ilustrację przedstawiającą Whistlera w pewnej wyjątkowo nieprzyzwoitej sytuacji. Ten zaś w odpowiedzi opóźnił publikację powieści o ponad rok, oskarżając biednego George'a o zniesławienie. Jimmy jest pozbawiony poczucia humoru. Ale to geniusz. Nie wiedziałem, że przyjechał do Londynu. Chcę, żebyś go poznała.

— Czy to właśnie dlatego wyszliśmy stamtąd? Powiedziałeś, że nie możemy zostać na kolacji. Standish zamyślił się. Czy rzeczywiście obawiał się, że Oscar namówi Chess na wizytę u swego przyjaciela krawca? Niewykluczone. Cóż takiego się z nim działo?

— W gruncie rzeczy wolę bohemę w małych dawkach. Zjemy u mnie.

— Dalszy ciąg pikniku?

— Możesz to tak traktować.

Randall doskonale wiedział, czego chce. Musi osiąść Chess, poznać jej ciało i umysł, bo tylko wtedy zdoła zrozumieć i ograniczyć ów niezwykły wpływ, jaki miała na niego ta kobieta.

Chess jednak odmówiła — czuła się znużona i chciała wrócić do hotelu.

Standish także uświadomił sobie, że jest zmęczony. Podzielanie entuzjazmu kuzynki pochłaniało sporo energii.

Rozdział 36

Tak naprawdę jednak Chess nie czuła się wcale zmęczona. Była tylko przerażona. Spotkanie z artystami mocno ją poruszyło, chociaż jednocześnie czuła się wśród nich swobodnie. Byli bezpośredni i pełni życia. Zachwyciła ją też ich pogarda dla całej szarości reguł towarzyskiego życia, które ściśle określały, co wypada, a czego nie wolno robić. Podobało jej się uwielbienie dla wolności, przekonanie, że wszystko czego się pragnie, jest dozwolone. Oczywiście, jeśli czyni się to z klasą. Nie sądziła też, że Randall może mieć przyjaciół wśród takich ludzi. Był układny, zarówno w swych strojach, jak i manierach.

Wyłączając chwile, kiedy ją całował.

Nie była już dłużej pewna, czy bezpiecznie jest igrać z ogniem. Przerażał ją ogarniający tak często jej ciało żar.

Zamówiła lekką kolację i zaczęła przeglądać przewodnik. Panna Ferncliff miała zabrać ją następnego dnia do muzeum w South Kensington, chciała zatem przygotować się do tej wycieczki.

Wbrew woli wróciła jednak pamięcią do owego dnia, kiedy przewodniczka zaprowadziła ją do National Gallery i przedstawiła Randallowi.

Jutro wieczorem mieli iść razem do teatru na jakąś komedię. Powiedział, że lubi słuchać jej śmiechu.

Chess skoncentrowała się na książce, „...stalle chóru z katedry w Ulm, wyrzeźbione w dębie przez Jôrga Syrlina (ok. 1468)...”

Wydawało się jej, że od jutrzejszego wieczoru dzielą ją setki lat. Tak długo musiała jeszcze czekać... Zgodnie z przewidywaniami lorda Randalla, gdy oni bawili u artystów, kilka osób próbowało odwiedzić Chess i pozostawiło swoje karty wizytowe. Jedna z nich należała do hrabiny Lepworth, dwie do jej męża.

Panna Ferncliff była pod wrażeniem.

— Hrabina często wydaje przyjęcia. Można spotkać u niej całą tutejszą śmietankę towarzyską. Przewodniczka okazała się też bardzo spostrzegawcza. Zauważyła, że hrabina zostawiła wizytówkę świadczącą, że chciała odwiedzić Chess, podczas gdy jej mąż zamierzał spotkać się z obojgiem Richardsonów. Na widok *cartes de visite* swojej podopiecznej panna Ferncliff załamała ręce.

— Nie ma znaczenia, co wyobrażają sobie ludzie w Ameryce! Tu, w Londynie, karty wizytowe muszą być czysto białe lub w kolorze kości słoniowej, nazwisko zaś powinno zostać wydrukowane pochyłym pismem. Żadne inne wizytówki nie wchodzi w grę. Pojedziemy prosto do Southwoods. Wszystkie znakomitości korzystają właśnie z ich usług.

Chess zgodziła się z radością.

— Kiedy już tam będziemy, chcę zajrzeć na Theobald's Road. Ma tam pracownię krawiec, którego polecił mi jeden ze znajomych.

Liścik Oscara Wilde'a nadszedł z poranną pocztą. Po przeczytaniu Chess umieściła go w swej szkatułce na kosztowności obok diamentowego naszyjnika.

Luther Witsell był niskim, energicznym, gadatliwym człowiekiem o nienaturalnie pomarańczowych, kręconych włosach. Jego wygląd przeraził pannę Ferncliff i zachwycił Chess.

Pracownia krawca mieściła się na dużym poddaszu czteropiętrowej kamienicy i wyglądała jak miejsce wyjęte żywcem z baśni tysiąca i jednej nocy. Długie stoły, krzesła i podłoga były zasłane stosami wielobarwnych tkanin.

— Oscar wspominał mi o tobie — oznajmił radośnie mężczyzna. — Bez wątpienia miał rację. Tak, tak, wspaniała... Cóż za linia... Piękna linia.

— Wolę cię w kolorze śliwkowym, w najgłębszej, północnej czerni, w granacie... Nic tak pospolitego jak barwa rubinu...

Chess cieszyła się każdą minutą owych trzech godzin, jakie spędziła u Luthera, który brał miarę, dopasowywał do jej figury fałdy materiału, dobierał odcienie tkanin. Wychodząc z jego pracowni, nie miała najmniejszego pojęcia, co też zamierza on jej uszyć, była jednak pewna, że będzie to coś całkowicie odmiennego od wszystkiego, co dotąd miała.

Na twarzy panny Ferncliff, aż do chwili kiedy weszły do muzeum South Kensington, malowało się oburzenie i potępienie. Zielono-złota sala restauracyjna, w której zjadły lunch, robiła wrażenie ciemnej i odpychającej — podobnie jak zamówiony przez nie stek i pasztet z cynaderek.

Chess wyteżyła pamięć.

— Chciałabym szczególnie, by pokazała mi pani stalle chóru z Ulm — powiedziała.

Dopiero te słowa sprawiły, że twarz przewodniczki rozpląnęła się w uśmiechu.

Po tym, co usłyszała w pracowni Luthera Witsella, Chess odniosła wrażenie, że jej bladobłękitna wieczorowa

suknia wygląda mdło i nieciekawie. Była to jednak najodpowiedniejsza toaleta, jaką mogła włożyć, wychodząc do teatru. Na tle jasnego błękitu jej gołe ramiona wyglądały jak alabaster, a naszyjnik lśnił równie pięknie jak klejnoty, które widziała podczas spektaklu „Damy kamelio-wej”.

Pokojówka, Ellis, ułożyła jej włosy w ciężkie, modne fale, ściągnięte do tyłu i upięte na czubku głowy. Żelazko do robienia loków było czymś na kształt narzędzia tortur, ale Chess, chcąc wyglądać jak najlepiej, przetrzymała jakoś te męki. Kiedy zaś Ellis wpięła jej we włosy czerwone róże, efekt był znakomity. Chess trzymała głowę zupełnie nieruchomo aż do chwili, gdy boy hotelowy zawiadomił ją, że lord Randall Standish czeka na nią na dole.

— Wygląda pani pięknie — powiedziała pokojówka, okrywając jej ramiona jedwabną wieczorową peleryną.

— Dziękuję, Ellis. Kiedy wrócę z teatru, będzie już bardzo późno, zjedz zatem kolację i połóż się spać. Obudzę cię, jeśli będę potrzebowała pomocy przy rozbieraniu.

Chess pomyślała, że powiedziała dokładnie to, co należało — zachowała się iście po angielsku. W domu rozbierała się sama.

— Czyż ta sztuka nie była cudowna? Śmiałam się tak, że niewiele brakowało, a pękłabym.

— Wiem, uwielbiam to.

Atmosfera w powozie zgęstniała od nie wypowiedzianych myśli. Standish ujął dłoń Chess i powoli rozpiął jej rękawiczkę, odsłaniając nadgarstek. Dotknął ustami jej pulsu.

— Jestem głodny — stwierdził. — Mam ochotę na kolejny „poteatralny” omlet Escoffiera.

Serce Chess podskoczyło tak gwałtownie jak uwięziony

w klatce ptak, miotający się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki.

— Ja... sama nie wiem.

— Owszem, wiesz — powiedział Standish, puszczać jej dłoń.

Siedział bardzo blisko niej w krytym powozie. Chess czuła zapach sandałowego mydła i wykrochmalonego płótna jego koszuli.

Jasne światło lamp zapalonych przy wejściu do hotelu wypełniło nagle wnętrze powozu, oświetlając twarz mężczyzny. Wyglądał jak prawdziwy Mefistofeles — ponury, pewny siebie, niebezpieczny, hipnotyzujący. Chess zadrżała.

— Zimno ci? — zapytał Randall łagodnie. — Pozwól... — troskliwie otulił ją peleryną. Jego palce musnęły jej szyję.

Gdy tylko drzwi apartamentu zamknęły się za nimi, Standish niedbale rzucił na stół kapelusz oraz rękawiczki i stanął za plecami Chess, obejmując ją, by rozwiązać pelerynę. Kiedy okrycie zsunęło się na podłogę, obsypał pocałunkami szyję kobiety. Jego wargi powoli sunęły w dół, ku jej ramionom, dłonie zaś mocno przytrzymały ją w talii.

— Obróć się, moja droga — szepnął jej do ucha. — Tęsknię za twymi ustami.

Chess spełniła jego prośbę. Ich wargi się spotkały. Dłoń Standisha powędrowała ku jej włosom, delikatnie wyjmując z nich grzebyki i spinki, które jedna po drugiej spadały na podłogę. Poczwała, jak ciężkie sploty rozsypują się na jej ramionach i plecach.

— Są takie piękne — powiedział Standish. — Wyglądają jak złoty jedwab. Nie pozwól, by jeszcze kiedykolwiek dotknęło ich żelazko — dodał, całując ją.

Suknia Chess zaszeleściła, gdy wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

„Nie" — chciała zawołać, ale z jej gardła nie wydobył

się żaden dźwięk. Randall zsunął w dół rękawy sukni i roz-piąwszy gorset, dotknął piersi Chess.

Przebiegł ją dreszcz rozkoszy. Krzyknęła, mocniej przytulając się do kochanka.

— Najdroższa — powiedział Randall, śmiejąc się. — Widzę, że prawdziwa z ciebie rozpustnica.

Obiecuję uczynić cię bardzo, bardzo szczęśliwą.

Chess na zmianę tonęła i zrywała się do lotu. Jej skóra żyła własnym życiem, płonąc i drżąc, błagając, by ją dotykał, całował, tulił. Ciało przeżyło się i wiło, przeszywane dreszczem rozkoszy. Nie mogła złapać tchu — oddech stał się urywany i chrapliwy.

Randall drażnił się z nią: to zbliżał, to umykał, prowadząc ją ku takiej ekstazie, że odchodziła wprost od zmysłów. Wtedy przerywał na chwilę, by potem znów, powoli, delikatnie muskać wargami jej usta, zaczynając wszystko od początku.

— Nie mogę już — jęczała Chess.

— Możesz. Możesz, moja wspaniała, wyzwolona kochanko. Będiesz wspinać się po tych schodach tysiące razy... tysiące...

Znowu ogarnęła ją szaleńcza namiętność, póki wśród jęków palącego pożądania nie nadeszło kojące zaspokojenie.

Randall nalał z karafki zimnej wody, uniósł głowę Chess i zbliżył szklanekę do jej ust. Jego ciało lśniło od potu, a ciemne włosy były pozlepiane w mokre kosmyki.

— Nie wiedziałam dotąd... — wyjąkała cicho.

— Wypij to, kochanie. A potem zaśnij. Kiedy zaś się obudzisz, znowu będziemy się kochać.

Nie odpowiedziała. Ogarnięta słodką niemocą, zasnęła.

Tak zaczął się najpiękniejszy okres w jej życiu. Miała wrażenie, że oto poznała sekret swego istnienia, cel, dla którego pojawiła się na świecie. Żyła po to, by mogła być

przytulana, całowana, dotykana, kochana. To, czego doświadczała, zapierało wprost dech w piersiach. Każdy kolor, zapach, powiew wiatru i promień słońca, każda kropla deszczu stanowiła mały cud, którego doskonałością należało się delektować. Wszystkie zmysły miała nienaturalnie wyostrzone i wszystkie one bez przerwy czekały na to, by Randall znów wziął ją w ramiona. Mogłaby kochać się z nim codziennie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, gdyby tylko nic nie stało temu na przeszkodzie. Godziny spędzane bez niego potęgowały jedynie słodycz oczekiwania na to, by znowu znaleźć się z nim sam na sam.

W obecności innych wymieniali namiętne, przypominające błyskawice spojrzenia, tak gorące, że z trudem mogli uwierzyć, iż ludzie wokół nich tego nie widzą.

Spacerując po ogrodzie zoologicznym, odnosili wrażenie, że zwierzęta odwracają się ku nim, wyczuwając ich pożądanie. Jakież to przy tym były zwierzęta! Zdumiewający wygląd pelikanów i wielbłądów wywołał u Chess gwałtowny wybuch śmiechu, natomiast dostojne piękno gepardów i jaguarów wzruszyło ją tak, że się rozplakała. Kiedy znaleźli się w cichym zakątku ogrodu, Standish scałował jej łzy z policzków, po czym — nie obejrzawszy reszty zwierząt — wrócili do domu i poszli do łóżka.

Randall mieszkał w Albert Mansions, nowym budynku z czerwonej cegły, w którym apartamenty dorównywały obszernością niejednemu domowi. Wzdłuż wszystkich ścian skromnie, niemal ascetycznie umeblowanych pokoi stały niskie, wypełnione książkami regały, nad nimi zaś wisiały stare malowidła oraz starożytne przedmioty pochodzące z archeologicznych wykopalisk.

Wyjątek stanowiła pomalowana na granatowo sypialnia, której ściany i sufit zdobiły złote gwiazdy. W rogach olbrzymiego łóża wznosiły się wielkie, drewniane kolumny,

rzeźbione w kształcie postaci z greckiej i rzymskiej mitologii. Ich stopy kryły splecione ze złotych pasków sandały.

Chess poznała brata Randalla, który także był jej kuzynem, oraz jego żonę i — ponieważ należała do rodziny — wysłuchiwała opowieści o męce czekania całymi latami na chwilę, kiedy odziedziczy się wreszcie majątek i tytuły.

Została także przedstawiona Jamesowi Whistlerowi i — ponieważ była Amerykanką — wysłuchiwała zwierzeń, jak bolesne jest życie z dala od ojczyzny, oraz skarg na ludzi żywiących antyamerykańskie uprzedzenia.

Oscar Wilde odwiedził ją w Savoyu ubrany w zielony żakiet, co uczyniło Chess sławną.

Jego protegowany, Luther, zaprojektował tak doskonale stroje, że kobiety błagały, by zdradziła nazwisko tego mistrza igły.

Zapoznawszy się z zasadami zostawiania kart wizytowych i składania wizyt, Chess niemal każdego popołudnia przyjmowała gości lub udawała się do kogoś w odwiedziny. Była po imieniu z „jaśnie panami”, „ich lordowskimi mościami”, hrabiami i damami.

Prowadziła życie, które niegdyś wiodła jej matka, takie jakie powinno stać się jej udziałem w młodości. I bez wątpienia stałoby się, gdyby nie wojna secesyjna. Chess je uwielbiała.

Wieczorami oglądała „Carmen” w Covent Garden, podziwiała w teatrze państwa Beerbohmów Tree i panią Pat-rickową Campbell, bywała na proszonych kolacjach u As-quithów i Rothschildów.

I zawsze, zawsze czekały na nią objęcia Randalla! Czasem późnym wieczorem, czasem w środku dnia lub o świcie. A po godzinie igraszek, zaczynającej wszystkie poranki, Standish był mokry od potu.

Chess miała teraz swoją miarę czasu, której oś stanowiło odkrycie własnej namiętności. Strajk dorożkarzy rozpoczął się nazajutrz po tym, jak Randall posiadał ją po raz pierwszy

i kiedy zrezygnowała z dalszych usług panny Ferncliff. Teraz, w dwa tygodnie później, zastanawiała się, czemu właściwie tak bardzo chciała odwiedzić każde z miejsc wymienionych w 'przewodniku Baedekera. Londyn został wszak stworzony do miłości i rozrywek, nie do chodzenia po muzeach. Dostrzegła, że wszyscy czuli to samo, co ona. Teraz, kiedy poznała radość, jaką niosło pochwycenie podczas przyjęcia spojrzenia Randalla i świadomość łączącej ich więzi, zauważała także podobne związki pomiędzy innymi parami. To miłość sprawiała, że świat się kręcił — przynajmniej tutaj, w Londynie, w maju.

Była spóźniona. Randall czekał na dole. Musiała się jednak przebrać. Jej nowi przyjaciele byliby zaszokowani, gdyby nie zmieniła noszonego rano kostiumu na inny, popołudniowy. Jeśli zostawałaby w domu i przyjmowała gości u siebie, musiałyby ubrać się jeszcze inaczej. Gdyby zaś było nieco później, obowiązywałaby ją wieczorowa suknia.

Albo też mogłaby być nago. Jej serce zabiło szybciej. Niewykluczone, że kiedy wrócą z wystawy kwiatów, starczy im czasu, by kochać się ze sobą, zanim nadejdzie pora udania się na herbatę do Daisy Merton. Dziś wieczór nie byli z nikim umówieni na kolację. Znaczyło to, że spędzą wiele długich godzin w swoich objęciach.

Tempie Gardens same w sobie były cudowne, teraz zaś, gdy Royal Horticultural Society urządziło tu swoją wystawę, ustawiając na stołach pęki rozkwitłych róż, barwy, zapach i urok tego miejsca zapierały wprost dech w piersi.

Z ramienia rodziny królewskiej wystawie patronowała księżna Fife.

— Jej Wysokość wraz ze swym dworem — szepnął

Randall do ucha Chess, kiedy księżna zbliżyła się do nich. Towarzyszyły jej dwie starsze damy.

— Jestem zaskoczona, lordzie Randall, widząc pana tutaj. Jakże udaje się panu hodować kwiaty na kamiennym podwórzu Albert Mansions?

Księżna była pulchną, dwudziestokilkuletnią kobietą, której ujmujący sposób bycia rekompensował brak urody. Standish zgiął się w dworskim ukłonie.

— Mówię ogrodnikowi, by dostarczał mi różane krzewy i zostawiał je u stóp schodów, Wasza Wysokość, po czym zabieram do domu same kwiaty, resztę pozostawiając na zewnątrz.

Księżna uśmiechnęła się szeroko.

— Wiedziałam, że odpowie pan coś zabawnego. Mówiłam to moim przyjaciółkom. — Towarzyszące jej damy obrzuciły Randalla tęsknym spojrzeniem. Obie były wyjątkowo nieatrakcyjne.

— Wasza Wysokość pozwoli, że przedstawię jej moją kuzynkę z Ameryki — powiedział Standish.

Chess zachowała się z taką swobodą, jakby codziennie przedstawiano ją księżnym.

Księżniczka Louise była córką księcia Walii — wyjaśnił Randall, który znał ją od pieluch. Fife'a uważano zaś za bardzo przyzwoitego człowieka i Standish miał nadzieję, że istotnie takim był. Louise w każdym razie zawsze stanowiła uosobienie słodyczy.

— Czy przedstawiając jej mnie, próbowałeś mi zaimponować?

— Niewykluczone. I co, jesteś pod wrażeniem?

— Niewykluczone — powtórzyła, patrząc mu głęboko w oczy. — Wróćmy do hotelu. Mamy stąd bardzo blisko.

— Nie, lepiej, jeśli pojedziemy do mnie. W Savoyu będzie mnóstwo ludzi, którzy przyjechali na wystawę kwiatów.

Jadąc do domu Randalla, utknęli jednak w gigantycznym korku.

— Do licha! — złościł się Standish. — Zapomniałem, że dziś jest Drawing Room.

— Wsiądźmy i przespacerujmy się kawałek pieszo. Powóz na pewno nie posunie się ani o milimetr, zanim wrócimy. Chcę popatrzeć na klejnoty.

Drawing Room było uroczystością, podczas której królowej przedstawiano osoby dopiero rozpoczynające towarzyską karierę. Mimo iż przyjęcie odbywało się po południu, wszystkie damy miały na sobie wieczorowe suknie i nosiły mnóstwo kosztowności: naszyjniki, brosze, bransoletki, kolczyki i diademy. Piękne powozy, którymi przyjeżdżały młode, zdenerwowane dziewczęta, całymi godzinami tkwiły uwięzione w korku, jaki zawsze tworzył się przed pałacem, wystawiając biedactwa na widok tłumu gapiów.

— To nieprawdopodobnie wulgarnie, Chess, nie uważasz?

— Owszem, ale nie dbam o to. Popatrz, czy to możliwe, by ten naszyjnik wykonano z prawdziwych szmaragdów? Są tak wielkie jak kurze jaja.

— Jesteś niepoprawna. I cóż ja mam z tobą zrobić? Chess wybuchnęła śmiechem i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Naprawdę chcesz, bym odpowiedziała ci na to pytanie w miejscu publicznym?

Później, kiedy odpoczywali po długim kochaniu się, Randall zapytał ją, czy chciałaby zostać przedstawiona na dworze.

— Oczywiście nie tak jak te dziewczęta dzisiaj. Mógłbym zabrać cię na State Bali, jeśli znalazłabyś się na pałacowej liście, a jestem pewien, że Hermione z przyjemnością zajęłaby się dokonaniem prezentacji.

— Pozwól, iż sobie to przemyślę. Patrzenie na innych

jest o wiele przyjemniejsze niż pozwalanie, by to oni gapili się na ciebie.

— Radziłbym ci prędko podjąć decyzję. Hermione nie działa zbyt szybko.

— W przeciwieństwie do mnie — uśmiechnęła się Chess, kładąc się na nim. — Zobaczymy, czy zdołasz mnie złapać — dodała, gryząc go lekko w ucho.

— Nienasycona rozpustnica! — mruknął Randall. Odpowiedział mu jedynie perlisty śmiech.

Rozdział 37

Chess niemal zapomniała o istnieniu Nathana. Przemieniona za sprawą czarów z Kopciuszka w księżniczkę, obsesyjnie odkrywająca zmysłową rozkosz, od trzech tygodni, odkąd mąż wyjechał z miasta, żyła poza czasem i rzeczywistością. W pierwszej chwili miała nawet kłopot z uświadomieniem sobie, co to za mężczyzna stoi w drzwiach.

Cały jej świat rozsypał się w proch. Ten uśmiechnięty, piegowaty prostak był jej mężem! Miała ochotę wybuchnąć płaczem. Sen się skończył.

Poczuła na policzkach zdradziecki rumieniec. Czy on coś pozna? Czy będzie miał jakieś podejrzenia? Jej dłoń bezwiednie powędrowała ku włosom, sprawdzając, czy nie są potargane. Och, Boże, z pewnością pachnie sandałowym mydłem Randalla. Zawsze kąpała się, zanim ponownie włożyła na siebie ubranie. Nathan jest zbyt sprytny na to, by można go oszukać. Co teraz zrobi? Co mu powie? Standish zniósł tę chwilę o wiele łatwiej niż ona.

— Witaj, Nate. Szkoda, że nie było cię razem z nami dziś wieczorem. Widzieliśmy świetną sztukę. A jak twoja podróż? Uwieńczona sukcesem? Chess wspominała, że robisz jakieś interesy.

Ujął kochankę pod ramię i wprowadził do salonu — tylko dzięki temu udało się jej nie upaść.

— Nie osiągnąłem tego, na czym mi zależało — odparł Nathan — ale nie oddałbym tej podróży za żadne skarby świata. Tylko dzięki niej mogłem na własne oczy zobaczyć, jak buduje się kanał dla statków. Czegoś takiego jeszcze w historii nie było. Czy wiecie... — W podnieceniu zaczął opowiadać im o owym triumfie myśli inżynierskiej.

Chess wpatrywała się w jego rozpromienioną twarz, czując, że wzbiera w niej nienawiść. Jak on mógł tak zrujnować jej życie? Po co wracał? Czemu nie pozostał w Manchesterze razem ze swoim cennym kanałem i nie pozwolił, by dalej przebywała w raju?

Czemu kazał jej czekać tak długo, nim dowiedziała się prawdy o fizycznej miłości? Życzyła mu śmierci. Była przekonana, że zasłużył na tę najokrutniejszą z kar.

Standish z uwagą przyglądał się Chess. Czynił to jednak dyskretnie — nie wolno mu przecież było patrzeć na nią w inny sposób, niż nakazywały zasady dobrego wychowania.

Czuł się zaniepokojony. Jego kuzynka z pewnością miała niewielkie doświadczenie w oszukiwaniu. Sam zresztą wiedział najlepiej, jak zaskakująco spontanicznie reagowała na wszelkie wydarzenia. Decydowało to o jej ogromnym uroku, ale w tych warunkach stwarzało również wielkie niebezpieczeństwo.

Na szczęście po półgodzinie Nate stwierdził, że ma za sobą długą podróż.

— Dorożkarze w Manchesterze nie przyłączyli się do strajku, tak że to, co dzieje się tutaj, zupełnie mnie zaskoczyło. Musiałem iść pieszo ze stacji kolejowej i sam przydźwigać bagaż, bo omnibusy były tak zatłoczone, że nawet nie próbowałem do nich wsiąść. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wykupię się i udam prosto do łóżka. Do zobaczenia rano, Chess. Muszę opowiedzieć ci wszystko

o przędzalniach bawełny, które zwiedzałem. Naprawdę robią wrażenie.

— Wobec tego dobranoc, Nate — odrzekł Standish, spojrzeniem nakazując kochance, by zachowywała się jak gdyby nigdy nic.

— Dobranoc, Nathanie — powiedziała Chess bezbarwnym głosem.

Ledwie drzwi się zamknęły za jej mężem, rzuciła się ku Randallowi.

— Co teraz zrobimy?! — zawołała, obejmując go.

— Ćśś... Wszystko będzie w porządku. — Głos mężczyzny brzmiał beztrosko, ale dłonie silnie chwyciły ją za ramiona, odsuwając od siebie. — Nic się nie zmieni, moja ukochana. Po prostu musimy być ostrożni. Nikt nie będzie się dziwił, że twój kuzyn stara się uprzyjemnić ci pobyt w Londynie. Będziemy dalej wspólnie składać wizyty i z pewnością znajdziemy też czas, aby spotykać się ze sobą sam na sam. To nie takie trudne, uwierz mi. Jediną rzeczą, która może wszystko popsuć, jest twoje niemądre zachowanie. W takich wypadkach nigdy nie należy też czynić mężowi szczerych wyznań — to pogarsza tylko sprawę. Musisz panować nad sobą, rozumiesz?

Chess załapała się łzami, jakby te słowa złamały jej serce.

— Pocałuj mnie, Randallu. Nie potrafię żyć bez twoich pocałunków.

— Przestań — zażądał zimno Standish. — Jesteś osobą dorosłą, a nie dzieckiem.

Chess była tak zaskoczona tym, co powiedział, że umilkła. Nigdy wcześniej kochanek nie przemawiał do niej tak ostro. Popatrzyła na jego surową twarz. W jej oczach malowała się uraza, ale również strach przed okazaniem mu swego gniewu.

— Tak lepiej — stwierdził. — Nie mam zamiaru cię utracić, Chess. Czy zdołasz zrobić to, co do ciebie należy, byśmy nadal mogli się spotykać?

Posłusznie skinęła głową.

— Jesteś zupełnie pewna?

— Tak.

— Doskonale. Przyjadę po ciebie jutro o pierwszej. Wybierzemy się do królewskiej akademii, by obejrzeć tegoroczną wystawę nowego malarstwa. Poproś swego męża, aby nam towarzyszył. Będziemy udawać szczęśliwą rodzinę. Kiedy poznamy plany Nate'a, poczynimy własne. Najważniejsze, by w żaden sposób nie zauważył zmiany, jaka nastąpiła w naszych wzajemnych stosunkach. To musi dla niego pozostać tajemnicą.

— Rozumiem.

— Dobra dziewczynka. Będę na dole o pierwszej — uśmiechnął się diabolicznie. — Przyjadę nieco większym powozem. — Sięgnął po kapelusz i rękawiczki, szykując się do wyjścia.

— Randall!

Brwi Standisha uniosły się pytająco.

— Nie chcesz pocałować mnie na dobranoc? — zdziwiła się Chess, ścisząc głos.

Standish odłożył swoje rzeczy.

— Bardziej niż czegokolwiek na świecie — odparł miękko. Wziął ją w ramiona i przesunął wargami po jej ustach. Chess zadrżała. — Pamiętaj, moja droga — szepnął, odsuwając ją od siebie — że jeśli tylko będziemy ostrożni, wszystko zostanie tak jak dawniej.

Długo jeszcze po jego wyjściu Chess nie mogła przyjść do siebie.

Spała niespokojnie, trapiąca złymi snami. Budziła się powoli, odwołując ten moment, by jak najpóźniej zmierzyć się z tak strasznie odmienionym światem. I Nathanem.

Kiedy wstała, mąż popijał poranną kawę i czytał gazetę.

— Witaj, spiochu. Ja wstałem już godzinę temu. Co masz ochotę zjeść? Zamówię śniadanie przez tubę. Chess zawstydziała się. Kiedy całe życie damy rozpada

się na kawałki, nie powinna mieć apetytu. Tymczasem była głodna. Ostatniego wieczoru oboje z Randallem pili szampana i jedli truskawki. Nic więcej.

— Poprosiłem o sadzone jajka i wędzonego łososia. A także tosty. Trzeba jednak zażądać, by od razu w kuchni posmarowano je masłem.

Co za szczęście! Wcale nie było trudno rozmawiać z Nathanem tak, jakby nic się nie stało, ponieważ on sam ani trochę się nie zmienił. Był jak zawsze starannie ogolony i odświeżony. Chess zapomniała już, jak czysto zawsze wyglądał. Promieniował energią i układał mnóstwo planów.

Nie, odmówił zdecydowanie, nie pójdzie oglądać obrazów. Jego nowy garnitur powinien już być gotowy, odwiedzi więc krawca, a przy okazji kupi potrzebne dodatki.

— Chcę mieć wszystko przygotowane do poniedziałkowych rozmów z przedstawicielami tutejszych przedsiębiorstw tytoniowych. Cały jutrzejszy dzień poświęcę na przeglądanie dokumentów i rachunków. Jeśli zaś chodzi o niepowodzenie w rozmowach z właścicielami przędzalni bawełny, to nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: pozwoliło mi to zorientować się, w jaki sposób Anglicy załatwiają interesy. Albo ich nie załatwiają, jak to było w moim wypadku. Teraz wiem, na co mam zwracać uwagę, kiedy będę rozmawiał z producentami papierosów. Jak już powiedziałem, wyjazd do Manchesteru był dobrym pomysłem, nawet jeśli nie przyniósł mi bezpośrednich korzyści. Ten kanał! Wprost trudno to sobie wyobrazić: mają tam dwuipółmetrowej głębokości kanał. Wznosi się on w górę

i przebiega ponad torami kolejowymi oraz drogami. Ponad nimi, rozumiesz, Chess? Dwa i pół metra wody. Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył. „Oto cały Nate z jednym ze swoich projektów” — to właśnie o mnie pomyślałaś, prawda? — roześmiał się. — Nie obawiaj się, nie planuję zbudować ponad S & D estakady,

którą płynąłby strumień, choć z pewnością byłoby na co popatrzeć. A co u ciebie? Dobrze się bawiłaś podczas mojej nieobecności?

Na chwilę serce zamarło Chess z lęku, a potem zaczęło walić jak młotem. Dziwiła się, że stojące przed nią na stole filiżanki nie podskakują na talerzykach — w jej głowie każde uderzenie pulsu wydawało się ogłuszająco głośne.

— Miałam mnóstwo rozrywek. Zanim ogłoszono strajk, panna Ferncliff zabrała mnie do opactwa westminsterskiego i wielu innych muzeów. W jednym z nich zgromadzono same maszyny — być może chciałbyś to zobaczyć. Są tam stare lokomotywy i pierwszy silnik parowy Jamesa Wat-ta... — Wiedziała, że mówi chaotycznie, ale nie była w stanie rozmawiać z mężem spokojnie.

— To może być interesujące — zgodził się Nathan, choć bez większego przekonania. Stare maszyny były już przestarzałe. — Jaka piękna suknia! Lubię purpurę.

— Nazywają ten kolor śliwkowym — uśmiechnęła się Chess. — Mam nowego krawca, który jest tak dziwny, że wizyta u niego przypomina oglądanie teatralnego spektaklu. Polecił mi go Oscar Wilde. Nate słuchał jej z uprzejmą uwagą.

— Oscar Wilde, Nathanie! Światowej sławy pisarz. Randall zabrał mnie do jego domu na herbatę. Spotkałam tam wielu artystów. Mam nawet egzemplarz książki, która jeszcze nie została opublikowana. Przeczytam ją, nim ludzie na świecie w ogóle dowiedzą się o jej istnieniu. Tym razem słowa żony zrobiły na Nathanie duże wrażenie. Jego lektura ograniczała się zwykle do artykułów na temat nowych wynalazków i raportów ze świata biznesu, żywił jednak prawdziwy szacunek dla pisarzy. Podobnie jak wynalazcy byli twórcami, choć oczywiście ich dzieła nie miały tak praktycznego zastosowania.

— Mogę zobaczyć tę książkę? — poprosił. — O czym ona traktuje?

Chess opowiedziała mu o George'u du Maurierze i jego kłopotach. Im dłużej o tym rozprawiała, z tym większą siłą wracało do niej wspomnienie tego fantastycznego popołudnia. Śmiała się, przedrzeźniając sposób mówienia artystów z bohemy, opisując ich styl ubierania i życia. Zainteresowanie Nathana jeszcze bardziej zachęcało ją do mówienia.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz pomalować komina w naszym domu na czerwono — powiedział z uśmiechem.

— Czy dopisało ci szczęście i znalazłaś to, co chciałaś tu kupić? Chodzi mi o meble i całą resztę...

Chess popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

— Nie — odparła, potrząsając głową. Nie była w stanie wykrztusić nic więcej. Zupełnie zapomniała o Harefields.

— Nigdzie nie natrafiłam na stare meble — dodała po chwili, kiedy przyszła już do siebie. —

Powinłam zapytać o to Randalla. Szkoda, że wcześniej nie wpadło mi to do głowy.

— Miły facet. Opiekował się tobą?

— Och, tak — przytaknęła, oblewając się rumieńcem. Z lękiem pomyślała, że Nathan musiał to zauważyć.

Zauważył. Nate dostrzegał wszystko. Uznał jednak, że rumieniec na jej policzkach wiąże się z rozgoryczeniem, iż nie znalazła wymarzonych mebli. Zawsze tak bardzo przeżywała zakupy. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy podejrzewać jej o romans. Nigdy, wyjąwszy kampanię reklamową papierosów, nie przejawiała najmniejszego zainteresowania seksem. Poza tym była damą. Według Nate'a znaczyło to, że seks musiał jej być obojętny, może nawet niemiły.

Chess wyczuła tę jego spokojną pewność co do wierności żony i rumieniec zniknął z jej twarzy.

Randall przyjechał granatowym powozem, do którego znakomicie pasowały liberie stangretów w kolorach bordo

i granatowym. Jak powiedział Chess, był to rodzinny powóz Standishów. Należał do jego brata, Davida.

Obecność służących onieśmielała kobietę. Kochanek musiał wyteńczyć słuch, by zrozumieć jej słowa.

— Nie jedźmy na wystawę. Możemy udać się prosto do twego mieszkania.

— Nie, najpierw odwiedzimy akademię. — W przeciwieństwie do niej swobodny ton głosu przychodził mu bez wysiłku. Służba miała wprawę w zachowywaniu dyskrecji.

— Niewykluczone, że będziesz musiała rozmawiać o tych obrazach, dobrze więc byłoby, żebyś je zobaczyła.

— Widziałam je już w „Illustrated News”. Są okropne.

— Masz rację, moja droga — uśmiechnął się Standish.

— Wszyscy jednak chodzą na wystawy i rozmawiają o nich z wielkim znawstwem, powtarzając to, co napisano w katalogu. Nie możemy się wyłamywać. Nie narzekaj — dodał, ściskając jej rękę. — Mamy dla siebie całe popołudnie.

Ograniczony czas schadzki zmusił ich do niejakiego pośpiechu przy kochaniu się, co stanowiło nowy, podniecający bodziec. Chess zapytała Randalla, czy on także to czuje.

— Oczywiście — odparł, przesuwając koniuszkami palców po jej skórze. — To jedna z przyczyn, dla których romanse są takie przyjemne. Inną podniętą jest niebezpieczeństwo, że wszystko wyjdzie na jaw. A jak ty dajesz sobie radę?

— Dobrze. Jestem pewna, że Nathan niczego nie podejrzewa.

— Oby tak dalej — skinął głową, całując ją w ramię.

— Kupiłem dla ciebie u Florisa mydło. Jedno zostawię u siebie, a drugie zabierzemy do hotelu... A tak przy okazji, byłoby mi miło, gdybyście z Nathanem zaprosili mnie jutro na kolację. W Savoyu będzie się odbywała gala teatralna. Bardzo chciałbym ją zobaczyć.

Jak powiedział, w hotelu przebywały właśnie wszystkie

wielkie primadonny świata — Patti i Melba, sławy sceny operowej, a także Bernhardt, Rejane oraz Duse — gwiazdy teatru.

— Covent Garden to nic w porównaniu z wrażeniem, jakie zrobi ich wejście do jadalni. Każda uważa się za największą gwiazdę i z pewnością będzie chciała dać temu wyraz. Jeszcze lepszym widowiskiem będzie zapewne pojawienie się biednego Cezara Ritza, który zawsze domaga się specjalnego traktowania.

Chess zachichotała.

— Ty i Nathan będziecie mi musieli wszystko dokładnie opowiedzieć.

— Co to znaczy? Sama to zobaczysz. Nie mów mi tylko, że martwisz się o reputację. Dama nie może jadać w publicznej restauracji, ale hotelowa jadalnia to co innego. Nic nie stoi na przeszkodzie, byś wzięła udział w tej kolacji — zapewnił ją. — Ze swoim mężem. Ja będę waszym gościem.

Kiedy lord Randall odprowadził Chess do apartamentu Richardsonów, zastali Nate'a grzebiącego w stercie pudełek. Większość z nich zawierała przysłane zza oceanu papierosy.

— Jakże szybko wy, Amerykanie, działacie — stwierdził ze zdumieniem Standish, wybuchając śmiechem na widok opakowań dedykowanych księciu Walii.

— Muszę się tam natychmiast udać i zaaranżować przedstawienie was. Nie róbcie żadnych planów na jutro. Bertie zwykle w niedzielę się nudzi, będzie to więc dla niego znakomita rozrywka. O ile, oczywiście, nie wyjechał z miasta. Zawiadomię was, jak potoczyły się sprawy.

Następnego popołudnia karetą Standishów zawiozła lorda Randalla, Nate'a i Chess oraz wypełniony papierosami mahoniowy kuferek do Marlborough House, londyńskiej

rezydencji Jego Książęcej Wysokości Alberta Edwarda, księcia Walii.

Zarówno Nate, jak i Standish byli nienagannie ubrani: mieli na sobie nowe, modne, krótkie fraki, prążkowane spodnie i olśniewająco białe koszule.

Zanim jeszcze umówili się na to popołudnie, Randall obejrzał w ich apartamencie nazwy na pudełkach z papierosami. Nate wyglądał jak Nate — zawsze tak samo. Odmówił wypomadowania sobie włosów, twierdząc, że brylantyna zanadto przypomina mu tytoniowy sok. Chess włożyła na tę okazję jedną ze swoich nowych toalet — popołudniowy, „powozikowy” kostium z bufiastymi rękawami i krótkim trenem. Uszyto go z fioletowego indyjskiego perkalu — zarówno kolor, jak i tkanina różniły się wyraźnie od pastelowych organdyń, w jakich zwykle występowały damy z towarzystwa. Kolejną różnicę stanowiły niczym nie ozdobione białe rękawiczki oraz słomkowy kapelusz tej samej barwy. Białe były również wąskie długie mankiety oraz szeroki płócienny kołnierz jej żakietu. Chess wyglądała elegancko i oryginalnie.

— Mam nadzieję, droga pani Richardson, że zechce mi pani zdradzić, kto uszył ten uroczy kostium — powiedziała księżna Alexandra.

— Luther Witsell, Wasza Wysokość. Wszyscy mnie o to pytają, ale po raz pierwszy zdradzam ten sekret.

— Nikomu więcej nie powiem — obiecała Alexandra, kładąc palec na ustach. — Proszę, niech pani zapisze mi adres. Moja służąca przyniesie papier i pióro.

Po zaprezentowaniu papierosów popołudnie minęło w nadzwyczaj miłej atmosferze. Księżę ścisnął dłoń Nate'a i poklepywał go po plecach.

— A więc to pan jest tym człowiekiem, który na dwa lata uczynił Standisha obiektem żartów. Moje uznanie, panie Richardson. Zasłużył on na to, by nieco przytrzeć mu nosa — stwierdził JKW, mrugając do Randalla.

— Podoba mi się twój przyjaciel, Mefisto. Przyrowadź go do nas we wtorek, przedstawimy go królowi. Ponsonby wyśle wam zaproszenia. Czy pan strzela, panie Richardson?

— Tylko dla zabawy i do wrogów, sir — odparł Nate.

— To mi się podoba! Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o sobie, ale niestety tu nigdy nie mamy sezonu na polowanie na wrogów. Proszę mi powiedzieć, czy w tej części świata, gdzie pan mieszka, jest wiele bażantów?

— Nie. Widuje się je bardzo rzadko. Najczęściej polujemy na przepiórki, które ponoć wy, Anglicy, nazywacie kuropatkami.

— Odpowiednio przyrządzone są wyśmienite. Przepadam za nimi — wzrok księcia powędrował ku siedzącej obok młodej kobiecie. — Miło mi było gościć pana, panie Richardson.

Nate odgadł, że czas się pożegnać. Postąpił krok do tyłu i „usunął się z drogi, by nie przeszkadzać jaśnie panu”, jak to później ujął, opisując tę scenę Chess i Standishowi.

— Co sądzisz o następcy tronu?

— Wydaje się równym facetem. Ale wolałbym nie sprawdzać, czy jest nim w istocie.

— Jesteś bardzo surowy, Nate.

Standish wiedział coś, o czym Richardsonowie nie mieli pojęcia: w porze, w jakiej gościli w Marlborough House, książę przyjmował zwykle jedynie rodzinę i najbliższych przyjaciół: około dwudziestu osób, trzy córki książęcej pary, księżna Alexandra z nieodłączną robótką oraz dwoje szczeniąt, zebrzących o resztki herbatników z tacy.

— Będę wspominać tę wizytę do końca życia, ale cieszę się, że mamy ją już za sobą — wyznała Chess. — Postanowiłam nie brać udziału w Drawing Room.

— A cóż to takiego to „drawing room”? — zapytał Nate. Usłyszawszy odpowiedź, wybuchnął śmiechem. — Boże, pobłogosław Amerykę! — powiedział. — Wcale ci się nie dziwię, Chess, że nie masz ochoty na coś takiego.

Lord Randall chrząknął znacząco.

— Wydaje mi się jednak, że nie masz wyboru, Nate. We wtorek zostaniesz przedstawiony królowi.

— Co?! — zawołała Chess, nie posiadając się ze zdumienia. — Nathan w jedwabnych, sięgających kolan spodniach? Ależ on nigdy nie włoży na siebie czegoś takiego — zaniósła się głębokim, gardłowym śmiechem, który zdawał się przepełniać całe jej ciało.

— Czemu nie? — odparł swobodnie Nate. — Miałem już na sobie niejedną garnitur, w którym wyglądałem jak mała. To może zrobić wrażenie na właścicielach fabryk tytoniu. — Popatrzył na Standisha. — Należysz do rodziny, Randall, a ja zupełnie nie znam tutejszych warunków. Zdałem sobie z tego sprawę podczas pobytu w Manchesterze. Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał udzielić mi rady, co warto uczynić, a czego nie. Czy wiesz cokolwiek na temat tutejszych przedsiębiorstw tytoniowych?

— Nie, ale chętnie się dowiem. Po pierwsze, muszę ci jednak uświadomić, że co do wtorku naprawdę nie masz wyboru. JKW ma zamiar przedstawić cię królowi. Jego życzenie jest dla nas rozkazem.

— Nie lubię, gdy ktoś narzuca mi, co mam zrobić — odparł Nate, sztywniejac.

— Nikt tego nie lubi. Mimo to czasem musimy się z tym pogodzić.

— Mam nadzieję, że przyniesie mi to przynajmniej pewne korzyści — uśmiechnął się z przymusem Nathan. — Gdzie dostanę te śmieszne spodnie, o których mówiła Chess?

— Zabiorę cię jutro do wypożyczalni. Sam także zawsze wypożyczam dworskie stroje. Tak rzadko się ich przecież używa. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, uważam za swój obowiązek towarzyszyć ci podczas spotkania z królem.

Co za zabawna para! — pomyślała Chess, czując, że coś

tu jednak nie jest w porządku. Jej mąż i kochanek nie powinni być przyjaciółmi.

Obiecane przedstawienie w porze kolacji odbyło się dokładnie tak, jak przewidział Standish. Każda z gwiazd chciała zaćmić konkurentki i zaprezentować coś niepowtarzalnego.

Sarah Bernhardt wystąpiła w sukni tak suto wyszywanej kolorowymi szlachetnymi kamieniami, że toaleta mogła sama stać sztywno. Tam gdzie Bernhardt nosiła klejnoty, tam Eleonora Duse ozdobiła swój strój ciepłarnianymi, białymi kameliami, tak że cały dół jej białej szyfonowej sukni był pokryty kwiatami. Jeden kielich przypięto również do szerokiego diamentowego naszyjnika w kształcie obroży. Miało to przypominać wszystkim o sukcesie, jaki odniosła aktorka, grając Damę Kameliową w spektaklu według Dumasa.

Nelly Melba, która w następnym tygodniu miała śpiewać Traviatę, śmiało podjęła wyzwanie. Jej pozycja w operze była taka sama, jak rola Duse w sztuce teatralnej. Ona także włożyła na siebie biały jedwabny szyfon — suknia miała blisko półtorametrowej długości tren, ozdobiony perłami. Niosło go dwóch paziów ubranych w stroje z białego atłasu. Cała biżuteria Melby także była wykonana z pereł — osiem ich sznurów otaczało jej szyję, stopniowo zwieszając się ku talii, którą również otaczał wyszywany perłami pasek. Primadonna trzymała w ręku olbrzymi biały wachlarz ze strusich piór. Kiedy szef Savoyu prowadził ją obok stolika, przy którym siedziała już Duse, jedno z piór odłamało się jakoś od wachlarza i kołysane lekkim przeciągiem zawisło w powietrzu tuż nad głową nieświadomej niczego aktorki. Wszyscy zebrani z napięciem utkwili w nim wzrok i kiedy w końcu pióro opadło na podłogę za krzesłem gwiazdy, przez salę przetoczyło się westchnienie ulgi.

Długa peleryna z pawich piór Adeliny Patti zdawała się odpowiedzią na wyzwanie rzucone przez strusie pióra Melby. Patti nie była jednak zwykłą operową primadonną — należała do gwiazd opery włoskiej i cechowała ją właściwa im ekstrawagancja. Kiedy więc zrzuciła swą pelerynę prosto w wyciągnięte ręce jakiegoś oszałamiająco przystojnego młodego Włocha, okazało się, że suknia, którą miała pod spodem, także jest uszyta z pawich piór. Tyle tylko że te pióra nie były już naturalne. Kolistego kształtu kopie wykonano z bajecznie kolorowych, maleńkich turkusów, lapis-lazuli, szmaragdów, rubinów i topazów. Do tych kreacji doskonale pasowała pierwsza potrawa, jaką podano na obiad: ozdobiony prawdziwymi piórami pieczony paw.

Francuska aktorka Rejane nie weszła, lecz po prostu wbiegła do jadalni, śmiejąc się i szczebiocąc po francusku. Od czasu do czasu zerkała przez ramię, jak gdyby gotując się do ucieczki przed nieznanym prześladowcą. Cała jej suknia była uszyta z błękitnego strusiego puchu i ozdobiona przy dekolcie szafirami i diamentami. Na rękach, od nadgarstków aż po łokcie, nosiła bransolety wysadzane tymi samymi klejnotami.

Lord Randall zadbał, by ich stół znalazł się w strategicznie najlepszym miejscu, ukryty za rzędem doniczkowych palm. Pozwalało to przyglądać się całej sali, samemu pozostając niewidocznym. Było to doskonałe posunięcie, jako że Nathan śmiał się tak serdecznie, aż w jego oczach zabłyśły łzy.

— O nieba! — westchnął Standish. — Przecież to Lillie Langtry.

— Czy ona jest...? — szepnęła Chess, zwracając się ku niemu.

— Tak. Była kochanką Jego Księżęcej Wysokości — przytaknął Randall. — Dłużej niż inna kobieta. A kiedy jej panowanie się skończyło, dzięki pomocy najjaśniejszego pana została aktorką.

Pani Langtry, podobnie jak inne gwiazdy, była nadzwyczaj piękną kobietą. W przeciwieństwie jednak do pozostałych dam nie miała na sobie żadnej wymyślnej toalety. Mimo to już same jej rudozłote włosy wyglądały nader dramatycznie, a czarna koronkowa suknia miała tak głęboki dekolt, że odsłaniała niemal cały legendarny biust aktorki.

— Nie macie wrażenia, że te piersi zaraz się wysuną na wierzch? — szepnęła Chess.

Nathan i Standish pokiwali głowami. Obaj zadawali sobie oczywiście to samo pytanie — podobnie jak inni goście na sali. Pani Langtry dokładnie na to zresztą liczyła.

Owa pamiętna kolacja w Savoyu zajęła trwale miejsce w kronikach hotelowych, teatralnych i operowych, została także szczegółowo opisana w londyńskich gazetach.

Specjalne dania Escoffiera, wymyślone i nazwane na cześć każdej z gwiazd, latami były kopiowane przez szefów kuchni na całym świecie. Brzoskwinie Melby pojawiły się nawet w karcie dań pewnej restauracji w położonym w Teksasie przygranicznym miasteczku o nazwie Lillie Langtry.

Rozdział 38

Chess wiedziała, że głupotą jest mieć pretensje do Na-thana. Nie ponosił przecież żadnej winy za to, że ksiązę Walii pragnął jego obecności na tym okropnym przyjęciu. Mimo to jednak złościła się. Nate miał spędzić dwa dni z Randallem — dwa dni, które w innym wypadku należałyby do niej.

Poniedziałkowa pogoda harmonizowała z jej nastrojem: padał deszcz. Nie był to przy tym lekki, przelotny deszczyk, do jakich przywykła już w Londynie, ale ciężka, szara, monotonna ulewa.

Kiedy hotelowy boy przyszedł zawiadomić ich, że na dole czeka lord Randall, życzyła mężowi powodzenia, po czym usiadła do pisania długich listów do Gussie i Edith. Skończywszy, z ulgą odłożyła pióro. Wiedziała, że powinna napisać jeszcze inne listy, uznała jednak, że mogą one poczekać. Czuła się zbyt rozdrażniona, by siedzieć spokojnie choćby chwilę dłużej.

Pragnęła być razem z Randallem. Wczoraj po raz pierwszy od początku ich romansu nie kochali się ze sobą, do szaleństwa więc tęskniła za jego ciałem.

A co dzisiaj? Co jutro? Co z tymi wszystkimi dniami, które nadejdą? Kiedy znowu będą mogli być razem? To wszystko wydawało się jej nie do zniesienia.

Miotła się po apartamencie jak uwięziony w klatce lew, gdy zawiadomiono ją, że zamówiony przez pana Ri-

chardsona powóz jest już gotowy. Miał on pozostać do dyspozycji Nate'a i Chess aż do końca ich pobytu w Londynie.

— Każ stangretowi zaczekać — powiedziała służącemu, który przyniósł jej tę wiadomość. — Wkrótce zejść na dół. — Deszcz czy nie deszcz, czuła, że musi wyjść na powietrze.

W recepcji zapytała, gdzie najlepiej szukać starych mebli, i otrzymała listę ośmiu antykwariatów. Nastrój natychmiast jej się poprawił.

Wróciła wczesnym popołudniem z bólem głowy i niemal zrozpaczona. Wszystkie antyki pochodziły z Francji, a przy tym większość była złocona. W każdym ze sklepów powtarzano jej to samo: nie ma popytu na angielskie meble z ubiegłego wieku, dlatego też nikt nie wystawia ich na sprzedaż.

Wydawało się niepodobieństwem, by znalazła choć jedną sztukę.

Nathan także już wrócił. Był, jak zauważyła, setnie ubawiony tym, co zobaczył w wypożyczalni dworskich strojów.

— Dobrze nam robi, jeśli coś zjemy — powiedział. — Kiedy minie ci ból głowy, zastanowimy się, co z tym uczynić — wskazał ręką koszyk wypełniony wielkimi, kwadratowymi, białymi kopertami. Wieść o zaproszeniu ich do Marlborough House rozniosła się lotem błyskawicy. Otrzymali osiemnaście zaproszeń na przyjęcia, herbatę i kolacje.

— O nieba! — westchnęła Chess. — Powinnam szybko coś zjeść i zmienić suknię. Czuję, że dziś po południu zechce odwiedzić mnie wiele dam.

Nie myliła się — przyszło ich aż trzydzieści siedem. Na szczęście zasady składania wizyt były ściśle określone. Odwiedziny mogły trwać najwyżej piętnaście minut, w związku z czym goście cały czas wchodzili i wychodzili, tak że zgromadzony w apartamencie zapas krzeseł okazał się wystarczający.

Pomiędzy odpowiadaniem na pytania, kto jeszcze bawił u księcia Walii i jak ubrana była księżna, Chess sama także usiłowała się czegoś dowiedzieć: gdzie kupić stare angielskie meble. Jedna z dam stwierdziła, że chyba słyszała coś o ciotce czy też ciotecznej babce — nie była tego pewna — Daisy Pollinger. W każdym razie Daisy odziedziczyła mnóstwo staromodnych rzeczy i nie miała pojęcia, co z nimi zrobić. Nie, Daisy nie ma w mieście. Ona nigdy nie przyjeżdża do Londynu.

— Wiecie, to taka miła osoba, tyle, że lekko zwariowana.

Czas składania formalnych wizyt także był ściśle ograniczony: jedna godzina między trzecią a czwartą. Za kwadrans czwarta Chess powrócił ból głowy. Popelniła przy tym niewybaczalny błąd: wspomniała, że Nathan ma zostać nazajutrz formalnie przedstawiony u dworu.

Z bezładnej paplaniny swych gości zdołała jednak wyłowić nazwy przynajmniej trzech sklepów, gdzie mogła znaleźć krzesła w stylu chippendale.

— Słabe to żniwo — powiedziała Nathanowi — ale zawsze lepsze niż nic. Nie będzie mnie rano. Po południu zaś, kiedy ty będziesz w pałacu, ja — zamiast przyjmować gości — sama złożę wizyty. Zabiera to więcej czasu, ale kosztuje mniej nerwów.

Postanowiła udać się do Hermione Standish. Czuła, że musi wymawiać imię Randalla, wspominać o nim i żartować na jego temat, a bała się czynić to z Nathanem. I tak poprosiła już, by zgodził się zaprosić Randalla na kolację. Miała nadzieję, że nie okazała zbyt jawnie rozpaczy, kiedy mąż odmówił.

— Czemu w takim razie nie mielibyśmy zjeść dziś wieczór kolacji w hotelowej jadalni? — zaproponowała, nie dbając już o to, czy jest to właściwe, czy nie. Może uda się jej zająć miejsce, na którym poprzedniego wieczoru siedział Randall? Czuła, że jeśli choć w ten sposób nie zyska z nim jakiegoś kontaktu, oszaleje.

— Dobry pomysł — zgodził się Nate. — Może czeka nas takie przedstawienie jak wczoraj? W żadnym ze sklepów nie było krzesel, jakich szukała, i wracając do hotelu Chess czuła, że znowu zaczyna ją dręczyć ból głowy.

Kiedy jednak ujrzała w ich apartamencie Randalla, wszystkie dolegliwości minęły jak ręką odjął.

— Nate jest niemal ubrany — ostrzegł kochanek, całując ją szybko i przesuwał dłoń po jej piersiach.

Gdy Richardson wszedł do pokoju, oboje siedzieli już w przeciwległych końcach salonu. Nathan miał na sobie strój z zielonego, brokatowego jedwabiu, białe pończochy oraz aksamitne pantofle z błyszczącymi sprzączkami.

— Czuję się jak szczeniak, któremu do uszu i ogona przywiązano puszeki — wyznał, kiedy Randall wręczył mu długą pelerynę.

Sam Standish także miał na sobie podobną. Chess nawet nie zauważyła, jak bardzo czyniło go to podobnym do D'Artagnana, starała się bowiem powstrzymać przed rzuceniem się mu w ramiona. Przebywanie obok kochanka, którego nie mogła nawet dotknąć, było jeszcze gorsze od pozostawiania z daleka od niego.

Ukoronowaniem wszystkich niepowodzeń okazało się to, że nie zastała Hermione w domu.

Rozdrażniona, poleciała stangretowi jeździć w kółko ulicami miasta i dopiero gdy minęła czwarta, wróciła do domu. Zwinęła się w kłębek w rogu kanapy i wybuchnęła płaczem.

— Co się stało z twoimi oczami? — zapytał Nathan. — Są zaczerwienione.

Chess wyjaśniła, że podczas przejażdżki piach spod kół jakiegoś powozu sypnął jej prosto w twarz.

— Czy dobrze się bawiłeś?

— Nie. Oczywiście, że nie. Nie dość, że wyglądałem jak głupiec, to jeszcze Jego Książęca Wszechmogąca Wysokość zrobił mi nowy kłopot. Życzył sobie mianowicie, bym udał się dziś wieczór do jego klubu, aby grać w karty.

Chess poczuła się lekka jak piórko. Randall przyjdzie do niej, gdy tylko Nate opuści hotel. Była tego pewna. Niech Bóg błogosławi księcia Walii!

Kochali się na wąskim łóżku jednej z małych, przeznaczonych dla służby sypialni, stanowiących część apartamentu Richardsonów.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo za tobą tęskniłem — powiedział Randall.

— Mnie brakowało ciebie dziesięć razy bardziej — szepnęła Chess, przytulając się do niego i domagając nowych pieszczot. Mężczyzna odsunął ją jednak od siebie i wstał.

— Musimy wykorzystywać każdą szansę, ale nie wolno nam postępować lekkomyślnie. Przyjdź do mnie jutro. Powiedz, że jedziesz na zakupy. Muszę już iść, ty zaś powinnaś się wykapać. Pachniesz miłością.

— Uwielbiam pachnieć miłością. Pachnieć tobą — przekomarzała się z nim Chess, wiedziała jednak, że Randall ma rację. W dodatku jutrzejsze spotkanie było tak blisko...

Następne dni przyniosły potwierdzenie słów Randalla. Niebezpieczeństwo odkrycia ich romansu dodawało ich spotkaniom dreszczyku emocji.

Podobnie jak cały Londyn Richardsonowie także udali się na Derby, najważniejszy wyścig w roku. Trybuny w Epsom Downs wypełniał zwarty tłum widzów. Książęta przepychali się łokciami wśród uliczników, hrabiny tłoczyły się

obok barowych dziewczek i wszyscy bawili się doskonale, pomimo że przez cały dzień nieprzerwanie padał deszcz.

Nate znalazł dla żony drewnianą skrzynkę, by mogła na niej stanąć," a jego silne ramiona chroniły ją przed stratowaniem przez rozkrzyczany tłum. Kiedy lord Rosebery wystrzelił z pistoletu, Chess zaczęła głośno dopingować swojego konia. Tysiące ludzi wokół niej czyniło to samo. Nowy, przystojny premier nie zrobił jeszcze nic, by zrazić do siebie obywateli, a oni lubili, gdy na czele rządu stał człowiek pasjonujący się sportem.

Po jakimś czasie przez ludzką ciżbę przepchnął się ku nim Standish. Na jego widok Chess poczuła, jak przepełnia ją uczucie szczęścia, ponieważ wiedziała, że ten mężczyzna w żaden sposób nie może się trzymać z dala od niej. Ukłon i muśnięcie wargami dłoni było wszystkim, na co pozwalały reguły życia towarzyskiego, ale mimo to przez rękawiczkę poczuła mocny, kurczowy uścisk jego palców. Kiedy śmiał się rozmawiając z Nathanem, przybierała pozornie obojętną minę, która miała świadczyć, że interesują ją wyłącznie słowa kierowane do jej męża, nie zaś niby to przypadkowe zetknięcia ramion, gdy napierający tłum popychał ich ku sobie.

Standish przyniósł Nate'owi niewesołą wiadomość. JKW życzył sobie, aby Nathan ponownie złożył mu dziś wieczorem wizytę w Marlborough Club. O jedenastej. Miał wpaść na partyjkę bakarata. Poprzedniego wieczoru gra sprawiła księciu ogromną przyjemność. Przez ponad tydzień Nate bywał w klubie prawie co noc. Spędzał tam wiele godzin i wracał do domu dopiero o świcie. W tym samym czasie Randall z kolei odwiedzał nocami apartament Chess, rankiem zaś ona przenosiła się do niego. Zyskiwała coraz większą wprawę w wymyślaniu kłamstw na temat zakupów, podczas których nie znajdowała rzeczy, jakich szukała.

Była jednak coraz bardziej zmęczona, jako że popołu-

dniami przyjmowała bądź składała wizyty, a niemal co wieczór oboje z Nathanem uczestniczyli w uroczystych kolacjach. Po przedstawieniu Richardsona na dworze zaproszeniom nie było końca. Nate także był na granicy wyczerpania, ponieważ całe dni spędzał, rozmawiając o interesach z właścicielami wielkich przedsiębiorstw tytoniowych, których próbował przekonać, że powinni przystąpić do organizowanego przez niego stowarzyszenia.

— Z przyjemnością zabiłbym twojego kuzyna za to, że zabrał mnie do tego Marlborough Club, gdyby nie to, że tam właśnie poznałem dwóch najpoważniejszych producentów papierosów w Anglii. Potem musiałem się już tylko postarać, by razem z Bertiem przegrać do nich pieniądze — zachichotał, ale w jego głosie brzmiało raczej znużenie niż wesołość. — Wcale nieźle, jeśli zwykły chłopak z tytoniowej farmy w hrabstwie Alamance może zwracać się do następcy angielskiego tronu per „Bertie”.

Chess czuła się winna wobec męża, nienawidziła przy tym kłamstw, którymi ciągle musiała go raczyć. Była pewna, że on sam nigdy jej nie okłamał. Jednak jej tęsknota za Randallem, jego dłońmi, ustami i ciałem była silniejsza od wszystkiego, czego dotąd w życiu doznawała. Chess szalała wprost z namiętności.

Jedenastego czerwca niespodziewanie skończył się strajk dorożkarzy. Na ulicach, które już wcześniej wydawały się Chess zbytnio zatłoczone, zapanował teraz taki ruch, że dojechanie do mieszkania Randalla zabrało jej dwukrotnie więcej czasu, co doprowadziło ją niemal do szaleństwa. W dodatku Standish powiedział jej, że musi wyjechać na weekend.

— Nienawidzę rozstawać się z tobą, moja ukochana, ale JKW zażądał, bym był na jego jachcie podczas kró-

lewskich regat na Tamizie. Wiesz, że nie mogłem odmówić. Nie rozpaczaj, Chess. To tylko dwa dni.

— Czemu Nathan nie mógł cię zastąpić? Przecież to właśnie jego zapraszano, by przegrywał w karty.

— Powiedział JKW, że cierpi na chorobę morską — wybuchnął śmiechem Standish.

— Nic podobnego!

— Sprytny facet z tego twojego męża.

Chess zdawała sobie sprawę, z jakim naciskiem Randall wymówił ostatnie słowa. Czyżby był na nią zły? A może poczuł się już znużony ich romanssem? Przypomniała sobie wypowiedziane słodkim głosem uszczypliwe uwagi pewnej damy na jednym z przyjęć.

— Masz ogromnie dużo szczęścia, moja droga, że jesteś jedyną kobietą, która w tym sezonie cieszy się względami Mefista. Dopóki nie poczuje się znudzony, jest doskonałym kochankiem.

Chess postanowiła skończyć z narzekaniem i w radosnym nastroju spędziła z kochankiem dwa dni dzielące od weekendu.

W sobotę i niedzielę odpoczywała. Wcześniej nie uświadamiała sobie, jak bardzo potrzebuje relaksu. Oboje z Nathanem spacerowali wolnym krokiem po ogrodach na brzegu rzeki, zjedli lody oraz wysłuchali koncertu jakiejś orkiestry. I rozmawiali. Minęły już długie tygodnie, kiedy ostatni raz prowadzili ze sobą taką beztruską konwersację.

Nate wierzył, że jest bliski nakłonienia jednego z przedsiębiorców tytoniowych do przystąpienia do jego stowarzyszenia. Za nim z pewnością poszliby następni.

Czy mówił jej już o tym wcześniej? Czy w ogóle rozmawiał z nią chociaż raz o spotkaniach z tymi ludźmi? Nie pamiętała.

Po raz pierwszy miała wyrzuty sumienia z powodu swojego romansu. Nathan nigdy jej nie kochał.

Nigdy też nie kochał się z nią, ale jeśli chodziło o najważniejszą rzecz

w jego życiu — rozwinięcie tytoniowego interesu — zawsze byli dla siebie pełnoprawnymi partnerami. Nadał nawet swym papierosom jej panięskie nazwisko.

Z rozmów z innymi kobietami wiedziała, że ich mężów nie łączyło z nimi nic prócz nazwiska oraz — czasami — łóżka. Ona miała znacznie więcej szczęścia. Dzięki Natha-nowi. Nigdy, nawet przez minutę, nie myślała, że wolałby zmienić ich wzajemne stosunki na takie, jakie panowały w innych małżeństwach. Niezależnie od tego, jak bardzo szaleje za Randallem, powinna interesować się tym, co robi jej mąż, i cieszyć się jego sukcesami.

— Widziałas to? — zapytał Nathan, podając jej sobotnie wydanie „Illustrated News”, najmodniejszego ostatnio tygodnika. Zakreślił w nim jedną z reklam. Tłustym drukiem wypisano w niej nazwę papierosów Fuli Dress, mniejsze litery zaś informowały czytelników, że mogą kupić je w każdym sklepie z tytoniem. Jeszcze mniejszy napis zdradzał producenta: „Kinney Bros, Nowy Jork”.

— To jedno z przedsiębiorstw należących do korporacji Bucka Duke'a — powiedziała Chess. — Co oni robią w Londynie? Czy sądzisz, iż Duke wie, że i ty tutaj jesteś?

— Prawdopodobnie, choć nie mam pewności. Ci Anglicy są tak małomówni, że z trudem przychodzi im nawet przedstawianie się na początku rozmowy. Jakby chcieli utrzymać w sekrecie to, kim są, a także iż mają cokolwiek wspólnego ze światem interesu. Nie potrafię sobie wyobrazić, by jakikolwiek podkupiony przez Duke'a urzędnik potrafił pociągnąć ich za język.

— Czy sądzisz, że American Tobacco Company ma zamiar rozpętać tutaj cenową wojnę? To przecież specjalność Duke'a, czyż nie?

— Tak, jest w tym świetny. Tyle, że ma większe doświadczenie w tytoniu do żucia niż w papierosach. No i musiałby stoczyć prawdziwą bitwę. Dick Reynolds nie ma w banku dostatecznie wiele pieniędzy, ale Liggett & Myers mogą

obniżyć ceny na równi z Buckiem i przez długi czas nie odczuć skutków tego posunięcia. Nadszedł nasz czas. Duke musi się najpierw zająć zrobieniem porządku na własnym podwórku. Ucieszyłem się, widząc reklamę tego Kinneya. Posłużę się nią, by postraszyć ludzi, z którymi pertraktuję. Chess popatrzyła nań podejrzliwie.

— Nathanie Richardsonie, czy to ty sam zamieściłeś to ogłoszenie w gazecie?

— Uważasz, że byłbym zdolny do tak nieuczciwego, nikczemnego postępuku? — zapytał, patrząc na nią wesoło.

Chess pomyślała, że mąż wygląda teraz na o wiele mniej zmęczonego i znacznie bardziej przypomina dawnego Na-te'a. Przyrzekła sobie w duchu, że postara się być dla niego lepszym partnerem niż dotąd. W poniedziałek złożył im wizytę Randall. Przyniósł dobre nowiny: papierosy Jego Księżęcej Wysokości cieszyły się na jachcie ogromnym powodzeniem. Bertie miał zamiar uczynić je gatunkiem oficjalnie palonym w Marl-borough Club.

— Wszyscy członkowie tego klubu palą cygara — zauważył sucho Nate. — Nie będzie więc zbyt dużo go to kosztowało.

— Mimo to załatwisz następną partię, prawda? — dopytywał się Standish.

— Już to zrobiłem. Jeszcze przed końcem miesiąca powinno przyplłynąć tu dziesięć skrzynek.

Najdalej za dwanaście dni.

Chess odetchnęła głośno. Przeprosiła szybko, tłumacząc, że źle się poczuła. Tak naprawdę przeraziło ją po prostu to, jak szybko upływa czas. Nie potrafiła znieść myśli, że na drugiego lipca mają z Nate'em zarezerwowany apartament na statku do Nowego Jorku. Jakże zdoła rozstać się z Randallem? Nie, wiedziała, że tego nie przeżyje.

Popatrzyła z rozpaczą na Standisha, ale napotkała jedynie jego ostrzegawcze spojrzenie.

— Możesz już dziś wieczór zacząć zachęcać ich, by przerzucili się na papierosy — powiedział Randall z uśmiechem. — JKW prosił mnie, bym przekazał ci jego zaproszenie.

Chess spuściła wzrok, by ukryć rumieniec, jaki oblał jej twarz. A więc najbliższą noc spędzi z kochankiem.

Do lipca pozostawały jeszcze blisko dwa tygodnie. Przez ten czas wszystko może się wydarzyć: negocjacje Nathana mogą się przeciągnąć, księżę Walii może zaprosić go na kontynent, by towarzyszył mu w oddawaniu się grom hazardowym... Wszystko jest możliwe.

Postanowiła, że teraz będzie żyła tylko tymi chwilami, kiedy czuła Randalla blisko przy sobie. Nic więcej się nie liczyło.

Rozdział 39

W tym tygodniu odbywały się wyścigi konne w Ascot, ale Londyn nie opustoszał tak, jak miało to miejsce w przypadku Derby. Ascot było tylko dla elity. Rotten Row wydawało się wyludnione, na Strandzie jednak panował już zwykły ruch. Chess z irytacją patrzyła na tłoczące się pojazdy.

Wszystko ją teraz denerwowało. Nathan oświadczył, że nie zamierza pojechać do Ascot — Epsom Downs dało mu dostateczne pojęcie o tym, jak wyglądają wyścigi w Anglii. Ich własny tor w Standish wystarczy mu w zupełności — nie musi oglądać innych.

Randall także nie mógł towarzyszyć jej podczas gonitwy. Udawał się rano do letniej rezydencji w pobliżu Windsoru i miał przybyć na wyścigi razem z innymi uczestnikami tego przyjęcia.

— Wszyscy wyjeżdżają teraz na wieś — powiedział. — Przypuszczam, że ty i Nate także otrzymacie liczne zaproszenia. Oboje jesteście przyjmowani wszędzie z otwartymi ramionami.

— Cóż, nie dostaliśmy jeszcze żadnego. A więc nie będę cię widziała przez całe trzy dni.

Mężczyzna dotknął jej ust.

— Pomyśl o tym, co będzie, kiedy wrócę. Po trzech nocach rozłąki i tęsknoty za tobą... — Przesunął palcami

po jej rozpuszczonych włosach i chwyciwszy jej głowę, przyciągnął ją do siebie, całując namiętnie. Ale to miało miejsce całe dwa dni temu. Teraz zaś ogarnięta rozpaczą Chess czyniła rzeczy, których obiecywała sobie nie robić: narzekała i była ponura, zamiast udawać wesołość i rozbawienie.

Torturowała się dodatkowo, rozpamiętując wszelkie opowieści, jakie słyszała na temat przyjęć w letnich rezydencjach. Wydawały się jej one niczym więcej jak tylko rozpustnymi zabawami, podczas których pozwalano sobie nawet na specjalne oznaczanie sypialni, by kochankowie przez pomyłkę nie weszli do niewłaściwego pokoju.

Kto towarzyszył tam Randallowi, zajmując miejsce, które powinno należeć do niej?

— Nie możesz jechać nieco szybciej?! — zawołała do stangreta, mimo iż wiedziała, że robi on wszystko, co w jego mocy, by wydostać się z korka. Żałowała, że ci biedni dorożkarze zawiesili swój strajk. Gdy trwał, można było przynajmniej bez przeszkód przedostać się przez miasto.

Luther Witsell ogromnie ucieszył się na jej widok. Z rozmachem zrzucił z krzesła sztukę jedwabiu, robiąc jej miejsce, by usiadła.

— Szepniesz choćby słowo, a to będzie należeć do ciebie — powiedział, rozwijając przed nią kwiecistą tkaninę.

— Spódnica z motylimi skrzydłami? Szal z promieni księżyca?

Chess roześmiała się niechętnie. Nie chciała okazywać swego rozdrażnienia, ale dobry nastrój Luthera denerwował ją.

— Potrzebuję stroju na bal u księżnej Devonshire — odrzekła.

Luther wzniosł ręce ku niebu i osunął się na kolana.

— Największe wydarzenie tego sezonu! — zawołał.

— Muszę przywołać na pomoc moje muzy. — Długimi palcami przejechał po zmierzwionych rudych włosach.

W kącie pokoju, który zwykle pozostawał zasłonięty kotarą, Chess zauważyła wąską kozetkę i maleńki stoliczek z naftową maszynką. Jakaż ze mnie podła egoistka! — pomyślała. Gdybym mówiła każdemu, kto mnie o to pyta, gdzie szyję suknie, Luther byłby już zamożnym człowiekiem. Sądzę, że księżna zainteresowała się moim krawcem tylko przez grzeczność — Witsell jest zbyt nowoczesny, by ubierać kogoś z jej pozycją. Jest skazana na to, żeby zostać następną królową, nie może więc pozwalać sobie na żadne ekstrawagancje.

— Twoja alabastrowa skóra jest jak blask księżycy w ciemnym, tajemniczym ogrodzie — powiedział Luther.

Chess słuchała go uważnie. Zaproszenie na ów bal stanowiło potwierdzenie odniesionego przez nią sukcesu towarzyskiego. Wielokrotnie opowiadano jej, jak różne damy i dżentelmeni rozpaczliwie ubiegali się o ten zaszczyt. Nic nie szkodzi, że zaproszenie, które otrzymała, wiązało się najpewniej z przyjaźnią okazywaną Nathanowi przez księcia Walii. To wynagradzało jej upokorzenie, jakiego doznała, gdy nikt nie zaproponował im wyjazdu do jakiejkolwiek letniej rezydencji.

— Suknia nie może być zbyt ciężka — ostrzegła. — W połowie lipca panują zwykle upały.

Uparcie nie chciała przyjąć do wiadomości, że wówczas nie będzie jej już w Anglii.

— Poza tym w sali balowej płonie zawsze tysiące świec — westchnął z zachwytem Luther. — Z pewnością będzie tam gorąco jak w piekle.

Kiedy Chess zeszła z wysokich schodów, które wiodły do pracowni Witsella, na dworze przywitała ją szara ściana mgły. W pierwszej chwili poczuła lęk. Nie widziała swego powozu i choć słyszała odgłosy kroków, nie mogła dostrzec ludzi. Była to pierwsza gęsta mgła, z jaką zetknęła się w swoim życiu.

Gdy tylko uświadomiła sobie, z czym ma do czynienia, ogarnęło ją jeszcze większe przerażenie. A więc to o tym tylekroć czytała! Przypominające duchy sylwetki, które były ledwie widoczne, mogły równie dobrze pochodzić z opowiadań o Sherlocku Holmesie.

— Halo! — zawołała. — Czy jest gdzieś tutaj powóz Richardsonów?

Siedzący zwykle z tyłu lokaj po omacku doznał do niej i powoli poprowadził w stronę pojazdu.

— Na Baker Street — rzuciła Chess.

— Dokąd, proszę pani?

— Na Baker Street — powtórzyła. — Pod numer 221B. Stangret zrobił zdziwioną minę.

— Pan Holmes nie jest postacią autentyczną — powiedział, starannie dobierając słowa.

— Wiem — roześmiała się Chess. — Poza tym on nie żyje. Mimo to nadal chcę pojechać na Baker Street.

Przez całą drogę, kiedy powóz przemierzał wypełnione mgłą ulice, wyglądała przez okno. Na tle szarej zasłony co pewien czas ukazywały się i znikwały jakieś twarze, konie, skrzynki pocztowe i latarnie. Chwilami słyszała dochodzące nie wiadomo skąd dźwięki, które zamierały równie nagle, jak się pojawiały. W pewnym momencie wydawało jej się, że dobiegł ją czyjś śpiew, kiedy indziej postyszała łkanie.

Wszystko wydawało się takie dziwne i tak przerażająco piękne.

Cztery razy przechodziła obok miejsca, gdzie Holmes miał swój fikcyjny dom. Nie zobaczyła jego drzwi, ponieważ one nie istniały, ale zdołała przyjrzeć się dokładnie wszystkim budynkom na tej ulicy. W jednym z nich mógł mieścić się pokój kryjący całą naukową aparaturę wielkiego detektywa.

W tym otulonym wilgotną szarością świecie można było wyobrazić sobie wszystko.

Musiała przesuwać palcem po grubych murach kamienic, by się nie zgubić — ten sposób niechętnie doradził jej

stangret. Poruszała się wolno jak ślimak. Tam, gdzie na drodze stawały jej frontowe schody domów, okrążyła je ostrożnie, po czym znów odnajdowała gruby mur. Była to wspaniała przygoda.

— Bałem się, że się zgubiłaś — powiedział Nathan, kiedy dotarła do hotelu.

— O tak, tak było. Prawie przez godzinę. Ale zrobiłam to celowo — przyznała i opowiedziała mu o niewidocznych budynkach przy Baker Street.

— Ja natomiast nieomal wszedłem do rzeki — wyznał ze śmiechem Nate. — Wydawało mi się, że idę przez Strand, skręciłem tymczasem w jedną z uliczek po prawej stronie. Gdyby nie jakiś mały rzeźmieszek, który usiłował dobrać się do mojej kieszeni, byłbym już strawą dla ryb. Kiedy popchnął mnie i przewrócił, okazało się, że widzę pod mgłą! Wyobraź sobie, że ona to opada, to unosi się nad ziemią.

— Żałuję, że nie wiedziałam tego wcześniej. Mogłabym stanąć na czworakach i zorientować się, gdzie jestem.

— Chcesz spróbować?

— Och tak!

Trzymając się za ręce, po omacku powlekli się przez hotelowy ogród ku Embankment.

— Oho, mgła już się rozwiewa — powiedziała rozczarowana Chess. — Popatrz, tu ponad nami widać kawałek nieba.

— W takim razie kładźmy się szybko na ziemię, zanim zupełnie zniknie. Powiadają, że latem mgła pojawia się bardzo rzadko, możemy więc nie mieć drugiej takiej okazji.

Chess uklękła, a potem stanęła na czworakach na żwirowej ścieżce, niemal dotykając nosem rosnących nie opodal kwiatów i z rozkoszą wdychając ich mocną, słodką woń.

Minutę później poczuła na ramieniu dłoń Nathana.

— Lepiej wstań, zanim ktoś cię zobaczy i wezwie ambulans. Mgła znika bardzo szybko.

Chess niechętnie podniosła się z klęczek. Od lat już nie robiła niczego tak zabawnego. Nigdy dotąd nie uświadamiała też sobie, jak piękne mogą być małe różowe kwiatki, kiedy ogląda się je z tak bliska. Tego wieczoru zjedli kolację w swoim apartamencie. Nathan stwierdził, że nie ma ochoty ubierać się w wieczorowy strój, i Chess zgodziła się z nim. Przyjemnie było pozostać w popołudniowej sukience i rozluźnić nieco gorset.

Po jedzeniu czytali — Nathan raporty z fabryk, Chess zaś otrzymaną od Randalla powieść George'a du Mauriera. Przypomniała sobie dotyk koniuszków jego palców, kiedy wkładał tę książkę w jej dłonie, i poczuła, jak ogarnia ją podniecenie. Co za szczęście, że kochanek miał już niedługo wrócić!

Powieść opowiadała o życiu bohemy i wkrótce Chess była całkowicie pochłonięta lekturą. Bohaterka książki, młoda dziewczyna o imieniu Trilby, pracowała jako modelka, pozując młodym artystom do obrazów. Chess była wstrząśnięta: ta kobieta pokazywała się innym nago, klęła i sypiała z wieloma mężczyznami, nie odczuwając przy tym wyrzutów sumienia. Nawet paliła papierosy!

Chess przerwała na chwilę lekturę, by powiedzieć Na-thanowi o nałogu bohaterki powieści.

— Może wszystkie upadłe kobiety palą? Powinieneś wysłać kogoś do tej części miasta, gdzie można je spotkać, i sprawdzić to. Jeśli to prawda, mógłbyś sprzedawać w takich dzielnicach mnóstwo papierosów!

Nathan mruknął coś niezrozumiale i przewrócił kartkę. Już wcześniej wiedział, że prostytutki chętnie sięgają po papierosa. Kilkakrotnie odwiedził słynniejsze z tutejszych domów publicznych, zawsze jednak życzył sobie, by jego dziewczyna nie paliła. Nienawidził zapachu tytoniu.

Chess czytała do późna w nocy. Była całkowicie oczarowana uwodzicielskim nauczycielem tańca imieniem Sven-

gali, który zahipnotyzował biedną Trilby i zrobił z niej swoją niewolnicę.

Uczył ją także najślynniejszą w Europie śpiewaczką. Dzięki czarorr Svengalego jej głos brzmiał tak czysto, że po każdym występie miała publiczność u swoich stóp. Stopy te, notabene, zawsze pozostawały bosc.

Zaczytana Chess pozwalala, by kolejne strony taniego papieru spadały na ziemię, tak że kiedy Svengali uległ w końcu atakowi serca i umarł za kulisami londyńskiej sali koncertowej, wokół niej leżał już spory, bezładny stos kartek. W tej samej chwili, gdy jej pan i władca wyzionął ducha, stojąca na scenie Trilby straciła głos. Chess zadrżała lekko, zabierając się do czytania następnej strony. Rozplakała się uszczęśliwiona, odkrywszy, że bohaterka uchroniła się przed całkowitym upadkiem i znalazła drogę ocalenia. Końcowa scena, gdy Trilby, która ponownie odzyskała głos, umiera z pieśnią na ustach, sprawiła, że Chess nie potrafiła opanować szlochu.

Cóż za wspaniała książka! — pomyślała, ocierając oczy i starannie składając rozsypane kartki. Zabierze je do domu i pokaże Jamesowi Dike'owi. Bez wątpienia nigdy nie miał niczego podobnego w swojej księgarni. Z pewnością nie było to dzieło, jakie mogłaby przedstawić w ich Towarzystwie Literackim — stwierdziła, chichocząc na samą myśl o tym. Kładąc się do łóżka, czuła się tak, jakby sama należała do bohemy. Cieszyła się, że dane jej było poznać człowieka, który napisał „Trilby”, choć zupełnie nie wyglądał on na kogoś związanego ze światem artystów.

Poniedziałkowe gazety przyniosły wielkie, czarne nagłówki:

PREZYDENT FRANCJI ZAMORDOWANY

oraz równie dużymi literami:

NARODZIŁ SIĘ KRÓLEWSKI POTOMEK!

Bertie został dziadkiem. W związku z tym przed pałacem Buckingham miała się odbyć parada straży. Chess uwielbiała przyglądać się zmianom warty dokonywanym przez królewskich gwardzistów. Niekiedy opóźniała nawet chwilę opuszczenia mieszkania Standisha, by móc obserwować ją po drodze do hotelu. Tego poniedziałku nie była jednak u kochanka, ponieważ nie wrócił on jeszcze z Windsoru.

Na szczęście przysłał list z wiadomością, że nie będzie go aż do popołudnia. Inne wieści okazały się tak ekscytujące, że całkowicie wynagrodziły jej przeżyte rozczarowanie.

Jedną z uczestniczek przyjęcia była Daisy Pollinger, owa dama, która — jak głosiły plotki — tak bardzo pragnęła pozbyć się starych mebli. Standish dołączył adres oraz nazwisko plenipotenty panny Pollinger, do którego należało się w tej sprawie zwrócić. Pan Adderly miał klucz do domu, w którym składowano meble, i był upoważniony do pokazania ich pani Richardson, jeśli będzie sobie tego życzyła.

Chess obserwowała straż aż do chwili, gdy ostatni szereg zniknął w bramie koszar, po czym udała się prosto do biura pana Adderly'ego przy Bond Street.

Plenipotent panny Pollinger okazał się drobnym, starszym dżentelmenem o cichym głosie i prawdziwie dworskich manierach. Przypominał Chess jej dziadka, choć Augustus Standish wolał krzyżeć niż mówić szeptem. Jej podziw dla starych mebli wzbudził uznanie starca.

— Ufam, że taka wytworna dama jak pani, pani Richardson, znajdzie dom dla skarbów lady Elizabeth. Z pewnością poczułaby się gorzko rozczarowana, widząc, jak panna Pollinger nie docenia odziedziczonego po ciotce spadku.

Chess miała nadzieję, że sprzęty nie są zbyt brzydkie.

Postanowiła je kupić mimo wszystko — wolała to niż popaść w niełaszkę u pana Adderly'ego, podobnie jak panna Pollinger.

Dom lady Elizabeth mieścił się przy Russell Square, a ta okolica już od dawna wyszła z mody. Był to prosty budynek z czerwonej cegły, otoczony kwadratowym, zarosłym chwastami ogrodem. Ceglany chodnik wiodący od bramy do głównych schodów był pokruszony, a w szparach zdążyła już nawet wykiełkować trawa.

Wielkie frontowe drzwi miały dwa wysokie skrzydła, z których każde było podzielone na cztery prostokąty. Ponad nimi znajdował się piękny, półokrągły świetlik.

Chess próbowała nie robić sobie zbyt wielkich nadziei, ale nie mogła powstrzymać się od myśli, że to wejście tak bardzo przypomina Harefields...

Pomogła panu Adderly'emu wsunąć w zamek żelazny klucz, i drzwi, skrzypiąc protestująco, otworzyły się na oścież.

W tej samej chwili Chess zaniemówiła z wrażenia. W szerokim holu leżała gruba warstwa kurzu, ale to nie było w stanie zaćmić piękna wiodących na górę spiralnych schodów. W powietrzu tańczyły tęczowe błyski odbijających się od ścian promieni słońca.

Chess zaczęła cicho płakać. Nie potrafiła się opanować.

— Kiedyś, jako mała dziewczynka, mieszkałam w domu, który wyglądał identycznie jak ten — powiedziała. — Czy bardzo będzie miał pan mi za złe, jeśli usiądę sobie na schodach i na chwilę oddam się wspomnieniom?

Stary dżentelmen był poruszony jej łzami i sentymentem, z jakim wspominała swe dzieciństwo. On sam także spędził młodość w bardzo podobnym domu.

— Możesz zatrzymać klucz do tego domu tak długo, jak tylko zechcesz, moje dziecko — powiedział.

— Zwróć

go, kiedy będziesz miała na to ochotę — dodał, po czym pożegnał się i dyskretnie odszedł splekanym chodnikiem.

Chess pozostała w domu lady Elizabeth aż do chwili, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Zapomniała o Randallu, Nacie, Londynie. Otoczyły ją duchy przeszłości. Znowu była ze swoją rodziną, na powrót stała się dzieckiem, które powoli przemieniało się w kobietę.

Dom okazał się mniejszy niż rezydencja Harefields, ale urządzono go ze znacznie większą dbałością o szczegóły. Błądząc po mrocznych, choć przestronnych i przytulnych pokojach, Chess zastanawiała się, jak ktokolwiek potrafił tak dobrać poszczególne sprzęty, by tworzyły piękną, harmonijną całość. Niespodziewanie wspomnienia przeszłości wywołały w niej uczucie wstydu, że ona, wychowana w Harefields, mogła przedkładać grzeszne rozkosze ciała nad przyzwoitość i honor małżeńskiej przysięgi.

Czy jej przystojni starsi bracia byli tacy jak Randall? Czy miesili romanse z kobietami poślubionymi innym mężczyznom?

Czy jej matka kiedykolwiek oddała się mężczyźnie, który ją uwodził? Czemu zgadzała się na to lub wręcz oczekiwała, że jej mąż i teść będą płodzić nieślubne dzieci z niewolnicami?

Czy rzeczywiście pożądanie rządzi całym światem? A jeśli tak, czy ów ład, jaki widziała wokół siebie, jest tylko pozorami racjonalności, która w gruncie rzeczy nie istnieje?

Jesteś tym, czego chcę — powiedziała w duchu temu milczącemu, zakurzonemu domowi. — Jest w tobie spokój i piękno... A przy tym dzięki tobie wiem już, że wystarczy, by Randall mnie dotknął, a będę należeć do niego tak długo, jak tylko zechce, choć w jego ramionach nie ma dla mnie ukojenia, lecz tylko dzikie, gwałtowne pożądanie.

Czuła się ogromnie wzruszona, gdy zamykała za sobą na klucz wielkie drzwi. Wiedziała, że znalazła sprzęty, których tak długo szukała, choć nie mogła mieć pewności, że uda się jej zdobyć je na własność.

— Dziękuję, że pozwolił mi pan zostać w tym domu — powiedziała staremu plenipotentowi. — Jestem gotowa kupić wszystko, co tylko panna Pollinger zechce mi sprzedać.

— Znalazłam w końcu meble do Harefields, Nathanie — oświadczyła triumfalnie po powrocie do hotelu.

— To wspaniale. Chcę usłyszeć wszystko na ten temat. Teraz musimy jednak iść na ów okropny obiad, na który przyjęłaś zaproszenie. Zrobiło się późno. Twoja pokojówka już od godziny dopytuje się, jaką suknię ci przygotować.

— Całkiem o tym zapomniałam. Zaraz będę gotowa. Nathan zaczekał, aż znaleźli się w powozie, i dopiero

wówczas wyjawiał jej wielką nowinę.

— Upchurch podpisał dzisiaj wreszcie umowę. Przed końcem tygodnia zrobią to także inni — uśmiechnął się i odetchnął głęboko. — A więc pokonałem Bucka Duke'a — dodał po chwili.

— Ależ to wspaniale, Nathanie! Musimy to jakoś uczcić! Zapalimy fajerwerki.

— Żeby wyrazić to, co czuję, potrzebny byłby chyba wybuch wulkanu. Ponieważ jednak żadnego nie mamy pod ręką, wzniesiemy w sekrecie toast szampanem naszego gospodarza. Ogromnie zasmakowałem ostatnimi czasy w szampanie.

Był dwudziesty czwarty czerwca 1894 roku. Chess postanowiła, że każe wygrawerować tę datę na spinkach do mankietów, szczotkach do włosów, złotym zegarku oraz srebrnym wiaderku do szampana... Nie, na czterech srebrnych wiaderkach do szampana. Kiedy wrócą do Standish, wydadzą wielki bal z fajerwerkami i wówczas ofiaruje te przedmioty Nathanowi. Być może w czasie świąt Bożego Narodzenia.

To było bardzo duże przyjęcie — zaproszono na nie, jak policzyła Chess, około czterdziestu osób. Obsługa zabiera tak dużo czasu, gdy jest tylu gości — pomyślała, tłumiąc westchnienie. Kiedy jednak w stojącej nie opodal grupie ludzi zauważyła Oscara Wilde'a, nie żałowała już, że się tu znalazła. Żeby tylko posadzono ich na tyle blisko siebie, aby mogła słyszeć, co mówi, a kolacja może trwać nawet w nieskończoność — i tak nie będzie się nudzić.

On także ją zauważył.

— Nasza konfederacka piękność — powiedział głośno. — Proszę pozwolić mi klęknąć i złożyć pani wyrazy uwielbienia. Oddam tym samym cześć przegranej sprawie.

— Jak miło cię widzieć, Oscarze! Czyżbyś przeczytał wojskową historię Ameryki?

— Nie z własnej woli, jak zapewne się domyślasz — odrzekł mężczyzna, całując jej dłoń. — Przebywałem ostatnio w towarzystwie niezwykle gadatliwego historyka. Jeśli chodzi o wojnę secesyjną, jestem już ekspertem. Gdyby Południe dało mi armię, konia i jakiś piękny mundur, naprawiłbym wszystkie jego błędy. Drogi Luther niemal odniósł sukces — dodał, zmieniając temat i obrzucając ją uważnym spojrzeniem. — Choć ten strój nie jest jeszcze dostatecznie królewski. Wyglądasz pięknie.

Oscar był dla niej bardzo miły, ale też nieco zasmucony. Znał doskonale tajniki ludzkiego serca i wiedział, jakie jest prawdziwe źródło tego, że Chess wygląda tak ładnie. Była zakochana. To sprawiało, że czuła się piękna, dzięki czemu rzeczywiście taką się stała. Twarzowe stroje stanowiły jedynie dodatek do jej szczęścia. Gdyby miłość mogła trwać wiecznie, jakże piękny byłby świat! — pomyślał. — Jak Chess dzisiejszego wieczoru.

Wyglądała odmiennie niż reszta kobiet, choć nie była to jakaś znacząca różnica. Jej suknia miała modny kształt klepsydry: mocno ściągnięta w pasie, z głębokimi fałdami

szerokiej spódnicy, tworzącymi z tyłu krótki tren. Całości dopełniał duży dekolt oraz sięgające łokci bufiaste rękawy.

Zgodnie z pomysłem Luthera nie uszyto jej z jedwabiu, organdy czy-koronki, lecz z kawałków wszystkich tych trzech tkanin — zszywając ze sobą prostokąty zielonego jedwabiu, błękitnej organdy oraz fioletowej koronki. Dopiero z tak przygotowanego materiału zrobiono wykrój. Odważne połączenie barw i gatunków tkanin przyciągało wzrok wszystkich zgromadzonych w sali. Chess oddała sprawiedliwość swojemu krawcowi.

— Drogi Luther uczynił mnie prawdziwą wyrocznią w sprawach mody. To wspaniały artysta. Opowiedz mi o wszystkim: co porabiałeś, jak się miewasz.

— Moja droga Chess, musisz nauczyć się powściągliwości. Nigdy nie pytaj mężczyzny, jak się miewa. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że udzieli ci odpowiedzi. A wtedy tylko siebie będziesz mogła winić za to, że umrzesz z nudów.

— Nigdy. Nie z tobą. Jeśli zaś ty nie chcesz mówić, ja w każdym razie mam na to ogromną ochotę. Przeżyłam ostatnio mnóstwo ekscytujących przygód. Złożyłam wizytę Sherlockowi Holmesowi i...

— Komu złożyłaś wizytę? — uśmiechnął się z niedowierzaniem Oscar. — Nigdy nie podejrzewałem cię o obłąd. Jakie to wspaniałe.

Chess opisała mu dokładnie swoją wyprawę we mgle. Oscar przysiągł, że uczyni dokładnie to samo, gdy tylko będzie odpowiednia pogoda.

— Cóż za szaleńcza historia! — stwierdził. — Ja oczywiście nieco ją ulepszę.

Chess poczuła na szyi lekkie muśnięcie i odwróciwszy się, ujrzała Randalla. Na jego widok ugięły się pod nią nogi.

— Oscarze, mój przyjacielu, stajesz się zupełnie nieuchwytny — powiedział Standish. — Czekałem na ciebie całe popołudnie — zwrócił się szeptem do Chess. — Kiedy usłyszałem, jak śmiejesz się, rozmawiając z Oscarem, miałem

ochotę go zabić, potem pozbawić życia ciebie, a w końcu samego siebie. Czemu nie przyszłaś?

— Zapomniałam.

— Teraz chyba rzeczywiście cię zabiję! Do diabła! Wracajmy do stołu. Nie możemy dłużej rozmawiać. Przyjdź jutro. Wcześniej. Przysięgnij, że to uczynisz.

Lord Randall był poirytowany. Po jego prawej stronie posadzono nieładną, młodą dziewczynę. Uniósł kieliszek z winem i wznosił toast na jej cześć, starając się nadać swemu spojrzeniu jak najbardziej uwodzicielski wyraz. Spełniał swój obowiązek.

Cały czas słyszał dobiegający z drugiego końca stołu śmiech Chess, który górował nad brzękiem srebrnych sztućców i porcelany oraz szmerem konwencjonalnych rozmów. Czy to ten cudowny śmiech sprawił, że robi z siebie głupca? Nie, musi istnieć jakaś głębsza przyczyna. Przecież istotnie był głupcem. Błagał ją, by przyszła do niego jutro. Nie chodziło o to, że takie prośby były czymś niezwykłym — przeciwnie, stanowiły częsty motyw prowadzonej przez kochanków gry. Tym, co go przerażało, był fakt, że rzeczywiście rozpaczliwie zależało mu na jej odwiedzinach. Wszystko było przygotowane, zaplanowane. Miała przyjść tego popołudnia, kiedy wrócił ze wsi. Chciał kochać się z nią, a potem zakończyć ich romans. Chess stała się zbyt wymagająca, zbyt wiele oczekiwała. Należało położyć temu kres. Znał te ostrzegawcze sygnały, wielokrotnie w przeszłości pozwalały mu zorientować się, że nadszedł odpowiedni moment, by z wdziękiem pożegnać się z kochanką.

Czemu więc tak bardzo zirytowało go to, że nie przyszła? Był zbyt światowy, aby uważać, że tylko on może zakończyć romans. Jeśli dama okazywała się na tyle bystra, by jako pierwsza spostrzec oznaki znużenia, jego sytuacja stawała się nawet łatwiejsza. Tak było lepiej dla obojga.

Czym zatem różnił się ten romans od innych? Czemu

nagle zapragnął tej kobiety tak gwałtownie, że liczył godziny, jakie jeszcze pozostały do rana? O ile Chess dotrzyma słowa.

Nie, o to nie-musiał się martwić. Jedną z jej niezwykłych cech było to, że przywiązywała ogromną wagę do tak niemądrych ideałów jak świętość złożonej obietnicy.

Niezwykłość — oto odpowiedź. Przypuszczał, że zawsze będzie ją pamiętał, podczas gdy inne kobiety zlewały się w jego umyśle w jedną masę. Jej następczyni także będzie musiała być niepospolita. Pewna hrabina poznana na przyjęciu w letniej rezydencji miała wobec tego niewielkie szanse.

Chess siedziała w tym samym końcu stołu co Oscar. Wszyscy wokół bawili się świetnie, przysłuchując ich komentarzom na temat karty dań. Prawie wszyscy. Niektórzy uświadamiali sobie ze zdumieniem, że ogarnia ich irytacja, kiedy pisarz żartował sobie z potraw. Dwie zupy i dwa dania rybne wystarczyłyby w zupełności. Pozostawienie gościom wyboru już stanowiło luksus. Po co więc jeszcze proponowano im cielęcinę, krem z kurczaka, jagnięce kotlety, słodkie bułki i kuropatwy? Zanim jeszcze podano główne danie, wszyscy byli najedzeni. Przed właściwym deserem na stole pojawiły się lody i ciasta.

Chess popatrzyła na sześć złotych pater, wypełnionych kandyzowanymi owocami, które oświeślał blask świec tkwiących w ogromnych złotych kandelabrach. Musiała się pochylić, by odszukać wzrokiem siedzącego po drugiej stronie stołu Nathana. Kiedy podano szampana, wzniosła w jego stronę kieliszek.

Spostrzegła, że jej mąż z uwagą przysłuchuje się opowieści jakiejś obwieszanej kosztownościami damy. Jakież on cierpliwy! — pomyślała. — Albo jaki zaciekawiony...! Z Nathanem nigdy nic nie wiadomo. Dama mogła być

przeraźliwą nudziarą, ale jego często interesowały bardzo dziwne rzeczy. Chess postanowiła zapytać go o to później. Być może ją także zaciekawi temat rozmowy.

— O czym, u licha, opowiadała ci przy stole twoja towarzyszka? Chyba zagadała cię na śmierć.

— Mówiła bardzo ciekawe rzeczy. Jest coś, co zastanawiało mnie niemal od pierwszej chwili, kiedy tu przybyliśmy. A więc zapytałem ją o to: czym zajmują się ci wszyscy ludzie?

— No i?

— Odrzekła, że cały czas bardzo ciężko pracują nad tym, by uciec przed nudą.

— I to wszystko?

— Nie wyraziła tego tak prosto. Opowiadała mi o przyjęciach, wyścigach, pobytach w letnich rezydencjach, polowaniach na króliki i bażanty, grze w tenisa, krokieta i golfa, strzelaniu z łuku, bilardzie. Czasami wrywają się oni z tego błędnego koła, przez jakiś czas zajmują się czymś innym, potem jednak znowu wracają do punktu wyjścia i na nowo oddają się tym samym rozrywkom.

— Mówisz jak socjalista, Nathanie. Co jest złego w zabawie?

— Nic. Ale oni się nie bawią. Miotają się jak szaleni, przerażeni tym, że jeśli choć na moment się zatrzymają, ogarnie ich nuda... To żalosne.

Chess przeciągnęła się jak kot i zamruczała zadowolona, kiedy palce Randalla przesunęły się wzdłuż jej kręgosłupa

i drażniąc się z nią, odczekały chwilę, nim znowu zaczęły jej dotykać. Jej ręce także płonęły pragnieniem, by go objąć, powstrzymywała się jednak przed tym, chcąc najpierw skon-

centrować się całkowicie na przeżywanej rozkoszy i odsunąć od siebie wszelkie myśli o przyszłości. Od jakiegoś czasu często się zastanawiała, co powinna odpowiedzieć, -gdyby kochanek poprosił ją, aby z nim została. I co zrobi, jeśli on tego nie zaproponuje. Później, później. Trzeba myśleć tylko o tym, co czuje w tej chwili.

A potem — zbyt szybko — ta chwila się skończyła.

— Dałaś mi wiele szczęścia, moja kochana. Nigdy cię nie zapomnę — powiedział mężczyzna.

— Ja też będę pamiętać o tobie do końca życia, Randallu. Pocałuj mnie teraz po raz ostatni, muszę bowiem już iść.

Nie płakała. Zbyt mocno ją zraniono, by łzy mogły tu pomóc. Nie musiała decydować, czy powinna zostać, czy wyjechać — Standish ani słowem nie wspomniał o tym.

Dzień po ich rozstaniu Chess udała się z Nathanem na uroczyste otwarcie Tower Bridge. Uczestniczył w niej, jak się zdawało, cały Londyn. Na Tamizie tłoczyły się liczne łodzie i barki, a na obu brzegach rzeki stał zwarty tłum gapiów.

Most stanowił architektoniczny i inżynierski cud. Jego wielkie środkowe przęsło można było podnosić, by przepuścić przepływające rzeką statki. Cały mechanizm ukryto w dwóch wysokich, kwadratowych wieżach, których dachy zdobiły żelazne kopie starożytnych, zwieńczonych flagami wieżyczek położonego nie opodal na wybrzeżu Tower. Wsporniki mostu pomalowano jaskrawobłękitną farbą, a granitowe wieże ozdobiono połączanymi heraldycznymi tarczami oraz łopoczącymi na wietrze sztandarami.

Zaproszeni goście zgromadzili się w pasiastym płóciennym pawilonie przy północnym końcu mostu. Niebieskie krzesła zwrócono przodem do udekorowanej chorągwiami

platformy, pośrodku której znajdował się wizerunek królewskich insygniów.

Chess przywitała się z innymi gośćmi i usiadła. Odczuwała ponurą satysfakcję, że prawie wszyscy zgromadzeni tu ludzie byli oburzeni, iż ten barbarzyński Amerykanin znalazł się tak blisko księcia Walii i że aż dwa cenne zaproszenia na tę uroczystość zmarnowano dla cudzoziemców. Cieszyła się tym bardziej, że Nathan nie wykorzystał nawet tego honorowego miejsca. Swoim zwyczajem zaprzyjaźnił się z konstruktorami mostu, uzyskując ich pozwolenie, by obserwować ceremonię z okna sali, gdzie mieściła się maszyna podnosząca środkowe przesłó.

Na krótko przed wybiciem dwunastej w południe mostem przemaszerowała kompania żołnierzy i marynarzy i ustawiła się w szeregu po obu jego stronach. Każdy z mężczyzn trzymał mały, błyszczący, myśliwski róg z mosiądzu.

Na wzgórzu Tower ukazała się kawalkada otwartych powozów otoczonych ubraną w kolorowe mundury konną gwardią, której wierzchowce szły idealnie równym krokiem.

Pierwszym powozem jechali książę i księżna Walii. Żołnierze unieśli myśliwskie rogi. Tłum zafalował. Przy akompaniamencie fanfar karoca następcy tronu skrzyła ku biednej dzielnicy na południowym brzegu rzeki. Mieszkało tam wielu robotników, którzy wznosili most. Książęca para przejechała ulicami, dziękując budowniczym za ich trud.

Kiedy po półgodzinie kareta powróciła, myśliwskie rogi odezwały się ponownie. Chess z podziwem patrzyła na lśniące, mosiężne instrumenty. Jakim cudem ci młodzi ludzie potrafią z taką precyzją zadać w nie w tej samej chwili? Wyglądało to tak, jakby istniała tylko jedna ręka i jeden róg.

Wkrótce książę i księżna weszli do pawilonu. Chess wstała i — podobnie jak inne damy — złożyła przed nimi głęboki ukłon. Kiedy z powrotem usiadła, okazało się, że ze swego miejsca może widzieć wszystkich dworzan książęcej

pary. Znajdował się pomiędzy nimi także lord Randall Standish. Towarzyszył najmłodszej córce króla.

Chess nie słuchała przemówień wygłaszanych tego dnia, nie wyłączając przemówienia Jego Księżęcej Wysokości, wszystkiemu za to dokładnie się przyglądała. Pragnęła zabrać stąd jak najwięcej wspomnień, twarzy i uśmiechów. Gussie będzie chciała wiedzieć, jak wyglądały księżniczki. Starła się też zapamiętać każdy szczegół twarzy Randalla. Kiedy tłum zaczął klaskać, jej ręce także złożyły się do braw. Naraz ze wszystkich statków parowych na rzece rozległ się głośny gwizd i środkowe przeszło mostu, rozdzieliwszy się na dwie części, uniosło się ku górze. Gdzieś w pobliżu zabrzmiała kanonada wystrzałów. Ceremonia dobiegła końca.

Londyn należy już dla mnie do przeszłości — pomyślała Chess. Patrzyła, jak książe dwór zmierza ku specjalnie przygotowanym dokom, wchodzi na pokład udekorowanego chorągwiami statku parowego i odpływa.

Obserwowała parowiec sunący w górę Tamizy i umierała z lęku, że Randall może podnieść wzrok i napotkać jej spojrzenie.

Nathan przepchnął się do niej przez tłum. Pragnął, by ona także obejrzała maszynię Tower Bridge. Miała dostąpić przywileju opuszczenia dźwigni, która na powrót zamknie uniesione ramiona zwodzonego mostu.

Chess poczuła się tak, jakby znajdowała się gdzieś daleko od tego wszystkiego i z dystansu patrzyła na ubranego w poranny garnitur i cylinder Nathana, beztrąsko, choć z szacunkiem gawędzącego z inżynierami. Ze zdumieniem obserwowała samą siebie: uśmiechniętą, z zachwytem przesuującą dłonią po gigantycznych, pomalowanych na zielono i czerwono silnikach. Podziwiała własne opanowanie. Podobnie jak wówczas, gdy pisała listy, w których wyrażała żal, że nie może wziąć udziału w przyjęciach, na które otrzymała zaproszenia, lub starannie kaligrafowała litery „PPC” na tuzinach wizytówek swoich i Nathana.

Pour prendre conge — za pomocą tej uprzejmej francuskiej formułki Richardsonowie zawiadamiali znajomych, że opuszczają Londyn. Stangret miał zawieźć zaopatrzone w ten dopisek karty wizytowe do wszystkich domów, których listę mu wręczono. Wiedziała, że adresaci z pewnością natychmiast je wyrzucą. Londyn zapomni o Richardsonach, jakby ich nigdy tutaj nie było.

Chess znalazła jedną ze starych amerykańskich, „niewłaściwych” wizytówek i dołączyła do niej swoje zdjęcie z wypisanymi na nim literami PPC. Stangret miał zawieźć tę przesyłkę do mieszkania Randalla.

„Campania” wyglądała znajomo: Richardsonowie zajmowali na niej ten sam apartament co poprzednio i mieli tę samą służbę. Można by pomyśleć, że nigdy nie opuszczali statku, nie schodzili na ląd w Liverpoolu i nie jechali do Londynu. Tyle tylko że Chess wiedziała, iż nic w jej życiu nie będzie już takie samo jak niegdyś.

Kiedy nad linią horyzontu ukazały się sztormowe chmury, przyglądała się im z ponurą satysfakcją. Choroba morską wydawała jej się znacznie łatwiejsza do zniesienia niż inne cierpienia, jakich doznawała.

Rozdział 40

Po powrocie do domu czekało na nią tak wiele zajęć, że — ku radości Chess — nie starczyło czasu na rozmyślanie i wspomnianie. Zorganizowała na cześć Nathana ogromne przyjęcie z fajerwerkami, zapraszając na nie wszystkich przyjaciół, włącznie z Doktorem, a nawet Dickiem Reynoldsem.

Uroczystość okazała się ogromnym sukcesem. W Karolinie Północnej w lipcu nie trzeba się było martwić o deszcz, zatem Chess rozstawiła stoły w parku, a wynajęta przez nią orkiestra grała pod gołym niebem. W uroczystości brało udział niemal całe Standish.

Potem, w domu, Richardsonowie pili jeszcze raz szampana. Gussie także dostała pół kieliszka, by mogła wznosić toasty.

— Teraz smakuje mi o wiele bardziej niż kiedyś — wyznała. — Musiałam być za mała.

Dziewczynka miała wkrótce skończyć dwanaście lat

i uważała się za całkiem dorosłą. Ciągle jednak jej kolana pełne było zadrapań i siniaków, wobec czego Chess uznała, że nie ma powodu sądzić, iż jej córka już teraz staje się kobietą. Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia będzie musiała porozmawiać z Gussie na temat mężczyzn, kobiet i miłości, a zupełnie nie wiedziała, jak wyjaśnić dziecku, czym jest miłość — ta prawdziwa, nie ta obsesyjna i namiętna.

Zauważyła, że jej mąż toczy wewnętrzną walkę. Lily spodziewała się dziecka, Nate zaś przypuszczał, że to on jest ojcem. Bratowa zyskała nad nim taką samą władzę jak niegdyś i było tylko kwestią czasu, kiedy na powrót znajdzie się on w jej łóżku.

Chess rozumiała już teraz, co przeżywa Nathan. Ona także doznawała podobnego uczucia bezradności. Jakież to smutne, że nie mogła powiedzieć mu, iż nie wini go za to! Ale, oczywiście, wówczas musiałaby wyjaśnić, skąd zna takie uczucia, a tego powiedzieć nie mogła — zbyt głęboko zraniłoby to ich oboje.

Londyńscy współpracownicy Nate'a mieli przybyć w sierpniu na rozmowy dotyczące nowego stowarzyszenia i Chess postanowiła zakończyć do tego czasu urzędowanie Hare-fields, by przyjąć ich już w nowym domu. Otworzyła wszystkie pudła, które przyplłynęły z nimi na „Campanii”, i całymi dniami przymierzała przywiezione z domu przy Russell Square sprzęty do nowych wnętrz. Wraciała zaku-rzona, zmęczona, czasami sfrustrowana, ale ukojenie, jakiego doznała w starym domu lady Elizabeth, przepłynęło z nią przez ocean i uczyniło Harefields oazą spokoju — pomimo kręcących się tam bez przerwy malarzy, cieśli i inżynierów.

Zdarzały się także niespodzianki, nie wszystkie miłe.

Edith Horton uściskała ją, wyraziła podziw dla nowych ubrań i mebli, wysłuchała zabawnych historyjek o Nathanie i księciu Walii, po czym zapytała:

— Czy on był tego wart?

— O czym ty mówisz, Edith?

— Moja droga, nie jesteś tą samą kobietą, która wyjeżdżała stąd z przewodnikiem Baedekera w rękę.

Masz ro-

480

mans. Nie, nie obawiaj się, nie widać tego — chyba że jest się kobietą, która sama przez to przeszła.

— Edith!

— Och tak r Henry na szczęście nigdy się o tym nie dowie. No i w końcu zapomniałam o tym mężczyźnie, choć zabrało mi to dziesięć lat. Teraz wiem jednak, że był tego wart — nawet tych dziesięciu lat. Mam nadzieję, że ty będziesz mogła powiedzieć to samo.

— Zapytaj mnie o to znowu za kilka lat.

Bobby Fred był umierający.

— Pożyję jeszcze chwilę, Chess, nie patrz więc na mnie z taką rozpaczą. Jestem starym człowiekiem, zatem to naturalne, że wkrótce przyjdzie na mnie czas.

— A więc odezwałeś się do mnie w końcu po imieniu, Żołnierzu. Długo to trwało, ale cieszę się, że jednak się na to zdobyłeś.

— A ty nazwałaś mnie Żołnierzem. Jestem ci wdzięczny. Bobby Fred nie jest odpowiednim imieniem dla mężczyzny.

James Dike niemal oszalał z radości, że Chess przywiozła mu „Trilby”. Czytał fragmenty tej książki w „Harper's Monthly” i „odchodził od zmysłów, próbując odgadnąć, jaki był ciąg dalszy”.

— Nie mogę uwierzyć, że „Harper's” wydrukował taką powieść.

— Zapewniam cię, że wywołała ona w Ameryce burzę. Prawdziwą burzę. Wszyscy mówili na ten temat.

Chess potraktowała jego słowa sceptycznie, ale okazało się, że miał rację. Już najbliższej niedzieli Gideon podczas swojego kazania potępił zarówno niemoralność Trilby — bohaterki powieści, jak i „Trilby” jako książki. Był jednym z tysięcy duchownych, którzy uczynili to samo.

Chess nie powiedziała na ten temat ani słowa, uważała jednak, że jej własny stosunek do tej powieści sprawił, iż czuła się członkiem bohemy.

Trzeciego sierpnia z Europy przyплыnęli trzej nowi wspólnicy Nathana. Richardsonowie wysłali po nich do Nowego Jorku swój wagon kolejowy i goście, schodząc na peron małej stacji w Standish, nie potrafili ukryć zaskoczenia tym, jak elegancko przyjęto ich w Ameryce — w swojej ojczyźnie nigdy czegoś podobnego nie doświadczyli.

Nate śmiał się, opowiadając o tym żonie.

— A czegoż oczekiwali po przyjacielu Jego Książęcej Wysokości? — zakpiła Chess. — Teraz uda ci się z nimi zrobić, co tylko zechcesz.

— Mimo to sędzę, że na razie powinienem postępować ostrożnie. Wciąż żywią obawę, że za każdym drzewem czai się jakiś Geronimo — skrzywił się z chłopięcym, filuternym uśmiechem. — Oskalpuję ich, kiedy tylko poczują się nieco bezpieczniej.

Trwające dniami i nocami rozmowy z przedsiębiorcami ciągnęły się przez całe tygodnie. Przez biura Nate'a i hotel w Durham przewinęła się armia prawników, urzędników, pracowników ambasady, księgowych, architektów i hodowców tytoniu.

W końcu pierwszego września podpisano dokument stwierdzający powstanie korporacji. Zawarto również wiele umów dodatkowych. W kwietniu następnego roku zamierzano wybrać miejsce, gdzie miała stanąć nowa fabryka.

Po zakończeniu rozmów odbyło się wielkie przyjęcie, na którym wypito morze szampana, i Anglicy wyruszyli prywatnym wagonem Nate'a w powrotną podróż do Nowego Jorku.

Gdy tylko pociąg zniknął w oddali, Richardson zdjął

garnitur, cylinder i rękawiczki i z ulgą podwinął rękawy koszuli.

— Co chcesz zrobić? — zapytała Chess.

— Wsiadam na konia i jadę do Raleigh. To o wiele szybszy sposób niż podróżowanie tą zabawką z pluszowymi siedzeniami. Czy wiesz, co się stało, kiedy ja spokojnie popijałem herbatę z moimi nowymi współnikami? Ci piekielni politycy w Waszyngtonie przeforsowali podatki, które zabierają mi dwa procent z każdego pensa, jaki zarobię ponad sumę czterech tysięcy dolarów rocznie. Mam zamiar sprzeciwić się temu i powiedzieć moim „parlamentarnym reprezentantom” parę słów, które pójda im w pięty.

— Nathanie, proszę... Tylko nikogo nie uderz.

— Zamierzam zrobić coś gorszego. Odetnę dopływ gotówki do paru kieszeni.

Chess się uśmiechnęła. Czuła wdzięczność dla polityków. Nathan od tygodni żył w napięciu związanym z podpisywaniem umów, a nie miał zwyczaju rozładowywać go, mówiąc o swoich posunięciach. Po prostu działał, robił to, co do niego należało.

Teraz będzie mógł odreagować zdenerwowanie, dając upust swemu gniewowi na senatorów i kongresmanów. Mieli obowiązek go wysłuchać — na tym polegała ich praca.

Chess wyszła na owiewaną podmuchami chłodnego wiatru tylną werandę Harefields i w milczeniu usiadła w bujanym fotelu. Jego lekkie skrzypienie brzmiało jak kołysanka. Dom był pogrążony w ciszy; Gussie bawiła się gdzieś na podwórzu. Promienie słońca odbijały się w skrzydełkach wazek, „srebrnych igiełek”, jak nazywał je jej dziadek. Turkusowozielony koliber pożywiał się pośpiesznie z kielicha kwitnącego geranium, stojącego w glinianej doniczce na schodach. Panował senny spokój lata na Południu. Chess odpoczywała. Anglicy byli gośćmi uprzejmymi i niekłopotliwymi, ale ich akcent przypominał jej o rzeczach, o których

wolała zapomnieć. Przymknęła oczy i złożony głowę na oparciu fotela, kołysała się tak długo, aż poczuła, że ogarnął ją całkowity spokój.

Obudziło ją wołanie wchodzącej do domu Gussie. Przestraszona przetarła oczy.

— Mamo!

— Jestem na tylnej werandzie, Gussie.

— Ach, tutaj. Przyniosłam pocztę. Mogę dostać ten śmieszny znaczek? Julia Bennet wkleja takie do swojego klasera.

— Dopiero jak ojciec przeczyta listy. Przyszły z Anglii, więc na pewno dotyczą jego interesów.

— Ale ten największy jest adresowany do ciebie. Chess natychmiast rozpoznała pismo, mimo iż widziała

je tylko raz, kiedy to otrzymała króciutki liścik.

— Czy dobrze się czujesz, mamo?

— Tak, to tylko upał, kochanie. Nic mi nie jest. Bądź tak dobra i poproś kucharkę, by przygotowała nam trochę lemoniady. Pragnęła zostać sama. Nie chciała, by dziewczynka widziała, że zaciska dłonie na poręczach fotela z taką siłą, iż drżą jej ramiona. Cóż Randall miał jej do powiedzenia? Czego chciał? Gwałtownie rozdarła zewnętrzną kopertę, która wyslizgnęła jej się z rąk i upadła na podłogę. Wewnątrz znajdował się mniejszy pakunek oraz wycinek z jakiejś gazety. Chess nic z tego nie rozumiała. Czyjaś kolekcja sztuki została wystawiona na aukcję.

Zerknęła na datę: aukcja odbyła się trzydziestego czerwca.

Ostrożnie rozpakowała paczuszkę. Na widok listu, który znajdował się wewnątrz, zabrakło jej tchu w piersiach.

Moja Droga Chess!

Przedmiot, który ci wysyłam, sprawił, że pomyślałem o Tobie. Kiedy spotkaliśmy się w galerii, przygotowywałem

się właśnie do tej aukcji. Mam nadzieję, że znajdziesz kawałek miejsca na ścianie, by powiesić ów dowód oddania, jakie żywi dla Ciebie Twój angielski kuzyn, Randall Standish.

— Oto twoja lemoniada, mamó.

— Dziękuję, kochanie. Postaw ją na stole.

— Och, mój Boże, ile tu znaczków! Co w tym było?

Chess nie odpowiedziała. W milczeniu otworzyła znajdujące się pod listem Randalla etui. Wewnątrz był grafitowy szkic: tylko kilka pociągnięć ołówka, zapowiedź rysunku. Na podstawie tego namalowano obraz: trzymających się za ręce kobietę i mężczyznę, którzy stali w wypełnionym złotym blaskiem pokoju, odwrócenie od tych, którzy na nich patrzyli. Ich twarze jaśniały spokojem, za jakim Chess tęskniła, a ten prezent Randalla całkowicie go jej odbierał. Miała wrażenie, że list, który trzymała na kolanach, parzył ją w palce. Pragnęła dotknąć go ustami, przytulić do piersi. Zamiast tego podała go Gussie, pokazując jej także węglowy szkic.

— Czy na pewno masz czyste ręce, kochanie? To jest bardzo stare i cenne. List przysłał nasz angielski kuzyn, o którym ci opowiadałam.

Czuła, że musi zostać sama.

— Pójdę się trochę zdrzemnąć, córeczko. Pożegnanie z tymi Anglikami bardzo mnie zmęczyło.

Dopiero kiedy zaciągnęła zasłony w oknach i zamknęła drzwi na klucz, pozwoliła sobie na płacz.

Słone łzy kapały na jej spieczone usta, którymi bezgłośnie szeptała cały czas to samo słowo: Randall...

Randall... Randall... Ogarnięta bolesną tęsknotą, wspominała dotykające jej ciała dłonie kochanka.

Nate wrócił do domu zaledwie trzy dni później, ale czas ten wystarczył, by Chess przyszła do siebie.

Spokojnie

pokazała mężowi list i szkic, jakby były one dla niej jedynie miłą niespodzianką.

— To naprawdę uprzejme z jego strony — stwierdził Nate. — Widzę, że panna Łakome Paluszki oderwała znaczki od kopert, zanim jeszcze zdążyłem rzucić okiem na korespondencję... Cóż, ja też mam dla ciebie mały podarek — dodał, kładąc na jej kolanach niewielką paczuszkę.

— Och, Nathanie, jakie to cudowne! Dziękuję bardzo — Chess ostrożnie ujęła w dłonie prezent. Były to woskowe cylindry do gramofonu Edisona. Utrwalono na nich dwie arie, jedną śpiewaną przez Nellie Melbę, drugą w wykonaniu Adeliny Patti.

— To przedstawienie, które urządziły wówczas w hotelowej jadalni, było najbardziej komiczną rzeczą, jaką widziałem w życiu — powiedział Nate, wybuchając śmiechem.

Przywiózł także z podróży nowy gramofon z większą, miedzianą tubą.

— Edison ulepszył swój pierwotny model — oświadczył. Chess uśmiechnęła się do męża.

— Nigdy się nie zmienisz, Nathanie.

Była szczerze poruszona otrzymanym prezentem, ale chłopięce uwielbienie Nate'a dla tego, co nazywała „zabawkami”, wzruszało ją jeszcze bardziej. Do oczu napłynęły jej łzy. Jakże miło było żyć u boku człowieka, który nigdy się nie zmieniał!

— Powiedz, czy pamiętasz tę kobietę z wachlarzem z piór? Tę, która usiłowała wrzucić piórko do talerza rywalki? — dopytywał się ze śmiechem.

Przypominali sobie zabawne wydarzenia, jakie miały miejsce podczas ich pobytu w Londynie. Śmiali się równie beztrąsko jak niegdyś — w czasach przed Lily i Randallem.

W ciągu jesiennych miesięcy ich życie wróciło do dawnej równowagi. Chess cieszyła się z tego. Nie mogła zapomnieć Londynu, ale krok po kroku, na nowo, wdrażała się w swoje zwykłe zajęcia.

Najlepszym lekarstwem na tęsknotę okazało się Hare-fields. Stało się ich prawdziwym domem — nie kopią rezydencji jej rodziców ani repliką pustego budynku przy Russell Square, lecz" tętniącym życiem domem Richardsonów: Nathana, Gussie i Chess.

Zgodnie z panującą modą w pokojach gościnnych stało mało mebli. Ściany, okna, sprzęty i podłogi były w jasnych kolorach. Tapety miały pastelowe barwy, na kupionych sprzętach pozostawiono starą tapicerkę, zasłony zaś były jedynie pomysłowo upiętymi zwojami gładkiego jedwabiu. Jediną ozdobę stanowiły kryształowe żyrandole i kinkiety oraz srebrne albo porcelanowe misy wypełnione świeżymi kwiatami bądź owocami. Salon, jadalnia lub pokój poranny mogły zostać nie zmienionymi kopiami dawnego Hare-fields, ale Chess dodała liczne elementy, które były jej własnym pomysłem. Polana i szczapy trzymano w dużym, zrobionym przez miejscowego rzemieślnika wyplatany koszu przy kominku. W ustawionych w wazonach suchych bukietach poczesne miejsce zajmowały polne kwiaty i zboże. Walentynkowa kartka zrobiona przez Gussie, kiedy dziewczynka miała zaledwie cztery lata, wisiała w złotej ramce na tej samej wąskiej ścianie, gdzie umieszczono szkic van Dycka, a połowę stojącego pod nimi toaletkowego stolika w stylu chippendale zajmował stereoskop. Kaszmirowy szal Chess zwieszał się z oparcia sofy sheraton, by siedząc na niej, można było okryć ramiona przed ciągnącym z kątów pokoju chłodem. Mosiężna tuba gramofonu odbijała wpadające przez okno złote słoneczne promienie. Obok parapetu pysznił się niski mahoniowy kufer z czasów królowej Anny. Wszystkie krzesła i sofy były wyposażone w stojaki na czasopisma, pełne najświeższych gazet, a na licznych, niewielkich stolikach piętrzyły się stosy książek.

Pokoje na górze urządzono z jeszcze większą swobodą. Zszywane z kawałków materiału narzuty przykrywały

ocienione baldachimami łoża, do których zasłony uszyto z jasnej bawełny wyprodukowanej we własnej tkalni Richardsonów. W oknach wisiały muślinowe firanki.

Wszystkie pokoje były przestronne i jasne, urządzone w stylu Karoliny Północnej — w żadnym innym.

Obiad, londyńskim zwyczajem, jadano w nowym Harefields wieczorem, a nie w środku dnia. Zawsze podawano do niego wino z własnych, zasobnych piwnic. Składał się on jednak tylko z przystawki, zupy, dania głównego i deseru, przy czym każdą z tych rzeczy stanowiła tylko jedna potrawa, przyrządzona z miejscowych produktów.

Nowością była też herbata z bułeczkami, herbatnikami lub ciastem — podwieczorek jadano pomiędzy lunchem a obiadem. Posiłki podawano na pięknej, srebrnej zastawie, wykonanej przez słynnego londyńskiego złotnika jeszcze w ubiegłym wieku, ale esencję parzono w wypalanym glinianym czajniczku wyprodukowanym w Stanford, w Karolinie Północnej, ponieważ niezależnie od tego, jak piękne były srebrne dzbanki, nadawały one herbacie metaliczny posmak.

Na tacy z podwieczorkiem znajdowały się też zawsze dwa dodatkowe małe dzbanuszki. Jeden z nich zawierał whisky. Żołnierz wolał ów „dosładzacz” od cukru. Starzec niemal codziennie przychodził do nich na herbatę. Napój ten poprawiał mu samopoczucie i pomagał jego osłabionemu sercu bić żywiej. Gussie żądała zwykle, by cała uwaga starego człowieka skupiała się na niej, i sama też interesowała się przy stole tylko jego osobą. Chess czuła się szczęśliwa, widząc, jak dobre i wrażliwe serce ma jej córka, i cieszyła się głęboką miłością, jaką Żołnierz okazywał swojej chrześnicy.

Ponieważ nie chciała, by obcy ludzie zakłócali ciepłą, rodzinną atmosferę podwieczorku, ustaliła zatem porę przyjmowania zaprzyjaźnionych dam ze Standish na późne przedpołudnie. To, co obserwowała w angielskiej rodzinie królewskiej, przeraziło ją. Ci odizolowani od innych ludzie

stali się więźniami własnej pozycji. Teraz, po powrocie do domu, postanowiła skończyć z rolą wielkiej damy, którą grała poprzednio. Wydając swoje niewielkie przyjęcia przy drugim śniadaniu, odkryła wkrótce, że w Standish mieszka wiele inteligentnych, interesujących kobiet, które ogromnie chciały przyjaźnić się z kimś na tym samym poziomie. Przestała być samotna — rozwiązała problem, którego wcześniej zupełnie nie zauważała. Jej życie nieustannie stawało się bogatsze i ciekawsze. Działające pod przewodnictwem Jamesa Dike'a kółko literackie także sprawiało jej wiele radości. Chess ułożyła pożółkłe stronice „Trilby” w szklanej gablocie w jego księgarni i ludzie przyjeżdżali aż z odległego Raleigh i Winston, by właśnie tu robić zakupy. Kółku przybyło wielu nowych członków i spotkania trzeba było przenieść do dużej sali w nowej loży masońskiej przy Richardson Avenue. Przegłosowani przez innych, James i Chess musieli pogodzić się ze zmianą nazwy ich towarzystwa na Klub Trilby.

— Trudno mi wprost uwierzyć, co się dzieje z tą książką — powtarzała niemal codziennie Nathanowi Chess, kiedy gazety donosiły o kolejnych przykładach ogarniającej ludzi manii. Po opublikowaniu powieści we wrześniu szybko pobiła ona wszelkie rekordy poczytności.

Szczególnie młode kobiety popadały w swoiste szaleństwo. Chess musiała zakazać Gussie błędnego naśladowania angielskiego akcentu, co w Ameryce zyskało ukutą przez szyderczych dziennikarzy nazwę „trilbuizmu”. Ale i ona ulegała tej modzie. Na Boże Narodzenie wśród innych prezentów Gussie znalazła także małą srebrną spinkę w kształcie bosej stopy. Podobne ogromnie rozpowszechnione teraz drobiazgi symbolizowały śpiewającą bez butów Trilby.

Święta udały się nadzwyczajnie. W holu ustawiono wysoką na dwanaście metrów choinkę, która wypełniła swym zapachem cały dom, a w wieczór wigilijny wszyscy

zgromadzili się wokół fortepianu, by przy entuzjastycznym akompaniamencie Gussie śpiewać kolędy. Wszystko byłoby doskonale, gdyby nie to, że Nathan wrócił pewnego wieczoru do domu, pachnąc różanymi perfumami Lily.

I gdyby Chess choć na chwilę mogła przestać tak rozpaczliwie tęsknić za Randallem.

Wkrótce będzie lepiej — powtarzała sobie. To minie. Edith mówiła, że jej miłość do kochanka także wygasła.

Tyle tylko że dziesięć lat wydawało się bardzo długim okresem.

Rozdział 41

Żołnierz umarł we śnie dziesiątego lutego. W czasie jego pogrzebu zaczęła się śnieżna burza. Aniołowie ofiarowali mu na mogiłę gruby, czysty, miękki kobierzec, by starcowi było ciepło i wygodnie — powiedziała Chess rozpaczającej Gussie.

Pierwszy raz od lat pomyślała o innym grobie, tym w hrabstwie Alamance, gdzie spoczywał jej maleńki synek. Modliła się, by ta cicha biel otuliła także i jego.

Mieszkańcy Standish nazywali to inwazją. W marcu zjechały do miasta całe zastępy zarządców angielskich przedsiębiorstw tytoniowych. Wszyscy byli londyńczykami i początkowo z niechęcią myśleli o tym, że muszą udać się do tego „głupiego kraju”. Kiedy jednak ujrzeli schludne, dostatnie, małe miasteczko, ich obawy się rozwiały. W dodatku, gdy dowiedzieli się, ile ziemi i jak wielkie domy będą mogli kupić za swoje pensje, byli zadowoleni z przybycia tutaj — a przynajmniej cieszyły się z tego ich żony.

— W Anglii żadna z nas nie bywała w sklepach z luksusowymi towarami ani nie chodziła do teatru — wyznała Chess jedna z nich. — Czemu więc tutaj miałybyśmy tęsknić za takimi rozrywkami? Jeśli zaś idzie o dom, to w Londynie nie byłoby nas stać nawet na ciasną chatkę w jakiejś ciemnej, wąskiej uliczce na przedmieściach. To, co mam tutaj, sprawia,

że chce mi się tańczyć i śpiewać z radości. Dzieciaki nie wiedziały dotąd, co to znaczy mieć miejsce do zabawy: mieszkaliśmy z daleka od jakiegokolwiek parku. Zachowują się teraz jak małe ptaszki wypuszczone z klatki.

Był to ten typ Anglików, jakich Chess nigdy nie spotkała w Londynie — reprezentantów bogacącej się klasy średniej, społeczności, która stopniowo zmieniała prawa i obyczaje w Wielkiej Brytanii. W Ameryce, kraju, gdzie zmiany były naturalną częścią życia, czuli się oni jak ryby w wodzie.

Chess uświadomiła sobie, że jej opinia o Anglikach jest błędna. Na przykład akceptowanie przez nich niemoralności wcale nie było tak powszechne, jak jej się wydawało. Wręcz przeciwnie: przybyli do Standish Anglicy przywiązywali równie wielką wagę do właściwego języka i zachowania, co surowa matka Nathana. Jedna z kobiet powiedziała Chess, że nawet wśród arystokracji jest wielu ludzi wiodących życie zgodnie z ideałami królowej Wiktorii, których przerażało upodobanie do rozrywek i wesołego towarzystwa, jakim grzeszył jej syn.

W głębi ducha Chess cieszyła się, że goszcząc w Londynie, znalazła się w kręgu znajomych Bertiego, a nie jego matki. Wolała ich też stokroć bardziej od nowych mieszkańców Standish. Mimo to robiła, co w jej mocy, by przybyli Anglicy czuli się jak najlepiej. Chciała w ten sposób odwdzińczyć się za sympatię, jaką ich rodacy okazywali jej i Nathanowi podczas ich pobytu w Londynie. Przedstawiała sobie sąsiadów, wydawała małe przyjęcia, by przełamać lody. Pamiętając, jak tęskniła za amerykańskim bekonem, kiedy w Savoyu podawano śniadania Escoffiera, prosiła ekspedienta ze swojego sklepu spożywczego, by zamówił importowane angielskie herbaty i ciasteczka. Wszak rzeczą, której najbardziej brakowało na obczyźnie Jimmy'emu Whistlerowi, także były robione przez jego matkę grzanki z kukurydzianego pieczywa. Żadne paryskie croissantsy nie mogły zająć w jego sercu ich miejsca. Tęsknota za domem zdawała się mieć źródło w żołądku.

W kwietniu podczas aktu kładzenia kamienia węgielnego pod nową fabrykę brytyjska flaga łopotała na maszcie tuż obok gwiazdzonego sztandaru Ameryki, orkiestra zaś odegrała zarówno „Rule Britannia”, jak i „The Star Spangled Banner”.

Po oficjalnej ceremonii Nate i Chess mieli jeszcze w domu swoją prywatną uroczystość. Otworzyli butelkę szampana i wypili ją, na zmianę czytając na głos raporty swoich szpiegów w American Tobacco Company w Nowym Jorku i Durham. Buck Duke był zdumiony... poirytowany... wściekły... Nie wierzył, że Nate mógł go pokonać.

Ale rzeczywiście tak się stało.

Dopiero teraz zaczęła się jednak poważna praca nad wprowadzeniem w życie nowego, anglo-amerykańskiego sojuszu w interesach i Nathan bywał w domu zdenerwowany i niecierpliwy. — Jestem piekielnie zmęczony ośmioma naradami, jakie miałem dzisiaj, i tym, że sam muszę podejmować decyzje w każdej najgłupszej sprawie — poskarżył się pewnego wieczoru przy kolacji. — Czemu po prostu nie powiesz wszystkim, co mają robić, tatusiu? — zapytała Gussie, podnosząc wzrok znad talerza. — Przecież to ty jesteś dyrektorem.

Nate popatrzył na Chess i wybuchnął śmiechem.

— Z pewnością małe dziecko najlepiej rozwiązałoby wszystkie moje problemy — zakpił.

— Nie jestem małym dzieckiem — zaprotestowała Gussie.

— W takim razie jesteś królem Salomonem — stwierdził ojciec. — Jutro skorzystam z twojej mądrości. Niektóre głowy muszą pospadać. To lepsze niż przecinanie na połowę dzieci. A także o wiele użyteczniejsze.

Gussie spojrzała na matkę w nadziei na wyjaśnienie słów ojca, ale Chess śmiała się tak, że nie mogła wydobyć głosu.

Kilka tygodni później przypomniała Nathanowi to wydarzenie, ale tym razem już się nie śmiała. Prawdę mówiąc, miała ochotę wyć z wściekłości.

Mimo to na zewnątrz pozostawała całkowicie opanowana. Wiadomość przyniesiona przez Nathana nie była dla niej żadną nowiną.

— Muszę ci coś wyznać, Chess, choć Bóg mi świadkiem, że wolałbym raczej odciąć sobie język...

Dziecko Lily jest moje. Ja jestem jego ojcem. Och, Boże, jakże nienawidzę siebie samego.

— Możesz usłyszeć ode mnie jedynie to samo, co powiedziałam Lily, gdy przyszła tutaj z podobnym wyznaniem. Nie ma żadnego sposobu, by z całą pewnością rozstrzygnąć, czy to ty, czy Gideon spłodziliście to dziecko, będzie zatem najlepiej dla wszystkich przyjąć, że jego ojcem jest twój brat.

— Ona tu przyszła? Powiedziała ci o tym? O niebiosa, jakże mi przykro!

— Przestań wygadywać takie rzeczy, Nathanie — zażądała surowo Chess. — Jeśli jest ci przykro, to tylko dlatego, że żałujesz samego siebie. Mnie także jest cię żal, nie życzę sobie jednak, byś oczekiwał współczucia z powodu problemów, jakie sam na siebie sprowadziłeś. Nie potrafisz usunąć Lily ze swojego życia. Wiem o tym i ona także to wie. I z pewnością nie pozwoli mi ani na chwilę o tym zapomnieć. Czy sądzisz, że lubię te okropne niedzielne obiady u twojej matki? Niedobrze mi się robi, patrząc, jak Lily uśmiecha się do mnie i przemawia słodziutko do swojej teściowej. Ale to wszystko, co mogę znieść. Nie mam zamiaru słuchać jeszcze twoich zwierzeń i twego „przykro mi”.

Nate wsparł głowę na dłoniach i jęknął.

— Teraz jest jeszcze gorzej. Z powodu dziecka.

— Do diabła z dzieckiem! To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. — Czwała, że musi wstać i wyjść z pokoju, bo jeśli zostanie z Nathanem choć chwilę dłużej, uderzy go.

— Ale to jest chłopiec.

Chess odwróciła się jak rażona piorunem. Jej głos znowu stał się zimny i spokojny.

— No i co z tego?

Nate podniósł wzrok. Oczy miał podkrążone i zaczerwienione.

— Każdy mężczyzna chce mieć syna. Kogoś, kto wzięłby po nim nazwisko i przejął jego interesy.

— Jak śmiesz?! — krzyknęła Chess. Nie panowała już nad sobą. — Jak śmiesz! Uważasz więc, że Gussie nie jest równa każdemu chłopcu, jaki kiedykolwiek przyszedł na świat? A kto powiedział ci, co masz zrobić, kiedy narzekałeś, że tracisz całe dni, biorąc udział w naradach? Zresztą, jeśli już o to chodzi: kto był twoim współnikiem, kiedy zakładałeś pierwsze przedsiębiorstwa i trzeba było pracować dzień i noc? Jakiś mężczyzna, czy tak? Nie, to byłam ja! To ja wspólnie z tobą stworzyłam papierosy Standish. Pracowałam równie ciężko jak ty. A nie jestem mężczyzną, na co ty oczywiście nigdy nie zwracałeś uwagi. Jestem kobietą. Twoja córka także wkrótce się nią stanie. A ma ona więcej odwagi i serca niż jakikolwiek chłopiec. Jak śmiesz chodzić zapłakany z powodu jakiegoś niemowlęcia — wszystko jedno, czy to ty je spłodziłeś, czy nie — tylko dlatego, że to chłopiec, skoro przez cały czas jesteś ojcem tak cudownego dziecka jak Gussie? Przecież ona kocha cię całym sercem! Jeżeli choć na minutę odwrócisz uwagę od swojej córki, by zająć się dzieckiem Lily, zabiję cię. Słyszysz?

Chess drżała ze wzburzenia, serce waliło jej jak młotem, a twarz stała się trupio blada. W roziskrzonych oczach płonęła nienawiść.

Nate popatrzył na tę stojącą przed nim obcą kobietę i ogarnął go lęk. Chess zniknęła. A przecież tak bardzo jej potrzebował — nigdy dotąd nie uświadamiał sobie, jak bardzo była mu potrzebna.

— Co mam zrobić? — spytał upokorzony. — Myliłem się.

— Zejdź mi z oczu. Niedobrze mi się robi na twój widok.

Z opuszczoną głową Nate wyszedł z pokoju.

Zostawszy sama, Chess usiadła na podłodze i zapłakała, wspierając głowę o piękny, obity gobelinową tkaniną, fotel. Na materiale widniała siedząca w ogrodzie para kochanków.

Tego samego popołudnia pojechała do biura Nate'a i bez pukania wkroczyła do jego gabinetu.

— Musimy robić dobrą minę do złej gry, Nathanie — oświadczyła. — Nie wolno ci pozwolić, by Gussie dowiedziała się o czymkolwiek. Jesteś nam to winien.

— Oczywiście.

— I jeszcze jedno: nie przynoś do mojego domu zapachu tej kobiety. Odkąd cię znam, myślisz się częściej niż ktokolwiek inny. Rób to więc także przed powrotem do domu.

Odwróciła się i wyszła. Nie płakała już.

Od tego dnia Chess i Nathan udawali, że nic się nie stało, Gussie zaś, choć wyczuwała, że coś jest nie w porządku, nie martwiła się tym. Bądź co bądź ona sama już przynajmniej trzy razy przestawała być najlepszą przyjaciółką Barbary Beaufort, a potem zawsze jakoś się z nią godziła.

Dla innych Richardsonowie nadal pozostawali cudowną rodziną... „Są sobie tacy bliscy i kochają się bardziej niż jakiegokolwiek inne małżeństwo w Standish”.

Lily jednak wiedziała lepiej. Rozgrywała własną partię. Nigdy przy tym nie wspominała o dziecku, kiedy Nate spotykał się z nią w klubowym budynku przy torze wyścigowym. Szeptała za to słowa, dzięki którym miała nad nim władzę.

— Głębiej, Nathanielu, mocniej. Rozerwij mnie na strzępy, zrań mnie, posiniacz, zniszcz...

Dwudziestego maja Sąd Najwyższy uznał uchwalone poprzedniego roku przez rząd podatki za niezgodne z konstytucją. W świecie amerykańskiego biznesu zapanowała radość.

— Nawet Henry jest w siódmym niebie — stwierdziła Edith Horton — choć zupełnie nie rozumiem, dlaczego. Za każdym razem, kiedy uda mu się zaoszczędzić sumę bliską czterech tysięcy dolarów, kupuje kolejne konie i buduje dla nich luksusową stajnię. W tym samym czasie ja zamawiam więcej wiader, by postawić je w miejscach, gdzie podczas deszczu przecieka nam dach... Nie wydajesz się taka radosna jak niegdyś — dodała, zerkając na Chess.

Jej przyjaciółka pokręciła głową.

— Przeczytałam w gazecie bardzo smutną wiadomość. Jeden z moich londyńskich przyjaciół został osadzony w więzieniu.

— To straszne. Za co?

— Nie wiem. Nic z tego artykułu nie rozumiem. Wygląda na to, że pozwał kogoś do sądu, a kiedy przegrał sprawę, wysłano go do więzienia.

— Może nie zapłacił prawnikowi.

— Być może.

— Czy był twoim dobrym przyjacielem? Chess zmusiła się do uśmiechu.

— Jesteś niemożliwa, Edith. Mówiłam ci już tysiące razy: żadnych szczegółów, żadnych nazwisk. Ale jeśli chodzi o tę sprawę — nie. Nie był moim kochankiem. Jedyne kimś, kogo bardzo lubiłam. To pisarz — nazywa się Oscar Wilde.

— Ten od Doriana Graya? Nie mogę w to uwierzyć. Jest sławny. Z pewnością był w stanie zatrudnić przyzwoitego prawnika i dobrze mu zapłacić.

— Nie wiem. Cóż, nic nie możemy w tej sprawie zrobić. Pomówmy lepiej o czymś przyjemniejszym. Czy twoje róże zaczęły już kwitnąć? Edith uśmiechnęła się szeroko.

— Musisz przyjść do mnie w przyszłym tygodniu. Moja Gloire de Dijon jest pokryta pąkami, a Rose of York ma już cztery fantastyczne kwiaty... — rozgadała się na dobre.

Chess przytakiwała jej odruchowo, cały czas myślała jednak o Oscarze.

Pytała kilka z nowo przybyłych Angielek, czy wiedzą cokolwiek na ten temat. I najwyraźniej wiedziały, tyle tylko że nie chciały o tym mówić, jakby chodziło o coś zbyt okropnego, by wypadało poruszać ten temat w rozmowie.

Nie potrafiła, czy może nie chciała, pytać Nathana. Oboje bardzo dbali, żeby ich rozmowy stanowiły w gruncie rzeczy konwersacje o niczym.

W końcu dowiedziała się wszystkiego od Jamesa Dike'a.

— Słyszałaś o Oscarze Wildzie? — zapytał ją, kiedy weszła do jego księgarni. — Czy to nie straszne? Chess przyznała mu się, że nic z tego wszystkiego nie rozumie, i James, posadziwszy ją na krześle, opowiedział jej całą, przygnębiającą historię. Oscar uległ czarowi pewnego kochanka, którego ojciec publicznie zwymyślał Wi-Ide'a. Ponieważ tym samym znieważył również swego syna, Oscar wniósł przeciwko niemu sprawę o zniesławienie. Mężczyzna, broniąc się, udowodnił, że wszystkie jego zarzuty są prawdziwe. Wyszło więc na to, że Oscar złamał prawo. Został osadzony w areszcie, osądzony i skazany na więzienie.

— Nadal nie rozumiem, Jamesie. Sądziłam, że tylko Biblia potępia romanse, ponieważ prowadzą one do rozwodów.

— Chess, Oscar winien był pederastii. Przecież jego kochanek to mężczyzna, syn markiza Queensberry'ego.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Co to jest pederastia? — zapytała, a kiedy James wyjaśnił jej, spuściła wzrok. — I oni wsadzili za to Oscara do więzienia? Dlaczego? Przecież to, co robił, było jego prywatną sprawą. Nikogo wszak nie krzywdził. Nie użył chyba wobec tego kochanka przemocy?

— Skądże! Ten człowiek był nawet dumny z romansu z nim. Napisał poemat, w którym powiada: „Jestem miłością, która nie ośmiela się wypowiadać swojego imienia”.

— Biedny Oscar! Czy ktokolwiek może coś dla niego uczynić?

— Nie. Jego przyjaciele ostrzegali go, żeby nie wnosił sprawy o zniesławienie, a kiedy już ją przegrał, nakłaniali, żeby opuścił Anglię. Nie chciał ich jednak słuchać. Pozwolił, by jego miłość go zniszczyła. Chess pomyślała o Nathanie. I o tym, co by uczyniła, gdyby Randall poprosił ją o pozostanie w Londynie. Była tak opętana miłością do niego, że poświęciłaby swoje małżeństwo, a może nawet Gussie.

— Miłość bywa czasami przerażająca — szepnęła.

— Amen — przytaknęła gorąco Dike.

Po raz pierwszy Chess pomyślała, jak też wygląda życie uczuciowe Jamesa. Nigdy nie widziała go w towarzystwie żadnej dziewczyny. Teraz, kiedy zdobyła nową wiedzę, zastanawiała się, czy nie ma on czasem kochankę — mężczyzny. Gdyby tak było, i jemu groziłoby niebezpieczeństwo. To źle, że istnieje prawo krzywdzące ludzi, którzy nie robią przecież nic złego.

— Dlaczego istnieją takie prawa, Jamesie?

— Świat karze wszystkich, którzy są inni — odparł smutno.

— Przyjdź do nas wieczorem na obiad — poprosiła, postanawiając, że nie będzie już nigdy więcej cierpieć katuszy, jedząc posiłki przygotowane przez matkę Nathana.

Chess napisała do Oscara długi, pełen uczucia list. Nigdy nie otrzymała jednak odpowiedzi, nie wiedziała więc nawet, czy mu go przekazano.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Pływały niepostrzeżenie, zablizniając rany i zacierając pamięć dawnych wydarzeń. Kiedy Chess i Nate pojechali w październiku na jarmark stanowy w Raleigh, jeden z nowojorskich teatrów wystawiał w tamtejszej operze muzyczną wersję „Trilby”.

Richardsonowie udali się na spektakl, który podobał im się

tak bardzo, że jedząc w hotelu kolację, cały czas o nim rozmawiali. Chess mogła już wspominać spotkanie George'a du Mauriera w domu Oscara, nie doznając przy tym uczucia rozpaczy z powodu tragedii Wilde'a. A przy tym dobrze czuła się z Nathanem. Niemal tak dobrze jak wówczas, nim w ich życiu pojawiła się Lily.

Była przekonana, że Randall także utracił już moc czynienia jej nieszczęśliwą. Był moim Svengalim — powiedziała sobie — a nie uczynił mnie wszak nawet wielką śpiewaczką. Zwierzyła się z tej myśli Edith i obie serdecznie się śmiały. To pomagało.

Siódmego listopada Vanderbilcie znowu poruszyli serca całego świata, urządzając przedstawienie, które przez wiele dni opisywano w licznych gazetach i magazynach. Chess żywo interesowała się tą sprawą, starając się nie przegapić najmniejszej nawet prasowej wzmianki na ten temat. Pogoda zrobiła się okropna — zimna, deszczowa i wietrzna. Przyjemnie było siedzieć przy kominku z chroniącym przed chłodem kaszmirowym szalem na ramionach i przeglądać pisma w poszukiwaniu doniesień o tej zwariowanej historii.

Większość gazet zamieściła obszernie opisy ślubu Con-sueli Vanderbilt z księciem Marlborough.

Mówiono o urodzie osiemnastoletniej panny młodej, o szlachetnych zmarszczkach księcia, a także o jego wspaniałym rodzinnym domu — zamku Blenheim.

Niektóre gazety nie postępowały jednak tak elegancko. Skupiły swą uwagę na skandalu związanym z niedawnym rozwodem rodziców panny młodej oraz na nieładnych postępках, jakich dopuścił się w prywatnym życiu pan młody.

Zdarzały się także relacje utrzymane w zdecydowanie złośliwym tonie: z detalami omawiano warunki małżeńskiego kontraktu, w których mowa była o przekazanym księciu posagu wysokości dwóch i pół miliona dolarów, o odset-

kach, jakie miały mu być wypłacane od tej kwoty, a także o dodatkowych stu tysiącach dolarów, które co roku mieli dostawać małżonkowie.

„New York World” opublikował portrety dwudziestu siedmiu księżąt. Wszystkich nieżonatych umieszczono w ramkach. „Uwaga, amerykańskie dziedziczki” — głosił umieszczony nad nimi napis. „Czego byście sobie życzyły?”

Chess za najciekawsze uważała opisy samego ślubu. Była to uroczystość iście w stylu Vanderbiltów: zbyt wiele wszystkiego. Każdy kolejny gazetowy artykuł przynosił więcej szczegółów. W końcu przeglądała je już tylko pobieżnie, szukając nowych detali na temat jakiegoś zapierającego dech w piersiach ślubnego prezentu lub koronek, którymi ozdobiono pantalonny młodej księżnej.

Trzy dni po ślubie doniesień na ów temat było już znacznie mniej i tylko cztery gazety zamieściły relacje z tej uroczystości na pierwszej stronie.

Narzeczona spóźniła się piętnaście minut na własny ślub — stwierdzał richmondzki „Dispatch”.

Chess usadowiła się wygodniej w fotelu.

Pięćdziesięciu policjantów powstrzymywało dwutysięczny tłum przed domem. Trzystu innych pilnowało ludzi zgromadzonych przed kościołem... Wnętrze świątyni, od podłogi aż po powałę, tonęło w kwiatach... Wśród prezentów ślubnych znalazły się perły należące do rosyjskiej carycy Katarzyny... brylantowa tiara... wypełniona diamentami szkatułka z litego złota... nabijany brylantami pas... tuzin diamentowych brosz... bransolety... suknia panny młodej haftowana była perłami... sześć druhen... dwie dziewczynki sypiące kwiaty... dywan z różanych kwiatów... orkiestra w pełnym składzie — pięćdziesiąt instrumentów... sześćdziesięcioosobowy chór... śmietanka towarzyska... Lista gości: burmistrz Nowego Jorku... brytyjski ambasador... amerykański ambasador przy dworze Świętego Jakuba...

Jej wzrok zatrzymał się. Powoli przebiegła spojrzeniem wąską szpalte. Istotnie, dobrze zobaczyła: „...lord Randall Standish”.

W Nowym Jorku! W Ameryce.

Gazeta wysunęła jej się z rąk i upadła na podłogę. Która to godzina? Tylko dziesięć po jedenastej. Jeszcze dziś wieczorem mogłaby być w Nowym Jorku. Nie miała wcale tak daleko, a deszcz nie wpływał na kursowanie pociągów. Nie zwracałaby sobie głowy pakowaniem — to tylko opóźniłoby wyjazd. Jest tutaj. W Ameryce. Tak blisko.

Całą sobą — zarówno ciałem jak i duszą — tęskniła za nim, pragnęła znaleźć się obok niego, raz jeszcze przeżyć tę gwałtowną namiętność, jaka ich łączyła.

Wydawało się jej, że te szesnaście miesięcy bez Randalla przestało nagle istnieć. Pamięć ich miłości była w niej tak żywa, jak gdyby ledwie przed sekundą kochanek wypuścił ją z objęć. Pod opuszkami palców czuła jego miękkie włosy, wargi pamiętały delikatne muśnięcia wąsów, usta zatrzymały smak pocałunków, a nozdrza — zapach jego ciała i woń ich miłości.

— Randall! — jęknęła głośno.

Jej wołanie odbiło się echem od ścian cichego, mrocznego pokoju. Miała wrażenie, że imię kochanka parzy jej wargi.

Mój Boże, jakże zniesie to cierpienie? Był tak blisko i nie przyjechał do niej. Nie napisał. Nie chciał się z nią spotkać. A tak niewielka odległość ich dzieliła!

Sądziłam, że mam to już za sobą — pomyślała z żalem. — Miałam nadzieję, że zapomniałam. Jak mogło stać się coś tak okrutnego? Czemu nie został w Anglii? Czemu to wciąż musi mnie tak ranić? Szczelniej otuliła się szalem. Nie potrafiła uwolnić się od ogarniającej ją rozpacz.

— Ten ogień wygląda nieźle — powiedział Nate, otwierając drzwi rannego pokoju.

— Wynoś się — szepnęła Chess, ale mąż nie usłyszał jej słów.
— Boże, jakież jestem zmarznięty! Panuje taki ziąb, że nie mogłem opanować szczykania zębami — dodał, wyciągając dłonie w stronę ognia.
Kiedy jednak popatrzył na żonę, gwałtownie opuścił ramiona.
— Źle się czujesz? W mieście panuje grypa. Chodź, zaprowadzę cię na górę.
— Nie, dziękuję. Nic mi nie jest. Zostaw mnie przez chwilę samą.
Nate ujął jej zimne ręce w swoje dłonie. Chess miała wrażenie, iż są one tak gorące, że aż parzą. To od ognia — pomyślała. Kiedy jednak spojrzała na jego twarz, wiedziała, że tak nie jest. Jeszcze nigdy dotąd piegi Nathana nie były tak widoczne jak teraz, kiedy kontrastowały z kredowobiałą cerą. Chess wstała i dotknęła czoła męża — było rozpalone gorączką.
— To ty się zaraziłeś gripą, nie ja. Chodź, pomogę ci wejść na górę.
Wybacz mi, Boże, ale cieszę się, że Nate zachorował. Będę miała przynajmniej o czym myśleć. To zagłuszy moją rozpacz.

Rozdział 42

W ciągu następnych tygodni Chess ani na chwilę nie opuszczało uczucie panicznego lęku. Nawet stalowy organizm Nate'a nie miał dość sił, żeby pokonać chorobę: następujące po sobie kolejne kryzysy przywiodły go na krawędź śmierci. To moja wina — wyrzucała sobie Chess. — Nathan umiera, a ja jestem za to odpowiedzialna, cieszyłam się bowiem z jego choroby.

Wśród Anglików, którzy osiedlili się w Standish, znalazł się również pewien doświadczony, niemłody lekarz. Chess ufała siwym włosom, łagodnym błękitnym oczom i głębokiemu przekonywającemu głosowi Johna Grahama, ale nawet on nie potrafił rozwiać jej obaw.

— Nie wiem, jak będę żyła, jeśli go stracę, doktorze — łkała.

— Nie ma powodu do niepokoju, pani Richardson. Pani mąż cieszył się zawsze doskonałym zdrowiem. Nie pozwoli, by pokonała go choroba. To wojownik.

— Tak...

Chess wiedziała, że lekarz ma rację. Nathan był wojownikiem. Nigdy nie przyznałby, że poniósł klęskę. Tak przynajmniej było niegdyś, bo ostatnio... Pożądanie Lily pokonało go. Od miesiący tracił na wadze. Może nie miał już ochoty na walkę, na życie?

I to wszystko przez nią. Może powinna pozwolić mu

odejść? Rozwieść się z nim. Zwrócić mu wolność, by mógł być z kobietą, którą kocha. Bóg jej świadkiem, że rozumiała to wszechogarniające pożądanie, tę nie liczącą się z niczym, okrutną moc miłości. Nie.

To nie była odpowiedź jej umysłu, lecz serca. Nie należało pozwolić Nathanowi odejść. Nie do Lily. Ona go nie kochała, lecz tylko pragnęła mieć na własność. Ja zaś go kocham. Od pierwszego dnia, kiedy to wpadł do rzeki i śmiał się, gdy jego spodnie zaczęły się kurczyć. Tak, już wtedy go kochałam. Nie zawsze ta miłość wyglądała tak samo. Ludzie się zmieniają, a piętnaście lat to dużo czasu. Cały świat się zmienił.

Mimo to ciągle kocham Nathana. Nie pozwolę mu odejść do tej kobiety. Będę z nią walczyć. I z nim także, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Niech tylko wyzdrowieje. Proszę, Boże, pozwól mu wyzdrowieć.

Zabrało to blisko trzy tygodnie, ale Nate zwyciężył. Mocno schudł. Chess była wstrząśnięta, jak bardzo się też postarzał. Miał trzydzieści osiem lat, nie powinno jej więc szokować to, że stracił chłopięcy wygląd, ale jednak nie umiała do tego przywyknąć.

Codziennie, rano i po południu, przynosiła mu do pokoju stosy dokumentów, by wiedział, co się wydarzyło podczas jego choroby. Wszyscy dyrektorzy i zarządcy chcieli rozmawiać z nim osobiście, ale Chess nie pozwalała na to. Ich protesty nie robiły na niej wrażenia i wkrótce nauczyli się, że pani Richardson jest nieugiętą kobietą biznesu. Podczas choroby męża domagała się codziennych raportów ze wszystkich należących do nich przedsiębiorstw i bez wahania podejmowała konieczne decyzje. O swych posunięciach informowała Nathana, by mąż nie niepokoił się, że nikt nie czuwa nad jego interesami.

Opowiadała mu także o tym, co działo się w kręgu ich rodziny, przekazywała prywatną korespondencję. Powiedziała mu nawet, że Lily i Gideonowi udało się znaleźć hojnych ofiarodawców, którzy ufundowali meble do nowego budynku szkółki niedzielnej. Chętniej jednak rozmawiała z nim o udziale Gussie w szkolnym przedstawieniu. Dziewczynce przydzielono rolę Melchiora, jednego z trzech króli, i miała śpiewać solo kolędę o trzech mędrcach ze Wschodu. Chciała dostać na tę okazję złote kolczyki i prosiła o pozwolenie na przekłucie sobie uszu. Po długim namyśle Nathan niechętnie zgodził się na to. Nie lubił przyznawać, że jego mała dziewczynka powoli dorasta.

— To są zaproszenia, na które odpowiedziałam, że bardzo żałujemy, ale nie możemy przyjść — powiedziała Chess, podając mężowi stosik eleganckich kartoników. — A te postanowiłam przyjąć, choć zaznaczyłam, że to zależy od tego, jak doktor Graham oceni twój stan zdrowia.

— Chwileczkę — przerwał jej Nate. — Chcę, żebyśmy tam poszli. Napisz jeszcze raz i zawiadom, że jednak przyjmujemy zaproszenie.

Chess zerknęła na trzymany przez niego w ręku arkusik papieru. George Vanderbilt pragnął, by zaszczycili swoją obecnością świąteczne przyjęcie, w czasie którego miało nastąpić oficjalne otwarcie jego nowego domu koło Ash-ville.

— To zbyt daleka podróż jak na zimową porę — sprzeciwiła się. — I zbyt długie przyjęcie. Od wyjazdu stąd do powrotu upłynęłoby co najmniej sześć dni.

— Tak czy owak, chcę tam pojechać. Mam ochotę zobaczyć wszystkie mechaniczne urządzenia, jakie Vander-bilt zainstalował w swoim domu. — Mówiąc to, Nate wyglądał jak słaby, nie całkiem jeszcze zdrowy, uparty chłopak. Na jego bladą twarz powróciło jednak młodzieńcze podniecenie.

Chess musiała mu ustąpić.

Odkąd nadeszło to zaproszenie, ani na chwilę nie przestawała myśleć o Randallu. Skoro był gościem na ślubie córki Vanderbilta, zapewne będzie też obecny na uroczystości otwarcia jego domu. Mimo obawy o Nathana serce zabiło jej żywiej.

Na wierzchu stosiku kartoników, na których umieszczono dopisek „przyjęte”, leżało zaproszenie na mający się odbyć osiemnastego grudnia ślub panny Elizy Morehead Carr z Henrym Corwinem Flowerem. Stanowiło ono dla Richardsonów nie lada kąsek, większy nawet od udziału w otwarciu Tower Bridge, ponieważ Jule Carr, ojciec panny młodej, był właścicielem Bulla. A w Karolinie Północnej, pomimo międzynarodowego sukcesu Nate'a, nowojorskich szwindli Bucka Duke'a i tytoniowego imperium Dicka Reynoldsa w Winston, Bull wciąż pozostawał królem. Jeśli wiatr wiał z odpowiedniej strony, w Standish ciągle słyszano stłumiony ryk syren jego fabryki.

Chess znalazła się w grupie innych uprzywilejowanych dam, które były zaproszone na tydzień wcześniej, aby mogły obejrzeć zbytkowną wyprawę panny młodej. Zamówiono ją w Paryżu, gdzie pani Carr i Liza — tak nazywano w domu Elizę — spędziły ostatnie lato.

Przybyłym zaprezentowano także ślubne prezenty. Richardsonowie ofiarowali srebrny kandelabr od Tiffany'ego, który zdaniem Chess wyglądał bardzo okazale. Musiała jednak przyznać, że wszystkie podarunki i tak przyćmił antyczny fotel z Windsoru przysłany przez Adlai Stevensona, wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ceremonia ślubna i wesele odbyły się w wielkim, zdobionym wieżyczkami domu Carrów o nazwie Somerset Villa, który liczył sobie już pięć lat, ale wciąż pozostawał najbardziej okazałą budowlą w Durham. Stary Jule wydał fortunę na tę rezydencję. Same szyby z barwionego szkła kosztowały go sześć tysięcy dolarów.

Na wesele także nie pożałował pieniędzy. Z Filadelfii przybył wynajęty specjalnie na tę okazję dekorator wnętrz, który zainstalował w ogrodzie elektryczne lampy i ozdobił pokoje setkami kwiatnych bukietów. Także z Filadelfii sprowadzono kucharza. Poza własnymi pomocnikami przywiózł ze sobą również dwa wagony importowanych specjałów na ucztę weselną.

— Myślałem, że już nigdy się stąd nie wyniosą — mruknął do żony Nate, kiedy nowożeńcy o drugiej nad ranem wyruszyli w podróż poślubną. Goście obsypali ich ryżem i różanymi płatkami. Dopiero wówczas wypadało im wrócić do domów.

— Nie narzekaj — uśmiechnęła się Chess. Od chwili kiedy przybyła na tę uroczystość, starała się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Wiedziała, że zanim się obejrzą, Gussie także przemieni się w młodą damę, a wkrótce potem wyjdzie za mąż.

Uznała jednak, że wiosna będzie znacznie lepszą porą roku na wesele jej córki. Postanowiła posadzić w przyszłym roku całe setki azalii, by za siedem, osiem lat, kiedy to Gussie stanie na ślubnym kobiercu, miały już piękne, dorodne kwiaty.

— Nieomal słyszę, jak układasz w głowie jakieś plany — powiedział Nate. — O czym z takim zapamiętaniem rozmyślasz?

— O ogrodzie — odrzekła Chess. — Tylko o kwiatach do ogrodu.

Lokomotywa S & D odwiozła prywatny wagon Nate'a do Durham i pozostawiła go tam na bocznym torze. Następnie, wraz z pięcioma innymi prywatnymi wagonami, został on dołączony do jadącego z Nowego Jorku pociągu Vanderbilta i cały skład ruszył do Ashville, a potem bocznym szlakiem do Biltmore, taką bowiem nazwę nosił dom

George'a Vanderbilta. Wszyscy pasażerowie wysiedli na małej stacyjce z niskim, ceglanym budynekciem dworcowym i zostali poprowadzeni przez stangretów ku oczekującym powozom.

— Jakie to miłe! — powiedziała Chess, otulając kolana futrzaną derką. — Zobacz, są także futrzaki do ogrzania stóp. Okryj się swoim, Nathanie, dobrze wiesz, że wciąż jeszcze nie do końca przyszedłeś do siebie po grypie.

— Do licha, przestań traktować mnie jak małe dziecko!

— Już dobrze, dobrze. To górskie powietrze smakuje jak tafla lodu. Czyż nie jest wspaniałe?

Od godziny, kiedy to pociąg wjechał w górzysty teren, krajobraz wokół nich lśnił niczym nie tkniętą, śnieżną bielą, z której gdzieniegdzie tylko sterczały zielone wierzchołki sosen. Ich gałęzie także ginęły pod czapami śniegu. Było popołudnie i promienie zachodzącego słońca nadały bieli odcień herbacianych róż.

— Fantastyczna robota inżynierska — zachwycił się udobruchany już Nate. — Poczekaj tylko, aż zobaczysz, jak idealnie pasują do siebie te kamienne bloki. Przenosiły je ponoć dźwigi wysokie jak kościelne wieże.

Popołudniowe światło nadało jego cerze zdrowy wygląd. A może po prostu na policzki powrócił mu wreszcie rumieniec? Mężczyzna pochylił się, niecierpliwie wyglądając chwili, kiedy będzie mógł obejrzeć dom i zainstalowane w nim cuda techniki.

Mając przed sobą dwa, a za sobą trzy powozy, minęli łukowatą bramę posiadłości Vanderbilta, skąd czekała ich jeszcze pięciokilometrowa podróż do rezydencji.

— Wyobraź sobie, ile pracy kosztuje codzienne odśnieżanie tego traktu — powiedziała do męża Chess, zaczynając rozumieć, co mieli na myśli ci, którzy uważali, że Vander-biltowie ze wszystkim przesadzają.

— Prawdopodobnie istnieje tu jakaś droga na skrót, której używa się zimą — zauważył Nate.

Nawet jeśli tak było, Chess nie dopatrzyła się żadnego skrótu. Zapadał już purpurowy zmierzch, kiedy powozy zatrzymały się na szerokim, całkowicie odśnieżonym, żwirowym podjeździe. Powyżej, po ich prawej stronie, wznosił się strzelisty dach zbudowanego w stylu francuskim gmachu, który na tle ciemniejącego nieba przypominał zwieńczoną ostrą granią górę. Poniżej setki oświetlonych jasno okien zapraszały przybyszów do ciepłego wnętrza. Buckingham Pałace wyglądałby przy tej rezydencji jak skromna willa — pomyślała Chess.

— Mój Boże — szepnęła. Żaden dom nigdy nie zrobił na niej takiego wrażenia. Wydawało się jej niemożliwe, by ta fantastyczna budowla istniała naprawdę. To musiała być iluzja. Albo rezultat czarów.

Na znak dany przez powożącego pierwszą karetą stangreta powozy kolejno podjeżdżały pod monumentalne, ozdobione wieżyczką wejście.

Na dźwięk skrzypiących na żwirze kół otworzyły się olbrzymie frontowe drzwi i ciemność rozproszył nagle szeroki snop światła. Chess zerknęła na to wielkie domostwo i od razu poczuła się bardzo mała. A także nieco wystraszona. Mieszkały tu chyba jakieś olbrzymy.

— Tutejszy generator prądu musi być większy niż ten, który dostarcza energię dla całego Standish — stwierdził Nathan i ta prozaiczna uwaga rozbawiła Chess. Niespodziewanie ogarnęła ją ciekawość, jak też wygląda wnętrze tego domu. Z pewnością Alicja nie spotkała w Krainie Czarów nic dziwniejszego od tego pałacu.

Rozdział 43

Wszystko było wielkie. Wejściowy hol przewyższał rozmiarami salę balową w Harefields. Teraz, kiedy wszyscy znaleźli się już pod dachem gospodarza, pasażerowie pozostałych pięciu powozów przedstawili się Richardsonom. Trzy pary pochodziły z Nowego Jorku, dwie zaś z Pensylwanii. Towarzyszyły im także nastoletnie dzieci — razem było ich sześcioro. Służba zabrała je natychmiast do windy, której wnętrze było dwukrotnie większe od „jeżdżącego pokoju” w Savoyu. Nowojorczycy znali się już wcześniej, podobnie jak przybysze z Filadelfii, i wkrótce uformowały się dwie grupy, które pozostawiły Chess i Nate'a samym sobie. Tak było aż do chwili, kiedy pojawił się George Vander-bilt — szczupły, młody mężczyzna o miłym wyglądzie, liczący sobie zaledwie trzydzieści trzy lata. Jego jasna cera i bardzo ciemne włosy oraz bujne wąsy natychmiast przypomniały Chess o Randallu. Odgadła, dlaczego. Podobieństwo leżało nie tyle w cechach fizycznych, ile w niewymuszonej elegancji, jaka cechowała obu tych mężczyzn. Wspomnienie o Standishu sprawiło, że początkowo, rozmawiając z Vanderbiltem, czuła się niezręcznie. Wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że właściciel tego wspaniałego

zamku jest w gruncie rzeczy człowiekiem nieśmiałym, i zaczęła zachowywać się z większą swobodą. Gospodarz nadzwyczaj ciepło powitał swoich gości, wymieniając z Nathanem mocny uścisk ręki i uśmiechając się szeroko.

— Ogromnie się cieszę, że zdołaliście jednak przyjechać, Nate — powiedział i tym razem wcale nie zachowywał się nieśmiało. — To wspaniale. Bojlery i generator prądu elektrycznego czekają na ciebie.

Chess się uśmiechnęła. Chłopcy i ich zabawki — pomyślała.

Orszak wystrojonych w liberie służących odprowadził wszystkich do ich pokoi. Ubrania gości zostały już rozpakowane i powieszono w szafach.

— Wiedziałem, że muszą mieć jakąś krótszą drogę — powiedział Nate. — Wyładowali wagony i przywieźli tu bagaże, kiedy nas dzieliło od rezydencji jeszcze z kilometr.

Gościnny pokój przydzielony Chess miał owalny kształt i czerwony wystrój. Białe framugi okien i drzwi zdobiły klasyczne drewniane rzeźbienia, ściany zaś i meble były obite czerwonym adamaszkiem. Piękne, oklejone kosztownym fornirem łoże wieńczył łukowaty baldachim z czerwonym lambrekinem i zasłonami. Pod ścianą stała kanapa ze złoconymi poręczami, a na środku pokoju znajdował się okrągły stół oraz cztery połączone krzesła. Na ogromnym kominku płonął solidny ogień. Chess uważała ten pokój za bardzo miły, nawet jeśli, jak na jej gust, urządzono go ze zbytnim przepychem. Rzuciwszy niedbale na kanapę płaszcz i kapelusz, zaczęła uważnie przyglądać się wnętrzu. Dużo miejsca na rzeczy w komodach z szufladami. Dobre do czytania światło. Zadbano też o to, by w przylegającej do pokoju łazience — o bardzo surowym, ku zaskoczeniu Chess, wystroju — znalazły się wszystkie niezbędne gościowi sprzęty. Mimo to w pomieszczeniu zostało jeszcze wiele miejsca. Nie było tu jednak marmurowych kafelków na

ścianach tak jak w łazience w Harefields, nad wanną zaś powieszono tylko jedno lustro. Brakowało także toaletki.

— George nie ma żony, a architekt, który projektował ten dom, to mężczyzna — wyjaśnił Nate. — My potrzebujemy luster tylko po to, by się golić, nie zaś — by wyczyniać jakieś zabawne rzeczy z włosami.

Tak, to wyjaśnienie miało sens — zgodziła się Chess. O ile było się mężczyzną. Sypialnia Nathana znajdowała się po drugiej stronie łazienki i również miała łączące ją z tym pomieszczeniem drzwi. Chess zauważyła, że w pokoju męża nie było ani jednego lustra, a obicia krzesel i kanap wykonano ze skóry. Materac na łóżku męża wydawał się znacznie twardszy niż na jej.

Wróciła do swoich czerwonych adamaszkowych luksusów i usiadła na sofie, by przeczytać leżącą na stole, oprawną w skórę, broszurę przeznaczoną dla gości.

Tak jak tego oczekiwała, każdej damie, która nie przywiozła własnej służącej, przydzielano osobną pokojówkę. Wystarczyło zadzwonić, żeby się pojawiła. Pranie będzie zbierane... i oddawane... W stajni czekają przewidziane dla gości wierzchowce... Przygotowano kostiumy kąpielowe dla tych, którzy chcieliby skorzystać z podgrzewanego basenu w piwnicy pałacu. Kręgielnia... Bilard...

Wszystko to było szalenie podniecające. Chess nigdy nie widziała basenu pływackiego ani kręgielni. Dołączona do broszury luźna kartka informowała o zmianach w rozkładzie dnia, był to bowiem trzydziesty pierwszy grudnia. W głównym holu o dziesiątej wieczorem miał się rozpocząć bal, po nim zaś — o pierwszej — zapraszano na kolację do sali bankietowej. Od siódmej do dziesiątej w bufetach w salonie na pierwszym piętrze i w galerii gobelinów na parterze podawano lekkie przystawki.

Świetnie — pomyślała Chess. — Pod warunkiem, że znajdziemy któryś z tych pokoi. Miała wrażenie, że chodząc

po tym wielkim domu, powinna cały czas rozwijać kłębek włóczki, bo inaczej nigdy więcej nie znajdzie już swojej sypialni.

— Dokąd się wybierasz, Nathanie?

— Chcę znaleźć pomieszczenie z bojlerem. Wrócę na czas, żeby przebrać się w wieczorowy strój.

— Błagam, nie wpadnij do jakiegoś pieca i nie przemęcz się. Te wszystkie maszyny będą tu również jutro.

Chess zerknęła na pozłacany zegar na kominku. Była dopiero piąta. Dzięki Bogu kupiła sobie coś do czytania. Umierała z ciekawości, by dokładnie obejrzeć dom, musiała jednak poczekać z tym do następnego dnia.

Zadzwoiła na pokojówkę, żeby powiedzieć, czego potrzebuje, i wypytać o dom oraz jego mieszkańców.

— George Vanderbilt nie jest nawet zaręczony — poinformowała Nathana, kiedy wrócił do sypialni.

— Szkoda, że Gussie jest jeszcze taka mała. W innym wypadku spróbowałabym swoich sił jako swatka. — Musiałabyś ustawić się na końcu długiej kolejki — zakpił Nathan. — Ten biedak musi opędać się kijem od swatających go mamus. Wśród dam odwiedzających jego siostry także znajduje się mnóstwo kandydatek do jego ręki. To miejsce zawsze wypełnia tłum kobiet.

— Zdumiewasz mnie, Nathanie. Jak zdołałeś dowiedzieć się tak wielu rzeczy, przebywając cały czas w kotłowni? — Służba wie wszystko — sama powtarzałaś mi to tysiące razy. A piwnica jest miejscem, które wprost tętni życiem. W mieszczącej się, tam jadalni dla służby dostałem nawet filiżankę kawy i kawałek pasztetu z kurczęcia. Koniecznie musisz zobaczyć te pomieszczenia, zarówno kuchnię, jak pralnię. Są większe nawet od tych, które widzieliśmy w hotelu. Muszą takie być. Vanderbilt zatrudnia osiemdziesięciu służących.

— Osiemdziesięciu?

— Tylko w tym budynku. Kilkuset pracuje jeszcze

w stajniach, oborach, ogrodach i na polu. George sam hoduje prawie wszystko, co się jada w jego domu. Na dole są nawet cieplarniane winogrona.

— Cóż, w takim razie przynieś mi coś do jedzenia. Jestem głodna.

— W bufecie w końcu holu jest mnóstwo przystawek. Chodźmy tam. Wybierzesz sobie to, na co będziesz miała ochotę.

Salon z bufetem znajdował się zaledwie o kilka kroków od ich pokoju — u szczytu wspaniałych, kręconych marmurowych schodów. Wejście do niego tworzyły cztery wysokie, zwieńczone łukowato kolumny. Służba miała pełne ręce roboty z ustawianiem przykrytych srebrnymi kloszami półmisek na spirytusowych palnikach. Tace z zimnymi zakąskami umieszczono na osobnym stole obok stosu talerzy i sztucców oraz niezliczonych rzędów kieliszków.

Na kosztownym parkiecie pyszniły się orientalne dywany, z których każdy pokryłby podłogę normalnej wielkości pokoju. Tutaj dzieliły one niejako jedno wielkie pomieszczenie na mniejsze części. Na każdym z nich stał osobny komplet krzesel, stołów i kanap.

Wszystko było takie duże. Chess podeszła do jednego z wysokich okien i lekko rozchyliła ciężkie, aksamitne zasłony. Być może, jeśli zobaczy niebo i gwiazdy, sala wyda jej się mniejsza i przestanie ją przytłaczać.

Zamiast nieba ujrzała jednak światło. Okno wychodziło na szklany dach cieplarni. To było coś fascynującego. Mogła patrzeć na ludzi spacerujących, rozmawiających oraz siedzących na ławkach w cieniu palmowych drzew. Wydało jej się nagle, że jest w teatrze i spogląda na jasno oświetloną scenę. Całkowicie cichą scenę, nie słyszała bowiem odgłosu kroków, szelestu sukien ani słów wypowiedzianych przez poruszające się usta.

Ujrzała zwróconego do niej plecami George'a Vanderbilta, rozmawiającego ze stojącymi w półkolu kobietami.

Wszystkie były młode i wszystkie śmiały się teraz z jakiejś uczynionej przez niego uwagi. Biedny George! — pomyślała Chess. Nathan miał rację: tego człowieka przez cały czas muszą otaczać marzące o małżeństwie panny na wydaniu.

Jedzenie pachniało bardzo apetycznie. Chess zamierzała właśnie odwrócić się od okna i zjeść coś, kiedy nagle jej dłonie gwałtownie zacisnęły się na zasłonie. Mężczyzna, na którego patrzyła, nie był George'em Vanderbiltem. Te plecy i ciemne włosy należały do Randalla. Wiedziała to. Sama nie umiałaby powiedzieć, czemu była tego tak pewna, ale też nikt ją o to nie pytał. Po prostu wiedziała. Musiała mocno trzymać się zasłony, żeby nie upaść. Serce waliło jej jak młotem. Z trudem chwytiała oddech.

Co było tego przyczyną? Szczęście? Lęk? Miłość? Pożądanie? Wszystko to razem, a nawet więcej — odpowiedziała sobie.

— Czy mogę napełnić pani talerz? — zapytał jeden ze służących, stając obok niej.

Chess odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić.

— Tak, proszę — odparła. — Najpierw jednak chciałabym, aby pomógł mi pan gdzieś usiąść. Trochę mi słabo. To zapewne przez ten górski klimat.

Czuła, że musi opanować zdenerwowanie. Może jeśli przez chwilę pooddycha głęboko, będzie w stanie zebrać myśli. I uwierzyć w to, co zobaczyła.

Chess pochyliła się i przyjrzała swojej twarzy w dużym lustrze na kominku. To nie było sprawiedliwe. Mężczyźni mogli zapuścić wąsy, by ukryć brzydkie zmarszczki wiodące od nosa do kącików ust, i brodę, która zasłaniała zwiotczałą skórę policzków. Natomiast z twarzy kobiety natychmiast można było wyczytać jej wiek. Czterdzieści pięć. Czy tak właśnie wygląda czterdziestopięciolatka? A może ktoś uznał-

by, że Chess ma lat sześćdziesiąt? Rzadko się nad tym zastanawiała. Kobieta, która zawsze była brzydka, niewiele czasu spędza przed lustrem.

Tylko jej dłonie nadal pozostawały piękne, chociaż żyłki były teraz bardziej widoczne. Nie zrobiły się jednak sękaty, jak to bywało nieraz z rękoma starych ludzi.

Włosy lśniły intensywniej niż kiedykolwiek — jak gdyby ich jasnozłotą barwę zastąpiło srebro. Tak czy owak jednak były zdecydowanie siwe, prawie połowa z nich — nie tylko kilka pasemek na skroniach.

Jestem stara, brzydka i, na Boga, wolałabym nie przyglądać się sobie zbyt często. Powinnam zamienić się z Na-thanem na pokoje. W jego sypialni nie ma luster.

Kobiety otaczające Randalla były młode i piękne. Cały świat jest wypełniony młodymi, ślicznymi dziewczętami — pomyślała z goryczą.

Minęło już półtora roku od mego wyjazdu z Londynu. Prawdopodobnie on mnie nawet nie pamięta. Czemu nie miałabym zejść na dół i przywitać się z nim, tak jak tego pragnę? Po co okłamuję samą siebie, że mogę ubrać się tak, by w jego oczach wyglądać ładnie? Ciekawe, czy on wie, że tu jestem? W każdej sypialni powinna znajdować się lista gości, tak jak na statkach rozdaje się wszystkim listę pasażerów. Ten zamek przypomina olbrzymi okręt, jasno oświetlony w ciemności, a otaczające go góry to niby wzburzone morze.

— Czy mogę wyszczotkować pani włosy? — zapytała pokojówka.

— Nie, dziękuję. Sama to zrobię. — Chess gwałtownie przeciągnęła szczotką po długich, ciężkich lokach, po czym z wprawą upięła je w ciasny kok, sięgający od czubka głowy aż po nasadę szyi.

Długie stalowe szpilki błyskawicznie znalazły się tam, gdzie powinny.

Zdjęła haftowany, jedwabny kostium i oddała go służącej. Przez chwilę stała przed lustrem, przyglądając się swemu

ciału. Jej skóra była biała — równie biała jak jedwabny gorset i podwiązki. Z tą bielą ostro kontrastowały czarne jedwabne pończochy. Stanąwszy pośrodku fałd rozłożonego na podłodze czarnego jedwabiu, czekała nieporuszona, aż pokojówka włoży jej halkę.

Suknia balowa leżała już na brzegu łóżka. Chess nigdy jeszcze nie miała jej na sobie — Luther uszył ją specjalnie na bal u księżnej Devonshire. Bez wątpienia była to najpiękniejsza toaleta, jaką kiedykolwiek miała. Czy choćby widziała, co na jedno wychodziło.

— Jedną chwilę — powiedziała do pokojówki, przypominając sobie pewną sztuczkę, jakiej nauczyła ją Edith Horton. Zwilżyła śliną dwa palce i pochyliwszy się nad kominkiem, pobrudziła je popiołem. Potem, bardzo ostrożnie, mrugając oczyma, przeniosła sadzę na swoje rzęsy, sprawiając, że stały się o wiele ciemniejsze. Lustro nad kominkiem ukazywało teraz jej zdumiewająco jasne oczy, podkreślone czarną linią. Następnie przyszła kolej na wargi — Chess zagryzała je tak długo, aż nabrały ciemnoróżowego koloru.

— Jestem gotowa — stwierdziła, wyciągając przed siebie ręce.

Pokojówka włożyła jej przez głowę suknię i westchnąwszy z podziwu, wprawnymi palcami szybko zapięła haftki. Na koniec pomogła jeszcze Chess włożyć jedwabne balowe pantofelki.

— Wygląda pani bardzo pięknie — powiedziała dziewczyna.

Pełna obaw, że jej nadzieje okażą się płonne, Chess podeszła do przeciwległej ściany pokoju, na której wisiało lustro. Było ono tak wielkie, że mogła zobaczyć w nim całą swą postać. To, co ujrzała, zaparło jej dech w piersi. Luther Witsell był prawdziwym artystą. Nazwał swoje dzieło „ogrodem o północy” i miano to okazało się ze wszech miar właściwe.

Suknię uszyto z czarnej, sztywnej, jedwabnej tafty, która

wyglądała jak nakładające się na siebie cienie. Ogromne bufiaste rękawy, jakich wymagała obecna moda, zsuwały się lekko z ramion Chess, a ich ciemna barwa jeszcze bardziej podkreślała lśniąca jak księżycowe światło biel skóry.

Łagodnie wygięta linia szyi przypominała krawędź tarczy księżyca. Odślaniający ramiona dekolt nie był jednak na tyle głęboki, by ukazywać choć skrawek małych piersi Chess. Górę sukni oraz brzeg dekoltu zdobił lśniący, cekinowy haft o wzorze muszelek.

Te same, ułożone w nieco większe muszelki, cekiny zdobiły jedwabny brokat, którego pas naszyto z przodu sukni. Na srebrnym tle tkaniny widniał wzór złotych liści.

Pas otaczały fałdy czarnej tafty tworzącej szeroką spódnicę z niewielkim trenem. W tym miejscu Luther, jako wytrawny artysta, zastąpił ciężki, bogaty haft namalowaną na tkaninie cienką pajęczyną. Delikatne muśnięcia pędzlem pozostawiły na materiale faliste żyłki, do których przypięto pomalowane na złoto i srebrno szyfonowe liście. Farba je usztywniła, nie zwiększając jednak ich ciężaru, tak że drgały lekko przy najlżejszym nawet ruchu Chess.

Jeszcze więcej lśniących szyfonowych liści wszyto w środek bufiastych rękawów, by dyskretnie przeświecały przez czarną taftę.

Złotosrebrne włosy Chess sprawiały wrażenie, jakby świeciły własnym światłem, a podkreślone czarnymi rzęsami jasne oczy lśniły jak gwiazdy.

Chess zawiązała na białej szyi szeroką wstążkę wyszywaną cekinami w czarne liście, wpinając podobną ozdobę we włosy.

Ręce jej drżały, kiedy sięgała po szklany flakon z perfumami, których woń zagłuszyła kwietny zapach mydła. Wciąż używała tego samego gatunku, który niegdyś ofiarował jej Randall. Spryskała perfumami włosy, uszy, szyję i odkryte ramiona.

Następnie wsunęła dłonie w trzymane przez pokojówkę

białe rękawiczki i podciągnęła je w górę ramion aż do krawędzi rękawów. Dopiero wtedy służąca zapięła jej na nadgastkach bransoletki z małych perełek i podała wielki wachlarz z czarnej koronki. Chess słyszała dochodzącą z dołu muzykę. Podziękowała młodej pokojówce, która odeszła, skłoniwszy się głęboko, i ruszyła w stronę sali balowej. Nathan czekał na nią w holu.

— Wyglądasz wyjątkowo elegancko — powiedział.

— Podobnie jak ty — uśmiechnęła się.

Była to prawda. Szyjący stroje Nate'a londyński krawiec po mistrzowsku wywiązał się ze swego zadania.

— Windą czy schodami? — zapytał żartobliwie Nathan.

— Schodami — odparła Chess.

Jedną z lekcji zapamiętanych w młodości było śmiałe schodzenie po schodach — z uniesioną wysoko głową i bez dotykania poręczy. Uznała, że umiejętność zachowania tej dumnej postawy bardzo jej się teraz przyda.

Szeroki dół sukni miękko układał się na stopniach, kiedy Chess schodziła szerokimi, marmurowymi schodami. Przeświecający przez wysokie okno blask księżycy opromieniał jej włosy i skórę.

Mężczyźni stojący u stóp schodów z podziwem unieśli wzrok, jeden z nich zaś zrobił kilka kroków i podając jej dłoń, pomógł pokonać ostatnie stopnie.

— Możesz ofiarować mi tego walca, Chess?

Rozdział 44

Dopiero w tym momencie Chess uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie tańczyła z Randallem. Nie była jednak wcale zaskoczona, że wirowała z nim w walcu z taką swobodą, jakby przez całe życie nie robiła nic innego. To musi być sen — myślała. Ten bajkowy zamek tak naprawdę nie istnieje. Balowa sala wyłożona marmurową posadzką także nie jest realna, podobnie jak ciepła dłoń Randalla spoczywająca na jej talii. Tylko w snach spełniają się takie, płynące prosto z dna serca, marzenia.

— Witaj, moja kochana — powiedział, kiedy zeszła ze schodów i zatrzymała się obok niego.

— Witaj — odrzekła.

A potem wirowali, wirowali i wirowali przez całą salę. Nie mówili już nic więcej. Objęci, zasłuchani w muzykę, wiedzieli, że żadne słowa nie są potrzebne. Było dobrze. Idealnie.

Walc skończył się, ale Chess nie czuła smutku. To był sen, mogła zatem tańczyć walca bez końca.

— Muszę porozmawiać z Nate'em — powiedział Randall.

I to także było w porządku. Z uśmiechem popatrzyła za odchodzącym mężczyzną.

W tej samej chwili, wyciągając rękę, skłonił się przed nią jakiś człowiek.

— Mogę panią prosić?

Chess podała mu dłoń i zaczęła tańczyć kolejnego walca. Nieznajomy nazywał się Fred Vanderbilt. Chess wymamrotała niewyraźnie swoje nazwisko, po czym grzecznie przytakując, udawała zainteresowanie tym, co mówił, choć tak naprawdę nie słyszała z tego ani słowa.

Było to małe przyjęcie, tylko na dwadzieścia sześć osób, co nadawało temu wieczorowi szczególny nastrój. Sala balowa graniczyła z zimowym ogrodem — ową cieplarnią o szklanym dachu, przez który Chess przyglądała się gościom z góry. Pomędzy tańcami ludzie przechodzili do tego wypełnionego kwiatami i palmami pomieszczenia, by napić się szampana. Chess przeczekała tam nawet w towarzystwie męża jeden walc i to przywróciło jej równowagę ducha.

— Tak bym chciała, żebyś tańczył — powiedziała, siadając na bambusowej ławce. Te same słowa powtarzała już setki razy w przeszłości.

— Zmieniłabyś zdanie, gdybym zaczął deptać ci po palcach — odrzekł jak zawsze Nate.

Żadne z nich nie wspomniało o tym, że dobrzy metodyści uważali taniec za grzech. Nie mieli ochoty przywoływać w pamięci widoku zmarszczonych brwi Mary Richardson.

Nathan wcale nie żałował, że nie potrafi tańczyć — wokół siedziało wiele nie tańczących osób, z którymi w każdej chwili mógł porozmawiać. Jak zawsze ogromnie interesowało go to, co mieli do powiedzenia inni ludzie. Kiedy orkiestra robiła sobie przerwę, powtórzył żonie, czego dowiedział się o innych gościach. Brat George'a, Fred, nie miał jeszcze czterdziestu lat i był zapalonym żeglarzem. Czas spędzony na łodzi uważał za stracony. Jego żona, Louise, była dwanaście lat starsza od męża i również' uwielbiała pływanie jachtem. Dwie obecne na balu młode dziewczęta okazały się siostrami z Rhode Island. Siostra George'a, Florence, zaprosiła je jako ewentualne kandydatki na żonę brata. Ich matka zaprzyjaźniła się z nią w Newport. Jej

mąż, Hamilton Twombly, był cichym mężczyzną, doskonale orientującym się w finansowych operacjach przeprowadzanych na Wall Street. Nie pochwalał ekstrawagancji George'a, ale niewiele mógł na to poradzić. Ekstrawagancja była charakterystyczna dla Vanderbiltów.

Cała rodzina gospodarza przybyła do Biltmore tydzień temu, na święta Bożego Narodzenia.

Większość z nich po raz pierwszy widziała dom George'a i wciąż jeszcze nie mogła otrząsnąć się z wrażenia — właścicielowi udało się „przevanderbiltować” ich wszystkich. Krewni wyjechali zaraz po świętach i tylko Florence i Fred postanowili zostać tu na balu noworocznym.

George'a i Randalla poznał ze sobą James Whistler. George od lat był wielbicielem i przyjacielem mieszkającego na emigracji amerykańskiego artysty.

— Sądzę — śmiał się Nate — że George bardzo się cieszy, mając przy sobie Randalla, może bowiem choć na chwilę uwolnić się dzięki niemu od tej gromady polujących na męża kobiet. Bardzo zdziwiłem się, widząc go dzisiaj przy tych schodach. Zacząłem się wręcz zastanawiać, czy naprawdę znajduję się w Karolinie Północnej.

— Wiem. To wydawało się całkiem nierealne.

— Masz rację. Ale, ale... Piwnica również stanowi miejsce, gdzie człowiek ma wrażenie, że śni.

Prądnica robi tyle hałasu, że dziwisz się, iż głowa nie pęknie ci na kawałki.

— Ostrzegałem cię, Nate — powiedział George, który usłyszał ostatnią uwagę Richardsona. — Za nic jednak nie chciałeś zatkać sobie uszu watą. Czy mogę porwać twoją żonę do reela?

Chess chętnie na to przystała. Im lepiej znała George'a Vanderbilta, tym bardziej jej się on podobał.

— Czy interesowałoby pana wysłanie wraz ze mną paczki dla Jimmy'ego Whistlera, w której znalazłoby się wszystko, co może zmniejszyć jego tęsknotę za do-

mem? — zapytała. — Zamierzam wysłać mu statkiem między innymi dziesięciofuntowy worek kukurydzianej mąki.

— Doskonały pomysł — ucieszył się George.

Reel, jak przystało na ten taniec, był hałaśliwy i dynamiczny. Wirując po sali, Chess kilka razy natknęła się na Randalla. Nawet podczas tego ludowego tańca, tak zupełnie nie pasującego do gór Karoliny Północnej, pozostawał równie elegancki i swobodny jak podczas londyńskich przyjęć.

— Dobrze się bawisz? — zapytała go zdyszana, kiedy obracał ją dokoła pośrodku tworzonego przez tancerzy kwadratu.

— Teraz tak — odparł z uśmiechem, który tak dobrze pamiętała. W tej samej chwili rozdzieliła ich kolejna figura tańca.

Nieco później znowu tańcząc walca, umówili się na spotkanie.

— Posadzono mnie przy stole całe kilometry od ciebie — narzekał Randall. — Spotkajmy się jutro rano w bibliotece. Przyjdź tam, kiedy tylko wstaniesz. Będę czekał. Chcę cię objąć — nie tak jak teraz, w tańcu, lecz tak jak mężczyzna obejmuje kobietę, gdy znajdują się z dala od reszty świata.

— Nie będę mogła spać, myśląc o tym.

— Ja też.

— Kłamca.

— Masz rację.

Chess roześmiała się cicho. Na krótki moment Randall mocno przytulił ją do siebie, zrobił to jednak dyskretnie, tak by nikt tego nie spostrzegł.

— Bądź wcześniej — szepnęła. — Inaczej oszaleję. Standish postarał się zatańczyć z nią również wtedy, gdy wybiła północ. Każdy, kto by ich obserwował, uznałby jego pocałunek przy składaniu życzeń za zwykły gest kuzyna, Chess jednak rozpoznała to samo krótkie muśnięcie warg, na jakie pozwolił sobie dawno temu, podczas pikniku

w Hampstead. Owo słodkie wspomnienie sprawiło, że w oczach błysnęły jej łzy. Przy kolacji siedziała między dwoma mężczyznami, z których jeden pochodził z Nowego Jorku, drugi zaś z Filadelfii. Cała trójka miała dużą wprawę w prowadzeniu towarzyskiej konwersacji, jedzenie było doskonałe, posiłek upłynął więc nadzwyczaj miło. Przy olbrzymim stole mogły zasiąść sześćdziesiąt cztery osoby. Dwadzieścioro sześcioro gości umieszczono pośrodku stołu, wypełniając puste miejsca licznymi misami z owocami i pełnymi kwiatów wazonami. Nadało to przyjęciu mniej oficjalny charakter i sprawiło, że goście czuli się swobodnie.

Kiedy znaleźli się z powrotem w swoim apartamencie, Chess poprosiła Nate'a, by rozpiął jej gorset, nie chciała bowiem o trzeciej nad ranem dzwonić po służącą.

_ Uczynię to z przyjemnością — odparł mąż ale

prawdopodobnie ta dziewczyna czeka, aż ją wezwiesz, i nie pójdzie spać, póki się nie dowie, że nie jest ci już potrzebna. Zrobisz lepiej mimo wszystko przywołując ją tutaj.

Chess zawstydzila się, że sama o tym nie pomyślała. Zbyt łatwo zapominała o innych ludziach, gdy jej umysł wypełniała tęsknota za Randallem. Już wkrótce. Za kilka godzin znowu będzie razem z nim.

Biblioteka wywarła na Chess wrażenie większe niż jakiegokolwiek inne pomieszczenie tego olbrzymiego domu. Był to bardzo duży pokój, nie tak duży jednak jak sala bankietowa czy balowa. Całe ściany pokrywały półki wypełnione książkami. Chess wzięła jedną z nich do rąk i otworzyła.

— Ja uczyniłem to samo — powiedział Randall, wynurzając się z głębi. — I owszem, czytano ją, może nawet

więcej niż raz. Z każdą upływającą godziną pan Vanderbilt coraz bardziej zyskuje w moich oczach. Standish wyjął jej książkę z rąk i odłożywszy na stół, pociągnął ku mrocznej wnęce.

— Moja ukochana — szepnął drżącym z namiętności głosem.

Jego usta spoczęły na jej wargach i ciała obojga zwały się w uścisku. Chess czuła, że płonie.

— Nie zniosę tego — powiedziała. — Chcę cię całego. Dokąd możemy pójść, zanim umrę z pożądania?

Randall chwycił ją za rękę i poprowadził przez niezliczone drzwi i korytarze. Przemierzali je pośpiesznie, rozglądając się niespokojnie. W końcu weszli do niewielkiego schowka, w którym przechowywano ręczniki. Niecierpliwie zamknęli za sobą drzwi. Ogarnęła ich ciemność.

— Wybacz mi — powiedział Randall. — Nie mogę czekać.

Jego dłonie przesuwały się gorączkowo po jej piersiach i talii, a usta przywarły do jej warg, napierając na nie tak gwałtownie, że Chess uderzyła głową w wiszącą na ścianie półkę.

— Unieś suknię — szepnął Standish. — Chcę cię wziąć już teraz.

Chess była równie rozgorączkowana co on. I tak samo zdesperowana. Kochali się na stojąco, w plątaninie ubrań, wśród tłumionych okrzyków namiętności, opierając się o siebie nawzajem, by nie upaść. W ciągu kilku sekund było po wszystkim. Chess zaczęła płakać — łkała ze wstydu. Randall objął ją i głaszcząc, szeptem błagał o wybaczenie.

— Och, mój ukochany — szlochała. — Wybaczam ci, oczywiście, że ci wybaczam. Nie potrafię tylko wybaczyć samej sobie. Zachowałam się jak suka podczas rui..

Jego pocałunki przerwały jej samooskarżycielskie słowa, na nowo napełniając jej ciało żarem namiętności.

- Nie — jęknęła. — Nie. Nie chcę tego robić w ten sposób.

— Zaczekaj tutaj — poprosił Randall. — Znajdę jakieś wyjście.

Chess została sama w ciemnościach. Skuliła się na podłodze. Pogardzała samą sobą. Ileż wstydu przysporzyłaby Nathanowi, gdyby jej rozpusta wyszła na jaw! Stałby się obiektem żartów lub też okazywano by mu fałszywą litość.

Skrzypienie otwieranych drzwi sprawiło, że zadrżała, kryjąc głowę za skrzyżowanymi ramionami.

— Ćśś, moja droga. To ja — odezwał się Randall. — Podaj mi dłoń. Wszystko będzie dobrze.

Płonącą ze wstydu poprowadził wąskimi korytarzami i schodami do małej łazienki ze skośnym sufitem. Jej wąskie okno wychodziło na ciągnący się całymi kilometrami, otulony śniegiem las.

Na półce leżały grzebienie, szczotki, ręczniki i mydło, wanna była napęczniona gorącą wodą.

— Poczekam w pokoju obok — powiedział. — Nikt tu nie wejdzie, zapewniam cię.

Chess umyła się i doprowadziła do porządku ubranie. Kiedy weszła do sąsiedniego pokoju, Randall robił wrażenie upokorzonego i nieszczęśliwego.

— Nigdy sobie tego nie wybaczę — rzekł cicho.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Chess. — Obiecałam Nathanowi, że spotkam się z nim o dziewiątej przy śniadaniu. Jak trafić stąd do ciepłarni?

— Musimy porozmawiać, Chess.

— Nie teraz, Randallu. Jestem zbyt przygnębiona. No i muszę zobaczyć się z mężem. Którędy mam pójść?

Standish odprowadził ją do schodów.

— Kiedy znajdziesz się na dole, palmiarnia będzie na wprost — powiedział.

Chess zaczęła biec.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — przywitała ją na dole Louise Vanderbilt.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — odezwał się chór głosów.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — powtórzyła Chess. W przeświecających przez szklany dach promieniach

słońca palmy i tropikalne kwiaty wyglądały jeszcze bardziej okazale niż w nocy. Wkrótce Chess ogarnęło kojące ciepło tego miejsca — dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo była zmarznięta. Po śniadaniu wśród gości wybuchła wrzawa. George miał kilka kolorowych sań ukrytych w nie odśnieżonej szopie za stajniami. Ci, którzy pragnęli spędzić ranek w prawdziwych górach, byli zaproszeni na przejażdżkę do Buckspring Lodge, gdzie na Mount Pisgah — najwyższym szczycie pobliskiego pasma — gospodarz miał swój myśliwski domek. Wyprawa została nazwana „podróżą w górę i w dół”, ponieważ najpierw przedzierano się pod górę przez gęsty las, co trwało ponad godzinę, potem zaś powrót do domu zabrał zaledwie połowę tego czasu — w tak szalonym tempie galopowano bowiem w dół wzgórza.

Nate i Chess ochoczo postanowili wziąć udział w wyprawie, podobnie jak dziewczęta z Rhode Island, kiedy dowiedziały się, że George i Randall także mają w niej uczestniczyć. Florence Twombly czuła się zobowiązana do towarzyszenia dziewczętom jako przyzwoitka.

Upłynęło jednak jeszcze sporo czasu, zanim w końcu wszyscy zasiedli w dwóch parach sań i wyruszyli w drogę.

— Biedny George! — powiedział Nate, zerkając ku pierwszym saniom. — Jego siostra postanowiła, że ma pojechać z nią i tymi dziewczynami.

Randall, Nate i siedząca pomiędzy nimi Chess usadowili się wygodnie w drugich saniach. Woźnica strzelił z bata i para koni potrząsając łbami ruszyła z kopyta. Dzwonki przy ich uprzęży zadźwięczały wesoło.

Chess przez cały czas nie mogła oderwać myśli od przyciśniętego pod futrzaną derką do jej nogi uda Randalla. Miała nieprzewartą ochotę położyć dłoń na jego kolanie, zamiast tego jednak skoncentrowała się na muzyce dzwonek, pokrzykiwaniach woźniców i pięknie tego chłodnego zimowego dnia.

Nigdy dotąd nie jechała saniami. Podróżowanie nimi zupełnie nie przypominało jazdy powozem ani miarowego kołysania pociągu. Gładko ślizgające się po śniegu płozy coś jej przypominały, nie potrafiła jednak tego określić. Wiedziała jedynie, że było to coś niebywale podniecającego.

Czymś niezwykłym wydawał jej się także głęboki śnieg. Dalej na wschód, w Standish czy Durham, także padał śnieg, ale zwykle jego pokrywa miała nie więcej niż kilkanaście centymetrów i po paru dniach topniała. Biały krajobraz, na który teraz patrzyła, wydawał się więc jej wręcz nierealny, zwłaszcza że w pobliżu nie widziała nic stworzonego ludzką ręką, co pomogłoby jej określić głębokość śniegu. Żadnych punktów orientacyjnych, takich jak schody, ganek, okienny parapet.

Rozciągający się wokół biały kobierzec sprawiał wrażenie bezkresnego i tajemniczego.

Jedyną skazę na tej bieli stanowił wąski szlak wydeptany przez końskie kopyta i płozy sań: niewielki ślad cywilizacji wśród dzikiej przyrody. Chess żałowała, że ich sanie nie jada pierwsze. Jakże pięknie byłoby widzieć przed sobą nieskalaną biel!

Teraz już wiedziała, co przypominało jej gładkie ślizganie się sań: pływanie kanoe po James River. Prześlizgiwanie się po powierzchni niepoznawalnej głębi. Tyle, że na rzece nie widziało się śladu poprzednich podróżników. Każda łódka mogła być pierwsza, każda podróż stanowiła nową przygodę. — Niedźwiedź — stwierdził spokojnie Nate. — Po lewej stronie, pomiędzy drzewami.

Chess obróciła szybko głowę, ale niczego nie spostrzegła.

— Nic nie zobaczyłam — powiedziała z żalem.

— Kiedy będę opowiadał ze szczegółami o naszej małej przygodzie, niedźwiedź urośnie do trzech metrów i będzie stał dokładnie na naszej ścieżce — roześmiał się nieco sztucznie Randall. — Ludzie lubią uważać Amerykę za dziki i niebezpieczny kraj.

— Sądzę, że lepiej mieć do czynienia z siedzącym między drzewami niedźwiedziem niż z ruchem ulicznym na Strandzie — zachichotał Nate. — Zawsze starałem się odnaleźć w tłumie jakiegoś dobrze zbudowanego mężczyznę i razem z nim przechodzić przez ulicę. Miałem nadzieję, że koła powozu zmiażdżą najpierw jego, a dopiero później przejadą po mnie.

Domek myśliwski George'a Vanderbilta nie był zbudowaną z bali chatą, jak wyobrażała to sobie Chess. Składał się aż z czterech drewnianych budynków, z których jeden przeznaczono na wielką jadalnię. Przy dużym kominku, na którym płonęły polana wielkości małych drzew, czekał zastawiony do śniadania stół i gorąca kawa. Chess wzięła filiżankę i wyszła na obszerną, zadaszoną werandę, by popatrzeć na ciągnące się aż po horyzont pasmo gór. Ich piękno zapierało wprost dech w piersiach.

— To właśnie musi widzieć lecący orzeł — powiedziała do Nate'a, kiedy ten stanął za nią.

Nie był to jednak Nathan, lecz Randall.

— Nie mamy okazji, by porozmawiać ze sobą sam na sam, ukochana — szepnął. — A tak niewiele czasu pozostało już do mego wyjazdu. Czy moglibyśmy zobaczyć się dziś po południu? Spotkajmy się na tarasie obok biblioteki. To dostatecznie ustronne miejsce, byśmy mogli pomówić.

— Dobrze — odparła Chess, nie odwracając głowy. Obawiała się, że jeśli nań popatrzy, może stracić panowanie nad sobą. Randall był tak blisko. Ujrawszy jego

twarz, bez pamięci utonęłaby w złotobrazowych oczach, zapomniała o całym świecie.

— Wróć do jadalni — poprosiła, zmuszając się do uśmiechu. — Inaczej zacznę zdzierać z siebie ubranie i zamarznię tu na śmierć.

Słyszała jego oddalające się kroki i skrzypienie zamykanych drzwi. Widok gór stracił swą magiczną moc podnoszenia jej na duchu.

Powrót do Biltmore był szybki i przerażający. Konie musiały gnać co sił, by uniknąć stratowania przez sunące za nimi rozpędzone sanie. Nathan zachęcał woźnicę do jeszcze szybszej jazdy, Chess krzyczała ze strachu, a ciało Randalla napierało na nią z całej siły na każdym ostrym zakręcie. Było to jeszcze bardziej niebezpieczne od szaleńczej sanny.

Rozdział 45

Chess czuła, że nie znieśie ani pięciodaniowego posiłku, ani rozmów przy wielkim stole w sali bankietowej. Miała wrażenie, że w jej żyłach zamiast krwi krąży prąd elektryczny, a skóra jest za ciasna — jak gdyby za chwilę miała zacząć pękać. Wiedziała, że musi choć na chwilę pozostać sama, aby się uspokoić.

— Górskie powietrze zupełnie mnie oszołomiło — powiedziała Nathanowi. — W dodatku czuję się przejeżdżona po tym śniadaniu w domku myśliwskim, podanym krótko po wystawnym posiłku tutaj. Będziesz tak dobry i przeprosisz za moją nieobecność? Chcę się zdrzemnąć.

— Zaciągnę ci wobec tego story. Śpij dobrze. Po kolacji chciałbym zobaczyć tutejszą kręgielnię.

— A co będziesz robił po południu?

Chess miała nadzieję, że zadała to pytanie dostatecznie obojętnym głosem.

— Wybieram się do Asłwille. Jeśli George nie będzie chciał za te góry zbyt wysokiej ceny, niewykluczone, że kupię od niego kawałek ziemi.

— Nathanielu Richardson! Nie mam zamiaru żyć na tym pustkowiu! Możesz równie dobrze mieć wszystkie te prądnice i bojłery w Standish.

Nate potrząsnął głową, śmiejąc się z jej obaw.

— Uspokój się. Nie jestem Yanderbiltem i nie mam

szansy się nim stać. Zresztą wcale bym nie chciał. Pomyślałem po prostu, że miło byłoby mieć tutaj, na tym wierzchołku świata, mały myśliwski domek z drewnianych bali. Z przyjemnością przyjeżdżałbym tutaj na lipiec i sierpień, kiedy Standish jest takie zakurzone i gorące. Podobnie robią Wilsonowie. Gussie była zachwycona pobytem w ich górskiej rezydencji. Istotnie miał rację. Sierpień w Standish był czymś niemal nie do zniesienia. Ważniejsze jednak, że Nathan miał być nieobecny przez całe popołudnie. — Myślę, że byłoby cudownie mieć tu swój letni dom — zgodziła się Chess. Po wyjściu męża próbowała zasnąć, ale nie udało jej się odpocząć. Wszystko szło źle i była tym mocno zaniepokojona. A przecież powinnam być szczęśliwa. Wkrótce zobaczę się z Randallem. Znam go: znajdzie dla nas bezpieczne miejsce, w którym będziemy mogli być razem, prawdziwe miejsce do miłości, nie jakiś schowek na bieliznę. Znowu będzie tak jak w Londynie... pobyt tam był jednak najwspanialszym czasem w moim życiu. Cały świat przestawał się liczyć, kiedy on brał mnie w ramiona... Zatopiona we wspomnieniach, przeciągnęła się zmysłowo. Tęsknię za nim, pragnę się z nim kochać i może dlatego czuję się tak nieswojo. Potrzebuję Randalla. Nie umiała odpoczywać. Nie potrafiła czekać. Postanowiła zejść na dół i już teraz udać się na miejsce schadzki. Nawet jeśli nie zastanie tam jeszcze Randalla, będzie przebywała w miejscu, gdzie ma się on wkrótce zjawić. Już samo to z pewnością stworzy na tarasie magiczną atmosferę, za którą tak bardzo tęskniła. Biblioteka, dzięki Bogu, była pusta. Wyjąwszy oczywiście setki książek, które zawsze pozostawały jej przyjaciółmi.

Przesunęła wzrokiem po półkach, po czym po cichu podeszła do wychodzących na taras francuskich drzwi.

Zimne powietrze zaparło jej dech w piersiach. Owinęła się szczelniej grubą peleryną. Ubrała się tak ciepło na to spotkanie, nie chciała bowiem, żeby chłód zepsuł jej choć jedną z cennych chwil spędzonych z Randallem.

Kamienny taras, podobnie jak wszystko inne w tym domu, był ogromny. Ocieniała go porośnięta winoroślą pergola. Zimą jednak pnącze nie miało oczywiście liści i słońce przez cały dzień nagrzewało kamienne płyty, które teraz promieniowały przyjemnym ciepłem. Chess rozchyliła nieco pelerynę i uniosła twarz ku błękitnemu, słonecznemu niebu.

— Wyglądasz jak kapłanka Heliosa.

— Zatem ty musisz być Apollem — rzekła, odwracając się. Jej oczy napotkały wzrok Randalla.

Porozumiewali się bez słów.

Serce Chess zamarło ze wzruszenia, gdy w skupionym spojrzeniu mężczyzny dostrzegła nowy błysk. Setki razy patrzyli na siebie w ten sposób, zawsze przekazując sobie tę samą wiadomość: „Chcę ciebie”. Właśnie to mówił teraz wzrok kochanka i w ten sam sposób spoglądała także ona. Ale w jego oczach było jeszcze inne, głębsze, poważniejsze wyznanie, którego Chess daremnie nigdy szukała. Standish wypowiedział je głośno.

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham — odrzekła drżącym głosem.

Nie zbliżyli się do siebie, nie próbowali się nawet dotknąć. Uczynione wyznanie i spojrzenie oczu tworzyło między nimi więź znacznie silniejszą niż jakakolwiek bliskość ciał.

— Kiedy do mnie przybędziesz? — zapytał Randall po długiej chwili milczenia.

— Co masz na myśli? — zdziwiła się Chess, unosząc głowę. — Znalazłeś jakiś pokój?

— Owszem — uśmiechnął się mężczyzna. — Ale to później. Teraz musimy zastanowić się nad przyszłością. Jak szybko mogłabyś przyjechać do Londynu?

— Nie mogę tego uczynić. Nie dam rady tak po prostu spakować się i udać do Londynu bez żadnej sensownej przyczyny. Co powiedziałabym Nathanowi?

— Nie zrozumiałaś mnie, moja droga. Nigdy nie sądziłem, że coś takiego może mi się przydarzyć, ale to się stało. Jestem w tobie nieodwołalnie zakochany i nic nie poradzę. Uświadomiłem to sobie po twoim wyjeździe, kiedy szukałem cię wzrokiem na każdej ulicy i wszędzie nasłuchiwałem twojego śmiechu. Pragnę, byś została moją żoną. Jak wiele czasu zajmie ci załatwienie rozwodu?

Chess stała jak oniemiała. Tak bardzo tęskniła za tym, by usłyszeć z ust Randalla wyznanie miłości. Nigdy nie pomyślała nawet o niczym więcej. Jego „kocham cię” stanowiło nieosiągalne marzenie. Pragnęła zatrzymać te słowa w swoim sercu. Chciała ponownie doznać gwałtownego wzruszenia, jakie wywołało w niej jego wyznanie, nie myśląc o tym, jakie mogło mieć to następstwa.

— Randall — szepnęła błagalnie. — Nie jestem w stanie myśleć. Mój umysł nie potrafi przyjąć tego, co powiedziałeś.

— Rozumiem. Ja zastanawiałem się nad tym od miesiący, zatem ty także potrzebujesz kilku chwil, by oswoić się z tą myślą. Powiedz mi tylko, czy odwzajemniasz moje uczucia i czy mnie poślubisz. To będzie pierwszy krok. Zobaczysz, że razem poradzimy sobie z wszelkimi przeszkodami.

— Kocham cię. Naprawdę. Kocham cię. — Chess powtarzała te słowa, potrząsając głową, jakby chciała odpędzić od siebie w ten sposób ogarniające ją wzruszenie. — Ale nie wiem, jakim sposobem mogłabym wyjść za ciebie za mąż.

Randall podszedł do niej i dotknął palcami jej brwi.

— Kiedy się martwisz, robią ci się małe zmarszczki —

powiedział, uśmiechając się czule. — Znajdziemy ci dobrego prawnika. On będzie wiedział, co robić. Nie bój się.

Randall objął ją mocno ramieniem, dodając odwagi.

Jego palce nie starły jednak zmarszczek z jej czoła. Wbrew temu, co sądził, świadczyły one o zamyśleniu, a nie zmartwieniu. Chess za wszelką cenę próbowała uporządkować chaotycznie kłębiące się w jej głowie myśli.

— Nie wiem, czy będę potrafiła żyć w Anglii — oświadczyła, wypowiadając na głos jedną ze swych obaw.

— Ależ mieszkałaś już tam — roześmiał się Randall. — I odniosłaś wielki sukces. Uwielbiałaś to. Należysz właśnie do tego kraju, nie do Ameryki. Bądź co bądź pochodzisz z rodu Standishów. Nie pasujesz do tych barbarzyńców. Teraz, kiedy nie ma już waszej Konfederacji, to Anglia jest twoim prawdziwym domem — przekonywał ją. — No i będziesz tam ze mną — dodał, przytulając ją mocno do siebie.

Chess utkwiała spojrzenie w wierzchołkach gór, lecz nie znalazła tam żadnej odpowiedzi na dręczące ją pytania. Odwróciła więc wzrok od tego majestatycznego widoku i popatrzyła na twarz kochanka.

— Nie chcę myśleć — powiedziała niecierpliwym głosem. — Chcę czuć. Pragnę, byś mnie przytulał, byś się ze mną kochał. Teraz. Chcę cię właśnie teraz.

— Dobrze. Porozmawiamy później. Pokonamy jakoś wszystkie przeciwności losu. Wsiądź do windy, tak jakbyś szła do swojego pokoju. Zatrzymaj się na pierwszym piętrze, udając, że wysiadasz, po czym wjedź na drugie. Będę tam na ciebie czekał. Dostanę się schodami dla służby. Odczekaj dwie minuty po moim wyjściu i zrób to, co powiedziałem.

— Pocałuj mnie, najdroższy.

— W pokoju, moja ukochana. Zbyt wiele okien w domu wychodzi na ten taras.

Gdy tylko jego dłonie zaczęły przesuwać się po jej skórze, nie potrzebowała już myśleć. Niczego w swoich wspomnieniach nie wyolbrzymiała: naprawdę w ramionach Ran-dalla doznawała niebotycznej rozkoszy. To, czego doświadczały jej zmysły, sprawiło, że zapomniała o całym świecie, z wszelkimi jego zmartwieniami. Przestał istnieć. Kochała i była kochana — nic więcej się nie liczyło.

Wznosiła się ku słońcu i opadała, by w końcu złożyć głowę na szerokiej piersi kochanka, delikatnie gładząc palcami jego muskularne ramię. Jej myśli biegły teraz leniwie i spokojnie. Nie niosły w sobie żadnego zagrożenia.

— Co ty robisz, Randallu? — zapytała szeptem.

— Robię? Co masz na myśli.

— Nic. Po prostu zastanawiam się, czym się zajmujesz? Jak wygląda twoje życie?

— Ależ przecież już to wiesz. Kolekcjonuję dzieła sztuki. Czytam. Chodzę do teatru. Spotykam się z przyjaciółmi. Bywam w moich klubach. Spędzam karnawał w Londynie. Jeżdżę na wieś na polowania. Od czasu do czasu podróżuję na kontynent.

Ujął jej dłoń i przesunął nią po swoim udzie.

— Jakież to podniecająco miłe... Zrób użytek z koniuszków swoich palców... Naturalnie jako małżeństwo będziemy musieli także przyjmować gości u nas w domu. Kawaler nie ma takiego obowiązku. Możemy kupić jakąś wiejską rezydencję, w Londynie zaś wynajmować dom tylko na czas karnawału. Albo na odwrót. Jak wolisz. Inne plany zależą od tego, ile pieniędzy dostaniesz od swojego męża. Chess poruszyła się niespokojnie i usiadła na łóżku.

— Jakich pieniędzy?

Randall z powrotem przyciągnął ją do siebie.

— Rozwiedziesz się z nim, oczywiście. A wtedy zostaną ci przyznane alimenty — te rzeczy zawsze załatwia się w ten sposób. Ośmielę się powiedzieć, że Nate będzie z pewnością bardzo hojny, bądź co bądź ten człowiek cię kocha. Kupimy dom i kilka dobrych koni...

Chess odsunęła się, uwalniając z objęć mężczyzny. Uklękła na łóżku i popatrzyła na kochankę.

— Musisz być szalony, Randallu. Sądziś, że jestem Consuelą Vanderbilt? W takim razie jaką cenę wyznaczyłeś za to małżeństwo?

W oczach Standisha tym razem nie było już czułości i oddania.

— Nie dramatyzuj, Chess. Nie jesteś już dzieckiem. Wygodne życie kosztuje sporo pieniędzy. Tylko wśród niższych warstw wypożyczanie książek z biblioteki wystarcza małżonkom do pielęgnowania ich miłości. Ludzie z naszą pozycją muszą żyć na odpowiedniej stopie, jeśli nie chcą, by ignorowano ich towarzysko.

Chess patrzyła na tego przystojnego człowieka, który na tak długo zawładnął jej umysłem i sercem. Znała na pamięć każdy centymetr jego silnego, muskularnego ciała, każdy lok na jego głowie. Twarz kochanka wydawała się jej bardziej znajoma niż jej własna, tysiące razy przywoływała bowiem w wyobraźni wspomnienie o niej.

Teraz zaś zobaczyła przed sobą kogoś obcego. Tak naprawdę nie wiedziała nic o jego umyśle i sercu.

— Muszę już iść — powiedziała. — Nathan może wrócić w każdej chwili.

Mężczyzna uniósł się, wspierając na łokciu, i pogładził dłonią delikatną, wrażliwą skórę wewnętrznej strony jej uda.

— Zostań jeszcze chwilę. Wymyślisz dla niego jakąś wymówkę.

Plecy Chess wbrew jej woli wygięły się zmysłowo, poddając piersi pocałunkom kochanka. Całe ciało tęskniło za nim, gotowe na jego przyjęcie.

— Nie — szepnęła. — Nie teraz.

Stłumiła ogarniające ją pożądanie i pośpiesznie wstała. Zamknęła za sobą drzwi od łazienki i oparła się o nie, żeby nie upaść. Czowała się bardzo słaba. Coś tkwiącego głęboko wewnątrz niej, czego nie potrafiła nawet nazwać, dało jej siłę do opuszczenia pokoju Randalla. Dopiero później w sy

pialni, kiedy minęła obezwładniająca ciało słabość, mogła zastanowić się nad swoimi uczuciami. Powiedziała Randal-łowi, że go kocha. I kocham go — powtarzała sobie już po raz tysięczny. Jakże jednak mogła być tak pewna swojej miłości do mężczyzny, który — teraz to wiedziała — był jej całkowicie obcy? Nie, to niesprawiedliwe. Nie wolno jej uważać go za kogoś obcego. Jest po prostu dokładnie tym, na kogo wygląda, kim zawsze pozostawał: należącym do śmietanki towarzyskiej angielskim dżentelmenem, który stał się niewolnikiem swojej społecznej pozycji.

To dziecinne z jej strony, że czuła się urażona jego rozmową o alimentach. Przecież to wcale nie znaczyło, że pragnie jej jedynie dla pieniędzy. Gdyby tylko one miały być powodem małżeństwa, równie dobrze mógłby wybrać którąś z młodych protegowanych Florence Twombly.

A jednak kochał ją. Ją. Ze zmarszczkami na twarzy i siwymi pasmami we włosach. Wprost nie mogła w to uwierzyć. Czemu zatem nie szalała ze szczęścia? Przecież to właśnie o tym tak długo marzyła. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek w świecie. Chciała kochać Randalla i być przez niego kochaną. Kochać się z nim. O, to właśnie robili. Kochali się ze sobą. Ale nie kochali siebie nawzajem. Miłość jest czymś innym. Nie daje się stłumić, zniszczyć, ukryć przed światem za zamkniętymi drzwiami sypialni. Jest czymś znacznie bardziej ryzykownym, podniecającym. Jest życiem, uczeniem się siebie, dzieleniem się sobą z ukochanym człowiekiem. To tak jakby dwoje ludzi razem zostawiało pierwsze ślady na nienaruszonej, śnieżnej powierzchni przygód, jakie niesie ze sobą każdy kolejny dzień.

Miłość to Nathan. To właśnie jego kochała — już od owego pierwszego dnia, kiedy oboje rzucili przyszłości wielkie wyzwanie. Nathan i życie u jego boku było wszystkim, czego pragnęła. Wyjawszy to, co działo się między nimi w sypialni.

Kto był temu winien?

Przez chwilę Chess na nowo ogarnęła ta sama frustracja i gniew, jaki narastały w niej przez piętnaście lat małżeństwa. Nathan nie chciał jej. Pozwalał, by czuła się brzydka, nieatrakcyjna, niekochana. Nagle zaczęła się śmiać. Przecież teraz wiedziała już, że jest godna pożądania. I miała świadomość, jak można sprawić, by mężczyzna i kobieta dawali sobie nawzajem rozkosz. Nie musiała czekać, aż Nathan ją tego nauczy. Być może sama nawet potrafiłaby nauczyć go kilku rzeczy?

A więc spróbuje. Zobaczy, jaka będzie reakcja męża. Nie wątpiła, że w pierwszej chwili usłyszy jego zdumione „Boże Wszechmogący, Chess!”

Ileż przyjemności mogli sobie sprawić!

Gdy Nathan po powrocie z Ashville wszedł do swego pokoju, by się przebrać, zobaczył, że drzwi prowadzące do łazienki i sypialni żony są otwarte. Chciał je zamknąć, powstrzymał go jednak przed tym głos Chess.

— Chodź tu, Nathanie.

Kobieta czekała wsparta o stos leżących na łóżku poduszek. Jej rozpuszczone włosy opadały kaskadą na nagie ramiona odsłonięte przez dekolt jedwabnej, wieczorowej sukni.

— Twoja drzemka trwała wyjątkowo długo — stwierdził Nate. — Powinnaś była pojechać razem ze mną. Obejrzałem aż cztery parcele leżące ponad wioską o nazwie Brevard. Nie jest to zbyt daleka podróż, jedzie się jednak wzdłuż górskiego grzbietu i widoki, jakie ciągną się tam całymi kilometrami...

— Czy mógłbyś wysłuchać tego, co mam do powiedzenia? — przerwała mu żona.

Nate popatrzył na nią z zaciekawieniem. Wydawała mu się jakaś odmieniona, nie wiedział jednak, co było tego przyczyną.

Chess się uśmiechnęła.

— Czy wiesz, mój drogi, że jesteśmy małżeństwem już

ponad piętnaście lat, a ty ani razu mnie jeszcze nie pocałowałeś?

— Bzdura. Musiałem to zrobić.

— Ani razu, Nathanie. Chcę więc, żebyś tu przyszedł i uczynił to teraz. Natychmiast.

Kobiety! Jakież to dziwne stworzenia! Nate wzruszył ramionami i spełnił prośbę. Jego pocałunek był energicznym, głośnym cmoknięciem w policzek.

Chess objęła go za szyję, nie pozwalając mu się wyprostować.

— Nie tak — powiedziała. — Równie dobrze mógłbyś w ten sposób całować patelnię.

Szarpnęła go silnie za klapy marynarki i Nathan, tracąc równowagę, opadł na nią ciężko. Na moment jego twarz skryła się w stosie poduszek.

Chess uniosła głowę męża i obróciwszy ją ku sobie, lekko dotknęła wargami jego ust. Z wolna jej pocałunek stawał się coraz silniejszy. Delikatnie pieściła zębami jego wargi, domagając się, by rozchylił usta, aż w końcu ich języki spotkały się ze sobą, splatając w głębokim, zapamiętałym pocałunku. Kiedy żona odsunęła się w końcu od niego, Nathan nie mógł złapać oddechu.

— A teraz powiedz, że mnie kochasz — zażądała.

— Boże Wszechmogący, Chess! Co ci się stało? Co ty robisz?

— Powiedz, że mnie kochasz, Nathanie.

— Wiesz przecież, że tak.

— Nie, nie wiem, ponieważ nigdy mi tego nie wyznałeś. Powiedz to, Nathanie.

— Kocham cię. Jesteś zadowolona? — Nate czuł się jak głupiec. Nie rozumiał, co się dzieje.

Chess wybuchnęła śmiechem.

— Z czego, u diabła, się śmiejesz? Rozumiem: ze mnie. Zachowujesz się jak osoba szalona. Przestań.

— Och, nie. Nie przestanę. I tak jestem spóźniona o całe piętnaście lat. — Jej palce mozolnie rozpinały guziki jego

marynarki, kamizelki, kołnierzyka i koszuli. — Pamiętam, kiedy przybyłeś do nas, aby spotkać się z dziadkiem. Myłeś się pod pompą, a widok twojej gołej piersi nie pozwolił mi potem w nocy zmrużyć oka. — Chess delikatnie przesunęła palcami po nagich już teraz ramionach męża. Nate gniewnie chwycił ją za nadgarstki.

— Przestań! Tak nie zachowuje się dama! — zawołał z poczerwieniałą twarzą.

Chess uśmiechnęła się figlarnie.

— Jesteś tylko mężczyzną, mój drogi. Och, tak, ja też cię kocham, Nathanie. Nie wiesz jednak nic na temat dam i najwyższy czas, byś się czegoś nauczył. Puść mnie. Chcę rozpiąć ci spodnie.

— Chess!

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

— Chyba że ty zrobisz to szybciej niż ja. Domagam się, byś spełnił swój małżeński obowiązek, Nathanie. Pragnę, byś się ze mną kochał. Chcę rozkoszy. Mnóstwa rozkoszy. Czekałam na to piętnaście lat.

Nate patrzył na nią z otwartymi ze zdziwienia ustami. Posłusznie puścił nadgarstki żony.

Wkrótce jednak odzyskał panowanie nad sobą. Kochał się z nią powoli, uważnie śledząc jej reakcje, z czułością, która opóźniała i wzmagala każdą eksplozję namiętności. Z wolna odkrywał to, co tak długo pozostawało przed nimi ukryte. Aż w końcu ich dusze, serca, umysły i ciała stopiły się w jedną całość.

Kiedy skończyli, Nathan ujął twarz żony w swoje dłonie i pocałował ją delikatnie. Słodycz tego czułego gestu sprawiła, że oczy Chess wypełniły się łzami. Oddała mu pocałunek.

Rozlegający się w holu gong przypomniawszy im, że czas już przebrać się do kolacji.

Uśmiechnęli się do siebie. Nie musieli wypowiadać na głos żadnych słów, by wiedzieć, jak komiczne wydało się obojgu to, że tak dokładnie udało się im zmieścić w czasie,

który pozostał do wieczornego posiłku. Oboje mieli ochotę, by teraz, kiedy zaspokoili już ten największy głód, zająć się bardziej prozaicznymi potrzebami, takimi jak jedzenie.

Przeglądając się w lustrze, Chess uśmiechnęła się promiennie. Zwierciadlana tafla odbijała twarz całkowicie szczęśliwej kobiety. Nie będzie musiała mówić Randallowi ani słowa — patrząc na nią, sam domyśli się, że w jej życiu nie ma już dla niego miejsca. Powiem mu jednak „dziękuję” — postanowiła. — Bez niego nigdy nie dowiedziałabym się, czego pragnę od Nathana, i nigdy nie zdobyłabym się na odwagę, by tego zażądać. To kochanek sprawił, że poczułam się godna miłości i pożądania.

— Wspomniałeś, że pragniesz zobaczyć kręgielnię, Nate — George Vanderbilt był nader troskliwym gospodarzem.

Richardson popatrzył ponad stołem na żonę. Chess przysięgłaby, że gdy ich spojrzenia się spotkały, przebiegła błękitna błyskawica i rozległ się głośny grzmot. Jak po burzy, powietrze przeniknęła ostra woń ozonu, która za-, głuszyła zapach ustawionych przy nakryciach bukietów kwiatów.

— Dziękuję, George, ale zmieniłem plany. Chciałbym dziś wieczór położyć się nieco wcześniej.

Chess zasłoniła usta serwetką i uśmiechnęła się do siebie.

— Do diabła z tobą, Lily — szepnęła. — Przegrałaś.